

Lewis Perdue

Tesla Promienie śmierci

Philip Wilson

Tytuł oryginału: The Tesla Bequest

Słowo wstępne

Książka ta, jak wszystkie, które napisałem, ma silne podłoże faktyczne.

W latach sześćdziesiątych, kiedy uważałem, że sądzona mi jest kariera naukowa, zainteresowałem się dokonaniem fizyka Nikoli Tesli, Serba z pochodzenia. Wzorując się na schemacie zamieszczonym w czasopiśmie elektronicznym, skonstruowałem wówczas cewkę Tesli - urządzenie emitujące silne bodźce elektryczne. Uruchamiało ono oświetlenie jarzeniowe w sąsiednim pokoju bez udziału jakichkolwiek przewodów. Była to miniatura oryginału, który zbudował Tesla, robiąc eksperymenty z bezprzewodowym przesyłaniem energii elektrycznej w przestrzeni ziemskiej.

Niebawem uzmysłowiłem sobie, że to Nikola Tesla położył podwaliny pod całą nowoczesną kulturę opartą na elektryczności.

Inny geniusz, Tomasz Edison, pod koniec XIX stulecia dokonał szeregu wynalazków opartych na zastosowaniu prądu stałego - tego samego, który zasila latarki, akumulatory samochodowe i różne małe urządzenia. Jednakże prąd stały ma ten wielki mankament, że jest kłopotliwy w przesyłaniu. W tamtych czasach wygenerowanie prądu zmiennego, jaki mamy dzisiaj w naszych kontaktach elektrycznych, uważano za nieosiągalne. Koledzy fizycy kpili na studiach z Tesli, gdy napomykał, że jest niedaleki wytworzenia go. Po wyemigrowaniu z Austro-Węgier

do Ameryki Tesla pracował przez pewien czas u Edisona i był tam także wyśmiewany z tego samego powodu.

A jednak Tesla dopiął swego i wytworzył prąd o zmiennym przebiegu elektrycznym. To dzięki jego uporowi mamy go w naszych domach, w Stanach o napięciu 110 woltów, w Europie - 220 woltów.

Niezależnie od tego odkrycia, które stało się podstawą współczesnej cywilizacji, krąg zainteresowań Tesli był zdumiewająco rozległy. Jego pionierskie doświadczenia w dziedzinie łączności radiowej wyprzedzały o dekadę osiągnięcia Marconiego. On też — w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku - położył fundamenty pod robotykę, aktualnie zasadniczo do dziś. Z jego teoretycznych koncepcji czerpali inspirację wielcy fizycy, laureaci Nagrody Nobla - Einstein, Compton, Millikan, Franek.

W początkach lat dwudziestych Tesla twierdził, że wynalazł „promień śmierci” - urządzenie o tak potężnym działaniu, że nie może się z nim równać żadna nowoczesna broń. Rząd Stanów Zjednoczonych udawał, że nie traktuje tego poważnie, ale po zgonie uczonego w 1943 roku postarał się przechwycić wszystko, co się dało z jego naukowej spuścizny, i nadał tym papierom klauzulę ścisłej tajności.

Klauzula ta obowiązuje nadal. Margaret Cheney podczas zbierania materiałów do biografii Tesli (Tesla: Man Out of Time, wyd. Prentice Hall, 1981) prosiła liczne agendy rządowe - powołując się na ustawę o wolności informacji - o dostęp do jego archiwum. Początkowo rząd uporczywie zaprzeczał, że posiada te papiery, później Departament Obrony przyznał, iż je ma, lecz odmówił autorce wglądu do nich, zasłaniając się względami bezpieczeństwa narodowego. Było to w roku 1980.

Co takiego kryją te notatki, że rząd trzyma je w sekrecie tyle lat po śmierci Tesli?

Rozdział 1

Nowy Jork, 7 stycznia 1943

W ciszę nocy wsiąkały miękko odgłosy agonii. Na rozbabranym łóżku w hotelu New Yorker leżał stary człowiek, zaciskając kurczowo dłonie na piersi, jakby chciał zdławić rozsadzający go ból. Wiedział, że umiera. Nie miał jednak pojęcia, że padł ofiarą morderców.

Był to wysoki, kościsty mężczyzna o pociągłej trójkątnej twarzy, z grzywą śnieżnobiałych włosów, które zwykle starannie odgarniał do tyłu i na boki. Teraz jednak, gdy miotał się z boku na bok wstrząsany bólem, kłębiły się zmierzwiłone na poduszce.

Spod krzaczastych brwi starca uformowanych płytko w literę V wizerowały czarne niesamowite oczy. To była twarz arlekina i jej właściciel przez bez mała osiemdziesiąt sześć lat lubił straszyć ludzi swym niezwykłym wyglądem. Uwielbiał uchodzić za cudaka, niektórzy szeptali, że jest obłąkany, ale tej nocy na jego twarzy malował się tylko ból pomieszany ze strachem.

Nikola Tesla zapamiętał, że bóle pojawiły się po raz pierwszy czwartego stycznia, trzy dni przed wieczornym pójściem do laboratorium. Zdecydował się na to, bo poczuł się trochę lepiej, a George Scherf, jego asystent, bardzo chciał posunąć naprzód przeprowadzane doświadczenie.

Jednakże w połowie eksperymentu ból nagle wrócił, ostry, nieprzyjemny, ale bez porównania słabszy niż obecnie. Nigdy w życiu nie cierpiał tak okropnie.

Wrócił do hotelu, który od kilku lat stał się jego domem. Był to sympatyczny hotel, choć nie tak wygodny (nie tak drogi, o czym sobie codziennie przypominał) jak Waldorf, w którym mieszkał kiedyś ponad dziesięć lat.

Myśli błąkały mu się we mgle pomiędzy odpływami bólu. W Waldorfie był otoczony dworzanami. Zawsze, gdy zasiadał do kolacji, pojawiały się tam jakieś postacie z nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, by złożyć mu hołd. To były cudowne dni.

Ale nikt nie przyszedł do niego czwartego stycznia, kiedy wrócił z laboratorium z szarą, ściągniętą bólem twarzą, rozdygotany, jakby ujrzał własnego ducha.

Posiłki przynoszono mu do numeru i kiedy piątego stycznia pokojowa skończyła sprzątanie, kazał jej umieścić na klamce wywieszkę „Nie przeszkadzać”. I to ona była ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Umysł Tesli był teraz nazbyt zmałowany bólem, by mógł zdobyć się na skojarzenia. Nie skojarzył więc swego bólu z rozmową, jaką miesiąc temu odbył z pracującym dla niego inżynierem. Powiedział mu wtedy, że doświadczenia związane z bezprzewodową transmisją energii zostały zakończone pomyślnie, podobnie jak jego praca nad wykorzystaniem olbrzymiego rezerwuaru energii naładowanych cząsteczek, uwięzionych w polach magnetycznych górnych warstw atmosfery.

Nie połączył również obezwładniającego go bólu z wizytą dwóch młodych naukowców, którym przez dwa ostatnie tygodnie użyczał z dnia na dzień cząstek swojej dokumentacji. Utkwił z wysiłkiem wzrok w stojącym na nocnej szafce budziku. Była dziesiąta wieczorem. Jeden z tych młodych ludzi powinien wkrótce przyjść i zwrócić wzięte wczoraj papiery. Tesla nie chciał, by go zobaczył w tym stanie, byłoby to zbyt krępujące.

Zwłókł się z łóżka, poczłapał do drzwi i otworzył je. Kartonik „Nie przeszkadzać” wisiał na klamce. „To dobrze” - mruknął do siebie i zatrzasnął drzwi. Nie będzie się teraz nikomu pokazywać.

Tej fatalnej nocy Tesla nie pomyślał również, że może istnieć związek pomiędzy jego chorobą a zmienionym ostatnio smakiem przynieszonego mu mleka. Od dawna już nie pił alkoholu, ale codziennie wypijał litr mleka. Mniej więcej od Bożego Narodzenia miało ono jakiś dziwny smak. Odsyłał je kilkakrotnie, prosząc o inne, ale po zamianie smakowało prawie tak samo, więc przypisał to kaprysom własnego podniebienia i pił mleko dalej.

W tydzień czy dziesięć dni później odezwały się bóle, ale Tesla nigdy nie pomyślał, że mają coś wspólnego z mlekiem. Nie mógł wiedzieć, że gorzkawy smak mleka pojawił się po zatrudnieniu przez hotel nowego pracownika w kuchni.

Zresztą nie zauważył również, że dwaj grzeczni inżynierowie nie zwrócili mu wszystkiego, co wypożyczyli.

Brakujące kartki nie zawędrowały daleko. Zaledwie do sąsiedniego pokoju. W czasie gdy Tesla zwijał się z bólu na łóżku, do numeru obok zapukał lekko biuralista Tony z działu obsługi pokoi. Drzwi otworzyły się cicho i Tony wszedł do środka.

- Powinieneś dać mu większą dawkę - powiedział Steven Strand, zamykając za nim drzwi.

Strand był niskim, krępy mężczyzną o jasnych włosach i harmonizującej z nimi cerze. Bez marynarki, która leżała na poręczy krzesła, w spodniach na szelkach, białej koszuli z długimi rękawami i niedbale związanym krawacie pod rozpiętym kołnierzykiem robił wrażenie wyluzowanego.

- Nie mogłem mu dać większej dawki - odparł biuralista obronnym tonem. - Wyczułby wtedy na pewno, że jest coś w mleku.

- Czy to Tony? - dał się słyszeć głos z łazienki.

- Tak, to ja - odrzekł biuralista.

Po chwili w pokoju pojawił się drugi mężczyzna, ubrany podobnie jak Strand, ale wyższy. Erie Hoffman.

- Ten człowiek strasznie cierpi - odezwał się. - Nie podoba mi się to.

- Słuchajcie - powiedział Tony, chodząc nerwowo po pokoju. - Dostaje dokładnie tyle, ile wyliczyło laboratorium. To nie moja wina, że...

- Uspokój się - przerwał mu Hoffman. - Nie mamy do ciebie pretensji.

- Musieliśmy to zrobić - mruknął Strand. - Po prostu musieliśmy - powtórzył.

- Czy ta sprawa jest tego warta? - spytał Tony.

- Owszem, warta - odparł Strand, podchodząc do biurka ustawionego pośrodku pokoju. - Popatrz na to - wskazał na stosik papierów.

Tony spojrział, ale nadal miał niepewną minę. Widok papierów nic mu nie mówił.

- No i co? - zapytał.

- To, że jeśli stary się nie pomylił, w naszych rękach znajdzie się potężna broń, jedna z najstraszliwszych w dziejach świata. To, co mamy, to tylko czubek góry lodowej. Kiedy stary umrze, zgarniemy resztę. Ma to w swoim pokoju.

- Ale dlaczego musimy go zabić? - spytał Tony. - Dlaczego każemy mu tak cierpieć?

- Ponieważ nie miał ochoty dać nam tych materiałów - wyjaśnił Hoffman. - Twierdzi, że jeśli kraj będzie chciał mieć tę broń, zbuduje ją sam, bez postronnej ingerencji. Zagroził nawet zniszczeniem papierów, w razie gdybyśmy mu się sprzeciwili. Nie zdaje sobie sprawy, że rząd...

- A także rządowi dostawcy sprzętu dla wojska - wtrącił Strand.

- A także rządowi dostawcy nie zgodzą się, żeby 86-letni staruch płatał się im po nocy w laboratoriach. Musimy mieć kontrolę nad produkcją.

- I kosztami, jakimi ją obciążycie - zauważył kwaśno Tony. - Obawiacie się, że stary będzie to robił za darmo. I wtedy wasza pierdolona spółka nie dostanie za to ani centa,

prawda?

- Światem rządzą twarde reguły, Tony - powiedział Strand. - Trzeba się z tym pogodzić albo... - uniósł ręce

i wzruszył ramionami, uśmiechając się złowrogo.

W kilka minut później, o 22.45 Nikola Tesla skonał.

Nowy Jork, 12 stycznia 1943

Ponad dwa tysiące ludzi tłoczyło się w ławach i nawie katedry Świętego Jana Bożego. Nikola Tesla był wprawdzie dziwakiem, ale kochano go.

Dwa dni wcześniej burmistrz Nowego Jorku Fiorello LaGuardia wygłosił przed mikrofonem radiowym jego pośmiertną eulogię. Eleanor Roosevelt przesłała rodzinie zmarłego wyrazy szczerego współczucia.

Trzej laureaci Nobla w dziedzinie fizyki - Millikan, Compton i Franek - oświadczyli wspólnie, że Tesla był „jednym z największych umysłów, jakie znał świat, człowiekiem, który utworował drogę wielu ważnym technicznym zdobyczom naszych czasów”.

W pierwszym rzędzie ławek zasiadł członek jugosłowiańskiej misji dyplomatycznej w Nowym Jorku, członek rządu i siostrzeniec Tesli, Sava Kosanović, który wkrótce miał zostać ambasadorem.

W małym, dusznym przygórku nad ołtarzem kulilo się trzech mężczyzn, którzy spowodowali śmierć Tesli. Z wyjątkiem krótkich przerw na sen wszyscy trzej prawie się nie rozstawali w ciągu minionych dni. Teraz śledzili zgromadzony w kościele tłum przez dwa niewielkie otwory w ścianie pomieszczenia.

- Chryste - jęknął Tony — trzeba będzie tygodni, żeby zidentyfikować i wytropić tych wszystkich ludzi.

Wetknął w otwór obiektyw fotoaparatu i nacisnął spust migawki. Poniżej biskup William T. Manning zaczynał właśnie odprawiać po angielsku mszę żałobną.

- Mówię ci, że to ślepa uliczka - powiedział Erick Hoffman.
- Masz pewnie jakiś lepszy pomysł - zmarszczył brwi Strand.
- Stawiam na pana K. - rzucił Hoffman, mając na myśli Kosanovicia.
- Nie szkodzi, że to dyplomata. Warto by z nim pogadać o tym, co zabrał z sejfu. Oskarżyć skurwiela o włamanie albo coś w tym stylu.

W nocy siódmego stycznia zamierzali po zgonie Tesli wejść do jego pokoju i włamać się do zainstalowanego tam sejfu. Udaremniła im to jedna z pokojówek hotelowych, która nie zważając na wywieszkę „Nie przeszkadzać” weszła do numeru i znalazła martwego Teslę. Zadzwoiła zaraz na policję i nie ruszyła się z miejsca do jej przybycia.

Lekarz policyjny H.W. Wembly skonstatował, że przyczyną śmierci był zator tętnicy wieńcowej. „Żadnych podejrzanych okoliczności” napisał w raporcie, nie po raz pierwszy w swojej karierze dając się oszukać. Czas płynął, a Strand, Hoffman i Tony pocili się w przyległym pokoju, wyczekując rozpaczliwie, aż ustanie niekończący się ruch w pokoju Tesli. Nie nastąpiło to jednak nawet po zabranii ciała do zakładu pogrzebowego Franka D. Campbella przy Madison Avenue. Ktoś zawiadomił Kosanovicia, który przyjechał ze ślusarzem, kazał mu otwo-

rzyć sejf i zabrał jego zawartość. A wkrótce po odejździe Kosanowicia zjawili się agenci FBI.

- Ciekaw jestem, kto u diabła wezwał federalnych - burknął Strand. - Co za cholerny burdel. Najpierw FBI, a potem

przekazują rzeczy Tesli do Biura Własności Obcokrajowców. Przecież był obywatelem amerykańskim. Co BWO ma z tym wspólnego?

- Może na coś wpadli? - mruknął Hoffman. - Może ktoś się pokapował, o co nam chodzi?

- E, tam - zachnął się Strand. - Raczej panom urzędnikom jak zwykle coś się popieprzyło we łbach.

Tony milczał, pstrykając zdjęcie za zdjęciem. Z dołu dobiegało ich monotonne zawołanie biskupa Manninga.

- Przynajmniej dobraliśmy się pierwsi do magazynu - odezwał się Hoffman po chwili. - Nie do pojęcia, ile tam było kłopotów.

- Mnie to mówisz? - rzekł ponuro Strand.

Większość czasu przez ostatnie trzy dni spędzili w kurzu i zaduchu poddasza manhattańskiej firmy składowej, przekopując się przez zwiezione tam w przeszło osiemdziesięciu skrzyniach i kufrach dobytek Tesli.

- Przeczyliśmy coś - powiedział Hoffman z troską w głosie. - Jestem pewny, żeśmy coś przeoczyli.

- Jasne, że tak - odparł Strand. - Zawsze się coś przeoczy. Nikt nie strzela samych dziesiątek. Ale jestem pewien, że nie było tam tego, czego szukaliśmy. Tego nie przeoczyliśmy. Ktoś inny położył na tym łapę. Na pewno ten cholerny Kosanović. To on, jak dwa i dwa cztery.

Tony nie przestawał klikać aparatem. Nabożeństwo tymczasem zmieniło nieco charakter. Wielebny Duszan Sukletović zaczął przemawiać po serbsku.

- Nie żałuje mu pochwał - stwierdził cicho Strand.

- Nie wiedziałem, że znasz serbski - zdziwił się Hoffman.

- Nie wiesz o mnie wielu rzeczy - powiedział Strand.

- Bardzo wielu.

Ton jego głosu sprawił, że Hoffmana przeszły ciarki.

Msza dobiegła końca i katedra wypełniła się przytłumionym gwarem charakterystycznym dla sunącej jednocześnie ku wyjściu z kościoła gromady ludzi.

- Trzeba się stąd wynosić - oświadczył Tony. - Nie czuję już kolan.

-Świetny pomysł - zgodził się Strand - ale przedtem chciałbym wam coś pokazać.

Sięgnąwszy głęboko do kieszeni spodni, wyjął z niej małą fiolkę. Tony i Hoffman nachylili z ciekawością głowv. W półmroku trudno było się zrazu zorientować, co to jest; pierwszy Hoffman pojął, co ma przed oczyma, i szarpnąwszy się do tyłu, pełzył pospiesznie na czworakach po nieheblowanych deskach podłogi w kierunku włazu stryszka.

- Cholera, nie! - wrzasnął. - Nie chcę, nie chcę!

Tony spojrział na niego ze zdziwieniem, po czym usłyszał syk dobywający się z fiolki. W ciasnocie pomieszczenia powietrze momentalnie wypełniło się zapachem migdałów. Tony runął bezwładnie w ułamek sekundy przed Hoffmanem. Ten zdołał przez moment zacisnąć palce na uchwycie włazu, po czym padł bez ruchu na twarz.

Strand przeszukał metodycznie obu mężczyzn, wziął ich dokumenty, zabrał aparat fotograficzny Tony'ego i przeczołgał się ponad zwłokami swych ofiar ku klapie włazu. Substancją rozsiewającą woń migdałów był naturalnie kwas pruski. Zatrzymuje on natychmiast akcję serca, chyba że ktoś - tak jak Strand - zażyje uprzednio antidotum.

- Widzisz, Hoffman - powiedział Strand obojętnym tonem - naprawdę nie wiedziałeś o mnie mnóstwa rzeczy.

Rozdział 2

W górach Shenandoah, Wirginia 17 listopada 1947

W grupie kanadyjskich świerków usadowiła się wygodnie zwyczajna chatka z grubych bali. Z kamiennego komina unosił się kędzior białego dymu i wirował pośród płatków śniegu, prószonego lekko w zapadającym zmierzchu. Wokół chaty widniały wciąż pod cienką warstewką śniegu ślady opon ośmiu samochodów różnych marek — od rolls-royce'a silver shadow po oliwkowego chevroleta z oznakami przynależności do wojska i seryjnymi numerami na bokach karoserii.

Wewnątrz domku przy gi ubo ciosanym, dębowym stole siedziało ośmiu mężczyzn. Ośmiu ludzi mających potężne wpływy. Przybyli tu na wezwanie swego przywódcy, który nosił kryptonim Diament. Pozostali też mieli nadane im przez niego kryptonimy.

Diament szefował spółce, która zarobiła miliardy dolarów na dostawach broni, służącej do pokonania państw Osi. Oprócz niego przy stole siedzieli: Korund, Nefryt, Onyks, Malachit, Obsydian, Beryl i Topaz.

Korund należał do grupki młodych jastrzębi w ekipie „trustu mózgow” Roosevelta. Nefryt był bankierem, finansowym potentatem na skalę międzynarodową. Onyks podczas II wojny światowej robił praktyczny użytek z broni produkowanej przez spółkę Diamenta. Wojna uczyniła go najmłodszym generałem w amerykańskich siłach zbrojnych. Obsydian był fizykiem, głównym trybem w mechanizmie Projektu Manhattan, powołanym do budowy bomby atomowej. Beryl pełnił funkcję dyrektora do spraw badań naukowych i rozwoju w drugiej co do wielkości firmie zajmującej się w latach wojny dostawą wyposażenia bojowego dla wojska. Malachit był założycielem i prezesem kompanii, w której pracował Beryl; Topaz wreszcie miał opinię wschodzącej gwiazdy w największym koncernie naftowym Ameryki.

- Sądzę, moi panowie - zagaił obrady Diament, przenosząc kolejno wzrok na poszczególnych słuchaczy - że to, co dziś postanowimy, będzie miało rozstrzygające znaczenie dla utrwalenia pozycji Stanów Zjednoczonych jako opoki wolności w świecie Zachodu. Jest jasne, że obecne władze

państwa nie mają ani dość ikry, ani przenikliwości potrzebnej do powstrzymania generalissimusa Stalina i jego sojuszników od zrobienia z nas rąbanki.

Poprosiłem was o przybycie tutaj, ponieważ wszyscy opowiadaliście się publicznie za kontynuacją mocnej obrony narodowej. Społeczeństwo jest znużone wojną. Nie jesteśmy z natury militarystami, toteż trudno jest przekonać opinię publiczną do idei tworzenia silnej struktury wojskowej w czasie pokoju.

Wchodzimy jednakże w wyjątkową epokę, epokę, w której wojny toczone będą do śmiertelnego wykrwawienia, wygrywane albo przegrywane w sposób totalny - tu Diament przerwał i spojrzał na Onyksa, który posępnym skinieniem wyraził swoją aprobatę.

- Uważam, że z upływem czasu będzie coraz trudniej zyskiwać poparcie społeczne, a co za tym idzie także i Kongresu, dla wydatków na niezbędne zbrojenie kraju. Mówiąc wprost, wkraczamy w okres, kiedy naród i Kongres nie okażą się na tyle przenikliwi, by powziąć te rozumne decyzje.

Nasz kochany system demokratyczny po prostu nie jest w stanie zapewnić państwu należytej siły.

Przez izbę przeszedł zgodny szmer uznania. Diament urwał i popatrzył ponad głowami zebranych na błyszczące za szklanymi szybkami drzwi dalekie światła miasteczka Front Royal. Przed laty, będąc jeszcze chłopcem, pomagał ojcu zbudować z drewnianych bali ten domek. Piłował je, ociosywał, dopasowywał do siebie, zatykał szpary między nimi, by wiatr -jak i w tej chwili - miotał się bezsilnie na dworze. Wszystko tu wokół było dziełem rąk ojca i jego własnych - kamienny kominek, każdy mebel, nie wyłączając masywnego stołu, wokół którego teraz siedzieli.

Czasem myślał, że Ameryka jest dla niego czymś w rodzaju tej chaty. Przez lata w pocie czoła pomagał innym w jej budowie, produkując broń i sprzęt niezbędne do zwyciężenia nieprzyjaciół. Był dumny ze swojej ojczyzny i dumny z roli, jaką przypadło mu wykonywać w jej obronie. I prędzej szlag go trafi niż miałby pozwolić zgrai zasrańców bez charakteru wydać kraj na łup komunistów. Stracił syna w walkach o Iwojimą, a teraz miłujący pokój politycy chcą puścić w niepamięć tę krew przelaną przez niego oraz przez miliony innych i zaprzepaścić wszystko to, co tamci osiągnęli w walce o wolny świat.

- Ta bezwolność i brak przezorności wymagają od nas, od odpowiedzialnych obywateli - którzy mamy pewne wpływy - podjęcia pewnych działań zapobiegawczych na wypadek dnia, w którym mogłoby się okazać, że nasz system polityczny nie zdaje egzaminu w najbardziej newralgicznej dziedzinie.

Diament zwrócił wzrok na Onyksa, który tym razem nie miał na sobie munduru z mnóstwem bojowych odznaczeń, ale granatowy bankierski garnitur.

- Generale... Onyks, proszę darować - błysnął zażenowanym uśmiechem - trudno przywyknąć do tych przydomków. Wierzcie mi jednak, panowie, najbliższe lata potwierdzą roztropność posługiwania się nimi. A więc generale Onyks, zechce pan przedstawić swoją propozycję? Onyks - opalony, szczupły mężczyzna, ostrzyżony najeża, skinął głową na znak respektu i podniósł się z miejsca. Siedzący trzy krzesła dalej Malachit poruszył się niespokojnie. On także dostrzegał stałą potrzebę zbrojeń pomimo zakończenia II wojny światowej i dawał temu

wyraz publicznie. Teraz jednak czuł się trochę jak na wstępnym planowaniu puczu wojskowego w jakiejś bananowej republice.

- Uważam - zaczął Onyks - że pan... Diament uchwycił sedno zagadnienia. Problemem jest nasza podstawowa cecha ustrojowa. W przeciwieństwie do monolitycznej struktury decyzyjnej, jaka panuje na Kremle, nasz sektor obronny jest rozproszony. To często bardzo chaotyczna sieć, którą tworzą dostawcy wojskowi, Kongres, resort obrony wreszcie. Na to wszystko nakładają się opinie publiczne w połączeniu z mediami i zależnie od skuteczności rozmaitych demagogów może stać się tak, że w Kongresie zasiądzie liczna gromada pacyfistów, gotowych wydać cały kraj na pastwę Rosjanom, w zamian za jakieś mgliste obietniczki pokojowe.

- Nasz kompleks obronny cierpi na niedostatek koordynacji - ciągnął Onyks. - Nie istnieje też w tym względzie żadne umocowanie konstytucyjne. Technicznie biorąc, jest to gestia prezydenta, ale obecnie rzecz przerosła możliwości jednego człowieka. Poza tym prezydent, podobnie jak Kongres, poddawany jest presji kaprysów elektoratu.

- Wszyscy tu obecni to ludzie, którym leży na sercu bezpieczeństwo kraju. Wspieraliśmy go w godzinie największego zagrożenia, od czasu gdy uzyskał niepodległość. I w naszych możliwościach leży koordynacja systemu naszej obrony. Dzięki posiadanej wiedzy i z pomocą wiedzy ludzi, na których mamy wpływ, możemy sprawić, że naród zawsze będzie mógł się skutecznie obronić.

W chatce zapadła miękka jak jedwab cisza, mącona tylko przez poszeptywania wiatru za oknami i trzask płonących w kominku polan. Wszystkie oczy zwrócone były na generała Onyksa.

- Szereg zdarzeń będących pokłosiem ostatniej wojny skłoniło nas do starań o to, by nie zaprzestano badań nad rozwojem potencjału militarnego i by przemysł Stanów Zjednoczonych mógł na zawołanie sprostać wyzwaniom niesionym przez wojnę niezależnie od tego, czy będziemy mieli poparcie Kongresu i prezydenta. Co więcej, moim zdaniem, po winniśmy dążyć do tego, by Kongres nie mógł pozbawić na rodu najskuteczniejszych instrumentów obrony. Uważam,

że stać nas na stworzenie sprawnego systemu obronnego.

Okolicznością, jaka kapitalnie sprzyja naszym zamierzeniom, jest ostatnia zmiana sposobu konstruowania kontraktów zawieranych przez rząd ze spółkami, a także wzrastająca poufność, jaka otacza badania na-

ukowe dla celów militarnych. Możemy być za to wdzięczni Projektowi Manhattan. Jeśli chodzi o kontrakty, to rząd coraz częściej stosuje w przypadku projektów badawczych dotyczących broni metodę - koszty plus marża. Pokrywa wszelkie koszty ogólne usługodawcy i przyznaje mu nadto pewien procent profitu. W dodatku, wobec rosnącej coraz bardziej specjalizacji uzbrojenia, wojsko odeszło od konkurencyjnych przetargów na rzecz kontraktów negocjowanych z jednym tylko kontrahentem. W rezultacie połączenia tych dwóch czynników dostawcy mają do czynienia ze złotą żyłą. Koszty bowiem dają się legalnie ukryć w tysiącu rozmaitych lokalizacji, zatem dodatkowe niewidzialne dochody są po prostu wbudowane w ten system. I to właśnie z tego możemy zrobić użytek! Panowie, oto sposób uzyskania funduszy na dalsze rozwojowe badania i produkcję broni, w sytuacji gdy Kongres ich nam nie przyzna. Nikt nie będzie miał wówczas żadnej kontroli nad bronią wyprodukowaną przez nas w tym trybie.

- Wreszcie - konkludował Onyks - wiele możliwości stwarza nam uszczelnienie systemu klasyfikacji. Jak wiecie, jednym z nader istotnych posunięć w procesie utajniania Projektu Manhattan było wprowadzenie zasady „potrzeby dostępu”. Ktoś uprawniony do wglądu w dokumenty z klauzulą „Ściśle tajne” nie ma dostępu do wszystkich dokumentów tak oznaczonych, lecz tylko do tych, które mu są potrzebne do jego zadań. Dzięki temu mogliśmy zatrudniać przy Projekcie Manhattan dziesiątki tysięcy osób na obszarze całego kraju, a jedynie kilkadziesiąt z nich wiedziało, że budują bombę atomową. Reszta zdawała sobie sprawę, że to, co robi, jest tajne, ale nie miała pojęcia dlaczego. Przewiduję, że koncepcja „potrzeby dostępu” będzie stopniowo w miarę upływu lat coraz bardziej usztywniana i rozdrabniana. Rozproszenie projektu na kilkanaście różnych miejsc, uczyni każdą jego fazę fizycznie trudniejszą do kontroli audytorskiej. Mniejsze segmenty łatwiej schować, łatwiej utrzymywać w sekrecie. I jeśli w całej choleryjnej fabryce nikt nie wie, jaki cel jej ostatecznie przyświeca, znacznie trudniej wyślizgują się na zewnątrz jakieś niedyskrecje. Zasadniczo możemy zamaskować nawet największe projekty i to, moi panowie, pozwoli nam zrealizować nasze zamierzenia bez narażania się na postronne wścibstwo. Możemy na dobrą sprawę przeznaczać ogromne środki, jakimi dysponuje wojsko i resort obrony, na własne cele w taki sposób, że nasi klienci nie będą się tego wcale domyślać.

Onyks usiadł i rozejrzył się z wolna po twarzach. Ogólnie dostrzegł w nich akceptację z pewną domieszką niepewności. Jedynie z twarzy przemysłowca o kryptonimie Malachit można było wyczytać wyraźny sprzeciw.

- Przedstawił pan przejrzysto obraz sytuacji - skomplementował Onyksa Diament. - Możemy teraz - zwrócił się do reszty zebranych - przystąpić do dalszego...

- Chciałbym zwrócić uwagę - przerwał mu Malachit - na niezgodność tego wywodu z konstytucją. Wygląda na to, że zawiązujemy intrygę, usurpując sobie uprawnienia zarówno Kongresu, jak i prezydenta. Czyżby pan generał zapomniał, że prezydent jest także zwierzchnikiem sił zbrojnych? Wprost trudno mi uwierzyć w to, co tu usłyszałem.

Malachit odsunął krzesło do tyłu i wyprostował swoje sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów. Był to dystyngowany, siwowłosy dżentelmen o wyrazistych rysach twarzy.

- Jeśli dobrze zrozumiałem pana generała - podjął - to proponuje pan zmwowę armii i przemysłu zbrojeniowego dla potajemnego wysssania pieniędzy, które przeznaczą na konstrukcję broni, nie mającej aprobaty ani Kongresu, ani prezydenta. Myślę, generale - obrzucił Onyksa gniewnym spojrzeniem - że można to określić mianem zdrady. Za coś takiego mógłby pan stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Sądzę, że...

- O, tego już za wiele! - zawołał zapalczywie Topaz, zrywając się z miejsca, z poczerwieniałą twarzą. - Nie musi pan szkalować generała. W tym, co powiedział, jest bardzo wiele racji. Prezydenta wybiera się co cztery lata, Izbę Reprezentantów co dwa, senatorów co sześć. Wszyscy oni muszą cały czas być w biegu i wygadywać najrozmaitsze rzeczy, żeby przypodobać się wyborcom. Gdyby pocięcie na żyłki wszystkich naszych pancerników miało zapewnić politykom sukces w wyborach, przyklasnęliby temu bez wahania. Nie można na nich polegać, jeśli chodzi o siłę obronną państwa. Wystarczy przypomnieć, co zrobili po I wojnie światowej. Wszystko poszło na złom.

- Niemniej twierdzą, że są to zamierzenia nie tylko sprzeczne z konstytucją, ale wręcz nielegalne - upierał się Malachit. - Lepiej zdwoić nasze wysiłki za pomocą tradycyjnego lobbingu.

- Dajże pan spokój! - zareplikował Topaz. - Myśli pan, że kupowanie kongresmanów i senatorów to lepsza metoda? Wcale nie, bo politycy po zainkasowaniu milionów dolarów, tracą pamięć zaraz po wyborach.

Jest to system nie-wydajny, wyrzucanie pieniędzy w błoto. Lepiej by pan...

- Tak czy inaczej nie podoba mi się to - zagrział Malachit — i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Podeszedł do drzwi, zdjął swoje palto zawieszane na porożu wypchanej głowy jelenia i bez słowa pożegnania rozpląnął się w wieczornym mroku.

W chacie zapanowała naładowana elektrycznością cisza. Siedmiu mężczyzn przy stole utkwilo zdziwiony wzrok w drzwiach, za którymi zniknął Malachit. Wzdrygnęli się, gdy po chwili Diament odchrząknął.

- Przepraszam was na moment - powiedział i przeszedł do drugiej izby, zamykając za sobą drzwi. Pojawił się zaraz z powrotem po odbyciu krótkiej rozmowy telefonicznej. Uśmiechnął się uspokajająco na widok wpatrzonych w niego badawczo sześciu par oczu i zajął swoje miejsce przy stole.

Tymczasem Malachit, czyli Peter Fleming, twórca zakładów Fleming Industries, największy producent sprzętu radiowego i radarowego na potrzeby wojska, jechał powoli po nierównej drodze w kierunku swego domu na ekskluzywnym waszyngtońskim przedmieściu Chevy Chase w stanie Maryland. Wolałby, żeby prowadził jego kierowca, ale ten stary bałwan Liam FitzGerald nalegał, żeby stawić się na zebranie bez jakiegokolwiek asysty.

Skrecało go ze złości. Kryptonimy! Tajemna broń! FitzGerald musiał postradać zmysły. Przecież to zdrada. W czystej postaci. Fleming nie miał zamiaru przykładać do tego ręki. Malachit! - prychnął wzgardliwie. Co ten FitzGerald kombinuje?

Jazda krętą dwupasmową drogą stawała się niepokojąco trudna. Padał coraz gęstszy śnieg, który migocąc psychodelicznie w blasku reflektorów, przyprawiał Fleminga o zawrót głowy. Włączył krótkie światła, ale to niewiele pomogło. Zaklął pod nosem. Nie cierpiał prowadzić auta.

Najchętniej potraktowałby koncepcje FitzGeralda jako mrzonki bogatego starca, owładniętego pragnieniem władzy. Ale FitzGerald to bez wątpienia jeden z najpotężniejszych ludzi w Ameryce. A ci, których do siebie przyciągnął, dorównywali mu bądź bogactwem, bądź zasięgiem władzy czy wpływów albo pod wszystkimi trzema względami. A sama idea była kusząca. Rządzenie krajem jest coraz bardziej skomplikowa-

ne, nazbyt uzależnione od socjotechniki i od konieczności podejmowania natychmiastowych decyzji, by powierzać je wyborcom i to najczęściej niedoinformowanym, skłonny kierować się raczej emocjami niż rozsądkiem.

Fleming wierzył w status quo, ale uwierała go ta myśl. Czasy się zmieniały, zmieniał się świat. Być może nadchodzi pora na jakieś modyfikacje w mechanizmie demokracji. Trapiło go to, że może jednak racja jest po stronie FitzGerala, że należałoby uciec się do pewnego podstępu, mając na uwadze najlepiej pojęty interes amerykańskiego narodu.

Bijąc się ciągle z myślami, zauważył we wstecznym lusterku światła jadącego za nim samochodu, który niespodziewanie ostro przyspieszył i wyprzedził Fleminga na pełnej szybkości tuż przed ostrym wirażem.

„Przeklęty głupiec” zaklął na głos Fleming, zwalniając przed wejściem w zakręt. Po co ta wariacka brawura. Był przekonany, że po kilku kilometrach tamten wyląduje w rowie.

Wróciwszy do poprzednich rozważań, doszedł do wniosku, że trzeba jednak zaufać demokracji, że Amerykanie potrafią podejmować słuszne decyzje równie często jak dyktatorzy, a kto wie czy nawet nie częściej. Nie sądził, że trzeba podważać istniejący system. W każdym razie jeszcze nie teraz, wymagałoby to skomasowania mnóstwa diabelnie silnych argumentów.

Wyluzowany skoncentrował się mocniej na prowadzeniu Packarda. Gniew i niepokój prawie go opuściły. Nagle po wyjściu z zakrętu dojrzał nieopodal na poboczu tylne światła samochodowe. Obok auta stał mężczyzna, wymachując latarką. To był ten sam samochód, który dopiero co wyprzedzał go tak ryzykancko. „Przepowiedziałem ci to, cholerny cymbale” - pomyślał, przyhamowując. Pewnie zabrakło mu benzyny, wysuszył bak tą wariacką prędkością.

Zjechał z drogi i zatrzymał się. Człowiek z latarką, mężczyzna około czterdziestki, podszedł z uśmiechem do Fleminga, który opuścił szybę.

- Dzięki za zatrzymanie się - powiedział.

Fleming popatrzył na niego i przymierzał się do dania mu reprimendy za nieostrożność, gdy zauważył, że ten przestał się nagle uśmiechać i sięgnął do bocznej kieszeni parki. Wyjął z niej rewolwer i Fleming spostrzegł to za późno.

Zdażył jeszcze zobaczyć błysk po pierwszym strzale i zmrużyć odruchowo powieki. Pocisk zmiażdżył mu prawe oko i rozbił znaczną część lewej strony czaszki. Drugiego strzału już nie słyszał.

Rozdział 3

Morze Północne, 15 grudnia, 40 lat później

Lotniskowiec John F. Kennedy pruł zimne, zielone fale Morza Północnego, zataczając szeroki krąg o pięćdziesiąt mil na wschód od leżącego na polderze holenderskiego miasta Leeuwarden. Z oddali napływały nad ląd szare sztormowe chmury podobne do granitowych gór. Morze Północne nigdy nie jest szczególnie gościnne, a już na pewno nie w grudniu.

- Po co mnie tu wyciągnąłeś? - spytał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, szcękając zębami, jako że nie miał na sobie nic ciepłego.

- Każę ci przynieść parkę - odpowiedział spokojnie drugi mężczyzna, równie wysoki, o wzroście ponad metr osiemdziesiąt.

- Nie chcę żadnej parki - odrzekł pierwszy mężczyzna drżącym z zimna głosem, siląc się, by nadać mu stanowcze brzmienie. - Chcę wiedzieć, dlaczego muszę tu sterczeć.

- Zaraz zobaczysz. Trochę cierpliwości.

Pierwszy mężczyzna przytupywał z zimna na metalowej obudowie mostka nad pokładem startowym. Poniżej, w lodowatych podmuchach wichury, załogi szykowały do startu dwa myśliwce F-16. Z katapulty wydostał się obłoczek pary, ale wiatr zaraz go rozpędził. Wiało z prędkością trzydziestu węzłów i zanosilo się na więcej, bo nadchodziła burza.

Pierwszy mężczyzna, który nazywał się Bogdan Subasić, przeklinał swego szefa, który nie pozwalał mu schronić się pod pokładem i pluć sobie w brodzie, że nie ubrał się ciepiej.

- Przez to zimno stajesz się mało przyjemny, Bogie - przekrzykiwał wiatr Don Reese. - Dlaczego nie chcesz nałożyć czegoś na siebie? Spędzimy tu jeszcze trochę czasu.

Bogdan milczał, więc Don poprosił przez interkom o parkę. Pracowali razem od lat i Reese znał humory partnera.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie mówisz mi, o co chodzi - odezwał się Bogdan, patrząc w dół, gdzie sztyletonosy F-16 zajmował pozycję startową na katapulcie.

- Dlatego, że sam jeszcze tego nie wiem.

Bogdan spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Pieprzysz, Don - odparł. - To do ciebie niepodobne. Zawsze...

- Weź na wstrzymanie — Reese złączył przed nim dłonie błagalnym gestem. - Miałem cię tylko przyprowadzić na pokład, żebyś popatrzył na to, co będzie robił Jay Fleming, i zaznajomił się z tym, czym się będziesz obecnie zajmował.

- Ale ty, jako oficer kierunkowy...

- Tym razem to coś innego - powiedział Reese niepewnie. - W tym wypadku nie będę twoim oficerem kierunkowym. Ja...

-A kto...

- W ogóle nie będziesz miał tym razem oficera kierunkowego. Raport złożysz bezpośrednio Grahamowi Kingsleyowi.

- Doradcy prezydenta? - Z wrażenia Bogdan przestał przytupywać.

-Właśnie jemu.

F-16, oznaczony czerwono-biało-niebieskimi kółkami Królewskich Sił Powietrznych Holandii, zaryczał silnikami tak głośno, że Reese nie usłyszał komentarza Bogdana. Nagle katapulta skoczyła z wyciem w chmurze pary do przodu. Opuszczając pokład, samolot pochylił lekko nos, po czym skośnie wyprysnął w górę.

Następnie wystartował z pomocą katapulty drugi F-16. Ten był oznakowany amerykańską białą gwiazdą z paskami, a pilotował go Jay Fleming

Od ponad pięciu lat Bogdan na polecenie Kingsleya pomagał wybranej grupie przedstawicieli rządu, przemysłu prywatnego i kompleksu militarnego w zmontowaniu tego projektu.

Wykonywał też szereg na poły fikcyjnych zleceń, wymyślanych przez Kingsleya i przesyłanych przez prezydenta do sekcji Subascia w Wojskowej Agencji Wywiadowczej. Zaplecze mechanizmów Agencji miało dla Bogdana oraz Komitetu kluczowe znaczenie, ale jednocześnie kwestią tej samej wagi było to, aby nikt w Agencji nie orientował się,

na czym polega jego zadanie. Sporządzał sprawozdanie tylko dla Reese'a i drugie dla Kingsleya.

Teraz potrzebny im był ktoś o nieskazitelnej reputacji, bez cienia powiązań ze służbami wywiadowczymi, o świetnej znajomości praw fizyki, wysokim poziomie intelektualnym i absolutnie sprawny fizycznie.

W ciągu dwóch ostatnich lat Subasić rozpatrzył tysiące kandydatur. Nazwisko Fleminga pojawiało się stale w komputerze obok dwunastu innych. Bogdan był zdumiony zasobem wiedzy komputera w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, zwanego Wielkim Bratem. Miał do niego stosunek niejednoznaczny. Zdawał sobie sprawę, że gdyby amerykańska opinia publiczna wiedziała, jak szczegółowo Agencja wnika w prywatne życie obywateli, podniosłaby się wrzawa wstrząsająca gmachem państwa, aż do fundamentów. Z jednej strony te informacje były bardzo przydatne, nie mógł jednak wyświetlić na ekranie monitora tego, co Wielki Brat wiedział o nim samym. Zupełnie mu się to nie podobało.

Z dwunastu nazwisk dostarczonych przez Wielkiego Brata Bogdan wykreślił osiem, kierując się własną obserwacją ich właścicieli. Świadomość zdobycia informacji, których nie było w komputerze, poprawiała mu przyjemnie poczucie własnej wartości.

Po analizie danych i obserwacji czterech głównych kandydatów przedstawił Komitetowi trzy nazwiska. Fleming figurował na czele tej listy.

Myśl, że Komitet zaakceptował jego wybór, pokrzepiała teraz Bogdana, pomagając mu znosić dokuczliwe porywy wiatru, który szarpał na nim ubranie i targał włosy.

Obserwowanie lotu Fleminga nie było mu wcale potrzebne, wiedział o nim wszystko, co chciał wiedzieć. Pokaz był na użytek Reese'a. Ktoś mu powiedział, że życie Fleminga jest w niebezpieczeństwie, bo Rosjanie zagięli na niego parol po wyprodukowaniu ostatniego urządzenia przez jego firmę. Może to i prawda, myślał, że życie Fleminga wisi na włosku, ale bynajmniej nie dlatego, iż polują na niego Rosjanie.

Groźba raczej przesadzona.

Jay Fleming był wnukiem Petera Fleminga, twórcy Fleming Industries. Przystojny, niezbyt wysoki (trochę ponad metr siedemdziesiąt), ale muskularny, barczysty jak zapaśnik. Ukończył fizykę na Uniwersytecie Cornella, pilotował myśliwce w Marynarce Wojennej, pracował w dziale lotnictwa zakładów Fleminga w Santa Monica w stanie Kalifor-

nii. Wszedł tam w ostry spór z prezesem zarządu spółki, ale nie udało mu się go wysadzić z siodła, i zrezygnował z pracy mimo posiadania siedemnastu procent akcji przedsiębiorstwa. Założył następnie ECM Inc., niewielką spółkę specjalizującą się w elektronicznych urządzeniach do zakłócania radarów, mylenia samolotów i pocisków rakietowych i w ogóle do wszelkich tego typu przeciwdziałań, udaremniających atak nieprzyjaciela.

Przyniosło mu to ogromny sukces. Każdy samolot w amerykańskich siłach zbrojnych wyposażony był w jakieś urządzenie pochodzące z ECM. Dzisiaj Fleming miał zademonstrować Holendrom działanie najnowszego produktu firmy. Siedząc w nieuzbrojonej maszynie, wyposażonej w nowe urządzenie antyrakietowe, pozwoli holenderskiemu pilotowi ostrzelać się pociskami rakietowymi powie trze-powietrze typu Phoenix, Sparrow i Sidewinder. Dowództwo holenderskiego lotnictwa zobowiązało Fleminga, by nie stosował w powietrzu uników, przyrzekając jednocześnie, że jeśli wyjdzie z tej próby bez szwanku, to zainstalują we wszystkich wojskowych samolotach wyrzutnie ECM. Byłby I o kontrakt o wartości miliarda dolarów.

Bogdan nie miał najmniejszych wątpliwości co do powodzenia testu.

Steward przyniósł mu parkę, taką samą, jaką miał na sobie Reese, i Bogdan przyjął ją z wdzięcznością; zgodziłby się nałożyć ją znacznie wcześniej, ale specjalnie udawał złość, nie chcąc się zdradzić, że wiedział, dlaczego Reese chciał go mieć obok siebie na pokładzie.

Odwróciwszy się, spojrzął na grube ryby zebrane w oszklonej części mostka kontroli lotu. W dole, na pokładzie startowym, mechanicy, obsługa katapulty, służba uzbrojenia i cały pozostały personel - wszyscy na rozstawionych szeroko nogach dla zachowania równowagi śledzili z podniesionymi głowami lot obu myśliwców. Wyglądali przy tym trochę jak ta część publiczności corridy, która zasiada na trybunach z nadzieją, że zwycięży byk.

Ponad nimi przetaczał się grzmot silników odrzutowców, śmigających tam i z powrotem w oczekiwaniu na sygnał do rozpoczęcia próby. Z głębi niosących burzę chmur wyrwały się ogromne zygzaki błyskawic, oświetlając atramentową czerń horyzontu. Nagle obie maszyny wyrównały lot do identycznej wysokości, Fleming leciał pierwszy.

Na oczach podnieconych widzów na okręcie holenderski F-16 odpalił po kolei sześć rakiet, po czym oddalił się szybko, by uniknąć wstecz-

nego rażenia w razie wadliwego działania pocisku. Bogdan widział wyraźnie smugi gazów za raketami mknącymi ku maszynie Fleminga. Po chwili dwie z nich równie szybko, jak zostały wystrzelone, wybuchły niczym fajerwerki. W kilka sekund później następane dwie zanurkowały raptownie ku morzu.

F-16 Fleminga nie zmienił ani prędkości, ani pułapu, czekając na ostatnią parę rakiet. O kilka długości maszyny za jej ogonem straciły impet i tak samo jak dwie poprzednie spadły bezsilnie w toń Morza Północnego.

Na pokładzie startowym wybuchła wielka owacja. Jeszcze raz Fleming odniósł błyskotliwy sukces.

- Dlaczego, do jasnej cholery, ten facet tak igra z życiem? - odezwał się w końcu Reese. - Czy to się opłaca nawet dla miliarda dolarów?

- Jest po prostu stuknięty - obrzucił go spojrzeniem Subasić. - Tak samo, jak ty i ja.

Ale Bogdan wiedział, że Fleming wcale nie jest szalony. I to, co robi, nie ma nic wspólnego z hazardem. Dlatego właśnie nadawał się idealnie do wykonania zadania, jakie go czekało.

Pułkownik lotnictwa Martin Wayne Copeland zaciskał niespokojnie dłonie na poręczach wysokiego, skórzanego fotela w biurowej poczekalni generała Jerry'ego Pattersona. Był tam sam.

Spojrzał na swój kwarcowy zegarek marki Seiko. Wskazywał 6.31 po południu. Umówiony był na 6.30, ale czekał już prawie od pół godziny. Już o 5.30 wyjechał z Międzyrządowego Ośrodka Synoptycznego w San Diego, w którym był zatrudniony. Droga do biura generała usytuowanego niedaleko Lindbergh Field zabierała zwykle nie więcej niż pół godziny, ale Copeland wziął dużą poprawkę na korki w porze szczytu, których jednak tym razem nie było. Żałował, że nie zabrał nic do czytania. Miał nadzieję, że się nie zawiedzie, licząc na znaną powszechnie punktualność generała. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła utrzymać w sobie tę palącą mu trzewia wiadomość. Miał wrażenie, że wkrótce eksploduje.

Na ścianach pokoju aż po sufit ciągnęły się półki z książkami. Obita skórą kanapa, orientalne dywaniki, ciemna posadzka, ciemna boazeria, meble z czarnego drewna - całe i o wnętrzu było Copelandowi znajome, przychodził tu wiele razy, ale nigdy nie czuł się tutaj swobodnie mimo

tej charakteryzacji na przytulny londyński klub dla panów. Zapach skóry, aromat kubańskich cygar, szmuglowanych dzięki międzynarodowym koneksjom lotników, szlachetne drewno -wszystko to przypominało mu tylko niełaskę, w jaką popadł.

Miał czterdzieści osiem lat i osiem razy pomijano go przy awansach na generała. Inni w jego sytuacji odeszli do cywila. Większość jego kolegów z Wojskowej Akademii Lotniczej miała już stopnie generalskie albo przzerzuciła się na intratny biznes.

„Dlaczego nie chcesz zrozumieć aluzji?” - pytali go przy drinku. - „Poza wojskiem zarobisz dużo więcej”. Copeland nigdy nie wiedział, co ma im odpowiedzieć. Jest dobrym oficerem. Potwierdza to jego dossier. Był dwukrotnie odznaczony Lotniczym Krzyżem Walecznych za dwie bojowe tury w Wietnamie. Miał tyle pochwał, że mógłby sobie nimi wytapetować gabinet. Za wszystko - poczynając od odwagi, aż do wzorowej służby przekraczającej zakres obowiązków. I zasłużył na to, nie były to gówniane świstki papieru bez pokrycia.

Poruszył się niespokojnie i zerknął znów na zegarek. 6.32. Owszem, nie lizał nikomu dupy. Mówił to, co myślał. Postępował tak, jak uważał za słuszne, nie kierując się osobistą korzyścią. I dlatego był najstarszym ze znanych mu pułkowników.

Ostatnim razem, kiedy go znów pominięto przy promocjach, zignorował sugestię przejścia na wcześniejszą emeryturę, wskutek czego upchnęli go w San Diego w południowej Kalifornii. Nie miał nic przeciwko samemu miastu. Bardzo je nawet lubił, jednak z trudem mógł uznać, że robi coś pożytecznego, niańcząc smarkatą grupę urzędasów i korporacyjnych baronów. Międzyrządowy Ośrodek Synoptyczny był dziwną zbieraniną ludzi z prywatnych korporacji i agend rządowych przypisanych do projektu, który z założenia miał pozostać tajny.

Kiedy mu zaoferowano tę pracę, Copeland nie miał zielonego pojęcia o sprawach bezpieczeństwa. Jego specjalnością była mobilność taktyczna w strategii dowodzenia. Ale propozycja miała charakter ultimatum, więc ją przyjął. Brak mu było tylko dwóch lat do pełnego wieku emerytalnego, lecz energia, z jaką rzucił się do roboty, dorównywała zapałowi, z jakim kiedyś strącał rosyjskie migi pod niebem Azji Południowo-Wschodniej. I wierząc się teraz niecierpliwie w fotelu, był świadom, że tego pogodnego grudniowego popołudnia, niecałe dwa ty-

godnie przed Bożym Narodzeniem, rzucić być może na szalę całą swoją karierę.

O 6.33 otworzyły się podwójne orzechowe drzwi i generał Jerry Patterson wtargnął do poczekalni.

- Martin - uśmiechnął się szeroko, wyciągając dłoń. - Jak się, u diabła, miewasz?

Falsz tego powitania sprawił, że Copeland wzdrygnął się wewnętrznie. Nie przepadali za sobą z Pattersonem, ale generał jako wytrawny polityk zawsze się uśmiechał, wbijając komuś nóż w plecy.

- Miewam się świetnie, generale - odparł, zastanawiając się, czy zaśalutować, czy przyjąć uścisk generalskiej dłoni. Zdecydował się wreszcie na to drugie. Był to energiczny, wy-trenowany uścisk, nie za mocny i niezbyt miękki.

- Proszę, niech pan wejdzie - generał odstepił na bok z teatralnym gestem. - Proszę wejść. Dopiero co rozmawialiśmy o panu.

- My? - wykrztusił Copeland, czując mróz w kościach. - Ale przecież... Rozmawiając z sekretarką pana generała, prosiłem o...

- Tak, tak, oczywiście - generał wjechał w zająknięcie się Copelanda. - Czytałem też tę zagadkową notatkę, jaką mi pan przysłał. Muszę przyznać, że jest dość tajemnicza... Zgadzam się jednak, że należy zacieśnić kontrolę obiegu informacji. Na pewno rysuje się tu problem. Na pewno. Ale nie widzę gwałtownej potrzeby zwoływania jakiejś pokątnej narady. W gruncie rzeczy, im więcej głów, tym większe szanse znalezienia najlepszego wyjścia z impasu. O to panu chodzi, prawda? - generał spojrzał na Copelanda wzrokiem, w którym czaiło się wyzwanie. Patterson zawsze był gotów do zwady. „Nie zrobię mu dzisiaj tej przyjemności” - pomyślał Copeland.

- Oczywiście, panie generale - powiedział głośno. - Wszystkim nam na tym, zależy. Mogę zapytać, kogo pan włącza do naszej rozmowy?

- Jasne, że tak - odparł generał z doskonale znanym Copelandowi uśmiechem triumfu. - Właściwie, to już zanim otrzymałem tę pana notatkę, byłem umówiony w podobnej sprawie ze Stevenem Strandem. Jest właśnie tutaj i spodziewa się nas. Nie dajmy mu czekać, dobrze?

Copeland poczuł narastający w nim gniew. Strand, jako dyrektor projektu opracowywanego przez Międzyrządowy ośrodek Synoptyczny, nadużywał swego stanowiska i to, co Copeland zamierzał generałowi powiedzieć, miało z tym ścisły związek. Będąc cywilem Strand nie miał

žadnej władzy nad Copelandem, jednakże Patterson i Strand szli ręką w rękę, a rzeczy, które Copeland chciał ujawnić, będą trudne do przełknięcia nawet dla samego generała. Wzbierała w nim ochota, żeby trzasnąć Pattersona w tę jego fotogeniczną facjatę i wyjść, ale opanował się. W grę wchodziły ważniejsze sprawy aniżeli duma i kariera byłego pilota wojskowego w stopniu pułkownika. Wziął się w garść i wszedł do biura. Czuł się trochę jak skazaniec, któremu wolno poprosić o ostatniego papierosa. Był jednak niepalący.

Rozdział 4

Waszyngton, 15 grudnia

Prezydent stał sztywno, skoncentrowany, z głową pochyloną jak do modlitwy. Gęsta srebrnoszara czupryna opadła mu na czoło. Odetchnął głęboko, wstrzymał oddech na długą chwilę, wypuścił powietrze z płuc i... chybił z odległości pół metra.

- Pewnie mi tego nie uznasz? - zwrócił się do swego partnera Marshalla Dodda.

Dodd był najbliższym doradcą prezydenta, jego rola nie była określona w konstytucji, ale podobnie jak wszyscy doradcy poprzednich prezydentów cieszył się jego zaufaniem i szacunkiem. I dość często był autorem prezydenckich decyzji.

Studiowali obaj na uniwersytecie Yale, gnieźdząc się razem w ciasnym, obskurnym mieszkanku w New Haven. Dodd kierował jego pierwszą kampanią wyborczą na prezesa organizacji studenckiej i wszystkimi następnymi kampaniami. Zawsze był u boku przyjaciela - po jego wejściu do Izby Reprezentantów, gdy został senatorem i teraz w Białym Domu. Był surowym facetem, określano go niekiedy jako doktrynera. Nie można mu było przypisać poczucia humoru.

Patrzył, jak uderzona przez prezydenta piłeczka zatrzymała się o kilkanaście centymetrów za dołkiem. Po zadanym mu pytaniu namyślał się, jakby chodziło o pierwszy atak atomowy na Moskwę.

- Z całym szacunkiem dla pana, panie prezydencie...

- Nie pierdziel, Marshall - przerwał mu prezydent. - Zaliczasz mi to uderzenie, czy nie? Po prostu powiedz. Nie jesteś na wiecu przedwyborczym.

Prezydent wyprostował się i wysunawszy wyzywająco podbródek czekał na odpowiedź z na poły gniewnym wyrazem i warzy.

Od czterdziestu lat, od początków ich przyjaźni, nie przestawała go irytować nienaganna układność Dodda. Teraz już ją akceptował, tak samo jak wiele innych nie akceptowalnych rzeczy. Ale westchnął w duchu. Nazywano go koniunkturalistą. Albo wielkim ugodowcem. Niezależnie od tego, co mówiono, wiedział, że wszyscy włącznie z Doddem uważali, iż jest nijaki. Teraz gówny go to już obchodzi, został przecież prezydentem, prawda?

- No więc dobrze - Dodd wykrzywił ciasno wargi w zarys grymasu, który w jego przekonaniu miał oznaczać uśmiech.

- Bez punktu.

- Twardy z ciebie gość, Marshall, bardzo twardy.

Dodd rozpromienił się, demonstrując szeroki uśmiech rodem z repertuaru kampanijnego. Prezydent wbił wreszcie piłeczkę do dołka, po czym, zarzuciwszy na plecy worki z kijami, pomaszzerowali - w dyskretnej asyście agentów ochrony - ku szesnastemu dołkowi pola golfowego klubu Chevy Chase. Przychodzili tu zawsze, ilekroć zachodziła potrzeba przedyskutowania czegoś w absolutnym sekrecie. Prezydent bynajmniej nie przepadał za w golfem, jego zdaniem była to strata czasu. Ale grywał, żeby zrobić przyjemność Doddowi.

Szli w milczeniu przez zieloną połąć krótko skoszonej trawy, mijając przeszkodę z piaskiem. W górze zamruczał, wynurzając się z ławicy obłoków, pasażerski Boeing-767 i łagodnie wytracał wysokość w drodze na płytę National Air-port. Był grudzień, ale słońce świeciło ciepło, rozbijając pasmo szarych deszczowych chmur.

- Panie prezydencie - Dodd zawsze uciekał się do oficjalnych formułek, kiedy miał do zakomunikowania złą wiadomość. - Chyba mogę potwierdzić to, co sygnalizowałem w naszej poprzedniej rozmowie odnośnie wynalazku Tesli. Przykro mi to przyznać, ale ten projekt ostatecznie został stracony.

Prezydent zatrzymał się gwałtownie i zwrócił twarz w stronę Dodda.

- Stracony? - spytał głosem, w którym zdziwienie walczyło o lepsze z zaniepokojeniem. - Nie rozumiem tego. Jak, do ciężkiej cholery, można stracić w całości coś tak piekielnie tajnego? Można stracić zęb trzonowy, można stracić cnotę, niektórzy ludzie tracą panowanie nad sobą,

jak ja teraz, słuchając tego, co mi opowiadasz, ale nie traci się programu badawczego tajnej broni.

- Rozumiem twoją konsternację, ale...

- Jaką, psiakrew, konsternację? Wcale nie jestem skonsternowany. To ty jesteś w kropce. Nie mów mi, że straciliśmy ten projekt. Znajdź go.

- To właśnie próbujemy robić od chwili, kiedy ci powiedziałem o tych kłopotach. Jestem dobrej myśli. Myślę, że wiem, jak go znaleźć.

- Oby ci się powiodło - rzekł prezydent ze złością rzadko okazywaną przyjacielowi. - W końcu to ja dam dupy, a nie ty czy ktokolwiek inny, kiedy Kongres się dowie, że straciliśmy coś o tak kolosalnym znaczeniu. Jak mogło do tego dojść, Marshall? Wciąż nie mieści mi się to w głowie.

- To kwestia systemu utajniania informacji - zaczął ostrożnie Dodd. - Nie ma z tym problemu na niższych szczeblach, gdzie ma do nich ogólny dostęp wielu ludzi. Audytorzy i inni rewidenci mają rzecz dobrze na oku.

- Tak, wiem i tak samo Chińczycy, Rosjanie, Izraelczycy i w ogóle każdy. Tak, tak, ja to wszystko wiem. Powiedz mi jednak po prostu...

- Właśnie usiłuję to wyjaśnić - przerwał desperacko Dodd. - W miarę zacieśniania tajności coraz mniejsza liczba osób jest dopuszczana do konfidencji. Na najwyższym pięttrze tajności - i tam właśnie umieszczony był program Tesli - jedynie trzech-czterech ludzi znało cały sekret planu. Jednym z nich był prezydent Roosevelt, który, jak wiadomo, nie żyje. Nazwisk pozostałej trójki nie znamy.

- Muszą być jakieś dokumenty - prezydent spuścił raptownie z ramienia worek z kijami. - Są archiwa Pentagonu. Jakieś opieczetowane dossier. Gdzieś to musi być. Cokolwiek się dzieje w rządzie, zawsze ciągną się za tym kilometry papierków.

- Absolutnie tak - potwierdził Dodd. - Wiemy, że to jest utrwalone na papierze, ale nie wiadomo, jak się do tego dostać.

- Niby dlaczego?

- W rządowych archiwach nie ma czegoś takiego jak teczka z projektem Tesli. Żadnej dokumentacji, żadnych rejestrów, żadnego śladu. Nic usystematyzowanego.

- W takim razie nie ma problemu - powiedział prezydent. - Może to była tylko plotka, jak zresztą myśleliśmy? - uśmiechnął się z ulgą.

- Niekoniecznie - podjął Dodd. - Projekt istnieje. Tyle że w rozproszonej postaci. Częściowo jako fragment innego zalegalizowanego projektu, częściowo zamaskowany w różnych laboratoriach. Związane z nim badania są nie do odróżnienia od innych konkretnych badań i nie wiemy, które dotyczą projektu Tesli, a które nie mają z nim nic wspólnego.

- Udało się nam jedynie ustalić - ciągnął Dodd - że tu i tam w całym wojskowym i prywatnym przemyśle prowadzone są rozmaite badania nad jakimś projektem finansowanym ze źródeł przydzielonych innym, w zupełności legalnym projektom. Ale badania te są tak ściśle ze sobą powiązane, że trudno cokolwiek udowodnić.

- Daj mi jakiś przykład - poprosił z zakłopotaną miną prezydent.

- Proszę bardzo. Jedno z tych wykrytych przez nas ubocznych przedsięwzięć studyjnych powiązane było z finansowanym przez siły powietrzne programem badania górnych warstw atmosfery ziemskiej, a ściślej radiacyjnych pasów Van Allena.

- Co to takiego?

- Fizyk o nazwisku Van Allen odkrył przed laty, że pole magnetyczne Ziemi przechwytuje wypływające ze Słońca strumienie naładowanych elektrycznością cząstek i przechowuje je w dwóch regionach wysoko ponad globem ziemskim. Są to obszary wysokoenergetyczne, które mogą zakłócać radiokomunikację. Dlatego właśnie lotnictwo zleciło te badania. Jednak równocześnie ten sam zespół naukowców zgromadził mnóstwo danych niepotrzebnych lotnikom.

- Ale przydatnych do wdrożenia wynalazku Tesli?

- Otóż to.

- Niemniej chyba można dość łatwo dotrzeć do ludzi, którzy zamówili te dodatkowe badania, przyszpilić ich i skłonić do wyjawienia miejsca, gdzie się ukrywa ten projekt widmo, po czym skasować go, zanim sępy z Kongresu zdołają się o tym dowiedzieć.

- I ja tak przypuszczałem - powiedział Dodd. - Ale nikt nie ma pojęcia, jak te instrukcje badawcze przeniknęły do głównych wytycznych. Rozmawiałem o tym z młodym rewidentem z Sił Powietrznych i z naukowcami odpowiedzialnymi za projekt.

- No i co?

- Niewiele mi pomogli. Wygląda na to, że instrukcje ekstra badań były przekazywane ustnie.

-Jak to możliwe?

- Pytałem. Zdaje się, że jednego z naukowców odwiedził oficer lotnictwa, wyposażony w odpowiednie zezwolenie i pełnomocnictwo. I zaproponował mu, żeby na marginesie swoich zasadniczych zajęć zebrał trochę więcej danych.

- I tamten się zgodził?

- A jak pan myśli, panie prezydencie?

- Nie tytułuj mnie stale prezydentem. Znamy się od wieków.

- No to podumaj - ciągnął Dodd. - Jesteś naukowcem, którego byt zależy od prac zleczanych przez Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Przychodzi do ciebie oficer wysokiej rangi zaopatrzone we wszelkie niezbędne papierki. Ma certyfikat dostępu do tajnych informacji. I prosi cię o przysługę. Masz do listy swoich badań dołączyć kilka pozycji. Spełnienie tej prośby nie jest bardzo trudne, nie pochłonie wiele czasu, nie będzie dużo kosztować - właściwie dodatkowe koszty zmieszczą się w budżecie. Jeżeli się zgodzisz, to możliwe, że ten oficer pomoże ci w otrzymaniu następnego zamówienia. Nie poszedłbyś mu na rękę? Oficer zna wszystkie szczegóły twojej pracy, wie, jakich wydatków ona wymaga, co planujesz i jak zamierzasz to wykonać. Skoro wie tak dużo, to znaczy, że jest w porządku. Pamiętaj, że ma wszystko w porządku - naszywki, plakietki i papiery. Jakbyś postąpił?

- Zgodziłbym się - odpowiedział prezydent po krótkim zastanowieniu.

- Naturalnie, że tak - stwierdził Dodd.

- Ale zapamiętałbym nazwisko człowieka - dorzucił prezydent. - Skrypt dłużny nic nie znaczy, jeśli nie wiesz, gdzie go zrealizować. Poprosiłbym oficera o jego adres i numer telefonu.

- Ten naukowiec tak zrobił.

- Jak się nazywał oficer?

- Był to pułkownik Edward Barney.

- No to porozmawiajmy z nim.

- Z tym byłby problem.

- Mianowicie?

- Pułkownik Barney zginął w 1984 roku w katastrofie samolotowej u wybrzeży Kalifornii.

Prezydent zamknął oczy jak pod wpływem nagłego bólu.

- Przed swoją rozmową z naukowcem, czy potem? - zapytał.

- Potem.
- Kiedy dokładnie?
- Dwadzieścia minut później.
- Czy tym oficerem mógł być Barney?
- Wykluczone.
- To znaczy, że ktoś, podając się za pułkownika Barneya, posłużył się jego dokumentami, jego...
 - Mundurem i odznakami - wtrącił Dodd.
 - Zjawił się w laboratorium, poprosił naukowca o wyświadczenie mu pewnej przysługi, po czym ulotnił się jak kamfora?
 - Zostało to idealnie zgrane w czasie z ćwiczebnym lotem prawdziwego pułkownika Barneya.
 - Lotem, który zakończył się jego śmiercią?
 - I ślepą uliczką dla nas.

Prezydent podniósł z ziemi swój worek z kijami i zarzucił go sobie na plecy. Ruszyli znów w kierunku szesnastego dołka, a gdy do niego doszli, prezydent wrzucił swoją zabrudzoną piłeczkę do płuczki.

- Tak więc jedyne, co możemy zrobić, to ustalić, kto miał otrzymać wyniki badań, mam rację?

- Było umówione, że naukowiec prześle je pocztą kurierską pod adresem domowym pułkownika Barneya. Nie udało się odnaleźć ani tego kuriera, ani przesyłki - rzekł Dodd.

Prezydent zaklął pod nosem.

- Sytuacje tego typu powtórzyły się wielokrotnie – dodał Dodd. - Grzebiemy stale w komputerach, ale nie jesteśmy w stanie wznawiać śledztwa w sprawie każdego śmiertelnego wypadku podczas ćwiczeń samolotów wojskowych od roku 1943. Poza tym wiele badań naukowych, które mogą ewentualnie posłużyć projektowi Tesli, przeprowadzanych jest na uniwersytetach oraz w prywatnych laboratoriach różnych korporacji. Toteż jest całkowicie możliwe, że niektóre badania zostały zamówione, opłacone i dostarczone zleceniodawcom jawnie, poza systemem tajności. Są tysiące miejsc, gdzie mogły być ukryte. Zbyt wiele, abyśmy zdołali przywoździć kogoś, kto wie, gdzie mieści się laboratorium, w którym wszystkie kamyki mozaiki składane są w całość.

Prezydent wyprostował się i osuszył ręczniczką zamydloną piłeczkę golfową.

- Powiedziałeś przed kilkoma minutami, że wiesz, jak z tego wybrnąć.

- Mam nadzieję, że to wypali - odrzekł z wahaniem Dodd.

- Tylko nie bujaj mnie, człowieku. Wiedz, że jeśli nie dojdziemy z tym do ładu, jeśli jakiś pismak albo ktoś z Kongresu to wyniucha - możemy się pożegnać z wyborem na drugą kadencję. Rozumiesz?

Dodd skinął głową, podczas gdy prezydent szukał w worku swojego ulubionego drewna z wysłużonym mosiężnym licem główki. Następnie stanął nad piłeczką i wykonał próbny zamach.

- Weź porządny zamach - odezwał się Dodd. — Rozluźnij się, musisz się trochę rozgrzać. Weź kilka płynnych zamachów, lewą rękę trzymaj prosto, trocheja zginasz.

Prezydent spiorunował Dodda wzrokiem, ale zastosował się do jego wskazówek.

- Dobrze - powiedział, zbliżając kij do piłeczki przed wzięciem zamachu. - Uruchamiam swój plan i niech ci się uda.

- Mam jutro spotkanie z naszymi najlepszymi ludźmi.

- Dopilnuj tylko, żeby rzecz od razu maksymalnie uszczelnić, nic nie ma prawa wydostać się na zewnątrz.

- Nie ma mowy. Zajmę się tym z pomocą Grahama Kingsleya.

- Świetny gość. Najlepszy zaraz po tobie - powiedział prezydent.

- Wiedziałem, że tak do tego podejdziesz. Powierzę mu całość operacji. Jak on stanie za sterem, powodzenie murowane.

- Obyś miał rację - powiedział prezydent. - Obyś, psiakrew, miał rację - powtórzył, po czym uderzył piłeczkę, która poleciała na skraj alei z przeszkodami, gdzie dwaj ochroniarze, słysząc świst, padli jak dłudzy na ziemię.

-Jasna cholera - mruknął prezydent.

Rozdział 5

Amsterdam, 15 grudnia

Amsterdamskie lotnisko Schiphol tonęło w potokach deszczu. Woda kłębiąca się w ściekach wyglądała w świetle latarń jak roztopiony msiadź. Pasażerowie z ostatnich samolotów, zmordowani, oszołomieni zmianą czasu, półprzytomni po kilku szkockich za dużo na wysokości

dziesięciu tysięcy metrów, polowali na z rzadka przejeżdżające taksówki.

Kroczący przez dworcową halę przylotów Jay Fleming przedstawiał żalosny widok. W przemokniętych na wylot mokasynach chlupała woda, która też spływała mu ciurkiem z włosów na kark. Odczuwał coraz większe zmęczenie, jak zwykle po ustaniu napięcia.

Po podpisaniu kontraktu z Holendrami, wpadł w taki świetny humor, że dał swoim obu pilotom wolny dzień i sam poleciał do Amsterdamu należącym do spółki Golsztrmem. Pozostały jeszcze do załatwienia pewne formalności w pałacu królewskim, ale zasadniczą pracę miał za sobą. Powrót z Leeuwarden był straszny. Sztorm, którego nadejście obserwował po południu z lotniskowca, okazał się wyjątkowo parszywy, nawet jak na Morze Północne. Nie pozwolił mu na moment odpoczynku.

Podkołował Golsztroma do ogólnego terminalu, ale po wyjściu z kabiny miał do pokonania około trzydziestu metrów otwartej przestrzeni. Był szybki i, nawet obciążony aktówką i płócienną torbą podróżną na ramieniu, przebiegł ten dystans w piętnaście sekund, ale to wystarczyło, by przemókł do suchej nitki.

Wełniana granatowa marynarka i luźne szare spodnie Fleminga pachniały niczym stado owiec na hali po wiosennej ulewie. Krawat zwisał luźno jak chomąto spod rozpiętego kołnierzyka żółtej koszuli. Fleming miał szczupłą twarz, ogorzałą podczas żeglowania, które było jego ulubionym sportem. Przenikliwe, niebieskawe zielone oczy były teraz zaczerwienione, zdradzając znużenie.

U podnóża ruchomych schodów Fleming przerzucił torbę na drugie ramię. Mimowolnie spojrzął przy tym w górę i zderzył się ze wzrokiem jakiegoś mężczyzny, wysokiego, dobrze ubranego bruneta, który szybko odwrócił głowę, jakby zakłopotany. Fleming miał wrażenie, że już go gdzieś widział, chyba na lotniskowcu. Zresztą podczas częstych podróży zagranicznych stale się natykał na niby to znajome twarze. Gdyby miał skłonność do ulegania maniom prześladowczym, mógłby podejrzewać, że jest śledzony. Wjechał schodami na górę i skierował się do wyjścia z napisem „Transport publiczny”. Tajemniczy mężczyzna szedł przed nim i skręcił po drodze w boczny korytarz. No i nie ma szpiega.

Fleming przyłączył się do hałaśliwej gromadki pasażerów wypatrujących gorączkowo taksówek i po dziesięciu minutach bezpardonowych przepychanek zdołał dopaść takiej, która była wolna, i dał nura do wnętrza. Powiedział kierowcy po holendersku, jak jechać do hotelu Ambasador i opadł z ulgą na tylne siedzenie auta, lawirującego w tamowanym przez deszcz ruchu ulicznym.

Jego znękany organizm domagał się natarczywie snu, ale wciąż nie mógł oderwać myśli od wydarzeń minionego dnia. Holendrzy z dowództwa Sił Powietrznych byli pod silnym wrażeniem pokazu skuteczności najnowszego urządzenia ECM i zdecydowali, że je zakupią. Potem jednak transakcją zajęli się bankierzy i przedstawiciele finansjery, najtwardsi w świecie, ale i solidni negocjatorzy. Jeśli już dali na coś zgodę, ich słowo było równie pewne, jak śmierć i podatki.

Fleming przymknął powieki, próbując dać trochę odpoczynku udreżonej głowie. Uwielbiał robić interesy z Holendrami, ale zawsze był potem wykończony.

Taksówka nagle przyspieszyła. Fleming otworzył oczy i zorientował się, że już są poza obrębem zatłoczonych okolic lotniska i zmierzają na północny wschód ku betonowej wstędze A-4, wiodącej do Amsterdamu. Opony syczały na mokrej nawierzchni i ten stały jednostajny dźwięk działał na Fleminga usypiająco.

- Nie chciałbym wściubiać nosa w nie swoje sprawy - odezwał się taksówkarz - ale czy podróżuje pan może z eskortą?

Fleming wzdrygnął się nerwowo, senność natychmiast go opuściła.

- Skąd przyszło to panu do głowy? - spytał, spoglądając za siebie, ale tylną szybę zalewały strugi deszczu i widać przez nią było tylko światła reflektorów rozmazujące się w ruchome abstrakcyjne desenie.

- Ktoś stale za nami jedzie, zmienia pasy tak samo jak ja.

- Też taksówka?

- Nie, to chyba mercedes. Sedan, ale na pewno nie taksówka.

Fleming siadł bokiem, żeby mieć lepszy widok, ale prócz świateł niepodobna było cokolwiek dojrzeć.

- Nie - powiedział odwróciwszy się do przodu, ale jego głos nie brzmiał pewnie. - Nikt nie powinien mnie śledzić.

Jestem zwykłym biznesmenem.

Oczywiście, przyznał w duchu, biznesmeni mogą się stać celem porwaczy, zarówno z powodów finansowych, jak i politycznych. To, że

produkował tylko urządzenia służące do obrony, niewiele znaczyło w oczach fanatyków. Dla nich był po prostu podżegaczem wojennym. A ostatnio wzmogły się znacznie nastroje antyamerykańskie. Może upatrzyła go sobie jakaś holenderska frakcja przeciwników Ameryki? Kidnaping też mógł wchodzić w rachubę. Przecież na całym świecie porwa się biznesmenów dla okupu.

Szef ochrony firmy od kilku lat daremnie domagał się od niego przedsięwzięcia specjalnych środków ostrożności. Fleming odmawiał, bo cenił sobie swobodę ruchów. Samotne spacery pod kontrolą goryli, podróże w ich towarzystwie - była to według niego swoista niewola. Wolał ryzyko.

- Jak na Amerykanina mówi pan bardzo dobrze po holendersku - pochwalił go kierowca. - Większość Amerykanów nie zadaje sobie takiego trudu.

- Bardzo lubię Holandię. Często tu przyjeżdżam - wyjaśnił Fleming.

- I zawsze pan mieszka w tym samym hotelu?

- Tak. Czemu pan pyta?

- Pojawiło się ostatnio wielu złych ludzi. Ten kraj nie jest już taki jak dawniej. Biznesmeni bywają często napadani. Na pana miejscu bardzo bym się pilnował.

- Dlaczego pan mi to mówi? - zaniepokoił się Fleming.

- Jestem zawodowym kierowcą i chodzę teraz na taki specjalny kurs szoferki, po którym będę mógł pracować dla jakiejś dużej korporacji. Uczą nas na tym kursie rozmaitych rzeczy. Ostrożności podczas jazdy, sposobów ucieczki, rozpoznawania potencjalnego napastnika, zauważania ogona i tak dalej.

Fleming westchnął i rozparł się wygodnie na siedzeniu kanapki. O mało się nie roześmiał, ale nie chciał urazić kierowcy. Zapewne uczyli go dziś, jak się wykrywa ogony i teraz każdy jadący za nim samochód wydaje mu się podejrzany. Odchylił głowę, żeby się trochę odprężyć. Patrzył leniwie na coraz bliższe światła Amsterdamu. Wyprzedzali inne auta i byli wyprzedzani. W żadnym nie objawili się kidnaperzy.

Taksówkarz zjechał sprawnie z A-4 w Amstelveenseweg. Fleming miał wrażenie, że wraca do domu. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżał, towarzyszyło mu to ciepłe uczucie. Dziwne, ale ze wszystkich miast świata właśnie Amsterdam najmocniej kojarzył mu się z domem.

I rzeczywiście zawsze zatrzymywał się w Ambasadorze. Był to nieduży, bezpretensjonalny i bardzo wygodny hotel w starej części miasta, z oknami na kanał Prinsengracht.

Ruch gęstniał w miarę zbliżania się do starej dzielnicy, zabudowanej wzdłuż kanałów wąskimi, wysmukłymi kamieniczkami. Deszcz prawie ustał, ale wciąż było ślisko, co sprawiało, że najeźdni nadal panował dok, mimo iż dochodziła północ. Żółwim tempem skręcili w Prinsengracht i kiedy prawie przestali się posuwać do przodu, Fleming nie wytrzymał.

- Wysiądę tutaj - powiedział, kładąc kierowcy dłoń na ramieniu. - Nie ma sensu, żeby pan tkwił w tym zatorze.

- Na pewno chce pan wysiąść? - taksówkarz popatrzył z niepokojem na Jaya. - Dla mnie to żaden problem. Nie chciałbym...

- Nie ma zmartwienia - przerwał mujay. - Bardziej już nie zmoknę. A trochę ruchu dobrze mi zrobi. Zresztą idąc, może będę prędzej w hotelu, a chcę się jak najszybciej przebrać w suche rzeczy.

-Ale...

- Nie ma ale - uciał Fleming, podając mu opłatę za przejazd z uwzględnieniem szczodrego napiwku. - Proszę to wziąć. Wsiadam - rzucił lekko poirytowanym tonem. Kierowca był sympatyczny, ale te przestrogi zapożyczone od Jamesa Bonda działały mu na nerwy.

Przystanął na trotuarze, wziął torbę na prawe ramię, aktówkę do ręki i ruszył w kierunku Ambasadora. Gdzieś za nim trzasnęły drzwiczki jakiegoś innego samochodu. Odwrócił się, ale nic nie zauważył, więc poszedł dalej.

Deszcz zredukował się teraz do mżawki, która przydała latarniom świetlną aureolę, wyglądały teraz jak olbrzymie świeczki choinkowe. Cholera, zupełnie zapomniał, że za niecałe dwa tygodnie Boże Narodzenie. Stąpając mocno po nierównym chodniku zastanawiał się posepnie, gdzie je spędzi. Nie ma chyba sensu lecieć do Stanów. Od śmierci rodziców rodzinne zjazdy działały na niego przygnębiająco. Zginęli w wigilię Bożego Narodzenia rozjechani przez pijanego kierowcę o trzy przecznice od swego domu w Syracuse. Szli z wizytą do przyjaciół ze świątecznymi prezentami. Na fotografiach policyjnych widać było porzucane na śniegu wokół ich zwłok pakunki w kolorowym papierze. Nie zawsze dawało się je odróżnić od poplamionych krwią brył śniegu.

Jay służył wtedy w Marynarce Wojennej, stacjonował na lotniskowcu Forrestal stojącym na redzie w Singapurze i zszedł tego wieczoru na ląd. Nigdy sobie tego nie umiał wybaczyć, że podczas gdy bawił się z kolegami w barze, jego rodziców zabił pijany przestępca, zwolniony warunkowo z więzienia. Fleming dowiedział się o tym dopiero po dwóch dniach. Sprawca wypadku zmarł zresztą wkrótce potem na atak serca. Wesołych świąt.

Nie trzeba o tym myśleć. Przystanął i zaczerpnął w płuca haust zimnego powietrza. Przejaśniło mu się w głowie, poczuł przyływ rezerwowej energii. Po dziesięciu minutach marszu zostawił swoją taksówkę daleko w tyle. Za najbliższym mostkiem widoczny już był neon Ambadora. Wtem usłyszał za sobą czyjeś kroki. Zatrzymał się. Kroki ucichły. Fleming odwrócił się i dostrzegł tego samego wysokiego bruneta, który go obserwował ze stopni eskalatora w hali dworcowej lotniska. W każdym razie bardzo go przypominał. Jego sylwetka rysowała się w odległości ponad dwudziestu metrów podświetlana reflektorami nadjeżdżających samochodów.

Serce zaczęło mu walić jak młotem. Czy to naprawdę ten sam mężczyzna? Może mu się tak tylko wydaje wskutek zmęczenia? To ten przeklęty taksówkarz uruchomił w nim tę psychozę. Przyspieszył kroku i kroki za nim też nabrały tempa.

Tłumiąc w sobie ochotę do puszczenia się biegiem, szedł, nasłuchując. Kroki były coraz bliżej. Co powinien zrobić? Czy w ogóle należy reagować? Czułby się głupio, gdyby zaczął uciekać, a nieznajomy okazał się spieszącym do domu okolicznym mieszkańcem. Rozważał konfrontację, ale szybko porzucił ten pomysł. Jeśli tamten istotnie za nim idzie, to może być uzbrojony i wtedy mogłoby się to źle skończyć. Zresztą, co ten człowiek może mu zrobić? Naokoło było mnóstwo ludzi, świadków by nie brakowało. Tyle że jest ciemno, byłoby trudno go zidentyfikować. Fleming znowu zaczął iść szybciej.

Doszedł do rogu, gdzie ulica się lekko wznosiła. Na lewo był kanał spięty wąskim, zatłoczonym mostkiem. Na prawo widniała kiszka przejścia tylko dla pieszych między czteropiętrowymi budynkami, a zaraz potem był inny mostek, przerzucony nad Keizergrachtem. Fleming stanął i odwrócił się. Człowieka z lotniska, teraz Fleming nabrał pewno-

ści, że to on, miał przed sobą nie dalej niż o dwadzieścia metrów. Nieznajomy też stanął i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Coś ty za jeden! - krzyknął Jay i zrzuciwszy z ramienia torbę ruszył w jego kierunku.

- Hej, przyjacielu!

Z półmroku bocznego zaułka wypadło szybko dwóch osiłków i objęło Jaya z obu stron ramionami. Kierowcom w autach na zakorkowanej jezdni mogło się wydawać, że to dwaj kumple witają spotkanego kolegę od kieliszka.

Fleming chciał zawołać o pomoc, ale nie zdążył. Masywna owłosiona dłoń zakneblowała mu usta. Jay miotał się na boki, ale rośli, zwaliści napastnicy po prostu wydzwignęli go w górę i ponieśli do ciemnego pasażu.

-Aktówka! - ktoś zawołał po angielsku. - I torba też.

Z pasażu wyskoczył ktoś trzeci i pochwycił torbę i aktówkę Fleminga.

Wleczony w głąb zaułka uświadomił sobie z porażającą ostrością: chcą go zabić. Ale dlaczego? Kim są ci ludzie? Wyrwał się im gwałtownie, lecz jeden unieruchomił jego prawe ramię, zaś drugi jedną ręką trzymał go za twarz, a drugą przyszpilił Jayowi lewe ramię za plecami. Szarpiąc się Fleming owinął nogami łydki tego, który kneblował go dłonią. Potoczyli się na ścianę z surowej cegły, a Jay zatopił mu zęby w dłoni i poczuł zaraz w ustach słony smak krwi.

- Ty pierdolony kurdupu! - zaklął tamten, odrywając rękę od ust Fleminga i rozluźniając chwyt, co pozwoliło Jayowi uwolnić lewą rękę. Wymachując nią rozpaczliwie huknął napastnika w głowę, który z impetem poleciał na ścianę. Jay dodał do tego potężne kopnięcie w brzuch, powalając go na kolana.

- Ratunku! Mordują! - wrzasnął Jay. Jego prawe ramię nadal wciął drugi oprych, ale Jay po zadaniu mu raz za razem dwóch ciosów poczuł, że uścisk nieco słabnie. Walnął go znów wolną ręką, lecz był to drągał zbudowany jak szafa i uderzenia Jaya przyjmował tak, jakby to były ukłucia komara. Jay próbował wbić mu kolano w krocze, ale chybił trafiając w udo. Gdzieś w oddaleniu słychać było, jak ktoś biegnie. Pokazał się znów trzeci z napastników. Fleming zawołał głośniej o pomoc, gdy nagle otrzymał ciężkie uderzenie w tył głowy nad lewym

uchem. Upadając, widział, jak grunt podnosi się ku niemu i za chwilę poczuł na policzku wilgotny chłód trotuaru.

- Jesteś beznadziejnym dupkiem, Fleming - usłyszał nad sobą czyjś głos. Próbował się poruszyć, lecz nogi i ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Jak w koszmarze nie mógł wymówić słowa, słyszał tylko te obce głosy.

- Beznadziejny dupek, oto kim jesteś. A do tego jeszcze zdrajcą.

Zdrajcą? O co tu chodzi? Nikogo nigdy nie zdradził. Kim są ci ludzie? Na pewno współnicy tego bruneta, który mu deptał po piętach. Ale kto to jest? Gdzie go już widział? Zatrząsał się od silnego kopnięcia w bok.

Dobiegło go wznosząco-opadające zawrozczenie syreny policyjnej. Ktoś musiał usłyszeć moje krzyki, pomyślał z ulgą.

- Szybko! - padła komenda i Jay poczuł, że jest brany pod pachy i za nogi i rzucony po chwili trochę dalej na chodnik.

- Johnson, to przez ciebie rozdarł japę - powiedział ten, który rozkazywał.

- Cholera jasna, pan by też nie był lepszy. Patrz pan, co mi zrobił w rękę.

- Cipa z ciebie, Johnson. Prawdziwa cipa. Wiesz o tym?

Nie było odpowiedzi.

- Ruszać się, pieprzone gnoje. Do roboty. Zaraz będzie tu policja. Szlag by to trafił. Za jakie grzechy wpadłem w wasze towarzystwo?

Ktoś oświetlił Jayowi twarz latarką. Zastanawiał się, dlaczego nie może otworzyć oczu. Był przytomny, ale nie mógł się poruszyć. Słyszał, jak otwierają jego aktówkę, szeleszczą papierami, przeszukują torbę. Znow próbował podnieść powieki. Dźwięk syreny nasilał się.

- Tutaj nic nie ma - oświadczył jeden z bandziorów.

- Ja też nic nie znalazłem - rzucił drugi.

- Zabierzcie aktówkę. Resztę zostawić. Nie zapomnijcie o portfelu. Prędko!

Flemingowi zdawało się, że minęła wieczność od chwili, gdy go napađnięto, ale wiedział, że upłynęło zaledwie kilka minut. Policji pozostanie tylko zabrać jego zwłoki. Nigdy nie zjawia się na czas. Tak jest wszędzie, na całym świecie. Sprawne ręce wertowały kieszenie jego

marynarki. Odpinali mu zegarek, kiedy rozległy się czyjeś kroki. Przegub z nie zdjętym zegarkiem opadł bezwładnie na chodnik.

- Ktoś idzie - szepnął któryś i Jay słyszał, jak wstają, słyszał niski metaliczny dźwięk otwieranych olstrów, tarcie metalu o skórę przy dobywaniu broni. Udało mu się z trudem poruszyć prawym ramieniem. Odrętwienie chyba mijalo.

Może też wrócił mu głos? Mógłby krzyknąć, ostrzec tego kogoś, kto nadchodzi.

Ledwie to pomyślał jego uszu dobiegł miarowy odgłos cichych kaszlnięć. Synkopowa muzyka pocisków odbijających się od ceglanych ścian, grzęznących w ludzkich ciałach, skaczących po zakamarkach za-
ułka.

Na głowę Jaya sypały się okruchy cegieł, tuż obok rozległ się bolesny jęk i nagle ktoś ciężko na niego runął, tak że zabrakło mu tchu. Coś zabrzęczało na płytach chodnika. Znowu dały się słyszeć miękkie, przytłumione pacnięcia, pojękiwania i wreszcie głuchy odgłos ciężkich upadków.

- Fleming! - dotarł do niego głos z ciemności. - Fleming, nic ci nie jest?

Otworzył oczy, ale przygnieciony leżącym na nim człowiekiem nic nie widział. Próbował wstać, podpierając się rękami, ale wciąż nie miał dość siły.

- Tu jestem - odpowiedział słabo. - Nie mogę się podnieść.

Ktoś podszedł szybko do Jaya i ściągnął z niego zabitego zbira. Jay odetchnął z ulgą i jeszcze oszołomiony usiadł i odwrócił głowę, by zobaczyć komu zawdzięcza ocalenie. W pierwszej chwili sądził, że ma halucynacje, że jego głowa po uderzeniu nie funkcjonuje należycie.

- To pan? - spytał zdumiony.

- Tak - uśmiechnął się tamten. - To ja.

Był to ów brunet z lotniska. W prawej dłoni trzymał pokaźny pistolet z wielkim tłumikiem.

- Przepraszam, że nie zjawilem się szybciej - powiedział, wyciągnąwszy do Fleminga rękę, żeby mu ułatwić wstanie.

- Trzymałem pewien dystans, żeby pana nie wystraszyć.

Jaya ogarnęły hurtem mieszane uczucia: wdzięczność, gniew, nieufność, lęk, ciekawość. Wpatrywał się w nieznanego z osłupieniem, nie

mogąc się zdecydować, czy skorzystać z pomocy wyciągniętej ku niemu ręki, czy nie.

Mężczyzna miał ujmujący uśmiech, Jay był pewny, że ten uśmiech już mu się kiedyś rzucił w oczy. Mimo mroku było widać, że to postawny osobnik, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Wyglądał na Greka lub Słowianina z Południa.

- Niech pan wstaje - ponaglił Jaya. - Trzeba zniknąć, zanim przyjedzie policja.

- Zanim przyjedzie policja? - powtórzył Fleming powoli.

- Ależ ja czekam na policję. Ci ludzie chcieli mnie zabić.

- Tak, wiem, ale policja nie powinna tu pana zastać. Rzecz nabierze rozgłosu. To może przeszkodzić w sfinalizowaniu transakcji, którą pan dziś zawarł.

- Transakcji, którą zawarłem? - spytał Fleming półprzytomnie, przyglądając mu się podejrzliwie. - Skąd pan wie...

- O tym później - odparł mężczyzna niecierpliwie, bo sygnał syreny z każdą sekundą brzmiał coraz głośniejszy. - Wiem i to powinno panu na razie wystarczyć. No, chodźmy, niech się pan zbiera. Nie wolno panu wplątać się w to wszystko.

- To znaczy w co? - spytał Fleming, przyjmując w końcu wyciągniętą do niego rękę i stając na nogi.

- Nie wiem w co. Ale cokolwiek to jest, zna pan na pewno ciekawsze zajęcia od składania zeznań w komisariacie policji. Mogą z tego wyniknąć różne komplikacje.

- W porządku, ale ja chcę tylko wiedzieć...

- Ci ludzie nie żyją - przerwał mu gniewnie tamten.

- Czego pan oczekuje od policji? Sporządzą protokół i tyle. To strata czasu.

- Ja - zaczął Fleming i umilkł, widząc skierowany w siebie pistolet.

- W drogę. Bierz pan swoje manatki i chodu stąd. I to migiem! - rzucił wściekle mężczyzna.

Fleming już nie protestował, lecz kiedy się schylił, żeby pozbiierać porozrzucaną zawartość aktówki, poczuł pod czaszką straszliwy ból. Siadł na krawędzi chodnika, trzymając się za głowę obiema rękami.

- Pospieszmy się, pomogę panu - powiedział mężczyzna, schował broń pod pachę do kabury na szelkach i zaczął szybko uprzątać rzeczy Fleminga. Kim jest ten człowiek? - głowił się Jay. Śledził go, potem

ocalił mu życie, a teraz wydaje mu rozkazy i wymusza posłuszeństwo pistoletem. To się Jayowi nie podobało. Nie lubił, kiedy mu rozkazywano. Ale tamten ma w ręku wszystkie atuty. Jest uzbrojony. Nie ma wyboru. Widząc znowu wyciągniętą ku sobie rękę ujął ją w milczeniu i podniósł się, chwiejnie stając na nogach.

- Kim pan jest? - spytał.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Niech pan bierze swoje rzeczy i pójdzie tędy - wskazał Keizergracht - obchodząc hotel od tyłu. W ten sposób uniknie pan posądzeń o udział w tym zamieszaniu.

Fleming popatrzył na niego jak na chorego umysłowo. Przecież musi po tym wszystkim wyglądać okropnie. Jak, do diabła, może to zostać niezauważone? Potrząsnął głową i powlókł się do wylotu pasażu.

Jednak, kiedy wyszedł na wąską ulicę, zobaczył, że jest na niej sam, nie było w ogóle przechodniów, tylko jezdnią posuwał się niemrawo sznur samochodów. Spoglądając w stronę Keizergrachtu dostrzegł taki sam ślimaczy korowód aut z zamkniętymi szczelnie oknami. Nikt nie słyszał, nikt nic nie zauważył, większość mieszkańców sąsiednich domów spała zapewne odgrodzona okiennicami od ulicznego hałasu. A policja? Jęki syreny nie brzmiały o wiele bliżej niż przed pięcioma minutami. Pewnie radiowóz stróżów prawa ugrzązł w ogólnie amsterdamskim korku.

- Prędko! Prędko! - ponaglał Jaya jego towarzysz, wspomagając się znowu pistoletem. Ignorując piekielny ból głowy Fleming pobiegł chwiejnie w kierunku Keizergrachtu.

Ten facet to wariat, myślał, pędząc w stronę światła, samochodów i siedzących w nich spokojnie normalnych ludzi, którzy w drodze do domu słuchali nadawanych przez radio kołęd.

Po dobiegnięciu do rogu oparł się o ścianę budynku, żeby zaczerpnąć tchu. Obok sunęły z wolna samochody. Jeden z nich zatrzymał się, pasażerowie popatrzyli przez moment na Jaya i zaraz ruszyli dalej. Przejrzał się w witrynie sąsiedniego pubu. Spodnie miał poplamione krwią, marynarkę porozdzieraną, na porozbijanej twarzy zaschniętą krew. Sięgnął po torbę, wziął do ręki aktówkę i podążył i spiesznie do hotelu.

Bogdan Subasić ulokował Ingrama MAC-11 pod lewą pachą i szybko zabrał się do przeszukiwania mężczyzn, których pozbawił życia.

Skąd się tu wzięli? Czy to możliwe, że ludzie zainteresowani bronią Tesli już coś wywęszyli? Jeśli tak, to cała sytuacja ulega zmianie. To znaczy, że w Komitecie doszło do przecieku. Któryś z jego członków był wtyczką.

Jak to się mogło stać? Cały zespół był starannie wyselekcjonowany i prześwietlony przez wszystkie rządowe służby specjalne. Żadna inna grupa nie była równie dokładnie sprawdzona. Może jeden z tych trzech nieboszczyków pomoże rozwiązać tę zagadkę. Odwrócił twarzą do góry pierwszego z brzegu, wyjął mu z kieszeni długi portfel i otworzył go. Było za ciemno, żeby czytać, ale miał latarkę. Wysunął z portfela plastikową kartę identyfikacyjną, oświetlił ją i żołądek podjechał mu do gardła. Właścicielem karty był Wayne Maxwell Anderson, szef wydziału w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Subasić gwizdnął przeciągle. Co, do cholery, CIA mogła chcieć od Fleminga?

Syrena alarmowa zawodziła coraz bliżej, słychać też było jakieś podniecone głosy, prawdopodobnie policjanci krzyczeli, żeby im dano wolną drogę. Subasić zajął się pospiesznie swymi pozostałymi ofiarami. Obaj leżeli również twarzą do ziemi i Subasić nie bez trudu obrócił ich na wznak, bo ważyli chyba dobrze ponad sto kilogramów.

To, co odkrył, zaszokowało go nie mniej aniżeli fakt, że zastrzelił szefa sekcji CIA. Pierwszy z tych kulturystów nazywał się Ramon Vitielli i miał kartę identyfikacyjną departamentu stanu. Subasić znał ten rodzaj kart i nie miał wątpliwości, że denat należał do wykonawców tajnych operacji.

Tak samo zresztą, jak i drugi byczek. Było jasne, że akcją kierował gość z CIA. Przydzielono mu dwóch wynajętych opryszków, prawdopodobnie była to przysługa w pilnym trybie, w przeciwnym razie w akcji braliby udział wyłącznie agenci CIA.

Subasić prędko opróżnił wszystkie trzy portfele z gotówki i kart kredytowych. Chciał, żeby rzecz wyglądała na mord rabunkowy. Holenderski wywiad nie powinien się w to mieszać. Za pomocą kilku telefonów sprawa nie wyjdzie poza gestię amsterdamskiej policji.

Poprawił sobie krawat, opuścił spokojnie zaulek i skręcił w kierunku Keizergrachtu, wzbogacony o pieniądze ludzi, których uśmiercił. Nie miał pojęcia, co to wszystko miało znaczyć. Co CIA miała przeciw Flemingowi? Czyżby zaszła pomyłka i chodziło o kogoś innego?

Rozdział 6

Amsterdam, 16 grudnia

Kawa była świeża, gęsta i gorąca. Fleming upił łyk, delektując się niespiesznie jej smakiem i zapachem. Kawa oraz ciepłe, jasne słońce, jakie pokazało się wczesnym rankiem, sprawiły, że niemal zapomniał o tym, co zaszło minionej nocy. Gdyby nie zadrapania pod okiem i bulwiasty guz na głowie, mógłby całą tę przygodę uznać za koszmar senny przemęczonego człowieka.

Sala śniadaniowa Ambasadora mogła uchodzić za coś w rodzaju naturalnego solarium, gdyż jedna z jej szerokich ścian, wychodząca na Prinsengracht, była w całości szklana. Jan Dijks, obsługujący ją kelner, dostrzegł natychmiast zmarszczenie brwi, które jak obłoczek przemknęło przez twarz Jaya Fleminga, stałego gościa hotelu.

- Mogę czymś jeszcze służyć szanownemu panu? - zwrócił się do niego nienaganną angielszczyzną. - Może kawą albo bułeczką?

- Dziękuję - Fleming zlustrował rumowisko swojego śniadania - okruchy chleba, resztki sera, ślady po wyjedzonej do końca marmoladzie. - Tak, poproszę jeszcze o kawę.

- Czy poza tym wszystko... w porządku? - upewniał się Dijks. Lubił Jaya Fleminga, który był zawsze grzeczny i nie traktował kelnerów jak ludzi niższej kategorii. Pamiętał, że parę lat temu pan Fleming zaprosił jednego z boyów hotelowych na wspólny wieczorny jogging wokół kanałów. Boy powiedział wtedy, że w Holandii nie można dostać takich trampek, jakie miał mister Fleming. Po tygodniu dotarła do hotelu paczka, nadana pocztą lotniczą z Santa Monica w Kalifornii. W środku były trampki dla tego chłopca. To był cały Fleming.

- Śniadanie? Tak, świetne jak zawsze - odpowiedział Fleming z niejakim roztargnieniem.

Dijks odszedł po kawę. To przez ten wczorajszy napad, pomyślał. Każdy by się przejął. Od razu to się rozniosło po całym hotelu. Opowiadano, jak pan Fleming wkroczył do holu z zakrwawioną twarzą, włosy miał zmierzwione, z torby wyłaziły koszule, a aktówkę musiał trzymać pod pachą, żeby nie powylaływały papiery. Powiedział, że to usiłowa-

nie rabunku i że rano sam zawiadomi policję. Nie chciał, żeby wezwano lekarza.

Jay z przyjemnością pił świeżą kawę, spozierając na widoki za szybą. Na jego Rolexie była 9.53. O wpół do jedenastej miał przyjść Pieter Vanderiagt, szef jego amsterdamskiego biura, dla omówienia ostatnich szczegółów kontraktu z Holendrami. Potem pójdą razem do pałacu królewskiego, żeby dopełnić końcowych formalności. Normalnie musieli by się pofatygować do Ministerstwa Obrony w Hadze, ale minister przypadkiem był akurat w Amsterdamie.

Fleming powrócił myślami do poprzedniej nocy. Firm był ten mężczyzna, który go uratował? I który odradzał mu pójście na policję. Mówił, że mogłoby to spowodować różne komplikacje. Jayowi mogło to się nie podobać, ale z drugiej strony wiedział, jak bardzo liczą się pozory. Z całą pewnością doszukiwano by się w incydencie nieistniejących podtekstów. Podejrzewano by Fleminga o jakieś ciemne sprawy, co mogło by mu bardzo zaszkodzić. Zdawał sobie sprawę, że można być potępionym bez względu na to, czy się zawiniło, czy też nie. Widział ludzi stojących znacznie wyżej od niego, których wykończyły plotki. Być może człowiek z lotniska miał rację, myślał Fleming z wzrokiem utkwionym w tafłę okienną, za którą przepływał wolno kanałem oszklony tramwaj turystyczny. Postanowił właśnie zamówić jeszcze jednego rogalika, gdy usłyszał jak boy wywołuje głośno jego nazwisko.

Za moment podszedł do jego stolika z długą, białą kopertą.

- Cieszę się, że pana zastałem - powiedział. - Posłaniec przyniósł to przed chwilą.

- Dziękuję - rzekł Fleming, dając mu napiwek i ostrożnie obejrzał kopertę.

Podany był adres zwrotny: wydział fizyki uniwersytetu w Lejdzie, a pod spodem nagryzmolone rozchwianym piśmem widniało nazwisko nadawcy - F. Anderson.

Profesor Franklin Anderson. Brytyjski ekspert od zjawisk elektromagnetycznych. Fleming spotykał go wielokrotnie przy różnych okazjach, głównie na posiedzeniach NATO. Ostatnio pisywał artykuły na temat impulsów elektromagnetycznych, wywoływanych przez wybuchy nuklearne. Jay obrócił kopertę w pion i oderwał równo jej krawędź. W środku była nieduża kartka.

„Pasjonujące sprawy do omówienia” - pisał profesor. „Możliwy przełom. Mógłby pan wpaść po finalizacji kontraktu? Bardzo mi zależy na spotkaniu z panem. Proszę o jak najszybszą odpowiedź”.

Nieczytelny podpis przypominał splątaną żyłkę wędki.

Skąd Anderson wiedział, że Jay jest w Amsterdamie? I o sprzedaży ECM? Profesor był poczciwym indywiduum, który od zakazu próbnego eksplozji jądrowych w 1960 roku nie miał żadnych godnych uwagi osiągnięć naukowych. W momencie podpisania układu o zakazie testów badania impulsów elektromagnetycznych były w powijakach. Od tamtej pory Anderson czerpał wiedzę z niemal wyschniętego źródła. I cóż to za „przełom”, który profesor widzi jako „możliwy”?

Jutro jest dzień wolny. Jay zamierzał powłóczyć się trochę po Amsterdamie. Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie Lejdę. Był tam podczas pierwszego pobytu w Holandii jako słuchacz Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej. W weekendowym odruchu chwycił plecak, worek z pościelą i wsiadł na prom, kursujący między Harwich a Hoek van Holland. W dwa dni później dostał miejsce na podłodze w wyiębionej i zatłoczonej do niemożliwości kwaterze dla studentów.

Lejda. Sielskie miasteczko wśród kanałów. Sędziwe kamieniczki i najstarszy uniwersytet w Holandii. A może nie najstarszy? Chyba jednak tak. Mniejsza o to. Z przyjemnością przejedzie się pociągiem. Przechadzka po mieście też powinna być miła dla oczu. Zaraz po spotkaniu z Vanderjagtem zatelefonuje do profesora. Przełom. Z pewnością jakiś by się przydał. Usadowił się wygodniej w krześle, starając się nastawić wyłącznie na pozytywne myślenie. Coś mu ciągle jednak nie dawało spokoju.

San Diego, 15 grudnia

Alexandra Downing nie mogła zrozumieć, dlaczego Martin tak spęsniał. Może go uraziła jakimś nieostrożnym słowem? Upiła łyżeczek koniaku, natężając pamięć. Martin jest taki trudny. Już myślała, że znalazła klucz do jego psyche, gdy nagle zaczął wysyłać inne sygnały.

Dochodziła pierwsza trzydziestki w nocy i byli prawie sami w restauracji. Tylko jakieś dwie inne pary zasiedziały się nad drinkami. Na stole pokutowały resztki deseru. Martin podziubał tylko swój sernik, ale

go nie spróbował. Nie dojadł też homara, a i jego kieliszek stał do połowy pełny. To było do niego niepodobne.

Znali się od pół roku, ale nigdy dotąd nie widziała go w takim podłym nastroju. Wzięła go za rękę i uszczypnęła żartobliwie, ale bez żadnego efektu. Jego dłoń pozostała nieruchoma, bezwładna, wyzuta z życia, jakby dusza Martina wyszła na zewnątrz, zostawiając Alexandrę sam na sam z martwym ciałem.

Spojrzała mu w oczy. Były nieobecne, utkwione w jakiś punkt poza nią, w przestrzeń. Była w nim zakochana i cierpiała, widząc go w stanie takiego zubożenia. Może to był nawrót bólu, który jak jej wyznał, czasami go dopadał? Poznała pułkownika Martina Wayne'a Copelanda w dwa tygodnie po tym, jak jego żona obudziła się rano z postanowieniem rozstania się z nim po dwudziestu trzech latach pożycia. Oświadczyła, że znużyła ją rola oficerskiej żony, że nie chce dzielić z nim dłużej pozbawionej perspektyw egzystencji i ma po dziurki w nosie jego oślepo przywiązania do archaicznych zasad. Wyłuszczyła to wszystko na kartce papieru i zniknęła, zostawiając nie uiszczony rachunek za nową garderobę oraz walizki, w które się spakowała, a także siedem dolarów na wspólnym koncie oszczędnościowym. Nie uznała natomiast za konieczne zostawienia adresu do korespondencji.

Martin nabrał potem zwyczaju odbywania długich spacerów, a raczej depresyjnych wędrówek wypełnionych niewesołymi myślami. Podczas jednej z takich eskapad zaszedł do małej przystani w Mission Bay, oddając się marzeniom o rejsie na Tahiti lub gdzie indziej, byle bardzo daleko.

Była prawie ósma rano i Alexandra, wciąż cokolwiek zaspana, wychodziła po zejściówce ze swego słupu Morgan 41, żeby zobaczyć, jaki kroi się dzień. Stojąc do połowy na zewnątrz, do połowy we wnętrzu łodzi, dostrzegła Martina, który przyglądał się czule jej jachtowi. Pokraśniał, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, i zażenowany przystąpił do odwrotu.

- Dzień dobry - zawołała Alexandra.

Martin przystanął i odwrócił się. Alexandra ujrzała wysokiego, szczupłego mężczyznę o krótkich, obciętych po wojskowemu, lekko przyprószonych siwizną włosach. Miał na sobie granatową koszulkę polo, spodnie w kolorze khaki oraz czarne sznurowane półbuty. Wyglą-

dał na mniej więcej czterdzieści lat. Spodobały jej się bardzo jego oczy. Brązowe w złociste plamki.

- Ma pani ładną łódź - odezwał się nieśmiało. Ręce chował w kieszeniach i kołysał się na piętach w przód i w tył z miną chłopca przyłapanego na gorącym uczynku wyjadania konfitur, bezbronny i samotny.

Alexandra natychmiast poczuła potrzebę udzielenia mu pomocy.

- Dzięki - odpowiedziała. - Miód na serce każdego kapitana. Wszyscy uważamy, że nasza łajba jest najpiękniejsza - uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając białe, równe zębie. Upłynęło może pół minuty, zanim przerwała milczenie.

- Napije się pan kawy? - spytała. - Świeżo parzona.

Martin podszedł niepewnie do łodzi po drewnianym pomoście i ogarnął Alexandrę zaciekawionym wzrokiem. Stwierdził, że jest młoda, młodsza od niego prawie o trzydzieści lat (okazało się, że ma dwadzieścia dziewięć). Miała ciemnobraunatne włosy i kobaltowo niebieskie oczy. Wysoka, ponad metr siedemdziesiąt, sprężysta i umięśniona. Później odkrył, że jest opalona na całym ciele, ma jędrne piersi i jest pomyślowa w łóżku.

Alexandrze Martin spodobał się od pierwszego wejrzenia. Był taktowny i odznaczał się silnym poczuciem moralności. Przekonała się z czasem, że bardzo dbał o formę fizyczną i zachował młodzieńczą sprawność.

Jednak najbardziej podobało się Alexandrze to, że jej potrzebował. To było coś, na czym jej zależało.

Restauracja pustoszała. Dwie pozostałe pary poprosiły o rachunek i kelner popatrywał na nich z nadzieją, że zrobią to samo, dzięki czemu będzie mógł pójść do domu. Przez na pół otwarte okno dochodziły odgłosy z portu San Diego.

Alex odstawiła kieliszek na bok stołu i ujęła w obie dłonie rękę Martina.

- Co się dzieje? - spytała energicznie. - Muszę wiedzieć.

Kocham cię, przecież wiesz o tym.

Z wolna jego oczy powracały ze swej podróży, odnajdując wreszcie twarz Alexandry.

- Ja też cię kocham - powiedział. - Przypuszczam, że ktoś spróbuje mnie zabić - dodał po chwili.

- Zrobiłeś coś złego?

- Nie. Nic złego - odparł zdecydowanie, znów błędząc oczami w przestrzeni. - Ale przyłapałem... Nie - urwał. - Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- To absurd, Martinie - powiedziała stanowczo. - Jak mam ci pomóc, jeśli nie wiem, o co chodzi.

- W tym wypadku nie możesz mi pomóc. I chyba nikt nie może.

- To się dopiero okaże. Powiedz, kogo przyłapałeś i na czym?

Zmagali się wzrokiem, żadne nie chciało ustąpić. Alex westchnęła, puściła jego rękę i wsparła się o krzesło.

- Przyłapałem ich na największym zamachu na konstytucję w historii kraju - powiedział. - Nie ma mowy, żeby mi dali z tym ująć cało.

- To znaczy z czym?

Copeland patrzył na nią przez długą chwilę bez słowa. Alex zaniepokoiła się. Wyglądał jakby był bardzo chory.

- Dziś moja kariera wojskowa dobiegła chyba końca. Posunęli się nazbyt daleko i bez względu na ryzyko muszę zrobić to, co uważam za słuszne. Pojadę do Waszyngtonu i spróbuję to wszystko wywlec na światło dzienne.

- Co wszystko?

- Nie mogę ci teraz tego powiedzieć. Jeśli uda mi się uzyskać wsparcie w Waszyngtonie, to lepiej, żebyś nic nie wiedziała. Jeśli oni dowiedzą się, że jesteś wtajemniczona, mogą ci zrobić krzywdę.

-Jacy oni? Kto?

-Strand, Patterson. Cała ta cholerna banda.

Alex otworzyła usta, ale powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Zaczekaj - pochylił się przez stół i wręczył jej sporą szarą kopertę, oklejoną mocno taśmą.

- Schowaj to gdzieś najbezpieczniej jak się da. Masz skrytkę bankową? Dobrze - ciągnął, gdy skinęła głową. - Ulokuj ją tam jak najprędzej jutro, nie - już dzisiaj - skorygował się spojrzawszy na zegarek. - Otworzysz kopertę, gdyby coś mi się stało, w środku znajdziesz wskazówki, co masz zrobić.

- Zabiją cię - łzy napłynęły Alexandrze do oczu. Wstała i podeszła do Martina, nie zważając na kelnera, który rzucał im spojrzenia zdolne spalić koc azbestowy. Martin też wstał i objął ją, a Alexandra przywarła do niego, składając mu głowę na piersi.

- Proszę, nie pozwól im na to - mówiła, płacząc. - Nie wiem, jakbym sobie dała radę bez ciebie.

- Muszę to zrobić - rzekł smutno. - To ważne.

- Ważniejsze niż ty i ja? - uniosła ku niemu zalaną łzami twarz.

- Nic nie może być ważniejsze niż ty i ja - odparł i Alex dostrzegła, że i jemu wilgotnieją oczy. -Ale ta sprawa dotyczy milionów ludzi, dziesiątków milionów. Jeżeli to się potwierdzi, jestem zgubiony.

-Jedyne, co mnie pociesza to fakt, że nie wiedzą o tobie - podjął po chwili. -Jesteś bezpieczna i chcę, żeby tak zostało. Pamiętaj o wypełnieniu jota w jotę instrukcji zawartych w kopercie. Są tak pomyślane, że możesz wprawić rzecz w ruch anonimowo, bez obawy narażenia się na niebezpieczeństwo - cofnął ramię, którym ją obejmował, i Alex mogła obetrzeć łzy.

Tej nocy brał ją w ramiona delikatnie, jak się ujmuje drogocenną porcelanę. Zawsze był czuły, ale nigdy do tego stopnia. Wyraz jego oczu pozwolił jej odgadnąć, czemu tak było. Nie spodziewał się, że jeszcze ją zobaczy. Zdusiła szloch i objęła go, modląc się żarliwie, żeby to nie była prawda.

Rozdział 7

Amsterdam, 16 grudnia

Zimowy wieczór w Amsterdamie zjawia się wcześniej. O czwartej po południu słońce już jest dawno w drodze do Ameryki, zostawiając za sobą prawie dzień w dzień niskie niebo koloru kamieni brukowych. Ale tego dnia, gdy Jay Fleming szedł wolno ulicą Damrak w kierunku kościoła Świętego Mikołaja, zachód słońca zabarwił ciepło horyzont na czerwono, żółto i pomarańczowo. Spieszący do domów amsterdamczy cy przystawali, by nacieszyć oczy tym rzadkim zjawiskiem, zauważając przy tym, że takie piękne widoki następują zwykle po gwałtownych burzach w rodzaju wczorajszej, jakby Bóg chciał ludziom wynagrodzić godziny przeżytej grozy.

Fleming stanął, zatrzymany czerwonym światłem przy przejściu dla pieszych na ruchliwym skrzyżowaniu naprzeciw centralnego dworca kolejowego.

- Istne чудо, prawda? - zagadnęła go, stojąca obok przygarbiona kobieta okutana szalem, w rękawiczkach i długim do kostek palcie.

- Tak - zgodził się Jay. - Cudownie to wygląda.

Kobieta uśmiechnęła się i zaraz, widząc zielone światło, szybko przeszła na drugą stronę, znikając w tłumie spieszącym się na pociąg.

Fleming nie miał żadnego powodu do pośpiechu. Mógł triumfować, bo po południu przedstawiciele rządu podpisali kontrakt, mocą którego całe holenderskie lotnictwo wojskowe zostanie wyposażone w urządzenia ECM. W pokonanym polu znalazły się takie tuzy przemysłu zbrojeniowego, jak Ratheyon, Hughes, Fleming Industries czy Allied Defense. Jednak Jay od lat pozostawiał je daleko w tyle i z tego punktu widzenia o triumfie nie mogło być mowy. Poza tym guz na głowie stale przypominał mu, że polowano na niego, że miał jakichś wrogów, bezimiennych, bez twarzy. Miał ochotę cisnąć w kąć całą pracę i zająć się wyśledzeniem ich. Podniecała go ta myśl, przyćmiewając nawet zadowolenie z popołudniowego sukcesu. Miał do czynienia z tajemnicą. W biznesie nic już nie było dla niego zagadką.

Spojrzał na misterną ornamentykę fasady dworca, po czym uznał, że pora wracać. Nawet kiedy krążył bez celu, podświadomie trafiał do miejsc, które zapraszały do podróży. Zawsze pragnął być w ruchu, gdzieś jechać, nieważne dokąd, bez określonego celu, liczył się jedynie ruch. A jego najdoskonalszą formą był lot z ponaddźwiękową prędkością dwa i trzy dziesiąte macha.

Pluł sobie w brodę, że porzucił służbę w Marynarce Wojennej. Lata nie było jego najprawdziwszym powołaniem. Nigdy nie doświadczał tak mocno radości życia jak wtedy, gdy służył w Marynarce. Z niczym nie mogły się równać wyzwania, jakie narzucał sam lot, potyczki powietrzne, emocje lądowania przy złej pogodzie na rozkołysanym pokładzie lotniskowca. Marynarka chciała go zatrzymać, proponowano mu maksimum tego, na co zezwala prawo, a nawet ponad dwukrotnie więcej, ale uległ pochlebstwom grupy akcjonariuszy z Fleming Industries. Namawiali go, żeby „stanął za sterem wielkiej światowej korporacji, którą stworzył jego dziad”. Twierdzili, że go potrzebują w celu pozbycia się Stevena Stranda, człowieka, który rujnował firmę, a wraz nią reputację zasłużonego rodu Flemingów. I Jay dał się na to nabrać.

Początkowo traktował tę rozgrywkę jako wyzwanie podobne temu, jakim mogły być walki powietrzne. Jednak, gdy zdał sobie sprawę, że piloci z jego własnego dywizjonu są gotowi strzelać do niego niczym do nieprzyjaciela, zorientował się, iż popełnił błąd. No, ale wtedy było już za późno. Został wmanewrowany w „najkrwawszą dyrektorską bójkę w dziejach amerykańskiego korporacjonizmu”, jak to określił Wall Street Journal.

Akcjonariusze, którzy zrazu nie mogli się obyć bez niego, dogadali się za jego plecami ze StranDEM, wskutek czego Jay znalazł się w sytuacji sieroty, trzęsącej się z zimna na krawężniku przed własnym domem. Odszedł ze spółki z pokaznym pakietem udziałów, ale jego duma poniosła druzgocącą klęskę.

Po odejściu z Fleming Industries szukał czegoś, co pozwoliłoby mu zrekompensować doznane niepowodzenie. Jako pilot wiedział dobrze, na czym polegały wady aparatury kontr elektronicznej. Urządzenia ECM miały zakłócać działanie systemów radarowych przeciwnika i dezorientować jego raketowe pociski przeciwlotnicze, jednak te, których używał, włącznie z systemem opracowanym we Fleming Industries, nie zdawały po prostu egzaminu.

Nie wszyscy akcjonariusze spółki byli przeciwko Flemingowi podczas korporacyjnej batalii, niektórzy, jak on, znaleźli się w kłopotliwym położeniu. Połączywszy ich kapitał ze swoim Jay założył ECM Inc. I po dwóch latach zakłady Fleming Industries zamknęły wydział produkcji ECM, nie wytrzymując konkurencji. Jay umoczył publicznie StranDE-wi nos w kupie gnoju i wszystkie specjalistyczne czasopisma wojskowe i biznesowe odnotowały fetor, jaki się wskutek tego rozszedł po kraju.

Ale na tym skończyła się satysfakcja, jaką Fleming czerpał z istnienia swojej firmy. Założył ją, żeby pognać StranDE i osiągnął ten cel. Od tego czasu upłynęły już trzy lata i spółka nadal prosperowała, ale Jay nie miał już do niej zapału. W jego oczach było to przedsiębiorstwo jak każde inne.

Na wielkim placu Dam obok pałacu królewskiego Jay skręcił na wschód, dochodząc krętymi wąskimi uliczkami do Zeedijk - dzielnicy nocnych lokali i usług spod znaku czerwonej latarenki. Przy ocienionych drzewami kanałach, opodal kościołów i domów mieszkalnych,

mieściły się przybytki starające się zaspokoić wszelkie upodobania: sklepiki z pornograficznymi filmami i pisemkami, kluby z wideo seksem lub na żywo, witryny z paniami wystawiającymi swe wdzięki na widok publiczny, ale także doskonale restauracje, bary i dyskoteki. Było to idealne miejsce dla kogoś, kto jak Jay, chciał się oderwać od myśli o bezcelowości życia i natrętnych pytań o powody, dla których chciano go uśmiercić.

Na jezdni i chodnikach Achterburgwalu było rojno jak w ulu. Jay przemykał się przez tłumek turystów, starannie ubranych biznesmenów, studentów, długowłosych typów handlujących haszyszem, niekiedy marynarzy z pobliskiego portu. Atmosfera była swobodna, niemal karnawałowa, nikomu się nie spieszyło, nikt nie pędził byle dalej do przodu. Przy Casa Rosso naganiacz uliczny polecał mu gorliwie jakieś erotyczne uciechy, ale Jay uśmiechnął się i poszedł dalej. Nie tym razem.

Tuż obok grupka studentów, trzech chłopaków i dwie dziewczyny, przystanęła przed oknem wystawowym prostytutki, oglądając ją jak eksponat laboratoryjny. Jej ciężkie piersi były całkowicie obnażone, z rozcięcia w majtkach wydobywały się gęste, poskręcane włosy łonowe.

- Uważam, że to obrzydliwe - odezwała się jedna ze studentek.

Jay też się zatrzymał, żeby popatrzeć. Obracając głowę dostrzegł, że jakiś mężczyzna za nim nagle odwrócił się ukradkiem i szybko odszedł. Jayowi zaparło dech w piersiach.

- Hej, panie! - zawołał, przepychając się przez ludzi. - Stop! Proszę się zatrzymać!

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna skręcił za rogiem w wąską uliczkę. Jay ruszył jego śladem, serce mu łomotało z emocji. Przedzierał się z wysiłkiem przez idących z naprzeciwka ludzi, jak pływak walczący z prądem.

- Przepraszam, przepraszam bardzo - mówił przechodząc z holenderskiego na angielski. - Proszę mnie przepuścić. Bardzo się spieszę. Proszę. Przepraszam...

Obrzucany gniewnymi spojrzeniami i przekleństwami w kilku językach parł z wolna w kierunku narożnika ulicy, za którym zniknął nieznajomy. Musiał go dogonić, musiał się dowiedzieć czegoś więcej o zdarzeniach wczorajszej nocy.

- Uważaj, dupku! - zbeszał go jakiś potracony przechodzień. Wreszcie dostrzegł do rogu, obiegł go i przystanął.

Uliczka była mniej zatłoczona niż Achterburgwal i gorzej oświetlona, idący chodnikiem ludzie sprawiali wrażenie pochodu cieni.

Fleming puścił się biegiem, zaglądając wszystkim w twarz. Patrzo-
no na niego jak na wariata. Dostrzegł wreszcie zbiega już przy następ-
nym skrzyżowaniu. Szedł pędkiem, jak w określonym celu, nie przystawał przed wystawami. Jay zrównał się z nim szybko, chwycił go za ramię i obrócił dokoła, aż tamten zatoczył się i oparł plecami o mur.

- Mam pana nareszcie!- zawołał Jay.

- Was ist?- wykrzyknął z przestachem mężczyzna, najwidoczniej niemiecki turysta, przekonany, że został napadnięty.

- Przepraszam - powiedział po angielsku i po holendersku Jay. — Entschuldigen -wybąkał niepewnie; jego niemieczyzna nie wykraczała poza poziom elementarny.

Niemiec spojrział na niego jak na kogoś niespełna rozumu. Powoli lęk i konsternacja na jego twarzy zmieniły się w ulgę i gniew.

-Zaszła pomyłka - wyjaśniał Jay po holendersku i angielsku gromadzącym się gapiom. - Myślałem, że to ktoś inny.

Zrobił zwrot w tył, precyzyjnie się przemieścił przez krąg ciekawskich i zaczął truchtać. Po kilkudziesięciu metrach dotarł do kolejnej przecznicy. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł nigdzie ściganego mężczyzny.

Którędy on pobiegł? Na prawo, czy na lewo? Podobno większość uciekających skręca na prawo, ale ten człowiek to zawodowiec. Na pewno nie zachował się typowo.

Fleming ruszył w lewo, uliczką tak ciasną, że z trudem zmieściłby się w niej nawet nieduży samochód osobowy. Zakręcała stopniowo zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ale odchodziły od niej liczne, słabo oświetlone pasáže. Jay zatrzymywał się przy każdym z nich, penetrował je wzrokiem, ale bez powodzenia.

Idąc już całkiem wolno, doszedł do końca zaułka, uformowanego w literę „T”. W prześwicie obu ramion litery nie dojrzał nikogo. Stał przez chwilę zgnębiony porażką. Z opuszczoną głową siadł na schodku przed jakimś domkiem. Przez moment gotów był sądzić, że cały ten epizod był tworem jego wyobraźni, że szare komórki płatały mu figle i wysokiego bruneta, któremu zawdzięczał ocalenie, nie było dopiero co na Achterburgwal.

Znużony, przymknął powieki i przetarł je dłońmi. To skutki pograżenia się w pracy, doszedł do wniosku. Wzięcie kursu na rozsądek, na po-

czucie bezpieczeństwa, zaczynało stępnąć mu umysł. Jeszcze kilka lat i będzie się nadawał wyłącznie do prowadzenia firmy.

Nagle dobiegły go jakieś rozweselone głosy. Wstał, poprawił na sobie sweter i marynarkę i popatrzył w głąb prawej odnogi ulicy. Po chwili z mroku weszły w stożek światła latarni cztery młode dziewczyny rozmawiające żywo w nieznanym Jayowi języku.

Fleming skręcił w lewo i wyprzedził je, zmierzając do małego pubu w angielskim stylu, który sobie wcześniej zanotował w pamięci. Miał nieprzepatą ochotę na drinka.

Waszyngton, 16 grudnia

Przed okazałym budynkiem z szarego kamienia w centrum Waszyngtonu zatrzymał się bezszmerowo mercedes w wersji limuzynowej. Korynckie kolumny budowli i misternie rzeźbione gzymsy wydawały się nie na miejscu pośród okolicznych struktur z betonu, szkła i stali. Był to relikw minionej, wytworniejszej epoki.

Portier w wykrochmalonej liberii wybiegł z podcieni wejścia, otworzył drzwi auta i trzasnął dziarsko obcasami, gdy z wnętrza wynurzył się zrećcznie wysoki dżentelmen o lodowatym błękitcie oczu, z grzywiastą, starannie uczesaną czupryną.

- Dzień dobry, panie FitzGerald - powitał go odźwierny z niekłamanym szacunkiem. - Miło znów pana widzieć.

FitzGerald uśmiechnął się łaskawie, rzucił kilka uprzejmych słów i pokonał spiesznie marmurowe stopnie wiodące do foyer Klubu Pasterza. Weterani krajowej polityki mawiali, że pod dachem Klubu koncentrowało się więcej władzy niż w Kongresie i Białym Domu łącznie. Członkowie Klubu nie starali się prostować tej opinii.

Liam FitzGerald, prezes ADI Inc., jedenastej pod względem znaczenia amerykańskiej korporacji, przemierzył foyer pewnym, majestatycznym krokiem władcy. Czarne wypolerowane drzwi z orzecha włoskiego odchyliły się wolno, w chwili gdy prezes się do nich zbliżył.

FitzGerald powierzył swe kaszmirowe okrycie jednemu z kamerdynerów, minął szybko drzwi do sali jadalnej i wszedł do głównego pomieszczenia klubu. Stały tam w objęciach czarnej boazerii wygodne, wyściełane czerwono brunatną skórą fotele, stojaki z czasopismami z całego świata i wysokie pod sufit półki, wypełnione książkami w kosz-

townych oprawach. Podłoga była wyłożona dębową klepką. Słabe zimowe słońce sączyło się niemrawo przez szerokie francuskie okna, rozszczepiając tęczo promienie na kryształach waz ze świeżo ściętymi różami. W końcu sali asystent biblioteczny za pomocą wysokich schodków zdejmował z półki książkę, zapewne na życzenie kogoś z członków klubu. Bogatym księgozbiorem klubowym opiekował się zatrudniony na stałe bibliotekarz, któremu podlegało kilku asystentów.

FitzGerald ogarnął salę szybkim spojrzeniem, oddał ukłony paru osobom i skierował się ku małej windzie tuż przy foyer. Wewnątrz nacisnął nieoznakowany guzik położony tuż pod przyciskiem podziemia. Kiedy winda stanęła, FitzGerald umieścił mały mosiężny kluczyk w otworze na tabliczce sterowniczej windy. Dopiero wtedy drzwi się otworzyły. FitzGerald po wyjściu włożył ten sam kluczyk tym razem w otwór tabliczki w ścianie na zewnątrz windy. Drzwi się zaraz zamknęły i winda powróciła automatycznie na parter.

W przeciwieństwie do komfortowych wnętrz na górze, pomieszczenie, w którym się teraz znalazł FitzGerald, cechowała surowa prostota. Nic nie zdobiło ścian, grubych niczym w bankowych skarbcach, nie było też oczywiście okien, bo nie mogło ich być na poziomie sześciu pięter pod ziemią.

Liam FitzGerald występował tu pod kryptonimem Diament. Towarzyszyli mu: Korund, Nefryt, Onyks, Obsydian, Beryl oraz Topaz. Ludzie kryjący się pod tymi pseudonimami zmieniali się niekiedy ze względu na upływ czasu, ale ich pozycja w tym gronie pozostawała taka sama. Tak to było zaplanowane przez Liama. Tutaj liczyła się przede wszystkim nie czyjaś osoba, lecz miejsce zajmowane w tej konkretnej, a nie żadnej innej strukturze. Od dziesięcioleci nic w tej mierze nie uległo zmianie.

W oczach personelu klubu oraz innych jego członków ta siódemka tworzyła komitet założycielski. Nikt nie wiedział, jakie było jego prawdziwe oblicze.

Diament zlustrował wzrokiem swoje królestwo. Proste dębowe meble, cienka wykładzina na podłodze. Żadnej możliwości założenia podsłuchu. Nawet gdyby ewentualny zdrajca próbował to zrobić, nic by z tego nie wyszło, ponieważ w windzie były zainstalowane czujniki do wykrywania wszelkich urządzeń podsłuchowych tudzież nagrywają-

cych dźwięki. Czujniki uruchomiały się przy każdej aktywacji kluczyka do sali konferencyjnej.

Czujniki, podziemie, hermetyczna sala obrad, cała koncepcja Klubu Pasterza - wszystko to zostało zaprojektowane przez Liama FitzGerala. To on był pomysłodawcą oraz pierwszym i jedynym przewodniczącym klubu od czasu jego powstania w 1947 roku.

FitzGerald odsunął od stołu jedno z krzeseł i usadowił się w nim, czekając na resztę członków Komitetu Siedmiu. Nefryt, międzynarodowy bankier, był także członkiem Systemu Rezerwy Federalnej, doradcą w Banku Światowym i w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym. Miał wielkie wpływy jako wiceprzewodniczący Komisji Trójstronnej, o której mówiono, że rządzi światem.

Z kolei Onyks, dawniej na czele Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych, wchodził obecnie w skład Szefostwa Połączonych Sztabów; pozostali to fizyk Obsydian, kierujący w Ministerstwie Obrony badaniami systemów unowocześniania broni, Beryl - założyciel i prezes Instytutu Vanguard, skupiającego czołowy zespół doradców w zakresie obrony narodowej, Topaz - prezes Rady Energii Globalnej, dwukrotnie większego niż Exxon konsorcjum korporacji naftowych i różnych innych, potajemnie połączonych dla uniknięcia regulacji antymonopolowych, i wreszcie Korund - były rektor uniwersytetu, historyk o światowej renomie, politolog, doradca czterech prezydentów, człowiek, który od trzech dziesięcioleci kształtował bieg wydarzeń na arenie międzynarodowej.

Diamant był dumny z tego doborowego grona, tym bardziej, że to on osobiście je skompletował. Czwórka - Korund, Nefryt, Beryl i Onyks - należała do Komitetu od początku. Dwóch pierwotnych członków - Topaz i Obsydian - zmarło i zastąpiono ich nowymi.

Komitet Siedmiu stanowił jądro Klubu Pasterza i to on decydował o rekrutacji wpływowych postaci z rządu, ze sfer bankowych, świata nauki i wielkiego przemysłu. Podstawowym kryterium przyjęcia prócz posiadania władzy i wpływów było opowiadanie się za ideą silnej Ameryki jako fundamentu wolnego świata. Każdy członek to był przywódca, pasterz, zdecydowany uczestnik prowadzenia Ameryki w kierunku zgodnym z jej dziejowym przeznaczeniem. Klub był ekskluzywnym miejscem, gdzie ci ludzie mogli się swobodnie spotykać, dyskutować, planować działania i załatwiać najskrytsze interesy z dala od wścibskich

oczu i podsłuchujących uszu. A w tym bastionie dyskrecji Komitet Siedmiu był kwintesencją tajności.

Jednakże owa tajność, jak wynikało z krótkiej rozmowy telefonicznej FitzGerala z Korundem, została naruszona. Liam skrzywił się w zamyśleniu, bębniąc czubkami palców po blacie stołu. Wstał, przeszedł się wokół sali i znowu usiadł.

Z Korundem działo się coś niedobrego, coś, co budziło poważny niepokój. Słyszał to w jego głosie. FitzGerald westchnął głęboko. Nie chciał likwidować Korunda. Jeszcze na to za wcześnie.

W ciągu następnego kwadransa winda przybywała i odjeżdżała pięciokrotnie. Brak było jedynie Korunda. Diament rzucił okiem na swego Piageta i stwierdził z dezaprobatą, że doradca prezydenta jest już spóźniony o dwadzieścia minut. Czekający na niego partnerzy, prowadzili tymczasem przyciszoną rozmowę o fuzjach i polityce spółek, o posunięciach, za którymi kryły się miliardy dolarów, a mogły dotyczyć milionów ludzi. Była prawie druga po południu, gdy wreszcie winda zjechała na dół po raz siódmy.

- Przepraszam panów - powiedział Korund, wchodząc szybko do sali. - Zatrzymał mnie niespodziewanie ważny telefon.

Zebrani odpowiedzieli pomrukiem aprobaty i Korund zajął miejsce pomiędzy Topazem a Obsydianem, co FitzGerald odnotował z tajoną irytacją.

- Dziękuję, że zechcieli panowie przybyć mimo tak późnego zawiadomienia - zabrał głos Korund. - Jednak - odchrząknął - sami życzyliście sobie, by was natychmiast informować, jeżeli zdarzy się coś niezwykłego. I właśnie mamy do czynienia z takim wypadkiem. Zgodnie z ustaleniami ostatniego zebrania podjęliśmy pewne próby posłuszenia się Jayem Flemingiem jako kimś, kto może nas doprowadzić do koronnego pakietu dokumentów Tesli i uniemożliwić dostanie się ich w niepowołane ręce.

- Każde ręce prócz naszych są niewłaściwe - zauważył Onyks i wszyscy skinęli potakująco głowami.

- Bardzo słusznie - podjął Korund i właśnie dlatego to, co zaszło, jest takie niepokojące. Otóż Fleming został wczoraj napadnięty przez trzech funkcjonariuszy Centralnej Agencji Wywiadowczej.

W tym momencie Diament przebiegł bacznie wzrokiem twarze zebranych, szukając na każdej z nich oznak zdrady. Ktoś z Komitetu mu-

siał przecież dopuścić się przecieku. Albo, co gorsza, Fleming zamieszany jest w coś o czym jeszcze nie mają pojęcia. FitzGerald zawsze się modlił, żeby jego najczarniejsze obawy przed sowieckim kretem w Komitecie okazały się bezpodstawne. Ale to było jedyne logiczne wyjaśnienie raptownej reakcji CIA. Decyzję o wykorzystaniu Fleminga Komitet powziął zaledwie przed tygodniem, a od jej uruchomienia minęła tylko doba. To za mało, żeby zostawić trop dostrzegalny dla przeciwnika. Nie, to musiał być przeciek. Ale twarze siedzących przy stole mężczyzn nie wyrażały nic poza zaszokowaniem usłyszaną nowiną.

- Myślisz, że to przeciek z Komitetu? - spytał niedowierzająco Onyks, popatrując sceptycznie wokół stołu.

- Tak początkowo podejrzewałem - odparł Korund - ale w rachubę mogą też wchodzić inne hipotezy. Nie ma dowodu, że napaść na Fleminga ma jakikolwiek związek z nami. Jestem skłonny przychylić się do teorii, że atak był sprawką innej korporacji, na przykład takiej, która przegrała z jego firmą wyścig do intratnych kontraktów. To może się oczywiście odnosić do co najmniej kilkunastu dużych kompanii amerykańskich i do pół tuzina europejskich. Powinniśmy również wziąć pod uwagę, że być może Sowietci doszli do wniosku, że nie uda im się dorównać jego systemom i ostatecznie uciekli się do sposobów skądinąd doskonale wszystkim znanych. Co by znaczyło, że ci trzej agenci CIA byli zdrajcami.

- Innymi słowy - przerwał mu Nefryt - sugerujesz, że próba eliminacji Fleminga to pochodna jego sukcesów. Jeśli są jakieś argumenty przemawiające za tym bardziej niż za możliwością przecieku, to rad bym je usłyszeć.

- Pozwoliłem sobie - kontynuował Korund - zasięgnąć języka u dyrektora CIA. Okazuje się, że wszyscy trzej agenci byli na urlopie. I podejmowana przez nich w tym czasie akcja nie miała błogosławieństwa Centrali. Upewniłem się o tym dodatkowo u szefa tajnych operacji. Działali na jakieś postronne zamówienie.

- Czy nie można polecić Subasicowi, żeby ich wybałał? - spytał Nefryt.

- Nie, ponieważ Subasić ich wykończył podczas ratowania Fleminga.

- Cholerna szkoda - powiedział Topaz. - Można się było wiele od nich dowiedzieć.

- Uwierzyłbym temu, gdybym wiedział, kto za nimi stoi - odezwał się znowu Nefryt. - Też korzystałem z pomocy Agencji. Tak samo jak wiele dużych spółek, których interesy są zbieżne z interesami państwowymi. Ale zwykle ktoś wie, skąd wyszło zlecenie kontraktu.

- Są to rzeczy znacznie pilniej strzeżone, nawet w samej Agencji - rzekł Topaz. - Odkąd prasa wywęszyła, że ITT maczała palce w obaleniu Allende w Chile, Agencja dba, żeby nic się nie przedostało poza krąg bezpośrednich uczestników przedsięwzięcia.

- Poza tym - dodał Korund - gdyby ktoś naprawdę wiedział, na czym polega nasza cała operacja, obiektem ataku byłby Bogdan Subasić. Zawsze można znaleźć jakąś ofiarę na przynętę, ale Subasić jest nie do zastąpienia. Pracuje z nami od lat i można na nim w zupełności polegać. W dodatku stanowi najsłabsze ogniwo. Każdego z nas można zastąpić i operacja będzie kontynuowana. Ale po stracie Subasicia nigdy nie zdolalibyśmy zapobiec transferowi wynalazku Tesli.

Od tej chwili dyskusja rozkawałkowała się na dwu-, trzyosobowe fragmenty, ale w końcu z chaosu wyłonił się konsens. Tylko usunięcie Subasicia mogło zniweczyć plan, o którym poza nim i Komitetem Siedmiu nie wiedział nikt. Zapanował nastrój ulgi niczym po rozwianiu się chmury trującego gazu.

- A propos, czy coś się stało Flemingowi? - zaciekał się Beryl.

- Jest trochę poturbowany, ale niegroźnie - odpowiedział Korund. - Wczoraj wieczorem informował mnie o tym telefonicznie Subasić. Przyglądał się pokazowi ECM, jaki Fleming dał Holendrom, a potem podjął obserwację na lotnisku w Amsterdamie. Umówiliśmy się z nim, że nie należy Flemingowi za bardzo deptać po piętach, zanim nie wystawi się go serio na wabia. Na szczęście Subotić postanowił go pilnować, dzięki czemu tamci go nie załatwili. Bogdan stara się o dodatkową pomoc agentów wywiadu wojskowego w Amsterdamie. To ma być kilkudniowa przysługa, potem w Luksemburgu będzie już miał własną obstawę.

- Co powiedziano agentom w Amsterdamie? - zapytał Onyks

- To samo, co ludziom czekającym w Luksemburgu. Że Rosjanie chcą dopaść Fleminga z powodu tych jego urządzeń ECM, że zamierzają go uprowadzić, a w ostateczności zabić, żebyśmy nie mogli korzystać z efektów jego osiągnięć. Powiedzieliśmy im, żeby raczej uśmiercili Fleminga, niż pozwolili go porwać Rosjanom

- Ironią losu taki obrót może to właśnie przybrać - rzekł Beryl, po czym zapadła na krótko cisza, podczas której Komitet Siedmiu przetrawiał otrzymane informacje.

- Zależałoby mi bardzo na osobistym spotkaniu się z Subasicem w tej sprawie - oświadczył Nefryt. – Rozmowa z nim zawsze jest inspirująca, daje impuls do nowych pomysłów i rozwiązań.

- Jak wiesz - odparł Korund - Subasić musi trzymać się blisko Fleminga aż do końca operacji, co potrwa jeszcze niecały tydzień. Jeżeli do przyszłego piątku nie zlokalizujemy dokumentów Tesli i nie zdobędziemy ich, obawiam się, że czeka nas niezmiernie wyboista droga.

- Tak, wiem - powiedział Nefryt z poirytowaniem. - Nie spodziewam się przyjazdu Subasicia. Chciałem tylko podkreślić, że ma on wybitny dar szybkiego rozwiązywania problemów.

- Możemy jednak spotkać się z nim na przykład w Luksemburgu - zaproponował Onyks. - Bez trudu mogę to zaaranżować. Dla niepoznaki i ze względów bezpieczeństwa mogą to być trzy albo cztery loty o różnych punktach docelowych. Powiedzmy do Brukseli, Amsterdamu, Paryża i jeden do samego Luksemburga.

- Warto się nad tym zastanowić - podchwycił Obsydian.

- No, pewnie - przyklasnął Onyks. - Mogę to załatwić w ciągu kilku godzin. W końcu jest się w tym Szefostwie Połączonych Sztabów.

- Zanim się rozejdziemy - odezwał się Obsydian - chciałbym poruszyć kwestię natury etycznej. Nie zachwyca mnie to, że wykorzystujemy w tej sprawie obywatela amerykańskiego, a on o tym nie wie. Zgadza się, że nasza misja ma niebywałe znaczenie. Dokumentację broni mamy zasadniczo skompletowaną, brak nam jedynie, jak również... Rosjanom, metody naprowadzania na cel. Ale czy to usprawiedliwia posługiwanie się w taki sposób Jayem Flemingiem?

- To jest wojna - zaproponował Onyks. - Musimy zrobić wszystko, aby zapewnić sobie zwycięstwo.

- Tak - zgodził się Obsydian. - Ale nawet podczas wojny werbuje się ochotników. Czy nie powinniśmy dać Flemingowi szansy do wzięcia w tym udziału na prawach ochotnika?

- Obsydianie, stary druhu - dał się słyszeć stentorowy głos FitzGeralda. - Zgadza się, że wpłynęliśmy na niebezpieczne wody. Myślę, że wszyscy byśmy woleli, aby sprawy potoczyły się innym torem. Ale pamiętasz chyba, że Fleming dał nam kosza i to nie raz, ale kilkakrotnie,

gdy proponowaliśmy mu wstąpienie do Klubu Pasterza. Gdyby nie odmówił, każdy z nas bez wahania pomówiłby z nim poufnie o zadaniu, jakie ma wykonać. Ale prawda jest taka, że zignorował nas, a tak się składa, że nikt lepiej od niego nie zagra tej roli.

- Jednak - odrzekł Obsydian - kiedy będziemy już to mieli za sobą, chciałbym, żebyśmy wspólnie ustalili pewne zasady postępowania na okoliczność podobnej sytuacji w przyszłości.

- Na to zgoda - zapewnił go Diament.

Zebranie dobiegło końca i niebawem winda siedmiokrotnie raz po raz wjeżdżała do góry i powracała po następnego pasażera.

Diament, który jechał nią ostatni, by wcielić się znów w Liama FitzGerala, nie przestawał się trapić Korundem i Obsydianem.

Miał nadzieję, że nie dadzą powodu do żadnych drastycznych posunięć.

Rozdział 8

Waszyngton, 16 grudnia

Martin Copeland kręcił się niecierpliwie na krześle, podczas gdy generał Robert Guereri przeprowadzał kolejne rozmowy telefoniczne. Łącznie już odbył ich dwanaście. Minister obrony bawił w Kuwejcie, podlizując się Arabom. Wiceminister, z którym Guereri miał zwykle styczność, wyjechał na posiedzenie NATO do Brukseli. Marshall Dodd - najlepszy kontakt generała w Białym Domu - doznał udaru i przed kilkoma godzinami odwieziono go do Uniwersyteckiego Centrum Medycznego Jerzego Waszyngtona.

- Cholerny świat! - zaklął cicho Guereri. - Taki wspaniały facet. Wcielenie uczciwości. Ostatni Mohikanin. Rzucił słuchawkę na widełki, po czym połączył się z następnym numerem.

Odebrała sekretarka. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego jest poza miastem, wróci dopiero w poniedziałek. Generał znów obszedł się brutalnie ze słuchawką, która zsunęła się z widełek i dyndała na sznurze poza biurkiem.

Nie można było czekać do poniedziałku.

- Chryste, Marty! - zawołał generał, gdy Copeland zreferował mu całą sprawę. - Jeśli polowa z tego, co mówisz, jest prawdą, musimy działać i to natychmiast. I Guereri, kolega Copelanda z podchorążówki, człowiek, który nigdy nie zawiódł przyjaciela w potrzebie, chwycił za telefon i zaczął wydzwaniać. Był piątek, dochodziła czwarta po południu i waszyngtońskie urzędasy wypelzały wcześniej z biur niczym karaluchy ze szpar w ścianach.

Copeland był świadom tego, że musi dotrzeć jak najwyżej, najlepiej do samego prezydenta. I uważał, że jeśli ktoś może tego dokonać, to najprędzej Guereri. Teraz jednak zaczynał w to wątpić, widząc, że jego przyjaciel znowu bierze do ręki słuchawkę i wybiera następny numer.

Guereri zerkał na Copelanda i ogarniało go współczucie. Znał człowieka od ćwierć wieku, wiedział, że to dobry oficer, że jest do głębi uczciwy, ale nie wątpił, iż niezależnie od tego, czyjego rewelacje się potwierdzą czy nie, wojskowa kariera Martina się skończyła. Nie można się wypiąć gołą dupą na swego przełożonego i polecieć najbliższym cywilnym samolotem do Waszyngtonu z walizką pełną ściśle tajnych dokumentów. Oficerom nie wolno robić takich numerów. Niejednemu raz Copeland narażał się swoim zwierzchnikom. Dlatego do tej pory był ciągle tylko pułkownikiem. No, ale teraz ten Projekt Tesli to już szczyt wszystkiego. Copeland dobrał się do czegoś, co miało wymiar katastrofy państwowej.

Copeland nerwowo składał ramiona na piersi, to znów je rozkładał. Krzyżował i prostował na przemian nogi. Pociły mu się dłonie, czuł, że pot cieknie mu po żebrach, tworząc zacieki na koszuli. Twarz miał pobladłą i zmizerowaną, rysy wyostrome od zmęczenia i stresu. Pożegnawszy się z Alexandrą, pojechał wprost na lotnisko w Los Angeles, żeby złapać bezpośredni nocny samolot do Waszyngtonu.

Usiłował nie myśleć o tym przerażającym procesie, który wprawił w ruch, skupiał się na telefonicznych wysiłkach generała. „Tak, tak, mówię Guereri z Pentagonu”. W jego głębokim, opanowanym głosie nie było cienia irytacji. „Oczywiście, zaczekam”. Zakrył dłonią membranę i szepnęła do Copelanda:

„Dranie, zawsze każą ci czekać, żebyś wiedział jacy są ważni”.

- Tak, jestem na linii - potwierdził i niemal jednym tchem ciągnął: - Dzień dobry, rad jestem, że zechciał pan poświęcić mi trochę czasu. Mamy tu do czynienia ze sprawą takiej wagi, że Biały Dom powinien

się koniecznie o tym dowiedzieć, aja nie mogę jakoś dotrzeć zwykłymi kanałami do właściwych ludzi. Słucham? Tak, owszem, dzwoniłem także do niego. Dlatego w końcu pozwoliłem sobie na ten nadzwyczajny krok i zwróciłem się do Marshalla Dodda. Tak, tragedia. To prawda. Co? Kiedy? Kilka minut temu? - Guereri potrząsnął wolno głową i słuchał dalej prawie bezmyślnie. - Co? O piątej. Tak jest. Zaraz przyjeżdżamy. Bardzo dziękuję, panie Kingsley.

- Dodd nie żyje - powiedział zbolałym głosem odłożywszy ostrożnie słuchawkę. - Był najbliższym kolegą mojego ojca. Mówiłem do niego wujku. Załatwił mi przyjęcie do akademii.

Copeland wstał i objął przyjaciela ramieniem. Trwali tak jakiś czas, niemal zapominając, że mają zaraz umówione spotkanie w Białym Domu.

- Stałem się gabinetowym żołnierzem, Marty - żalił się Guereri. - Już nie umiem lekko brać śmierci. To przywilej młodych żołnierzy.

Chcąc zyskać na czasie wsiedli w wynajęty na lotnisku wóz Copelanda.

Popołudniowy potok aut sunął głównie ku trasom wylotowym, toteż dość szybko przejechali Memoriał Bridge obok pomnika Lincolna i jadąc przez Mail skręcili na północ w siedemnastą Ulicę w kierunku Białego Domu.

- Uważam, że w końcu wygraliśmy los na loterii - stwierdził Guereri. - Graham Kingsley to gość, na którego i tak prędzej czy później musimy się natknąć po drodze do prezydenta. Jeśli trzeba będzie skłonić prezydenta do interwencji, to on jest człowiekiem, którego potrzebujemy.

Słowa te podniosły Copelanda na duchu i złagodziły ciężar gniożącego go zmęczenia. Koncentrując się na prowadzeniu auta, nie zauważył jednak czarnego rządowego sedana, który towarzyszył im od chwili wyjazdu z parkingu Pentagonu.

Copeland podjechał pod zachodnie skrzydło budynku i wylegitymowali się obaj uzbrojonemu strażnikowi, który po sprawdzającym telefonie wpuścił ich za bramkę.

Po kilku minutach siedzieli w sekretariacie Kingsleya na sofce w stylu Hepplewhite, popijając kiepską kawę, ale z porcelanowych filiżanek.

Copeland spoglądał nerwowo na zegarek. Miał wrażenie, że obrót sekundnika wokół tarczy trwa godzinę. Ścisnął kurczowo trzymaną na kolanach aktówkę. Wiedział, że ujawniając jej zawartość dokonuje samodestrukcji. Odezwał się buczonek na biurku sekretarki, która z kwaśną miną dała im zielone światło.

W kominku naprzeciw biurka Kingsleya trzaskały płonące szczapy. Copeland witając się z nim, poddał się mimowolnie uczuciu respektu, bądź co bądź mówiono o tym człowieku, że ma większą władzę aniżeli prezydent. Gabinet robił imponujące wrażenie, emanował władczą aurą. Ściany były wyłożone boazerią z orzecha włoskiego, ogromne okno wychodziło na widoki Pennsylvania Avenue i Parku Lafayette'a, pod którymi mogliby się podpisać Matisse i Pissarro. No, a w głębi były drzwi prowadzące bezpośrednio do Gabinetu Ovalnego. To w oczach Copelanda mówiło więcej o więzi Kingsleya z prezydentem niż cały kampanijny folklor.

- Proszę, czujcie się, panowie, jak w domu. Siadajcie przy ogniu - odezwał się Kingsley głosem, którego brzmienie z miejsca podziało na Copelanda uspokajająco. Usiedli na sofie, Guereri w jednym, Copeland w drugim rogu, natomiast gospodarz zajął fotel tuż obok, krzyżując swobodnie swe długie nogi, po czym przyjrzał się kolejno twarzom obu gości z tak intensywną uwagą, jakby był malarzem, który zamierzał portretować ich później z pamięci.

- Brandy? - zapytał, prostując się i Guereri przytaknął, a Copeland odmówił. Bał się konsekwencji, jakie mogłyby wywołać alkohol w połączeniu ze zmęczeniem.

- Doskonale - powiedział Kingsley i z niszy pomiędzy oprawnymi w skórę książkami na regale przy oknie wyjął dwa kryształowe kieliszki oraz karafkę, również kryształową.

Wręczył kieliszek generałowi i po usadowieniu się ponownie w fotelu zapytał rzeczowo:

- No więc, panie generale, cóż to za sprawa tak nadzwyczajnie pilna, że nie można jej załatwić w normalnym trybie?

Guereri spojrzał na Copelanda, który stworzył aktówkę i powtórzył wszystko to, co przed trzema godzinami usłyszał od niego Guereri.

- Mam tu - oświadczył, wyjmując papier po papierze - rachunki, zakodowane depesze oraz inne dokumenty, które łącznie z tym - podał Kingsleyowi plik papierów - świadczą o tym, że grupa oficerów, urzęd-

ników Ministerstwa Obrony oraz grupa największych kontrahentów naszego wojska skonstruowała potajemnie nową potężną broń, której zamierza użyć we własnych celach. Otrzymałem też omyłkowo nie przeznaczoną dla mnie kopię notatki służbowej, która razem z pozostałymi dokumentami dowodzi, że ludzie ci prowadzą własną politykę zagraniczną za plecami Departamentu Stanu, wykorzystując przy tym mienie państwowe i fundusze rządowe.

Copeland umilkł, a Kingsley spokojnie upił łyk brandy, odstawił kieliszek i przerzucał w zadumie stosik wręczonych mu papierów, niektóre kartkował strona po stronie, wreszcie położył je miękko na stoliku.

- Może pan zacznie jeszcze raz od początku, pułkowniku - powiedział. - Niech pan swoimi słowami opisz ten spis, a ja za pana pozwoleniem nagram to wszystko, żeby nasza rozmowa miała trwały ślad.

Copeland skinął na znak zgody, a Kingsley polecił sekretarce, żeby przyniosła magnetofon, po czym zwolnił ją do domu, ku jej niewymownej uldze.

Miał jednak trudności z uruchomieniem magnetofonu i Copeland musiał mu pomóc.

- Dziękuję, a teraz proszę mówić, pułkowniku – rzekł Kingsley, kiedy krążek z taśmą zaczął się obracać.

Słońce już dawno zaszło, kiedy Copeland skończył. Przez trzy godziny Kingsley słuchał uważnie opowieści o tym, jak Copeland otrzymał omyłkowo dokument, z którym poszedł do swego zwierchnika, a ten go spławił, jak potem, posługując się notatką jak mapką, wertował różne archiwa, by zdobyć dodatkowe elementy układanki. Nie opuścił żadnego szczegółu, pominął tylko milczeniem kopertę powierzoną Alexandrze Downing.

Kiedy już wszystko z siebie wyrzucił, poczuł pustkę jakby opróżnił duszę. Ale niech się dzieje, co chce, zrobił to, co mu nakazywało sumienie. Nastąpiła cisza,

Kingsley siedział bez ruchu, świdrując obu oficerów nieprzeniknionym wzrokiem. Z zewnątrz dochodziły przytłumione hałasy ulicy, w pokoju słyszało się jedynie trzaski bryłek żaru w dogorywającym już palenisku.

- Dziękuję - odezwał się wreszcie Kingsley, podnosząc się z fotela.

Copeland i Guereri również wstali. Copeland miał ochotę potrząsnąć Kingsleyem, wykrzesać z niego jakąś odpowiedź, zapytać, co zamierza.

Uważał, że mu się to należało. Podjął przecież ogromne ryzyko, rzucając na szalę co najmniej swoją karierę. Pohamował się jednak.

- Sądzę, że zgromadził pan materiał do potencjalnego kryzysu na niebywałą skalę - oświadczył poważnie Kingsley, krzyżując nieruchomo oczy ze spojrzeniem Copelanda. - Mamy wprowadzić nagranie, ale myślę, że powinien pan osobiście porozmawiać z prezydentem. Proponuję, żeby pozostał pan chwilowo w Waszyngtonie jako gość Białego Domu, prawdopodobnie jutro lub pojutrze uda mi się załatwić panu audiencję.

Copelandowi zrobiło się lekko na sercu. Tym razem nie była to jeszcze jedna jałowa potyczka z biurokracją. Coś się będzie działo. Sprawa ruszy z miejsca.

- Dziękuję bardzo, panie Kingsley - powiedział niemal wylewnie. - Nie ma pan pojęcia, co to dla mnie znaczy, że zechciał pan przyłożyć rękę do tego, by sprawiedliwości stało się za dość.

- Pułkowniku, nie robię tego dla pana - przywołał go do porządku Kingsley. - Robię to dla dobra kraju. Niemniej wyrażam podziw dla pana odwagi i inicjatywy i cenię sobie także - spojrzał na generała Guereri - że zwrócił się pan z tym do mnie. To był fortunny zbieg okoliczności, że zwykle kanały nie dały się uruchomić i że akurat byłem w biurze. W przeciwnym razie rzecz mogła ugrzęznąć gdzieś po drodze i byłoby za późno na interwencję. Dziękuję - uściśnął dłonie obu oficerów i odprowadził ich aż do windy.

Copeland czuł się jak wniebowzięty. Szli z powrotem w milczeniu, jeden i drugi na swój sposób starał się uporządkować wydarzenia minionego wieczoru. Copeland spojrzał na zegarek i stwierdził, że minęła już ósma. Był na nogach prawie od czterdziestu godzin, ale czuł się dziwnie wypoczęty i równie rześki jak po wstaniu z łóżka w minioną środę. Po raz pierwszy, od czasu gdy zgłosił się z tą zabłąkaną notatką do swego dowódcy, odnosił wrażenie, że nie tylko ma szansę na pozostanie pośród żywych, ale ocali swoją karierę, no i zobaczy znów Alexandrę.

Milczeli nadal, gdy Copeland po odjechaniu spod Białego Domu okrążył Ellipse, kierując się do Pentagonu. Wprowadził Guereri zaproponował, że odbierze swój samochód z parkingu, jadąc po niego tak-sówką, ale Copeland nie chciał o tym słyszeć.

Ułatwiło to bardzo zadanie trzem ludziom w czarnym sedanie. Gawędzili sobie przedtem przyjaźnie z dwoma agentami Secret Service, ale widząc odjeżdżającego Copelanda szybko się z nimi rozstali i ruszyli w ślad za nim.

Most nad Potomakiem przy Czternastej Ulicy jest udręką miejskiego wydziału drogowego. Ruch jest tam tak intensywny, że nawierzchnia stale wymaga napraw i łatania pokaźnych dziur. Prawie ciągle jeden pas jezdni, czasem nawet więcej niż jeden, jest zablokowany przez ciężki sprzęt remontowy. Tego wieczoru także tak było i Copeland z daleka widział jaskrawą poświatę lamp łukowych, w świetle których wielki gąsienicowy dźwig układał na moście betonowe płyty. Ruchem dyrygował facet z chorągiewką, to przepuszczając, to wstrzymując auta, by ułatwić pracę dźwigowi.

Copeland był do głębi pochłonięty myślami o Alexandrze i obiecany przez Kingsleya spotkaniu z prezydentem. Jutro przyjmie go prezydent!

- Nie wiem, jak ci dziękować, Bob - odezwał się. - Postawiłeś dla mnie wszystko na jedną kartę.

- Nie ma o czym mówić - odparł Guereri przekonany, że kiedy całe to szambo się rozleje, będzie aż za dużo gadania. - Od czego ma się przyjaciół?

Robotnik z chorągiewką znów nią machnął i Copeland myślał, że zdąży przejechać, ale nie udało się, więc wrzucił luz i czekał. Tymczasem operator żurawia uniósł w powietrze betonową płytę rozmiarów drzwi do garażu i kołysał nią ponad jezdnią. Po chwili zniknęła im z pola widzenia. Przed nimi kilku robotników z taśmami przechodziło w poprzek zamkniętych dla ruchu pasów. Copeland przypuszczał, że zaraz dostanie sygnał do przejazdu, ale nagle usłyszał krzyk, a potem rozległ się przeciągły metaliczny zgrzyt, charakterystyczny dla rozpadającej się skrzyni biegów. Spojrzał do góry i osłupiał, widząc jak dach auta wybrzusza się nad ich głowami i w tysięcznym ułamku sekundy pęka. Copelanda ogarnął bezmierny żal, że już nigdy nie zobaczy Alexandry.

Gruba płyta betonu zgniotła auto jak puszkę sardynek. Z ociekającego krwią wraka wydobyto sprasowane szczątki pułkownika Martina Copelanda i generała Roberta Guereri. Skrzynia biegów żurawia była kompletnie rozwalona i eksperci doszli do wniosku, że w pewnej chwili dźwig po prostu stracił kontrolę nad ogromnym ciężarem płyty. Co

prawda, jeden z biegłych podejrzewał, że skrzynia biegów mogła być celowo uszkodzona, ale nie udało się tego ustalić z całą pewnością. Policja nie odnalazła operatora dźwigu. Wynajęto go tegoż dnia po tym, jak etatowy operator zachorował nagle po obiedzie.

I nikt nie zauważył trzech mężczyzn w czarnym sedanie z czarnymi felgami; jeden z nich przeprowadził szereg rozmów przez radiotelefon z ludźmi rozstawionymi wokół Pentagonu. Kilku mężczyzn stojących w pobliżu miejsca wypadku opuściło posterunki i rozeszło się do domów. Mieli w razie potrzeby wejść do akcji, ale żaden nie zwrócił uwagi na samochód, którym jechali Copeland i Guereri. Byli zadowoleni, że skończyło się na staniu, zapłata tak czy owak była taka sama.

„Wypadki się zdarzają” - rzekł do siebie operator dźwigu, uruchamiając swój samochód. Nie był ciekaw, kim byli ludzie, którzy zginęli. Płacono mu za zdarzenie się wypadków.

Rozdział 9

Lejda, Holandia, 17 grudnia

Spod burego nieba spadały na Lejdę strugi nieustępliwego deszczu. Miasto topiło się w wodach kolejnej nawałnicy. Po wyjściu z pociągu Fleming, klnąc jak szewc, schował się pod okapem domu towarowego i pozapinał szczelnie szarpany wiatrem płaszcz. Prysły nadzieje na relaksową przechadzkę dla odświeżenia odległych wspomnień. Żałował teraz, że przyjechał pociągiem, a nie wynajętym samochodem.

Oslaniając się bombardowanym przez deszcz parasolem, wszedł w Steen Straat. Profesor Anderson mieszkał o dziesięć minut drogi od dworca, w domu nad kanałem przy Apothekers Dijk.

Ulice były wyludnione. Ulewa miała tę dobrą stronę, że łatwiej było stwierdzić, czy ktoś go śledzi. Ale właściwie zarzynał uważać tę okoliczność za mało prawdopodobną. W trakcie godziny spędzonej w pociągu doszedł do wniosku, że być może pod wpływem zmęczenia zbyt nio ulega wyobraźni, że po prostu padł ofiarą zwyczajnego napadu. (czarnowłosa zabójca i trzy trupy w mrocznym zaułku to zapewne produkt nadmiernego znużenia. Postanowił, że przed opuszczeniem Holandii zgłosi się w amsterdamskiej policji.

Skądinąd wiedział, że wizyta na policji nie uspokoi go niezależnie od tego, czego się tam dowie. Są dwie możliwości - albo znaleźli trzy nafaszerowane ołowiem ciała, albo nie. Ani jedna, ani druga możliwość nie była pocieszająca. Jeśli znaleźli truposzy, to znaczy, że istotnie ktoś nastawał na jego życie i kiler, który go uratował, nie był zjawą. Druga ewentualność oznaczała, że traci zmysły. Z dwojga złego wolał to pierwsze. Niczego nie obawiał się bardziej niż sfiksowania.

Minął trójkątny park, gdzie przy lepszej pogodzie łodzie wycieczkowe dobiegały do nabrzeża i turyści wychodzili na lunch. Ze zgrozą odnotował kolorowy neon McDonalda po drugiej stronie kanału. Przekroczył mostek, wchodząc w Rapenburg Prinsessekade, skąd Apothekers Dijk oddalony był o rzut kamieniem. Na prawo od Fleminga Stary Ren wpływał posłusznie w kanał. Idąc powoli mokrym ceglany chodnikiem, szukał numeru domu Andersona. Znalazł go tuż za Kenne Wegst. Był to zaniedbany trzypiętrowy budynek, odcinający się od sąsiednich brudną, odrapaną fasadą. Wyglądało na to, że Anderson nie opływał w dostatki.

Wszystkie inne domy na Apothekers Dijk były świeżo wypacykowane, na drzwiach błyszcząły polerowane kołatki i tabliczki z nazwiskami właścicieli, jedynie kołatka Andersona nie grzeszyła czystością, podobnie jak drzwi, które pozwalały się tylko domyślać, że zostały wykonane ze szlachetnego mahoni. Fleming zakolał trzykrotnie i po kilku chwilach brzęknął spuszczone łańcuch, stęknęła mocno solidna zasuwka i w otwartych drzwiach ukazał się Anderson.

Jego widok poruszył Fleminga do głębi. Pod oczami profesora wisiały wielkie fioletowe worki, obwiedzione upiornie zszarzałą skórą. Siwe włosy stroszyły mu się na głowie niczym wiehcie siana. Anderson wpatrywał się w niego żółtymi, kaprawymi oczami zza osłony bardzo grubych szkielec. Ubrany był w brązowy rozpinany sweter, flanelową koszulę i brunatne tweedowe spodnie. Trzęsły mu się ręce i wionęło od niego stęchlizną, jak z ciemnej, wilgotnej piwnicy. Miał pięćdziesiąt trzy lata, a wyglądał na siedemdziesiąt. Fleming miał ochotę zrobić w tył zwrot i odejść.

- Dzień dobry, panie Fleming - odezwał się profesor drżącym, starym głosem.

- Dzień dobry - odrzekł Fleming, najpogodniej jak potrafił.

-Cieszę się, że pan przyszedł - wyjąkał Anderson.

Stali obaj, patrząc na siebie w milczeniu akcentowanym tylko odgłosem kropli kapiących z parasola Fleminga. Anderson bynajmniej nie sprawiał wrażenia, że jest zadowolony z jego odwiedzin.

Wydaje mi się, pomyślał Fleming. Złudzenie. Nie zapraszałby mnie, gdyby sobie nie życzył mnie widzieć. Przecież się mnie nie boi? Nie ma powodu, opanuj się człowieku.

- Proszę, niech pan wejdzie - powiedział w końcu Anderson. - Strasznie pada. Całkiem pan przemókł - spojrzał na mokre nogawki Fleminga. - Czuje się pan z pewnością okropnie. Proszę, proszę do środka.

Fleming przestąpił próg, stanął na kafelkowej posadzce, złożył parasol, otrząsnął go i powiesił na kołku przy drzwiach. Tymczasem Anderson zniknął w mrocznym pokoju na lewo od wejścia.

Fleming zawiesił płaszcz na drugim kołku i wszedł do pokoju. Profesor opadł na sfatygowany fotel przy oknie wychodzącym na kanał. Zaciągnięte szczelnie story nadawały pokojowi aurę cokolwiek pogrzebową. Na lewo od fotela Andersona stał stolik z niewielką mosiężną lampą, a po przeciwnej stronie drugi fotel w jeszcze gorszym stanie niż ten, który zajął profesor. Naprzeciw Andersona widać było gołą sofę bez poduszek. Nie było innych mebli. Odciski na dywanie i odcinające się od ścian blade prostokąty wskazywały, że meble oraz obrazy zostały spieniężone. Cały pokój pachniał identycznie jak Anderson.

Co się z tym człowiekiem stało? - zastanawiał się Jay.

- Ten mój grzbiet - stęknął profesor, którego uwagi nie uszło zdziwienie Fleminga. - Dokucza mi od jakiegoś czasu, zwłaszcza przy deszczowej pogodzie. Powinienem poszukać przyjaźniejszego klimatu.

Fleming zauważył, że od czasu ich ostatniego spotkania zmienił się także znacznie sposób mówienia profesora. Połykał teraz zgłoski, zaciął się bełkotliwie i w ogóle wyglądał jak dziadyga na ostatnich nogach.

Jay przeszedł przez pokój, zmierzając ku sofie.

- Nie tam! Tutaj! - gwałtownie zbulgotał Fleming, wskazując natarczywie fotel obok siebie.

Fleming spojrzał na niego zaskoczony, ale usłuchał. Jakiego „przełomu” mógł dokonać ten ludzki wrak?

- Pogorszył mi się ostatnio wzrok - wyjaśnił, najwyraźniej zażenowany swoim wybuchem.

- Może odsłoń trochę story? - zaproponował Jay i ruszył ku oknu.

- Nie, proszę nie. Światło... - szukał właściwych słów - światło kluje mnie w oczy. Nawet w takie dni jak dziś.

Jay popatrzył na niego badawczo, po czym wrócił na swój fotel.

- Czy zjawilem się może nie w porę, panie profesorze? - spytał.

- Obecnie na ogół każda pora jest dla mnie niedobra - odpowiedział żałośnie Anderson. - Jak panu z pewnością wiadomo, ostatnie lata nie były dla mnie łaskawe. Najpierw, jeśli chodzi o moje badania, a następnie — obrzucił wzrokiem ogołocony z umeblowania pokój - podupałem na zdrowiu. Potrząsnął głową, jak gdyby przywołując pamięcią jakieś bolesne wspomnienia.

- Nawet pan nie wie, jaki z pana szczęściarz - ciągnął, powracając do rzeczywistości. - Jest pan zdrowy... Zdrowie... to takie ważne. Być zdrowym.

- Przykro mi, profesorze - rzekł współczująco Jay. - Czy mógłbym panu jakoś pomóc?

- Mnie? - spytał nieuważnie. - Życzyłbym sobie tego bardzo, ale chyba przekroczyłem już ten punkt... - głos mu się załamał, jakby wysiłek dokończenia zdania był dla niego zbyt wielki.

- A więc, profesorze? - zagadnął łagodnie Jay, aby przejść do celu swej wizyty, oszczędzając mu zakłopotania.

Anderson popatrzył na niego zdziwiony, po czym pochylił się z trudem i wyciągnął spod fotela grubą kopertę. Następnie wyprostował się mozolnie i położył ją sobie na podolku. Popatrując na Jaya, zaczął szperać w kopercie, szeleszcząc przekładanymi w niej papierami. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć i nagle osunął się bezwładnie w fotelu, zwiesił ramiona, ale nie odrywał od koperty nieruchomych już dłoni.

- Proszę - odezwał się znużonym głosem, biorąc kopertę w rozdygotane dłonie i wyciągając ją w stronę Fleminga. - Nie mogę. Nie poradzę sobie z tym wszystkim. Niech pan to weźmie.

Jay uniósł się z fotela i pochylił się ku niemu. Koperta wysliznęła się jednak z rąk Andersona, a jej zawartość wypadła na podłogę pod stopy Fleminga. Były to liczne kserokopie rozmaitych dokumentów, na jednych widniała pieczęć amerykańskiego Ministerstwa Obrony, na innych Ministerstwa Knergetyki, wszystkie opatrzone adnotacją „Ściśle tajne”.

- Przełom - wymamrotał Anderson.

Fleming przerzucał niecierpliwie papiery, z niektórymi podchodził do okna, bo przez ciężkie zasłony przesączało się trochę dziennego światła.

- To bardzo interesujące, panie profesorze – powiedział Kleming niepewnie po pobieżnym przejrzeniu całości. - Mówiąc zupełnie szczerze, jestem zdumiony, że mi pan to pokazuje.

- Oni chcieli, żebym to przedstawił jako wynik mojej pracy. I żebym pana o tym powiadomił. Niby, że to moje własne odkrycie.

- Kim są ci „oni”? - spytał Jay i poczuł, że mu ciarki wędrują po plecach. Coś tu brzydko pachniało i nie był to z pewnością efekt bujnej wyobraźni.

- Kim są oni? - Anderson przymrużył ciężko powieki.

- Oni? Dlaczego... Wlepiał oczy sufit, po czym opuścił wzrok na swoje złożone na kolanach dłonie. - Nie pytałem, kim są.

- Nie pytał pan...

- Kiedy zjawiają się u kogoś ludzie, którzy znają najdrobniejsze szczegóły jego życia, włącznie z opłakany stanem konta bankowego i jeszcze bardziej godnym pożalowania stanem zdrowia, którzy wiedzą, że wyprzedaje on meble, obrazy oraz pamiątki rodzinne, żeby spłacić dług hipoteczny i kiedy ci ludzie, którzy wiedzą tak dużo, oferują temu komuś tyle pieniędzy, że wystarczy ich na wygodne życie, to nie wypada pytać, kim są. Zresztą to byli ludzie, którzy nie odpowiadają na pytania. Rozumie mnie pan?

- Anderson uchwycił się kurczowo poręczy fotela, wychyliwszy się z niego z błagalnym wyrazem twarzy, po czym dostrzegając zmieszanie Jaya westchnął i opadł z powrotem na fotel.

- Ale dlaczego dali panu te papiery? Wie pan, co zawierają?

- Czy wiem, co zawierają? - odparł z oburzeniem. - Co pan sobie wyobraża? Prowadziłem badania impulsów elektromagnetycznych, kiedy pan zmagał się z tabliczką mnożenia.

- Nie zamierzałem imputować... -Jay rozłożył dłonie, nie bardzo wiedząc, czego nie zamierzał imputować. - Po prostu to dziwne, że anonimowi ludzie wręczają panu pakiet tajnych amerykańskich dokumentów po to, żeby trafiły do moich rąk. Zwyczajnie nie rozumiem...

- Chodziło o ściągnięcie pana tutaj - wyjaśnił profesor.

- To miało stanowić pretekst naszego spotkania. Miałem panu powiedzieć o dokonany przeze mnie „przełomie” -

wymówił to słowo z goryczą - a następnie powtórzyć pewną pogłoskę, z jaką mnie zapoznał jeden z moich godnych za ufania kolegów.

- To znaczy jeden z tych dżentelmenów, którzy dali panu papiery i pieniądze?

- Tak jest. Kazali mi panu powiedzieć... powiedzieć, że... - głos mu słabł i Jay nachylił się ku niemu, żeby lepiej słyszeć, który to ruch ocalał mu życie. W tej samej bowiem, chwili na okno za nim spadła ulewa pocisków, dziurawiąc kotary i rozpryskując po całym pokoju odłamki szkła.

- Na podłogę! - krzyknął Jay, padając jednocześnie płasko na dywan. Ale Anderson tkwił sztywno w fotelu z dziecięcym wyrazem zadziwienia na twarzy. Jay podczołgał się do niego i ściągnął go za nogi z fotela.

- No, nie - powiedział profesor. - To nie miało prawa się zdarzyć. Obiecywali, że nic mi się nie stanie, jeśli będę z nimi współpracował.

Oparł się plecami o fotel i usiłował wstać. Jay schwycił go za kołnierz i przycisnął do podłogi i w tymże momencie następna salwa przeszła przez okno, kancerując ospowato tynk na ścianach.

- Niech się pan nie rusza! - rozkazał Jay i podpełzł do wejściowych drzwi, sprawdzając, czy są zamknięte. - Są tu tylne drzwi? - spytał, powróciwszy na czworakach do pokoju.

Anderson zaprzeczył ruchem głowy.

- Obiecali, że nic mi nie zrobią - skarżył się płaczliwie jak dziecko. - Będę musiał o tym z nimi porozmawiać.

- Gdzie jest telefon? - spytał Jay, lecz Anderson nie odpowiadał, podnosząc na niego pusty wzrok.

- Telefon - powtórzył Fleming. - Gdzie on jest?

- W kuchni.

Czołgając się po odłamkach szkła ruszył przez korytarz na tył domu. Wtem rozległo się walenie w drzwi. Ktoś próbował je sforsować, chyba młotem, bo uderzenia odbijały się echem donośnym jak strzały armatnie.

Po wiekach poszukiwań Jayowi udało mu się znaleźć aparat telefoniczny. Podniósł słuchawkę do ucha. Nie było sygnału. Najwidoczniej kabel został przecięty. Walenie w drzwi przybierało na sile, wnosząc z odgłosów pękającego drewna, mogły ustąpić lada moment. Strzelanina

ucichła. Jay buszując gorączkowo w kuchennych szufladach znalazł długi ostry nóż i schował go do tylnej kieszeni spodni.

Zastał Andersona skulonego w pozycji embrionalnej. Na jego swetrze poniżej łopatek lśniły dwie czerwone plamy wielkości spodeczka do herbaty. Zza drzwi słychać było głosy napastników. Nie było wątpliwości, że zaraz wedrą się do wnętrza. Jay zarzucił sobie na bark wątłe ciało profesora i pognął ku schodom.

Schody w starych holenderskich domach nad kanałami są strome jak drabina i niewiele szersze. Jay potykał się raz po raz, objijając Andersona o ściany i kłął na czym świat stoi.

Na podeście drugiego piętra przystanął, żeby nabrać tchu. Frontowe drzwi musiały już być wyważone, sądząc po dochodzących z dołu zwycięskich okrzykach. Fleming zapalił światło na podeście i ruszył na trzecie piętro. Było tam czworo drzwi. Balansując wiszącym mu na plecach Andersonem pchnął pierwsze z brzegu, wrzucił profesora do środka i zamknął je znów na klamkę.

Żarówka oświetlająca podest tego piętra była osłonięta małym kloszem. Fleming zdjął go, wykręcił żarówkę i przykucnął w najciemniejszym kącie przy schodach, czekając, aż oczy przyzwyczają się mu do ciemności.

Z podestu poniżej dobiegły go dwa różne stapania, pojękiwała wiekowa podłoga, skrzypiały otwierane i zamykane drzwi. Ktoś komuś kazał po angielsku szukać dalej. Schody zatrzeszczały, ktoś się po nich ostrożnie wspinał. Wszystko teraz zależało od tego, kto, kogo pierwszy dostrzeże. Fleming jego, czy on Fleminga. Jay wyciągnął nóż i ułożył go sobie w prawej dłoni.

Światło z niższego podestu ujawniło na ścianie cień z długą lufą jakiejś broni. Jay uśmiechnął się lekko, gdy mężczyzna raz za razem pstrykał włącznikiem wściekły, że światło się nie zapala. Kręcił przy tym czujnie naokoło rudą głową, w którą tuż za uszami wrastał byczy kark wbity wprost w potężne bary.

Skulony w swej kryjówce Jay oddychał równo i głęboko, jak podczas wstępnych harców przed walką powietrzną. Byczy kark znów próbował włączyć światło, wreszcie zrezygnował i ruszył dalej do góry. Szybciej! - ponagłał go w myślach Fleming. Im szybciej idziesz, tym twoje oczy mniej widzą. Tamten przystanął na moment, rozejrzał się z wolna, po czym prędko pokonał sześć ostatnich stopni. Był tak wielki,

że głową sięgał niemal sufitu. W garści trzymał - zresztą dość nonszalancko - izraelski pistolet maszynowy uzi z dużym, cylindrycznym tłumikiem na lufie.

Bez namysłu podszedł do drzwi pokoju, w którym leżał Anderson, otworzył je kopnięciem i odskoczył z uzi gotowym do strzału. Dobiegło go stamtąd jedynie dyszenie Andersona, usiłującego łąpać powietrze w przestrzelone płuca. Ośmielony, zdjął jedną rękę z uzi, wymacał kontakt elektryczny i po chwili snop żółtego światła z pokoju padł na deski podestu. Między rozstawionymi nogami olbrzyma widać było leżącego w kałuży krwi Andersona.

- Znalazłem jednego! - krzyknął olbrzym po angielsku z akcentem, który - Jay mógł na to przysiąc - wywodził się z Long Island. - Na trzecim piętrze! - dorzucił i po chwili Jay usłyszał jak ktoś szybko wchodzi na górę.

Tymczasem olbrzym ruszył przez pokój w kierunku Andersona. Jay rzucił się za nim, lecz po drugim kroku zaskrzyphiała mu deska pod stopą i rudy kolos się odwrócił. Jay zderzył się z nim, wskutek czego runęli obaj na podłogę, ale zdążył mu wbić nóż między łopatki w pobliżu kręgosłupa.

Olbrzym zaryczał jak zraniony słoń usiłując wstać i strząsnąć z siebie Jaya niczym dziki mustang potrząsający jeźdźcem. Jay nie puścił noża, wyciągnął go tylko gładko z zadanej rany. Olbrzym podźwignął się na czworaki, nie wypuszczając z rąk automatu.

- Co tam się dzieje? - odezwał się głos z dołu i kroki po schodach nabrały tempa. Fleming skoczył rudemu na plecy i ciął go ukośnie po tętnicy szyjnej.

Kolos wrzasnął i uniósł się na nogi, odrzucając Jaya do tyłu, który uderzył głową w ścianę. Nóż wypadł mu z ręki. Oszołomiony wstawał z trudem. Broczący krwią olbrzym wyszczerzył zęby i wycelował w niego uzi z palcem na spuście. Jay rzucił się w przód, lecz zanim pokonał dwa dzielące ich metry, tamten osunął się na deski podestu.

Jay przystanął chwiejnie patrząc na leżące przed nim ogromne ciało, gdy nagle rozległy się uporczywe kaszlnięcia. Przez ułamek sekundy Jay pomyślał, że to może Anderson pokasłuje, ale sypiący mu się na głowę tynk i ściegi otworów na suficie wyprowadziły go z błędu. Drugi napastnik, uzbrojony także w uzi z tłumikiem, strzelał na ślepo ukryty gdzieś niżej na klatce schodowej.

Jay wydobyl automat spod zwlok olbrzyma i odsunawszy się z linii ognia, przełączył uzi z ognia ciągłego na pojedynczy. Musiał oszczędzać naboje. Poświęcił jeden na zgaszenie światła w pokoju, pograżając go w ciemności. Zaskoczyło to tamtych na dole, strzelali teraz o wiele za wysoko. Jay przy-czołgał się na brzuchu do drzwi i kiedy błyski wystrzałów oświetliły na moment korytarz, pociągnął dwa razy za spust. Dało się słyszeć wrzaski połączone z łomotem staczającego się po schodach ciała.

Nastała cisza. Jay wrócił po omacku do pokoju. Podłoga była śliska od krwi. Jay wziął uzi i odkręcił tłumik. Może kto usłyszy strzały i wezwie policję.

Na schodach nadal było cicho. Tylko na podeście drugiego piętra szamotał się i stękał człowiek postrzelony przez Fleminga.

- Profesorze - szepnął Jay przysunawszy się do Andersona. - Słyszysz mnie pan?

Anderson poruszył głową. Od strony schodów znów zafurczała seria z uzi. Jay w odpowiedzi dał dwa razy ognia. Wystrzały w pudełku małego pokoju dawały huk jak z haubicy. Słyszając znów ruch na schodach Jay odciągnął Andersona pod ścianę poza pole ostrzału. Profesor jęknął.

- Luksemburg - wymamrotał. - Luksemburg... Papiery Tesli... mają sprzedać... te brakujące... trzeba je zdobyć... koniecznie... strasznie ważne dla Zachodu... nie pozwolimy Sowiecom... Sowieci...

Do pokoju przyfrunął kolejny rój pocisków.

- Cii - syknął Jay. - Mogą nas usłyszeć.

Od schodów dobiegł metaliczny dźwięk i Jay pomyślał, że wydał go pusty odrzucony magazynek. Zaryzykował skok na środek pokoju i nacisnął trzykrotnie jęczyczek spustowy. Ale uzi wypalił tylko dwa razy.

Człowiek na schodach zaklął. Jay już się cieszył, że go trafił, ale za chwilę usłyszał charakterystyczny szcęk zakładania nowego magazynka i w ślad za tym posypały się kolejne pociski. Cofając się pod ścianę, posłyszał jednak, że trzeci napastnik wolno schodzi na dół. Może jednak dostał?

Odłożył pistolet i podpełzł do zabitego olbrzyma w nadziei, że ten ma przy sobie zapasowe magazynki. Ale nic nie znalazł. Pewnie wystrzelał wszystkie w okno na początku ataku. Pozostawała nadzieja, że ktoś jednak usłyszał strzały Jaya. Zamknął drzwi i zastawił je ciężką komodą, przesuniętą spod ściany.

Anderson zaczął żałośliwie jęczeć jakby w paroksyzmie agonii. Jay zbliżył się do niego, chcąc go uspokoić.

- Trzeba... słuchaj. Najważniejsza rzecz - dyszał ciężko profesor, dobywając z siebie resztki sił. - Musisz jechać... Luksemburg... nie dać papierów Rosjanom.

- Kazali to panu powiedzieć ludzie, od których pan wziął pieniądze? - szepnął Fleming.

- Tak - wykrztusił Anderson. - Mówili, że tylko pan może zapobiec tej wymianie.

-Jakiej wymianie?

- Rosjanie... bliscy... skompletowania ich... nie mogą dostać papierów Tesli...

- I to ma nastąpić w Luksemburgu? Gdzie? Co ja mam zrobić? Jak mogę temu przeszkodzić?

- Podnieść stawkę... przelicytować nabywców... bank... tam jest bank...

- W Luksemburgu jest mnóstwo banków.

- W piątek... - bełkotał Anderson w przedśmiertnych drgawkach. - Zapobiec koniecznie... - zatchnął się. - Przed albo... za późno - wycharczał i skonał.

Tuż za drzwiami skrzypnęła podłoga, zagrzechotała gałka. Jay zostawił Andersona i zaczął po omacku szukać na podłodze noża. Drzwi ustępowały tłukąc w tył komody. Jay dał susa i przycisnął ją znów do drzwi. Grzęzły w niej głucho pociski. Jay podsuwał stale komodę, ale ślizgał się na zakrwawionej podłodze i tracił teren po każdym pchnięciu z tamtej strony. Gdzieś tam za nim leżał nóż, ale bał się odejść od komody, żeby go poszukać.

Wtem z wnętrza domu dobiegły go wibracje wywołane tupotem nóg. Ogarnęła go przeraźliwa panika. Czuł w piersiach jej dzikie szpony. Posiłki.

Tajemniczy zabójcy wezwali posiłki.

Był bliski płaczu. Wibracje nasilały się, ale atak na drzwi ustał. Jay przyparł znów do nich komodę i ruszył ku małemu zasłoniętemu oknu w końcu pokoju. Zerwał storę i wdrapał się na parapet. Trzy piętra niżej deszcz rozmiękczał na papkę kupę śmieci. Żadnych daszków, żadnych gzymsów, bez szans na ucieczkę.

Czytał, że ludzie wychodzili cało spadając ze znacznie większej wysokości, z piętnastu, z dwudziestu metrów. Za drzwiami rozlegały się donośnie jakieś głosy. Otworzył okno i siadł na nim, z nogami dyndającymi na zewnątrz. Popatrzył w dół i strach targnął mu wnętrzości. Sprężył się do skoku, spojrzął w dół i zakreśliło mu się w głowie.

Już, już zaczynał się odrywać od parapetu, gdy usłyszał za sobą strzały i okrzyk: „Policja. Ręce do góry!”, a potem szuranie odsuwanej od drzwi komody. Odwrócił głowę i ujrzał niewyraźną w półmroku postać policjanta w mundurze.

- Nie strzelać! - zawołał po holendersku, schodząc po spiesznym z okna. - Nie jestem uzbrojony.

Jay Fleming spoczywał półleżąc na siedzeniu obok kierowcy w nieoznakowanym aucie policyjnym jadącym dwupasmówką A-cztery z Lejdy do Amsterdamu.

- Sąsiad usłyszał strzały - wyjaśnił mu ubrany po cywilnemu porucznik Wilem VanDeventer. Był to wysoki, smukły mężczyzna o smutnym spojrzeniu wodnistych, niebieskich oczu. To właśnie on mniej więcej przed godziną zjawił się w pokoju na trzecim piętrze u Andersona razem z tym policjantem w mundurze, który zastał Jaya na parapecie okna. Porucznik objął roztrzęsionego Jaya opiekuńczym ramieniem i sprowadził go na parter. Złożono już tam wszystkie cztery ciała - Andersona, olbrzyma, osobnika, którego Jay zastrzelił na schodach, i trzeciego napastnika, zabitego przez podwładnych porucznika. Jay od razu poinformował go, że bandyci byli najprawdopodobniej Amerykanami, ale VanDeventer nie bardzo słuchał. Poczęstował Jaya szklaneczką oude geneuer, holenderskiego ginu, i postanowił odesłać go jak najprędzej pod eskortą do hotelu.

- Będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu na wypełnienie wszystkich niezbędnych formularzy, nieprawdaż, panie Fleming? - błysnął rozbijając uśmiechem, który mógł budzić jedynie ufność i napawać otuchą. - Bądź, co bądź żaden z tych nieszczęśników nie oddali się zbytnio, czyż nie tak? - porucznik miał zwyczaj kończenia zdań pytaniami, co utrudniało rozmówcy sprzeciw.

Zresztą Jay nie zamierzał teraz wdawać się z nim w dyskusję. Nie miał nic przeciwko odwiezieniu go przez sierżanta Dukkersa do Amsterdamu. Sierżant miał przecież nazajutrz zabrać Jaya z powrotem do

Lejdy w celu złożenia zeznań i uczynienia zadość wszelkim formalnościom.

Kiedy mijali lotnisko Schiphol, deszcz ograniczył się do nędznej mżawki, a Jayowi przypomniała się ta deszczowa noc zaraz po przylocie do Amsterdamu firmowym Golfsztromem. To było zaledwie przedwczoraj. Ktoś chciał go zgładzić. To było bezsporne. Ulga, że nie pada ofiarą omamów, ustąpiła miejsca uczuciom bardzo mieszanym. Lękowi, że zostanie zabity, grozie powtórnego spotkania z widmem śmierci, żalowi związanemu z losem biednego profesora Andersona.

Całe to polowanie na jego życie było dla niego nowym doświadczeniem. Był nauczony, jak należy polować i zabijać w powietrzu, teraz musiał się uczyć nowego rodzaju taktyki i nowego sposobu myślenia.

Postanowił, że zanim opanuje tę umiejętność, będzie korzystał z wiedzy swojego szefa ochrony Douglasa Denoffa. Zaraz po przybyciu do hotelu zatelefonuje do niego.

Sierżant Dukkers, porzuciwszy A- cztery, skręcił na północ w A-dziesięć, a następnie w S-sto pięć, prowadzącą do dzielnicy staromiejskiej. Niebawem S-stopień przeszła w Rozengracht. Zaraz potem przecięli Prinsengracht i zбочyli w lewo, skąd od hotelu dzieliło ich zaledwie kilkanaście domów.

Jednokierunkowa uliczka była jak zwykle zapchana, ale tym razem Jay nie wysiadł z auta, żeby zaczerpnąć w płuca trochę powietrza. Kiedy zwolnili i zatrzymali się przed hotelem, myśli Jaya zasnuła chmurka niepokoju. Nie przypominał sobie, by w czasie jazdy ani tym bardziej przedtem, powiedział Dukkersowi, gdzie się w Amsterdamie ulokował. Ale tyle się działo, panowało takie zamieszanie, że być może napomknął mu o tym mimochodem.

Waszyngton, 17 grudnia

- Znowu napadli na Fleminga.
- A niech to szlag! - zaklął Graham Kingsley, chodząc nerwowo tam i z powrotem po perskim dywanie w swoim gabinecie. - Gdzie?
- W domu Andersona w Lejdzie. Było ich trzech.
- Co z Flemingiem?
- Nic mu nie jest - odpowiedział Bogdan Subasić z pokoju w amsterdamskim Hiltonie. - Spisał się świetnie. Zabił dwóch. Jednemu pode-

rznął gardło. To był największy z nich, potężny jak byk. Zabranym mu uzi zastrzelił drugiego i zranił trzeciego.

Kingsley pokiwał w zamyśleniu głową. Niewątpliwie postawili na właściwego człowieka. Jego dossier nie kłamało, wycinki z gazet, opowiadki z barów, wszystko się potwierdzało. To fantastyczny gość. Jak się skończy cała ta historia, trzeba będzie na niego bardzo uważać.

- A profesor? - spytał po chwili milczenia.

- Nie żyje.

- Umarł przed czy po wykonaniu zadania?

- Sądząc po czasie, jaki razem spędzili przed atakiem, jest raczej pewne, że Anderson zdążył mu zreferować sprawę, ale Fleming wziął chyba od niego dokumenty, jakie od nas dostał.

- Stary głupiec!

- Nic się nie stało - odparł Subasić. - To tylko wpłynie na zaostrenie apetytu Fleminga. - Najważniejsze, żeby pojechał do Luksemburga i zaczął zadawać pytania.

- Czy Anderson przekazał mu na pewno to, co trzeba o Luksemburgu?

- Dowiemy się, jak tam przyjedzie, ale założymy mu podsłuch telefoniczny. Interesy Fleminga prowadzi mały bank handlowy Hartkemer i Synowie. Jeśli Anderson powiedział mu, o co chodzi, na pewno poruszy ten temat ze swoim bankierem. Fleming ma do niego całkowite zaufanie.

- Doskonale - powiedział Kingsley. - Ale czy nie da się jakoś zapobiec tym zamachom na Fleminga? Martwi mnie to. Jesteśmy już tak blisko końca.

- Mnie też to martwi. Ale właśnie dlatego, że zbliżamy się do końca, jest mi dość trudno działać. Przypuszczam...

- Musi być jakiś przeciek z Komitetu Siedmiu. To jedyne wytłumaczenie, że tamci reagują tak szybko.

- Sugerowałbym wzięcie ich pod ścisłą obserwację. Ale to niezwykle trudne, jeśli zważyć, że ciągle są w podróży, no i mają swój własny kontrwywiad. Gold, na przykład, każe codziennie sprawdzać, czy się nie podsłuchuje jego rozmów telefonicznych. Tak samo jak i generał, Hill i Rhodes. Nie wiem, czy dałoby się to bezpiecznie przeprowadzić.

- Może... - rzekł Kingsley i zamilkł, nie odzywając się prawie przez minutę.

- Halo, jest pan tam? - próbował ponaglić go Subasić.

- Może istnieje jakieś inne rozwiązanie - dokończył Kingsley. - Podczas wczorajszego zebrania generał zaproponował, że ułatwi całemu Komitetowi przelot do Luksemburga. Kto wie, może to dobry pomysł. Luksemburg jest mały, wszyscy byłiby w jednym miejscu. Na obcym terenie. Nie mogliby się tak skutecznie strzec, jak w Waszyngtonie.

- Pierwszorzędna myśl - przyklasnął Subasić. - Ale czy da się zrealizować?

- Spróbujemy jednak. Zorganizujesz nadzór, jeśli zbiorę całe towarzystwo w Luksemburgu?

- To nie będzie łatwe...

- Nie prosiłbym cię o pomoc, gdyby było łatwe - przerwał cierpko Kingsley. - Pytałem, czy sobie z tym poradzisz.

- To będzie wymagało wezwania na pomoc wszystkich moich dłużników.

- No, to postaraj się. Ważniejszego powodu już nie będzie.

- Tak jest.

- Zadzwoń, jak będzie coś nowego.

- Tak jest.

Rozłączyli się w nastroju dalekim od zadowolenia. Kingsley podszedł do francuskiego okna, za którym rozpościerał się śnieżny zimowy krajobraz. To przyjemna dzielnica, pomyślał. Przyjemna i bezpieczna. Ale on sam tego ranka, rozmyślając o zagadce, jaką miał do rozwiązania, nie czuł się bynajmniej bezpiecznie.

Rozdział 10

Holandia, 18 grudnia

Autostradą A- cztery sunął z Amsterdamu do Lejdy srebrny mercedes. Jay Fleming pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć drogę. Opuśczeni właśnie granice miasta.

-Jeszcze jakieś dziesięć minut, panie Fleming - odezwał się szofer, obserwujący w lusterku siedzącego z tyłu Jaya. -I nikt za nami nie jedzie.

Wynajęty przez Denoffa kierowca jechał z hotelu okrężnie, zatrzymując się niespodziewanie i zmieniając kierunek jazdy. Ruch kołowy

był raczej nieduży, jak to w niedzielę rano, ludzie jeszcze spali, jedli śniadanie albo poszli do kościoła. Dzięki temu łatwo można było stwierdzić, że nikt Jaya nie śledzi. Był tym zawiedziony Wolałby raczej wiedzieć, gdzie się czają jego wrogowie.

Oparł się o siedzenie i po raz setny odwrócił głowę, by spojrzeć przez tylną szybę. Kierowca nazywał się Aaron Fisz-mann i był kiedyś izraelskim komandosem. Jego rodzicom udało się przetrwać hitlerowskie obozy śmierci. Obecnie pracował dla międzynarodowej firmy, specjalizującej się w ochronie prezesów, dyrektorów, polityków, bogaczy i innych ludzi, którymi mogliby się interesować terroryści. Fiszmann umiał wykrywać ogony, wymykać się pościgowi i zabijać napastników, jeśli ucieczka się nie powiodła. Był to atleta, mięśnie rozsadyły mu wprost garnitur. Przypominał Jayowi olbrzymia, którego uśmiercił u Andersona, z tą różnicą, że Fiszmann poruszał się lekko, z gracją pantery. Doug Denoff najął go zaraz po telefonie Jaya i wyposażył w specjalną limuzynę. Początkowo zresztą Denoff zamierzał wynająć coś w rodzaju małej armii, kłócili się o to ponad godzinę.

- Do diabła, Jay, stać cię na to - argumentował Doug. - Wydaj pieniądze i pozostań żywy.

- Nie chcę zamieniać się w więźnia - replikował Fleming. - Nie mam ochoty być eksponatem we własnym zoo.

- Masz pojęcie, ilu ludzi pozbawi chleba twoja śmierć? - przekonywał go Denhoff. - Co się stanie z ECM, jeśli zginiesz? Nie wolno ci myśleć tylko o sobie. Jest jeszcze firma, ludzie, miejsca pracy. Zastanów się nad tym. Potrzebujemy cię.

Ale Jay pozostał nieugięty. Jeden ochroniarz wystarczy. I opancerzone auto. Nic więcej. Limuzynę sprowadzono / . dnia na dzień z Brukseli. Należała do flotylli, która napłynęła do stolicy Belgii po serii ataków na personel NATO. Miała pancerne drzwi, specjalne opony, którym nie mógł zrobić krzywdy nawet karabin maszynowy, zbrojoną podłogę przeciw minom lądowym, jakimi posłużyli się zabójcy lorda Mountbatena, otwory strzelnicze oraz radionadajnik.

Jay siedział na tylnym siedzeniu jak w fortecy, słuchając kasyty z drugim „Koncertem brandenburskim” Bacha. Denoff miał słuszość. Setki ludzi miały co jeść dzięki niemu. I co mu to dało? Sukcesy, jakie osiągnął, uczyniły z niego zwierzynę łowną. Otaczały jego życie murem i fortyfikacjami.

Denoff zdumiał się, słysząc, że napastnicy byli zapewne Amerykanami. Jeszcze bardziej zadziwiła go postać tajemniczego bruneta, który stanął w jego obronie. Kim byli ci wszyscy ludzie? Denoff obiecał, że przez swoje kontakty w amerykańskim wywiadzie spróbuje rzucić trochę światła na te zagadki. Jay spodziewał się także, że dopomoże w tym lejdejska policja. Zamierzał również w sprawie nocnego napadu zgłosić się na policję w Amsterdamie.

Mercedes zwolnił, bo podjeżdżali do pierwszej sygnalizacji świetlnej w Lejdzie. Fiszman zatrzymał się o całą długość samochodu za autem stojącym przed nim, żeby na wszelki wypadek mieć swobodę manewru. Światło się zmieniło i Fiszmann ruszył, zręcznie wprowadzając limuzynę w gęszcz wąskich uliczek miasta.

Jay przyglądał się przez szyby auta starym, ceglanym kamieniczkom z białymi spoinami. Miał wrażenie, że część rozwiązania musiała się kryć w Luksemburgu. Najwidoczniej ktoś - trudno odgadnąć kto - chciał za pośrednictwem profesora Andersona w coś Fleminga zrobić. Ktoś próbował nim manipulować. Ale dlaczego? Dlaczego nie zwrócił się do niego wprost z propozycją udania się do Luksemburga. Po co ta zawiła szarada? I tak miał jechać do Luksemburga w interesach. Czego od niego oczekiwano? Anderson zginął niewątpliwie z jego powodu. Jak to wszystko przedstawić policji? Czy mu uwierzą?

Fiszmann bez trudu trafił na komendę policji i zaparkował zgrabnie na miejscu przeznaczonym dla klientów. Jay spojrzął na zegarek. Van-Deventer i Dukkers spodziewali się go dopiero za trzy godziny. Dukkers miał po niego przyjechać o drugiej po południu.

Jay specjalnie nie zatelefonował. Chciał zrobić obu policjantom niespodziankę. W leżącej obok Jaya na siedzeniu małej, białej torebce znajdowały się dwa pudełeczka zawinięte w złocisty papier i przewiązane świątecznymi wstążeczkami. W każdym pudełku spoczywał trzykaratowy brylant czystej wody. Za pieniądze uzyskane z jego sprzedaży można by pokryć studia uniwersyteckie albo zapewnić godziwą rentę wdowie po zabitym funkcjonariuszu. Mimo to Fleming nie uważał, że jest to wystarczająca odpłata za uratowanie mu życia.

Jay nabył kamienie w renomowanej firmie amsterdamskiej. Jubiler był zachwycony, że w niedzielę rano trafił mu się taki świetny klient.

Brylanty, zdaniem Fleminga, były idealnym prezentem. Dobre jako lokata kapitału, niezbywalne tak łatwo jak gotówka, ale na tyle atrakcyjne, że w razie pilnej potrzeby można je było bez kłopotu spieniężyć.

Wysiadł z samochodu sam, bez pomocy Fiszmana, nie chciał żadnej ostentacji. Mercedes całkowicie wystarczał. Ale szofer i tak wyszedł z wozu i rozglądał się bacznie po ulicy. Jay schował pakieciki z brylantami do kieszeni wiatrówki, przekroczył chodnik i pchnął wahadłowe drzwi wejściowe. Sądząc, że zaskoczy Dukkersa i VanDeventera, nie przypuszczał, do jakiego stopnia sam zostanie zaskoczony.

Na gałce drzwi wisiał kartonik z napisem w pięciu językach „Nie przeszkadzać”. W pokoju zasłony były zaciągnięte. Dwóch mężczyzn swobodnie wertowało porzrzucone na biurku papiery.

- Mam ją - odezwał się jeden cicho.

- Wspaniale. Jest coś w środku?

Mężczyzna wysypał zawartość dużej koperty na łóżko i porównywał nagłówki dokumentów z trzymanym w ręku wymiętoszonym spisem.

- Nic nie brakuje - odpowiedział.

- Dobrze. Teraz jeszcze trzeba znaleźć list. Pierwszy mężczyzna znów zaczął przerzucać papiery.

- Bingo! - powiedział po chwili triumfująco. Drugi mężczyzna uśmiechnął się.

- Sprawdź kosz na śmieci, może jest tam koperta od listu. -Już go opróżniono.

- No i bardzo dobrze. Idziemy.

Pierwszy mężczyzna wsunął list do dużej koperty, wsadził ją sobie pod pachę i ruszył do wyjścia w ślad za swoim towarzyszem. Wychojąc przełożył wywieszkę „Nie przeszkadzać” na wewnętrzną gałkę. Znalazłszy się na ulicy, poszli Prinsengrachten w kierunku dworca.

- Zaraz, zaraz - protestował Jay Fleming. - Musi pan przecież znać porucznika VanDeventera i sierżanta Dukkersa.

Może nie pamiętacie ich?

- W tym mieście nie ma wielu policjantów – odrzekł uprzejmie zza biurka młody oficer, ostrzyżony najeża blondyn o bladoniebieskich oczach. - I zapewniam pana, że znam wszystkich poruczników i sierżantów. Poruczników jest tylko pięciu i żaden nie nazywa się VanDeventer.

Fleming popatrzył na policjanta, usiłując zachować spokój i nie dać się ponieść złości, która ścisnęła mu gardło.

- Niech pan posłucha - wycedził cierpliwie. - Wczoraj na Apothekers Dijk doszło do krwawej strzelaniny.

- Do strzelaniny? - wybałuszył oczy oficer. - Tutaj? W Lejdzie?

Zerwał się z krzesła i pobiegł do przyległego pokoju. Za moment wrócił z dużą księgą, oprawioną w skórę koloru bordo.

- Nie - oznajmił po szczegółowym przejrzeniu rejestru. - Nic tu nie ma o jakiejś strzelaninie. Niech pan sam sprawdzi - podał księgę Jayowi. - To jest bieżąca ewidencja wszystkich stwierdzonych przestępstw i naszych interwencji. I najpoważniejszym z zanotowanych tu zdarzeń jest wypadek samochodowy.

Jay wziął do ręki księgę i przerzucał ją gwałtownie strona po stronie, tam i z powrotem, a jego wzrok nabierał przy tym coraz biedniejszego wyrazu. Wreszcie zwrócił twarz w stronę policjanta i otworzył usta, ale nie przyszło mu do głowy nic sensownego.

- Lejda jest dość niedużym miastem, panie...

- Fleming - powiedział głucho Jay. - Jay Fleming.

- Panie Fleming. Nie pamiętam, jak dawno temu zdarzył się tu incydent z użyciem broni palnej, co dopiero mówić o „strzelaninie”, jak to pan określił. Gdzie się to niby odbywało?

- Na Apothekers Dijk - odparł Jay, rzucając rejestr na biurko. - I nie na niby. Byłem tam! Zabiłem dwóch bandziorów. Pańscy ludzie - Dukkers i VanDeventer – przyszli mi z pomocą. Wszystko widzieli. Mogą potwierdzić moje słowa!

Siedzący przy sąsiednim biurku policjant po cywilnemu zmierzył Jaya nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Ale nie ma u nas policjantów o tych nazwiskach - oficer obracał w dłoniach rejestr. - I nikt nie zgłaszał żadnych zająć na Apothekers Dijk.

- Ale przecież strzelano. Sąsiedzi musieli to słyszeć - upierał się Jay. - Jeden z nich zawiadomił policję.

- Panie Fleming - odpowiedział cierpliwie oficer – sam pan sprawdził rejestr. Nie ma w nim mowy ani o strzałach, ani o zabitych ludziach.

Jay patrzył na niego bezradnie, oniemiały. Przenosił wzrok to na jednego, to na drugiego policjanta. To istny obłęd. Zjawiała się policja. Były cztery trupy. Andersona i trzech zbirów. Miał kopie amerykań-

skich tajnych dokumentów. Musi być jakieś wytłumaczenie, jakiś ślad, że był napad na dom Andersona.

- Chwileczkę - wybuchnął nagle Fleming. - Przecież jest dom. Wszędzie krew. To jest dowód. Pojedźcie tam ze mną. I'okażę wam...

- Panie Fleming - powiedział oficer. - Nie wiem, co to da. Mówiłem już panu, że nie mamy żadnego...

- Musicie! - zagrział Fleming, łapiąc go za kłapy munduru. - Musicie tam ze mną pojechać. Pokażę wam ślady krwi, rozbite drzwi, otwory po kulach - potrząsał z całej siły oficerem. — Pojedźcie ze mną! Pokażę wam!

- Panie Fleming - Jay poczuł z tyłu na ramionach silne ręce i dobiegł go równocześnie mocny, uspokajający głos. - Niech się pan opanuje.

- Przepraszam - powiedział Jay, zwalniasjąc z wolna chwyt. - Bardzo przepraszam. Nie wiem, co...

- W porządku - odezwał się ten sam głos, a Jim odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim ów policjant w cywilu. - Możemy oczywiście pojechać na Apothekers Dijk – popatrzył wymownie na swego kolegę, który wyglądał pognieciony przez Jaya mundur. - To przecież niedaleko. Pojedziemy tam i rozejrzemy się. Czasami my też popełniamy błędy.

Jay popatrzył na nich. Zdawał sobie sprawę, że bawią się jego kosztem, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że chcą obejrzeć dom Andersona. Tam się przekonają, że nie zmyśla, i będzie im głupio.

- Czy pan jest Holendrem, panie Fleming? - zapytał policjant w cywilu.

- Nie. Jestem Amerykaninem.

- Amerykaninem! - policjant nie krył zdumienia. - A mówi pan tak dobrze po holendersku. Amerykanin - mruknął i przyjrzał się czujnie Jayowi. - A można wiedzieć, gdzie pan mieszka w Holandii?

- W Amsterdamie. W hotelu Ambassador. Ale co to ma do rzeczy? - rzucił i ruszył do drzwi. - Pojadę teraz sam na Apothekers Dijk. Jeśli macie ochotę mi towarzyszyć, proszę bardzo. Jeśli nie, kupię aparat fotograficzny, zrobię zdjęcia i przyniosę je tutaj jako dowód rzeczowy.

- To nie będzie konieczne - oświadczył! policjant. - Pojadę z panem - rzucił znaczące spojrzenie swemu koledze i przyłączył się do Fleminga.

W mercedesie nie rozmawiali. A gdy limuzyna skręciła z Rapenburg Prinssekade, Jay zdrętwiał. Przy kanale przed domem Andersona widać było baterię sprzętu budowlanego. Z najwyższego piętra biegła dREW-

niana rynna zsykowa z wylotem nad ustawioną na chodniku wywrotką samochodową. Unosiły się nad nią kłęby kurzu wzniecane upadkami spuszczanego rynną gruzu. Policjant spojrzął spod oka na Jaya wzrokiem pełnym niedowierzania.

Fiszmann zaparkował na chodniku koło wywrotki. Jay wyskoczył z mercedesa, pobiegł do wejścia i stanął jak wryty na widok wielkiej dziury w miejscu, gdzie były drzwi.

- Przepraszam pana - powiedział przechodzący obok Jaya robotnik obładowany kawałkami desek. Jay rozejrzał się dokoła jakby otaczały go widma. Po chwili, nie zważając na pospieszającego za nim policjanta, wpadł do saloniku Andersona. Podłoga była zdarta, ze ścian i sufitu zeskrobano tynk.

Odepchnął policjanta i wypadł do holu. Zajrzał do kuchni, nic tam nie ruszono. Pobiegł w górę po schodach, z których usunięto wykładzinę, ale w pokojach na pierwszym i drugim piętrze nic się nie zmieniło. Metodycznie niszczone tylko ślady napadu. Powoli, wiedząc już co zobaczy, wdrapał się na trzecie piętro. Oczywiście i podest, i pokój, w którym zabił rudego goliata, były precyzyjnie wysprzątane i wyczyszczone.

Jay siadł na podłodze i uważnie się jej przyglądał. Przy takiej ilości krwi coś musiało przeniknąć pod spód. Robotnicy przestali się krzątać, patrząc z rozbawieniem, jak Jay pełza na czworakach, z nosem przy ziemi.

- Niech ich pan powstrzyma! - zawołał Jay do policjanta. - Nie można pozwolić... Usuwają dowody.

- Odnawiają tylko dom - odpowiedział pobłażliwie policjant. - To nie jest nielegalne. Dom jest stary i wymaga remontu.

- Ale przecież zniszczyli już...

- Niczego nie zniszczyli. Będą odnawiać dom. To wszystko. I chyba teraz wreszcie pora się zgodzić, że to, co pan nam opowiadał, tylko się panu wydawało. Czy zażywa pan narkotyki?

Jayowi opadła szczęka. Patrzył na policjanta z osłupieniem.

- Nie ma się czego wstydzić, panie Fleming. Wielu Amerykanów korzysta z tego, że są tu tak łatwo dostępne i...

- Na Boga! - ryknął Jay. Nie biorę narkotyków i jeśli pan sugeruje, że...

- Proszę się uspokoić - rzekł łagodnie policjant.

Nagle Jay oklapł, w głowie miał mędik.

- Nie wiem, co powiedzieć. To... To nigdy... – spojrzał na stojącego obok Fiszmana, ale z jego twarzy nie dało się nic odczytać. Nie protestując już, pozwolił się policjantowi sprowadzić po schodach na ulicę.

Rozdział 11

Luksemburg, 18 grudnia

Przez szyby taksówki mknącej z luksemburskiego lotniska przez Rue de Neudorf wpadało jasno świecące słońce i Alexandra przyknęła szczelnie powieki. Nerwy miała napięte jak postronki; zmęczona długim lotem przez ocean nie mogła zebrać myśli.

Ostatnie dwa dni rozmazywały się jej mgliście w pamięci. Kiedy wróciła z restauracji na łódź po tej dziwnej rozmowie z Martinem, stwierdziła, że w kabinie nie wszystko jest w takim porządku, jak przed jej wyjściem. Różnice były ledwie zauważalne: przełożona gdzieś indziej gazeta, sweterki za blisko tylnej ścianki szafki, ale ktoś niewątpliwie szperał w jej rzeczach.

Przez cały następny dzień martwiła się o Martina. Uważała, że popadł w załamanie nerwowe. To, co jej mówił przy kolacji, trąciło absurdem, melodramatem, paranoją. Podejrzewała, że to efekt zastopowania jego kariery. Słyszała o takich przypadkach. Mężczyzna nagle gubi sens życia, potem wystarczy kilka pechowych zdarzeń i ni z tego, ni z owego, nawet najrozsądniejsi zaczynają gonić w piętę.

Nie przestawała gapić się na kopertę, którą kazał jej schować. Czy powinna ją otworzyć? Przymknęła, że zrobi to dopiero, gdyby coś mu się stało. Obiecała mu to i chociaż zżerała ją ciekawość dotrzymała słowa. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła zwrócić mu ją nietkniętą, kiedy wróci do niej zdrów i cały.

Ale nie wrócił zdrów i cały. Zupełnie ją ścięło po tym nocnym telefonie z policji. Martin nosił jej numer na karteczce w portfelu, ponieważ nie miał pamięci do cyfr. Zapominał stale nawet, jaki jest jego własny numer.

Poczuła, że łzy znów jej napływają do oczu. Próbowwała je powstrzymać mruganiem, szukając jednocześnie w torebce chusteczek jednorazowych. Cholera, zużyła wszystkie jeszcze w samolocie! Otarła oczy wierzchem dłoni. Ile to już tych chusteczek zwinęła w mokre kulki od chwili, gdy się dowiedziała o śmierci Martina?

Mike, jej mąż, zmarł nagle we śnie. Tętniak mózgu. Pękł, kiedy Mike spał, rozlał się i unicestwił Mike'a. W wieku dwudziestu siedmiu lat została wdową.

Śmierć Mike'a wytrąciła ją kompletnie z równowagi. Nagle wyparowała z niej wszelka radość życia. Dotąd uczyła dziennikarstwa na uniwersytecie w Los Angeles, przez dwa lata walczyła o pieniądze z administracją uczelni, która wołała wydawać je na sport i nadawanie kampusowi wyglądu podmiejskiego ośrodka rekreacyjnego zamiast na potrzeby naukowe. Nadała sprawie rozgłos medialny, przyszło jej w sukurs prawo i... obudziła się któregoś dnia obok martwego Mike'a.

Od tej pory życie zaczęło zjeżdżać w dół, nabierając szybkości jak rozpędzony bobslej. Ku radości administracji opuściła uczelnię, sprzedała meble, wyprowadziła się z mieszkania i przeniosła się na żaglówkę Morgan 41, na pokładzie której spędziła z Mike'em wiele wspaniałych chwil. Oszczędności własne, pieniądze z polisy ubezpieczeniowej Mike'a oraz gotówka ze sprzedaży wszystkiego, co nie było potrzebne na jachcie, zapewniły jej niezależność finansową. Przez następne dwa lata miała się rozmaitych zajęć. Uczyła w college'u przygotowującym do wyższych studiów, żeglowała, uzyskała licencję kapitana żeglugi przybrzeżnej i brała pasażerów na czarterowe wycieczki, była instruktorką aerobiku w klubie gimnastycznym, a nawet zaczęła pisać powieść.

Początkowo często umawiała się z mężczyznami, poznawanymi głównie w klubie fitnessu. Później, zmęczona randkami z facetami, którzy się jej nie podobali, stopniowo dała za wygraną. A pewnego ranka, wychodząc na pokład, zobaczyła Martina, który przyglądał się czule jej łodzi.

Gdy tylko zdołała się wziąć w garść po telefonie o śmierci Martina, wyjęła ukrytą w zębie kopertę i odpieczętowała ją. Wewnątrz było dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w różnych nominałach oraz list.

Jeśli czytasz te słowa - pisał Martin - to znaczy, że nie żyję. Ale chcę, żebyś pamiętała, że zawsze będę cię kochał. Twoja miłość, choć

tak krótko się znaliśmy, była czymś najpiękniejszym w całym moim życiu.

Pieniądze pochodzą z pożyczki wziętej na poczet mojej wojskowej emerytury, chcę, żebyś je zatrzymała. Zatelefonuj do Lee Goldberga w Brukseli, nr 87 91 44. To mój stary przyjaciel, pracuje w sekcji wywiadowczej NATO. To człowiek rozumny i godny zaufania. Kiedy podniesie słuchawkę, powiedz tylko dwa słowa Tesla żyje. Posłałem mu przez międzynarodowego kuriera odrębny pakiet informacji i dokumentów. Powinien już je otrzymać. Będzie wiedział, co z nimi zrobić po twoim telefonie.

Lee nie wie, kim jesteś. I nie mów mu tego. Wdepnąłem w bardzo niebezpieczną sprawę i jeśli wyjdzie na jaw, że jesteś w nią zamieszana - z całą pewnością zginiesz. Proszę, zastosuj się dokładnie do moich instrukcji. Poproś do telefonu podpułkownika Goldberga, wypowiedz te dwa słowa i rozłącz się. Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, o niczym się nie dowiesz, bo rzecz będzie załatwiona dyskretnie. Zadbaj o to wprawiony w wielkie zakłopotanie rząd Stanów Zjednoczonych. Jeżeli to się nie uda, stracą życie miliony ludzi i kraj ulegnie destrukcji.

I!

Kochanie, nie próbuj nic więcej robić. Uruchom zaprogramowany przeze mnie proces i siedź cicho. I zawsze, zawsze pamiętaj, że kocham cię ponad życie. Do widzenia. Martin".

Tesla żyje powiedziała cicho Alexandra, otwierając oczy i patrząc przez okno na widniejący w oddali Luksemburg. Nad krajobrazem dominował nowoczesny, stalowo-szklany gmach sekretariatu parlamentu europejskiego, jawny zgrzyt na tle sympatycznej staroświeckiej zabudowy miasta.

Powróciła myślami do soboty i telefonu z policji. Powiedzieli, że Martin zginął w niesamowitym wypadku. Kto by uwierzył, że go zamordowano? Jedyne dowody to list od niego i pieniądze. Zadzwoiła więc do podpułkownika Lee Goldberga.

Ale powiedziała dużo więcej poza słowami Tesla żyje. Zaczęli rozmawiać. Goldberg był podkomendnym Martina w Wietnamie, bardzo go szanował i wiadomość o jego śmierci wstrząsnęła nim do głębi.

- To, co mi przysłał, to dynamit. Nitrogliceryna - powiedział Goldberg. - Ale nigdy nie sądziłem, że oni...

- Kim są ci „oni”? - spytała Alexandra.

Goldberg zawahał się. Martin napisał mu o niej kilka słów. Przewidywał, że prawdopodobnie nie posłucha jego prośby, że nie zechce się trzymać z dala od sprawy i zaklinał Goldberga, by jej na to nie pozwolił.

A on jednak w końcu jej uległ i umówili się na spotkanie w Luksemburgu. Alexandra wiedziała, że będzie chciał ją wsadzić w najbliższy samolot do Stanów. I była pewna, że znów z nią nie wygra. Kochany Martin pragnął ją chronić, ale ona nigdy dotąd nie potrzebowała ochrony.

Pociągnęła znów nosem, żalując, że się jej skończyły kleenexy i oparła się wygodnie o siedzenie taksówki, patrząc na rysujący się coraz wyraźniej Luksemburg.

Belgia, 18 grudnia

Biała Cessna Citation z czerwono-złotymi emblematami korporacji Globalnej Energii śmigłała na południowy zachód ponad płaskim pejzażem Belgii.

Bogdan Subasić z twarzą w okienku spoglądał w dół na ziemię, której geografia kojarzyła się nieodparcie z wydarzeniami ociekającymi krwią: Bastogne, Liege, Ardeny, i Dunkierka. Subasić wzdrygnął się.

Brzęczyk interkomu z kokpitu przeniósł go na powrót do teraźniejszości.

- Tak? - odezwał się, podnosząc ze stolika słuchawkę czerwono-złotego telefonu.

- Rozmowa jest przygotowana - usłyszał głos drugiego pilota. - Aby mogła dojść do skutku, trzeba tylko umieścić słuchawkę w dekoderyze.

- Oczywiście - odparł beznamiętnie Subasić i wsunął słuchawkę w gniazdo odbiorcze, łączące zakodowany przekaz z Waszyngtonu z mikrokomputerem przetwarzającym i rozproszone bity energii elektrycznej w głos osoby na drugim końcu linii. Subasić wziął drugą słuchawkę zawieszoną z boku komputera. Wydobywały się z niej nieznośne dla ucha piski, stuki i trzaski i musiał trzymać ją z dala od głowy, póki wszystkie przekaźniki, dekodery, komputery i łącza satelitarne nie przeżyły sobie elektronicznych gardeł.

- Bogdan? - rozległ się głos w słuchawce.

- Dzień dobry panu, to ja - odpowiedział Subasić.

- Co z Flemingiem? Gdzie on teraz jest?

Niepokój w głosie Korunda zaintrygował Subasicia. Doradca prezydenta zazwyczaj nie objawiał żadnych emocji.

- Ma się świetnie. I siedzi w tej chwili za sterami odrzutowca swojej firmy, wyprzedzając nas o jakieś dziesięć minut. Jak się pan pewnie domyśla, był zszokowany po tym, co zobaczył w domu Andersona.

- Zgromadzić tak błyskawicznie ekipę roboczą i to w niedzielę... Nadzwyczajny wyczyn - pochwalił go Korund, co nie zdarzało mu się często.

- Dziękuję panu - powiedział uprzejmie Subasić - ale pieniądz mówi wszystkimi językami. Właściwie zaczęli w sobotę, zaraz potem jak zabraliśmy zwłoki. Za kilka tygodni rozpęta się pewnie w związku z tym piekielna burza.

- A to dlaczego? - zaniepokoił się Korund.

- Brak zezwolenia - wyjaśnił Subasić. - Wszystko odbyło się nielegalnie. Prędzej czy później, raczej prędzej, bo Holendrzy działają dość sprawnie, jakiś urzędnik to wykryje. Ale to jednak trochę potrwa. No i w żaden sposób nie dojdą do tego, że to nasza sprawa.

- To dobrze.

- W każdym razie - ciągnął Subasić - szofer Fleminga odwiózł go z powrotem do Amsterdamu. Fleming wysiadł z limuzyny energicznie, z wigorem, całkiem odmieniony. Jakby w drodze powziął jakąś ważną decyzję. Spakował się w niecałą godzinę i pojechał na lotnisko. I teraz obrywa skrzydła Golfsztromowi, tak mu spieszo do Luksemburga.

- Skąd to wiesz?

- Kompas mi to mówi. Poza tym przed startem zgłosił na lotnisku plan lotu. No i mam taśmy z jego rozmowami telefonicznymi. Dopiero co skończyłem je przesłuchiwać. Chwylił przynętę.

- Wspaniale - ucieszył się Korund. - Powiedziałeś, że wyglądał tak, jakby powziął jakąś istotną decyzję. Domyślasz się jaką?

- Myślę, że mu odbiło. Z jego telefonów do biur w Santa Monica i Luksemburgu wynikało, że nie bardzo wie, jak ma postąpić. Chyba przez jakiś czas zwątpił nawet, czy ma wszystko po kolei pod sufitem. Myślę, że teraz doszedł do wniosku, że skoro ktoś się na niego uwziął, to musi podjąć wyzwanie.

- To ważne. To bardzo ważne, co mówisz, bo rzeczywiście ktoś się na niego uwziął. Dowiedziałeś się może czegoś na ten temat?

- Niczego - przyznał Subasić i poruszył się z zakłopotaniem w fotelu jak gdyby Korund siedział tuż obok niego. - Wciąż nie mogę dociec, dlaczego CIA wzięła go na muszkę.

-Ale ja...

- Wiem, sprawdzał pan to w Firmie, ale musi pan przyjąć do wiadomości, że CIA nigdy nie była pod całkowitą kontrolą. To może być operacja poza wiedzą dyrektora lub wydziału brudnych numerów. Coś, co wymyka się z pana zasięgu.

Subasić umilkł, czekając na wybuch Korunda, któremu duma nie pozwalała przyznać, że coś może pozostawać poza jego zasięgiem. Ale tym razem utrzymał nerwy na wodzy.

Subasić odetchnął z ulgą i mówił dalej:

- Dzięki danym Interpolu udało się nam ustalić, że napadu na dom Andersona dokonali płatni zabójcy. Jednym z nich był Wolfgang Kleiderman, ceniący się wysoko morderca, przeważnie na usługach hamburskiego podziemia. Drugi, to zbior, znany w amsterdamskich dokach jako Młock. To jego Fleming zadźgał nożem. Kim był ten trzeci, na razie nie wiemy. Jak dotąd, nic nie wskazuje na ich związki z chłopakami z Firmy, którzy zaatakowali Fleminga w Amsterdamie. Ten, kto to wszystko reżyseruje, musi być bardzo przebiegły.

- Za przebiegły jak na mój gust - warknął Korund. -1 nie wydaje mi się, że osiągamy postępy, jeśli chodzi o ściągnięcie Komitetu do Luksemburga. Diament się wściekł, kiedy o tym wspomniałem. Topaz oświadczył, że taki zlot nic nie da, a tylko niepotrzebnie przyciągnie uwagę. Po namyśle jestem, skłonny zgodzić się z tym. Taka duża grupa nie umknęłaby bystrym oczom KGB. A wiesz, jak Ruscy się palą do tego piątkowego transferu.

- Bardzo trafne spostrzeżenie - przytaknął Subasić, chociaż poprzednio bardzo mu się podobał ten pomysł.

- Ostrożność nakazuje - podjął Korund, by końcówka operacji odbyła się pod kierunkiem tylko nas dwóch. Nikt z członków Komitetu nie dowie się niczego, dopóty, dopóki nie udaremnimy transferu. Po prostu nie mamy teraz czasu na wykurzanie naszego zdrajcy, nie możemy jednak pozwolić mu - kimkolwiek jest - na zmarnowanie całego przedsięwzięcia.

-Jestem zmuszony mimo wszystko zwrócić panu uwagę, że jest to pogwałcenie statutu Komitetu - rzekł Subasić.

- Spełniłeś swój obowiązek, ostrzegając mnie - odparł sucho Korund.
- Wiem, że to niekonwencjonalne posunięcie. Gotów jestem przyjąć za nie odpowiedzialność na najbliższym posiedzeniu Komitetu.

- Pozwolę sobie nadto nadmienić, że stosownie do ustaleń Komitetu powinienem powiadomić przewodniczącego Diamenta o wszelkich tego rodzaju odstępstwach od przyjętych reguł postępowania.

Zapadło gniewne milczenie. Wściekły oddech Ko runda był wymowniejszy niż jakiegokolwiek słowa.

Był to istotnie jeden z mechanizmów wpisanych w statut organizacji na wypadek, gdyby któryś z członków, z żądy władzy bądź innej obsesji, zapragnął wykorzystać możliwości Komitetu do osobistych celów.

Subasić doświadczał sprzecznych uczuć. Z jednej strony Korund dopuszczał się jawnego nadużycia władzy, z drugiej Komitet miał najwyraźniej w swym gronie zdrajcę, zapewne rosyjskiego kreta, który już dwukrotnie usiłował pozbawić życia kluczowego uczestnika operacji, na niespełna tydzień przed jej sfinalizowaniem. Bezprecedensowe sytuacje wymagają bezprecedensowych działań. Być może jedyny sposób uratowania operacji to naruszenie statutu, ale tylko na okres niecałego tygodnia. Następnie wszystko zostanie ujawnione.

-Uszanuję pana decyzję - powiedział w końcu. - Ale tylko do czasu ukończenia operacji. Potem będę oczekiwał pełnego wyjaśnienia jej motywów wobec całego Komitetu- uda nam się, jeśli przeciek rzeczywiście pochodzi z Komitetu, ale niewykluczone, że zdrajca ma inne kontakty.

- Módlmy się, żeby tak nie było - odrzekł pośpiesznie Kornd - chociaż zgadzam się, że to prawdopodobne. Każdy z członków Komitetu ma swoje wtyczki w instytucjach wywiadowczych i żadnemu z nas - w razie potrzeby - nie zabrakłoby środków do stworzenia własnego odrębnego wywiadu.

To ostatnie zdanie zamknął czymś w rodzaju naznaczonego znużeniem westchnienia.

-I jeszcze coś na zakończenie. Martwi mnie, że zakradło się do tego wszystkiego tyle przemocy.

- Mnie też to nie cieszy - odpowiedział Subasić. -Ale nie dało się tego uniknąć. Co do mnie...

- Nie jestem przekonany, że nie można było tego uniknąć - uciął Korund. - Być może trzeba dokładniej planować, organizować inaczej za-

bezpieczenia. Nie wiem. Wiem tylko, że ty i Fleming zostawiacie za sobą procesję nieboszczyków. Prędzej czy później musi to zostać zauważone. Musimy coś zrobić, żeby kiedyś nie walnęło to w nas rykoszetem.

- Tak jest - odrzekł pokornie Subasić. - Postaram się.

- Wiem, że się postarasz.

Pożegnali się, a Subasić jeszcze długo nie odkładał słuchawki, wsłuchany w elektroniczne gawędzenie. Później oparł się o iluminator i ze strapioną miną przeczesywał palcami włosy.

Głęboko zamyślony popatrywał w dół, na ziemię, gdzie na nizinach kładły się już cienie. Tylko najwyższe budynki, wzgórze i wierzchołki drzew kapały się jeszcze w świetle dnia.

Miał ochotę znaleźć się gdzieś tam, na jakiejś wiejskiej drodze. Iść przed siebie, wolny od straszliwej dyscypliny, której, wykonując swoje zadania, musiał być posłuszny, jeśli miał pozostać w świetle żywych. Nie chciał więcej zabijać, pragnął wydostać się z tej dżungli. Ale zdawał sobie sprawę, że na jedynej ścieżce prowadzącej do wyjścia czekała na niego nieubłagana śmierć.

Luksemburg, 18 grudnia

W ciemnym wnętrzu Brasserie Goethe tłoczyła się gromada popołudniowych piwośy. W powietrzu wisiała tak gęsta chmura gryzącego dymu z francuskich papierosów, że prawie się nie poruszała, gdy przez otwierane drzwi wpadał podmuch ostrego grudniowego wiatru.

Klienci przy marmurowym blacie baru i przy stolikach, w większości mężczyźni, posługiwali się *letzerburgesch*, osobliwym dialektem, który brzmiał jak melaż francuskiego z niemieckim. Niektórzy mówili po francusku, niektórzy po niemiecku, byli i tacy, którzy porozumiewali się po angielsku.

Tylko przy jednym stoliku, w rogu sali koło okna do połowy zakrytego zasłonką, rozmowa toczyła się w serbo-chorwackim.

- Koliko dugo se ovde? - zapytał żylasty mężczyzna w średnim wieku o twarzy spiczastej niczym pyszczek fretki i popsutych zębach.

- Jestem tu od prawie czterech godzin - odpowiedział wysoki, posiwiały Amerykanin kiepskim, łamanym, od lat nie używanym serbskim.

- Przyleciałem samolotem rejsowym.

Skrzywił się na wspomnienie tej podróży. Nie cierpiał ocierania się o zwyczajnych ludzi, kisenia się z nimi w jednym sosie, nienawidził ich nieświeżych oddechów, odoru wydzielanego przez nich potu. Zupełnie tak samo, jak tutaj, gdzie musiał się spotkać z tym małym, cuchnącym Serbem o źle ostrzyżonych, przetłuszczonych włosach i żółtawych ślepkach kieszonkowca.

Amerikanin miał już sześćdziesiąt cztery lata, ale dzięki gładkiej, umięśnionej twarzy i sprężystym ruchom wyglądał o wiele młodziej. Wiedział o tym i schlebiali mu to. Niejednokrotnie aparycja pomagała mu wygrywać w pertraktacjach z ludźmi mniejszego kalibru. Przy stole rozmów przejawiał siłę, zręczność i szybkość pantery. Ci, którzy go znali, obawiali się go. Pod wytwornymi manierami czaiła się w nim niemal namacalna drapieżność.

Nosił granatowy garnitur w wąskie prążki i wyglansowane włoskie mokasyny. Wyglądał na kogoś ze ścisłego kierownictwa jakiejś korporacji i tak rzeczywiście było. Jednak nie o interesach rozmawiał z niezbyt kim Serbem o fretkowatej twarzy. Przyjechał tu w zamiarach czysto przestępczych, wręcz zbrojeckich. Nie było mu w smak stykanie się z taką kreaturą, ale przywołał na pomoc swój najzyczliwszy uśmiech i zwracał się do swego rozmówcy z udawanym szacunkiem. Ale kiedy Serb się uśmiechał, poprawiała mu humor nadzieja, że razem z tym uśmiechem pójdzie niebawem do grobu.

- Dowiedział się pan już, gdzie nastąpi wymiana? - zapytał.

- Jeszcze nie - odrzekł Serb. - Trzymają to w najściślejszym secrecie. Jak pan wie, jestem tylko zastępcą attache wojskowego w naszej ambasadzie i to sprawia, że mam dostęp jedynie do niektórych informacji. W tej sytuacji nie wolno mi zadawać pewnych pytań. Muszę czekać, aż dana informacja trafi na moje biurko.

- Rozumiem - powiedział Amerykanin, tając niecierpliwość i irytację.

Wiedział wszystko o tym człowieczku. Wiedział, że Milutin Szgety pracuje w luksemburskiej ambasadzie Jugosławii od trzech lat. Przed kilkoma miesiącami, jeszcze zanim Komitet Siedmiu postanowił posłużyć się Jayem Flemingiem, Amerykanin przez swoje bankierskie kontakty w Luksemburgu postarał się o wtyczkę w ambasadzie. Nie wynikało to bynajmniej z braku wiary w powodzenie akcji Subasicia i Ko-

mitetu. Po prostu chciał mieć rezerwowe źródło informacji, na którym mógłby polegać.

Szgety był tani. Za to, co zostało przelane na jego specjalne konto w Banque Generale du Luxembourg, nie mógłby nawet kupić najnowszego modelu Mercedesa. Ale i tak była to dla niego fortuna.

- Kiedy pan się spodziewa wejść w posiadanie tej wiadomości?
- Obawiam się, że nie wcześniej niż kilka godzin przed transferem.
- I nie wie pan także, kiedy się to odbędzie?

Szgety pokręcił z zafrasowaniem głową. Bał się narazić temu potężnemu człowiekowi. Peszyła go chmurna mina Amerykanina. W jego oczach krył się gniew i jeszcze coś takiego, co przejmowało małego Serba dreszczem. Był więcej niż rad, kiedy rozmowa dobiegła końca.

Szgety zniknął za drzwiami, a Steven Strand, patrząc jak odchodzi, myślał, czy nie pomylił się co do tego człowieka. Westchnął, zostawił kilka banknotów na stoliku i pewnym krokiem wstąpił w gęstniejący mrok.

Rozdział 12

Luksemburg, 19 grudnia

Jay Fleming i Aaron Fiszmann ogarnęli wzrokiem ulicę, ale nie zauważyli nic podejrzanego. W bocznej kieszeni wełnianej płaszcza Jaya spoczywał wygodnie kolt czterdziestka piątka. Jeszcze się nie rozwidniło, był wczesny, mroźny poranek. W słabym świetle ulicznych latarni oddechy obu mężczyzn przemieniały się w obłoczki pary.

Jay obrócił się i dłoń w skórzaney rękawiczce próbował przekręcić gałkę frontowych drzwi budynku z szarego kamienia o zdobionej rzeźbami fasadzie. Były zamknięte. Dom miał czterysta lat i znajdował się w centrum luksemburskiej starówki. Był jednym z niewielu domów, z którego roztaczał się widok zarówno na gmach EWG na północnym wschodzie, jak i na malowniczą dolinę rzeki Petrusse na zachodzie i południu.

Sędziwa luksemburska warownia - zwana dawniej Gibraltarem Północy - usadowiona jest na szczycie potężnego kamiennego placka o

stromych, przepaścistych ścianach, u podnóża którego zbiegają się wody Petrusse i Alzette. Mimo że samo miasto zajmuje zaledwie sześć kilometrów kwadratowych, niedostępność fortecy i strategiczne położenie na przecięciu szlaków handlowych sprawiły, iż w średniowieczu Luksemburg nabrał znaczenia nieproporcjonalnie dużego w stosunku do swoich rozmiarów. Odgrywając przez ponad pięć wieków doniosłą rolę na europejskiej scenie politycznej, przekształcił się w nowoczesny, międzynarodowy ośrodek finansowy, siedzibę licznych banków i zagranicznych spółek handlowych.

W budynku, przed którym się zatrzymali, mieściły się biura ECM oraz mieszkania dyrektorów firmy, swoje lokum miał tam również Fleming. Pomieszczenia na piętrach przeznaczone były na posiedzenia, przyjęcia i różne imprezy o oficjalnym charakterze.

Odwróciwszy się od drzwi, Jay ruszył za swoim ochroniarzem wąską, brukowaną uliczką z powrotem do samochodu, którym przyjechali. Z pozoru było to zwyczajne auto z biura wynajmu, jasnobrązowe bmw, nie wyróżniające się niczym szczególnym. Ale nie należało do agencji Hertza czy Avisy, ale podobnie jak limuzyna dostarczona przez Denoffa do Amsterdamu, było opancerzone, miało specjalne opony i potężny silnik.

Bmw czekało na nich na luksemburskim lotnisku po wczorajszym przylocie z Amsterdamu. Czekał też kolt oraz jeszcze kilka rzeczy, o które prosił Fiszmann. Jay zaczynał doceniać profesjonalizm swojego szefa ochrony. Doug Denoff bardzo serio potraktował zamachy na Fleminga i starał się gorączkowo uchronić go przed następnymi. Dotychczas Jay uważał Denoffa za czarnowidza, który się martwi na zapas. Obecnie zdał sobie sprawę, że jest to wpisane w jego zawód. A teraz także i w zawód Fleminga.

Wsiadł do wozu i patrzył przez szybę jak Fiszmann znowu podnosi maskę i sprawdza czy wszystko w porządku z silnikiem, a potem z pomocą latarki kontroluje podwozie. Sięgnął odruchowo do kieszeni palta i dotknął chłodnego kolta. Kto wie, czy z mroku zaułków nie wynurzą się znów jacyś bandyci.

Jay niemal sobie tego życzył. Był na to przygotowany i perspektywa walki działała na niego ekscytująco. Po raz pierwszy od wycofania się z marynarki poczuł smak ryzyka. Znowu był myśliwym. I celem polowania. Świadomość tego przyprawiała go o podniecający dreszczyk. Tym

razem polem bitwy nie było niebo nad Wietnamem, ale średniowieczne uliczki spokojnego Luksemburga

Teraz był czujny, strzegł się. W Holandii dał się zaskoczyć, a potem ta mistyfikacja w domu Andersona przejściowo go oszołomiła. Ktoś chciał go zgładzić, a gdy to się nie udało, próbował go nabrać i zdezorientować. Gdyby nie te drobne ślady krwi, jaka przesiąkła pod podłogę w pokoju na trzecim piętrze, Fleming mógłby pomyśleć, że dostał fioła. Ale znalazł te ślady i to one pozwoliły mu odzyskać równowagę. Po drodze z Lejdy do Amsterdamu z dyrektora firmy przeistoczył się znów w pilota myśliwca. Był zły, zdeterminowany i gotów do śmiertelnej walki.

Uśmiechnął się, gdy Fiszmann po zakończeniu inspekcji podszedł do auta, żeby zająć swoje miejsce za kierownicą. Postanowił, że będzie ściślej współpracował z Fiszmannem. Nie może siedzieć beczynnie, podczas gdy ktoś nadstawia dla niego karku.

Fiszmann odpowiedział nieznacznym uśmiechem, na więcej nigdy nie było go stać. Fiszmann był młody, miał dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat, ale jego ciemne, niemal czarne, oczy należały do starego człowieka. Odbijało się w nich cierpienie. Jay zastanawiał się, co takiego mogło mu się przytrafić w życiu, że tak wcześnie w jego wzroku zadomowił się smutek.

Fiszmann wsiadł do wozu, zamknął drzwi i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik momentalnie zaskoczył, przytłumionym szmerem przezornie kamuflując swoją moc. Fiszmann odjechał cicho od krawężnika i ruszył w głąb krętej ulicy.

Przy Rue de Chimay skręcili w lewo i Jay zerknął na zegarek. Akurat minęła szósta.

- Spokojnie - odezwał się Fiszmann. - Jest mnóstwo czasu.

Jay skinął i popatrzył przed siebie w ciemność rozjaśnianą żółtawo reflektorami samochodu. Przejechali Cote d'Eich i skręcili w lewo w Rue de Beggen, jadąc na północ w kierunku odległej o trzydzieści kilometrów niedużej wioski Echternach.

Droga była świetna i już o 6.25 znaleźli się przed żelazną bramą, prowadzącą do posiadłości Maxa Emersona. Wzdłuż wjazdu w głąb wznosił się masywny, czteroipółmetrowy mur i nikał gdzieś w ciemnościach.

Z oszklonej wartowni wynurzył się strażnik uzbrojony w pistolet maszynowy marki Heckler&Koch i podszedł do bmw. Ubrany był w czarny uniform z naszywką w kształcie lisiej głowy na prawej piersi. Identyczny emblemat, tyle że blaszany, miał na czapce. Z wartowni obserwowali ich bacznie drudzy strażnicy.

- Dzień dobry, panu - powiedział uprzejmie, ale bynajmniej nie łągodnie. - Można wiedzieć, w jakiej sprawie?

- Jay Fleming do pana Emersona - odpowiedział Fiszmann, modulując głos tak samo.

Strażnik cofnął się do wartowni, podniósł słuchawkę telefonu, rzucił kilka słów, po czym powrócił do auta. Tym razem na ustach zagościł mu krzywy uśmiech, naznaczony bolesnym przymusem. Brama zaczęła się rozsuwać.

- Proszę jechać, jak prowadzi droga, i pod żadnym pozorem nie opuszczać auta przed dojechaniem do wewnętrznego dziedzińca. W razie jakiegoś defektu proszę pozostać w aucie i czekać na pomoc. Biegają tu puszczane wolno mastiffy - recytował monotonna jak stewardesa, która przed lądowaniem prosi pasażerów, by zapięli pasy i ustawili fotele w pozycji pionowej. - Mastiffy są przyuczone do zabijania. Jeżeli w ciągu pięciu minut nie dojdziecie do wewnętrznej bramy, automatycznie wysyłamy samochód z pomocą. Jeszcze raz proszę o niewysiadanie z auta pod żadnym pozorem i nieopuszczanie szyb, dopóki nie znajdziecie się za drugim ogrodzeniem.

Fiszmann skinął i ruszył z miejsca.

Dobrze utrzymana bitumiczna droga kręciła się zawijasami pośród wysokich drzew. Jay wyteżał wzrok, starając się dostrzec owe mordercze mastiffy, przed którymi ich ostrzegano, ale rozczarował się. Może ich wcale nie było, ale Fleming wolał wierzyć, że są. Wprawdzie Max Emerson często lubił się chełpić, lecz częściej jego przechwałki, a także i jego groźby, sprawdzały się.

Emerson handlował bronią, kupował i sprzedawał śmiertelne narzędzia. Teraz dobiegał już siedemdziesiątki, dorobił się majątku zaraz po drugiej wojnie światowej, skupując karabiny, stare dzipy, bagnety, hełmy i wszystko, co mu wpadło w ręce. Plotka głosiła, że przekupując aliantów, którzy przekazali mu ogromne magazyny broni i amunicji, sprzedawał ją następnie zarówno Mao, jak i Czang Kajszekowi. Podobno jego ludzie kroczyli w ślad za obiema armiami i zabierali karabiny

martwym, ale jeszcze ciepłym żołnierzom, by je potem odsprzedać temu, kto da więcej. Komuniści, kapitaliści, faszyci, rewolucjoniści - nie robił między nimi żadnej różnicy, jeśli tylko mieli czym płacić.

Dziś był multimilionerem i łudząc się, że wielkie pieniądze jedną ogólny szacunek, żył na podobieństwo feudalnego wielmoży. Nie wyrwał już karabinów z rąk poległych żołnierzy. Sprzedawał odrzutowe myśliwce i zawierał lukratywne kontrakty z producentami broni w kilkudziesięciu krajach.

Przedstawiciele największych banków świata - skwapliwie udzielających krajom na drodze rozwoju kredytów na zakup napalmu i samolotów — byli regularnymi gośćmi Emersona, tak samo zresztą, jak i dyrektorzy generalni i prezesi dużych korporacji. Emerson dogadywał się z nimi jak równy z równym, nie bez odrobiny protekcyjności.

Od przeszło dwóch lat wysyłał do ECM Inc. emisariuszy, zabiegając o zgodę na rozprawianie urzędzeń Fleminga.

Jay odmawiał, po pierwsze dlatego, że jego produkty sprzedawały się same, po wtóre, nie chciał, żeby się dostały w ręce nieprzyjaciół Stanów Zjednoczonych, co Emerson wyśmiewał jako „naiwność”.

Jay przypomniał sobie ich rozmowę na ten temat, wysiadając z bmw przed XI-wiecznym zamczyskiem, jakie Emerson kupił i przeobraził w nowoczesną fortecę. Wieże i blanki tonęły w świetle potężnych łukowych reflektorów. Jeśli prawdą była choćby połowa z tego, co Jay słyszał o zamku, to był on lepiej strzeżony niż Fort Knox, Pentagon i wszystkie banki szwajcarskie razem wzięte. Po zeszłorocznym zamachu na niego Emerson już się stąd nie ruszał i tu załatwiał wszelkie interesy. Opowiadał, że już nigdy nie wysadzi nosa poza kamienne mury twierdzy. Niech jego dyrektorzy biorą na siebie całe ryzyko, on będzie w spokoju cieszył się plonem, jaki zawdzięcza swoim brudnym pieniądzom.

Jay nie cierpiał tego człowieka i nie do zniesienia był dla niego styl w jakim Emerson wyrzekłszy się swobody, dożywał ostatnich lat swego życia.

Masywne drzwi otwarły się same, jak tylko Jay i Aaraon weszli na ostatni stopień schodów, wpuszczając ich do ogromnego holu o klasztornym, ostrołukowym sklepieniu. Pośepność tego pomieszczenia zdawała się namacalnie osiadać im na ramionach i byłaby absolutna, gdyby nie osobliwa kompozycja kamieni szlachetnych jarząca się kilkanaście

metrów od wejścia. Podświetlone rubiny, szmaragdy, szafiry, akwamaryny - błyszczały migotliwie jak żywe, tworząc obraz lisiej głowy wielkości talerza stołowego.

Emerson lubił podkreślać swoją przebiegłość. Puszył się, że nigdy nie stanął przed sądem, chociaż przypisywano mu mnóstwo nieprawości. Twierdził, że odznacza się chytryścią lisa i dlatego uczynił z jego podobizny logo firmy Emerson Armaments. Poza tym był prostacki, brutalny i grubiański, a ostentacja, z jaką demonstrował swe bogactwo, zdawała się sumować cechy tego łajdaka rodem z Houston.

Kamienie leżały w zasięgu ręki, nie zamknięte, ale czas pod nadzorem goryli Emersona. Jay rozglądał się za kamerami, ale nie dostrzegł żadnej. Jeśli były, to trzeba przyznać, że świetnie ukryte.

- Panowie - dobiegł ich głos z krańca holu. Jay wyteżył wzrok, starając się przeniknąć ciemności z niszy światła w którym kapały się kamienie. Potem na kamiennej posadce dały się słyszeć równe miękkie kroki i po chwili ukazała się postać ubranego przepisowo kamerdynera. Wyglądał na kogoś, komu nie są obce sekrety stylowych angielskich zagadek kryminalnych i zamierzał w najbliższym czasie popełnić jedno z owych tajemniczych morderstw. – Proszę za mną - rzekł władczo i obrócił się na pięcie.

Jay i Aaron szli za nim w głąb holu pośród surowych sprzętów i ścian obwieszonych gobelinami. Ku rozczarowaniu Jaya nie natknęli się na stare rycerskie zbroje.

W końcu holu były drugie drzwi, nie tak okazałe, jak te przez które weszli, ale nie mniej solidne. W ścianie obok nich żarzyła się tabliczka numeryczna. Kamerdyner wystukał kod, odezwał się elektryczny brzęczyk i drzwi otworzyły się na oścież.

-Tamtędy, panie Fiszmann - kamerdyner wskazał Aaronowi drzwi na lewo. - Zechce mi pan powierzyć swoje okrycie, panie Fleming? - Te drzwi, panie Fiszmann – powtórzył widząc, że Aaron się waha. - Śniadanie już na pana czeka.

Panowie Emerson i Fleming będą rozmawiali w cztery

Aaron popatrzył na Jaya wzrokiem matki, która zostawia swe trzyletnie dziecko w klatce dla lwów w ogrodzie zoologicznym.

- W porządku - zgodził się Jay. - To chyba nie potrwa długo.

- Proszę, panowie - ponaglił ich kamerdyner. Czas pana Emersona jest nadzwyczaj ograniczony.

Jay oddał kamerdynerowi palto, ale Fiszmann natychmiast wyciągnął po nie rękę. Przez ułamek sekundy izraelczyk i kamerdyner przeżywali się wzrokiem, po czym ten ostatni ustąpił. Fiszmann raz jeszcze posłał zatroskane spojrzenie Jayowi, który zniknął w ślad za kamerdynerem w ozdobnych drzwiach na prawo.

Teraz nastąpiła długa korytarzowa wędrówka przez szereg kolejnych drzwi, zaopatrzonych nieodmiennie w tabliczki cyfrowe. Nigdzie nie było widać kamer ani strażników. Emerson najwyraźniej zastosował się do zasady polecanej przez najlepszych ekspertów: im mniej przeciwnik wie o twoich szykach obronnych, tym jesteś bezpieczniejszy.

Na końcu kamerdyner wprowadził Jaya przez hermetyczną komorę powietrzną do oranżerii o wymiarach halowego boiska do koszykówki. Momentalnie ogarnęła ich dławiąca fala wilgotnego gorąca; było duszno niczym w dżungli i Jay niemal czuł, jak skrapla mu się para na policzkach wciąż zimnych od chłodu na zewnątrz.

Rozejrzał się dokoła. Gałęzie drzew dosięgały szklanych płyt dachu, prześwitywała już przez nie różowa mgiełka zwiastująca słońce. Z dębów zwisały szare festony hiszpańskiego mchu. W oddaleniu, za gąszczem bambusów, szumiała woda. Bujna roślinność nie pozwalała wzrokowi zapuścić się dalej niż na dziesięć metrów. Nie było tu piękniej niż ogrodach botanicznych Wiednia, ale wspanialej. Odnosiło się nadto wrażenie, że gdzieś w pobliżu, pośród zarośli, czatuje coś groźnego, że w powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo.

Kamerdyner odchrząknął, uśmiechnął się pobłaźliwie i powiodł Jaya dalej trawiastą ścieżką meandrującą przez zielony gąszcz. Tu i tam odchodziły od niej boczne odnogi wiodące nie wiadomo dokąd. Jay zaczął się obficie pocić na twarzy i pod pachami, pot spływał mu po szyi, ciekł po żebrach. Temperatura musiała dochodzić co najmniej czterdziestu stopni przy prawie stuprocentowej wilgotności.

Wtem zza ostrego zakrętu wyłoniła się drewniana ażurowa altana, opleciona gęsto pnączami japońskiej glicynii.

Wysoko pod potężnymi światłami u jej sufitu kwitła lawenda. Można by rzec, że to dziedzicznyk starego kreolskiego domostwa we francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu. Podchodząc bliżej, Jay dostrzegł

Emersona rozpartego przy szklanym stoliku na żeliwnych nóżkach. Był to mocno otyły mężczyzna o siwych rzadziejących włosach i bladej twarzy pokrytej plamami jak podbrzusze ropuchy, odziany w niebieskie ubranie z bawełny. Jay zwrócił uwagę, że trzęsą mu się ręce. Wchodząc do altany, poczuł od razu powiew chłodnego powietrza płynący z ukrytych gdzieś wentylatorów. Pachniały intensywnie fioletowe kwiaty glicynii.

- Dzień dobry, Fleming - powitał go Emerson po francusku ze straszonym teksańskim akcentem, podnosząc się i wyciągając do Jaya rękę. - Cieszę się, że będę miał kompana przy śniadaniu - uśmiechnął się blade. Jay odniósł wrażenie, że Emerson taksuje go wzrokiem przedsiębiorcy pogrzebowego, określającego rozmiar trumny dla ewentualnego klienta.

- To miło, że przyjął mnie pan tak szybko - powiedział Jay, dodając: - Ma pan tutaj dość oryginalne pomieszczenie.

- Kilka lat temu zatęskniłem za Teksasem - uśmiechnął się z zadowoleniem Emerson, przechodząc na angielski i wskazując Jayowi krzesło naprzeciw siebie. — No i znalazłem w Anglii firmę, która zajmuje się takimi rzeczami, no, wie pan dla arystokratów i podobnych dupków. Mieli cholerny kłopot z wyszukaniem odpowiednich drzew i reszty tego kramu. Musieli jechać do Teksasu i kopać w bayou, na terenie zalewowym. Skubańcy przywlekli tu nawet komary. Ledwo się tego kurewstwa pozbyłem.

Jay milczał, zastanawiając się, od czego zacząć rozmowę i czekał aż Emerson skończy monologować. Pojawił się czarnoskóry chłopak w białym uniformie z dwoma srebrnymi dzbankami. Nalewał z nich równocześnie gorące mleko i kawę, uzyskując płyn o barwie nieco tylko jaśniejszej od jego skóry. Jay sięgnął po porcelanową filiżankę i upił łyk. Kawa była niemal tak samo dobra jak ta, której smak zapamiętał z Francuskiego Targu w Nowym Orleanie.

- Smakuje? — spytał Emerson, pochylając się ku Jayowi, wsparty łokciami o stół. - Specjalna mieszanka wprost z Nowego Orleanu. Chłopak też jest stamtąd.

Jay uśmiechnął się lekko. Przyszedł w interesie, a nie po to, by wywoływać duchy wojny secesyjnej. Emerson przyjął uśmiech Jaya z dobrodziejstwem inwentarza i paplał dalej o zamku, o cieplarni, o tym, ile go wszystko kosztowało i żałował, że Fleming nie skorzystał wcześniej

z jego zaproszeń, po czym spytał, co go teraz tak pilnie do niego sprowadza.

Tego momentu Jay bardzo się obawiał. Musiał się z tym człowiekiem jakoś dogadać. Wielokrotnie układał sobie w głowie tę rozmowę podczas lotu do Luksemburga, a także dzisiejszego ranka. Mimo to nie czuł, że jest do niej należycie przygotowany. Zaczynał się, wymykały mu się właściwe słowa.

- Zadzwońm wczoraj do pana prosto po przylocie z Lejdy. Zdarzyły się tam dziwne rzeczy - pociągnął łyk kawy i ostrożnie odstawił filiżankę na spodeczek. Zaklął w myślach. Przecież nigdy nie miał trudności z wysławianiem się.

Emerson popatrzył w przestrzeń za Jayem i uniósł rękę powstrzymującym gestem.

- Niech pan zaczeka - powiedział. - Widzę, że niosą śniadanie. Myślę, że lepiej będzie się rozmawiało, gdy się trochę posilimy.

Jay uśmiechnął się bez sprzeciwu, zresztą kelner - też czarny, ale nie ten sam co poprzednio - już stawił przed nimi półmiski z jajecznicą i koszyczek z bułeczkami, potem brązowe kielbaski, coś co przypominało smażone rurki z plastiku i na koniec płatki owsiane w wazie ze starej limuzyńskiej porcelany.

Emerson nie przestawał trąkotać także podczas jedzenia. Jadł łapczywie, łykając pożywienie między słowami. Mówił o milionach wydanych na system bezpieczeństwa, ile mięsa pożerają mastiffy, o swoich komputerach i jak dzięki specjalnemu systemowi włamał się do bazy danych w komputerach wielu międzynarodowych korporacji i instytucji rządowych różnych państw.

- Wyznam szczerze, panie kolego - oznajmił - że gdy bym miał startować od nowa, to tylko w branży komputerowej. Możesz okraść kogo chcesz i nikt nic nie wie. A jeśli cię nakryją, to nie idziesz, kurde go frak, do mamra, ale zostajesz zatrudniony jako konsultant, żebyś pokazał jak to zrobić.

Jay jadł i słuchał w milczeniu, jak Emerson, który wydał krocie na zapewnienie sobie bezpieczeństwa, ujawniał szczegóły tych sekretów w przepływie nieokiełznanej próżności.

- Proszę, spróbuj pan tego - urwał na moment swe wynurzenia i podsunął Jayowi półmiskę z tajemniczymi rurkami. - Bardzo smaczne.

Jay przez grzeczność nałożył sobie niedużą porcję, odkroił kęs i nadał na widelec.

- Co to takiego? - spytał żując włożony do ust kawałek.

- Jelitka - wyjaśnił Emerson. - Pyszne, prawda?

-Jelitka? - spytał Jay. -Jakie jelitka?

- Wieprzowe - odpowiedział Emerson ze złośliwym błyskiem w oku, patrząc jak Jay usiłuje powstrzymać odruch wymiotny.

Zjawił się kelner od kawy, napełnił im znów filiżanki i uprzątnął ze stołu śniadaniowe pobojowisko. Jay mógł wreszcie powrócić do celu swojej wizyty.

- Ktoś próbował mnie sprzątnąć - oświadczył prosto z mostu. - Najpierw w Amsterdamie, potem w Lejdzie.

Emerson wysłuchał czujnie relacji Jaya odchylony do tyłu w krześle, z maską obojętności na twarzy. Kiedy Jay skończył, wyprostował się w krześle, wy dobył z kieszeni jednego camela, nie wyjmując całej paczki, w zamyśleniu postukał ;o kolejno oboma końcami o blat stołu, włożył do ust i sięgnął po zapalniczkę wysadzaną rubinkami w kształcie lisiej głowy.

- No i co? - spytał, wydmuchując kłęb dymu.

Jay spojrzał na niego zdumiony, otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Emerson znowu się odezwał.

- No i o co panu chodzi? Pragnie pan wynająć pokój w moim maksymalnie bezpiecznym Hiltonie?

- Chodzi mi o pewną informację - powiedział spokojnie Fleming, ignorując zaczepkę.

- Informację? - powtórzył Emerson i uniósł oczy w górę na szybko rozjaśniające się niebo, udając zaskoczenie. - Ode mnie? - spytał przenosząc wzrok na Fleminga.

Jay przytaknął ruchem głowy.

- Dlaczego akurat ode mnie? - drążył Emerson.

Jay nie dał się speszyć tym upokarzającym przesłuchaniem.

- Ogólnie wiadomo - zaczął - że w swoim środowisku ma pan najlepszy wywiad.

Była to prawda. Emerson zawdzięczał wielkie finansowe sukcesy tysiącom informatorów, naciągaczom, naiwniakom, skompromitowanym politykom, wojskowym, menedżerom i zwyczajnym szpiegom.

- Mam tylko prośbę - tłumaczył Jay - żeby pan swoimi kanałami wysondował, kto chce mnie wykończyć.

Przez moment Jay rozważał, czy nie poprosić o informacje związane z transferem papierów Tesli, o którym mówił Anderson, ale rozmyślił się. Emerson mógłby bez skrupułów sam położyć na nich łapę.

- Sądzi pan, że to ktoś z mojej branży? - spytał Emerson. - Kogo pan podejrzewa - dodał, gdy Jay skinął potakująco.

- Nie mam pojęcia, kto to może być.

- A co pan daje w zamian za taką informację? - zaciekawił się Emerson. - Czy dysponuje pan czymś, co zrównoważy jej wartość?

- Kontrakt na zbyt moich urzędzeń drugiej generacji ECM.

Emerson uśmiechnął się szeroko, a po chwili w ciszy oranżerii zabrzmiał jego konwulsyjny rechot.

- Pańskie urzędnienia drugiej generacji? - Emerson dostał nowego napadu śmiechu. Łzy ciekły mu po policzkach. A za moment jego śmiech ucichł równie nagle jak wybuchnął i Emerson rzucił Jayowi szydercze spojrzenie.

- Te urzędnienia nie są warte funta kłaków - oświadczył. - Może udałoby mi się wcisnąć ich trochę jakimś bananowym republikom - miękki teksański akcent Emersona mroźnie stwardniał. - Jedyne, na czym by mi zależało, to licencja na sprzedaż tego, co pan niedawno opylił Holendrom.

Fleming nie bez trudu zdołał zachować zimną krew.

- Rozważę to - odpowiedział. - Ale pod warunkiem, że zdoła pan zidentyfikować ludzi, którzy chcą mnie zabić.

Twarz Emersona pozostała nieczytelna. Jay miał nadzieję, że i on się z niczym nie zdradził.

- Jest pan nieźle wystraszony, prawda? - rzucił Emerson.

- Zaniepokojony - odparł Jay.

- Dlaczego nie zwróci się pan do CIA? Na pewno mają swoje kontakty. A przecież ma pan też własną służbę bezpieczeństwa. Denoff to jeden z najlepszych fachowców na świecie. Wie pan, że proponowałem mu pracę u mnie? I ten mały żydowski fiut odmówił.

Emerson potrząsnął smutnie głową i wstał z miejsca. Śniadanie i rozmowa dobiegły końca. Jay także się podniósł.

- Gdzie się pan zatrzymał? - spytał Emerson

- W lokalu firmy.

- Kiedy pan wreszcie znajdzie sobie prawdziwe miejsce do życia? - rzucił wgardliwie, obchodząc stół i gestem zapraszając gościa do wyjścia.

- Takie jak to? - spytał Jay możliwie jak najobojętniej, a Emerson obejrzał się, by sprawdzić czy to nie kpiny.

- Owszem - rzucił i ruszył prędko deptając idealnie przystrzyżoną trawę ścieżki.

- Będę z panem w kontakcie - odezwał się. - Ale coś panu powiem. Doszły mnie różne słuchy i chociaż nie jest w moim zwyczaju powtarzanie pogłosek, dam panu radę. Niech się pan strzeże Ruskich.

- Rosjan?

- Nie przepadają za panem.

- Dlaczego? - zająknął się Jay. - Dlaczego chcieliby mnie uśmiercić?

- Stop - Emerson zatrzymał się i uniósł rękę niczym policjant regulujący ruch. - Wolnego. Wcale nie mówiłem, że próbowali pana zabić. Prawda? Powiedziałem tylko, żeby pan uważał. Nie lubią pana.

- Ale możliwe, że to oni?

Emerson skinął potakująco i dodał:

- Możliwe jest też, że to nie oni. - Skontaktuję się z panem - powtórzył. - I niech się pan już nie waha po powzięciu decyzji.

- To będzie zależało od tego, co pan wykryje - odpowiedział niechętnie Jay.

Przy wyjściu z oranżerii Emerson wyciągnął do niego rękę. Jay popatrzał na niego i odwrócił się, nie podając mu swojej. Zza zamkniętych drzwi doszedł go triumfalny śmiech teksańczyka.

Rozdział 13

Luksemburg, 19 grudnia

Raoul LeClerc nie znał właściwie uczucia wdzięczności. Ale w takie ranki, jak ten, dziękował w duchu średniowiecznym budowniczym Luksemburga, bowiem to za ich sprawą mógł bezpiecznie ukryć" swoją zbrojownię i to pod samym nosem policji.

Pod brukami starego miasta ciągnęły się setki tuneli i korytarzy, które niegdyś łączyły forty warowni i stanowiska dział. Tylko część tego

labiryntu udostępniono turystom, reszta podziemi została zaślepiona ceglami albo zabudowana lub pozagradzana i to przed wiekami. Ostały się głównie korytarze, większość tuneli była niewidoczna i prawie nieprzechodnia.

Nie ma żadnych planów tej ogromnej kamiennej pajęczyny, co było na rękę LeClercowi, który wynajął na starówce kamienną rudę z piwnicami z początku XIV stulecia, mającymi połączenie z siecią podziemnych korytarzy pod powierzchnią miasta.

Stał teraz pochylony nad ławą, ustawioną pośrodku pomieszczenia, które niegdyś służyło jako prochownia, dwadzieścia pięć metrów pod placem Guillaume. Sklepienie prochowni sięgało dziesięciu metrów i lampa na baterie skąpo oświetlała surowe, kamienne wnętrza. Powietrze przenikał odór benzyny, przez co LeClerca stałe bolała głowa.

Urodzony w Paryżu LeClerc był niskim, muskularnym mężczyzną o czarnych lśniących włosach i gniewnych oczach. Zapuszczał bródkę, która okalała mu szczęki na podobieństwo zżeranego przez mole lisiego kołnierza. Pod górną wargą majaczył mu cień wąsika. Policzki miał upstrzone dojrzałymi do pęknięcia, połyskliwymi punkcikami krost.

Przeklinając dosadnie po rosyjsku i francusku mieszał drewnianą chochlą w dzbanku po kiszonych ogórkach miksturę z proszków do prania i benzyny, to dolewając jej, to dosypując detergentu.

Spojrzał niecierpliwie na swój cyfrowy zegarek z plastiku. Musiał się spieszyć. Została niecała godzina do umówionego spotkania na placu przed hotelem Excelsior.

Był wściekły, że dostał tak mało czasu na wykonanie zadania. Gdyby nie ten pośpiech, mógłby sięgnąć po bardziej wyszukane środki. Ale ten Amerykanin - sądząc po jego francuszczyźnie - nalegał, że musi to się stać rano. Minęło ledwie sześć godzin od jego telefonu i cztery od podjęcia przez LeClerca pieniędzy przylepionych do dna kosza na śmieci w parku przy Citadel St. Esprit. Nienawidził Amerykanów, ale płacił zawsze hojnie.

Przysunął latarnię do ławy i przyjrzał się z bliska miksturze. Zamieszał ją znów, zaczerpnął chochelką trochę galaretowatej masy i wlewał ją stopniowo z powrotem do dzbanka. Uśmiechnął się od ucha do ucha, odsłaniając krzywe zęby.

Napełnił po brzegi miksturą słoik po majonezie i zakręcił mocno pokrywkę, wycierając gałganem nadmiar płynu. Zakrył dzbanek, wziął la-

tarnię i słoik po majonezie i ruszył do wyjścia z piwnicy. Nachyliwszy się, ponastawiał pułapki, grożące śmiercią lub kalectwem ewentualnym intruzom i wspinając się po schodach, pogwizdywał fałszywie Gwiazdzisty Sztandar.

- Wy, wojskowi, jesteście niekiedy zastraszająco podobni — powiedziała Alexandra Downing, sącząc łagodną cejlońską herbatę w sali jadalnej hotelu Excelsior. Naprzeciw niej siedział podpułkownik Lee Goldberg z sekcji wywiadowczej NATO.

Alexandra zadzwoniła do niego natychmiast po zainstalowaniu się poprzedniego dnia w Excelsiorze. Lee poprosił w Brukseli o wolny dzień i przyjechał się z nią zobaczyć.

Był to wysoki, bardzo szczupły szatyn o brązowych oczach, które zdawały się błyszczeć w jasnym świetle wpadającego przez okna słońca.

- W czym jesteśmy tacy podobni? - zapytał niepewnie. Alexandra wytrącała go wyraźnie z równowagi. I to nie tylko dlatego, że była związana z jego zamordowanym przyjacielem. To jej stanowczy, prostolinijski sposób bycia podminowywał go nerwowo. Była bezpośrednia, ale nie obcesowa, agresywna, lecz nie nachalna. Spotykał już kobiety tego pokroju, ale żadna nie była tak atrakcyjna i tak zachwycająco wyposażona w zalety swojej płci.

- Chociażby w sposobie, w jaki staracie się zachowywać jak dżentelmeni. Nie ma w tym nic niestosownego - pochylając się, położyła lekko dłoń na jego łokciu - nawet mi się podoba, ale jest do tego stopnia charakterystyczne dla panów oficerów, że zastanawiam się, czy to szczość, czy jeszcze jeden przepis regulaminu.

Goldberg popatrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć, i jego zmieszanie nie uszło uwagi Alexandry.

- Mniejsza z tym, pułkowniku - uśmiechnęła się lekko, a Goldberg skrzyżował pod stołem nogi, żeby je zaraz wyprostować, zakręcił się niespokojnie w krześle, upił łyk kawy i też spróbował się uśmiechnąć. Był to jednak raczej grymas przesłuchiwanego jeńca.

- Przepraszam, że wprawiłam pana w zakłopotanie - podjęła - ale jest w panu coś takiego, co mi przypomina - na moment oczy zasnuły jej się mgiełką, lecz zaraz się opanowała. - Zresztą, nieważne, nie powinnam z tym wyskakiwać.

Przez chwilę ich spojrzenia się krzyżowały. Goldberg sięgnął po srebrny dzbanek dolał jej herbaty, a sobie kawy z drugiego, też srebrnego dzbanka. Za oknem widać było przechodzących trotuarem ludzi o sylwetkach zmiękczonych przez filtr cienkich zasłon zawieszonych na mosiężnym pręcie.

- Dzięki, że mnie tu pani zaprosiła na śniadanie - przerwał niezręczne milczenie. - Prawdziwie amerykańskie - dodał, zerkając na menu. - Mój hotelik nie jest taki elegancki - obrzucił wzrokiem żyrandole z rżniętego szkła, brokatowe tapety, kosztowne dywany. - Nie na oficerską pensję - zaśmiał się, jakby dając do zrozumienia, że to nie ma właściwie znaczenia.

Alexandra przypomniała sobie pieniądze, jakie zostawił jej Martin. Tyle pracy, a nic z tego nie miał. Zebrało jej się na płacz, ale wzięła się w garść. Przyjdzie na to pora, jak odkryje, kto go zabił i dlaczego. Nie pozwoli, by jego ofiara poszła na marne.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła, a Goldberg spojrzął na nią speszony, jakby wskutek dłuższej przerwy w rozmowie zapomniał swych ostatnio wypowiedzianych słów. - Chyba jednak siedzimy zbyt blisko kuchni jak na mój gust — dodała, wskazując na kelnera, który przemknął tuż obok i wpadł między skrzydła wahadłowych drzwi za ich stolikiem.

- No, ale - podjęła, zmieniając ton na poważniejszy - nie przyjechalismy tu na wypoczynek. - Doceniam to - Goldberga uderzył przenikliwy, zdecydowany wyraz jej oczu - że chce pan mnie trzymać z dala od tej sprawy, przez którą zginął Martin. Ale nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami pogrążona w żałobie - głos się jej lekko załamywał i sięgnęła po filiżankę z herbatą, żeby zebrać uciekające myśli.

- Oznajmił mi pan przez telefon, że zgodnie z ostatnią wolą Martina sam się pan wszystkim zajmie, a ja mam się nie mieszać. Czy dalej pan jest tego zdania? - nasiliła głos.

Goldberg skinął i zamierzał coś powiedzieć, ale Alexandra nie dała mu dojść do słowa.

- Niech pan posłucha - uniosła rękę. - Wiem, że niebawem coś ma się tutaj wydarzyć. „Tesla żyje”. Martin chciał, żebym to panu przekazała. Ma to więc coś wspólnego z Tesla. Wiem, że wynalazł jakąś nową broń i że papiery, jakie pozostawił, są nadal uważane w Waszyngtonie za ściśle tajne. Wiem też, że Martin przesłał panu jakieś informacje o

czymś, co wykrył i co sprawiło, że go uśmiercono - przerwała, by złapać oddech. - Co więcej, podejrzewam, że materiały, które pan od niego dostał, są też tajne. I powiem panu, co zamierzam zrobić, jeśli nie do wiem się, co w nich jest. Otóż, udam się do najbliższego wydziału bezpieczeństwa NATO i powiem, że ma pan te tajne dokumenty.

Alexandra dostrzegła błysk zaskoczenia w jego oczach i wiedziała, że prowadzi jeden do zera.

- Po wtóre - ciągnęła - będę chodziła wszędzie, na policję, na każdy uniwersytet, do każdego attache wojskowego w Luksemburgu i opowiadała, że ma się wydarzyć coś okropnego w związku z wynalazkiem Tesli. Nie wiem, czy się nie mylę, ale jeśli się okaże, że jestem niedaleko prawdy, to rzecz dojdzie do uszu ludzi, którzy są w to umoczeni, nie omieszkają złożyć mi wizyty.

- A zatem, panie pułkowniku - odmierzała starannie słowa - jeżeli chce pan postąpić w zgodzie nie z literą, lecz z duchem listu Martina, to znaczy uchronić mnie przed śmiertelnym niebezpieczeństwem - to proszę, żeby mi pan pokazał te dokumenty. W przeciwnym razie nie będę miała wyboru i zachowam się, tak jak powiedziałam. I nie łudzę się, że owi „goście”, którzy mi złożą wizytę, okażą się wobec mnie życzliwsi niż wobec Martina.

Goldberg długo patrzył na Alexandrę, masując sobie podbródek jak by to była bryłka gliny do wymodelowania, to znów przeczesując palcami włosy. Żałował, że doszło do tego spotkania, nie chciałby nigdy więcej trafić na kogoś takiego, jak ta kobieta.

- Czy pani wie, że posiadanie tajnych dokumentów jest nielegalne? - spytał miękko. - Mógłbym je po prostu wydać i uniknąć konfliktu z prawem.

- Zrobiłby pan to? - zapytała z nutką niepokoju.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył oburzony. - Pułkownik Copeland ocalił mi życie. Jeśli ma się wobec kogoś taki dług wdzięczności, nie oglądamy się na przepisy, gdy przyjdzie do jego spłaty.

- Otóż to - przytaknęła Alexandra. - Niech pan machnie ręką na przepisy. Mam głęboko w nosie reguły bezpieczeństwa narodowego, jeżeli widzę możliwość wykrycia zabójców Martina i powstrzymania ich od zrobienia tego, co chciał udaremnić i zapłacić za to życiem.

Ich spojrzenia zablokowały się jak pod naciskiem niewidzialnej dźwigni. Alexandra dostrzegła, że dojrzewa w nim decyzja.

- Przywiózł pan ze sobą te dokumenty? - spytała

- Tak. Są w moim pokoju w hotelu Central, niedaleko dworca kolejowego.

To dobrze, pomyślała. Zostawiłby je w Brukseli, gdyby nie miał zamiaru mi ich pokazać.

- Gdybym pozwolił pani zapoznać się z tymi dokumentami - zapytał Goldberg, cedząc starannie słowa - to co pani zrobi?

- To zależy, co zawierają. Przypuszczam...

Na zewnątrz rozległy się nagle jakieś gniewne okrzyki. Alexandra zobaczyła przez okno gromadę demonstrantów z transparentami. Napisy po angielsku i francusku domagały się wystąpienia Luksemburga z NATO i usunięcia amerykańskich rakiet nuklearnych z zachodniej Europy.

- Stale to samo - zauważył z niesmakiem Goldberg. - Pewnie w hotelu zatrzymał się znowu jakiś dygnitarz, którego chcą wykurzyć. Zdaje się, że woleliby mieć tutaj rosyjską broń jądrową - dodał, po chwili milczenia.

- Mają dobre intencje - powiedziała Alexandra, odwracając głowę od okna.

Goldberg obserwował uważnie demonstrantów. Nie było ich wielu, może kilkunastu. Policja jeszcze się nie pokazała.

- Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło - sparował Goldberg. - Pewnie większość ma dobre chęci, ale ci, którzy ich nie... - urwał, bo coś nagle przyciągnęło jego uwagę. Rysy mu stężyły, oczy się zaokrągliły.

- Na podłogę! - krzyknął, zrywając się nagle z krzesła i w tym momencie wielkie okno eksplodowało, zasypując salę deszczem rozbitego szkła.

Doskonale, myślał Raoul LeClerc, maszerujący po chodniku w grupie demonstrantów. Nieznajomy Amerykanin przewidział to z niesamowitą dokładnością. Mężczyzna i kobieta siedzieli tam, gdzie mieli siedzieć. Nie musi ich zabijać oddzielnie w pokojach hotelowych. To mu bardzo ułatwia zadanie.

Przesunął się na skraj grupy. Nie była liczna, ale bardzo głośna. Zresztą nie taka znów mała, jeśli zważyć, że musiała się zebrać naprędce. Zadzwoił do Emila Boncoeura kilka minut po telefonie Amerykanina. Boncoeur studiował na uniwersytecie i ostatnio było o nim dość

głośno jako o przywódcy studenckich pacyfistycznych wystąpień przeciw Stanom Zjednoczonym. Powiedział Emilowi, że w Excelsiorze zjawiał się zastępca amerykańskiego sekretarza stanu, który ma przemawiać w Parlamencie Europejskim. Boncoeur nawet go przed paroma minutami przeproszał, że udało mu się zgromadzić tylko taką garstkę kolegów.

- To przez tę przerwę świąteczną - usprawiedliwił się.

- Prawie wszyscy rozjechali się do domów. Kiedy indziej - wzruszył ramionami. *C'est la guerre.*

Co za fantastyczny głupek pomyślał LeClerc, przeszedł na drugą stronę ulicy i oparł dżędek swego transparentu o zaparkowanego citroena. W oddali odezwały się syreny. Dyrekcja hotelu zawiadomiła pewnie policję, nic nie szkodzi. Zdjął z ramion mały, płócienny plecak i położył go na masce citroena. Odpiął sprzączki plecaka, wyjął z niego słoik z przyrządzoną rano miksturą oraz amerykańskie urządzenie do odpalania sztucznych ogni, tak zwane M-80, i mocną taśmą samoprzylepną przymocował do niego słoik.

Ukończywszy te przygotowania, przyglądał się z satysfakcją, jak jeden z demonstrantów poduszczony przez Boncoeura nachylił się, wydułubał z bruku szary, okrągły kamień i cisnął go w okno sali jadalnej hotelu.

Co za piękny widok, zachwycił się LeClerc. Szeroka szklana tafla rozsypuje się w mgnieniu oka i spada niczym lawina lodu. W tej samej chwili LeClerc wyjął z kieszeni dzinsów jednorazową zapalniczkę na gaz i podpałił lont M-80.

W jadalni hotelu w ślad za hukiem zdruzgotanej szyby, brzękiem sreber, trzaskiem tłukących się kryształowych kieliszków i porcelanowej zastawy rozległy się paniczne krzyki przerażonych gości. Brzmiało to niby wybuch bomby rzuconej w orkiestrę wykonującą uwerturę Rok 1812 Czajkowskiego.

Alexandra zdążyła jeszcze zobaczyć, jak okno wybrzusza się do wnętrza, po czym jakieś silne ręce popchnęły ją w kierunku kuchni. Potoczyła się na wahadłowe drzwi i upadła, w połowie leżąc za nimi, w połowie w jadalni.

Przykucnąwszy, dostrzegła Goldberga, który stał jak posąg, wyglądając przez okno i miotając jakieś niezrozumiałe przekleństwa. Z mundurkowej koszuli w kolorze khaki ściekała mu krew, musiało go pokaleczyć szkło.

- Lee! - wrzasnęła, usiłując stanąć na nogi, ktoś z tyłu podtrzymał ją za łokcie. - Lee, uważaj. Jesteś ranny!

Raoul LeClerc uniósł słoik i cisnął go z całej siły, patrząc z dumą, jak szybuje łukiem przez ulicę prosto w rozbite brukowcem okno. Chciał już uciekać, ale sparaliżował go widok wojskowego, który stał wyprostowany z podniesioną ręką, zupełnie jak amerykański futbolista, który lecący ku niemu słoik chce złapać niczym piłkę. Co za cudowna scena, pomyślał Raoul.

A za moment okno stanęło w ogniu.

Alexandra usłyszała huk eksplozji i natychmiast sala zmieniła się w piekło. Płomienie pełzały jak węże po podłodze, wspinając się na ściany i sufit. Zasłoniła ręką twarz, bo od ognia bił nieznośny żar. I nagle ukazał się jej oczom obraz straszny, porażający niewysłowioną grozą. Lee Goldberg płonął jak żywa pochodnia, wydając z gardła nieludzkie jęki bólu i udręki, spiętrzające się nagle w jeden przeraźliwy skowyt trwogi. Chciała pobiec ku niemu z pomocą, ale nic by to nie dało; musiała się uratować, aby i jego śmierć nie okazała się daremna.

Uciekając przed ogniem do kuchni dostrzegła, że Lee Goldberg wyskoczył na ulicę. Wydostała się z kuchni przez wyjście do służbowej windy i znalazła się w ogarniętym chaosem holu. Przyciągam śmierć, myślała, pędząc co sił do drzwi frontowych. Rozdzieliła po drodze jakieś dwie starsze kobiety i odepchnęła boya, który niósł kolorową papugę z nogą przykutą do grędy. Merde! - zaskrzeczał ptak. Merde, merde!

Obrotowe drzwi zostały zablokowane, więc rzuciła się do bocznych, wahadłowych, używanych przez służbę do wnoszenia bagażu. Były zastawione błyszczącą mosiężną sztabą, ale ktoś na zewnątrz nagle je rozwarł i Alexandra poleciała na chodnik, amortyzując upadek dłońmi. Stanęła szybko na nogi i gorączkowo zaczęła się przepychać łokciami przez tłum gapiów.

Kiedy się wreszcie przedarła do przodu, widok, jaki ujrzała, przewyższał najkoszmarniejsze wizje Hieronima Boscha. Lee Goldberg upadł, by po chwili podźwignąć się jakimś cudem i zataczając się, sunął ulicą... on tylko wiedział dokąd. Jacyś dwaj mężczyźni próbowali tłumić na nim ogień swymi marynarkami, ale odstraszyły ich skaczące dziko płomienie. Alexandra podeszła bliżej, a Goldberg osunął się z wolna na kolana i runął do przodu na twarz, jak zwęglony kłęb szmat.

Śwad palącego się ciała wniknął jej w nozdrza i przypawił o mdłości. Ktoś przyniósł małą ręczną gaśnicę akurat w momencie, gdy zgięta w pół Alexandra pozostawiała na chodniku resztki „prawdziwie amerykańskiego śniadania”.

Rozdział 14

Luksemburg, 19 grudnia

Fiszmann zaproponował, żeby wracali od Emersona do Luksemburga inną drogą dla uniknięcia ewentualnej zasadzki. Jay nie protestował, chociaż trochę go ta zmiana rozdrażniła, nie był przekonany, że jest potrzebna.

Siedząc obok Fiszmana na przednim fotelu, wściekał się w duchu na Emersona, nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może być aż tak odrażający. Ten człowiek był całkowicie amoralny, bez cienia etyki, wyzuty z wszelkiej lojalności, zapatrzony tylko w siebie, myślący jedynie o pieniądzach. Całe to upokarzające spotkanie z nim boleśnie go uwierało. Emerson chełpił się, że prędzej czy później każdy z branży zjawi się na jego podwórku. Jay przez długi czas trzymał się od niego z daleka i kiedy słyszał od kolegów z przemysłu zbrojeniowego, jaki to bezwzględny typ, nie mógł się oprzeć uczuciu pewnej wyższości nad nimi. Nikt nie lubił tego grubego handlarza bronią, ale wszyscy robili z nim interesy.

Jay odczuwał na przemian to wstyd, to złość, że okoliczności zmusiły go do skontaktowania się z teksańczykiem. Zastanawiał się, czy po uzyskaniu od niego informacji nie wystawić go jednak do wiatru. Będzie miał w nim wroga, ale kto chciałby być jego przyjacielem?

Przypomniawszy sobie, co mówił mu Anderson na temat papierów Tesli. Najwidoczniej miało to związek z tymi zamachami na niego. Ktoś chciał się nim posłużyć, ale jednocześnie ktoś inny chciał go zabić. Rozwiązanie pierwszej zagadki mogło wyjaśnić drugą. Kim byli ci, między którymi toczyła się ta gra z jego bezwiednym udziałem? Przerzucił w myślach listę swoich nieprzyjaciół, ludzi, którzy go nie lubili, którym jego śmierć przyniosłaby korzyść. Rejestr był długi, można by

równie dobrze sięgnąć po rocznik „Kto jest kim w przemyśle zbrojeniowym?”.

Był nie lubiany przez większość głównych producentów broni, ponieważ ECM Inc. nie kierowała się zasadą koszty plus marża oraz w ciągu całego swego istnienia ani razu nie obciążyla strony rządowej przekroczeniem kosztów własnych. Fleming wygrywał przetargi na zasadzie konkurencyjności. Po prostu oferował najlepsze produkty i miał z nich przyzwoite zyski.

Polityka ECM była niewygodna dla całego kompleksu przemysłu zbrojeniowego. Ceny firmy zmuszały inne spółki do obniżania swoich wymagań finansowych. Ilość konfitur, jaka w związku z tym nie trafiała na ich stoły, mogła być dla niektórych prezesów wystarczającą pokusą, by pociągnąć kilka sznurków w CIA w celu wyprawienia go na tamten świat.

Jednak to nie wyjaśniało maskarady z fałszywymi policjantami w Lejdzie, a także interwencji wysokiego bruneta w Amsterdamie. Komuś wyraźnie zależało, żeby policja o niczym nie wiedziała. I jeszcze ktoś inny próbował się włączać. A Jay jakimś dziwnym trafem był głównym trybem w tajemniczym planie, który obie strony pragnęły zrealizować, nie przebijając w środkach. O co tu chodzi?

A jeszcze było to niedwuznaczne ostrzeżenie Emersona przed Sowietami. Czego oni chcieli? Jego urzędzeń? Możliwe, ale mało prawdopodobne. Jay wiedział, że jakakolwiek rosyjska próba zlikwidowania go pociągnie za sobą wojnę szpiegowską. Fleming mógł być nie lubiany przez swoich kolegów z przemysłu zbrojeniowego, ale atak na niego sprawi, że wszyscy znajdą się na celowniku. Nie wykluczało to jednak możliwości, że znalazł się między rosyjskim młotem a jakimś nieznanym kowadłem.

W głowie kręciła mu się karuzela znaków zapytania. Postanowił, że jak tylko wróci do Luksemburga, zapędzi cały tamtejszy personel do roboty nad tym problemem.

Spojrzał na zegarek. Alternatywna droga Fiszmana okazywała się chyba dwa razy dłuższa. Z przydrożnej tablicy informacyjnej wynikało, że do miasta mieli jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów. Za przyciemnioną kuloodporną szybą roztaczał się zalesiony krajobraz. Betonowa szosa o dwóch pasach ruchu zygzakowała, zbiegając się raz po raz równolegle z potokiem, prześwietlającym przez drzewa białymi plamami pia-

ny. Czasem musieli przejeżdżać nad potokiem, niekiedy zostawiali go na dole w wąwozie, wspinając się na niezbyt wysoką skarpe, a raz przejechali przez tunel.

Ruch był zadziwiająco duży, napotykali mnóstwo tirów i samochodów ciężarowych. Dwukrotnie musieli się zatrzymać, żeby przez wąski mostek przepuścić ogromną ciężarówkę.

Jay rzucił okiem na Fiszmana, który zdawał się być pochłonięty bez reszty śledzeniem sytuacji na drodze. Stale zerkał we wsteczne lustro, przyglądał się czujnie wszystkim pojazdom, obserwował pobocza. Jechał bardzo prędko, wyprzedzając łatwo wolniejsze auta i pokonując sprawnie liczne zakręty.

- Co myślisz o zamczysku Emersona? - zagadnął go Jay.

Izraelczyk spojrział na niego przelotnie, widać było, że nie ma ochoty na pogawędkę.

- Z punktu widzenia bezpieczeństwa - potęga - odparł rzeczowo. - Osobiście wolałbym się tam nie zakradać.

- Nie do pokonania?

- Wszystko jest do pokonania. Te psy można by wyłączyć mięsem nadzianym narkotykami. Albo pociskami ze środkiem usypiającym. Wtedy wewnętrzny mur dałoby się łatwo sforsować, bo ze względu na psy nie mogli zainstalować czujników ruchu ani linek turbulencyjnych. Z drugiej strony - dodał po namyśle - można zamontować linki albo czujniki podczerwieni ponad gruntem, powiedzmy na wysokości ramion, żeby psy ich nie aktywowały.

- Zresztą mur zewnętrzny czy wewnętrzny - ciągnął najwidoczniej podekscytowany tematem - to nie największy problem pod warunkiem, że się nie dotyka jego szczytu i nie uruchomi jakichś czujników. Ale za murami... - przeciągnął głoski — to już zupełnie co innego. Te stare zamki są tak zbudowane, że nie mając się do nich dostać. Słabe punkty to oczywiście okna i drzwi, ale te są dobrze zabezpieczone. Właściwie wejść do środka bez zaproszenia można tylko za pomocą materiałów wybuchowych. No, a wewnątrz... widział pan sam, wszystkie drzwi są otwierane elektronicznie.

- Uważam, że Emerson zabarykadował się nadzwyczaj dobrze - podsumował Fiszmann. - Zasadniczo nie miałbym pomysłu, jak tam wleźć i doprowadzić ten lisi łeb — uśmiechnął się blade, pokazując jednak wyjątkowo skrawek uzębienia.

Fleming powrócił do myśli o sposobach ograniczenia Emersonowi dostępu do najnowocześniejszych urządzeń ECM. Nie uśmiechała mu się spółka z nim, ale była to może najkrótsza droga do wykrycia tego, kto czyhał na jego życie. Musi wydobyć od Emersona te informacje, a jednocześnie nie dać mu do rąk najnowszych produktów firmy, bo byłoby to równoznaczne z dostarczeniem ich pocztą lotniczą na Kreml.

Z rozważań tych wyrwał go nagle głośniejszy warkot silnika. Bmw znacznie przyspieszyło.

- Co się dzieje? - spytał.

- Chyba ktoś nam siadł na ogonie - rzucił Fiszmann.

- Który to? - Jay spojrzął się do tyłu.

- Zdaje się, że ten ciemnozielony jaguar. Sedan. Wzięli zakręt, a kiedy wjechali na prostą, Jay dostrzegł

jaguara gwałtownie połykającego dostawczą furgonetkę. Wtem z tyłu wynurzył się drugi jaguar, ciemnogrnatowy dla odmiany i też wyprzedził furgonetkę. Fiszman dociskał akcelerator niemal do oporu. Igła szybkościomierza powędrowała daleko na prawy skraj tarczy tuż przed ostatnią podziałką wskazującą dwieście kilometrów na godzinę.

Drzewa i znaki drogowe zlewały się im teraz w jedno. Fiszmann gnał jak szalony. Jaguary za nimi trochę się zbliżyły, ale nie na tyle, by można było zobaczyć twarze za przednią szybą.

Fiszmann rwał do przodu, wyprzedzając wolniejsze pojazdy nawet na najostrzejszych zakrętach. Mimo to jaguary trzymały się za nim, nie tracąc dystansu.

- Na tylnym siedzeniu w czarnej walizeczce jest uzi - rzucił Fiszmann. - Dasz sobie z nim radę?

Jay odparł, że tak i zaczął się przemieszczać pospiesznie do tyłu akurat w momencie, gdy Fiszmann brał kolejny zakręt. Przy dużej szybkości prawe tylne koło zjechało gwałtownie z betonu szosy i szorowało po żwirze pobocza, póki Aaron nie odzyskał panowania nad autem.

Jayowi z emocji załomotało serce, na górnej wardze wystąpiły mu krople potu. Podziwiał stoicki, niewzruszony spokój Fiszmana, na którym poślizg przy prędkości stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę zdawał się nie robić żadnego wrażenia.

Musiał jednak zwolnić, żeby bmw mogło wrócić do równowagi, i to wystarczyło, by jaguary zmniejszyły o połowę dzielący ich dystans. Jay

ostrożnie otworzył walizeczkę, wyjął świeżo naoliwiony automat z ochronnej pianki i dołączył do niego 32-nabojowy magazynek.

W chwili, gdy opuszczał prawe okno, na tył auta posypał się grad pocisków i kuloodporna tylna szyba zamglila się pajęczyną pęknięć.

- Szkoda, że nie mamy mercedesa - powiedział Fiszmann i Jay przytaknął. Mercedes miał po środku tylnej szyby mały otwór strzelniczy, w bmw tego nie było. Jay musiał strzelać, wychylając się z otwartego okna.

Raptem na ostrym zakręcie przechylili się na prawo, wystawiając prawy bok samochodu z półotwartą szybą na strzały ścigających ich bandytów. A ci nie przeoczyli tej okazji, pociski natychmiast zagrzechotały o karoserię. Jay odrzucił uzi i zaczął podnosić szybę, która zaraz pokryła się siateczką zmarszczek. Jeden z pocisków zdążył jednak znaleźć drogę do wnętrza wozu i utkwił z głuchym tąpnięciem w tapicerce nad lewymi drzwiami o centymetry od głowy Fiszmana, który ani drgnął. Po chwili droga się wyprostowała i niebezpieczeństwo minęło, napastnicy mieli znów przed sobą tylko opancerzony tył bmw. Jay spojrzał na dziurę w tapicerce nad głową Fiszmana i chciał coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnował.

-Zawsze opuszczaj szybę od strony kierowcy. Wtedy odsłonięta jest tylko strona pasażera i też dopiero przy dużym skręcie w lewo - pouczył go Aaron spokojnie, bez gniewu, ale Jay przyjął to z pokorą jak słuszną przyganę i nauczkę na przyszłość.

Pociski nie przestawały tłuc o bagażnik auta i Jay opuścił szybę za Fiszmannem i puścił długą serię z uzi. Pierwsze pociski, gdy przymierzał się do celu, odbijały się od szosy jak prażynki kukurydzy, ale pod koniec serii dosięgły przedniej szyby zielonego jaguara, która rozleciała się w drobny mak. Jaguar natychmiast zwolnił. Jazda bez przedniej szyby przy prędkości stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę jest mocno utrudniona. Ale niebieski jaguar wyprzedził od razu swego uszkodzowanego kompana i pościg trwał.

- Jedno nam na pewno sprzyja - skwitował Fiszmann, spoglądając we wsteczne lusterko. - Mają standardowe wozy. Celuj w kierowcę albo w opony.

Jay nie bez trudności odłączył pusty magazynek od uzi i założył nowy. - Strzelaj ogniem przerywanym - poradził Fiszmann. - Trzeba

oszczędzać amunicję. Mamy jeszcze tylko cztery magazynki. Nie myślałem, że dojdzie do takiej długiej kanonady.

Jay wychylił się znów przez okno, oddając trzystrzałową serię do jaguara, który teraz niemal dotykał zderzakiem bmw. Chybił jednak, bo jaguar szarpnął w lewo, schodząc z linii ognia. Fiszman zjechał na prawy skraj szosy, żeby ułatwić Jayowi ostrzał, ale jaguar walnął ich w tylny zderzak, wstrząsając całym autem.

- Trzymaj się! - krzyknął Fiszmann, naciskając hamulec i Jay poleciał do przodu, uderzając boleśnie żebrami o tył przedniego fotela. Manewr zawiódł, bo kierowca jaguara przewidział go i też raptownie przyhamował. Bmw zaczęło się obracać, ale Fiszmann znów je naprostował i mocno przyspieszył.

- To są zawodowcy - stwierdził Fiszmann nie bez respektu. - Nie ma dwóch zdań.

Skreślił znowu, by utrudnić celowanie strzelcowi z jaguara, a Jay tymczasem zdołał wypuścić kolejną serię, lecz nie trafił i pociski posypały się bezużytecznie po nawierzchni drogi.

Przed nowym zakrętem w lewo, kiedy bmw musiało odsłonić swój lewy bok, Jay schylił się nisko, a wpadające przez okno pociski świstały mu nad głową, bijąc w oparcia siedzeń i przeciwległą ścianę auta. Równocześnie z pociskami do wnętrza wdierał się mroźny wiatr, ale Jay czuł, że pot ścieka mu po czole i wsacza się w brwi.

- Jezusie! To obłąd! - krzyknął i wychylił się z okna, szykując się do strzału. Ale nim zdążył nacisnąć spust, Fishman wrzasnął:

- Potrafisz się modlić?

Fleming obrócił się. Droga biegła obecnie prosto pomiędzy potokiem z prawej strony a kilkunastometrową skarpą z drugiej. Dokładnie na wprost wyrastał przed nimi wąski nawis odsłoniętej skały, przegradzający szosę niczym łapa jakiegoś olbrzymiego zwierza. Inżynierowie drogowi przebili pod nawisem krótki tunel. Wjego prześwicie widać było rozpędzoną masę cysterny z paliwem, która przeniosła się na sam środek szosy, żeby się dobrze zmieścić w tunelu. Zatrzymanie się nie wchodziło już w rachubę.

Kiedy Fiszmann nacisnął do oporu pedał gazu mroczny otwór tunelu wydawał się zwiększać. Po chwili ich połknął. Nadjeżdżająca z przeciwka cysterna wciąż była widoczna w świetle słońca, ale jej ocieślała bryła zbliżała się coraz bardziej i Jay czuł, że sztywnieje na całym ciele.

Kierowca cysterny mrugał już teraz do nich światłami i nie zdejmował ręki z klaksonu. Widać było, że rozpaczliwie hamuje, spod tylnych kół cysterny wydobywały się obłoki dymu.

Była już tak blisko, że Jay mógł odczytać napis Elf Aquataine na czole zbiornika, po chwili dojrzał emblemat Fiata na kratownicy wlotu powietrza.

Dotknął językiem podniebienia. Było suche jak podeszwa. Cichy głosik gdzieś w tyle głowy pocieszał go, że koniec nastąpi szybko. Przy tej prędkości nic nie poczuje.

Kabina cysterny zamajaczyła nad nimi niczym ruchoma góra i auto wyskoczyło jak z procy na jasne poranne słońce. Cysterna wtoczyła się w tunel jak pociąg towarowy, ale krawędzią błotnika przeorała z trzaskiem bok mijanego bmw. Przez długą paniczną sekundę Fiszmann walczył o utrzymanie go w równowadze, samochód ślizgał się jak bąk i przód z tyłem nie mogły się ustabilizować w jednej linii.

Tylne koła bmw oderwały się od nawierzchni i Jay jak w gigantycznym kalejdoskopie miotany był z lewa na prawo i z góry na dół. Upuścił uzi i uchwycił się klamry pasa bezpieczeństwa, która palnęła go w policzek. Uderzał nogami, to w podłogę, to w dach, raz stał prosto na tylnych drzwiach, to znów lądował na nich głową. Uzi stuknął go w lewą nerkę, ale na szczęście nie wypalił. Uszy wypełniał mu zgrzyt torturowanego metalu, przechodzącego w pisk, potem w stęknięcie i wreszcie zapadła cisza. Auto legło na prawym boku.

Jay nie słyszał eksplozji cysterny w tunelu, ale minęły zaledwie sekundy, kiedy pod przewróconym samochodem zatrzęsła się ziemia. Jay dźwignął się na nogi i wystawił głowę przez wciąż otwarte okno akurat w porę, by ujrzeć, jak z ujścia tunelu wpełzają jęczory dymu - żółte i czarne, pomarańczowe i czerwone. Za moment padł, gdy potężny podmuch fali powybuchowej dotarł do wraka bmw, uniósł go z pobocza niczym piłkę i po niewielkim nasypie wepchnął do strumienia, gdzie znów znieruchomiał, tym razem na dachu.

Zdażył jeszcze zobaczyć po drugiej stronie drogi niebieskiego jaguara mocno wbitego maską w słup linii przewodów elektrycznych. Znaczyło to, że cysterna zderzyła się z zielonym jaguarem, tym z rozbitą przednią szybą.

Wlewająca się do przewróconego bmw lodowata woda podziałała na Jaya jak porażenie prądem. Przez chwilę leżał spokojnie, inwentaryzu-

jąc poniesione na ciele szkody. Bolały go zębra, huczało mu w głowie, ostry ból dawał o sobie znać z boku czaszki. Pomacał to miejsce i na palcu ujrzał krew. Ale mógł poruszać rękami i nogami, zdawał się być nadal w jednym kawałku.

Ostrożnie potrząsnął głową dla otrzeźwienia i podpełzł do Aarona, który bezwładnie kulił się jak śpiące dziecko w krzywiznie przedniej szyby.

- Aaron - odezwał się, poruszywszy nim. Fiszmann nie reagował. Był nieprzytomny. Jay uchwycił go za pas i powłókł do tyłu. Próbował otworzyć drzwi, jedno, potem drugie, ale nie ustąpiły, więc podciągnął Fiszmanna do okna i wypchnął go w wodę, po czym sam tą samą drogą wy dostał się na zewnątrz. Jedną ręką zdołał przytrzymać Fiszmanna, i aby nie poniósł go prąd, drugą złapał się za rurę wydechową na podwoziu bmw.

Auto wylądowało tuż przed żwirową łachą i prąd szybko zniósł je dalej i osadził maską ku górze potoku. Otwarte okno wozu wychodziło więc na głębszą wodę, gdzie silny nurt mógł wyrwać nieprzytomnego Fiszmanna z uchwytu słabnącej coraz bardziej ręki dygocącego z zimna Jaya.

Wtem prąd podbił nogi Fiszmanna, który zaczął łagodnie unosić się na powierzchni wody. Jay puścił rurę wydechową i pozwolił prądowi nieść się w kierunku płycizny, oddalając się rozpaczliwą pracą nóg od koryta potoku. Wkrótce poczuł pod stopami żwir, zmienił rękę trzymającą Fiszmanna i przekreślił się na brzuch. Wyczołgał się mozolnie na brzeg i padł bez tchu, skostniały, na ziemię. Zamiast nóg miał dwa zmrożone kawały mięsa. Niezdarnie zaczął pełznąć w tył, ciągnąc za sobą Aarona. W powietrzu wisiał ciężko gryzący odór benzyny i swąd palącego się kauczuku. Ale nos Jaya prawie nie rejestrował tych zapachów. W dalszym ciągu ogarniało go dojmujące zimno. Odciągnąwszy Fiszmanna od potoku, usiadł z trudem. Nie czuł wcale nóg. Musiał na nie popatrzeć, aby stwierdzić, że są na swoim miejscu.

Spojrzał do góry na szosę, gdzie trwało inferno. Wylot odległego o niecałe sto metrów tunelu zionął ogniem. Wybuch zaczerpił całą powierzchnię skarpy prawie do miejsca, gdzie bmw wyleciało z drogi. Smolista płachta dymu kłębiła się nad szosą, zasnuwając słońce. Jay dostrzegł, że z tunelu wyskoczył nagle wąż ognia i zmierzał po ziemi ku niemu, niosąc ciepło, którego tak teraz pragnął.

Potrząsnął głową i chybotliwie dźwignął się na kolana. Pochyliwszy się nad Fiszmannem klepnął go w policzek.

- Aaron - wyjąkał, przeklinając się za opieszałość. Ale jest taki zmęczony. Jak dobrze byłoby się położyć i trochę podrzemać tak jak Aaron. Mała odświeżająca drzemka i będzie mógł...

„Stop!” - powiedział głośno, ledwo rozpoznając swój głos. „Stop, panie Fleming. Jeśli zaśniesz, to po tobie, pieprzony głupku”.

Dobrze zrobiłem, pomyślał. Będę mówił głośno i nie zasnę. „W porządku, teraz wciągniesz Fiszmana na górę, gdzie złapiesz trochę ciepła”.

Stanął z trudem na nogi i pochylił się, żeby wziąć Fiszmana pod pachy. I wtedy zauważył, że głowa Izraelczyka chwieje się jakoś nienaturalnie. Miał złamane kręgi szyjne i był w stu procentach martwy.

Jay ułożył go delikatnie na ziemi i zakolysał się niczym samotne drzewo szarpane burzą, walcząc o utrzymanie się w pionie. Spojrzał na nieruchome ciało Fiszmana, na którym nie widać było żadnej rany, nawet zadrapania czy siniaka.

- Ty chyba nie jesteś nieżywy - wymamrotał. - Pójdę po pomoc.

Potykaçąc się na kamieniach, padając, wstając i znów padając, znieczulony zimnem, szedł w stronę stromizny nasypu między szosą a potokiem. Kiedy dotarł do niego, wpadł w panikę. Wydał mu się wielki jak Everest.

Oparty jednym ramieniem o kamienny narzut nasypu, spojrzał mętными oczami do góry i zaczął wspinaczkę. Pomyślał, że ostre kamienie narzutu pewnie go kaleczą, ale nadal nic nie czuł. Ale każdy ruch, każde oparcie stopy, każdy chwyt musiał okupić nadludzkim wysiłkiem. Nagle posłyszał lekki chrzęst kroków ponad skrajem nasypu. Wstąpiła weń nadzieja. Ktoś mu pomoże.

- Ratunku! -jęknął cicho. - Tu na dole. Nie odchodzić!

Na pomoc!

W kilka chwil potem zarysowały się nad Jayem sylwetki dwóch mężczyzn, przesłaniane oparami brudnego dymu.

- Tutaj! -Jay pomachał zmrożonym kawałkiem mięsa przyczepionym do lewego barku.

I nagle mózg zlodowaciał mu podobnie jak reszta ciała. Otepiały patrzył, jak jeden z mężczyzn podnosi pistolet i bierze go na cel. Jay doszedł do wniosku, że nadeszła pora upragnionej drzemki.

Jak na ludzi mieniących się wyznawcami funkcjonalności i gardzących dekadencją kulturą Zachodu Rosjanie przejawiają zadziwiającą słabość do monarszej ostentacji w architekturze kapitalizmu. Rosyjska ambasada w Londynie mieści się w masywnym pałacyku przy prywatnej uliczce, graniczącej z różami królowej w Ogrodach Kensingtonskich. W Waszyngtonie ambasada Rosji dopasowuje się dostojnie do zasobnej okazałości dzielnicy dyplomatycznej. Ale daleko im obu do ambasady luksemburskiej. Mieści się ona w Chateau de Beggen, wykwintnej egzemplifikacji feudalnego zbytku. Położona o kilka kilometrów na północ od stolicy między wioskami Beggen na zachodzie i Dommeldange na południu, zapewnia swoim rezydentom zarówno komfort, jak i idealne odosobnienie. Zamek jest z dwóch stron obwiedziony lasem, z pozostałych autostradą. Nikt nie może przejechać niezauważony przez ochronę.

Obsydianowi bardzo się tu podobało, albowiem wszystko wokół dorównywało luksusom w waszyngtońskim Klubie Pasterza, a może nawet je przewyższało. Ale czuł się nieswojo w towarzystwie Rosjanina, który teraz słuchał uważnie jego słów. Nie dlatego bynajmniej, że denerwowała go sama obecność Rosjan. Przeciwnie, jako fizyk, zajmujący się zarazem zagadnieniami bezpieczeństwa narodowego, miał z nimi częstą styczność. Jednak krępowało go to, że siedzi sobie wygodnie naprzeciw kominka, w którym huczy ogień, popija wyborny koniak z kryształowego kieliszka i popełnia zdradę, spiskując z rezydentem KGB. Ale czymże jest jego niewyraźne samopoczucie wobec konieczności powstrzymania Fleminga, pocieszył się.

- Podjął pan znaczne ryzyko, zjawiając się tutaj - zauważył Pasza Bielenko i podniósł do ust kieliszek, zawieszając sceptycznie na Obsydianie spojrzenie swych oliwkowych oczu.

Bielenko był to młody jeszcze człowiek, nie przekroczył chyba trzydziestu pięciu lat, wzrostu więcej niż średniego, wysportowany, o szerokich ramionach i muskularnym karku. Starannie skrojony garnitur nabyty na londyńskiej Savile Row nadawał mu bardzo elegancki wygląd. Widoczna pod lewym uchem blizna ginęła w kołnierzyku bawełnianej jasnoniebieskiej koszuli. Gęste brązowe włosy miał przystrzyżone krótko, tylko trochę dłużej niż na wojskowego jeża. Siedzi w nim gdzieś głęboko biały Ruski, pomyślał Obsydian.

- Owszem - przyznał niechętnie Obsydian. - Podjąłem pewne ryzyko. Myślę jednak, że jest ono usprawiedliwione powagą sytuacji.

- Tak - zgodził się Bielenko, nie spuszczać wzroku z Obsydiana. - Przedstawił to pan zupełnie jasno. Dokładnie i przekonywająco. Ale jednak... - westchnął lekko. - Zdecydował się pan na wielkie ryzyko, lecz domaga się pan od nas jeszcze większego.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale musicie powstrzymać Fleminga. Ja wyczerpałem już swoje możliwości. Wyobrażacie sobie, do czego dojdzie, jeśli mu się uda?

Bielenko kiwnął głową, ale jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Istnieje możliwość opóźnienia transferu - rzekł wymijająco.

- Właśnie to miałem na uwadze przed skontaktowaniem się z panem. Warto rozważyć to ryzyko.

- Niekoniecznie. Jugosłowianie są gotowi. Odroczenie interesu może go całkowicie zrujnować.

- Ale jeśli rzecz się dostanie w ręce Komitetu Siedmiu... - Obsydian wychylił się z krzesła do przodu, nie kończąc zdania.

- Katastrofa - stwierdził stanowczo Bielenko. - Bezbrzeżna katastrofa.

Odstawił kieliszek na stolik obok krzesła, wstał, podszedł do półki z książkami i zdjął z niej opasy tom w oprawie z czerwonej skóry.

Powróciwszy na miejsce wyciągnął przed siebie książkę tak, jakby okazywał dowód rzeczowy.

- Towarzysz Lenin często poruszał kwestie związane z ryzykiem - podjął Bielenko. - Większość tych uwag dotyczy Zachodu, przeważnie są to ostrzeżenia, by nie dowierzać Amerykanom. Znam dzieła towarzysza Lenina. I wierzę jego słowom.

Obsydianowi zrzędła mina.

- Jednakże - kontynuował Bielenko - towarzysz Lenin powiedział też, że czasem musimy podejmować ryzyko w stosunkach z tymi, do których nie mamy pełnego zaufania. Wierzę panu do pewnego stopnia. To, co pan mówił, ma w dużej mierze sens. Ale jeśli pan kłamał, umrze pan jak Jay Fleming. Anonimowo.

Bielenko wziął książkę i wyszedł, zostawiając Obsydiana sam na sam z jego strachem.

W holu hotelu Central roilo się od niskobudżetowych turystów i wojskowych rozmaitych armii. W rozszaniach po całym lobby grupkach gości rozmawiano głównie po angielsku.

Alexandra Downing poszła wprost do toalety damskiej, gdzie poprawiła makijaż i uporządkowała na sobie ubranie. Drobinę niestrawionego posiłku starła z kostiumu i pantofli zmoczonym papierowym ręcznikiem. Żołądek ciągle jej podchodził do gardła i nie była pewna, czy znowu nie dostanie torsji. Wciąż miała przed oczami obraz płonącego Goldberga. Zamknęła oczy i masowała palcami powieki. Obraz nie zniknął.

W co Martin się uwikłał? Kto mógł być na tyle okrutny, by zabijać ludzi w tak straszny sposób? Spojrzała na zegarek, próbując znów przesunąć widok umierającego Goldberga w najciemniejszy zakamarek umysłu. Miała teraz do rozszyfrowania zagadkę dwóch morderstw.

Jeszcze raz sprawdziła swój wygląd. Unikaj światła, powiedziała sobie, a nie będziesz wzbudzać żadnych podejrzeń. Zatrzasnęła torebkę i ruszyła do wyjścia. Czekają ją arcyważne zadanie.

W holu przy recepcji stał już posłaniec z kwaciarni. Alexandra usiadła w fotelu, czekając, aż ktoś weźmie od niego wiązanek, żeby ją zanieść do pokoju Goldberga. Minęła minuta, jedna, druga, pięć minut.

Wreszcie zjawił się boy w liberii, wziął kwiaty i skierował się do windy. Alexandra szybko wstała i podeszła do windy, która po chwili wypuła trzech amerykańskich oficerów i sześciuosobową rodzinę. Boy czekał, żeby Alexandra weszła pierwsza.

O nie, pomyślała. Zapyta mnie, na które piętro chcę jechać.

- Sekundkę - powiedziała. - Może pan przytrzymać windę na moment? Widzę tu kogoś z kim muszę zamienić słówko.

- Oczywiście - odrzekł niechętnie boy.

Odeszła na bok, znikając z pola widzenia boya, rzuciła „cześć” jakiemś nieznanemu i pospieszyła z powrotem do windy. Ku jej uldze boy już stał w środku, a na tabliczce świecił się guzik siódmego piętra.

- Pani, na które, proszę? - spytał grzecznie z francuskim akcentem.

- Na siódme - uśmiechnęła się.

Jechali w milczeniu. Alexandra rzuciła okiem na kwiaty. Tuzin róż. Rozpoznała swoje pismo na kopertce; włożona w nią kartka była oczywiście pusta.

Spoczywaj w spokoju, Lee, pomyślała i łyzy podeszły jej do oczu.

Drzwi się otworzyły i tak jak oczekiwała boy czekał, aż wysiądzie pierwsza.

Zdecydowała, że skręci na prawo i stąpając wolno słyszała, że boy zmierza w przeciwny koniec korytarza. Poczekala aż włoży klucz w zamek, po czym zawróciła raptownie, podeszła do otwartych drzwi i zapukała lekko.

- Przepraszam - odezwała się możliwie jak najgrzeczniej i weszła do wnętrza. Boy właśnie układał kwiaty na toalecie z laminowanym blatem.

- Tak? - odwrócił się. - Czym mogę służyć?

- Czy byłby pan tak miły i kupił mi butelkę alkoholu? - spytała, szpe-rając w torebce. - Zapomniałam o tym, a po południu będę miała gości w pokoju - wyjęła z torebki kilka banknotów.

- Naturalnie. Co mam kupić? - spytał, podchodząc do niej.

- Niech będzie Frangelico - wcisnęła mu w rękę kwotę, za którą mógł nabyć niejedną, ale dwie butelki. - To powinno wystarczyć. Jeśli okaże się za mało, dopłacę, jak pan wróci.

Boy uśmiechnął się promiennie, rad z zarobku, jaki mu się trafił. Nie policzył otrzymanych pieniędzy, ale zawsze będzie mógł powiedzieć, że zapłacił więcej niż dostał.

Alexandra wzięła go kokieteryjnie za ramię i z uśmiechem poprowadziła do drzwi.

- Wiedziałam, że pan się zgodzi - powiedziała, próbując naśladować zapamiętaną z filmów zadyszke Marilyn Monroe. Przy drzwiach boy popatrzył na nią niepewnie z pożądlivością w oczach. Nie zauważył, że wychodząc z pokoju okleiła zasuwkę taśmą maskującą i nie zwrócił uwagi, że to ona zamiast niego zamknęła drzwi.

Raoul LeClerc pędził na południe autostradą na Esch, przejeżdżając przez wioskę Kiileberg, usadowiony na siodełku hondy, którą ukradł zaraz po demonstracji. Ale ładnie się fajczyło, pomyślał. I jak ten amerykański oficer płaszał na ulicy. Śliczny obrazek. Dobrze tak sukinsynowi. To jeden z tych, co zrzucali napalm w Wietnamie. Po minięciu boisk do piłki nożnej skręcił na pobocze, a potem zjechał całkiem z drogi. Gdy pojawiły się drzewa Bois de Cessange, zsiadł z hondy i prowadził ją przez porośle krzakami z bocze aż do samego lasu. Kiedy teren stał się znów płaski, dosiadł ponownie motocykla i jechał wolno aż dotarł

do wąskiej gruntowej drogi, gdzie czekała na niego druga część zapłaty. Amerykanin miał wrzucić paczkę z banknotami na dno pojemnika na śmieci przy trasie joggingowej. LeClerc już korzystał poprzednio z tego schowka i wiedział, że pojemnik opróżniany jest tylko co dwa tygodnie.

Zobaczył z daleka żółty pojemnik i podekscytowany dodał gazu. Po niecałej minucie zahamował ostro, zeskoczył z hondy i zgasił silnik. Stał przez kilka chwil, rozejrzał się, nasłuchiwał. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, podszedł żwawo do pojemnika i zaczął wyrzucać garściami jego zawartość na ziemię. Wreszcie znalazł to, czego szukał - paczuszkę owiniętą w brązowy papier.

Ujął ją drżącymi dłońmi i wrócił do motocykla. Początkowo chciał ją otworzyć dopiero po powrocie do domu, ale ciekawość wzięła górę. Zerwał gorączkowo papier i otworzył zapakowane weń pudełko.

Rozległ się huk tak potężny, że słychać go było aż w Alzingen. Kierowcy widzieli z drogi najpierw błysk wybuchu, a potem słup dymu wysoko ponad drzewami.

Policji nie udało się zebrać aż tylu fragmentów LeClerca, by można go było zidentyfikować.

Alexandra przeszukiwała gorączkowo pokój Goldberga. Tamci musieli wiedzieć o liście, który dostał od Martina, i bała się, że lada moment mogą wtargnąć do numeru. Poza tym mógł się zjawić boy i odkryć, że nikt w pokoju 726 nie zamawiał butelki Frangelico. Na pewno zajrzy wtedy do pokoju, w którym rozmawiał z nieznajomą kobietą.

Przepatrzyła walizkę Goldberga i kieszenie jego szlafroka, ściągnęła nawet prześcieradła z łóżka, zajrzała pod materac - na próżno. Pakietu z dokumentami, który Lee przywiózł ze sobą nigdzie nie było. Krew tętniła jej w uszach, serce zamierało za każdym razem, gdy winda stawała na siódmym piętrze.

Usiadła bezradnie na łóżku i przyszło jej do głowy, że może kilerzy ją wyprzedzili. Może włamali się do pokoju, kiedy jadła z Goldbergiem śniadanie.

Nie, dodała sobie otuchy. Tak nie wolno myśleć. Zerwała się z łóżka i zlustrowała wzrokiem pokój. Gdzie to jest schowane?

Na czworakach obmacała całą wykładzinę dywanową, rozpięła suwaki na pokryciu sofy i poduszkach krzesel. Odkręciła zamocowania

światłówek, a także za pomocą pilnika do paznokci osłonki wszystkich gniazdek elektrycznych i kontaktów w ścianach.

Sprawdziła spody szuflad i mebli, wyrwała kratkę wentylatora, zdemontowała lampę stojącą, zdjęła tylną ściankę telewizora, połamała ramki wszystkich obrazków.

Czas naglił. Popatrzyła na zegarek. Od odejścia boya minął kwadrans. Wystarczy, żeby wrócić i nabrać podejrzeń. A jeśli zobaczy pokój...

Rozpaczliwie przypuściła atak na łazienkę. Przerzuciła ręczniki, szetkę z przyborami toaletowymi Goldberga, zajrzała pod pokrywę rezerwuaru nad miską klozetową. Usiadłszy na klapie sedesu, błdziła wzrokiem po łazience, gdy nagle zwróciła jej uwagę jasnozielona fuga między kafelkami pod prysznicem. Spojrzała na półeczkę pod lustrem: leżała tam tuba pasty do zębów Crest.

Wiedziona wzbierającym w niej przeczuciem, wstała i poskrobała paznokciem zieloną smużkę. Coś miękkiego weszło jej pod paznokcie. Powąchała.

To była pasta do zębów! Wyjęła swój metalowy pilniczek i zaczęła nim ostrożnie wydłubywać fugi.

Dziesięć minut później stała przy obleżonym przez gości kontuarze recepcyjnym.

- Chciałabym wyjąć papiery, jakie zostawiłam w depozycie - powiedziała, wręczając klucz osaczanemu recepcjoniście. - Pokój 715.

Biorąc klucz recepcjonista nie zauważył zielonej drobiny pasty, jaka przyłgnęła do kółka, na którym był zawieszony.

Alexandra natomiast nie zwróciła uwagi na szczupłego, łysiego mężczyznę w średnim wieku, który przypatrywał się jej, gdy wychodziła z hotelu, trzymając pod pachą pękatą brązową kopertę.

Rozdział 15

Luksemburg, 19 grudnia

Zawieja sypała czarnym śniegiem z czarnego nieba. Jay szybował poprzez śnieżycę niezagrożony i bezpieczny. Tutaj nikt nie mógł mu zrobić krzywdy. Tu nie ma bólu, nie ma kłopotów, nie trzeba myśleć.

Jednak ciemność tu i ówdzie zaczynała szarzeć, zza niesamowitych czarnych chmur prześwitywał promień słońca.

- Jest nieźle poturbowany - doszedł go głos gdzieś zza szarości. - Na pewno nie chcesz, żebym go ulokował w szpitalu?

- Czy to konieczne?

- Tylko w razie jakichś komplikacji. Jest krzepki i zdrowy. Nie wszyscy by przetrzymali taką gehennę. Poleży w cieple i myślę, że wróci do siebie. Na razie musi odtajać. Dobrze zrobiłeś, żeś go za szybko nie rozgrzewał. Ocknie się z potężnym bólem głowy. I zeszywniały na całym ciele. Ma rozmaite dotkliwe obrażenia, ale niezbyt groźne.

Fleming usiłował odlecieć od szarości. Oznaczała ból, napięcie.

Głosy ucichły, gdzieś po drugiej stronie szarości stuknęły zamykane cicho drzwi. Jay dostrzegł czarny punkt i pofrunął w jego miękkie zaciśnięcie.

- Pojechał do Emersona - powiedział Subasić do słuchawki znużonym głosem, siadając na sofie w saloniku swego apartamentu w hotelu Intercontinental. Jeszcze mu nie wyschły skarpetki zmoczone po tym ześlizgnięciu się ze ścieżki przy tunelu. Jego garniturowa marynarka zwisała niedbale z oparcia krzesła koło okna. Welniany płaszcz, poplamiony krwią Fleminga, zrzucił z siebie na podłogę przy drzwiach sypialni. Mówił cicho, bo nie chciał mu zakłócać snu.

- Po jakie licho tam polazł? - irytował się Korund.

Subasić przycisnął słuchawkę mocniej do ucha, jakby obawiając się, że podenerwowany głos jego pracodawcy przeniknie do sąsiedniego pokoju.

- Czy Emerson odgrywa w tym wszystkim jakąś rolę? Wiesz coś o tym?

- Nie - odparł Subasić. - Nie przypuszczam, żeby Emerson był w to wmieszany. - Ale ma wysmienitą siatkę informatorów. Fleming pewnie chciał się od niego dowiedzieć, kto go chce ukatrupić.

- Dowiedziałeś się może czegoś w tej sprawie?

- Niczego - odpowiedział Subasić. - Człowiek, którego rano zabiłem, był kiedyś antyterrorystą w Lotniczych Służbach Specjalnych. Jego kolega zresztą też. Obaj to najemnicy. Przypuszczam, że ci dwaj, którzy zginęli w zderzeniu z cysterną benzynową, także należeli do SAS-u, ale nie da się tego ustalić. Spłonęli doszczętnie, temperatura w tunelu była

taka, że z obu pojazdów zostały tylko poskręcane kawałki stopionego metalu.

- Najemnicy - powtórzył Korund w zamyśleniu. - CIA w Holandii. Najemnicy w Luksemburgu. Wygląda na to, że możliwości naszego tajemniczego zamachowca zaczynają się kurczyć.

- To jedna z ewentualności - odrzekł dyplomatycznie Subasić. - Nie chciał wyciągać pochopnych wniosków, nawet jeśli był skłonny zgadzać się z Korundem.

- No cóż, w każdym razie chcę, żebyśmy wrócili na trasę - skonkludował Korund. - Czasu jest coraz mniej.

- Panie Fleming - odezwał się głos z szarości.

Idź sobie.

- Panie Fleming, słyszy mnie pan?

Tak. Niech cię szlag. Daj mi spokój.

Czarny świat zadrżał, po czym przeszedł w szarość.

Zostaw mnie w spokoju, kimkolwiek jesteś.

W mgłę półprzymrogu odzyskiwał z wolna pamięć. Przypomniał sobie człowieka, który mierzył do niego z pistoletu, przypomniał sobie zimne, spokojne ciało Aarona Fiszmana, przypomniał sobie swoje zmęczenie.

- Panie Fleming?

Jay pamiętał skądś ten głos, słyszał go gdzieś poza mgłą.

Szary świat wkrótce zmienił się w czerwony i Jay rozpoznał spód swoich powiek, szkarłatnych na tle jasnego światła w tle. Ociągając się, uchylił jedno mocno zaciśnięte oko. Słońce wpada przez otwarte okno. Podniósł prawą rękę, żeby się przed nim zasłonić. Ręka ciążyła jak kawał grubego drewna. Głowę rozsadzał pulsujący ból. Bolące miejsca na całym ciele. Poruszył palcami nóg, ból w łydkach; pokręcił szyją, też ból. W żołądku ni to ból, ni głód, może jedno i drugie.

Stopniowo Jay zaczynał się orientować w otoczeniu: pokój, otwarte drzwi do łazienki, toaletka z lustrem, kremowe ściany. Wszystko w nie-realnej poświacie jego otępienia.

-Jak się pan czuje?

Głos doszedł go od strony łóżka. Jay usiłował dojrzeć twarz mówiącego, ale widział tylko zamazane kontury. Zamrugał kilkakrotnie powiekami i wreszcie cała twarz się wyostrzyła.

- To pan! - wyjąkał słabo i próbował usiąść.

Mocne dłonie ujęły go za ramiona i delikatnie popchnęły z powrotem na poduszki. Jay trochę się opierał, lecz zabrakło mu sił.

- To pan. Z Amsterdamu... - Jay usiłował sklecić zborne zdanie. - Dzisiaj, wypadek... znów mnie pan uratował?

- Spokojnie, proszę - odezwał się łagodnie mężczyzna i Jay wtulił się posłusznie w miękkość pościeli. - Niech pan posłucha przez chwilę - jego angielski był przesadnie poprawny, mówił jak wykształcony cudzoziemiec. Z lekkim akcentem wschodnioeuropejskim.

- Proszę słuchać spokojnie, co powiem. Ma pan za sobą ciężkie przejścia.

- Co z Aaronem?

- Niestety, nie żyje - w głosie zabrzmiało współczucie.

Jay wcisnął bołącą głowę w poduszkę. A więc to wszystko prawda. Cysterna z benzyną, zabójcy w jaguarach, śmierć Aarona. Rzeczywistość, do której wracał, rysowała się znacznie mniej atrakcyjnie niż miła wędrówka przez ciemność, jaką niedawno odbył. Zamknął oczy i słuchał.

- Nazywam się Bogdan Subasić - padły pierwsze słowa, a pod powiekami Jaya zaczęły się przesuwac obrazy: walka w amsterdamskiej uliczce, zabici napastnicy, Aaron, policjanci w Lejdzie, Anderson, olbrzym, którego uśmiercił w jego domu, Emerson. - Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych, konkretnie dla małej wyspecjalizowanej komórki wywiadowczej, która podlega Ministerstwu Obrony.

- Jednostka 457? - spytał Jay. Słyszał o tym paramilitarnym zespole ludzi świadczących usługi tym, którzy mieli dużo pieniędzy, ale brakło im zasad moralnych.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył z oburzeniem Subasić. - To są zwykli łowcy forsy. Grupa, do której należę, składa się wyłącznie z naturalizowanych obywateli amerykańskich. Każdy z nas urodził się poza Ameryką. Ja w Jugosławii.

Tamci z Jednostki 457 wspierają dla zysku tyranów i faszystów. Ob-
rastają w piórka, siejąc śmierć. Wiem, czym jest faszyzm. Ma różne
twarze, czasem to nazista, czasem komunista. Ale nie ma między nimi
różnicy - głos Subasicia zabarwił się silnym wzruszeniem.

- Przepraszam - ciągnął po chwili milczenia. - Minęło bardzo dużo czasu, ale są rany, które nie goją się szybko. Jedynie Rosjanie wyrządzili mojemu narodowi więcej zła niż naziści.

- Moje wzburzenie może pana dziwić, a nawet zaszokować, ale pan nie wie co to znaczy, gdy wrogie żoldactwo nachodzi twój dom, karmi się twoim chlebem i zabija twoich najbliższych.

- Mówię to wszystko, żeby pan zrozumiał, jak poważnie traktuję swoją pracę. Przepraszam za tę dygresję, ale Jednostka 457 to dla mnie zadra w sercu.

Niektórzy z nas robią to, co robią, bo wierzą, że nasze zadania - choć czasem mogą budzić w nas odrazę - są konieczne, jeśli nie chcemy, żeby tyrania znów wzięła górę.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Jay, korzystając z tego, że Subasić znów zamilkł na moment.

- W hotelu Intercontinental. Bardzo wygodny. Tuż obok siedziby Wspólnoty Europejskiej.

Zapadła znów chwila ciszy i Jay stwierdził, że myślenie jakby przedstawiało być dla niego procesem bolesnym.

- Dlaczego w hotelu? Czy się mylę, czy doktor mówił, że powinienem trafić do szpitala?

- Lekarze są zwykle przesadnie ostrożni - odparł Subasić zdziwiony, że Jay słyszał jego rozmowę z doktorem. - Jest pan tutaj, ponieważ w szpitalu nie byłby pan bezpieczny.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

- Bardzo łatwo jest zlokalizować kogoś, kto został przyjęty do szpitala. Jeśli chce pan pozostać żywy, to najlepszym na to sposobem jest pozostanie w ukryciu, póki się pan nie zorientuje, kto na pana dybie.

Jay milczał, przetrawiając radę Subasicia. Przyszła mu na myśl przestroga Emersona.

- Może to Rosjanie? - zapytał.

- Chyba nie - potrząsnął głową Subasić. - Dzisiejszy atak, jak i oba poprzednie - w Lejdzie i Amsterdamie - nie wyglądają na operację KGB. I proszę, niech pan sobie uświadomi, panie Fleming...

- Mów mi Jay.

- Świetnie. A więc Jay, uświadom sobie, że dzięki temu, że ja byłem na miejscu, jesteś teraz tutaj.

Fleming otworzył oczy i popatrzył na Subasicia, próbując dociec, czy Jugosłowianin czeka na objawy wdzięczności z jego strony. Było mu głupio, że już trzy razy wpadał w takie tarapaty i straciłby życie, gdyby nie pomoc z zewnątrz. Jednak wytknięcie mu tego tak prosto z mostu, nie byłoby zbyt przyjemne. Ale twarz Subasicia nie wskazywała, że chodziło mu o cokolwiek innego niż o zwykłą konstatację faktu.

- Sądziłem, że Sowietci są zdolni do wszystkiego - powiedział Jay niezbyt wyraźnie. Wargi wciąż stawiały mu opór, jakby były ze sztucznego tworzywa. Zmusił się do przyjęcia pozycji siedzącej.

- Byłoby to dla nich za duże ryzyko - rzekł Subasić. - Gdyby się wydało, że to oni stali za napadami na ciebie, musieliby się liczyć z surowymi konsekwencjami.

- Ciekawe z jakimi? - zaśmiał się szyderczo Jay. - Zazwyczaj nasza reakcja na rosyjskie zaczepki sprowadza się do wyciągnięcia rewolwera, z którego strzelamy sobie w stopę.

Subasić spojrział na niego lodowato. Przez kilka kłopotliwych chwil mierzyli się wzrokiem niepewni, w jakim tonie podjąć rozmowę. Jay czuł, że wraca mu jasność umysłu. Ale środek przeciwbólowy, jakim go poczęstował lekarz, musiał być niezbyt silny, bo ogólna bolesność ciała dawała o sobie znać coraz silniej. Ból nigdzie się niepokojąco nie koncentrował, lecz był obecny po trosze wszędzie. Jay trzema palcami prawej ręki próbował wymacać rozmiar bandaża, który miał związany na głowie.

- Doktor założył ci sześć szwów - poinformował go spokojnie Subasić. - Żałuję, że za długo celowałem do tego gościa, który miał cię na muszce. Zdążył wystrzelić jeszcze potem, jak dostał kulkę ode mnie.

- Dzięki. Na zawsze zostanę twoim dłużnikiem. Ocaliłeś mi trzykrotnie życie - rzekł ze skrępowaniem Fleming i ze zdziwieniem spostrzegł, że Subasić się zaczerwienił, bardziej zażenowany tym podziękowaniem niż Jay.

- Nie zależy mi na spłacaniu długów wdzięczności - rzucił opryskliwie, ale z rzeczową miną. - Uratowałem cię, ponieważ masz w całej tej sprawie ważną rolę do odegrania.

Jayowi zabrzmiały w uszach alarmowe dzwonki.

- W jakiej „całej sprawie” spytał. - To ma związek z Andersonem, prawda? - dodał gwałtownie, prostując plecy.

- Anderson mówił, że ktoś chciał, żebym przyjechał do Luksemburga i znalazł jakieś papiery po Tesli. Ten ktoś dał mu kserokopie tajnych amerykańskich dokumentów. I ten ktoś musiał mieć ściśle powiązania z amerykańskim wywiadem i kompleksem zbrojeniowym, zgadza się? - zapytał, patrząc Subasicowi w twarz.

- Tyś to ustawił - zaatakował. - Ty mu dałeś tajne dokumenty, żeby mnie tu zwabić - Jay opuścił nogi na podłogę i siadł na brzegu łóżka. - To ty go zabiłeś - stanął na trzęsących się nogach i zamachnął się na Subasicia, który chwycił go za ramię i pchnął z powrotem na łóżko.

- Posłuchaj - rzucił spokojnie, ale z gniewną nutą w głosie. - Nie zabiłem Andersona. Tak, dałem mu te dokumenty i, owszem, poprosiłem go, żeby ci wspomniał o papierach Tesli. Ale go nie zabiłem. Zrobili to ci sami ludzie, którzy i ciebie chcą zabić.

- Dlaczego? - Jay spojrzał bezradnie na Subasicia. - Dlaczego to robiłeś? Dlaczego wykorzystałeś Andersona? Dlaczego mnie tu zwabiłeś, wymyślając tę bajeczkę? Dlaczego Rosjanie chcą mnie wykończyć?

Na twarzy Subasicia ujawniała się szeroka gama emocji. W końcu powziął trudną i ryzykowną decyzję. Wziął stojące przed toaletką krzesło i przyciągnąwszy je do łóżka, siadł na nim okrakiem.

- Nie jest mi łatwo o tym mówić - zaczął, dobierając starannie słowa. - Twoja obecność tutaj jest wynikiem pewnych nieprzewidzianych okoliczności. Jest mi ogromnie żal że...

- Do dupy z twoimi skrupułami - warknął Jay. - Chcę znać odpowiedź na kilka pytań. Ocaliłeś mi wprawdzie życie, ale odnoszę wrażenie, że nie byłoby ono nigdy zagrożone, gdybyś się trzymał ode mnie z daleka - patrzył ze złością na Subasicia, który starał się trzymać nerwy na wodzy.

- Popelniono szereg błędów - ciągnął Subasić poważnym głosem - ale wjak najlepszych intencjach. Nie było naszym zamiarem narażanie cię na niebezpieczeństwo. Stawką w tej grze jest los setek milionów ludzi. Posłuchaj. Jakiś czas temu moja agencja dowiedziała się, że archiwista w belgradzkim Muzeum Tesli znalazł plik jego zapisków, które do tej pory nie zostały skatalogowane. Zgłosił to dyrektorowi muzeum, a ten z kolei powiadomił swoich zwierzchników. Fizycy z politechniki w Belgradzie natychmiast zorientowali się, że owe notatki mają kapitalne znaczenie, bo mogą posłużyć do produkcji nowego rodzaju broni. Jak pewnie wiesz, amerykańscy naukowcy od dawna podejrzewali ist-

nienie dokumentacji dotyczącej prowadzonych przez Teslę badań impulsów elektromagnetycznych...

- To samo mi mówił Anderson — przerwał Jay. - Dobrze go przeskoliłeś.

- O papierach dowiedziałem się ze swoich źródeł w Jugosławii i próbowałem pozyskać kopie - mówił dalej Subasić. - Ale Rosjanie byli szybsi. Jugosławia to był zawsze cierń w moskiewskim boku. Nie chciała poddać się woli Kremla, nie dawała sobie narzucić rosyjskich marionetek. Od zakończenia II wojny światowej Belgrad był stale priorytetowym celem dywersji politycznej KGB. Ale nic nie wskórali, bo tajna policja jugosłowiańska łatwo wykrywała sowieckich szpicli, a częściowo może i dlatego, że trzeźwiejsze głowy na Kremlu doszły do wniosku, że w kraju tak wielu grup etnicznych każdy rząd, który ich nie zdola pogodzić, jest skazany na podobną partyzancką rewoltę, z jaką mieli do czynienia naziści. Jednak to nie powstrzymało oczywiście KGB od przekupywania ludzi słabych i chciwych.

Oczy Subasicia iskrzyły jak skaczące po wartkiej wodzie słoneczne błyski i Fleming też coraz bardziej się wciągał w jego opowieść.

- Ci zdrajcy - ciągnął Subasić to członkowie rządu wysokiego szczebla. Przekonali innych, że można te papiery odsprzedać Rosji w zamian za pakt o nieagresji. A wiadomo, jak serio Rosja traktuje tego rodzaju układy. To świstki papieru podszyte intrygami i kłamstwami.

- Jednakże - w głosie Subasicia zabrzmiało znużenie - Jugosłowianie uważają, że nic nie tracą, co w tym przypadku jest prawdą. Nie mogą sami zrobić użytku z wynalazku Tesli, ale dając go Rosjanom zapewniają im nad Amerykanami przewagę nie do zniwelowania.

- O jakiej konkretnie broni jest mowa? - wtrącił Fleming. - Mam nadzieję, że nie o promieniującym działaniu wiązki cząsteczek. Znam te projekty, są niewykonalne. Przyznaję, że Tesli to znakomity uczonec i wizjoner, ale w tej jego teorii są dziury większe niż te, jakie miałyby spowodować promieniowanie.

- Nie - odrzekł Subasić. - Chodzi o coś zupełnie innego. Ma to związek z naładowanymi cząsteczkami uwieczonymi w górnych warstwach atmosfery. Można się nimi posłużyć jako bronią. Nie jestem naukowcem, więc trudno mi to szczegółowo wyjaśnić.

Jay popatrzył w sufit i potarł w zamyśleniu głowę. Ciepło wytworzone w wyniku syntezy termojądrowej przemieniającej w atmosferze

Słońca wodór w hel ekspediuje codziennie w przestrzeń miliardy ton naładowanych cząsteczek. Dzięki swej niezmiernej energii pędzą one w przestrzeni bez elektronów, które mają normalne atomy, co wyposaża je w ładunek dodatni. Większość to albo jednostkowe protony - stanowiące jądro atomu wodoru - albo cząstki alfa -tożsame z jądrem atomu helu. Bezmiar przestrzeni sprawia, że te miliardy ton cząsteczek rozpraszają się, ich gęstość jest nieznaczna i większość gna naprzód, nigdy nie napotykając żadnych przeszkód w drodze ku nieskończonej pustce galaktyk. Jednakże naładowane cząsteczki poddawane są przyciąganiu magnetycznemu.

Na lekcjach fizyki uczniowie szkół średnich dowiadują się, że naładowane cząsteczki pochodzenia słonecznego są więzione w okolicach biegunów magnetycznych Ziemi. Owe rezerwuary cząsteczek pojmany przez pole magnetyczne Ziemi dają wspaniałe efekty świetlne w postaci zórz polarnych na obszarach Arktyki i Antarktyki. Eksploracja kosmosu potwierdziła, że pasy naładowanych cząsteczek mogą zakłócać połączenia radiowe oraz przy odpowiednich warunkach przerywać także działanie urządzeń elektrycznych.

Wszystkie te informacje przebiegły szybko przez umysł Jaya i w pewnym momencie gdzieś za horyzontem jego świadomości coś ekscytująco załśniło niczym poświata zapowiadająca brzask. Zdarzały mu się takie olśnienia za każdym razem, gdy głowiąc się nad jakimś problemem związanym z urządzeniami ECM, znajdował nagle rozwiązanie.

- Mów dalej - ponaglił Subasicia.

- Zarówno ZSRR, jak i Stany Zjednoczone dążą do wyprodukowania broni tego typu. Kalifornijskie laboratorium Lawrence Livermore i kilkanaście innych stale nad tym pracują. Na razie Amerykanie prowadzą w tym wyścigu. Ale papiery Tesli wysuną na czoło Rosjan. Z tego, co wiem, nowa broń zmieni nieodwołalnie równowagę sił na świecie. Promieniowanie ma niszczyć jedynie aparaturę elektryczną i elektroniczną, nie będzie radiacji resztkowej.

- To są tak zwane impulsy elektromagnetyczne - powiedział Jay. - Mówisz o wyprodukowaniu impulsu EMP bez potrzeby zdetonowania ładunku nuklearnego -Jay raptownie usiadł i przerzucił nogi przez skraj łóżka. Zawsze czujny Subasić zerwał się z krzesła, które runęło z trzaskiem na podłogę, i przyjął postawę obronną.

- Uspokój się - rzekł Jay. - Wolnego. Rozumiesz, co to znaczy? Jeśli jednej stronie uda się sfabrykować broń emitującą impulsy elektromagnetyczne, będzie mogła unieszkodliwić wszystkie elektryczne urządzenia przeciwnika.

Subasić obserwujący bacznie Jaya, podniósł krzesło i siadł znów na nim okrakiem tak samo, jak poprzednio.

- Wszystko, od telefonów po komputery, nawet bezpieczniki w domach i aparaty zapłonowe samochodów - przestanie funkcjonować. Ucierpią jedynie ci ludzie, którzy będą mieli bezpośredni kontakt z takimi urządzeniami w chwili uderzenia EMP. No i wszyscy z wszczepionymi stymulatora mi serca. Ci się usmażą... - urwał Jay. - Masz pojęcie co to oznacza? - utkwiał wzrok w Subasiću. - Dysponując taką bronią można cofnąć nieprzyjaciela do ery przed elektrycznej.

Czyli mniej więcej do lat siedemdziesiątych XIX wieku. Można będzie strzelać do przeciwników jak do kaczek nawet z najbardziej prymitywnej broni konwencjonalnej. Mam na dzieję - zagryzł dolną wargę Jay - że wybiegam za daleko w przyszłość. Ale jeżeli notatki Tesli stwarzają możliwość po wstania takiej broni, trzeba zrobić wszystko, co się da, żeby nie doszło do planowanej wymiany. I - spojrzał przenikliwie na Subasić - zawładnąć tymi papierami. Zresztą nie - po pukał się po ustach palcem wskazującym - one w żadnych rękach nie będą bezpieczne - powiedział wolno. - Uważam, że będzie lepiej dla świata, jeśli ulegną zniszczeniu.

Subasić z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Fleming właśnie wyraził zgodę na misję, do wykonania której desygnował go Komitet Siedmiu. Co do zniszczenia papierów, to zajmie się tym, gdy znajdą się w ich posiadaniu.

- A więc to w tę grę próbowałeś mnie wciągnąć od początku - było to stwierdzenie, a nie pytanie i Subasić przytaknął ruchem głowy.

- Dlaczego wybraliście właśnie mnie? - Jay opadł z ponownie na poduszki pod wpływem nagłego nawrotu bólu. -I dlaczego po prostu nie poprosiłeś mnie o to? Po co te zawile podchody?

Subasić otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Jay znów się podniósł i nie dał mu dojść do słowa.

- Rosjanie - rzucił. - Może Rosjanie się o tym dowiedzieli i dlatego chcą mnie zabić?

Subasić potrząsnął energicznie głową. - Pozwól, że odpowiem ci po kolei na te pytania.

- Może najpierw coś zjemy - Jay spojrzał na zegarek. – Od świtu nie miałem nic w ustach, a jest już prawie pół do trzeciej.

- Dobrze - Subasić podszedł do telefonu. - Jeśli się chcesz trochę przedtem odświeżyć, to łazienka jest tam - wskazał drzwi.

Jay wstał. Trząśnięcie było już mniej niż poprzednio, ale wciąż był obolały. Przytrzymał się krzesła, żeby zachować równowagę. Pokój zawirował, ale zaraz się ustabilizował. Koncentrując się na utrzymaniu pozycji pionowej, podreptał do drzwi łazienki i wszedł do środka.

W łazience nie było okna. Jay zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Spojrzał w lustro i w pierwszej chwili nie poznał się. Zobaczył jakąś obcą twarz, poobijaną, pełną skaleczeń i zadrapań, pod turbanem białego bandaża. Nad prawą brwią widniała plama zaschniętej krwi. Pod lewym okiem miał śliwkę, ale nie na tyle dużą, by gorzej widzieć. „Bywało, że byłeś bardziej pokancerowany w dzieciństwie” - mruknął do lustra.

Po wyjściu z łazienki, nie wrócił do łóżka. Zupełnie już pewnym krokiem podszedł do okna, przy którym stał nieduży stolik i dwa klubowe fotele. Popatrzył przez szyby w dół na ruch uliczny, po czym zapytał:

- Które to piętro?

-Jedenaste.

- A numer pokoju?

- Jedenaście-jedenaście.

- A tam co jest? - Jay wskazał na przyległe drzwi.

- Salonik - odrzekł niespokojnie Subasić. Fleming wracał do siebie szybciej, niż można było oczekiwać.

- Podejdz tu do mnie - powiedział Jay, siadając w fotelu. - Mam już dosyć występów w roli inwalidy.

Subasić zajął miejsce na przeciw Jaya.

- Mam pewien pomysł wspólnego działania – oświadczył Jay - Ale zanim się na cokolwiek zgodzę, odpowiedz na moje pytania. Dlaczego wybór padł na mnie? Po co ta cała szarada? Czego się po mnie spodziewacie? I pragnę się dowiedzieć, kto chce mnie sprzątnąć.

Subasić kiwnął głową na znak zgody.

- Dlaczego ty? Pewnie nie zadowolili cię ogólna odpowiedź, że lepiej od ciebie nikt się do tej roboty nie nadaje?

Jay potwierdził skinieniem.

- Tak myślałem. No więc, po pierwsze, potrzebny był nam człowiek spoza naszej organizacji, spoza amerykańskiego aparatu wywiadowczego. Obawialiśmy się, że jeśli zawodowy agent zacznie się kolo tego kręcić, data i miejsce transferu papierów Tesli zostaną zmienione. A po zgubieniu tropu możemy go już nie odnaleźć - Subasić nie spuszczał wzroku z twarzy Fleminga, szukając oznak nieufności lub skonfundowania, ale się ich nie dopatrywał.

- Braliśmy także pod uwagę to, że byłeś pilotem wojskowym. Piloci mają pewne cechy, które uznaliśmy za cenne przy zadaniu tego rodzaju. Te cechy to odwaga, opanowanie w sytuacjach stresowych, doświadczenie w obcowaniu ze śmiertelnym zagrożeniem. Wreszcie liczyła się twoja pozycja. Twoja firma jest w Luksemburgu dobrze znana, korzystasz z usług tutejszych banków. Znasz ludzi i ludzie cię znają. Nawet gdybyśmy znaleźli agenta o podobnych kwalifikacjach, nie miałby on tak dobrych stosunków i takiego dostępu do informacji, jak ty. W każdym razie nie byłoby to możliwe na tak krótką metę. Czas nas gonił.

- Ile tego czasu zostało? - spytał Jay.

- Cztery dni. Akcja musi być zakończona do piątku. Jay zacisnął usta.

- I to jest odpowiedź na twoje pierwsze pytanie. Teraz kolej na tę całą szaradę, jak to określiłeś.

- Dlaczego nie zwróciłeś się do mnie wprost?

- Chyba obawialiśmy się, że odmówisz. Zgodziłbyś się, gdybym cię poprosił, żebyś wziął w tym udział?

- Może - wzruszył ramionami Jay. - Ostatnio nudziłem się jak mops. Mógłbym się zgodzić, żeby nie zwariować.

- To także było uwzględniane.

- Wiedzieliście, że się nudzę?

- Mamy wyśmienity system informacyjny.

- Rozumiem - Jay nie lubił wtrącania się w jego prywatne sprawy. - Tym razem puszczać to płazem, ale mógłbym...

- Co takiego?

- Mniejsza o to - uciął Jay. - Jedź dalej.

Subasić nie był pewny, czy Fleming celowo nie chciał go zbić z pantałyku.

-Ja... My... uznaliśmy, że lepiej nie ryzykować i nic ci nie mówić. Ogromnie nam na tobie zależało.

- Niezwykle mi to pochlebia - burknął sucho Jay.

- Ta mistyfikacja w Lejdzie była obliczona na ściągnięcie cię do Luksemburga w poszukiwaniu papierów Tesli.

- I co wam to miało dać?

- Poczyniłyś pewne kroki. Byłyś pod naszą ścisłą obserwacją jak w Holandii. Wiedzielibyśmy, kto się z tobą skontaktował, gdzie się zatrzymał, co przedsięwziął. Wiemy, że transfer i podpisanie traktatu ma nastąpić w piątek, ale nie wiemy gdzie. Nie wiadomo też, gdzie do tego czasu będą przechowywane papiery.

-Jakie masz prawo igrzać z ludzkim życiem - spiorunował go wzrokiem Jay. - Śledzić mnie, oszukiwać, wtryniać nos w moje osobiste sprawy? - przechylił się sztywno w przód i walnął pięścią w stolik. Subasić wzdrygnął się.

- Przez ciebie zginął Anderson - grzmiał Fleming.

- A pozabijani ludzie w Amsterdamie? I w Lejdzie! Jak dotychczas twój wspaniały plan totalnie się rozpierdala. Jaką mam gwarancję, że jego dalszy ciąg nie będzie także schrzaniiony?

Zapadła cisza. Słysząc było tylko gniewny oddech Jaya i przytłumione odgłosy z ulicy.

- Żadną - odezwał się w końcu Subasić. - Nie mogę dać żadnej gwarancji, że reszta planu wypali.

Fleming przestał już dyszeć. Wyciągnął się w fotelu. Powietrze było wciąż naładowane napięciem. Ale po chwili zeszytniałe mięśnie na szczęce Jaya rozluźniły się. Uśmiechnął się blado.

- Nareszcie coś się wyjaśniło - stwierdził. - Teraz chyba mówisz prawdę.

Subasić uwolnił splecione nerwowo palce. -Jednakjeżeli zgodzę się na uczestnictwo w tym szaleństwie - oznajmił spokojnie Jay - musisz spełnić dwa warunki. Subasić uniósł brwi.

- Po pierwsze, chcę zobaczyć moje kompletne dossier z wyjaśnieniem, jak i od kogo uzyskałeś dotyczące mnie informacje.

-Ale to jest...

- Po wtóre, zagwarantujesz mi to na piśmie.

-Ależ...

-Jest to jak mawiają terroryści propozycja bezdyskusyjna - podkreślił Jay.

- Zależy ci na mnie? Jeśli tak, zastosujesz się do tego.

Subasić otworzył usta, ale nim zdążył wymówić słowo,

rozległo się pukanie, po czym otwarły się drzwi saloniku i do pokoju wjechał popychany przez kelnera hotelowego wózek, na którym prócz stalowych naczyń z lśniącymi pokrywkami, widniało kilka flaszek piwa, butelka wina, dzbanek z kawą i jedna róża we flakoniku z cienką szyjką. Mężczyzna podjechał w milczeniu wózkiem do stolika, przy którym siedzieli Subasić z Flemingiem, obrzucił Jaya obojętnym spojrzeniem i obrócił się wyczekując ku Subasićowi.

- Hwała wam mnogo — powiedział, a kelner uśmiechnął się, zrobił zwrot na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Co to za język? - Jay uniósł pytająco brwi.

- Serbo-chorwacki.

- A kim jest ten człowiek?

- To Ante - Subasić wstał i nachylił się nad wózkiem. -Pochodzi z Jugosławii tak samo jak ja. Ale w przeciwieństwie do mnie ma jugosłowiańskie obywatelstwo - dodał, podnosząc dwie pokrywki, kryjące opiekane na ruszcie kanapki oraz gęsty bulion wołowy.

- Reuben z grillowaną szynką i serem szwajcarskim na żytnim chlebie — oznajmił. - Częstuj się.

Jay sięgnął po reubena.

- Zupa? -Jay skinął potakująco i zaczerpnął sobie bulionu z ziemniakami i kawałkami mięsa.

- Moja agencja jest niewielka z dwóch przyczyn - wyjaśniał w trakcie jedzenia Subasić. - Przede wszystkim, oszczędzamy. Ale głównie zależy nam na maksymalnej dyskrecji. W razie potrzeby wynajmujemy fachowców z innych agencji. Wiedzą oni bardzo mało o przeprowadzanej operacji i nigdy nie stwarza się im okazji, żeby dowiedzieli się czegoś więcej. Rzadko się zdarza, by ktoś pracował dla nas częściej niż dwa razy i wykonywał podobne zadania. Nasze zabezpieczenia są szersze niż w jakichkolwiek innych amerykańskich służbach specjalnych i wywiadowczych - zawyrokował chępliwie.

- Nie mamy stałego personelu, który kręci się ciągle w biurze koło automatu z chłodzoną wodą i zbiera się po pracy na plotki w ulubionym

barze. Ludziom, którzy pomagali nam obserwować cię w Amsterdamie, powiedzieliśmy, że czyhają na ciebie kidnaperzy. Nie mieli pojęcia o charakterze całej akcji. W ten sposób nie mogą nam zaszkodzić. Twój wybawiciel w domu Andersona w Lejdzie to członkowie holenderskiej tajnej policji. Mieli dług wobec naszej agencji i wyświadczyli nam tę przysługę w ramach rewanżu. Kawy? Piwa?

Jay upił trochę czarnej kawy i wrócił do reubena.

- Musiał to być cholernie wielki dług - mruknął.

- Owszem. Taki właśnie był - potwierdził Subasić, ale oczywiście nie podał żadnych szczegółów. Otworzył tylko butelkę piwa Mousel i pociągnął z niej długi łyk, po czym zajął się sandwiczem.

- Ante pomaga mi trochę w Luksemburgu - powiedział. - To pierwszorzędny kierowca. Kiedyś nawet marzył o karierze rajdowca. Ale po drodze natknął się na mnie.

Subasić bywał czasem rozmowny, ale niedopowiedzeniami posługiwał się równie często jak bokserzy w ringu unikami.

- Jest tu jeszcze z nami jeden gość, którego poznasz. Nazywa się Donald Sweeney. Pracował kiedyś dla MI-6. Teraz jest wolnym strzelcem. Obaj z Antem to profesjonaliści. Można na nich polegać. Nie wiedzą nic na temat papierów Tesli i nie dowiedzą się, jeśli nie popełnisz jakiegoś grubego błędu.

Jay słuchał, pojadając sandwicza.

Przez dwie godziny. Jay zadawał pytania i odpowiedzi Subasicia raczej go zadowalały. Im więcej Subasić mówił, tym bardziej Jay się przekonywał, że nie powinien działać na własną rękę. Firma Fleminga postawiła wprawdzie do jego dyspozycji ogromne środki, ale nie miał na tyle doświadczenia i znajomości rzeczy, by do piątku dopiąć celu. Natomiast grupa Subasicia, mimo że mała, działała bardzo szybko, pozostając przy tym niewidoczna. Pod koniec popołudnia Jay doszedł do wniosku, że z małą pomocą ze strony spółki i tego, co zdoła wywęszyć Doug Denoff, jest pewna szansa na zlokalizowanie papierów Tesli.

Przy odrobinie szczęścia w poniedziałek powinien już być w Santa Monica ze zdobyczą i po przejściach, o których nikomu nie będzie mógł opowiedzieć. Jeśli zabraknie mu szczęścia, będzie to kłeska dla milionów ludzi. Nie cierpiał zdawania się na szczęście.

Rozdział 16

Luksemburg, 19 grudnia

Specjalna bezpieczna linia telefoniczna między Waszyngtonem a Luksemburgiem chrobotą trzaskami zakłóceń atmosferycznych spowodowanych serią szczególnie mocnych wybuchów na Słońcu.

- Dopadliście dziewczynę? -Jeszcze nie. Ale wiemy, gdzie jest.
- Dlaczego zwlekacie?
- Bo nie chcemy, żeby zdarzyło się znów coś takiego, jak w Excel-siorze.
- To było rzeczywiście spartolone.
- Zająłem się człowiekiem, który zawinił. Nie przypuszczałem, że...
- Dobrze, dobrze... Już przecież przepraszałeś.
- Dziewczyną chcemy się zająć dziś wieczorem.
- Zawiadamiała policję? -Jak dotąd nie.
- Dziwne, prawda?
- To sprytna sztuka. Zabrała dokumenty, które Copeland przesłał Goldbergowi.
- Jesteś pewien?
- Całkowicie. Uprzedziła nas i znalazła kluczyk do jego skrzynki depozytowej.
- Jak to się mogło stać? Dlaczego w ogóle pozwolono Goldbergowi dostać się do Luksemburga?
- Zapomina pan, że nie mieliśmy o nim pojęcia. Śledziliśmy dziewczynę. Szczęściem obserwacja łodzi przyniosła skutek.
- Masz takie dobre kontakty, taką pomoc z naszej strony, a ona się wymyka.
- To się nie powtórzy. Jest teraz w swoim numerze. Tej nocy ją dopadniemy i odbierzemy dokumenty.
- Oby. Zaczyna być groźna. Za dużo wie o naszych planach. Copelandowi powiodła się rzecz niebywała. Szarpnął od razu wszystkimi sznurkami operacji.
- Ale zastopowaliśmy Dodda, zanim zdążył narobić szkód. Czy władze nie nabrały podejrzeń? Są jakieś sygnały?

- Nie ma żadnych. Post zamieścił na pierwszej stronie wspomnienie pośmiertne. Niewidzialna ręka u steru rządu i tego rodzaju gadka. Napisali też o Guererim i Copelandzie. Ten wypadek był bardzo zręcznie sprokurowany.

- Dziękuję.

- Zasłużyłeś na pochwałę. Ale teraz postaraj się uprzedzać bieg wydarzeń. Nie pozwól, żeby Fleming wlaźł ci w paradę. Zabij go, jeśli to będzie konieczne.

- Nie uważałbym tego za rozsądne. W mieście roi się od agentów bezpieczeństwa i detektywów. Nie kupili bez zastrzeżeń wersji o spontanicznej pokojowej demonstracji. Dalsze zabójstwa mogłyby nam uniemożliwić działania.

- Można przecież znów zaaranżować wypadek.

- Łatwo powiedzieć. Tutaj nie mam takich możliwości jak w Waszyngtonie.

- Cóż, rób to co uznasz za stosowne. Ale zdobądź dokumenty.

- Tak jest, proszę pana.

- Zatem do jutra. Zbogom.

- Zbogom.

Alexandra raz jeszcze mogła się przekonać o cudotwórczej mocy pieniędzy. Ubrana w przepisowy jasnoniebieski uniform pokojowej stała za wózkiem pełnym ręczników, poduszek, koców i rzeczy do wyprania. Piło ją trochę pod pachami, natomiast w biodrach miała za dużo luzu. Pantofle cisnęły ją w palce. Jedynie błękitny czepek pasował idealnie. Było to bardzo ważne o tyle, że pokojowa, która użyczyła jej swego ubioru, była brunetką. I człowiek, który czatował na Alexandrę w końcu korytarza, nawet z tej odległości mógłby zauważyć różnicę, gdyby nie schowała włosów pod czepkiem.

Z rękami wspartymi na biodrach przejrzała się po raz ostatni od stóp do głów w dużym lustrze na odwrocie drzwi szafy. Za jej plecami siedziała na łóżku prawdziwa pokojowa. Turczynka zresztą. Mimo że kilka lat młodsza od Alexandry, za sprawą nadmiaru skrobi w jedzeniu i trojga dzieci wyglądała na kobietę w średnim wieku.

Alexandra była także o dobre dziesięć centymetrów wyższa, ale miała nadzieję, że z daleka nie zwróci to uwagi jej stróża w korytarzu. Za to

pumpernikłowa opalenizna Alexandry zgadzała się dobrze z cerą pokojowej.

Turczynka spotkała się ze wzrokiem Alexandry w lustrze i obie się uśmiechnęły. Alexandra mrugnęła do niej konspiracyjnie i na twarzy pokojowej pojawił się wyraz siostrzanej solidarności. Rozumiała dobrze piękną Amerykankę uciekającą przed szykanami byłego męża, który najął śledzących ją detektywów. Mężczyźni to czasami takie świnię - potrząsnęła smutno głową.

Nie czuła się zbyt wygodnie w rzeczach Alexandry. Wełniana szara spódnica opinała jej się na obfitych biodrach i udach. Miała na sobie nadto białą jedwabną bluzkę z żabotem, a na niej brązowo-rdzawy, tweedowy żakiet. Alexandra nie wkładała tego na siebie od tygodni. Nie chciała, żeby mężczyzna w korytarzu pomyślał, że to ona, bo zarówno on, jak i ten drugi, łysy nie wyglądali sympatycznie. Nie chciała, by tej dobrej kobiecie przytrafiło się coś złego.

Szczupły, łysy mężczyzna po raz pierwszy rzucił się jej w oczy, gdy wracała do Excelsioru z pokoju Goldberga. Gruba koperta z dokumentami zdawała się jej parzyć ręce jak kwas solny. Zatrzęsa się cała. Rozejrzała się wokół, lecz nie dostrzegła nic niezwykłego. Minęła Excelsior i przystanąła po drugiej stronie ulicy, przyglądając się strażakom, którzy dogaszali ogień w restauracji. Poczowała skurcz w gardle, zatrzymawszy wzrok na szerniałych płytach chodnika, zabielenych pianą z gaśnicy, gdzie leży zwęglone zwłoki Lee Goldberga.

Dławiąc spazm szloch, odwróciła się szybko od makabrycznego widoku i znalazła się oko w oko z łysym mężczyzną, który szedł tuż za nią. Stała się jak przygwożdżona, a on zrobił nagły zwrot w tył i oddalił się ze złą miną.

Wystraszona, nie poszła od razu do swojego pokoju, lecz usiadła w kawiarni, gdzie wypila kilka filiżanek espresso, próbując opanować potrzępane myśli.

Po wzięciu klucza w recepcji wjechała windą na górę. Łysy zniknął, ale w końcu korytarza na jej piętrze tkwił jakiś młody osobnik z wielkimi czarnymi brwiami na podobieństwo gaśienic.

Pobiegła do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

W ciągu pół godziny obmyśliła plan ucieczki, drugie pół godziny zajęły jej przygotowania do wykonania go. Teraz miało się okazać, czy

poskutkuje. Pokojowa stała w drzwiach do przyległego pokoju z wielkim kółkiem na klucze w ręku.

Podczas gdy dobierała właściwy klucz, Alexandra upchnęła swoją skórzaną aktówkę pod ręczniki na wózku. Wewnątrz była koperta Goldberga plus pieniądze, paszport, bilet lotniczy i inne dokumenty. Pod aktówką ukryła zawiniątko z parą pantofli i rzeczami, w jakie miała się przebrać, gdy już będzie bezpieczna.

Turczynka otworzyła drzwi, Alexandra pomachała jej zimną spoconą dłonią i popchnęła wózek do wyjścia. Za sobą usłyszała dyskretne stuknięcie zamykanych drzwi.

Spojrzała na zegarek. Pokojowa przebywała już w środku około dziesięciu minut. Mężczyzna z krzaczastymi brwiami z pewnością to zanotował. Alex zatrzymała wózek przy drzwiach, wzięła głęboki oddech, przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi. Po chwili usłyszała, jak drzwi przyległego pokoju otwierają się także i zaraz głośno zamykają.

Już bez wahania wjechała wózkami w korytarz i skręciła szybko tak, aby człowiek na końcu korytarza nie zobaczył jej twarzy, po czym zamknęła za sobą delikatnie drzwi, jak przystało na pokojową.

Następnie tak szybko, jak to było możliwe bez wzbudzania podejrzeń, skierowała się do służbowej windy, tocząc miękko wózek po grubej wykładzinie. Krew jej pulsowała w skroniach. Czy on idzie za nią? Z przerażenia mroźne ciarki przebiegły jej po kręgosłupie. Tylko największy wysiłek woli powstrzymał ją od zerwania się do biegu.

Ante Dvorak obrócił głowę, słysząc szcęknięcie drzwi na końcu korytarza. Siedząc na małym krzeselku między dwiema windami, patrzył czujnie, jak otwierają się jedne drzwi, a po chwili sąsiednie. Wstał z miejsca.

Szła ku niemu czarnowłosa kobieta o oliwkowej cerze, ubrana kosztownie w za ciasne ciuchy. Od razu dostrzegł, że to nie Alexandra Downing, będąca wysoką szatynką o wysklepionych kościach policzkowych. Nawet sobie fantazjował, jak też ona może wyglądać bez ubrania.

Z pokoju Downing wyłonił się wózek z bielizną pościelową i ruszył w przeciwną stronę korytarza. Wjechał do tego pokoju z dziesięć minut temu i prawie o nim zapomniał. Coś go zaniepokoiło w chodzie oddalającej się pokojowej, wydał mu się znajomy.

Kobieta o oliwkowej cerze zagroziła mu drogę.

- Excusez moi, monsieur.

- Qui? — odpowiedział niecierpliwie, obserwując wciąż pokojową, która dotarła do końca korytarza i skręcała za rogiem w prawo.

- Avez vous le temps?

Dvorak spojrział na nią i zauważył, że ma na ręku tani plastikowy zegarek. Dlaczego pyta go o godzinę? Może ten jej tandetny zegarek się zepsuł?

- Cest... - podniósł wzrok i dojrzał przez mgnienie profil niknącej za rogiem pokojowej. Ta wysoko uniesiona głowa, te miękkie zarysy kształtnego nosa. Nie było wątpliwości. To ona! Skrzywił się, odepchnął stojącą przed nim kobietę i popędził sprintem przez korytarz.

- Courez! - usłyszał krzyk kobiety za sobą. - Il vient! Il vient!

Oczywiście, to pokojowa. Poprzebierały się. Sąsiadujące pokoje. Jak mógł być tak głupi? Usłyszał otwierające się drzwi windy. Przyspieszył biegu.

„Uciekać! On pędzi! On pędzi!” - Alexandra usłyszała krzyk pokojowej i niepokój, który ścisnął jej trzewia, ustąpił miejsca napadowi wnioskującego do szpiku kości strachu. Przed sobą miała krótki korytarzyk zamknięty oknem, po lewej stronie służbową windę, po prawej - schowek gospodarczy. Z tyłu dobiegał ciężki odgłos stóp goniącego ją mężczyzny.

Zdjęta paniką czekała bezradnie na windę, słysząc ten tupot coraz bliżej i bliżej.

Przesunęła się za wózek z myślą o staranowaniu nadbiegającego napastnika. Nadjechała winda i wyszedł z niej pomarszczony, starszy mężczyzna w granatowym kombinezonie, mrugając zmęczonymi oczami.

-Dzień dobry - odezwał się po francusku, a Alexandra odpowiedziała możliwie jak najspokojniej. Wepchnęła energicznie wózek do windy, echo kroków w korytarzu było coraz głośniejsze. Dokąd teraz? Na górę czy w dół? Lobby było siedem pięter poniżej. Zbliżyła drżącą dłoń do guzika parteru. Nie. Będzie mu łatwiej zbiec po schodach na dół. Po drodze może zatrzymać windę naciskając zewnętrzny guzik. Usłyszała jego sapanie, gdy automatyczne drzwi zaczęły się zasuwać. Gorączkowo nacisnęła guzik czternastego piętra. Dostrzegła jeszcze dłoń sięgającą znikających w futrynie drzwi. Ale nie zdążył. Walnął tylko w nie bezsilnie pięścią.

Dvorak popatrzył na podświetlony wskaźnik ruchu windy. Jechała w górę! Uśmiechnął się. Ta kobieta wpadła we własne sidła. Rozejrzył się błyskawicznie.

W małym korytarzu odchodzącym od głównego świecił zachęcająco czerwonymi literami napis „Wyjście”.

Rzucił się tam gwałtownie i wielkimi susami, biorąc po trzy stopnie naraz, pognął w górę. Chwytnąjąc silnymi ramionami poręczę skracał sobie dystans na podestach. Oddychał ciężko, ale regularnie, jak wytrenowany sportowiec.

Na każdym piętrze sprawdzał, gdzie jest winda. Stale szła do góry. Dvorak błogosławił powolne europejskie dźwigi. Tracił do niej zaledwie jedno piętro. W amerykańskim hotelu taki wyczyn nie byłby możliwy.

Schody kończyły się na czternastym piętrze. Zatrzymał się, żeby odpiąć rzemyk od ukrytego pod lewą pachą ciężkiego kolta model Python magnum, kaliber .44. Może nie będzie musiał go użyć. Po prostu złamie jej kark jak porcelanowej figurynce. Pchnął ciałem drzwi i wypadł na korytarz. Wózek hotelowy stał w środku korytarza niedaleko otwartego okna. Czyżby uciekła przez okno?

Sprawdził, czy główny korytarz jest pusty, i podszedł do wózka. Drzwi windy były wciąż otwarte. Musiała tu być jeszcze przed kilkoma sekundami. Szarpnął drzwiami schowka gospodarczego. Były zamknięte.

Przez okno wpadały zimne podmuchy wiatru, porywając przejrzyste firanki w taneczne płasy. Dvorak wyciągnął gładko kolta z olstra. Gotów do strzału, dobrze leżał w dłoni. Rozejrzył się znowu i ostrożnie ruszył ku oknu.

Na ulicy w dole panował normalny ruch. W oddaleniu widać było zielen lasu i wiejskie pola. Wiatr załzawił mu oczy, otarł je wolną dłonią i oparł się o parapet. Na zewnątrz okna był gzyms szeroki na mniej więcej trzydzieści centymetrów. Ponad oknem biegła kamienna balustradka. Niezła szansa dla kogoś z zimną krwią. A tej, jak się mógł przekonać Alexandre Downingu nie brakowało.

Wychylił się z okna i popatrzył w lewo, potem na prawo. Po obu stronach na gzymsie nie było nikogo.

Wyprostowując się poczuł, że narasta w nim dziwny niepokój. Za sobą posłyszał jakiś szum. Obejrzał się przez ramię i zobaczył toczący

się z impetem ku niemu wózek i kobietę przebraną za pokojową. Odwrócił się, podnosząc kolta, ale w momencie gdy kierował na nią łufę, wózek uderzył w niego z zadziwiającą siłą. Broń wypadła mu z ręki, zatoczył się do tyłu, łapiąc równowagę, zderzył się tyłkami z niskim parapetem i raptem zobaczył nad sobą niebo. I usłyszał przeciągły wrzask. Tuż przed ciężkim upadkiem na chodnik uświadomił sobie, że to on wrzeszczy.

Rozdział 17

San Pedro, Kalifornia, 19 grudnia

Jaskrawy blask słońca oblewał tchnący urodą pożyteczności krajobraz doków. Na końcu kanału Wilmington lśniły masywne zbiorniki ropy naftowej koncernu Chevron. Z lewa, pod zgrabnym zielonym łukiem wiszącego mostu Thomasa Vincenta, kontenerowce pozbywały się ładunku kolorowych naczep. Tu i ówdzie przemykał absurdalnie jakiś jacht spacerowy. Była to robocza przystań frachtowców, tankowców, kutrów rybackich oraz potężnych łodzi motorowych, które dostarczały ciężki sprzęt i zaopatrzenie na platformy wiertnicze eksplorujące przybrzeżny szelf kontynentalny w poszukiwaniu źródeł energii.

Brama w gęstym siatkowym parkanie ogradzającym teren Offshore Technology była zamknięta; pilnował jej były wiertacz, osiłek bez czterech palców u lewej ręki. Samojezdny żuraw przenosił na pokład łodzi trzy ostatnie drewniane skrzynie o rozmiarach furgonetki. Robotnicy uwijali się, otulając skrzynie plastikowymi płachtami dla ochrony przed zbłąkaną falą, po czym obwiązywali je z niezwykłą ostrożnością.

Robotnicy mogli się domyślać, że w skrzyniach są komputery, potrzebne na platformach do dokładniejszych odwiertów, sterowania łożami płuczkami i do innych podobnych zadań. Offshore Technology obsługiwała wiele platform zarówno dużych koncernów, na przykład Texaco czy Chevron, jak i mniejszych, niezależnych kompanii. Ale żadna z tych platform nie była takim niewypałem, jak Delta Zeus, właśnie ta, na którą ekspediowali teraz komputery. Przez ponad trzy lata

dostarczano na nią masę sprzętu ze skutkiem zerowym. Ani śladu gazu bądź ropy naftowej.

Wszystkie kompanie oczywiście pilnie strzegą swoich sekretów, żadna nie chce, żeby konkurenci wiedzieli, co znalazła. Ale są różne sposoby, żeby się tego domyślić, wiele mówi na przykład rodzaj zamawianych urządzeń. I w opinii wszystkich pracowników Offshore Technology - od majstra po najprostszego robotnika - platforma Zeus Delta była do kitu i Energia Globalna powinna ją była dawno zlikwidować.

Jakież zapanowałoby zdumienie, gdyby wiedziano, że podpowierzchniowa platforma Zeus Delta, ustawiona o trzydzieści pięć mil na południowy zachód od Huntington Beach, wcale nie powstała z myślą o wydobywaniu ropy. Prawdę mówiąc, w ogóle jej nie szukano od czasu, gdy została zainstalowana po długiej podróży z Rotterdamu. Jeszcze większe zdumienie towarzyszyłoby odkryciu, że w skrzyniach płynących na platformę wcale nie było komputerów. Ich zawartość stanowiły natomiast ostatnie klocki śmiertelności układanki, którą kompletowano przez ponad czterdzieści lat.

Luksemburg, 19 grudnia

Steven Strand chodził tam i z powrotem po orientalnym dywanie luksusowo urządzonego pokoju, trzymając w lewej ręce aparat telefoniczny, w prawej przyciskaną do ucha słuchawkę. Był mocno zadyszany, bo telefon z Waszyngtonu przerwał mu wieczorne ćwiczenia gimnastyczne.

- Subasić wciąż nie rozplatał sprawy tych zamachów - mówił głos w słuchawce.

- Uważasz, że są one wymierzone właśnie w nas? - spytał Strand, przystając na chwilę, by popatrzeć z podziwem na swoje odbicie w lustrze oprawionym w ozdobną złotą ramę.

- Oczywiście, że w nas - głos zadźwięczał oburzeniem.

- Skąd u licha przyszło ci...

- Zaraz, zaraz - przerwał Strand, odwracając się od lustra. - Miałem na myśli nas dwóch, a nie cały Komitet. Nie przypuszczasz, że to ktoś z Komitetu mógł nas wziąć na cel? Że to taki wewnętrzny sabotaż? Ależ to bałwan, pomyślał Strand. Zresztą i cała reszta to krótkowzroczne błazny. Jak to dobrze, że nareszcie weźmie nad nimi wszystkimi górę. I to niebawem. Wprawdzie następuje to późno, bądź co bądź zbliża się już do siedemdziesiątki, ale niedaleki jest ten dzień, w którym będą musieli

uznać jego przewagę. Doczeka się szacunku, który zawsze mu się należał.

- Mówiliśmy już o tym - po chwili zastanowienia odezwał się znów głos z Waszyngtonu, - Istnieje taka możliwość. Ale czy nie sądzisz, że to z Subasiem chcą się rozprawić?

- Subasić jest trudniejszy do odstrzelenia niż Fleming. Poza tym obecnie, w końcowej fazie operacji, śmierć każdego z nich byłaby katastrofą - odparł Strand, siadając na łóżku.

- W takim razie, kto to może być?

- Na pewno ani Rosjanie, ani Jugosłowianie - stwierdził Strand.

- Ach, więc zrobiłeś pewien postęp?

- Niewielki - Strand pomyślał o spotkaniu z jugosłowiańskim atache. - Możliwe, że za kilka dni bardziej się przejaśni - wstał i podszedł do balkonowych okien wychodzących na starannie przystrzyżone żywopłoty i wysypane drobnym żwirem ścieżki. - Wracając do myśli, że to ktoś z Komitetu, kogo byś typował? Diamenta?

- Absolutnie nie! To ślepiec. Był i pozostał głupi. Wierzy w ten projekt bezkrytycznie, bardziej niż ktokolwiek inny w Komitecie.

- Zatem kto? - drażył Strand. - Wykluczając nas dwóch, zostaje jeszcze czterech.

- To łatwo sprawdzić. Eliminując jednego po drugim, aż ustaną ataki.

- Na starość stajesz się krwiożerczy - zauważył Strand.

- I tak trzeba by to zrobić wcześniej czy później. Dlaczego nie zacząć wcześniej?

- Ponieważ możemy ich potrzebować - odrzekł Strand.

- Mają silne wpływy. Mogą się okazać pomocne.

- Mając te papiery możemy się na nich wypiąć.

- Nie dziel skóry na niedźwiedziu - zmytygował go Strand.

- Jeszcze do tego daleko. I zawsze jest możliwość, że ich wcale nie dostaniemy.

- Nie wolno nam dopuszczać nawet takiej myśli - głos w Waszyngtonie panicznie zadrzał.

- Lepiej ją dopuścić. Wszystko może się zdarzyć.

- Musimy mieć te papiery - zabrzmiało stanowczo w słuchawce po krótkiej pauzie. - Los Ameryki, los Zachodu od tego zależy. Jeśli stracimy możliwość użycia tej broni i to szybko, czterdzieści lat pracy pój-

dzie na marne. Wysiłek całego życia zostanie zniweczony - w głosie dało się słyszeć nuty rozpaczki.

- Wiem - powiedział uspokajająco Strand. - Rozumiem. Wszyscy czujemy ciężar tej presji. To jeszcze tylko cztery dni. Spróbuj przez ten czas trzymać nerwy na wodzy.

- Tak. Zostały tylko cztery dni. Będziesz mnie informował na bieżąco?

- Czy stale tego nie robię?

- Tak, oczywiście. - No, to do usłyszenia jutro?

- Jasne. Do widzenia - Strand rozłączył się i postawił telefon na nocnej szafce. Spojrzał na tapety z wzorem w czerwone i niebieskie lisie głowy. Jedyne, co mu się tu nie podobało, to wszechobecność tych przeklętych lisich głów.

Pięć tysięcy kilometrów na zachód Korund powoli umieścił słuchawkę na widelkach i popatrzył beznamiętnie na posępne, szare niebo nad stolicą. Pasowało do stanu jego ducha.

Rozdział 18

Luksemburg, 20 grudnia

W Los Angeles była już północ, gdy Fleming zatelefonował do Douga Denoffa. Szef jego biura ochrony wrócił właśnie z jednego z wielu wypadów w głąb dżungli nocnego życia południowej Kalifornii.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno - odchylił się w krzesło i oparł nogi o biurko zavalone różnymi papierami.

- Żaden problem - odrzekł Denoff zmęczonym głosem.

W tle Jay słyszał kobiecy szczebiot. - Co się dzieje? Jak się spisuje Aaron?

Jay opowiedział mu, co się stało, i słyszał, że Denoff każe dziewczynie wyjść z pokoju.

- Zadzwoń do tutejszej synagogi i poproszę, żeby się zajęli pogrzebem. Dasz wiarę, że Fiszmann woził ze sobą testament? Miał go w torbie podróżnej.

- To był najlepszy żołnierz, jakiego znałem - głos Denoffa łamał się. Umilkł i odchrząknął. Jay chciał coś dodać, ale pomyślał, że lepiej nie przerywać milczenia.

Denoff nigdy nie opowiadał Jayowi o Fiszmannie, mówił tylko, że to świetny żołnierz z piękną żołnierską kartą, ale bez szczegółów. Dopiero teraz przez telefon wygłosił coś w rodzaju pośmiertnego wspomnienia. Okazało się, że obaj służyli w armii izraelskiej podczas całej wojny 1973 roku i to wtedy połączył ich węzeł tej przyjaźni, jaka może się zrodzić tylko między mężczyznami, którzy razem stawiają czoło grozie śmierci. W roku 1980 obaj wyszli z wojska, podejmując pracę w prywatnej firmie usług ochroniarskich. Właśnie z tej agencji Jay wynajął Denoffa, kiedy powstawała ECM.

- Nigdy bym nie przypuszczał... wszyscy, ale nie on - mówił wstrząśnięty. - Był zawsze taki skrupulatny w robocie, profesjonalista w każdym calu. - Dałeś znać agencji? - spytał nagle rzeczowym, powściągliwym tonem.

- Tak - potwierdził Jay. - Nie miał bliskiej rodziny. Tak przynajmniej wynika z testamentu.

- Zgadza się - potwierdził kategorycznie Denoff. - W czym ci mogę pomóc? Przydałbym ci się tam na miejscu?

- Niewątpliwie - powiedział Jay, wyjmując nerwowo z szuflady kolejną torebkę prażonych ziaren kukurydzy i biorąc jedno do ust. - Ale zanim wsiądziesz do samolotu chcę, żebyś wiedział jeszcze o paru rzeczach.

Denoff słuchał uważnie sprawozdania Jaya z tego, co zaszło przed napadem i po nim, gdy ocknął się w hotelu, gdzie Subasić wtajemniczył go w swoje plany i wciągnął do współpracy.

Początkowo, dowiadując się o manipulacjach Subasicia, Denoff kłął w żywy kamień, łamiąc międzynarodowe przepisy o zakazie używania obscenów w środkach łączności, ale szybko się uspokoił, gdy Jay wyjaśnił mu strategiczne znaczenie spuścizny Tesli.

- Teraz - poprosił znużonym głosem - rozłącz się i pozwól mi się spakować, a ja migiem wezmę dupę w troki i zjawię się u ciebie, zanim władujesz się w jakieś nowe kłopoty. Uważaj z tym Subasiciem. Urato-

wał ci życie, ale to jakaś niewyraźna postać. Nie kupuję całkowicie tej jego historyjki. Cała sprawa brzydko mi pachnie. Pilnuj dobrze tyłka. Pewnie rzucam słowa na wiatr, ale radzę ci znaleźć jakąś ciemną wnękę z opancerzoną szafą i schować się w niej aż do mojego przybycia.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odrzekł Jay. - Wezmę je sobie do serca. Zgadzam się z tobą, ale co do pancерnej szafy, to wolę raczej polować, niż czekać, aż mnie inni kropną.

- Dobra, niech ci będzie - odparł z rezygnacją Denoff. - Dobranoc.

- Dzień dobry - rzekł Jay i z zamyśloną miną odłożył słuchawkę.

Jemu też opowieść Subasicia wydała się podejrzana. Były w niej jakieś fałszywe dźwięki. Dlaczego jednostka, do której należał Subasić, otaczała się taką tajemniczością? Dlaczego tak starannie, nie licząc się z kosztami, zacierała ślady zabójstw w Lejdzie i Amsterdamie? I dlaczego agenci CIA urządzili zasadzkę na Jaya? I co się stało ze zwłokami napastników? I Andersona? Jay chwycił flamaster i zanotował, że ma zapytać o to wszystko Subasicia przy następnym spotkaniu. Zbyt wiele znaków zapytania zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Jay miał wrażenie, że Jugosłowianin nie odślonił przed nim całej prawdy.

Przypomniał sobie dziwne zdarzenie z wczorajszego popołudnia. Podczas rozmowy z Subasiciem zadzwonił telefon i do pokoju wtargnął mokry od potu Sweeny. Zaciągnął Subasicia pospiesznie do saloniku i konferowali tam gorączkowo, po czym Subasić z twarzą stężałą od napięcia złapał płaszcz i zniknął bez słowa, a Sweeny został na posterunku.

Zmęczony wyczerpującym dniem Fleming, wykorzystał nieobecność Subasicia, żeby się powierzyć opiekuńczym objęciom Morfeusza. Zasympiając zastanawiał się, czy Sweeny został po to go, by go chronić, czy raczej pilnować, by nie uciekł. To pytanie pociągnęło za sobą inne, które nie przestały towarzyszyć mu we śnie.

Kiedy się rano przebudził, dotarło do niego, że wczorajsze przyćmienie umysłu nie pozwoliło mu na zadanie Subasiciowi mnóstwa pytań. Przeżyty szok ograniczył jego zdolność do oceny i analizy powstałej sytuacji.

Sypnął sobie do ust garstkę kukurydzianych prażynek i sięgnął po blok do zapisków. Na jednej kartce wypisał pytania, które chciał zadać Subasiciowi. Na drugiej kartce zanotował wszystko, czego się dowie-

dział na temat papierów Tesli i planu wymiany ich na pakt o nieagresji. W przeciwieństwie do poprzedniej kartki ta była prawie pusta.

Wiedział, że papiery mają być przekazane w piątek. Nie wiedział, o której godzinie, ani kto i gdzie ma dokonać transferu.

Miał ogólne pojęcie o treści papierów. Wymianę zaaranżowano z pominięciem zwykłych kanałów dyplomatycznych przy udziale specjalnego zespołu pracowników, przysłanego do ambasad Rosji i Jugosławii. Subasić poinformował go, że mediatorem w negocjacjach był bankier i broker, mający biura w Wiedniu, Moskwie, Belgradzie i Luksemburgu. Był to Austriak nazwiskiem Ernst Fischer, który urzędował przeważnie w swojej luksemburskiej siedzibie. Cieszył się międzynarodową renomą jako pośrednik w delikatnych interesach, tak legalnych, jak i nielegalnych, między Wschodem a Zachodem.

Często podejmował się godzenia stanowisk nie ufających sobie stron. Jego bank mógł służyć sprzedającemu, jako depozytariusz, i nabywcy, jako rzeczoznawca, dzięki czemu jeden i drugi miał pewność, że nie poniesie straty. Fischer podejmował się także jednoczesnego wykonania wzajemnych zobowiązań. Wszystko to uczyniło go bardzo bogatym człowiekiem.

Jednak Jay przyznał rację Subasicowi, który zauważył, że bankier, choć chroni równomiernie interesy swoich klientów, sam jest bezbronny wobec ingerencji osób postronnych, takich właśnie, jak oni. Jest słabym ogniwem, które musieli rozerwać w ciągu najbliższych dwóch dni i dwóch nocy. Postanowił, że złoży Fischerowi wizytę i zasieje w nim trochę paniki. Poprosi swojego bankiera Lena Hartkemeiera, żeby go umówił z Fischerem. Hartkemeier na pewno zrozumie.

Fleming poruszył się w krześle i spojrzął przez okno za biurkiem na niebo zasnutę szarymi chmurami. Może przyniosą mu więcej szczęścia aniżeli wczorajszy słoneczny dzień. Odezwał się brzęczyk interkomu.

-Tak?

- Paczka dla pana, panie Fleming - oznajmiła sekretarka. - Z Davis Company. Pan, który ją przyniósł, nalega na doręczenie jej panu osobiście.

- Proszę go wpuścić - uśmiechnął się Jay. Davis Company zajmowała się dostarczaniem policjom całego świata wszelkiego rodzaju broni i

jej akcesoriów. Jay przyjaźnił się z jej dyrektorem. Teraz ta przyjaźń mogła uratować mu życie.

Weszła sekretarka. Była to średniego wzrostu szatynka, która ściągała włosy w kok na tyle głowy tak mocno, że jej twarz nabierała wyrazu melona owiniętego w kawałek plastiku. Mimo wyglądu więziennej strażniczki była bardzo sprawna. Tuż za nią pojawił się wysoki, starannie ubrany blondyn o standardowo kamiennym obliczu amerykańskiego agenta służb specjalnych. W rękę trzymał karton rozmiarów skrzynki szampana, zawinięty w brązowy papier i oklejony mocno pasami taśmy.

Jay podziękował skinieniem sekretarce, która wycofała się niespiesznie, zamykając za sobą drzwi.

- Dzień dobry, Hamilton - Jay wstał i wyciągnął rękę do kierownika luksemburskiej filii Davis Company. Hamilton Steed, kiedyś tajny agent, potem szef biura Secret Service na Europę, postawił na biurku przyniesioną paczkę i energicznie potrząsnął ręką Jaya.

- Pan Davis życzył sobie, by to trafiło do rąk własnych adresata - wyjaśnił.

- Jak się miewa Gil? - zagadnął Jay, siadając i zapraszając Steeda gestem, by zrobił to samo.

- Ma się doskonale. Prosił, żeby cię pozdrowić i spytać, kiedy znów wybierzecie się razem na kaczki.

- To dobrze. Przekaż mu moje pozdrowienia i podziękowanie - Jay sięgnął po nóż do papieru.

- Wszystko jest używane - zastrzegł przepraszająco Hamilton. - Zostały nam tylko sztuki z demobilu. Transakcja z Hamburgiem ogołociła nas z broni krótkiej i kamizelek.

Jay rozciął taśmy i wyjął z pudła rewolwer modelu Smith & Wesson na naboje magnum, .357, skórzane olstro marki Bianchi, kamizelkę kuloodporną i cztery pudełka amunicji. Kamizelka była dwustronna, na jednej stronie szara wełna, na drugiej brązowy tweed. Jay nałożył ją na siebie i zapiął, pozostawiając najniższy guzik nie zapięty.

- Wygląda dobrze - powiedział Hamilton. - Wykonana z kevlaru. To nowoczesne tworzywo plastikowe. Odporniejsze od stali.

- Ile jestem winien firmie? - spytał Jay.

- Nic. Gil powiedział tylko, żebyś wziął trochę większy zapas Jacka Danielsa, kiedy znów pójdziecie na polowanie.

Jay uśmiechnął się i uściśnęli sobie dłonie na pożegnanie.

Po wyjściu Hamiltona Jay dopasował paski olstra. Po włożeniu marynarki pistolet dobrze przylegał, nie powodując wypukłości w okolicy pachy. Fleming dotychczas nie myślał o żadnych środkach obronnych; teraz jednak sytuacja się zmieniła i musiał działać przez zaskoczenie. Jedną z osób, której miał zamiar zrobić niespodziankę, był Ernst Fischer. Przysunął sobie telefon i nakręcił numer Lena Hartkemeiera.

Lomot osiągnął crescendo. Słyszać było strzały, wybuchy. Alexandra miotła się, próbując wyciszyć hałas. Widziała wciąż palącego się żywcem Lee Goldberga, słyszała ten nieludzki skowyt z głębi płomieni oraz eksplozję. Skotłowana pościel była przesiąknięta potem. Kropelki potu skapywały jej z twarzy w dolinkę pomiędzy piersiami. Ktoś nie przestawał uderzać z całej siły dłonią w drzwi.

-Dejeuner- dobiegł ją zza nich cienki, piskliwy głosik.

Alexandra przypomniała sobie jak przez mgłę zamówienie wypisane na kartoniku, jakie zawiesiła na klamce przed pójściem do łóżka.

Wyskoczyła w pośpiechu z łóżka, rozglądając się gorączkowo za szlafrokiem i minęła chwila, zanim przypomniała sobie, że przecież został w Excelsiorze.

- Chwileczkę! - krzyknęła. - Moment, proszę.

Obiegła wzrokiem pokój i na oparciu krzesła koło szafy dostrzegła bezładny stosik swojej garderoby. Poskoczywszy tam, zaczęła się przędko ubierać i nagle opadły ją znowu straszne wspomnienia wczorajszego dnia. Śmierć Lee, człowiek z krzaczastymi brwiami, który próbował ją zabić, ucieczka z hotelu... Uświadomiła sobie ze zgrozą, że przecież ten człowiek za drzwiami ze śniadaniem może być współnikiem morderców.

Podeszła na palcach do drzwi. Były zaryglowane i zamknięte na łańcuch.

- Proszę zostawić tacę w korytarzu - poleciała. - Wezmę ją, jak się ubiorę.

- Tak jest, madame - padła grzeczna odpowiedź z nutą wyraźnej ulgi.

Alexandra dosłyszała delikatne pobrząkiwanie szkła i metalu na stawianej na podłodze tacy. Potem zrobiło się cicho. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Przyłożyła ucho do drzwi. Słyszać było, jak winda się otwiera i zaraz zamyka.

Drżącymi rękami odpięła łańcuch. Czy on tam jeszcze jest? Odciągnęła zasuwę. Robisz z igły widły, skarciła się w duchu. Ale jeśli on naprawdę czeka, aż otworzą się drzwi? Wolniutko przekręcała gałkę i raptem jednym ruchem rozwarła drzwi na oścież. Nikogo. Ani strzałów. Ani chloroformu. Ani goryli z ołowianymi rurkami. Ani napalmu. Tylko dwie chrupkie bułki, trzy maselka w cynfolii, cztery trójkątne serki także w cynfolii, trzy okrągłe pojemniczki z marmoladą, kawa w dzbanku z nierdzewnej stali i dzbanuszek z mlekiem. Komiczna namiastka śniadania w porównaniu z amerykańskimi jajkami na szynce.

Zaśmiała się na głos nerwowo, podniosła tacę i wzięła ją do pokoju, zatrzaszkując nogą drzwi. Postawiła tacę na stoliczku w rogu pokoju przy oknie i pociągnęła za cienki sznur, rozchylając zasłony. Do pokoju wsącżyło się anemiczne, poranne słońce.

Alexandra usiadła i nalala sobie kawy. Popijając ją przebiegała w myślach ciąg minionych zdarzeń. Po błyskawicznym pozbyciu się uniformy pokojowej w pomieszczeniu gospodarczym zeszła po schodach dwa piętra niżej, zostawiając za sobą otwarte okno, przez które wyleciał ścigający ją zabójca.

Z aktówką w rękę przeszła szybko przez hol Excelsioru do recepcji i wymeldowała się. Resztę rzeczy zostawiła w pokoju, nie miała zamiaru ryzykować dla nich życiem. Podziękowała odźwiernemu, który otworzył przed nią przeszklone drzwi, i dała mu dobry napiwek za złapanie taksówki. Odjeżdżając, odwróciła wzrok od robotników doprowadzających już ulicę do porządku.

Kazała się zawieźć do biura informacji na dworcu kolejowym, ale było zamknięte. Udając zainteresowanie rozkładami jazdy pociągów intensywnie obmyślała plan działania. Przede wszystkim musiała znaleźć sobie nowe lokum. Pensjonaty i małe hotele nie wchodziły w rachubę. Samotna Amerykanka z pewnością zostałaby w nich zapamiętana przez recepcjonistów. A jej potrzebna była anonimowość. Ale stolica Luksemburga miała zaledwie osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców. I niewiele dużych hoteli. Największym i najbardziej luksusowym był właśnie Excelsior. W przewodniku nabytym na dworcu figurował ponadto tylko jeden duży hotel - Intercontinental.

Zameldowała się w nim i po kolacji, zjedzonej naprędce w pokoju, zapadła w niespokojny sen pełen koszmarów i przywidzeń.

Popatrzyła w górę na zachmurzone deszczowo niebo, potem w dół na ciepło poubieranych przechodniów z parasolami. Odeszła nagle od okna i włączyła telewizor. Natrafiła na powtórkę „Wyspy Gilligana” z francuskim dubbingiem. Rozbawił ją Gilligan mówiący z wyszukanymparyskim akcentem, ale przygnębienie i lęk szybko powróciły. Odechnęła głęboko i nagle poczuła głód. Zmiotła w mig mikroskopijne śniadanie, zwane kontynentalnym, zamówiła drugi dzbanek kawy, wystawiła na korytarz tacę i wyłożyła na mały okrągły stół zawartość pakietu, jaki Martin przesał Goldbergowi.

Przejrzała stronę po stronie arkusze z danymi statystycznymi, trudnymi do odczytania, bo zostały skopiowane za pomocą maszyny redukcyjnej. Towarzyszył im obszerny specjalistyczny raport z jakichś eksperymentów atmosferycznych, powiązanych z obecnością w jonosferze fal radiowych małej częstotliwości. Treść dwóch notatek i jednej depeszy wydała się Alexandre zastanawiająca. Pierwsza notatka pochodziła sprzed trzech lat i zachwalała nową broń, podkreślając jednak kłopoty z celowaniem. Druga notatka, sporządzona zaledwie dwa miesiące wstecz, przedstawiała szkicowo końcowy proces naprowadzania na cel. Depesza zaś adresowana do luksemburskiego bankiera Ernsta Fischera i podpisana przez Stevena Stranda zawierała zagadkową ofertę nabycia towaru konsygnacyjnego. Pod tekstem widniało jedno słowo nabazgranepismem odręcznym: „Odrzucono”.

Były tam również wycinki z gazet niemal całego świata, dotyczące głównie wyłączeń prądu, uszkodzeń systemów radiowych i telefonicznych, niewytłumaczalnych zakłóceń urządzeń radarowych i masowego unieruchomienia sieci komputerowej. Nie zabrakło nawet relacji New York Timesa ze słynnego blekoutu na Manhattanie. Wszystko to nie miało dla Alexandry sensu.

Pedantycznie przyjrzała się każdej kartce, szukając klucza do całości, czegoś w rodzaju kamienia Rosetty, co pozwoliłoby rozszyfrować te materiały. Dla Martina miały one jakieś znaczenie. Dlaczego? Sączyła kawę i szukając natchnienia w suficie próbowała wpaść na trop. Powiązać to z czymś, co mówił Lee, o czym napomknął Martin.

Spotykała się już z takim problemem wiele razy w swojej pracy reporterskiej. Stos na pozór niepowiązanych ze sobą dokumentów, notatek, zapisów rozmów - płynął niczym wielka ławica w jej umyśle, aż w

pewnym momencie coś zaskoczyło, jakiś ostatni strzęp informacji, ostatnia zasłyszana wiadomość, jakiś dodatkowy fakt.

Popatrzyła na leżące przed nią papiery. Od czasu końcowych egzaminów na uczelni nie miała do czynienia z większym wyzwaniem intelektualnym. Przez chwilę dopuściła myśl, że to może zadanie niewykonalne. Czowała, że energia z niej wycieka, że jest w środku pusta. Ze wszystkich kątów pokoju wyzierało zniechęcenie. Sen wydawał się w tej sytuacji najlepszym lekarstwem.

„Alexandro, do jasnej cholery!” powiedziała na głos, wstając i podchodząc gniewnie do okna. „Oni zabili Martina. Próbowali zabić i ciebie. Nie możesz tak po prostu spasować”.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak? - odezwała się, odwróciwszy się od okna.

- Votre cafe.

Podeszła do drzwi, zerknęła przez wizjer, który przedtem jakoś uszedł jej uwagi, a ujrawszy kelnera w białej kurtce, otworzyła mu i dała hojny napiwek, wywołując dziękczynny uśmiech na jego obliczu.

Nalała sobie świeżej kawy i od nowa wzięła się do przeglądania papierów.

O czym jeszcze mówił przy śniadaniu Lee Goldberg? Martin ostrzegł go przed jej uporem w liście, jaki dołączył do pakietu. A gdzie jest ten list? Była pewna, że nie przeoczyła go, przeszukując pokój Goldberga. Może miał go przy sobie i spłonął razem z nim? Tak, nie mogło być inaczej.

Zaczęła robić notatki na hotelowym papierze listowym. Nikola Tesla. To nazwisko raz po raz pojawiała się w papierach. Postanowiła dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Dziwny telegram do Ernsta Fischera. Trzeba mu złożyć wizytę! Podkreśliła to nazwisko i po namyśle oznaczyła je nadto gwiazdką. To chyba logiczny punkt wyjścia.

Steven Strand. Człowiek, który wysłał depeszę. Nazwisko wydało się jej znajome. Zapisała je. Sprawdzić, kto to taki.

Na liście pozycji wymagających poszukiwań bibliotecznych umieściła też występujący w nagłówkach wielu listów Międzyrządowy Ośrodek Synoptyczny, platformę Delta Zeus (nie miała pojęcia, gdzie tego szukać), a także „impuls elektromagnetyczny” i generała o nazwisku Jerry Patterson.

Przyjrzała się wykazowi. Nie było tego dużo, ale zawsze więcej niż nic. Miewała mniej materiału na starcie swoich najlepszych reportaży. Przejrzała raz jeszcze listę od góry do dołu i ogarnęło ją podniecenie. Zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo jej brakowało tego dreszczyku emocji, jaką daje polowanie, zagadka, jaką trzeba rozwiązać, zawzięta pogoń za elementami reportażowej układanki.

Teraz znowu doznała tego uczucia.

„Robię to dla ciebie, Martin”, powiedziała, składając kartkę z notatkami. „Ale także i dla siebie. Nie miałam pojęcia, jak bardzo było mi to potrzebne”.

Schowała kartkę do aktówki i zaczęła się ubierać. Musiała sobie kupić nowe rzeczy do ubrania, musiała wszcząć własne śledztwo, odwiedzić bankiera, musiała także rozpocząć nowe życie: prawdziwe.

Rozdział 19

Luksemburg, 20 grudnia

Niebo już pojaśniało, zmieniając koloryt z szarego na jasno perłowy, gdy limuzyna Fleminga podjechała przed Intercontinental. Wysiadł z niej najpierw goryl Subascia Sweeny, zlustrował ulicę, popatrzył w górę na okoliczne budynki i dał znak głową Jayowi, że droga wolna. Hartkemeier umówił go z Fischerem i Jay chciał na tę wizytę zmienić swój dość swobodny ubiór na ciemny garnitur, żeby bankier nie posądził go o brak należnego szacunku. Trochę zniecierpliwiony ciągłym poddawaniem się rygorom bezpieczeństwa wyśliznął się z auta, szybkim krokiem przebył chodnik i znalazł się w holu hotelu. Przed recepcją wiła się długa kolejka ludzi, głównie uciekinierów z Excelsioru, którzy pragnęli znaleźć się możliwie jak najdalej od miejsca tak narażonego na akty przemocy. Rozeszły się już szeroko wiadomości o wybuchu w restauracji, a także o samobójczym podobno skoku z okna na czternastym piętrze hotelu. W dodatku tuż pod miastem doszło do tragicznej w skutkach eksplozji cysterny z benzyną. Na ulicach, w biurach, w kawiarniach huczało, mówiono wyłącznie o tym. Nic równie dramatycznego nie przytrafiło się Luksemburgowi od czasu, gdy generał Patton przego-

nił stąd Niemców. W hotelowym kiosku z prasą były w oczy ogromne gazetowe tytuły.

Czekając ze Sweenym na windę Jay postanowił kupić gazetę.

Sweeny skrzywił się. Nie przyznał się Jayowi, że czekając na niego przed gabinetem Hartkemeiera wypił za dużo kawy i teraz pilno mu było do toalety.

- Słuchaj - powiedział Jay. -Jedź sam na górę. Mnie nic się nie stanie. Chwyć tylko gazetę i zaraz będę w pokoju.

Na twarzy Sweeny'ego odbijał się wyraziście pojedynek pomiędzy obowiązkiem a koniecznością spłacenia długu naturze. I natura zwyciężyła.

- No dobra - zgodził się. - Ale ani słowa Subasiciovi.

Przez moment Jay rozważał, czy korzystając z okazji nie pójść na spacer, ale doszedł do wniosku, że byłaby to przesada. Podszedł do stoiska z prasą ciekawy, co napisano o wybuchu cysterny, a także o wydarzeniach w Excelsiorze. Za dużo było tego, jak na zwykły zbieg okoliczności, a tak to określała policja. Miał nadzieję, że znajdzie w gazetach jakieś informacje, które mu rozjaśnią trochę to, co się wokół niego działo.

Hartkemeier okazał się bardzo pomocny w załatwieniu spotkania z Fischerem. Według niego Fischer cieszył się szacunkiem w luksemburskich sferach bankowo-biznesowych, mając „określoną reputację” jako plenipotent wzajemnych nieprzyjaciół - krajów bądź korporacji - przy załatwianiu obopólnie korzystnych interesów. Poza tym niewiele było wiadomo o Fischerze. Nie utrzymywał z nikim stosunków towarzyskich, w interesach solidny, lecz nie wylewny, trzymał się na uboczu, mieszkał poza miastem w wygodnym, ale rozmyślnie skromnym domu nad rzeką Alzette. Był wdowcem, piastował honorowe funkcje w różnych organizacjach międzynarodowych i charytatywnych. Stronił od polityki, zachowując pod tym względem skrupulatną neutralność. Miało to swoje źródła w okresie tuż powojennym, gdy pracując dla rządu Austrii, okupowanej wówczas przez Sowieców, przyczynił się w znacznej mierze do wynegocjowania neutralnego statusu kraju, co zadowoliło zarówno Amerykanów, jak i Rosjan. Hartkemeier dodał poufnie, że Fischer wyduje się nienawidzić Amerykanów.

Pochyliwszy się przy sięganiu po gazetę, potracił niechcący kogoś ramieniem. Była to młoda kobieta. Ubrana w drogi, ale nieco pognieciony żakiet w jodełkę i ciemną spódnicę.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Nie zauważyłem...

- Och, Amerykanin - zauważyła z odcieniem sympatii podnosząc na Jaya bławatkowe, osadzone głęboko oczy. Miała wysoko sklepione kości policzkowe i brązowe włosy, spadające jej prawie na ramiona. Jay orzekł, że jest nadzwyczaj ładna, tyle że wyglądała jakby od wielu dni była w podróży, nie mając okazji do zmiany garderoby.

Dlaczego tak się ucieszyła, że jest Amerykaninem, karciała się w duchu Alexandra. Ludzie, którzy chcieli ją zabić, także są Amerykanami. Obrzuciła szybkim spojrzeniem jego opaloną, szczupłą twarz o mocno zarysowanej szczęce, szerokie ramiona, ciemnobrązowe, prawie czarne włosy, turkusowoniebieskie oczy. Nosił szorstką tweedową marynarkę koloru kukurydzy z domieszką cykorii oraz brązowe wełniane spodnie. Nie pasowała do tego zupełnie wyzierająca spod marynarki kamizelka, niemniej Alexandra uznała, że to atrakcyjny mężczyzna.

- Zgadza się - odpowiedział Fleming. - Z Santa Monica. A pani?

- Z San Diego - zaśmiała się.

Siedząca za nimi kioskarka, zwalista baba o dłoniach pokrytych brodawkami, przysłuchiwała się mimo woli ich rozmowie. Słyszała już to tysiące razy. Ci Amerykanie! Każdy z nich, przyjeżdżając do Europy, ma się za Marko Polo pomiędzy dzikusami. Żadna inna nacja nie manifestuje tak ochoczo swojej braterskiej wspólnoty.

- Wszędzie pełno Kalifornińczyków - powiedział Jay z ubolewaniem, okraszając to uśmiechem. - Mieszka pani w tym hotelu? - spytał i natychmiast tego pożałował. Kobieta zeszytniała, a na jej twarzy pojawił się przestrah.

- Nie - zaprzeczyła szorstko i odchrząknęła. — Zatrzymałam się tu tylko na jeden dzień. Jestem w drodze do Belgii.

Ależ jesteś głupia, zbesztła się. Przecież on może być jednym z nich. - Przepraszam - rzuciła nagle, wzięła gazetę i położyła ją na ladzie. - Spieszę się. Muszę jeszcze pójść w parę miejsc przed odjazdem pociągu - wręczyła kioskarcce banknot i czekała na resztę. - Do widzenia - powiedziała, patrząc nerwowo na Jaya i rozglądając się jak królik w obawie przed napaścią jastrzębia, ruszyła do wyjścia.

Jay widział jak wsiada pospiesznie do taksówki. Zabawna kobietka, pomyślał. Najpierw wpatruje się we mnie tymi błękitnymi ślepkami, jakby chciała, żebyśmy ją stąd zabrał, a potem błękit przemienia się w lód.

Zapłacił za gazetę i skierował się do windy. Nieznajoma zaintrygowała go. Przypominała mu Helenę. Kochaną, cudowną Helenę. Wspomniała żonę i gospodynię. Kobietę dla niego nieodpowiednią. Nie nadającą się na żonę pilota. Pamiętał, kiedy pierwszy raz skrzyżowały się ich spojrzenia. Siedziała po drugiej stronie dębowego stołu w bibliotece uniwersyteckiej Cornella. W jej oczach migotało światło. Żartował potem, że ma oczy czarodziejki. Nigdy nie zapomni ich wyrazu, gdy wrócił do domu i zastał ją nieżywą. Nie skończyła nawet swego pożegnalnego listu. Napisała tylko „Kocham cię...”. Nie mogła znieść myśli, że pewnego dnia Jay może nie powrócić do niej. I wtedy zgłosił się na trzecią turę w Wietnamie.

Drzwi windy otworzyły się z miękkim pomrukiem. Wynurzyły się z niej dwie ubrane bez gustu paniusie, a za nimi dwóch facetów jeszcze bardziej pozbawionych gustu. Jay pojechał do góry sam. Tak, zabił Helenę. Równie dobrze mógłby jej wepchnąć te pigułki do gardła. Schowała się tam, gdzie nie mogła go już tak bardzo skrzywdzić.

W pokoju zastał Bogdana Subasicia. Był czerwony z gniewu. Sweeney siedział w fotelu pod oknem z miną zbitego psa.

- Co ty wyprawiasz? Dlaczego szwendasz się bez eskorty? - rozdarł się Subasić, nim Jay zdążył zamknąć za sobą drzwi.

- Nie jestem twoim więźniem - odparł spokojnie Jay.

- Mogli cię zabić - rzucił. - Ty chyba tego nie rozumiesz. Czekają tylko na to, żebyś popełnił błąd.

- A ty chyba nie rozumiesz tego, że nie jestem twoim więźniem - powtórzył cicho Jay. - Jeśli będę chciał zginąć, to pozwolę się zabić. Nie będę żył w klatce i wychodził z niej prowadzony na łańcuchu.

Obaj, Jay i Subasić, pobledli, zacisnęli pięści. Jay nagle podszedł do małej lodówki w rogu pokoju i wyjął z niej butelkę soku pomarańczowego.

- Co się z tobą dzieje, Subasić? - spytał już spokojniej, pociągnawszy duży łyk. - Zawsze taki jesteś? Właściwie to ty powinienes być przy mnie dzisiaj rano, ale się wymigałeś. Powiedziawszy to, poszedł do sy-

pialni, ściągnął z siebie marynarkę i zaczął się przebierać na spotkanie z Fischerem.

Subasić postąpił za Jayem, a zobaczywszy olstro na jego ramieniu, spytał:

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Nie jesteś moim jedynym przyjacielem - odrzekł Fleming.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - zapytał Subasić, siadając na brzegu łóżka.

- Mam się zaraz zobaczyć z Fischerem. Powiedziałem mu, że chcę z nim porozmawiać o papierach Tesli. Wpadł w lekką panikę - Jay rzucił olstro oraz kamizelkę na łóżko obok Subasicia.

- Można? - poprosił Jugosłowianin, biorąc do ręki rewolwer.

Jay skinął głową, pozbył się koszuli i spodni, po czym podszedł do szafy.

Subasić wyjął broń z olstra, obejrzał i włożył z powrotem na miejsce.

- Dobra rzecz - stwierdził. - To dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

- To ty chciałeś widzieć się ze mną - skontrował Jay. - Zapomniałeś? Wczoraj wieczorem. Zanim odebrałeś ten telefon, który cię tak rozwścieczył. Mówiłeś, że chcesz jeszcze raz obgadać wszystko przed moim spotkaniem z Fischerem - Jay wyjął z szafy wełniane trzyczęściowe ubranie z mosiężnymi guzikami.

- Ten telefon zupełnie mnie rozkleił - powiedział Subasić zgnębionym głosem.

- Co się stało? - zapytał Jay.

- To nie ma związku z tobą.

- Wszystko, co odbija się na stanie twojego umysłu i twoim samopoczuciu, dotyczy także mnie - Jay zawiesił wyjęty z szafy garnitur na oparciu najbliższego krzesła. - Nie zapominaj o tym.

Subasić przesywał go posepnie wzrokiem, nie odzywając się.

- No, dobrze - przerwał milczenie Jay. - Chciałeś tej odprawy, więc odfajkujmy to. Po pierwsze, tak jak sugerowałeś, mam mu zaproponować kupno kopii papierów - Jay wyjął z szuflady parę czarnych podkolanówek. - Ile twoja agencja jest gotowa zapłacić?

- Nie przekraczaj kwoty dziesięciu milionów dolarów - odrzekł z roztargnieniem Subasić.

- Hartkemeier mówił, że Fischer to kutwa – powiedział Jay. - Zażąda prawdopodobnie dziesięciu milionów i zwrotu kosztów skserowania papierów.

Na twarzy Subasicia nie drgnął ani jeden mięsień.

- Po drugie - Jay był na etapie wkładania spodni.

-Jeżeli zgodnie z twoimi przewidywaniami odmówi, donoszę Jugolom, że Rosjanie go przekupili, wzięli dokumenty i z traktatu nici. Grożę dodatkowo, że zadzwonię do Rosjan i powiem, iż Jugole sprzedali papiery Amerykanom.

- To zrukuje najbardziej dochodowy segment jego interesów - transakcje Wschodu z Zachodem – stwierdził Subasić. - Ponadto Jugosłowianie zażądają od niego zwrotu dokumentów i to zanim zdążysz odłożyć słuchawkę.

Fischer wie, że Jugosłowianie nie darują mu zdrady i zapewne go wykończą. Rosjanie również to wiedzą.

-Ale po co dzwonić do Rosjan? -Jay zapiął na ostatni guzik białą koszulę i szukał w szufladzie spinek do mankietów. - To tylko skomplikuje sprawę. Nie uważasz, że Jugosłowianie sami to zrobią jeszcze przed telefonem do Fischera?

- Możliwe - przyznał Subasić. - Ale mam nadzieję, że Rosjanie, wściekli, że zostali wykiwani, nie będą chcieli z nimi gadać. Dzięki temu nie wyjaśnią sprawy między sobą i nim połapią się, że to wszystko jest dęte, my będziemy mieli dość czasu, żeby zdobyć papiery. W najgorszym razie powinno to udaremnić przejęcie ich przez Rosjan.

- A jeśli Rosjanie zorientują się, że to my wszystko nagraliśmy?

- Ludzie mają to do siebie, że umierają – oświadczył obojętnie Subasić. - Nie można wykluczyć, że dojdzie do jakiejś wojenki.

Podczas gdy Jay kończył się ubierać, Subasić referował plan akcji. Jay pojedzie do Fischera taksówką. Subasić ze Sweenym pojedą za nim. Nie mogą się rzucać w oczy, bo są dobrze znani w kręgach wywiadowczych. Poza tym Fischer nie cierpi Amerykanów, a już szczególnie tajnych agentów. Gdyby ich zobaczył, cała operacja spaliłaby na panewce.

- Zabawne - rzekł Jay, zawiązując krawat. - To samo mówił mi Hartkemeier, ale nie miał na to żadnych dowodów. A ty?

- Raporty OSS, dawnego Biura Służb Strategicznych, z przebiegu rokowań amerykańsko-rosyjskich są dla niego niepocholebne. Zachowywał się jak sędzia, który wyraźnie sprzyja jednej z drużyn. Niby miał

zasadne argumenty, ale tak się jakoś składało, że zawsze Zachód dostawał gorsze karty.

- W takim razie dlaczego zgodził się na rozmowę ze mną? - Jay odwrócił się od lustra i sięgnął po kamizelkę od garnituru. Żałował, że kelvar do niego nie pasuje.

- Z chciwości - wyjaśnił Subasić. - Jesteś szefem firmy, wytwarzającej produkty, które mógłby ewentualnie sprzedawać. Pewnie Hartkemeier podszeptał mu coś w tym duchu. Mnie by nie przyjął, jestem tylko amerykańskim szpiegiem. Żadnych widoków na zarobek. Ale ty oznaczasz możliwość grubej forsy. Tak przynajmniej kombinuje.

Jay skinął głową, włożył kamizelkę, nie zapinając ostatniego guzika, i wsunął na lewe ramię ostro ze Smith & Wessonem. Czuł się lepiej mając go pod pachą. Nie jak bezbronny cel.

- Raporty OSS? - Jay włożył marynarkę. - To dlaczego kazałeś mi szukać informacji o Fischerze własnymi kanałami? Dlaczego nie pisałeś słowa o tych raportach? Straciłem cały ranek, wydzwanając po całym mieście, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Te raporty są stare...

- Nie macie o nim świeższych danych? Nie zbieracie ich na bieżąco? O gościu, który regularnie pośredniczy w interesach między Wschodem a Zachodem? Być może sprzedaje po kryjomu jakąś nowoczesną technologię? Układy scalone? Laserowe lustra? Musicie przecież mieć jego teczkę. Albo nie stać was nawet na wyszperanie czegoś więcej, niż można znaleźć w gazetach.

- Jeśli mam być szczerzy... - zaczął z zażenowaniem Subasić.

- Bądź - przerwał mu ostro Jay. - Wykrztuś całą prawdę.

- ... to dossier Fischera jest zawstydzająco ubogie. Jego kontakty personalne są ograniczone do minimum. Jego archiwa są skąpe, w osobistym notatniku telefonicznym ma zapisane tylko znane ogólnie numery. Całą resztę wydaje się przechowywać w głowie. W każdym razie w biurze nie trzyma nic ważnego.

- To znaczy, że wasi ludzie myszkowali w lokalu jego firmy Subasić przytaknął niemo, a Jay zaczerpnął głęboko powietrza i usiadł.

- To dlatego wiesz, że nie ma tam skarbcza, a więc i papierów Tesli? - spytał i Subasić znowu potwierdził to ruchem głowy. - Inaczej byście je wykradli i niech Fischer i Rosjanie oraz Jugole skaczą sobie do oczu?

Subasić jeszcze raz skinał twierdząco. Jay wydał dolną wargę i zamysłony pocierał sobie szczękę, przypatrując się Subasicowi.

- Pewnie dostajesz szału, że musisz się zdawać na takiego amatora jak ja? Cholernie cię to uwiera, prawda?

- Bardzo się tym gryzę - wyznał Subasić, pocierając dłońmi powieki.

- Nie masz pojęcia jak bardzo- dodał, a na jego twarzy nie można się było doszukać tej twardej pewności siebie, jaką emanował jeszcze wczoraj. -Ante - dorzucił cicho smutnym głosem. - Ante był moim przybranym bratem.

-Jak to był?

- Zginął wczoraj.

- To ten telefon? Subasić kiwnął głową.

- Wypadł przez okno w Excelsiorze. I wiem, że to nie było samobójstwo - głos mu się łamał, ale za moment niczym żongler, podnoszący z ziemi upuszczoną kulę, wyprostował się i podszedł do okna z uniesioną głową. - Jestem jego jedynym krewnym - powiedział - i nie mogę go nawet pochować. Ale zrobię co innego - zwrócił do Jaya gniewną twarz. - Znajdę jego zabójcę i sprawię, że będzie długo umierał.

- A wiesz kto to jest? - zapytał Jay współczująco. Nagle w ciemnej, nieprzeniknionej fasadzie, zająką krył się Subasić, pojawił się przeblysk uczyłowieczenia. - Czy to ci sami ludzie, którzy i mnie ścigają?

Subasić potrząsnął przecząco głową i ruszył do drzwi.

- Powiedz, kiedy będziesz gotów do wyjścia - rzucił przez ramię.

Jay wsadził rękę do swojej podróźnej torby i wymacał ostatnią już torebkę z prażonymi ziarnami kukurydzy. Nie chciałbym być w skórze tego, kto zabił brata Subasicia, pomyślał, wrzucając sobie do ust kilka ziaren. Kimkolwiek jest, umrze okropną śmiercią. Ciarki przeszły mu po plecach.

Rozdział 20

Luksemburg, 20 grudnia

Pasza Bielenko odsunął od siebie talerz z cielecym kotлетem przyniesionym mu z kuchni i utkwiał wzrok w błotniście szarych chmurach przewalających się ponad nagim zimowym krajobrazem.

Kto przysłał do niego tego amerykańskiego prominenta? Musiał ktoś za tym stać, musiał istnieć jakiś ukryty cel tych odwiedzin. Wpływowi obywatele amerykańscy, szefowie rządowych instytutów naukowych, które co roku wydają na tajne badania dziesiątki milionów dolarów, nie zjawiają się ot tak sobie, bez ważnej przyczyny w luksemburskiej ambasadzie Rosji.

Ani przez chwilę nie wierzył w tę absurdalną bajeczkę o wymianie spleśniałych papierzysek pozostałych po jakimś podrzędnym naukowcu z Jugosławii za cenę zawarcia tajnego układu. Ten Tesla przecież nie żyje chyba od kilkudziesięciu lat. Przez ten czas nauka zrobiła milowe kroki. Jak ten Amerykanin mógł pomyśleć, że ktoś się na to nabierze choćby przez sekundę?

Nie, ktoś za tym na pewno stoi. Pasza spojrział na listę swoich wrogów. Ma ich wielu. Nie robi się takiej błyskotliwej kariery w KGB bez przysparzania sobie nieprzyjaciół. Na liście Bielenki figurowały głównie obce służby wywiadowcze. Ze znanych mu ludzi niewielu miało kontakty z prominentnymi Amerykanami. Skreślał jedno rosyjskie nazwisko po drugim, w końcu na liście zostały tylko dwa. Trzeba będzie poddać ich właścicieli ściślejszej obserwacji. Co do zagranicznych agencji... Westchnął, potrząsając głową. Być może atak na niego to początek nowej kampanii przeciwko Rosji? Może nie jest jedynym funkcjonariuszem KGB, któremu złożył wizytę ktoś taki, jak jego gość.

Poprzedniej nocy nie zmrzył oka, starając się rozgryźć cel tych niezwykłych odwiedzin. Nie mógł nic przełknąć na śniadanie, teraz też nie miał apetytu. Zamknął oczy i westchnął donośnie. Sam fakt, że ten Amerykanin, znany z przynależności do prawicowego, antysowieckiego skrzydła politycznego, odwiedził Bielenkę, czynił go podejrzanym w oczach kolegów z KGB. Już słyszał jak szepczą: „Czy taki Amerykanin, żywiący programową niechęć do naszego systemu, zjawiałby się u Bielenki bez zaproszenia, za którym kryje się zdrada albo myśl o niej? Gdyby był stuprocentowo lojalny, Amerykanin nigdy by się na to nie zdecydował”.

Wizja śledztwa, przesłuchań, przykrości, jakie niewątpliwie nastąpią, przyprawiała Bielenkę o mdłości.

Ale musiał napisać raport. Nienapisanie raportu prędzej czy później wpędziłoby go w znacznie gorsze kłopoty. Znowu, jak setki razy przedtem, przebiegła mu przez głowę myśl o ucieczce. I jak zawsze odrzucił

ją. Do diabła z żoną, lecz jego dziewięcioletnia córka... Spojrzał na fotografię Anusi. Blondyneczka, długie włoski związane w kucyk, w dramatycznej pozie na równoważni. Jej matka zasługiwała na łagier, ale Ania... Za każdym razem jego determinacja topniała, gdy pomyślał, że zabiorą ją ze specjalnej szkoły i przeniosą do zwyczajnej, gdzie będzie obcować z dziećmi robotników i zmiataczy ulic. Nie, nie może jej tego zrobić.

Ale co z tym Amerykaninem? Szlag by go trafił! Bielenko zacisnęła pięści, aż mu zbieleły knykcie. Postanowił, że zaczeka do końca wizyty wiceministra spraw zagranicznych.

Ma wyjechać w niedzielę. Wyśle raport w poniedziałek. Być może przez ten czas wyłoni się coś nowego.

Twarz Ante Dvoraka przypominała porcję surowych podrobów baranich. Mimo że fotograf zrobił zdjęcie z dyskretnej odległości, Obsydian bez trudu dostrzegł, że była to miazga.

Kto go zabił, zastanawiał się Obsydian, siedząc w rogu wygodnej kanapy o nieokreślonym deseniu w holu hotelu Intercontinental. Nie zrobili tego jego ludzie. Czyżby Bielenko kłamał, odzegnując się od pomocy? Tacy właśnie są ci Rosjanie. Nigdy się nie przyznają do pomagania kapitalistom, nawet we własnym interesie, głównie z powodu dogmatu Lenina o zasadniczej rozbieżności interesów komunizmu i kapitalizmu.

Obsydian przeglądał z zainteresowaniem gazetę, obserwując jednocześnie windy. Ciekaw był, czy zamach w hotelu miał jakiś związek z potężną eksplozją w tunelu. Pisano, że ponad tuzin pojazdów z obu stron tunelu zostało siłą wybuchu zmiecione z drogi. Na farmach odległych o dziesięć kilometrów powylały szyby z okien.

Jeśli chodzi o wypadki w Excelsiorze, to zdaniem prefekta policji użyto jakiegoś chałupniczo sfabrykowanego napalmu. Lider demonstracji, student miejscowego uniwersytetu, został aresztowany bez prawa zwolnienia za kaucją. Na następnej stronie natrafił na notatkę o niezidentyfikowanej ofierze wybuchu przy ścieżce joggingowej na południe od miasta.

Za dziesięć dwunasta serce Obsydiana zabiło żywiej. Z windy wyszedł Fleming, poprzedzany przez Bogdana Subasicia i ubezpieczony z tyłu przez jakiegoś łysiejącego osobnika.

Obsydian żałował, że nie mógł skierować do akcji przeciw Flemingowi i Subasicowi większej liczby ludzi. W Chicago, w Nowym Jorku, czy gdziekolwiek w Stanach, nie byłoby trudności z werbunkiem. Tutaj mógł jedynie wezwać byłych agentów Secret Service z Amsterdamu albo wynająć kogoś z banku najemników, byłych żołnierzy czy tajniaków. Byli napaleni na robotę, ale - niestety - jak się już miał okazję przekonać - nie szły z tym w parze odpowiednie umiejętności, stanowili zawsze wielką niewiadomą. Spodziewał się posiłków w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin, ale przez ten czas nie będzie miał żadnego wpływu na posunięcia Fleminga i Subasicia. Niewykluczone, że odsiecz, która ma przybyć jutro po północy, niewiele już będzie mogła zdziałać.

Obsydian wziął swoją teczkę, w której spoczywał Heckler&Koch plus cztery zapasowe magazynki, i podszedł do wyjścia. Widział przez szybę jak łysy siada za kierownicą sedana volvo, a Subasić lokuje się za nim na tylnym siedzeniu. Natomiast Fleming wziął taksówkę, która natychmiast płynnie włączyła się do ruchu, mając volvo za sobą. Dopiero wtedy Obsydian wyszedł na ulicę, pomaszerował prędko na postój taksówek i wszedł do pierwszej w szeregu.

- Suivez ce taxi, la! - polecił, wskazując auto z Flemingiem. Kierowca odwrócił się, popatrzył na niego i wzruszył ramionami. Ten elegancki Amerykanin nie wyglądał bynajmniej na detektywa.

- Vouz avez des amis ici en Luxembourg, m'sieur? — spytał taksówkarz, widząc, że Jay spogląda we wsteczne lusterko. Obróciwszy się, dojrzał volvo z Subasicem i Sweenym podążające w ślad za taksówką.

Jay nie lubił Subasicia. Uważał, że to fanatyk, a fanatycy zwykli wystawiać siebie i swoje otoczenie na niebezpieczeństwo. Subasić był gotowy na wszystko, nie zawahałby się zaryzykować życie, by wykonać swoje zadanie.

- Tak, mam tu przyjaciół - odpowiedział taksówkarzowi po francusku. — Jadą za nami w tym volvo.

Taksówkarz wyraźnie się odprężył. Nowoczesność za oknami auta stopniowo ustępowała miejsca widokom ze starszą metryką. Zostawiając za sobą szerokie aleje wjeżdżali w wąskie ulice dzielnicy staromiejskiej. Jay układał sobie w głowie rozmowę z Fischerem, ale pod powiekami ukazywały mu się natrętnie kobaltowe oczy nieznajomej z hotelu. Dziwne. Jest w obcym kraju, chowa pod pachą broń, jedzie za nim

dwóch uzbrojonych goryli gotowych rozpętać konflikt między supermocarstwami, aj ego nie obchodzi nic poza parą niebieskich oczu.

Myślał o nich nadal, gdy taksówkarz zatrzymał się na Rue Beck przed okazałym kamiennym budynkiem, do którego prowadziły schody strzeżone przez dwa lwy z brązu, pokryte zielonkawym nalotem śnieży. Podczas gdy płacił za przejazd, Sweeny zaparkował na chodniku dwadzieścia metrów dalej po drugiej stronie ulicy.

- Pana przyjaciel - ostrzegł taksówkarz - zapłaci mandat, jeśli postoi tam dłużej.

Jay podziękował mu, wysiadł szybko i wbiegł na schodki budynku. Ani on, ani jego stróż w volvo nie zauważyli taksówki na rogu Avenue Monterrey, z której wysiadł elegancki dżentelmen z miękką skórzaną walizką.

Wystrój poczekalni w biurze Fischera nie nawiązywał w najmniejszym stopniu do charakteru starego Luksemburga. Umeblowanie było ograniczone do minimum, a trzem kremowym ścianom towarzyszyła czwarta złożona wyłącznie z okien. Klepki posadzki pokrywał niemal w całości gęsty dywan, też kremowy, z orzechowym obramowaniem. Meble ze szkła, chromu i skóry imitowały styl Bauhausu. Z połyskujących lustrzanie donic w rogach pokoju wystawały szare łodygi jakichś pustynnych roślin, oblepione ostrymi obwisłymi liśćmi. W bocznej ścianie widniały drugie drzwi.

W tym mało przytulnym pomieszczeniu siedziała osoba znana już Jayowi: kobieta o kobaltowych oczach. Zdążyła się już przebrać. Teraz miała na sobie granatową spódnicę i tego samego koloru żakiet oraz białą bluzkę z małą kokardką przy kołnierzyku. Granatowe czółenka podkreślały smukłość kostek. Większość kobiet wyglądałaby bardzo zwyczajnie w tym ubiorze. Ona nie.

Jay uśmiechnął się na jej widok.

Jej oczy zamieniły się w okrągłe spodeczki wypełnione lękiem. Prawa ręka instynktownie powędrowała do ust, lewą wsunęła w trzymaną na kolanach aktówkę.

Sztywniała w oczach, kiedy się do niej zbliżał, co jeszcze bardziej zwiększało jego zdziwienie.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Zazwyczaj nie wywieram takiego wrażenia na ludziach.

- Pan Fleming? - z nagle otwartych drzwi zahuczał szorstki, władczy głos niczym wystrzał z małokalibrowej strzelby.

- Tak? - Jay zwrócił głowę ku drzwiom.

Aparycja właścicielki głosu dobrze do niego pasowała. Była to osoba czterdziesto paroletnia o stalowoszarych oczach i krótkich brązowych włosach, obciętych w sposób wyraziście akcentujący kanciaste rysy jej twarzy. Jej korpus trząsł się nerwowo pod powłoką zgrzebnego kostiumu. Jay zastanawiał się, czy nie stanowi ona integralnego elementu wyposażenia poczekalni.

- Proszę usiąść. Herr Fischer przyjdzie lada chwila - wymawiała każdy wyraz osobno. - Był zmuszony odwołać inne spotkania, żeby pana przyjąć - zacisnęła z niesmakiem granitową szczękę.

- Dziękuję pani - rzekł uprzejmie Jay, pamiętając, że dobre słowo uśmierza gniew, ale od Reichsmarschallin Fischera odbiło się to niczym śnieżka od pancerza. Zamykała właśnie drzwi, gdy niebieskooka zerwała się z miejsca. Aktówka przy tym ześliznęła się jej z kolan i na dywan posypało się z niej mnóstwo papierów.

- Przepraszam - odezwała się stanowczym tonem z błyskiem w oczach. - Czekam już dość długo. Mogłaby mi pani powiedzieć, czy pan Fischer mnie przyjmie? Przyjechałam z daleka, żeby się z nim zobaczyć.

- Wiele osób przybywa z daleka, by się widzieć z Herr Fischerem - odparła lodowato sekretarka. - Ale są umówieni.

Jeśli ma pani rzeczywiście ważną sprawę do Herr Fischera, musi pani wykazać się cierpliwością - zakończyła rozmowę, zamykając drzwi nieco mocniej niż to było potrzebne.

Jay przyglądał się kobiecie o kobaltowym spojrzeniu. Wyglądała, jakby jej zabrakło tchu. Patrzyła na zamknięte drzwi i było widać, że gdyby mogła, obróciłaby je w popiół siłą swego wzroku. Następnie odwróciła głowę i utkwiała rozognione oczy w Jayu, niemo oskarżając go o storpedowanie jej spotkania z Fischerem.

- Przykro mi - powiedział Jay najbardziej pojednawczo jak potrafił. - Naprawdę - podkreślił i przeniósł się ze swoim krzesłem na przeciwną stronę pokoju. Sądził, że jest to w danej chwili najlepszy sposób na złagodzenie napięcia.

Kobieta spojrzała na Jaya podejrzliwie i nie przestając go obserwować zaczęła zbierać rozsypaną zawartość aktówki. Sięgnęła najpierw po

grubą brązową kopertę, potem po papeterię z logo Intercontinentalu, odsłaniając plik dolarów, czeki podróżne, paszport oraz wielki rewolwer. Jay zdębiał. Wystraszony, sięgnął instynktownie pod marynarkę. Czyżby miała zamiar go zabić? Ale na czyje zlecenie?

Spojrzała na Jaya, próbując ukryć przed nim broń. Dostrzegła wyraz lęku oraz zdziwienie w jego twarzy i czym prędzej zgarnęła wszystko razem do aktówki, zatrzasnąwszy energicznie oba zameczki.

Jeżeli chciała go zastrzelić, czemu nie zrobiła tego od razu rano? Mogła się do niego przyczepić przy kiosku z prasą, a potem stuknąć go w windzie. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu jednak, że nie jest przecież jedynym człowiekiem na świecie, któremu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Widział, że ma kupę dolarów i jest całkiem prawdopodobne, że zaopatrzyła się w broń w obawie przed rabunkiem. To logiczne. Kobieta u bankiera ze sporą gotówką i bronią dla własnego bezpieczeństwa. To ma ręce i nogi. Tyle że zjawiała się u Fischera nieumówiona. Zżerała go ciekawość. Musiał to wyświecić. No i te bławatkowe oczy. Warto im się przyjrzeć z bliska.

- Czy to przystanek w pani wycieczce po Europie? - rzucił lekko i został spiorunowany wzrokiem. - Nazywam się Jay Fleming - nie dawał za wygraną.

Na jej twarzy rysowała się wewnętrzna walka. Strach, niepewność, gniew, smutek. Nie dostrzegał żądzy mordy, chyba że potrafiła ją lepiej maskować niż inne swoje uczucia.

Ale po chwili jej spojrzenie zmiękło, jak gdyby pod wpływem jakiejś wstępnej decyzji.

- Alexandra Downing - powiedziała oficjalnym tonem, jakim zaznacza się dystans wobec dopiero co poznanego współpasażera pociągu.

Jay uśmiechnął się. Chciał ją zapytać, po co przyszła do Fischera, dlaczego go okłamała w hotelu, po co nosi ten wielki rewolwer w aktówce. Poprzestał jednakże na banalnym:

- Szkoda, że dzisiaj nie jest tak ładnie jak wczoraj.

Skinęła potakująco, badawczo patrząc mu w twarz.

Alexandra starała się uregulować oddech. Czy zauważył rewolwer? Z pewnością tak. Zdziwił się. Normalna reakcja. Gdyby należał do jej prześladowców, wiedziałby, że uciekła z bronią należącą do jednego z nich. Ale Jay Fleming tylko się zdziwił. Te turkusowe oczy zaokrągliły mu się ze strachu. To nie było spojrzenie zabójcy. Może nic jej z jego

strony nie grozi. Przyjrzała mu się uważnie i nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Ciekawe, w jakiej sprawie jest umówiony z Fischerem? Może chodzi o papiery Tesli? Nie, to byłaby nazbyt daleko posunięta zbieżność. Ale zna Fischera albo Fischer jego i to na tyle dobrze, że zmienia dla niego rozkład dnia. Przez chwilę podejrzewała zdradę i ogarnęło ją poczucie winy. Masz tylko jedno życie, pomyślała. Musisz zrobić wszystko, aby je ocalić. I pomścić Martina i Lee.

- Nikt raczej nie przyjeżdża do Luksemburga dla pogody - powiedziała ciepło. - Mimo że to piękne miasto, zwłaszcza wiosną.

- Była już tu pani przedtem? - spytał rad, że jej nastrój zmienił się tak szybko na życzliwszy.

- Jako studentka - odpowiedziała szybko. - Dzięki tanim liniom lotniczym.

- Zabawne - rzekł Jay - bo ja też. Przyleciałem z plecakiem i śpiwozem - dodał z odrobiną melancholii.

Spojrzała na niego z sympatią. Sposób, w jaki jego oczy nabierały tego tęsknego wyrazu, zdawał się świadczyć o wrażliwości. Poczula wyrzuty sumienia. Tylko się za bardzo nie angażuj, zganiła się. Mógłby jej załatwić dojście do Fischera, które, jak się okazało, jest poza jej zasięgiem, niemniej powinna uważać, by nie wciągnąć go w jakąś niebezpieczną sytuację, w razie gdyby znowu ktoś ją zaatakował. Nie chciała by mieć go na sumieniu.

- Co pani studiowała? - spytał przypuszczając, że pewnie nauki polityczne albo ekonomię. Wyglądała na bizneswoman. Ma pewnie stopień naukowy, magisterium z zarządzania albo może z prawa.

- Dziennikarstwo - odrzekła. - Na Northwestern.

- Odpowiednia uczelnia dla tego zawodu - zauważył zaskoczony.

- Jest pani reporterką?

- Byłam. Później uczyłam w college'u. A teraz jestem bezrobotna. I bawię się w Jamesa Bonda, dodała w myśli. - A pan co robi?

- Prowadzę firmę, która produkuje elektroniczne urządzenia dla wojska - powiedział i widząc pionową zmarszczkę na jej czole pomyślał, że pewnie jest spod znaku tych antynuklearnych pacyfistów.

- Interesujące - powiedziała niezupełnie szczerze. Dlaczego musi wciąż wpadać na jakichś wojskowych? - Jakiego rodzaju są te urządzenia?

- To takie elektroniczne instalacje - odrzekł Jay ostrożnie. - W skrócie ECM. Oszukują i niszczą nieprzyjacielskie pociski rakietowe. Blokują ich systemy sterownicze. Tego rodzaju rzeczy.

Alexandra kiwnęła głową i zastanawiała się nad sposobem dalszego ciągnięcia rozmowy. Wiedziała, że jeśli ma go namówić, aby ułatwić jej spotkanie z Fischerem, musi mieć trochę czasu.

- Zawsze pan się tym zajmował? - zapytała.

- Nie. Przedtem byłem pilotem. W Marynarce Wojennej - uśmiechnął się. - I ponieważ aparatura elektroniczna w naszych samolotach nie sprawdzała się należycie, zdenerwowałem się i postanowiłem zaprojektować lepsze urządzenia.

Właściwie, z grubsza biorąc, jest to prawda, pomyślał. Nie było sensu wdawać się w szczegóły i opowiadać jej o drodze przez mękę we Fleming Industries i o tym cholernym dupku Strandzie.

- I udało się? - zapytała. - Zrobił pan lepsze?

- Sporo ludzi tak uważa - odrzekł skromnie.

- Na przykład kto? - drążyła instynktownie.

Powiedział jej o Holendrach, a ona chciała następnie wiedzieć, dlaczego te jego ECM są skuteczne. Sądząc z pytań, jakie zadawała, gdy jej to objaśniał, zorientował się, że jest bystra. Był pod wrażeniem. A potem poprosiła, by jej pokazał swoje biuro.

- Bardzo chętnie - powiedział trochę zdziwiony tym nagłym przyływem ciekawości. - Ale to tylko biuro. Ludzie przy biurkach. Zakłady produkcyjne są w Santa Monica. Ale z przyjemnością spełnię pani życzenie.

- Może jutro? - zaproponowała żywo.

Jay się zasepił. Na czole wystąpiły mu głębokie bruzdy.

- Bardzo bym chciał powiedzieć „tak”, ale moje tutejsze interesy nie są teraz całkiem przewidywalne, co, niestety, sprawia, że muszę mieć zupełną swobodę ruchów.

Do diabła, pomyślała, przecież musi się z nim rozmówić i to jak najszybciej. Trudno, będzie bezczelna, ostatecznie żyjemy w erze emancypacji.

- A co pan powie na drinka wieczorem? - spytała, mając nadzieję, że nie weźmie tego za próbę tandetnego podrywu.

- Zgoda - odpowiedział z miejsca, pochlebiając sobie, że go uprzedziła. - Mieszkam w Intercontinentalu.

-Ja też - oświadczyła, zapominając o swym porannym kłamstewku. -
Może w barze o...? Która godzina panu odpowiada?

Jay pomyślał o Subasicu i Sweenym. Będzie musiał pozbyć się ich.
A jeśli nagle będą musieli gdzieś wszyscy pójść?

- Jestem tu z dwoma partnerami - powiedział markotnie. - Muszę
skoordynować nasze ruchy. Może zadzwonię do pani pokoju po południu
i wtedy wszystko ustalimy?

- Oczywiście - przystała.

Od tej chwili konwersacja oklapła jak niedopieczony ciasto. Dopiero
otwarcie się drzwi prowadzących do wnętrza biura oszczędziło im
udręki podtrzymywania jej na siłę.

W drzwiach ukazała się granitowa sekretarka, poczęstowała kwaśnym
spojrzeniem Alexandrę, po czym przeniosła swój bazylijski wzrok na Jaya.

- Herr Fischer prosi pana - oznajmiła wyniośle.

- Do zobaczenia - rzucił Jay, wstając.

- Do zobaczenia - uśmiechnęła się Alexandra, uświadamiając sobie
nagle, że naprawdę ma ochotę znów się z nim spotkać. I natychmiast
dopadły ją skrupuły. Martin przecież nie żyje od tak niedawna. Nie
powinna się interesować innymi mężczyznami. Musi mieć się na baczności.
Odbija się dopiero od dna, a to niebezpieczny okres.

Spojrzała na zegarek. Z jej turystycznej mapki wynikało, że od
biblioteki miejskiej na Rue Aldringen dzieli ją zaledwie jedna przecznica.
Mogłaby tam poszperać i znaleźć informacje rzucające jakieś światło na
papiery Tesli. Jest jasne, że gestapówka pracująca dla Fischera nie
dopuszcza Alexandry do niego ani dzisiaj, ani kiedy indziej, chyba że ktoś ją
zaproteguje. Ktoś taki jak Jay Fleming.

Z drugiej strony, gdyby Fischer jednak ją przyjął, nie musiałaby
manipulować Flemingiem. Prowadziłaby sama swoje dochodzenie bez
potrzeby trapienia się o stan swych uczuć. Umiała stawić czoło okrucieństwu
losu, zanim poznała Martina, da sobie radę i teraz.

Tak więc jedne argumenty przemawiały za zostaniem, inne - równie
dobre - za odejściem. Nie mogła się zdobyć na żadną decyzję i była to
sytuacja dla niej nienawistna.

Rue Beck nie była szczególnie ruchliwa, ale też i nie kompletnie
bezludna.

W porze lunchu na chodnikach widziało się tam przechodniów zmierzających to pojedynczo, to w parach, ku którejś z restauracji.

Amerikanin ze skórzaną walizeczką nie odcinał się rażąco od tego tłą. Po zapłaceniu za taksówkę przystanął na rogu i popatrzył na volvo, w którym siedział Subasić ze swoim kompanem.

Nie obawiał się, że Subasić go rozpozna. Zgolił swoją okazałą brodę i zamienił szkła kontaktowe na okulary w szerokiej oprawce. Gdyby się spotkali twarzą w twarz, ta charakteryzacja pewnie by nie wystarczyła. Ale tu, w Luksemburgu, gdzie Subasić nie spodziewał się go zobaczyć, Obsydian mógłby spokojnie przejść obok volvo bez zwrócenia na siebie jego uwagi.

Stojąc wciąż na ulicy i lustrując ją wzrokiem obmyślał plan działania. Po kilku minutach przeszło obok niego dwóch biznesmenów pograżonych w rozmowie o kursach wymiany walut i sile nabywczej dolara. Ruszył za nimi trzymając się na tyle blisko, że mógł uchodzić za ich towarzysza. Wychodził z założenia, że samotna osoba bardziej się rzuca w oczy aniżeli dwie lub trzy. I chociaż nie przypuszczał, że Subasić go dostrzeże i pozna, uznał, że dodatkowa ostrożność nie zawadzi.

Idąc tuż za biznesmenami, przyglądał się bacznie uliczce oraz budynkom i stwierdził, że nie ma się gdzie na niej ukryć. Foyer kilku biur nie wchodziło w rachubę. Obsydian nie odstępował biznesmenów, którzy precyzyjnie się w pewnym momencie jeden za drugim między volvo a domem po jego prawej stronie. Z ulgą skonstatował, że Subasić i ten drugi, którego nie znał, wpatrywali się w tym czasie intensywnie w budynek po przeciwnej stronie Rue Beck.

Minął zamalowane na biało, ozdobnie okratowane okno. Jakieś dziesięć metrów dalej biznesmeni pchnęli obite skórą drzwi restauracji, nad którymi zawieszona była drewniana tabliczka ze złocistym napisem Lion d'Or. Obsydian poszedł dalej, myśląc, że znalazł to, czego szukał, ale na razie nie ryzykował bliższej inspekcji.

Po przejściu dalszych trzydziestu metrów natrafił na jeszcze dwa lokale, dogodne, ale nie idealne. Wrócił do Złotego Lwa i poprosił o stolik. Maitre d'hôtel otaksował go wprawnym okiem i poprowadził - obok grupki gości sarkających na przydługie czekanie na wolne miejsca - do samotnego stolika przy oknie. Lepszego punktu obserwacyjnego nie mógł sobie wymarzyć. Volvo było stąd widoczne jak na dłoni. Poprosił o kartę win.

- Najbardziej mierzi mnie czekanie - powiedział Sweeny, przypalając papierosa od niedopałka poprzedniego. - Wolę już taki dzień jak wczoraj niż to czekanie.

Subasić miał ochotę zwymyślać go od durniów. Stał mu znów przed oczami widok zmasakrowanej twarzy Ante. Michaił Dvorak był rolnikiem w Nowej Wsi. Oboje z żoną pogodzili się już z bezdzietnością, gdy pewnego dnia na ganek ich chaty wgramolił się jakiś osierocony w działaniach wojennych chłopaczek. Przygarnęli go i traktowali jak własnego syna. W trzy lata później Dvorakom niespodziewanie urodził się Ante. Bogdan zyskał i pokochał brata.

Ale idylla nie trwała długo. Gospodarstwo Dvoraka w gorączce kolektywizacji włączono do sowchozu. Kiedy Dvorakowie sprzeciwili się zaborowi ich ziemi, zostali aresztowani, po czym wszelki ślad po nich zaginął. A teraz zabrakło Ante. Gorzkie łyzy podbiegły do oczu Subasicia. Wzbierał w nim gniew, dławiła go zajadła wściekłość. Znajdzie sprawcę śmierci brata. Zemści się.

- Jesteś pewny, że to ta kobieta? - spytał, udając obojętność.

- Nie ma wątpliwości - odrzekł Sweeny. - Wszystko na to wskazuje. Poszedł do hotelu, żeby ją zlikwidować i zabrać pakiet. No i jest zeznanie pokojowej. Dostaniemy pewnie kopię od prefekta.

Subasić znał jej relację. Po wypadku poszła na policję i opowiedziała o zamianie ubrania z kobietą, która mówiła, że ucieka przed detektywem wynajętym przez jej byłego męża. Było oczywiste, że udało jej się w jakiś sposób wypchnąć Ante przez okno.

- Mogę jeszcze raz popatrzeć na to zdjęcie? - poprosił i Sweeny wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki odbitkę małej paszportowej fotografii.

Subasić wziął ją do ręki i przesywał wzrokiem, jakby to był kultowy obiekt wudu, który mógłby mu posłużyć do uśmiercenia tej kobiety za pomocą czarnej magii.

- Jest sprytna - powiedział Sweeny z odcieniem podziwu w głosie, co podnieciło gniew Subasicia.

- To się jeszcze okaże - odparł zawzięcie. - To jej nie ujdzie na sucho.

Wpatrywał się w fotografię przez dłuższą chwilę, utrwalając ją sobie w pamięci, po czym zwrócił Sweeny'emu.

- Nie pożyje długo. Możesz mi wierzyć - wymamrotał.

Alexandra Downing znowu spojrzała na zegarek. Minęło już pół godziny i cerberka warująca przed gabinetem Fischera nie dała znaku życia. Alexandra miała tego dość. Ogarnięta szewską pasją, wzięła aktówkę, upchnęła w niej rewolwer na samo dno i wyszła.

Rozdział 21

Luksemburg, 20 grudnia

Ernst Fischer siedział za masywnym orzechowym biurkiem, niczym za barykadą, odpierając kolejne natarcia Jaya. Mimo że poczekalnia i biuro urządzone były ascetycznie, gabinet bankiera zakrawał na coś w rodzaju enklawy bawarskiego gotyku, pełnej wielkich drewnianych mebli, lamp i obrazów, z ciężkimi draperiami okiennymi.

Fischer okazał się mocno otyłym mężczyzną, ważącym na oko co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Nie wstał wprawdzie na powitanie Fleminga, kiedy sekretarka - pani Stahl, wprowadziła go do gabinetu, ale Jay ocenił jego wzrost poniżej metra osiemdziesięciu. Jego głęboko osadzone, malutkie świńskie oczka wyglądały jak dwa węgielki wciśnięte w ciasto na pizzę. Nos i policzki pokrywała mu sieć popękanych naczyń krwionośnych, podobna do szczegółowej mapy drogowej. Jak wielu leciwych grubasów mógł - za sprawą tłuszczu hamującego zmarszczki - uchodzić za przedwcześnie postarzałego, rozwiązłego młodzieńca. Miał najwidoczniej trudności z oddychaniem przez nos, bo ciężko łąpał powietrze stale otwartymi ustami.

- Przyjmijmy teoretycznie, że mówi pan prawdę - nie ustępował Jay.
- Załóżmy, że nigdy pan nie słyszał o Nikoli Tesli ani o jego papierach, że nie wie pan nic o próbie ich odstąpienia za cenę tajnej umowy dyplomatycznej.

Jay pochylił się w przód, kładąc łokcie na blat biurka, a Fischer nagle odsunął się w tył na oparcie krzesła, jakby w obawie, że Jay ma ochotę chwycić go za obfite podgardle.

- Przypuśćmy więc, że tak właśnie jest, dobrze? – uśmiechnął się Jay. - W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zatelefonuję do ambasady Jugosławii z informacją, że Rosjanie zaoferowali

panu kupę forsy i o żadnym pakcie nie ma już mowy? -Jay odchylił się na oparcie wygodnego, staroświeckiego krzesła, wyściełanego miękką, ale mocno już sfatygowaną skórą.

Spod pokerowo nieprzeniknionej twarzy Fischera wyrzała nędza strachu i Jay uznał, że choćby dla tego warto było złożyć mu wizytę.

- I tak samo bez żadnego znaczenia dla pana nie będzie miało zawiadomienie Rosjan, że za kolosalną kwotę sprzedał pan papiery Amerykanom.

Kropliste strumyczki potu złościły sobie na policzkach Fischera glicerynowe ścieżki. Poruszył ustami, ale wydobył się z nich tylko chrypliwy skrzek. Musiał odchrząknąć, żeby odzyskać głos.

- Posługuje się pan jakimiś absurdami, panie Fleming - wykrztusił. - Te fantazje nie mają żadnego pokrycia w faktach. Otworzył szufladę, wyjął z niej białą, płócienną chusteczkę z granatową literą „F”, otarł nią czoło, oba policzki, szyję i zlikwidował kropelki potu nad górną wargą. - Muszę zwrócić uwagę pani Stahl, żeby tu tak mocno nie grzano - westchnął.

Jay uśmiechnął się pobłaźliwie. Temperatura w pokoju niewiele przekraczała dwadzieścia stopni Celsjusza.

- Ale to, co pan mówi, jest intrygujące - wrzucił mokrą chustkę do nie zamkniętej szuflady. - Oczywiście, wyłącznie w aspekcie intelektualnym.

- Oczywiście.

- Gdyby nawet sytuacja taka była realna, a muszę podkreślić, że nonsensem jest sądzić, iż bezpieczeństwo całego narodu może zależeć od kupki zleżałych notatek jakiegoś naukowca, o którym mało kto słyszał, otóż - podniósł głos - powtarzam, gdyby w istocie tak było, to jak ja - hipotetycznie, rozumie się - postąpiłbym, ażeby uchronić owe papiery przed zakusami Rosjan oraz takich piratów jak pan?

Fischer zamilkł. W gabinecie zapanowała cisza, zakłócana jedynie ciężkim oddechem bankiera. Twarz znowu lśniła mu od potu.

- Wszystko to hipotetycznie - ponaglił go Jay.

- A więc - Fischer spojrzał bojaźliwie na Jaya - gdybym stanął przed takim zadaniem, zażądałbym, aby papiery i podpisany egzemplarz traktatu złożono na moje ręce aż do uzgodnionego przez strony momentu ich wymiany. Dalej - głos Fischera, wkraczającego na znajomy mu

grunt, nabrał teraz pewności - umieściłbym ten cenny depozyt w miejscu najbezpieczniejszym z możliwych.

- W skarbcu bankowym?

- Aby nie dopuścić do sytuacji, które pan zarysował - ciągnął, ignorując wtręt Jaya - powierzyłbym depozyt opiece zaufanego człowieka, zastrzegając, że wolno mu go wydać tylko w obecności mojej osoby oraz przedstawicieli zainteresowanych stron i pod warunkiem, że nie nastąpi to wcześniej niż w piątek o dwunastej w południe.

- Nie ma co teoretyzować, panie Fischer - odezwał się ostro Jay. - Sam podałem pan termin - piątek w południe. Ja nic takiego nie mówiłem.

Fischer wy dostał z szuflady świeżą chusteczkę i wytarł lejący mu się po twarzy pot. Kołnierzyk koszuli pokryty miał ciemnymi plamami.

- Oczywiście, że pan mówił - wyjąkał.

- Nic podobnego i dobrze pan o tym wie - Jay wstał i przechylił się przez biurko. - Pan wszystko zaaranżował i pan może wszystko odkręcić. Czy nie tak, Herr Fischer?

- To całkowicie niemożliwe - Fischer odrzucił chustkę i zaczął nerwowo gmerać w szufladzie. - Te ustalenia, ze względu na delikatną naturę...

- Przestań pan pieprzyć, Fischer - przerwał mu brutalnie Jay. - Pan ustalił całą procedurę i pan może ją zmienić.

- Ale to mnie przecież może zrujnować - jęknął Fischer, wciąż szpejąc w szufladzie. - Oznaczałoby to złamanie przez mnie bardzo surowych w tym kraju reguł prawa bankowego i namowę innej osoby do tego samego. Nie mam prawa tego robić.

- Nie ma rzeczy niemożliwych, panie Fischer - Jay skierował się do drzwi. - Może pan być pewny, że po wyjściu stąd zatelefonuję w te miejsca, które wymieniliśmy. I mam wrażenie, że jeśli skłoni pan tę drugą osobę do pogwałcenia prawa bankowego, będzie to dla pana zdrowia znacznie korzystniejsze niż narażanie się na niezadowolenie Rosjan albo Jugosłowian.

- Ale nie wyjdzie pan stąd, żeby do nich zatelefonować - powiedział zimno Fischer i Jay ujrzał wpatrzone w niego ślepo oko starego luga, kaliber 9 mm.

- Niech pan nie będzie głupcem, Fischer. Mam na zewnątrz ludzi, którzy też umieją telefonować.

Bankier popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Ale jeśli dam panu te papiery, to i tak będę miał na karku jednych i drugich, nie rozumie pan tego?

- Już panu mówiłem, że rząd Stanów Zjednoczonych zapłaci panu za tę przysługę dziesięć milionów dolarów. To wystarczy z okładem na operację plastyczną i wszelkie dokumenty, jakie są potrzebne, żeby się stąd ulotnić.

- Ale ja tutaj prowadzę interesy, panie Fleming. Zapomina pan, że całe życie pracowałem na swoją obecną pozycję. Doszedłem do potęgi. Nie tylko pieniądze są dla mnie ważne. Bardziej sobie cenię władzę i wpływy, jakie mi zapewniają. Zdziwiłby się pan do jakiego stopnia mogę...

- Niezależnie od tego jak pan postąpi, jest pan tu skończony w zawodzie - oświadczył szorstko Jay. - Współpracując z nami, będzie się pan cieszył innymi urokami życia ze świadomością, że nie skończy się ono w sobotę.

- Pomija pan fakt, że trzymam w ręku broń.

- A pan zapomina, że moi ludzie na zewnątrz zaczną działać, jeśli mnie pan zastrzeli.

- Może i tak - powiedział Fischer, naciskając czarny, plastikowy guzik na leżącym na biurku pudełku. - Frau Stahl, kommen Sie hier.

Drzwi się otwały i Jay odstąpił na bok. Pani Stahl uśmiechnęła się na widok broni w ręku pryncypała i przystanąła w bezpiecznej odległości od Jaya. - Jawohl? - odezwała się pytająco.

- Ich muss haben drei Herrenfur diese Schwein – powiedział Fischer.

Sekretarka skinęła i niewiele brakowało, by stuknęła obcasami przed odmaszerowaniem.

- Moi ludzie wyniosą stąd pana, a potem zajmą się pańską eskortą - podniósł lufę na wysokość piersi Jaya. - Auf Wiedersehen!

Alexandra naciskała raz po raz guzik windy. Dźwignę, skrzypiąc i trzeszcząc, posuwał się powoli w górę. Szukała schodów, ale nie było ich ani w jednym, ani w drugim końcu korytarza. Była zła na siebie, że zmarnowała tyle czasu w poczekalni Fischera. Wprawdzie zawarła przy okazji cenną znajomość z Jayem Flemingiem, więc nie powinna narzekać, ale niecierpliwość brała w niej górę nad logiką.

„No prędzej, prędzej”, mruzczała pod nosem w ciemnym korytarzu. Czekała przecież tyle pracy. Wreszcie w szybie pojawiło się światło i

winda z chrzęstem zatrzymała się. Alexandra weszła do środka i nacisnęła guzik holu. Niechętnie, jakby zmęczony wspinaczką, dźwig drgnął, zadygotał i hałaśliwie ruszył w dół.

W tylnym lusterku volvo pojawił się czarny mundur policyjny.

Sweeny sięgnął pod marynarkę, ale Bogdan Subasić powstrzymał go.

- Spokojnie - powiedział. - To tylko gliniarz z drogówki.

- Dzień dobry panom - powitał ich po francusku, a Subasić udał, że nie rozumie.

- Anglicy? - spytał na chybił trafił policjant.

Subasić uśmiechnął się niewinnie.

- Dobrze. Mówię trochę wasz język. Tu nie wolno parkować. Zakaz jest.

- Bardzo przepraszam - Subasić podniósł na niego wzrok ze speszoną miną. - Czekamy na kolegę. Załatwia sprawę po drugiej stronie ulicy - wyjaśniał podenerwowanym głosem.

- Tak. Rozumiem - grzecznie odpowiedział policjant. - Ale trzeba ruszyć auto, inaczej muszę dać wam... - spojrzał w górę jakby brakujące mu słowo było wypisane gdzieś u spodu burych chmur - „cytatę” - dokończył z ulgą.

Subasić i Sweeny popatrzyli na siebie z konsternacją.

- Tak jest, panie władzo - rzekł Subasić. - Zaczekaj na Fleminga przy schodkach - polecił Sweeny'emu. - Ja tym czasem zrobię kółko i może gdzieś znajdzie się miejsce.

Policjant patrzył to na jednego, to na drugiego, nie bardzo rozumiejąc, co mówią, ale widząc, że Sweeny wysiadł, a Subasić odjeżdża, odechnął z zadowoleniem.

- Idę poczekać na kolegę - poinformował go Sweeny, po czym przeszedł na drugą stronę i ulicy zajął pozycję obok jednego z brązowych lwów. Pomachał stamtąd policjantowi, który kontynuując obchód, zniknął niebawem za rogiem.

Ze względu na zimno frontowe drzwi do budynku Fischera były zamknięte i Sweeny nie mógł słyszeć ani stękania zjeżdżającej windy, ani huknięcia, jakim oznajmiła swój powrót do holu. Nie słyszał też kroków Alexandry na marmurowej posadzce, aż do chwili, gdy otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

Zamyślona schodziła ze schodów i widok łysiny Sweeny'ego zaalarmował ją dopiero na ostatnim stopniu. Wówczas ich oczy się spotkały. Pamięć horroru w Excelsiorze wróciła do niej z prędkością błyskawicy.

We wzroku Sweeny'ego pojawił się rozpoznawczy błysk. W Alexandrze zapłonęła adrenalina. Otworzyła usta do krzyku o pomoc, ale wcześniej Sweeny opasał ją ramieniem w talii i podciągał do góry, a drugą ręką zakneblował jej usta.

Zrozumiała, że chce ją wnieść do holu i tam zabić. Walczyła dziko. Wbiła zęby w dłoń, którą zakrył jej usta, aż poczuła krew, ale Sweeny nie zareagował. Machała na oślep rękami, próbowała kopnąć go w kroczę, ale bez skutku.

- Proszę, niech pan spocznie, panie Fleming - rzekł Fischer. - Musimy trochę poczekać na moich ludzi. Niechaj pana ostatnie chwile będą wolne od dyskomfortu.

Jay wolno podszedł do biurka i usiadł na krześle naprzeciw Fischera, który obserwując go bacznie, wodził za każdym jego ruchem łufą lugra. Patrząc na jej wylot skierowany w jego pierś żałował, że nie włożył kevlaru. Smith & Wesson parzył go pod marynarką, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Robi pan wielki błąd, Fischer - powiedział,

- Jeszcze większym błędem byłoby pozwolić panu stąd wyjść.

Jay mierzył wzrokiem Fischera, oceniał dzielący ich dystans.

- Proszę niczego nie próbować - ostrzegł go Fischer.

- Może jestem gruby, ale potrafię nacisnąć spust, zanim się pan podniesie. Proszę, niech mnie pan do tego nie zmusza. Czas włókł się ospale. Chrapliwe posapywanie Fischera działało na nerwy Jayowi, czyhającemu na stosowną chwilę do podjęcia próby ucieczki.

Alexandra czuła na żebrach ucisk mosiężnych uchwyty drzwí, za które wpychał ją łysy napastnik, jak do grobu. Był tak silny, że bez trudu mógłby jej zgruchotać kark. Zsunął dłoń niżej - na jej szyję, i wzmocnił tak bardzo uścisk ramienia, którym oplótł ją w pasie, że gniewiony żołądek podjeżdżał Alexandrze do gardła. Zaczynało jej ciemnieć w oczach. Pod powiekami migotał ból w postaci galaktyki kolorowych świetlnych punkcików. Świadomość oddalała się od niej łagodnie, jak ostatnie fale odpływu.

Pierwszy znak powrotu do przytomności objawił się z chwilą uderzenia skronią o granit podestu. Usłyszała trzask wystrzału i podźwignęła się do pozycji siedzącej. Na lewo, za wielkim lwem z brązu kulił się łysy zbir i mierzył z potężnego rewolweru w okno po przeciwnej stronie jezdni. Na plecach rozprzestrzeniała mu się krwista plama niczym rozlane wino na obrusie.

Uniósł wyżej broń i dał ognia, po czym szyba w oknie naprzeciwko rozleciała się w kawałki.

- Zdychaj, bydlaku - zaklął cicho Obsydian, obsypany gradem odłamków z szyby, jaką rozbił w restauracyjnej toalecie. Trafił na pewno. Nie było wątpliwości. Puścił przecież kobietę, którą trzymał, upadła natychmiast na schodki. Słyszał przez drzwi podniecone głosy obiadyjących gości, szuranie odstawianych od stołów krzesełek. Dobiegł go także huk strzału i brzęk szkła spadającego ulewą na chodnik. Miał błogą nadzieję, że ogólną uwagę przyciągną teraz tylko efekty wywołane przez pukawkę łysego kumpla Subasicia.

Ale kim, u licha, jest ta kobieta?

Na odgłos strzałów na ulicy Fischer obrócił gwałtownie głowę w stronę okna. Zanim zdążył powrócić wzrokiem do Jaya, ten zsunął się z krzesła i na czworakach przylgnął do masywu biurka, wyciągając z olstra Smith & Wessona.

- Fleming?

Jay wstrzymał oddech. Posłyszał stęknienie, pochrząkiwanie, skrzypnęło krzesło. Potem metaliczny, ciężki stuk o drewno. Starał się wyobrazić sobie ruchy Fischera. Będzie się podnosił z krzesła. Niemożliwe, żeby mu się to udało z bronią w ręku. Tak przynajmniej przypuszczał. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Fleming rzucił się w przód, przetoczył po podłodze, skoczył na równe nogi i skierował lufę rewolweru na tłusty kadłub Fischera.

- Nie ruszaj się! - warknął. - Będzie mi bardzo trudno chybić.

Fischer spojrział na odłożonego na biurko lugra, potem na Jaya i z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło. Jay podszedł szybko do biurka, wziął broń i schował ją do kieszeni.

- Wezwij swoją gestapówkę i każ jej wszystko odwołać.

Fischer popatrzył na niego wyzywająco. Jay podszedł i palnął go w twarz otwartą dłonią. - Wezwij ją! - rozkazał. Fischer obrzucił go wrogim spojrzeniem, ale usłuchał.

Alexandra wracała do siebie. Na czworakach dotarła za lwa i wdrapała się na jego podstawę. Usłyszała kolejny wystrzał, podekscytowany gwar, a w chwilę później stukot, spowodowany przez ciężki rewolwer, który potoczył się po chodniku do rynsztoka i spoczął tam bez ruchu.

Wychyliła ostrożnie głowę zza lwa i zobaczyła, że na schodach leży rozciągnięty jak długi nogami do góry, łysy mężczyzna, który jej o mało nie zabił.

Z otworu w skroni ciekła mu szkarłatna strużka.

Ktoś walił z całej siły w drzwi toalety.

- Chwileczkę - odezwał się Obsydian po francusku, potem po niemiecku. Odkręcał prędko tłumik z lufy H&K V 750.

Przez wybity w szybie otwór widział leżącego na schodach łysola i kobietę powoli wylaniającą się zza lwiego cokołu. Podbiegli do niej zaraz ludzie, zasypywali ją pytaniami, ale ona podniosła tylko z trotuaru aktówkę i pobiegła w stronę Pont Adolphe.

- Otwierać! - krzyczał ktoś za drzwiami.

Obsydian wrzucił pistolet i tłumik do walizeczki i wyszedł. Mężczyzna, który się obok niego przepchnął, zaklął głośno na widok dziury w oknie i szkła na podłodze.

Obsydian przedarł się do wyjścia przez tłumek oderwanych od posiłku gości akurat w momencie, gdy w ulicę wjechało znów volvo z Subsiciem za kierownicą. Mignęła mu za szybą jego rozwścieczona twarz. Rozprawi się z nim nieco później. Kobieta zniknęła za rogiem Rue Notre Dame. Obsydian skręcił na prawo i niespiesznie się oddalał, podczas gdy radiowóz policyjny wjeżdżał na sygnale pod prąd w jednokierunkową Rue Beck.

Rozdział 22

Luksemburg, 20 grudnia

Sytuacja zaczyna się trochę wyjaśniać pomyślał Jay, spozierając przez okno w Intercontinentalu. Za szybami noc wsączała się atramentowo poprzez powłokę chmur. Jednakże chociaż mógł tu ówdzie wyluskać z tego, co się działo, okrucy prawdy, to nie układały się one na

razie w sensowny sposób. Głowiąc się nad tym od dwóch godzin, nie mógł się oprzeć podejrzeniu, że coś było nie w porządku, ale nie umiał wydobyć tego na światło dzienne. Jeszcze raz zrekapitulował wydarzenia minionego popołudnia.

Wkrótce potem jak zginął Sweeny, Subasić zjawił się u Fischera i zmusili go do zatelefonowania do obu ambasad: rosyjskiej i jugosłowiańskiej. Pod lufą pistoletu bankier powiadomił pieniących się z wściekłości klientów, że nie może dotrzymać warunków umowy. Teraz Jay i Subasić mieli go w garści. Musiał pójść z nimi na współpracę, jeśli chciał pozostać żywy. To była jego jedyna nadzieja. O dziesięciu milionach za papiery nie mogło już być mowy. Okazało się zresztą, że pieniądze grały tu drugorzędną rolę. Fischer był znacznie bogatszy niż przypuszczali. Obecnie martwił się przede wszystkim o pomoc w stworzeniu mu nowej osobowości, aby nie mogli go dopaść czy to Sowieci, czy Jugosłowianie.

Wymówił pani Stahl, wypisując jej hojną ręką czek na pokaźną kwotę. Z balonu jej majestatu szybko uchodziło powietrze i gdy opuszczali biuro Fischera, była już tylko mocno przywidłym babsztyłem.

Subasić pojechał z Fischerem do jego banku, aby załatwić sprawę wydania papierów Tesli oraz zlikwidować aktywa bankiera przed planowaną ucieczką.

Jay przymknął oczy, noc za oknami była coraz bliżej. Nadal nie mógł powiązać wszystkich nici. Znał fakty, ale ciągle czegoś brakowało.

Popatrzył na zegarek. Do spotkania z Alexandrą Downing miał trochę ponad godzinę. Odwrócił się od okna i poszedł do sypialni. Postanowił się ubrać i zejść do baru przed powrotem Subasicia. Wolał uniknąć zarzutów, że nie przestrzega zasad bezpieczeństwa.

Subasić z pomocą rezydenta CIA w ambasadzie amerykańskiej ulokował tymczasowo Fischera w kryjówce poza Luksemburgiem. Przed pół godziną miał stamtąd telefon. Dwaj agenci CIA złuzowali Subasicia, który był już w drodze do hotelu. Jay przebrał się w pośpiechu, nie pomijając tym razem kevlarowej kamizelki.

Przejrzał się w lustrze i przyczesał włosy. Zauważył, że ma silnie podkrążone oczy.

Nie podobało mu się, że Subasić nie zatroszczył się o martwego Sweeny'ego. Uznał to za brak lojalności, ale Subasić twierdził, że nie

mogą sobie pozwolić na dalsze komplikacje. Nie podobał mu się także sposób, w jaki Subasić wymusił na Fischerze telefony. Uważał, że to przestało być konieczne. Mieli go w rękę, mogli go nadal trzymać pod strażą, aż do załatwienia mu zniknięcia. Ale Subasić nalegał na to, tak jakby mu zależało na konfliktowym rozwiązaniu. Tłumaczył, że telefony będą gwarancją, że Fischer ich nie wykiwa przy załatwianiu z bankiem przedterminowego wydania papierów Tesli. Jay jednak miał wątpliwości. Subasić robił wrażenie, jakby celowo chciał rozjuszyć i postawić w niezręcznym położeniu zarówno Rosjan, jak i Jugosłowian. To wszystko nie układało się tak, jak to Subasić poprzednio zapowiadał.

Wychodząc z apartamentu, Jay sięgnął pod marynarkę, wyjął kolta i sprawdził, czy wszystkie komory bębena są załadowane.

Siniak nad brzuchem pulsował bólem. Niewykluczone, że mięsień został naderwany. Alexandra weszła pod prysznic, starając się gorącym strumieniem wody uspokoić stargane nerwy.

Ciągle pojawiały się jej przed oczami kolorowe punkciki światła aż do zupełnej utraty widzenia. Wciąż stał jej w pamięci wyraz determinacji w oczach człowieka, który ją zaatakował, a potem czerwony strumyk krwi spływającej po granitowych schodach. Krew parowała w zimnym powietrzu, jakby to była opuszczająca ciało dusza.

Przeszedł ją dreszcz, zakreśliła kurek, wytarła się, po czym przystąpiła do nadania sobie jak najkorzystniejszego wyglądu. Rankiem przed pójściem do Fischera odnowiła pospiesznie garderobę i zaopatrzyła się w kosmetyki. Jednakże po wystrojeniu się w te nowe piękne rzeczy prezentowała się nadal żałośnie. Nic, kompletnie nic, nie sprawi, by poczuła się piękna po tym, co zaszło w ciągu ostatnich dwóch dni. Mimo to nie spasuje. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak zdoła pozyskać zaufanie Jaya Fleminga i skłonić go, by jej pomógł, niemniej była gotowa na wszystko, dosłownie na wszystko.

Rozdział 23

Luksemburg, 20 grudnia

Restauracja i bar Intercontinentalu nie należały do hotelu, lecz były prowadzone przez agentów i to się rzucało w oczy.

Obie sale urządzone z gustem w stylu art deco, unikając plastiku i innych namiastek drewna. W pierwszej sali był bar, druga służyła jako jadalnia. Jay miał wrażenie, że w biały dzień wyglądało to mimo wszystko okropnie, ale teraz w przyćmionym dyskretnie świetle przedstawiało się wcale dobrze.

Młody, czarnoskóry pianista o długich giętkich palcach grał wiązaną melodię Gershwina.

Alexandra stała w drzwiach co najmniej minutę, rozglądając się po stolikach, zanim Jay skojarzył ją z rzutką bizneswoman, na którą poprzednio dwukrotnie się natykał. Tym razem rozstała się ze sztywną konfekcją a la pani mecenas i miała na sobie cienką jedwabną sukienkę do kolan, która wydawała się opływać jej figurę niczym gęsta mgła. W padającym na nią z tyłu świetle sukienka miała barwę malachitu, ale było ono zbyt słabe, by Jay mógł się dopatrzeć innych szczegółów.

- Alexandro! - zawołał. - Tutaj!

Dostrzegła go i ruszyła w jego stronę, zgrabnie żeglując między stolikami. Stał już, kiedy dotarła do celu, i wysunął jej krzesło.

- Nie spodziewałem się pani tak wcześnie - powiedział.

- Wygląda pani oszałamiająco. Czuję się przy pani jak włóczęga przy księżniczce.

Była teraz sposobność, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. Miała pełne usta i równe białe zęby, opaloną twarz, opalone ręce i nogi. Nie nosiła żadnej biżuterii z wyjątkiem cienkiego złotego łańcuszka na szyi. Nie zauważył żadnych oznak makijażu, nawet paznokci nie umalowała, choć lśniły jak wypolerowane, a fryzury nie usztywniała sprayem. Trzeba było mieć jej delikatną urodę, żeby sobie na to wszystko pozwolić.

- Mam to od wieków - powiedziała z ciepłym uśmiechem, dotykając łańcuszka - i pomyślałam, że albo go będę nosić, albo wyrzucę.

- Lepiej nie.

- „Nie” co?

- Nie wyrzucać.

Siedział przodem do wejścia i lampa za jego plecami podświetlała mu twarz. Alexandra zastanawiała się, czy Jay zauważył, że jej sukienka i jego oczy są prawie w takim samym kolorze, ale zaraz doszła do

wniosku, że nie zwrócił na to uwagi, bo mężczyźni na ogół nie wiedzą, jakie mają oczy i jak bardzo kobiety lubią w nie patrzeć.

Napomniała się, że to nie randka, że przecież ma do niego interes. I charakter tego interesu podziałal na nią niczym sole trzeźwiące. Miała ochotę zamienić się z Jayem miejscami, żeby nie siedzieć plecami do drzwi, ale nie wiedziała, jak ma to uzasadnić.

- Co będzie pani piła? - zapytał.

- A pan? - odparła, mając skrytą ochotę na potrójną whisky bez lodu.

- Czerwone bordoskie. Dwuletnie, ale niezłe. Ale możemy oczywiście zamówić butelkę czegoś innego.

- Doskonale. Co pan powie na białe wino?

Jay odrzekł, że jest za, poprosił kelnera o kartę i wybrał Graves.

To, że siedziała tutaj najnormalniej w świecie po tym, co się stało zaledwie kilka godzin temu, zakrawało w oczach Alexandry na surrealizm. Przerastało to jej wyobraźnię. Funkcjonuje teraz w kilku różnych wcieleniach. Jako Alexandra śmiertelnie wystraszona, która chce znaleźć bezpieczną kryjówkę; jako Alexandra kombinatorka, zabiegająca o pomoc Fleminga; jako Alexandra mścicielka, kontynuatorka walki, w której zginął Martin; wreszcie jako kobieta zainteresowana, bardziej niżby sobie tego życzyła, osobą Jaya Fleminga.

Popatrzyła na niego. Mocno zarysowana szczęka, stanowcze, nieustępliwe spojrzenie. Włosy trochę za długie, opadają na czoło i uszy. Nos nieco skrzywiony łukowato w lewo, jakby po złamaniu.

Ogarnęła ją nagle fala ciepłego uczucia do tego człowieka. Hola, powściągnęła się zaraz. Rozmawia z nim ze względu na innego mężczyznę, którego grób jest jeszcze świeży. Posłyszała w sobie dwa sprzeczne głosy. Jeden mówił, że to nieprzyzwoite Ignąć do innego tak niedługo po śmierci Martina. Drugi głos twierdził, że życie ma swoje prawa. Próbowwała sobie przypomnieć twarz Martina i nie mogła.

- Siedzę tu już od pół godziny - mówił Jay - i dla zabicia czasu studiowałem kartę win. Jest w niej pełno win austriackich, alzackich, także luksemburskich. Większości nie próbowałem, więc przyznam - uśmiechnął się z zażenowaniem - że wybrałem bezpiecznie francuskie, żeby się nie wygłupić.

Jego głos podziałal kojąco na jej skołatane nerwy. Było w nim coś, co wzbudzało zaufanie. Być może dlatego, że chciała mu wierzyć, że potrzebowała kogoś, komu mogłaby ufać.

- No i nie szkodzi - uśmiechnęła się. - Napijemy się nie znanego nam wina, nie zważając na konsekwencje.

Zjawił się kelner z butelką, Jay dopełnił rytuału, akceptując trunek, Alexandra wyraziła zgodę, po czym przystąpili do wymiany biograficznych informacji, sondując się nawzajem dyskretnie, odsłaniając się ostrożnie, aby nie wyszły na jaw ich kompleksy i wszystko, co chcieli ukryć. Wino przyczyniało się do poluzowania węzłków napięcia, fortepian łagodnie omywał ich dźwiękami i znajomy gwar wokół, wytwarzany przez ludzi relaksujących się przy wieczornym drinku, zdawał się emocjonalnie wyłączać Jaya i Alexandrę ze stresu minionego dnia. Można by rzec, że ich nerwy napięte do granic wytrzymałości, zażądały przerwy w prowadzonej przez oboje śmiercionośnej grze w chowanego.

Alexandra powiedziała Jayowi, że przyjaciele mówią na nią Alex, że mieszka w kabinie swego jachtu, że wykladała dziennikarstwo w college'u, uwielbia ciemną, półśłodką czekoladę i pochodzi z Ashtabula w Ohio.

On zaś oświadczył, że dla przyjaciół jest Jayem, powtórzył, że był pilotem, a teraz kieruje niedużą korporacją i dodał, że ma mały bungalow przy plaży w pobliżu Santa Monica, kocha żeglowanie, przepada za prażonymi ziarnami kukurydzy, a urodził się w Syracuse.

Nie powiedziała mu o Martinie ani o nieżyjącym mężu. On nie powiedział jej o zmarłej żonie. Oboje omijali powód, dla którego zjawili się u Ernsta Fischera.

Wstrzelawszy całą szkolną amunicję, umilkli, popijając wino i degustując gratisowe przekąski z paszтетem. Wszystkie bezpieczne tematy uległy wyczerpaniu.

- Naczekałaś się dziś u Fischera - Jay przerwał wreszcie milczenie. - Nie zauważyłem, kiedy wyszłaś - powiedział i spostrzegł, że rysy jej stężały, a usta zacisnęły się w cienką linię. Był ciekaw, czy wystraszyły ją strzały, czy wyszła wcześniej.

Wzbierała w niej panika. Miała ochotę zerwać się do ucieczki. Kieliszek zakotłosał się jej w dłoni i polało się z niego wino. Postawiła go gwałtownie na stole i zaplotła ręce na podolku.

Jay obserwował ją poruszony. Miała wylekłe, szeroko rozwarte oczy. Miał ochotę wstać i podejść do niej, uspokoić ją, ale wyczuł, że musi sama się opanować, i pozostał na miejscu.

- O co chodzi? - spytał grzecznie. - Czy mógłbym w czymś pomóc?

Przestrach na twarzy Alexandry ustąpił miejsca rumieńcowi zakłopotania. Wzięła głęboki oddech, westchnęła, popatrzyła na swe zaplecione ręce, przeniosła wzrok na Jaya i sięgnęła po kieliszek.

- Na schodach przed biurem Fischera zabito człowieka - powiedziała spokojnie, patrząc, jak zareaguje.

- Wiem - odrzekł obojętnie.

Widział, że miała broń w aktówce. Czy mogła ją ukryć schodząc do holu? Zasłonić fałdami sukni? Czyżby to ona zastrzeliła Sweeny'ego?

- Nie bardzo cię to zdziwiło - stwierdziła.

Jeśli przyszła tam, żeby go zabić, nie miało znaczenia, co odpowie. Tym bardziej jeżeli nie miała takiego zamiaru. Nie ma co owijać w bawełnę.

- Nie zdziwiło mnie to ani trochę - oświadczył, a Alexandra przechyliła pytająco głowę.

- Prawie od tygodnia jacyś ludzie usiłują mnie uśmiercić - powiedział.

Alexandra osłupiała. Oczy jej rozblęły.

- Nie mówisz tego serio.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Ten człowiek, który dziś zginął - powiedziała. — Ten na schodach... - głos się załamał.

Ugryzła go w dłoń do krwi, czuła jej smak, czuła uścisk jego ramienia, którym ją podnosił, czuła, jak nim rzuciło, gdy trafiła go kula. Upiła łyk wina, oblizała nerwowo usta, zagryzła dolną wargę.

- Ten człowiek na schodach - podjęła - chciał mnie zabić. Zabić - powtórzyła słabo jak gasnące echo. - A po przedniego dnia usiłował mnie zabić jego kamrat. Ale nie udało mu się, boja zabiłam jego.

Mówiła prawdę. Jay widział to w jej oczach. Zachodził w głowę, o co w tym wszystkim mogło chodzić, szukał jakiegoś wyjaśnienia. Czyżby Alexandra była w jakiś sposób powiązana ze sprawą papierów Tesli? Odrzucił z punktu ten domysł jako zbyt fantastyczny. Z drugiej strony, czy biuro Fischera nie było najbardziej prawdopodobnym miejscem natknięcia się na kogoś, kto mógł mieć coś wspólnego z tymi papierami? Jednak coś tu się nie zgadzało. Zawsze są ci źli i ci dobrzy. Subasić, Sweeny i Ante należeli do dobrych. Rosjanie, Jugosłowianie i Fischer to źli faceci. Po której stronie jest Alexandra? Jugosłowianie? Rosjan? Na pewno po żadnej z nich, w przeciwnym razie Fischer nie po-

zwolili by jej pokutować w poczekalni. Alexandra Downing może być wolnym strzelcem. Miała przy sobie wielką spluwę. Już to samo czyniło ją podejrzaną.

- Twierdzisz, że jego kompan usiłował cię zabić? – zaczął ostrożnie.
- Czy to ten, którego fotografia była na pierwszych stronach dzisiejszych gazet?

Alexandra potwierdziła skinieniem. Jay pokiwał głowę, jakby nagle zaczęło mu coś świtać.

- A dlaczego oni chcieli cię zabić? - zapytał.

Alexandra otworzyła usta, po czym szybko je zamknęła, w pół słowa.

- Wolalabym się przedtem dowiedzieć, dlaczego chciano zabić ciebie. I co robiłeś u Fischera? Wygląda na to... - umilkła nagle. - Sądzisz, że on czekał na ciebie? Chciał zabić również i ciebie?

- Tak i nie - rzekł Jay, po czym nagle zmienił front. - Pytałem, dlaczego chcą cię zabić?

W oczach Alexandry zamigotał przelotnie gniew i stopniał pod wpływem spojrzenia Jaya. Pomyślał, że robi wrażenie kobiety, która potrafi przestrzegać sekretu. Swojego i cudzego. Na nic się zdadzą próby wyciągania z niej informacji, którą pragnie zachować dla siebie. Powie mu, gdy uzna to za stosowne. Albo nie powie. Trzeba spróbować targu coś za coś. Ale stawka poszła wysoko w górę.

- Mnie chcą zabić, ponieważ coś wiem — powiedział ogólnikowo.

-Ale kto to jest?

- Tego nie wiem - odparł i dostrzegł niedowierzenie w jej wzroku. - Naprawdę. W Amsterdamie napadli mnie ludzie z CIA. W Lejdzie byli to także agenci na służbie rządowej.

Opisał jej pokrótce, co się zdarzyło w Holandii, pomijając rolę Subasicia. Dla jakichś tajemniczych powodów Subasić i jego ludzie usiłują zgładzić Alexandrę. Zdecydował, że nie powie jej o tym, póki nie dowie się czegoś więcej.

- Teraz ci wierzę - powiedziała Alexandra.

- Mnie samemu trudno w to uwierzyć.

- Oboje staliśmy się celem ataków. Znaleźliśmy się na jednym wózku. Powiedz... ci ludzie, którzy chcą cię zabić... Czy ma to coś wspólnego z uczonym o nazwisku Nicola Tesla? Zgadza się?

Jay skinął potakująco.

- Mnie także chcą zlikwidować z tego samego powodu - Alexandra dopiła do końca wino, a Jay napelnił jej znowu kieliszek. - Kilka dni temu - głos Alexandry nabral ciepłego, serdecznego tonu - mój bliski przyjaciel wyznał mi, że zostanie zamordowany - rzekła i opowiedziała mu o Martinie i o tym, co zaszło później, aż do śmierci łysego napastnika przed biurem Fischera.

Słuchając jej, Jay miał wrażenie, że ma do czynienia z wariantem własnych doświadczeń. Narastała w nim złość na Subasicia, ale łączył się z nią lęk. Copeland i Guereri zginęli, bo dowiedzieli się o istnieniu „Projektu Tesla”. Nastąpił być może przeciek, ale nie powinno to pociągać za sobą dwóch skrytobójstw. Chyba że projekt wymknął się spod kontroli. Słyszał o takich przypadkach nawet we własnej branży. Pogłoski związane z projektami nagle zaczynały żyć własnym życiem, ponieważ ludzie ze spółek obsesyjnie im ulegali.

Przypuśćmy, że „Projekt Tesla” nie otrzymał oficjalnej sankcji, że ktoś kazał go wstrzymać. To by tłumaczyło śmierć Copelanda. Ale równocześnie wskazywałoby na to, że Subasić pracował dla ludzi, którzy zlikwidowali Copelanda. A teraz z tego samego powodu polowali na Alexandrę.

Byłby zapewne dłużej łamał sobie nad tym głowę, ale w drzwiach pojawiła się nagle sylwetka Subasicia. Przez moment Jay był bliski paniki. To, co usłyszał od Alexandry, świadczyło, że Subasić nie był tym za kogo się podawał.

Subasić dostrzegł Jaya i skierował się ku niemu rozsierzony.

- Przepraszam na chwilę, przyszedł mój partner - powiedział Jay, wstając i ruszył naprzeciw Subasicia.

- Co ty tu robisz? - spytał Subasić, zerkając na siedzącą do niego tyłem Alexandrę.

Jay zamarł na chwilę, bo przez twarz Subasicia przemknął rozpoznawczy błysk. Wziął go pod łokieć i podprowadził niemal siłą do drzwi.

- Nie zwracajmy na siebie uwagi - rzucił rozkazująco, sterując nim do zacisznego kąta w holu.

- Ale dlaczego, u diabła, tu przylaźłeś? - warknął Subasić. - Kazałem ci siedzieć w pokoju i nie ruszać się stamtąd.

- Zapominasz, że nie jestem twoim podkomendnym. Nie należę do twojego oddziału. Miałem ochotę na drinka, chciałem się odprężyć. Mają tu pierwszorzędnego pianistę.

- A co to za dziewczyna?

- Poznałem ją w barze.

- To może być ich współpracowniczka.

- Byłbym skłonny ci uwierzyć, gdybyś mi wyjaśnił, co to znaczy „ich”. Poza tym to ja ją poderwałem, a nie ona mnie.

- Nie podoba mi się to - oświadczył Subasić. - Jesteśmy zbyt blisko celu, żeby ryzykować. Jutro po południu Fischer załatwi w banku resztę formalności. Kosztowało to nas trochę dolarów, ale w końcu udało się.

- No, to do czego ci jestem potrzebny? Wszystko masz elegancko ustawione.

- Mylisz się. Ktoś musi pójść z Fischerem do banku i dopilnować, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem. Jeśli Ruscy dokopują się, że to operacja firmowana przez Waszyngton... - potrząsnął głową z poważną miną. - Nie mogą zobaczyć koło Fischera ani mnie, ani żadnego z agentów naszego wywiadu. Pójdiesz z nim ty. Jesteś osobą prywatną. Ruscy mogą się wściekać, ale nie wywoła to kryzysu na skalę międzynarodową.

- Ale bank będzie z pewnością pod obserwacją - Jay spojrzał mu uważnie w oczy. - Musisz tam być, muszę... musimy mieć jakąś ochronę.

- Nikt nie wie, gdzie są ukryte papiery. Nawet zacna pani Stahl. Wie to tylko Fischer. Będziemy mieli cię na oku, ale w pewnej odległości. Jeśli ktoś w banku nas rozpozna, stawki pójdą w górę.

- Jutro możesz na mnie liczyć. A tymczasem pozwól, że sprawdzę, czy moja młoda towarzysznica nie zniechęciła się.

- Wracaj do pokoju, Jay - poprosił Subasić. - Tam będziesz bezpieczny.

- Bezpieczny jestem i tutaj - odparł Jay. - Jedź na górę. Nie czekaj tu na mnie - powiedział i zaczął czekać aż Subasić odejdzie do windy, po czym zawrócił do sali barowej.

Powróciwszy do stolika ujrzał na nim nową butelkę wina chłodzącą się w kubelku i dwa kieliszki wypełnione płynem o barwie bursztynu.

- Co to takiego? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziała Alexandra. - Coś z Doliny Loary. Wybrałam je z karty w ciemno, zamykając oczy - uśmiechnęła się. - Spróbuj. Smakuje naprawdę nieźle.

Do Jaya dotarła nowa informacja o Alexandrze Downing. Ma do czynienia z kobietą nietuzinkową. Szybko umie się wziąć w garść, nie cofa się przed ryzykiem, zachowuje zimną krew. Imponowała mu. Ciekawe, czy jest beznadziejnie wierna pamięci Martina Copelanda? Ujął kieliszek, podsunął go sobie pod nos i wciągnął w nozdrza bukiet.

- Przyjemny zapach - stwierdził i upił łyżek, sondując smak językiem. - Dobrze - oznajmił. - Należycie wyważone, soczyste...

Alexandra roześmiała się.

- O co chodzi? - spytał.

- Zupełnie jakbym słyszała reklamę. Powinieneś dodać coś w tym rodzaju: „Ma nadzwyczajny savoir faire porównywalny jedynie z... transcendentalnym”, och, nie wiem, w każdym razie w tym stylu - powiedziała i dostrzegła natychmiast, że Jayowi posepnieje twarz.

- Och, przepraszam cię - rzuciła szybko. - Nie chciałam, żeby to zabrzmiało złośliwie.

- Nie szkodzi - rzekł Jay prostodusznie. - Chyba byłem trochę zbyt pompatyczny - zaśmiał się samokrytycznie.

Alexandra mu zawtórowała, lecz po chwili ich szczerzy śmiech przygasał, jakby oboje jednocześnie przypomnieli sobie o powadze sytuacji.

- Prawdę mówiąc - powiedziała Alexandra - zamówiłam tę drugą butelkę, bo przy pierwszej to ja cały czas gadałam. Twoja historia jest dłuższa i przyda ci się coś do zwilżania gardła.

- Moja historia - rzekł ponuro Jay w równej mierze do siebie, jak do Alexandry - może ci się nie spodobać. Posłuchaj - zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je ciężko. - Ci dwaj ludzie - popatrzył jej w oczy - którzy usiłowali cię zabić, otrzymali zadanie ochraniać mnie.

Alexandra wyglądała tak, jakby dostała w twarz. Jay nakrył dłonią jej dłoń.

- Musisz mnie wysłuchać - rzekł błagalnym tonem. - To wszystko zaczyna nabierać sensu. Możemy we dwójkę złożyć tę układankę w całość. Otóż, mężczyzna, z którym przed chwilą rozmawiałem...

Rozdział 24

Luksemburg, 20 grudnia

Po trzeciej butelce naszła ich senność. Było to miejscowe czerwone wino, świetne jako załącznik do tournedos w sosie grzybowym. Na deser wzięli naleśniki polewane płonącym Grand Marnier i zwieńczyli całość kawą i koniakiem.

Po tym wieczorze Jay był w doskonałym nastroju. Groza gdzieś się ulotniła. Kto wie, myślał, jadąc windą do swego apartamentu, czy dzięki informacjom Alexandry i z pomocą przylatującego jutro ze Stanów Douga Denoffa nie dojdzie wreszcie do jakiegoś przełomu.

Kiedy odprowadzał Alexandrę do drzwi jej numeru, nie miała już na twarzy tego niepokoju, który przedtem wyostrzał jej rysy. Wypili wprawdzie trochę więcej niż oboje mieli w zwyczaju, ale nie tyle, by mieć w czubie. Był to tylko rozładowujący napięcie rausz.

Uśmiechnięty dojechał na jedenaste piętro i zaczął szukać w kieszeni klucza. Przypomniał sobie wyraz oczu Alexandry, gdy opowiadał jej o emocjach walki powietrznej. Nie spotkał dotąd kobiety, która by to rozumiała. Powiedział jej także w końcu o samobójstwie Heleny.

„Tysiące kobiet mają za mężów pilotów wojskowych” - skomentowała to Alexandra. „I nie odbierają sobie życia. Nie jesteś winien jej śmierci, myśleć tak, to przejaw egotyzmu. Nie zabiłeś jej. Zrobiłaby to nawet, gdyby poślubiła nałogowego filatelistę”.

„Dziękuję ci, Alex” - szepnął cicho, wchodząc do swego pokoju.

Alexandra zaryglowała drzwi i założyła łańcuch. Otworzyła zameczki aktówki i wyjęła rewolwer. Umiała się nim posługiwać. Wkrótce po przeprowadzce na jacht nabyła trzydziestkę ósemkę za poradą przyjaciółki, która została zgwałcona na swojej łodzi. Od czasu do czasu słyszało się też o przemytnikach narkotyków, którzy porywali łodzie zabijając przy tym załogę.

Alexandra nie poprzestała na tym. Zapisala się na kurs strzelecki prowadzony w wolnym czasie przez policjantów z San Diego. Ale w porównaniu z tamtą pukawką ta broń była małą armatką. Kaliber 44 na naboje magnum. Rewolwer, jakiego używał Brudny Harry. Położyła go na nocnej szafce i zdjęła pantofle.

Siadła na końcu łóżka i nie rozbierając się patrzyła przez niezasłonięte szyby w czerń nocy. Jak to się stało, że wpłatała się w taką awanturę? Czy można było tego uniknąć? Nigdy nie można być niczego pewnym. Życie jest pełne kosmicznych gagów i fantastycznych zbiegów okoliczności. Czy było to jej sądzone od momentu, gdy Martin Copeland zatrzymał się z podziwem przy jej łodzi? Nigdy by się to nie zdarzyło, gdyby żona Martina nie opuściła go i gdyby Alexandra nie owdowiała.

W końcu zgasiła światło i wśliznęła się w miękką, chłodną pościel. Ten dzień trwał tysiąc lat, a i do jutra było już niedaleko. Zapadając łagodnie w sen, miała przed oczami twarz Jaya Fleminga i to zdawało się usuwać wszystko w cień.

Inspektor Guy de Roux wyszedł z Excelsioru na ulicę ciężkim krokiem.

- Robi się u nas drugi Nowy Jork - pożałił się sierżantowi Jeantotowi, patrząc smutno z samochodu na zasłonięte dyktą witryny hotelowej restauracji. - Ten Jugosłowianin, Dvorak - mówił dalej, gdy sierżant uruchomił auto i odjeżdżali spod krawężnika. - Przedtem ten amerykański oficer. Biedak spłonął żywcem. Sweeny, inny Amerykanin, zastrzelony na Starym Mieście. Jedziemy do komendy, sierżancie. Do tej pory powinni już tam być wszyscy świadkowie. Nasz artysta będzie musiał pracować do późnej nocy.

Jeantot zręcznie zawrócił renówkę, kierując się ku Rue Glesener, a de Roux przetarł powieki podkrążonych ze zmęczenia oczu. Personel w restauracji oraz przechodnie z Rue Beck - wszyscy zapamiętali kobietę o nadzwyczajnie niebieskich oczach, prawdopodobnie Amerykankę. Przed północą policyjny rysownik powinien sporządzić jej pamięciowy portret. Przy łucie szczęścia z urzędu kontroli paszportowej dostaną jej nazwisko.

- Co pan o tym wszystkim sądzi, panie inspektorze? - zapytał grzecznie sierżant Jeantot.

- Zginęli dwaj Amerykanie, jakaś Amerykanka zawsze w pobliżu. Narkotyki? Nie mam pojęcia. I jeszcze ten Jugosłowianin. Diabli wiedzą, gdzie go wpasować. Może rano się czegoś dowiemy, jeśli zabici figurują w kartotece Interpolu. Także ambasada Stanów z nami współpracuje, stara się zbierać informacje, które mogą się nam przydać; numery

paszportów tych Amerykanów mają już wszystkie hotele i pensjonaty. Przecież gdzieś musieli się zatrzymać. Jugosłowianie też pomagają, ale są mniej aktywni.

- A demonstranci? - spytał Jeantot. - Byli pomocni?

- Nie sądzę, żeby coś wiedzieli. - westchnął de Roux. - Włącznie z ich przywódcą. Dali się wykorzystać. To tacy naiwni głupcy.

- A czy ten trup z lasku pod miastem ma z tym jakiś związek? - spytał Jeantot po kilku minutach.

- Szczerze mówiąc nie brałem tego pod uwagę. Tak dużo się działo. Tak dużo. Ale po powrocie do komendy skontaktujcie się sierżancie z tamtejszym komisariatem i zbierzcie wszystkie dane.

Jeantot się ucieszył. Zapowiadało się na wielką rozwojową sprawę i miał w związku z tym nadzieję na awans.

Odezwało się radio i de Roux wziął do ręki mikrofon. Dyspozytor informował, że znaleziono jeszcze jedno ciało. Ofiarą jest drugorzędny pracownik ambasady Jugosławii.

Sierżant Jeantot dodał gazu i przedzierał się opętańczo przez rzędniejący już o tej porze strumień pojazdów. Trzy przecznice dalej przejeżdżali tuż obok amerykańskiego dżentelmena o dystygowanym wyglądem, kroczącego statecznie chodnikiem, ale nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.

Obsydian popijał koniak wyciągnięty wygodnie w fotelu przed trzaskającym rażnie ogniem w kominku. Uniósł na wysokość oczu bakaratowy kieliszek i obserwował odbijający się w kryształach taniec kolorowych płomieni.

Udało mu się bez kłopotu czmychnąć z restauracji, ale było to wyczerpujące przeżycie. Niespieszny lunch w małej gospodzie za miastem pozwolił mu na odzyskanie właściwych proporcji. To nie była robota dla ludzi jego pokroju, zajmie się tym przybywający jutro zespół.

Po lunchu pojechał wprost do swojej kwatery. Tu już nic nie musiał robić poza sączeniem koniaku i podsycaniem ognia. Teraz tylko czekał. Szaleństwem z jego strony była już sama myśl o samodzielnym porywaniu się na coś takiego. Ale szaleństwo potrafi być zaraźliwe, potwierdza to choćby przypadek Beryla i Korunda.

„Za jutrzejszy dzień” - powiedział głośno, wznosząc kieliszek jak do toastu i opróżnił go do ostatniej kropli.

Jak tylko Fleming wszedł do numeru, od razu zauważył na wykładzynie dywanowej rdzawą plamę wielkości ćwierćdolarówki. Takich plam różnej wielkości dostrzegł więcej po przejściu do salonu i to w różnych miejscach - na dywanach, na meblach, nawet trochę na ścianach.

Były to niewątpliwie nieobeschłe jeszcze ślady krwi i Jay natychmiast otrzeźwiał. Wyjął kolt z olstra i zamknął szczelnie drzwi. W apartamencie było cicho. Tylko zza okien dochodziły odgłosy ruchu ulicznego, a z korytarza stękanie windy.

Jay popatrzył na troje drzwi prowadzących do sypialni apartamentu. Podszedł cichutko do drzwi swojej sypialni i pchnął je na oścież po ostrożnym przekręceniu gałki. Żadnej reakcji. Cisza. Wpadł do wewnątrz. Nikogo. Tylko jego ubrania porozrzucane po kątach. Żadnych krwawych plam. Sprawdził łazienkę i szafy, zajrzał pod łóżko, za story okienne. Pozostałe sypialnie również były przetrzāsane.

Po powrocie do salonu zastanowiło go ustawione po środku krzesło. Na jednej z nóg dostrzegł białą plamkę i przyjrzał się jej bliżej. Był to skraweczek samoprzylepnej taśmy. Po dokładnych oględzinach krzesła znalazł kilka kleistych punkcików. Ktoś siedział na nim unieruchomiony taśmą. Subasić oczywiście.

Ktoś go obezwładnił i wyciągał z niego przemocą informacje. Po splądrowaniu apartamentu napastnicy zabrali go ze sobą. Żywego czy martwego? Czy powiedział im, gdzie został ukryty Fischer?

Jayowi niepokój targnął serce. Za niecałą dobę Fischer miał odebrać papiery Tesli. Czyżby Rosjanie i Jugosłowianie już mu deptali po piętach? Usiadł na sofie, bijąc się z myślami jak postąpić. Naturalnym odruchem byłaby ucieczka. Było przecież możliwe, a nawet prawdopodobne, że tamci powrócą. Ale rzecz dobiegała końca. Gdyby Subasić ciowi udało się uwolnić, będzie szukał Jaya w hotelu.

Po tym, jak się dowiedział o zamachach na Alexandrę, nie miał nic przeciwko temu, żeby Subasić poniósł zasłużoną karę, lecz nie wcześniej niż po zdobyciu papierów Tesli. Przed wymierzeniem sprawiedliwości Subasić ciowi musi go najpierw ocalić.

Nakręcił numer pokoju Alexandry, ale zaraz odłożył słuchawkę. Telefon mógł być na podsłuchu. Mogli zarezerwować sobie Jaya jako źródło informacji, gdyby Subasić nie puścił pary z ust albo... wykorkował.

Poszedł do sypialni i zrobił tam porządek. Raptem przypomniał sobie o dwóch trzykaratowych brylantach kupionych w prezencie dla rze-

komych policjantów z Lejdy. Schował je w adidasie, owinięte w papier toaletowy. Nie zginęły. Wysypał je sobie na dłoń, po czym starannie zawiązał w papier i wcisnął na powrót w głąb buta.

Postanowił zostać na noc w hotelu. Był zmęczony i wciąż obolały po niedawnych przejściach. W głowie kręciło mu się od wina i ofensywy adrenaliny, odczuwalnej zawsze, gdy miał do czynienia ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Gdyby zaczął szukać innego miejsca noclegu, mogłoby to dla niego fatalnie się skończyć. Zresztą, kto wie, czy tamci - kimkolwiek byli - nie spodziewali się po nim właśnie takiego zachowania.

Ulokował na gałce drzwi wywieszkę „Nie przeszkadzać”, po czym zamknął je i zaryglował. Zamknął również drzwi od sypialni i zastawił je toaletką.

Dziesięć minut później spoczywał już w łagodnych objęciach snu, nie wypuszczając z ręki Smitha & Wessona.

Rozdział 25

Luksemburg, 21 grudnia

Obsydian przebudził się. Spał niespokojnie, w ustach i gardle miał pergaminową suchość. Czy to jakiś hałas wyrwał go ze snu? Leżał bez ruchu, z językiem przywartym do podniebienia. Za dużo wypił tego koniaku. Było cicho. Najwidoczniej obudziło go pragnienie. Ocknąwszy się całkowicie, zsunął z wysiłkiem nogi na podłogę i odczekał chwilę, po czym wstał i poczłapał do łazienki. Nie zapalając światła, wymacał szklankę, potem kran. Otworzył go, czekając przez moment aż spłynie strumień pierwszej letniej wody. Nagle kran parsknął pienistą fontanną i Obsydian podskoczył strachliwie. Stary panikarz, ofuknął się.

Napełnił szklankę zimną już wodą i podniósł ją do ust.

Nagle od tyłu zacisnęły mu się na szyi potężne ręce. Próbował je oderwać. Szklanka roztrzaskała się w umywalce. Obsydian kopał, wyginał się, szarpał, usiłował uderzyć napastnika, ale bez skutku. Słyszał, jak mu coś chrobocze w krtani. Wstrząsany drgawkami chwycił rozpaczliwie powietrze. Czuł, że się dusi!

Wtem w pokoju zrobiło się jasno. Ktoś zapalił światło i Obsydian zobaczył wpatrującego się w niego Beryla.

Rozdział 26

Luksemburg, 21 grudnia

Zabrzączał telefon. Jay poderwał się na łóżku wciąż z koltem w dłoni. Kołdra zsunęła się na podłogę. Usiadł, przetarł oczy. Nie podnosił słuchawki. O pół do czwartej nad ranem nie można się było spodziewać dobrych wiadomości.

Telefon umilkł i znów się rozdzwonił. Jay niechętnie wziął słuchawkę i przytknął ją do ucha.

- Fleming - odezwał się.

- Tu Subasić - dał się słyszeć ciężki, świszczący oddech. - Musimy się zaraz zobaczyć.

- Skąd dzwonisz?

- Nie mogę powiedzieć. Może nas ktoś podsłuchać.

- Dlaczego nie wracasz do hotelu?

- Nie mogę - odparł Subasić i kaszlnął, jakby się czymś zakrztusił. - Nie mam czasu na wyjaśnienia. Podyktuję ci, jak do mnie trafić.

Jay zapalił lampę i chwycił hotelowy notatnik i leżący obok tani długopis.

-Jestem gotowy. Mów.

Subasić dyszał przez dłuższą chwilę.

- Tuż przy Avenue Marie Therese, trochę na zachód od Pont Adolphe jest szlak schodzący w dolinę rzeki Petrusse.

-Wiem, gdzie to jest. Obok jest ścieżka rowerowa.

- Zgadza się. Idź szlakiem wzdłuż północnego brzegu. Nie przekraczaj rzeki. Będę patrzył z ukrycia, czy nie jesteś śledzony. Odezwę się.

Jay powtórzył wskazówki.

- Dobrze - rzekł Subasić. -Jest mało czasu. Weź broń.

Jay prędko włożył levisy, T-shirt, bawełnianą koszulę z długimi rękawami i cienki sweterek oraz kevlarową kamizelkę, a na wierzch grubo sweter narciarski, po czym przypiął olstro z koltem i zakrył je wia-

trówką. Wziął też kilka pudełek nabojów, włożył adidas, odsunął toaletkę od drzwi i wyszedł na korytarz.

W połowie drogi do windy zatrzymał się. Pomyślał, że jeśli coś mu się przydarzy, Alexandra zostanie bez pomocy. Pamiętając, że ma się spieszyć, pobiegł z powrotem do pokoju, napisał krótką notatkę i czując się trochę tak, jakby zostawiał przedśmiertne dyspozycje, wsunął kartkę Alexandrze pod drzwi.

Inspektor de Roux, rozparty nonszalancko w krzesło, rozmawiał z kierownikiem nocnej zmiany w Excelsiorze. Był to nerwowy mężczyzna o piskliwym głosie i tłustych włosach, które spadały mu na czoło. Mrużąc oczy, przyglądał się kserokopii wizerunku pokazanej mu przez inspektora.

- Nie, nie poznaję jej. Może zapamiętał ją ktoś z dziennej zmiany?

- Może - rzekł de Roux znużonym głosem. - Niech pan umieści tę odbitkę w recepcji.

- Czy pozwoli mi pan na zupełną szczerość, inspektorze?

- No pewnie. Wszyscy są obecnie cholernie szczerzy, zwłaszcza z policją. Ale rzadko kto dorównuje panu uprzejmością.

- Ten portrecik - uśmiechnął się kierownik - nie wyróżnia się akurat profesjonalnością. Dość toporna robota. Może ma pan coś lepszego?

- Nie mamy w policji rysownika na etacie - westchnął inspektor. - Zwykle zlecamy takie prace pewnemu profesorowi akademii. Niestety, bawi gdzieś na nartach w Szwajcarii. Tylko pozazdrościć.

- Może kawy? - zaproponował kierownik. - Zawsze jest świeżo zaparzana dla nocnego personelu.

- Chętnie - rzekł de Roux, rad z pretekstu do zwłoki. Usprawiedliwiał się przed sobą, że może przy kawie dozna jakiegoś olśnienia, ale naprawdę chciał tylko opóźnić wyjście na nocny ziąb.

Rozdzielili się z Jeantotem, żeby przyspieszyć śledztwo. Policjanci z tą samą kiepską odbitką chodzili po hotelach, hotelikach, pensjonatach i hostelach i wszelkich innych miejscach noclegowych.

De Roux nie dziwił się, że tak trudno przychodziło ludziom rozpoznawanie kobiety z kserokopii. Świadkowie nie byli pewni, jakiego koloru ma włosy, jaką cerę, w co była ubrana. Jedyna rzecz, co do której byli zgodni, to te niebieskie oczy.

- Powiniem się pan trochę przespać, inspektorze – po wiedział kierownik, podając mu filiżankę z gorącą kawą.

- Mleko? Cukier?

De Roux potrząsnął głową i ostrożnie nadpił trochę kawy. Przełknąwszy, zamknął oczy.

- Wyśmienita - uśmiechnął się.

Szef nocnej zmiany rozpromienił się dziękczynnie.

Rozdział 27

Luksemburg, 21 grudnia

Nocne powietrze zdawało się stać nieruchomo jak zawiesina. Ponad jaskrawymi światłami latarni na wolnym od chmur niebie błyszcząły pinneski gwiazd. Księżyc był niewidoczny.

Luksemburg spał głębokim snem. W pustce ulic tylko z rzadka odzywał się warkot dostawczej ciężarówki. Z oddali dochodziło Jaya zgrzytanie tramwajów i żałosne skowyczenie syren. Stale słyszało się te syreny. Czyżby w mieście aż tak szerzyła się przemoc?

Po wyjściu z Intercontinentalu rozejrzał się czujnie na prawo i lewo. Ponad niewielkim wzniesieniem dostrzegł jasne światła Boulevard Royal, który schodził w dół ku Place de Bruxelles, gdzie się spotykał z Pont Adolphe i Avenue Marie Therese. Jay przystanął na chwilę i popatrzył poza wielką urwistą przepaść, w której płynęła Petrusse.

Przeciął Boulevard Royal, następnie Avenue Marie Therese. Łatwo odnalazł wejście na szlak, rozejrzał się jeszcze raz, czy nikt go nie śledzi, po czym zanurzył się w mrok.

Szlak wił się stromo serpentynami wzdłuż ściany urwiska. Jay schodził ostrożnie, wpierając adidasów mocno w podłoże i odgarniając na bok gałęzie krzewów, aby nie czynić hałasu.

Miał niemałego stracha, toteż wyjął kolt z olstra, z bronią w ręku poczuł się odrobinę pewniej. Gdzie może być Subasić? Zbocze było porośnięte chaszczami, tu i tam prześwitywały skaliste golizny i resztki starych fortyfikacji. Subasić mógł być wszędzie, podobnie jak ci, którzy chcieli go zabić.

W miarę zbliżania się do rzeki jej szum przytłumiał wszelkie dźwięki i wkrótce stał się tak głośny, że nic innego nie dało się słyszeć. Także i kroków Jaya, tyle że tamci byli myśliwymi, a on zwierzyną.

Serpentynowy szlak doprowadził go wreszcie nad brzeg Petrusse. W mroku niewiele można było zobaczyć, ale Jay był tu za dnia i wiedział, że wokół jest coś w rodzaju starannie utrzymanej przestrzeni parkowej pomiędzy dwiema skalnymi ścianami. Wysoko na lewo wznosiły się staromiejskie mury obronne. Za szeroką na kilkaset metrów równiną po drugiej stronie rzeki ciągnęło się przedłużenie murów. Wąska, smołobetonowa ścieżka spacerowa służąca także rowerzystom i truchtaczom, biegła nad brzegiem w obu kierunkach. Teraz byli tu gdzieś mordercy, bo Jay posłyszał za sobą głuchoe plaśnięcia i równocześnie poczuł, że na prawą stopę sypnęły mu się rykoszetem pesteczki pocisków.

Dał nura w bok pod rosnący przy brzegu klon. I znowu rozległy się tępe pyknięcia i po nawierzchni ścieżki podskoczyły pociski. Ktoś strzelał, posługując się tłumikiem.

Ruszaj, ponaglił się. W drogę!

Pochylony, pobiegł skrajem brzegu. Po dwudziestu metrach przystanął i wyjrzał ostrożnie zza drzewa. Nic. Wrócił na ścieżkę. Nie znajdzie Subasicia, przemykając się chyłkiem nad samą rzeką.

Zaczął wolno biec. Odgłos miękkich podeszew adidasów ginał w poszumie wody. Po chwili tuż koło ucha przemknęła mu ze świstem kula. Padł na brzuch i przeturlał się na lewo pod kępę tuju. W oddali dostrzegł ciemną, poruszającą się sylwetkę.

Podniósł kolt i wymierzył w nią, biorąc poprawkę na to, że była w ruchu. Miał już pociągnąć za spust, gdy posłyszał krótkie zdziwione jęknięcie i jego cel osunął się na ziemię. Rozległy się jeszcze trzy zgłuszone tłumikiem strzały, a po nich wołanie:

- Fleming? ,

- Subasić? - Jay ruszył szybko w tamtą stronę z bronią wciąż na wszelki wypadek gotową do strzału.

- Tu jestem -Jay usłyszał te same naznaczone bólem tony, co w hotelu przez telefon. - Nad tobą. Cofnij się trochę. Znajdziesz schody. Zasłonięte są winoroślą.

Schody były wykute w ścianie urwiska i wyglądały jak wyrzeźbione przez naturę. Na górze znalazł w zaroślach opartego o pień drzewa Sub-

asicia. Jego twarz bielila się wyraziście w mroku. Siedział z głową zwieszoną na pierś i w pierwszej chwili Jay zląkł się, że właśnie umarł.

- Subasić - zaszeptał, klękawszy przy nim.

Subasić poruszył się niemrawo, otworzył oczy i wyprostował się z widocznym wysiłkiem. Próbował się uśmiechnąć, ale efektem był tylko ciepławy grymas.

Oswoiwszy oczy z ciemnością Jay dostrzegł, że Subasić ma twarz opuchniętą, pełną siniaków i pokaleczoną.

- Potrzebny ci lekarz - stwierdził Jay, wstając.

- Nie! - Subasić schwytał go za nogę, zrazu mocno, ale zaraz palce mu osłabły i rozluźnił uścisk. - Jest mało czasu. Muszę ci powiedzieć wiele rzeczy.

- Powiesz mi to w szpitalu.

Subasić zaniósł się konwulsyjnie lepkiem kaszlem. Jay nachylił się nad nim i dojrzał, że ubranie Jugosłowianina jest z przodu przesiąknięte krwią.

- Dobrze - zgodził się Jay. - Mów.

- W wiosce Hamm - Subasić oblizał obrzmiałe, spękane wargi - za kościołem na południowej stronie drogi w domu numer trzydzieści siedem jest kryjówka Fischera. Musisz go stamtąd zabrać w piątek przed południem. Wspólnik Fischera w banku musiał rozregulować pewne urządzenie zegarowe, dlatego bądź w banku dokładnie o trzeciej po południu, inaczej będą komplikacje.

-Jakiego typu?

- To nieważne - Subasić łapał chrapliwie powietrze. - Ludzie pilnujący Fischera mają twój rysopis, ale musisz przedstawić się jako Szafir.

- Szafir? - powtórzył Jay. - Powiedz, kto cię tak urządził. Wiesz kto? Czy to ci sami, którzy chcą mnie zabić?

Po twarzy Subasicia przebiegł krzywy, zgorzkniały uśmiezek.

- Szaleńcy. Korund i Beryl - głos wiązał mu w gardle. - Ich ludzie. Chcą zagarnąć dla siebie papiery. Obsydian o tym wiedział. Próbował ich powstrzymać, chciał powstrzymać i nas, żeby nie mogli nas wykorzystać. Ale nie żyje. Zabili go.

- O czym ty mówisz? Kim są ci ludzie?

- Należą do Komitetu. Do Komitetu Siedmiu. Papiery Tesli musi dostać Diament. Nikt inny, tylko on. Będzie wiedział, co z nimi zrobić.

- Diament? Beryl? -Jay popatrzył z trwogą na opadające powieki Subasicia. - Bogdan? Powiedz mi! Musisz mi powiedzieć!

- Odejdź... spać - wymamrotał Subasić.

Jay potrząsnął go lekko za ramiona. Musiało to podrażnić jego obrażenia, bo jęknął z bólu i otworzywszy oczy rozglądał się błędnie, jakby nie wiedział, gdzie jest. Dopiero spojrzenie na Jaya sprawiło, że oprzytomniał.

- Obsydian wiedział, że Beryl i Korund to obłąkańcy. Chcieli mieć papiery tylko dla siebie. Oszukali mnie. Chcą przejąć kontrolę nad projektem. Zniszczyć czterdzieści lat pracy Komitetu. Zgładzić miliony ludzi. Projekt meteo ma sprawdzić, jak to działa. Na platformie Zeus. Obsydian wiedział. Chciał nas zabić, żeby zastopować Beryla i Korunda. Wiedział, że Korund mi ufa. Próbował cię zabić w Holandii i po wizycie u Emersona.

- Kim są ci ludzie?

- Komitet Siedmiu. Klub Pasterza. Proponowali mi członkostwo, przypomniał sobie Jay.

- Beryl jest tutaj - ciągnął Subasić. -Jego ludzie dopadli mnie po naszej rozmowie w barze. Dobrze, że zostałeś z dziewczyną. Zakleili mi oczy taśmą. Torturowali jak naziści. Udało mi się wymknąć.

- Dlaczego twoi ludzie chcieli zabić Alexandrę Downing? I Copelanda też.

- On dowiedział się o projekcie. I powiedział dziewczynie - głos Subasicia znów cichnął. Wzrok to mu się wyostrzał, to przygasał i martał. - Mogli ujawnić projekt. Czeka cię dużo pracy. Musisz usunąć Beryla i Korunda. Powiedz Diamentowi, że Obsydian nie żyje - Subasić znów zamknął oczy. Z trudem łapał powietrze, oddech miał przyspieszony. - Ten ogień w hotelu. To pomyłka. Załatwiłem LeClerca. Głupi łajdak.

Jay znów próbował nim potrząsnąć.

- Przestań - wykrztusił Subasić. - Skontaktuj się z Diamentem. On wie, co trzeba zrobić. Powiedz mu wszystko.

- Nie wiem, kto to jest Diament - powiedział Jay. -Jak mam, się z nim skontaktować? Kto to jest? Kto należy do Komitetu Siedmiu?

- Obsydian nie żyje.

- Tak - rzekł cierpliwie Jay. - Wiem. Kim są pozostali?

- Siedem kamieni. Diament. Korund i Beryl go zdradzili. Nefryt, Onyks, Topaz. Obsydian nie żyje, zostało sześciu. Na początku było ośmiu. Twój dziadek miał pseudo Malachit.

- Mój dziadek? Niemożliwe! —wykrzyknął Jay.

- Diament to Liam FitzGerald. Zgłoś się do niego. Będzie wiedział, co robić.

Liam FitzGerald! Arogancki szef Allied Defense Industries. Uosobienie wszystkiego, co najgorsze w przemyśle zbrojeniowym. Nieraz się ze sobą ścinali.

- Kingsley - Subasić rzucił następne nazwisko.

- Graham Kingsley? Doradca prezydenta?

-James Rhodes. Wyatt Armstrong. Steven Strand.

- On też? - syknął Jay.

- Strand to Beryl. Skumał się z Korundem - Subasić dyszał konwulsyjnie.

-Nie umieraj. Nie umieraj — zaklinał go w duchu Jay. Opowiedz mi o moim dziadku. Mów mi o Strandzie. O Komitecie Siedmiu.

-Derek Clifford. Clark Hill. Ten nie żyje.

- To Obsydian? Subasić przymknął oczy.

- A Korund? Kto to jest? Subasić oddychał coraz słabiej.

- Kim jest Korund? - pytał Jay, ale Subasić nie odpowiadał. Jay wziął go za przegub i nie mogąc wyczuć tętna, położył mu dłoń na szyi. Krew jeszcze słabiutko pulsowała pod skórą.

- Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie tak. Odpowiedz na moje pytania.

-Jay... - głos Subasicia był już tylko szelestem listków trąconych tchnieniem powietrza.

-Jestem tutaj -Jay pochylił się nad nim i ujął go za rękę. Każdy umiera sam, pomyślał, ale może jest lżej, gdy ktoś nas trzyma za rękę.

- Nie zapomnij swojego dziadka. I nie pozwól, żeby za pomniano o moim.

- Kim był twój dziadek? - spytał Jay. Subasić z wysiłkiem podniósł powieki.

- Nazywał się Tesla - wydyszał chrapliwie. - Nikola Tesla. Ręka Subasicia zwiotczała w dłoni Jaya.

Rozdział 28

Luksemburg, 21 grudnia

Kto tam? - spytała Alexandra zaspanym głosem. – To ja, Jay. Gdyby Alexandra zastosowała się do jego instrukcji, powinna teraz swoją czterdziestkę czwórkę magnum trzymać gotową do strzału na wysokości jego bioder. Pocisk przebiłby łatwo drzwi, przeszedł na wylot przez jego ciało, wniknął w ścianę, jaką miał za plecami, i prawdopodobnie nie zatrzymał się w niej, lecz wypadłby na zewnątrz w zimną czerń przedświt.

Jay słyszał przez drzwi, jak Alexandra odciąga zasuwę zamka, zdejmując łańcuch i odsuwa barykadę z mebli.

- Wchodź - powiedziała, rozwierając drzwi z bladym uśmiechem. W prawej, luźno zwisającej ręce miała rewolwer zwrócony lufą do dołu. Po wpuszczeniu Jaya ponownie zamknęła drzwi na wszystkie spusty. W pokoju paliła się tylko lampka przy łóżku, rzucając krótkie, przyjazne cienie.

- Ci, którzy chcieli cię zabić, już nie żyją - oznajmił posepnie Jay.

- Czy to ty...?

- Nie. Kto inny. Usiądź, opowiem ci wszystko.

Alexandra zadzwoniła po kawę i rogaliki, po czym siadła na brzegu łóżka. Jay przysunął sobie do niej fotel na kółkach i streścił zdarzenia minionych dwóch godzin. Alexandra słuchała w napięciu, robiąc notatki na hotelowej papeterii.

- Najprawdopodobniej obserwowali hotel, licząc na to, że ich doprowadzą do Subasicia - mówił Jay. - Ale chyba tylko jeden z nich szedł za mną do parku.

- Może kalkulują, że po śmierci Subasicia ty jesteś jedynym ogniwem wiodącym do kryjówki Fischera.

- Brałem to pod uwagę - przytaknął Jay. - Głównie dlatego poszedłem od razu do ciebie, a nie do swojego pokoju. Powinniśmy ulotnić się stąd jak najszybciej.

- Ale dokąd? - spytała.

- Do mojego biura. Są tam też lokale mieszkalne. Jest to ryzykowne o tyle, że będą nas tam śledzić, ale wybieramy mniejsze zło. Poza tym jutro dostaniemy posiłki.

Alexandra popatrzyła na niego pytająco.

- Dziś miał przylecieć szef ochrony w mojej firmie. Jego samolot powinien wylądować kwadrans temu. Pewnie będzie na miejscu przed nami. To znakomity gość. Zabrał ze sobą swoich ludzi. Będziemy tam bezpieczni.

- Myślę, że... - odezwała się Alexandra i urwała, bo zapukano do drzwi.

Jay zerknął przez wizjer, po czym dał znak Alexandrze, żeby otworzyła.

Był to boy z tacą, którą odebrała, podczas gdy Jay stał za drzwiami z bronią w ręku.

- Chciałaś coś powiedzieć - przypomniał Jay, kiedy usiedli do śniadania przy małym stoliku w narożniku pokoju.

- Mniejsza o to, nieważne - wzruszyła ramionami z uśmiechem, który Jay odwzajemnił.

Przed fasadą siedziby ECM zatrzymały się trzy citroeny. Rozwidniało się, ale opornie, ledwie na tyle, by pobladły gwiazdy.

Natychmiast po wyłączeniu silników z każdego auta wyskoczyło dwóch mężczyzn. Dwaj pobiegli w górę ulicy, dwaj w dół, przepatrując boczne zaułki, bramy, wjazdy, zaglądając wszędzie tam, gdzie mógłby się ktoś ukryć. Trzecia para, ze środkowego citroena, lustrowała budynek firmy i sąsiednie kamienice.

Wtem po drugiej stronie ulicy rozległ się krótki okrzyk, a po nim odgłos szamotaniny.

- Za mną! - rzucił Doug Denoff i pobiegł w tamtym kierunku, a za nim jego partner. W półmroku u wylotu uliczki prawie naprzeciw ECM leżał powalony na ziemi osobnik, nad którym przykłękło dwóch ludzi Denoffa.

- Miał to przy sobie, panie pułkowniku - powiedział jeden z nich, podając mu Colta Pythona magnum, kaliber .44 z cylindrycznym tłumikiem średnicy bańki do zupy. Denoff zbadał broń, poświęcając sobie ołówkową latarką.

- Brak numeru seryjnego - stwierdził, wręczając rewolwer podwładnemu. - Jakaś służba specjalna. Być może nasza - mruknął. - Weźcie go do środka, może się wyjaśni, skąd ma tę zabawkę.

- Rozkaz, pułkowniku - rzekł jeden z ludzi Denoffa, który mimo że od dość dawna opuścił czynną służbę, wciąż tytułowany był przez wszystkich pułkownikiem i nie miał nic przeciwko temu.

Ruszyli razem z jeńcem do wejścia do ECM, gdzie czekali już na nich pozostali dwaj ochroniarze.

Schodząc wraz z innymi w dół do pomieszczenia zajmowanego przez sekcję ochrony, Denoff pogwizdywał pierwsze takty trzeciego Koncertu Brandenburskiego Jana Sebastiana Bacha.

Winda sunęła ospale w górę. Hotel zaczynał się budzić. Wstawali goście, spieszący się na wczesne pociągi i samoloty. Jay i Alexandra spakowali się błyskawicznie. Jay przed wyjściem przejrzał szybko rzeczy Subasicia, licząc, że może natrafi na coś, co może mu dać jakieś ważne wskazówki. Jednak Jugosłowianin był zawodowcem i nic w jego bagażu nie wskazywało, że mógłby być kimś więcej niż zwykłym amerykańskim turystą.

Winda wreszcie dotarła na ich piętro, leniwie się otwierając. Weszli do środka i nacisnęli guzik parteru.

Recepcjonista dość natrętnie się im przyglądał, gdy poprosili o rachunki za pobyt; hotelowy boy podstawił tymczasem volvo Fleminga. Dziwną ciekawość recepcjonisty Jay tłumaczył swoim niewyspaniem i napięciem nerwów, a także i tym, że nawet najlepsze hotele zwykły zatrudniać na nocną zmianę różne przypadkowe osoby.

- Jeszcze moment, m'sieur - rzekł recepcjonista. - Mamy przejściowy kłopot z komputerem, ale za chwilę wszystko będzie w porządku - uśmiechnął się przepaszająco, wzruszając bezradnie ramionami.

Jego zachowanie wydało się Jayowi osobliwe, ale już nie zwrócił uwagi, że recepcjonista wycofał się do małej niszy z telefonem i rozmawiał z kimś przyciszonym głosem.

Jay spojrzął na zegarek.

- Wszyscy zwalają winę na komputery - powiedział dobrodusznie - ale wiadomo przecież, że wykonują one tylko polecenia ludzi. Za każdą usterkę odpowiada człowiek.

Alexandra uśmiechnęła się niewyraźnie. Recepcjonista działał jej na nerwy. Popatrywał na nią raz po raz i miała wrażenie, że ją rozpoznaje.

Boy w liberii wręczył Jayowi kluczyki od volvo.

- Wóz stoi tuż przed frontowym wejściem, proszę pana - powiedział po angielsku i Jay dał mu napiwek, po czym obrócił się ku recepcji. Przygotowywanie rachunku trwało nienaturalnie długo.

W oddali odezwało się pojękiwanie syreny. Recepcjonista gdzieś zniknął. „Co jest?” - rozzłościł się Jay. Podniósł klapę kontuaru i wszedł na zaplecze recepcji. Nikogo. „Nie do wiary” - rzucił głośno, odwrócił się, żeby wyjść i stanął jak wryty. Do tylnej ścianki lady przyklejona była nieudolna podobizna Alexandry. Zerwał ją momentalnie.

- O co chodzi? - zapytała Alexandra z wyrazem niepokoju w oczach.

Jay zatrzymał przez chwilę wzrok na rysunku, zaopatrzonym w informację po angielsku, niemiecku i francusku, cisnął go Alexandrze i wybiegł z powrotem do holu. Syrena zawodziła teraz dużo głośniej i to chyba nie tylko jedna.

- W nogi! - Jay chwycił cały ich bagaż i popędzili do volvo.

Człowiek za kierownicą dostawczej furgonetki lawirował pośród wąskich staromiejskich uliczek, co było tym trudniejsze, że wioził wyjątkowo ciężki ładunek.

On też usłyszał syreny i zaniepokoił się. Był notowanym kryminalistą i chociaż zlecenie, jakie wykonywał, nie wydawało się na pozór lewe, wiedział, że musiało być inaczej. W przeciwnym razie nie zapłacono by mu tak hojnie. Ale syreny cichły, najwidoczniej działo się coś w innej części miasta.

Odetchnął z ulgą, skreślił raz i drugi, zatrzymując się co jakiś czas, żeby sprawdzić na mapie czy nie błądzi. Wreszcie znalazł poszukiwaną ulicę i jechał nią wolno, by w mdłym świetle poranka nie przegapić właściwego numeru domu. Ujrzał go na solidnej, szarej kamienicy, przed którą parkowały trzy Citroeny.

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami stanął dokładnie przed budynkiem i nie gasząc silnika wyniósł z furgonetki dużą tacę z ciastkami i bułeczkami.

Następnie przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w holu niedużego apartamentowca, gdzie postawił szybko tacę na podłodze i zbiegł po schodach do suterenu.

Usłyszawszy lekkie gwizdnięcie, uśmiechnął się i przystanął.

- Jest druga połowa? - spytał, nie widząc w ciemności osoby, do której się zwracał.

- Tak - usłyszał. - Dostaniesz resztę zapłaty.

Kierowca furgonetki postąpił odczoczo w przód i w tej samej chwili ostrze brzytwy rozcięło mu gardło tak szybko, że nie zdążył nawet wydać jęku.

Luksemburg, 21 grudnia

Jay widział we wstecznym lusterku błyski świateł policyjnego samochodu.

- Kierownik wybiegł przed hotel - informowała go Alexandra, klęcząca na sąsiednim fotelu tyłem do kierunku jazdy. - Wskazuje nas ręką. Jadą za nami dwa wozy policyjne.

- No, to trzymaj się - powiedział Jay, wciskając pedał gazu do oporu. Mogli jechać tylko w dwa miejsca - do biur ECM albo za miasto do wsi, gdzie Subasić ukrył Fischera. Ale Jay nie chciał, by policja tam za nim trafiła, miał natomiast nadzieję, że w mieście Denoff znajdzie jakiś sposób na splawienie policji, przynajmniej do czasu przejścia papierów Tesli.

O tej porze ruch uliczny był jeszcze słaby i policja ich doganiała. Nie można było jej zgubić na szerokich prostych ulicach. Nie zwalniając, Jay wziął zakręt w prawo i wypadł z bulwaru Konrada Adenauera na prawie pusty plac parkingowy przed Europejskim Bankiem Inwestycyjnym.

- Wciąż jadą za nami - powiedziała Alexandra.

Jay pojechał w kierunku Nieder Griinewald, zalesionego terenu za rzeką Alzette, po przeciwnej stronie dzielnicy staromiejskiej, gdzie zapewne wciąż leżał martwy Subasić. Przed Rue de Trois Glands droga znacznie się zwężyła i na gorszej nawierzchni volvo zaczęło zyskiwać przewagę. Policjanci nawet na względnie krótkich odcinkach tracili ich z oczu.

Jay pojechał w dół w stronę łuków wiaduktu kolejowego, który biegł równolegle do rzeki, ale zaraz po wejściu w tunelowy przejazd musiał przydeptać nagle hamulec. Uliczka kończyła się tuż przed nimi przy Rue Vauban. Tylne opony auta zapiszczały i samochód zaczynał wpadać w poślizg. Zdjął nogę z hamulca, żeby odzyskać przyczepność, mimo to światło na końcu tunelu było coraz bliżej i samochody przeciwnające Rue Vauban powiększały się w oczach.

Hamując pulsacyjnie Jay zdołał zatrzymać ślizgające się auto u podnóża pagórka. Z oddali dobiegało skowyczenie syren. Ryzykowna jazda dała im zaledwie kilka sekund przewagi.

Nie zważając na czerwone światło i gniewne buczenie klaksonów, włączył się do ruchu na północ, przejechał Rue de Pont, skręcił w lewo i pojechał pod górę brukiem uliczki, która zdawała się być przylepiona do pionu urwiska.

Pierwsze policyjne auto, wypadając z tunelu jak pocisk, wbiło się w tył długiej ciężarówki wyładowanej ziemniakami. Impet uderzenia otworzył jej klapy i na jezdnię spadła brązowa, kartoflana lawina.

- Och, Boże! - wykrzyknęła Alexandra. Za moment drugi policyjny samochód wpakował się w ziemniaki, zarzuciło go i zatoczywszy koło oparł się na swoim koledze. Alexan-dra wybuchnęła śmiechem.

- Sfiksowałaś? - spytał jak najpoważniej Jay.

- Wiem, że nie powinnam, ale... - znowu parsknęła śmiechem, a kiedy opisała, co się stało, lekki uśmiech zagościł również na twarzy Jaya.

Zatrzymał się przed znakiem stopu przy Boulevard Jean Uleveling.

- Opuść szybę z twojej strony - polecił. - Słyszysz? Inne syreny. Z której strony?

Przechyliła głowę. Nasłuchując.

- Nie potrafię powiedzieć - potrząsnęła głową.

- Nieważne - powiedział, skręcił na prawo, a przy Cote d'Eich w lewo. Siedziba ECM była tuż, tuż.

- Pieprzony idioto - zaklął Denoff, wściekle patrząc na pojmanego na ulicy człowieka. - Wyciągniemy z ciebie wszystko, choćbyśmy mieli cię ukatrupić.

Mężczyzna milczał. Krwawił z poobijanej twarzy.

- Nie chciałbym być dla ciebie nieprzyjemny - dodał poważnie Denoff. - Ale dojdzie do tego, jeśli nadal będziesz odmawiał współpracy z nami.

Podszedł do wąskiego okienka sutereny, jakie wychodziło na ulicę. Pogwizdując partię fletu z koncertu Purcella zastanawiał się, jaką zastosować taktykę, by więzień przemówił, zanim zacznie łamać jego opór. Nie cierpiał tego organicznie.

- Od dawna stoi tam ta furgonetka? - warknął gniewnie.

Ludzie Denoffa popatrzyli na siebie. Jeden z nich pod biegł do okna. Więzień uśmiechnął się.

- Biegiem na górę! - rozkazał i pierwszy rzucił się ku schodom, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Samochód policyjny odnalazł ich o przecznicę przed skretem do biur ECM.

Zerknął z ukosa na Alexandrę. Siedziała obok niego, obojętnie spozierając na mury kamieniczek w wąwozie ulicy, niczym na ściany tunełu z okna pociągu.

Nabrał dla niej podziwu. Ona się najzwyczajniej śmiała! Pomyślał, że warto będzie jeszcze pożyć, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Kierownica pulsowała mu pod dłońmi, volvo trzymało się pewnie nawierzchni, nawet jeśli to były kocie łby lub średniowieczna kostka brukowa. Gaz i hamulec, ominąć tę dostawczą półciążarówkę, gaz, hamulec. Policja nie mogła ich dogonić, ale była tylko o sekundy z tyłu, no i miała radio.

Na każdym rogu Jay mógł się spodziewać innego radiowozu, który przetnie mu drogę.

Z bocznej ulicy wyjechała furgonetka. Jay skrecił, co Alexandrę kosztowało uderzenie barkiem w drzwi. Autem szarpnęło, bo lewe koła wskoczyły na krawężnik i gdyby nie pozapinane pasy nie utrzymałoby się w fotelach. Jay wprowadził volvo z powrotem na jezdnię i pruł dalej przed siebie, a ostatni zakręt pokonał jak bejsbolista kończący bieg wślizgiem na bazę. Przed ECM stała jakaś furgonetka, na chodniku Denoff wymachiwał gwałtownie rękami, z sąsiednich domów wybiegali ludzie, inni do nich wbiegali, gromadzili się gapie.

W kilka sekund po volvo przy wtórze syreny wpadło w ulicę auto policyjne i ścinając za szybko róg uderzyło w sznur zaparkowanych przy chodniku samochodów. Policjantom nic się nie stało, wysiedli szybko z bronią w rękę.

- Uciekajcie! - krzyczał Denoff. - Prędko!

Jay zahamował raptownie auto i chciał wysiąść, ale Denoff podbiegł do pół otwartych drzwiczek i zatrzasnął je, wołając:

- Spieprzaj stąd! Migiem! -Ale...

- Bez pytań. Znikaj! Grozi ci śmierć. Jay z impetem ruszył naprzód.

- Kto to? - spytała Alexandra.

- Doug Denoff. -Ach, tak...

- Gdzie są gliniarze?

- Koło furgonetki z piekarni.

- Jest zamknięta, szefie - powiedział do Denoffa rudowłosy osiłek.
- Zgadujesz, co to może być, prawda?
- Tak jest. Libański specjał. Widziałem sporo takich w Bejrucie.
- Widać coś przez szyby?
- Nic. Są zaklejone gazetami.
- Nastawione jest chyba urządzenie zegarowe. Inaczej odpaliliby to, kiedy nadjechał Fleming. Chodzi im raczej o biura, nie o ludzi. Teraz jest tam tylko ochrona. Leć i powiedz, niech wszystko zamkną i zgłoszą się tu do pomocy. I zadzwoń do glin albo nie - spojrzał na dwóch policjantów snujących się bezradnie po ulicy - wezwij wojsko, chociaż nie wiem czy się na coś przyda. I trzeba ewakuować mieszkańców, ostrzec ich przez głośniki. Wybuch może rozpieprzyć wszystko dookoła.

Rudzielec popędził do budynku, ale nie dane mu było do niego dobiec.

Jay dotarł do następnej przecznicy i zastanawiał się, dokąd jechać dalej, gdy różowiejąca poświata poranka przekształciła się nagle w potworną pomarańczową żagiew, która zapłonęła na niebie ogromnym stosem ognia. W kilka sekund potem potężny podmuch uniósł volvo w górę i cisnął je prosto w szklaną witrynę niewielkiej masarni.

Tuż przed utratą przytomności w pamięci Alexandry pojawiło się zdjęcie bejruckiego hotelu, który terroryści obrócili w perzynę za pomocą samochodu pułapki.

Rozdział 30

Luksemburg, 21 grudnia

Jak twoja głowa? - spytał troskliwie Jay Alexandry, która od chwili przyjazdu z Luksemburga do Hamm nie opuszczała sofy.

- Dzięki aspirynie lepiej.
- Mają tu pewnie coś bardziej wzmacniającego, gdybyś miała ochotę.

- Nie. Chcę po południu mieć zupełnie jasny umysł.

Jay pochylił się i obejrzał stłuczenie na jej skroni. Skóra nie pękła, ale guz nabral barwy dojrzalej śliwki.

- Jak uważasz - uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

- To było miłe - powiedziała, przytrzymując go za rękę. - Jeszcze raz, proszę. To zabieg czysto leczniczy.

Spojrzała na Jaya. Nigdy nie zapomni wyrazu jego oczu po powrocie z miejsca eksplozji, która unicestwiła wszystko, co było w pobliżu. Wyczytała w nich smutek, niepokój o nią, ale także gniew i determinację, by nie cofać się z drogi, na którą wszedł.

Teraz odwrócił się i rozmawiał z Fischerem oraz dwoma strzegącymi go agentami. Coś go wyraźnie trapiło.

Alexandra usiadła i zamknęła oczy pod wpływem bólu. Po chwili wstała i poszła do łazienki.

Zerknąwszy przez zasłonki w oknie stwierdziła, że na parkingu nie ma już auta, które Jay ukradł, żeby mogli wydostać się z miasta. Potem kazał obu agentom pozbyć się go, a sam został przy niej, pilnując także Fischera.

Pod stopami zaszeleściły jej poranne gazety, rzucone na posadzkę łazienki. Dostrzegła, że drukowały jej niezdarne portret, taki sam, jaki Jay zabrał z recepcji hotelu. Oskarżano ją o zabicie Dvoraka, a także Sweeny'ego, chociaż to on usiłował ją zamordować przed biurem Fischera. Zniknięcie bankiera też wiązano z jej osobą, przypuszczając, że został porwany. Jay i agenci byli przekonani, że te informacje pochodzą od kogoś z zewnątrz, gazety zamieszczały szczegóły, do których policja nie mogłaby się dokopać.

Jay podejrzewał Stevena Stranda, ale był to tylko nie poparty niczym domysł. Tak czy owak sugerowano nawet, że Alexandra może mieć coś wspólnego ze śmiercią Lee Goldberga.

- Towarzyszu Bielenko, uważajcie się za aresztowanego. Pod zarzutem zdrady.

Pasza Bielenko odwrócił się powoli zza biurka i spojrzał na człowieka, który tak obcesowo wtargnął do jego gabinetu.

Był to nie kto inny, lecz jego zwierzchnik generał Jurij Dawidowicz. Bielenko nie był całkowicie zaskoczony jego przybyciem, miał swoje życziwe wróbelki. Jednak generał zjawiał się szybciej, niż się Pasza spodziewał.

- Witam, towarzyszu Dawidowiczu - odpowiedział uprzejmie.

- Nie musicie się pakować, Bielenko - rzekł Dawidowicz.

- Samolot już czeka na lotnisku. Wasze rzeczy spakuje się i polecają za wami - oznajmił i zamarł, widząc w ręku Bielenki archaiczny nagan, kaliber 7,62 mm.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi i usiąść, towarzyszu generale - poprosił Bielenko, trzymając broń na wysokości brzucha Dawidowicza. - Nie zajmę wam dużo czasu.

Dawidowicz spojrział niepewnie na Bielenkę, po czym przeniósł wzrok na swobodną przestrzeń za wpółotwartymi drzwiami.

- Nie radzę - powiedział spokojnie Bielenko. - Zanim przekroczy pan próg, zdążę umieścić w panu ze trzy pociski. Zapoznawał się pan przecież osobiście z wynikami moich ćwiczeń strzeleckich.

Dawidowicz pchnął drzwi, które same się zatrzasnęły, i siadł na krześle po drugiej stronie biurka Bielenki.

- Nie, nie na tym, tutaj - wskazał mu lufą rewolweru krzesło stojące z boku biurka i Dawidowicz usłuchał.

Ogromny korpus generała wypełnił bez reszty wąskie siedzenie krzesła. Dawidowicz miał na sobie galowy mundur KGB z medalami i odznakami służbowymi. Wysoki na ponad metr dziewięćdziesiąt, ważył co najmniej sto trzydzieści kilogramów. Miał kwadratową, rumianą twarz, czarne, płonące teraz furią oczy, krzaczaste siwawe brwi i także włosy, wciąż gęste pomimo pięćdziesięciu pięciu lat.

- Skąd wytrzasnąłeś ten zabytek? - spytał, wskazując na nagan.

- Należał do mego dziadka - wyjaśnił Bielenko. - Pamiątka rodzinna. Broń, którą pierwsza zaczęła używać carska armia.

- Raczej niebezpieczna pamiątka.

- Mój dziadek strzelał z niego do Białych. Mój ojciec zabijał nim fałszywców podczas wojny ojczyźnianej. Ja wykonywałem nim wyroki na zdrajcach.

- A obecnie zamierzasz zastrzelić z niego komunistę. Ma to teraz dla ciebie jakieś specjalne znaczenie?

- Tak - odparł, patrząc na generała bladymi, wodnistymi oczami. - Mam zamiar zabić dobrego komunistę i lojalnego patriotę. Ale najpierw, generale, powiem, że wiem dobrze, co mi pan chciał powiedzieć. To mianowicie, że mój kontakt z tym Amerykaninem zagroził...

- Zrujnował.

- Kompletnie zrujnował specjalną i wysoce poufną misję dyplomatyczną, która miała na celu naprawę naszych stosunków z Jugosławią. Zniszczyłem kruchy pomost zaufania, jaki po latach wysiłków udało nam się zbudować między naszymi państwami. Pokolenia nie starczy, by znowu mogli nam dać wiarę. Czy to właśnie miałem usłyszeć? I dlatego muszę ponieść karę? Ja i moja rodzina? Moje dzieci?

- Nie, Pasza - odezwał się łagodnie Dawidowicz. - Popeliłeś błąd. Duży błąd, owszem. Ale aresztowanie cię to zwykła formalność, potrzebna do uśmierzenia gniewu żadnej krwi wierchuszki. Czy nie byłem ci przyjacielem przez tyle lat? Czy cię nie popierałem? Gdy wrzawa ucichnie, oskarżeniu nie nada się biegu i powrócisz do służby. Twojej żonie, twojej rodzinie nic to nie zaszkodzi.

Brzmi to bardzo miło, bardzo kusząco, pomyślał Bielenko. Ale i on nieraz kłamał w taki sposób. A ze strachu o życie mówi się wszystko, byle je ocalić. Nie, Dawidowicz nie dotrzyma słowa. Jeśli nie stanie przed plutonem egzekucyjnym, to w najlepszym razie pójdzie do łagru. A jego córka... To boli najbardziej. Będzie szykanowana, usuną ją ze szkoły dla dzieci prominentów.

- Niech pan powie, generale - odrzekł, ignorując obietnice Dawidowicza - dlaczego te papiery są takie ważne?

- Pozwól, że odpowiem na to pytaniem - odparł Dawidowicz, rad, że rozmowa się przeciąga. Im dłużej będzie trwała, tym większa szansa, że Bielenko zrobi jakiś błąd. -Jaką moglibyśmy mieć korzyść z unieruchomienia wszystkich komputerów na Zachodzie?

Bielenko popatrzył na generała tak, jakby ten zabił mu nie lada ćwieka. Postanowił kontynuować tę grę.

- Wszystko na Zachodzie opiera się na komputerach - stwierdził. - Banki, łączność telefoniczna, wszelkie systemy uzbrojenia. Bez komputerów byliby bezradni. Uważają, że komputery o najwyższej technologii zrównoważą naszą przewagę liczebną. Pozbawieni komputerów będą zdani na naszą łaskę.

- Prawidłowo - Dawidowicz uśmiechnął się na moment, po czym jego twarz przeobraziła się nagle w odrażającą maskę furii i frustracji. - I te papiery dawały nam właśnie taką możliwość. Broń, którą można stworzyć oraz udoskonalić dzięki tym papierom, pozwoliłaby nam przeciążyć i zniszczyć każdy obwód elektryczny, w każdym obwodzie scalonym na Zachodzie. Moglibyśmy cofnąć Zachód do czasu sprzed ery

elektrycznej, gdybyś... gdybyś nie... - oblicze generała wykrzywiło się, rozedrgało i spęzczało apoplektycznie, a tętnice szyjne nabrzmiały mu jak postronki.

- Spokojnie, generale, bo dostanie pan udaru - powiedział Bielenko, podkreślając swoje słowa ruchem nagana.

- Radzisz mi się uspokoić? - głos Dawidowicza poszybował wysoko w rejony hysterii. - Zaprzepaściłeś naszą największą szansę na pokonanie Zachodu i mówisz mi, żebym był spokojny?

- Tak — powiedział stanowczo Bielenko. Dawidowicz tylko potwierdził to, co wiedział wcześniej ze swoich źródeł. Miał już za sobą wściekłość na własną głupotę, poznał udrękę bezsennych nocy, już przemyślał setki razy sto różnych sposobów na życie.

- Powinien pan zachować spokój w takich okolicznościach, jak ta, generale - rzekł cicho Bielenko, z nutą rozmarzenia w głosie, która śmiertelnie wystraszyła Dawidowicza. Był to głos człowieka, który jest gotowy na wszystko. - Uczy się nas, że nie wolno nigdy tracić spokoju, bo to pozwala myśleć i działać logicznie aż do końca, do ostatniej sekundy.

Podniósł rewolwer i celował, przymrużywszy lewe oko.

Widząc to, Dawidowicz zadrzał. Gdzieś w zakamarku umysłu zarejestrował ciepło, które z krocza, rozprzestrzeniło mu się po spodniach.

I wtedy Pasza Bielenko włożył sobie do ust nagan po dziadku i naciśnął język spustowy.

Rozdział 31

Luksemburg, 21 grudnia

Droga z kryjówki w wiosce Hamm do miasta upłynęła bez przeszkód. Pojechali granatowym mercedesem limuzyną o przyciemnionych szybach, wynajętym nie wiadomo gdzie przez CIA. Fischer i jeden agent siedzieli z przodu, Alexandra i Jay z tyłu, naprzeciw drugiego agenta na odchylanym siedzeniu. Kierowcy udało się zaparkować naprzeciwko banku. Zaraz potem przejeżdżały obok kolejno dwa samo-

chody policyjne, ale elegancka limuzyna nie wzbudziła ich podejrzeń. Nikt się nie odzywał. Wszyscy popatrywali raz po raz na zegarki.

Fischer wyszedł ze swojej ponurej powłoki, spodobało mu się, że na jego osobie skupia się główna uwaga, dowcipkował ze strażnikami. Do Jaya się nie odzywał, chyba że było to konieczne. Nie mógł mu darować doznanego upokorzenia. Pogodził się z tym, że rozpocznie zupełnie nowe życie. Postanowił, że osiadzie w Kostaryce. Ludzie z CIA zapewniali go, że znajdzie tam gwarantowaną anonimowość.

-Już czas -Jay przerwał niespokojne milczenie. Wszyscy machinalnie spojrzeli na zegarki. Fischer skinął głową.

Agent na odchyłanym siedzeniu również. Szofer wyskoczył z auta i otworzył drzwi Fischerowi i Flemingowi.

Słońce wcale nieźle przygrzewało i Jay zdjął płaszcz, wręczając go agentowi. Rozejrzał się po ulicy, starając się robić wrażenie kogoś, kto chce się nacieszyć nienaturalnie ciepłym zimowym dniem.

- Chodźmy, chodźmy - ponaglił Fischer. - Nie możemy tu stać bez końca. Jeszcze nas kto rozpozna. Ruszył w kierunku schodów, a Jay pospieszył za nim.

Fischer pchnął ciężkie szklane drzwi i wszedł do mrocznego foyer, pustego z wyjątkiem biurka, za którym siedział umundurowany strażnik. Jak w wielu prywatnych europejskich bankach i tutaj wizyta musiała być zapowiedziana. Strażnik natychmiast poznał Fischera.

-Guten Tag, Herr Fischer - powitał go. - Herr Neudorf oczekuje pana. Nacisnął guzik pod blatem biurka, otwierając drzwi w głębi foyer. Fischer wszedł w nie bez wahania, a Jay tuż za nim, po czym drzwi automatycznie się za nimi zamknęły.

Neudorf przywitał się z Fischerem, wylewnie, jak złodziej ze złodziejem. Rzucił okiem najaya, ale że Fischer go nie przedstawił, więc go zignorował.

O trzeciej po południu zjawił się jeden z asystentów Neudorfa i poprosił go o pomoc przy otwarciu wejścia do skarbcza, bo coś szwankowało w urządzeniu zegarowym.

Po kilku minutach Neudorf powrócił z przewiazaną sznurkiem brązową, kartonową teczką z bokami w harmonijkę. Zamierzał ją podać Fischerowi, ale Jay wszedł pomiędzy nich i wyjął mu teczkę z rąk.

- Przepraszam, panowie - oświadczył - ale to moja własność.

Fischer i Neudorf spojrzeli na niego wrogo, ale żaden nie ruszył się z miejsca, a Jay położył teczkę na stole w rogu gabinetu i rozwiązał sznurki. Wyjmował powoli jej zawartość, podczas gdy Fischer z Neudorfem doprowadzali transakcję do końca. Fischer przekazał Neudorfowi łańpówkę, po czym otrzymał od niego pozostałość swych pospiesznie zlikwidowanych aktywów. Bank Neudorfa odkupił nawet budynek biurowy Fischera oraz dom, w którym mieszkał.

Jay szybko przeglądał wyjmowane z teczki dokumenty. Sądził, że będą to kserokopie, ale były to oryginały, przeważnie w stanie nienadającym się do skserowania. Jay nie wykluczał jednak, że Jugosłowianie zadbali o wykonanie fotokopii. Ale nawet w takim wypadku nie wszystkie dałyby się w całości odczytać.

Zafascynowany widokiem zapisków Tesli nie zważał na chciwe targowanie się obu bankierów. Tesla miał nadzwyczajny umysł, ogarniał nim wiele odmiennych dziedzin, aczkolwiek sławę zawdzięczał przede wszystkim badaniom prądu elektrycznego. Mówiono, że potrafił wyobrazić sobie dokładnie działanie swoich wynalazków i że wszystko to, co niezmordowanie szkicował i opisywał, było już całkowicie gotowym wytworem jego mózgu.

Jay prędko się zorientował, dlaczego tylu ludzi zginęło w dążeniu do zawładnięcia spuścizną Tesli. Broń, którą wymyślił i opracował, była uderzająco prosta i nadzwyczajnie skuteczna. I przerażająca. Posiadacz wiedzy zawartej w dokumentach Tesli mógł nieodwracalnie zmienić równowagę sił na świecie. I chociaż nie była to wcale ta ostateczna broń, jakiej poszukuje tak wielu uczonych, potęga jej w połączeniu z siłami zbrojnymi, tego kto nią dysponuje, byłaby niewzruszona. A teraz Jay miał zdecydować, jak w tej sytuacji postąpić.

W biurze Neudorfa było okropnie gorąco. Ciężkie, zgęszczone powietrze opieszale przenikało do płuc. W pierwszym odruchu miał ochotę zniszczyć wszystko. Ale szacunek dla nauki nie pozwalał mu na to. Wahał się.

Czuł brzemień odpowiedzialności, a jednocześnie dostrzegał szansę osobistej korzyści. W możliwościach ECM leżało wyprodukowanie tej broni, co uczyniłoby go bogaczem. Ale co mu przyjdzie z pieniędzy? Już teraz miał ich więcej niż było mu trzeba.

Mógł z wyprodukowanej broni zrobić prezent Stanom Zjednoczonym. Ale czy politycy wykażą się zdrowym rozsądkiem? Pokusa użycia broni może okazać się trudna do przezwyciężenia.

Przypomniały mu się przestrogi Subasicia. Istniał przecież ten projekt wykryty przez Copelanda i przekazany Lee Goldbergowi. Wynikało z niego jasno, że ktoś - Komitet Siedmiu, Liam FitzGerald, Klub Pasterza? - już prawie skonstruował broń i nawet wypróbowywał ją w ograniczonym zakresie. Blekaut w Nowym Jorku, zakłócenia łączności, awaria na Hawajach, liczne wyłączenia prądu, uszkodzanie sieci komputerowej... Lista jest długa. Czy to były tylko zwykłe defekty techniczne, czy skutek testowania impulsu elektromagnetycznego?

-Jeśli jest pan gotów - poczuł na ramieniu łapę Fischera - to może już sobie pójdziemy?

Jay szybko pobierał dokumenty i umieścił je z powrotem w teczce.

Fischer wyszedł z banku z posępną miną, jakby przygnieciony ciężarem czekającej go przyszłości, dźwigając cały swój majątek w pokaźnej teczce z cielecej skóry. Nie miał pojęcia, że to, co trzyma w ręku Fleming, warte jest znacznie więcej niż zawartość stu takich teczek.

Jay natomiast czuł się tak jak człowiek wypuszczony dopiero co z więzienia. Blask słońca dodatkowo poprawiał mu nastrój. Miał nadzieję, że niebawem znajdzie wyjście z dylematu przed jakim postawiły go papiery Tesli.

Szedł za Fischerem do samochodu. Kierowca wysiadł i otworzył im drzwi.

- Uciekaj, Jay! - usłyszał nagle głos Alexandry, zanim ucichł, stłumiony czyjąś ręką.

- Do środka! - rozkazał szofer, wciskając Jayowi między żebra lufę pistoletu. Niemal jednocześnie rozległo się głucho plum, po którym Fischer wydał krótki jęk i osunął się na bruk.

- Do środka, dupku! - krzyknął kierowca, po czym wbił Jayowi kolano w nerkę, wepchnął go w tył limuzyny i zatrzasnął drzwiczki. Jay padł na podłogę, a samochód jak rakieta oderwał się od krawężnika.

Jay próbował się szybko podnieść, ale cios w tył głowy pohamował jego zapędy.

- Wolnego, panie Fleming - usłyszał znajomy głos – bo będziemy zmuszeni zrobić kuku albo panu, albo pańskiej dziewczynce.

Podniósłszy posłusznie bardzo powoli głowę, Jay ujrzał przed sobą lufę rewolweru bardzo dużego kalibru. Nie był tym tak bardzo zdziwiony. Dużo bardziej zdziwiło go, że człowiekiem, który trzyma ten rewolwer, jest Steven Strand.

Rozdział 32

Luksemburg, 21 grudnia

Mercedes przemykał się zręcznie przez zatłoczone uliczki starego miasta. Jay, ciągle z łokciami i kolanami na podłodze auta, z trudem utrzymywał równowagę. Na czole i ramionach czuł chłodne dłonie Alexandry. W głowie miał wciąż szum po ciosie, jaki mu Strand zadał lufą rewolweru.

- Nasze drogi ciągle się krzyżują - wycedził Strand. - Proszę tylko bez żadnych wybryków. W przeciwnym razie ucierpi pani Downing. A pan, niestety, będzie musiał na to patrzeć. Proszę teraz sięść przy nas na kanapce.

Agent nadal tkwił na strapontenie, trzymając w ręku automatyczny pistolet. Strand siedział przy drzwiach, mając obok Alexandrę.

Jay próbował się unieść, ale opadł na ręce i Alexandra lekko krzyknęła.

- Nie ruszać się! - rozkazał Strand. - Niech pan Fleming sam sobie da radę. Pamiętam dobrze jego obłudne tyrady na temat przemysłu zbrojeniowego, który jest ociężałym monstrem niezdolnym utrzymać się na własnych nogach. I o niekompetentnej biurokracji karmionej rządowymi subsydiami. „Pogoda dla bogaczy”, tak pan to raczył określać, nieprawdaż?

Jay nie odpowiadał, pozostając nieruchomy i Strand szturchnął go w głowę ostrym szpicem swego włoskiego mokasyna.

- Co pan robi? - zaprotestowała Alexandra i ukłękła przy Jayu, oglądając miejsce na głowie, w które uderzył go Strand.

Kiedy Jay upewnił się, że zasłonięty jest przez nią tak, że Strand nie może widzieć jego twarzy, puścił do niej oko. Spłoszona, nie dała jednak po sobie nic poznać i usiadła po chwili z powrotem przy Strandzie.

- Chyba poważnie go pan zranił - stwierdziła, ale Strand nic nie odpowiedział i przez kilka minut jechali bez słowa.

- Zaraz was opuszczę - przerwał milczenie Strand. - Przykro mi, że walnąłem pana tak mocno. Muszę przyznać, że bardzo nam pan pomógł. Prawdę mówiąc, bez pana, nie dalibyśmy sobie rady. No i bez pani, moja droga - zwrócił się ku Alexandrze.

- Za kilka minut znajdziecie się na posterunku policji - ciągnął. - Na wasze kryminalne konto pójdzie dodatkowo zabójstwo Fischera. Przedtem było sześciu nieboszczyków w Amsterdamie, każdy z nich pracował w przeszłości dla CIA. Na różnych przedmiotach, należących do czterech z nich, są odciski palców Fleminga. Policja holenderska została już zaalarmowana i zapewne niedługo odezwie się do swoich luksemburskich kolegów. Bogdan Subasić dokładnie informował o przebiegu wydarzeń mojego sojusznika w Komitecie.

- Po zsumowaniu tych morderstw i dodaniu porwania, kradzieży oraz pomniejszych przestępstw wlepią wam dożywocie - uśmiechnął się triumfująco. - Na wasze szczęście w zachodniej Europie nie ma kary śmierci.

- A co najważniejsze, cały ten korowód nieboszczyków czyni z was renegatów, którzy storpedowali transakcję między Rosjanami a jugosłowianami. Oddała to wszelkie podejrzenia od rządu Stanów Zjednoczonych lub Komitetu.

- Nie możemy sobie pozwolić na zadrażnienia w stosunkach międzynarodowych. Odpowiedzialność za całą aferę spadnie na pomyłonego prywatnego obywatela oraz na jego... jak panią określić? Powiedzmy, przyjaciółkę, która chciała zagarnąć papiery wiedzioną żądzą zysku.

- Niech pan nie sądzi, że uda się panu z tego wyłgać - powiedziała Alexandra niezbyt pewnym głosem. - Złożymy zeznania przed sądem. Powiemy, jak było naprawdę, zostanie pan zdemaskowany.

- Wyśmieją was. Rzeczywiście uważa pani, że dadzą wiarę waszym słowom? Jesteście uwikłani prawie w tuzin morderstw. Porwaliście biednego pana Fischera. Frau Stahl to potwierdzi. W dodatku, policja aresztując was, znajdzie w samochodzie jego teczkę. Świadczy przeciw wam dużo więcej, ale nie chcę się nad tym rozwodzić. Spodziewacie się, że uwierzą w tę nieprzytomną historyjkę o naukowych notatkach, Komitecie Siedmiu i tajemnej broni, która unicestwia obwody scalone komputerów i wszelkie urządzenia elektryczne?

- Chciałbym chyba przy tym być - dodał po pauzie. - Pomyśleliby, że jesteście niespełna rozumu. Nie miałbym nic przeciwko temu, by świat wziął go - wskazał na Jaya - za kogoś, kto postradał rozum. Przyczynił mi mnóstwa kłopotów i zmartwień. Mało brakowało, a zrujnowałby moją reputację. Zawsze był solą w oku moich kolegów w przemyśle zbrojeniowym.

Kierowca wyprowadził limuzynę z ulicznych zatorów luksemburskiej starówki i jechali teraz znacznie szybciej.

- Wygląda na to, że doskonale umie pan planować - rzekła Alexandra. - Czy lubi się pan bawić w Pana Boga?

Strand uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Czasami. Każdy by lubił, tyle że bardzo niewielu nadarza się taka sposobność. Darowania komuś życia – znów spojrzął na Jaya - albo skrócenia go, jeśli to konieczne - w głosie Stranda zadrgały echa jakichś spraw niezupełnie przyjemnych. - Fleming nigdy nie powinien wchodzić mi w paradę.

- Trzeba dużo myśleć i planować, będąc Bogiem – zauważyła Alexandra.

- Przede wszystkim niezbędne są dobre informacje oraz umiejętność szybkiego, kreatywnego myślenia. Sami się w to wszystko dalszcie wmanewrować. Ja po prostu robię z tego użytek. Ale końcowy sukces w tej sprawie to wasza zasługa.

- Ale to pan od początku manipulował Subasicem i Jayem?

- Zagrali role, które napisałem dla nich wiele miesięcy wcześniej. Postępowali według mego scenariusza. Z tym że wmieszał się w to ten głupiec Hill.

- Czyli tak zwany Obsydian?

- Brawo - przyklasnął Strand z pozerskim podziwem. - Jak na kobietę, ma pani wyborną pamięć - dodał, wywołując chichot agenta na straponienie.

- Ale i Obsydian pod koniec zagrał dobry drugoplanowy epizod. Ja tylko dopisałem mu naprędce kilka kwestii.

Alexandra miała ochotę zareplikować, ale ugryzła się w język. Musieli się z Jayem jakoś wykaraskać z tej sytuacji i roztropniej było zachować zimną krew. Zamierzała mimo to jakoś zareagować, ale do głowy przychodziły jej same dosadne słowa. A nie chciała okazywaniem złości sprawiać Strandowi satysfakcji.

Limuzyna zatrzymała się przy niewielkim lasku.

- Przepraszam, że was opuszczam, ale czas na rozpoczęcie następnego aktu - oświadczył Strand wysiadając, a Alexandra w prześwicie otwieranych przez szofera drzwi dostrzegła, że na człowieka, który lubił wyřęcać Pana Boga, czeka srebrny, błyszczący rolls-royce.

- Nie życzę sobie żadnej fuszerki - przykazał agentowi i kierowcy w liberii, wręczając mu teczkę Fischera. - Najpierw poinformujcie policję, a potem wysadźcie ich przy Place de la Gare. Dworce są wprawdzie pod ciągłą obserwacją, ale nie zaszkodzi trochę wspomóc policjantów. Posadźcie ich gdzieś na ławce.

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i bez słowa zniknął we wnętrzu rolls-royce'a.

Limuzyna szybko ruszyła jadąc Avenue Kennedy i zbliżała się do dworca. Agent na odchyłanym siedzeniu trzymał wciąż na muszce bezwładnego Jaya. Alexandrze nie poświęcał zbytnej uwagi, najwidoczniej uważał, że jako kobieta nie stanowi zagrożenia.

- Chciałabym sprawdzić, czy jest przytomny - zwróciła się do niego Alexandra, patrząc na Jaya.

- Dobra, sprawdzaj - zgodził się agent.

Alexandra klękała i nachyliła się nad Jayem. Pobudzona determinacją dała o sobie znać elektryzującym dreszczykiem. Teraz! Wiedziała, że agent trzyma broń lufą do dołu, nie może dać się zabić, to byłoby bez sensu.

Podnosząc się powoli, przesuwiała się coraz bliżej agenta, tak że musiał odchylić lufę, by mogła się wyprostować. Strand mówił, że trzeba myśleć szybko i kreatywnie. Trudno byłoby o lepszą okazję, żeby to wypraktykować, pomyślała.

Rzucając się na agenta, lewym ramieniem podbiła mu w górę rękę z pistoletem. W pudełku auta odgłos strzału zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Pocisk wbił się nieszkodliwie w podsufitkę limuzyny.

Był to silny mężczyzna, ale zanim zdołał odepchnąć od siebie Alexandrę, uderzyła go pięścią między nogi, trafiając w jądra. Agent wrzasnął i oddał dwa mimowolne strzały.

Jay zerwał się jak wyrzucony z katapulty i wbił mu kolano w twarz aż chrupnęły kości. Alexandra wyjęła pistolet ze zwiotczalej dłoni agenta i skierowała go na szofera, który nagle zahamował i oboje z Jayem polecili do przodu. Limuzynę zarzuciło przy wtórze gniewnego be-

kania klaksonów. Kierowca jakoś wyprostował auto i wyrwał z kopyta do przodu, zwalając Jaya i Alexandrę z nóg. I zaraz potem rozdarł powietrze basso continuo klaksonu ciężarówki i trzask uderzenia w bok limuzyny, która jak pijana zaczęła obracać się w poprzek drogi, wywijając chwiejne piruety.

Raptem rozległ się przeraźliwy skowyt podobny do wycia syreny i ustał jak nożem uciął po tym, gdy limuzyna ze zgrzytem stanęła w miejscu. Minęła dobra chwila, zanim Jay zorientował się, że ten potężniejszy okrzyk trwogi wyrwał się z gardła szofera. Podźwignął się na nogi.

- Nie ruszać się, nie ruszać! - zawołał histerycznie kierowca.

Gdy Jay powoli usiadł, limuzyną zahuštało, zakołysało i przyczyna śmiertelnego strachu szofera zaraz się wyjaśniła.

Oto kolizja z ciężarówką posłała wirującą limuzynę prosto na bariery mostu Grande Duchesse Charlotte ponad pięćdziesięciometrową przepaścią nad rzeką Alzette. Limuzyna zawisła poprzecznie na metalowo-kamiennej balustradzie mostu, mając większą część maski ponad urwiskiem. I ciężar silnika stopniowo przechylał samochód coraz bardziej ku otchłani.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - rzucił Jay do szofera. – Przesuniemy się na drugą stronę, to przeważy trochę wóz.

Ostrożnie przemieścili się ku drzwiom i kiedy Jay je otworzył, limuzyna odzyskała nieco stabilności.

- Teraz - ponaglił Jay szofera. - Przełaż przez fotel. Im dalej się przesuniesz, tym mniejszy będzie przechył.

Twarz szofera była trupio biała, jakby uszła z niej cała krew i była gotowa do balsamowania. Siedział jak przykuty do fotela. Limuzyna lekko drgnęła.

- No, już! - zakomenderował Jay. - Bo jak wysiądziemy, auto poleci w dół.

Poderwany do działania mężczyzna przeniósł się na sąsiedni fotel.

Przez otwarte drzwi Jay widział biegnących ku limuzynie ludzi.

- Musimy wyskoczyć jednocześnie - powiedział Jay.

- Inaczej ktoś może nie zdążyć. - Gotów? - spytał, ale człowiek Stranda wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- O co chodzi? - zapytał Jay.

- Teczka. Teczka Fischera. Jest warta miliony.

- Daj spokój. Znajdziesz ją na dole.

Mężczyzna popatrzył nieufnie na Jaya, a potem na teczkę, leżącą na podłodze pod przednim siedzeniem. Sięgnął po nią i w tej samej chwili limuzyna stęknęła niczym raniony słoń i gwałtownie się poruszyła. Jay wypchnął Alexandrę na zewnątrz i dał susa za nią. Samochód z metalicznym chrzęstem ześliznął się niezgrabnie z krawędzi mostu. Trzy sekundy później usłyszeli straszliwy łoskot.

Nie czekając na nadbiegających ludzi Jay i Alexandra rzucili się do ucieczki. Towarzyszyło im echo rozdzierającego uszy wrzasku kierowcy limuzyny.

Rozdział 33

Los Angeles, 1 stycznia

Dzięki Bogu za KLM, pomyślał Jay, gdy Boeing 747 przechylił się najpierw zgrabnie, a potem wyrównał skrzydła przed podejściem do lądowania na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles. Spojrzał na zegarek. Wylądują z dokładnością niemal co do minuty. Rozprostował nogi i oparł się mocniej w fotelu, rozluźniając usztywnione mięśnie. Siedząca obok Alexandra drgnęła i oparła sennie głowę na jego ramieniu.

Miała za sobą ciężkie dwa tygodnie. Ale wytrzymała. Przetworzyła gniew po fałszywych oskarżeniach w przyływ energii, która pomogła jej w chwilach, gdy zaczynało ją ogarniać zniechęcenie.

Po wypadku na moście wrócili prędko na Stare Miasto i pojechali taksówką do biura Lena Hartkemeiera, który wcale nie zdziwił się ich widokiem.

- Wieści rozchodzą się szybko w Luksemburgu - powiedział i bez zwłoki zawiózł ich swoim citroenem do kryjówki w Hamm, skąd zabrali swoje rzeczy. Następnie bankier ulokował ich w swoim wypoczynkowym domku w belgijskiej wsi tuż za granicą z Luksemburgiem.

Za pieniądze można załatwić wszystko nawet między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, trzeba tylko wiedzieć, do których drzwi zaskukać. Hartkemeier sprowadził do nich z Antwerpii współpracującego

z półświatkiem specjalistę od dyskretnego zmieniania powierzchowności. Ten zmienił im totalnie uczesanie i ufarbował włosy na blond włącznie z brwiami i wżórkkiem łonowym, „na wypadek gdyby jakiś filc kazał wam się rozebrać”.

Ponadto Hartkemeier postarał się dla nich o nowe paszporty, dzięki którym stali się szwedzkimi obywatelami, małżeństwem Ingą i Larsem Svensson.

- Paszporty sporo kosztowały - wyjaśniał Hartkemeier - ponieważ są prawdziwe. Podrobione lub skradzione to śmiertelne zagrożenie. Te są całkowicie bezpieczne.

Nagabywany, nie chciał zdradzić, w jaki sposób zdobył prawdziwe szwedzkie paszporty.

- Tajemnica handlowa - żartował. - Gdybym wam powiedział, w razie następnych kłopotów okazałbym się wam niepotrzebny.

Policja wprawdzie szybko zamroziła osobiste i firmowe konto Jaya, ale bankier bez oporów pokrył z własnej kieszeni wszelkie wydatki. Jay zaferował mu w zamian brylanty, ale Hartkemeier odmówił.

- Przydadzą się wam bardziej niż mnie - oświadczył. - Mam do ciebie zaufanie. Oddasz mi, gdy się z tego wyplaczesz.

Pilot wypuścił podwozie. Boeing zwolnił i zniżał lot nosem ku ziemi. Alexandra poruszyła się. - Jesteśmy? - spytała półprzytomnie. - Jesteśmy razem cały czas - odparł żartobliwie.

- Och, wiesz, co mam na myśli — siadła prosto i spojrzała na niego. Podczas snu na twarzy odcisnęły się jej prążki sztruksowego żakietu. - Czy to już nareszcie LA? - odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów.

- Tak, to wreszcie LA.

Patrząc przez okienko obserwowała, jak maleńkie figury geometryczne wytyczone rdzawym światłem sodowych latarń przeobrażały się w domy, budynki i ulice biegnące szpalerami palm. Przelecieli nisko nad jaskrawo oświetlonym owalem toru wyścigów konnych w Hollywood Park, po czym samolot poszybował w dół ponad szeregiem hoteli przy Sepulveda Boulevard i ostrożnie siadł na runwayu, hamując na wstecznym biegu czterech potężnych silników.

Alexandra wzięła rękę Jaya w obie dłonie i uściśniła ją.

- To się chyba znowu zaczyna - powiedziała, patrząc mu w twarz.

- Owszem.

- Przyjemnie było podczas tych piętnastu godzin lotu.

- Chciałbym tak krążyć z tobą w nieskończoność. Tylko we dwoje.

Alexandra uśmiechnęła się ciepło i musnęła wargami jego usta.

- Nie mówisz tego serio - powiedziała z poważną miną.

- To ludzie, których życie mija w bezpiecznej nudzie rutyny, krążą w koło, aż do nieuchronnej śmierci. Życia trzeba używać, wszyscy przecież prędzej czy później musimy umrzeć.

- Wołałbym, żeby to nastąpiło raczej później niż prędzej - pocałował ją i tym razem ich usta spotkały się na dłużej, a reszta świata znalazła się daleko za nieprzeniknioną zasłoną. To w czasie pełnych niepokoju dni w belgijskim domku

Hartkemeiera szybko pomiędzy nimi zaiskrzyło.

Zjawili się tam jako sojusznicy mimo woli. dwoje ludzi, którzy mogli funkcjonować razem z lepszym skutkiem niż oddzielnie i każde z nich wносиło do spółki istotny wkład. Najpierw ostrożnie się badali, uważając, by się zanadto nie odsłonić, ale po wielu godzinach rozmów, układania planów, scenariusza dalszych działań, stało się jasne, że los nie połączył ich przypadkiem. Skłonili się ku sobie dlatego, że byli tacy, a nie inni. Gdyby na ich miejscu byli inni ludzie, nigdy by się ze sobą nie zetknęli, nigdy nie znaleźliby się w sytuacji zmuszającej ich do związania się ze sobą. Gdy padły ostatnie bariery, zostali popchnięci w kierunku obszarów emocji, gdzie ich komitywę wzmocniła świadomość, że następna godzina, następny kwadrans mogą być ostatnimi w ich życiu.

I w ciągu tych dziesięciu dni porozumiewania się dusz okazało się, że miłość znalazła dla siebie jasne, ciepłe miejsce pośród ruin dawnych uczuć i zaczęła kiełkować. Było to dla nich obojga nowe doświadczenie, tym cenniejsze, że naznaczone cieniem śmierci.

Pasażerowie tłumnie kierowali się po odbiór bagażu i do kontroli paszportowej. Jay i Alexandra niesieni falą podróżnych starali się jak najmniej rzucić w oczy, licząc, że nie zostaną rozpoznani.

Tłum gęstniał, bo także inne samoloty stale wypluwały pasażerów. Jay uśmiechnął się w duchu. To był jego pomysł, żeby wracać właśnie tym rejssem, bo przewidywał, że międzynarodowe lotnisko w Los Angeles, znane w świecie ze swej fatalnej przepustowości, będzie pękało w szwach. I rzeczywiście, przez swe fałszywe rogowe okulary o zwyczajnych szklach, dostrzegał jak okiem sięgnąć w punktach odbioru bagażu i przy bramkach wyjściowych kłębiące się gromady ludzi. Agent służb

bezpieczeństwa, próbujący w tej ciżbie wyłapać wzrokiem Jaya i Alexandrę, mógłby równie dobrze szukać igły w stogu siana.

Tłum rzedniał wolno, mimo że personel lotniska uwijał się gorączkowo. Celnicy pobieżnie sprawdzali bagaże, ledwie rzucając okiem na pasażerów i treść przedstawianych deklaracji. Minęło półtorej godziny, zanim Jay i Alexandra stanęli o dziewiątej wieczorem w ogonku do taksówki. Kolejka była zdyscyplinowana, ale długa, ponieważ taksówkarze w drodze na lotnisko musieli się przedzierać przez tasiecowe korki uliczne.

Jay zostawił Alexandrę na kolejkowym posterunku i po-truchtał w głąb terminalu, żeby kupić niedzielne wydanie New York Timesa. Doniesienia na ich temat zniknęły już z pierwszych stron, ale dziennikarze (tak samo jak policjanci) nie zapomnieli o nich, odsunęli ich tylko chwilowo na margines pod naporem nowych dramatycznych wydarzeń.

Na kolumnie nekrologowej natrafił jednak na relację z pogrzebu Obsydiana. Pisano, że odszedł „główny architekt dyplomacji postodprężeniowej” i „pionier amerykańskiej strategii obronnej, która wyszła poza granice doktryn obustronnego odstraszania”.

Była też notatka o śmierci właściciela luksemburskiej masarni, zmarłego wskutek ran odniesionych 21 grudnia po eksplozji furgonetki na Starym Mieście. Zwiększyło to do stu dwudziestu trzech liczbę śmiertelnych ofiar wybuchu.

Według doniesień z Holandii i z siedziby Interpolu w Paryżu, nie udało się dotąd zlokalizować poszukiwanych Jaya Fleminga i Alexandry Downing. Jay miał nadzieję, że tak jest naprawdę i że tak zostanie.

Zanim znaleźli się wreszcie w taksówce zdążyli przeczytać niedzielną wkładkę magazynową, recenzje książkowe i wszystkie nekrologi. Taksówkarz dopiero przed północą dowiózł ich do utrzymanego w jarmarcznym guście, lecz zdumiewająco drogiego hotelu w Century City. Wzięli tam pokój, odczekali godzinę, po czym pojechali do Anaheim, gdzie jako państwo Svensson, zarejestrowali się w hotelu Disneyland z widokiem na magiczny park twórcy Myszki Miki i natychmiast, obejmując się ramionami, zapadli w głęboki sen.

Gwiazdy skrzyły się jak refleksy w kryształowej misie. Był to jeden z tych wieczorów po kąpieli zimowych deszczów, kiedy niebo nad południem Kalifornii rozpościera się w nieskończoność.

Steven Strand przystanął przy balustradzie tarasu wychodzącego na ocean, patrząc na kocią miękkość konturów wyspy Catalina przycupniętej pod księżycem w pełni. Ze swego domu na urwistej skarpie półwyspu Palos Verdes ogarniał wzrokiem rozległą panoramę linii brzegowej od Malibu po Laguna Beach. Był posiadaczem największej nieruchomości na tej cennej połaci gruntu. Należał do niego obszar przekraczający dwadzieścia hektarów, w tym stajnie i tereny jeździeckie. Same czerwone dachówki jego siedziby w stylu hiszpańskiej hacjendy obejmowały ponad cztery tysiące metrów kwadratowych.

Ponad sto metrów poniżej tarasu fale rozbijały się z hukiem o podstawę klifu. Strand zwykł przyrównywać siebie do łądu, a swoich nieprzyjaciół do fal, niezmordowanie, jedna po drugiej, bijących w klif, by uszczknąć choćby ziarno piasku. Przyszedł mu na myśl Fleming. Ten nie zyskał nawet drobin piasku.

Przeniósł spojrzenie na światła Avalon na wschodnim krańcu wysepki, potem na oświetlony Przesmyk na zachodzie. Nie potrzebował lornetki, by dostrzec ostrzegawcze reflektory na Ship Rock.

Na zachód od Przesmyku, wysoko na wzgórzach ponad Emerald Bay migotało skupisko niebieskawych świateł. Obozowisko Klubu Pasterza. Jutro przed wieczorem przybędzie tam większość członków, niektórzy w motorowych łodziach, inni śmigłowcami.

Co roku zjazd Klubu przyciągał wścibską uwagę mediów. Uważano, że takie zamknięte spotkania tylu wpływowych ludzi są same w sobie podejrzane. Pomimo zapewnień Klubu, że nie mają one żadnego związku z biznesem, luminarze medialni lamentowali, że chodzi właśnie o prywatne sterowanie interesami jak najbardziej publicznymi.

Co roku też zjawiały się tam grupki obszarpanych demonstrantów z transparentami, którzy blokowali jedyną drogę do obozu, protestując przeciwko wszystkiemu od elektrowni jądrowych po zabijanie wielorybów.

Wszyscy oni mieli rację. Zarówno media, jak i przeciwnicy reaktorów atomowych, broni nuklearnej, feministki oraz zwolennicy zalegalizowania marihuany. Klub Pasterza był rzeczywiście niebezpieczny w zakresie dokładnie takim, jaki mu przypisywano i jeszcze trochę większym. Wymyślił cudowny sposób na kierowanie gospodarką bez wtrącania się opinii publicznej, mediów, demonstrantów i wszelkiej maści

głuptasów, wierzących w zbiorową mądrość demokratycznej większości.

Strand pokręcił smutno głową. Jak można było do tego dopuścić? Jak można było pozwolić, by o sprawach kraju rozstrzygało głosowanie powszechne? On wybiegał wzrokiem dalej. Poza Catalinę, poza przetrzeń, w której się znajdował, i poza czas, w którym przyszło mu żyć. Byli kiedyś wielcy przywódcy. Byli jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku. Jednak potężny walec populizmu wyrównał wszystko, spłaszczył przywództwo, zagłuszył głos rozumu, spętał ręce tym, którzy wiedzieli, jak należy prowadzić interesy państwa. Ale to się prędko zmieni. Bardzo prędko.

Odwrócił się i zszedł dwa piętra niżej do przeszklonego pokoju z widokiem na ocean; w tylnej ścianie pomieszczenia widniały masywne dębowe drzwi. Strand otworzył je kluczem, zamknął za sobą i zszedł w dół żeliwną spiralą schodków, prowadzącą do wnętrza klifu. Na dole od razu dał się odczuć chłód. Przez okrągły rok panowała tam stała temperatura nie przekraczająca osiemnastu stopni Celsjusza. Po zapaleniu światła ukazał się okrągły loszek o średnicy około dziesięciu metrów i wysoki na osiem. Kamienne ściany kończyły się sklepieniem. Pośrodku stał okrągły stół, przy nim jedno tylko krzesło. Do murów w krąg przylegały żelazne półki wypełnione tysiącami butelek wina. Wyglądało to niczym jakiś podziemny ul z flaszkami w plastrach zamiast miodu. Na szynie zamontowanej tuż nad podłogą można było dookolnie jeździć drabinką na kółkach.

Strand podszedł do małej szafki koło stołu i wyjął z niej płócienny, wykrochmalony obrus. Z miną księdza przystępującego do odprawienia mszy nakrył stół obrusem, po czym sięgnął znów do szafki tym razem po kieliszek oraz srebrny korkociąg i umieścił oba przedmioty na stole dokładnie naprzeciw samotnego krzesła.

Następnie niczym człowiek pogrążony w transie, ogarnął spojrzeniem szeregi butelek. Znał na pamięć ich położenie jak pianista klawiszowe swego ukochanego instrumentu. Ominął sektor butelek w kolorze oliwkowym. Zawierały wina, które podawał gościom do obiadu. Były to pierwszorzędne wina z gatunku tych, jakie nawet koneserom tylko wyjątkowo trafia się kosztować częściej niż raz w życiu, ale to nie one należały do najcenniejszych okazów kolekcji Stranda.

W jego ocenie dobre wina nie powinny być dodatkiem do błahej gadaniny lub podkładem jakiejś transakcji handlowej. Najszlachetniejsze wina należało jego zdaniem pić samotnie i w absolutnym milczeniu. Czasem nawet brał prysznic nim wziął kieliszek do ręki, by usunąć woń wody kolońskiej lub inne niepożądane aromaty.

Mniej więcej po kwadransie czegoś, co potajemny obserwator mógłby nazwać kontemplacją, Strand ruszył się z miejsca. Przesunął szynową drabinę o pół obwodu piwnicy i zatrzymał się przy dziale czerwonych win bordoskich.

Wdrapał się prawie na sam szczyt drabinki i odkurzył miotłką etykietkę jednej z butelek. Spojrzał i twarz rozjaśniła mu się uśmiechem. Pamięć go nie zawiodła. Za pierwszym podejściem znalazł to, o co mu chodziło.

Czule postawił butelkę po środku stołu i zatrzymał na niej spojrzenie. Chateau Leoville-Poyferre, rocznik 1929. Ślinka napłynęła mu do ust.

Z nabożeństwem usunął okrywającą szyjkę srebrzystą folię i wkręcił korkociąg. Korek gładko wy dostał się z uwięzi z miękkim cmoknięciem. Natychmiast nozdrza Stranda pochwyciły zapach winnych gron ze szczepu cabernet. Rzucił okiem na przebity korek i nalał do kieliszka odrobinę wina.

Wpatrzony w jego doskonale rubinowy koloryt, sycąc powonienie dojrzałością bukietu, upił łyczek. Rozkoszny smak utrzymywał mu się w ustach niczym wspomnienie pierwszej miłości. Przez chwilę współczuł tym, którym los poskąpił takich doznań. Ale trwało to naprawdę chwilę. Nie dłużej.

Rozdział 34

Waszyngton, 2 stycznia

David Barnes nie mógł zrozumieć odebranej informacji. Wydawała się bez sensu. Włączył rozetkową drukarkę, żeby przyjrzeć się wydrukowi. „Margerytka” ustawiła się w pozycji startowej i zaczęła klekotać,

przemieniając zielone czcionki na monitorze w czarno-białe na kartkach papieru.

Barnes mocno oparł się o rozchwiane krzeselko na porzewiałych metalowych nóżkach o landrynkowej tapicerce z plastiku. Z dziury na oparciu wyłaziła wyściółka i to już wtedy, gdy Barnes nabywał krzesło i jeszcze trzy takie same oraz stół z plastikowym blatem do kompletu. Nie dbał o urodę mebli, chodziło mu tylko o to, by miał na czym rozstawić akcesoria komputerowe. Niewielką resztę jego przestrzeni życiowej wypełniały głównie kartonowe pudełka po ogromnych hamburgerach kupowanych na wynos, którymi odżywiał się co wieczór z wyjątkiem piątków. W piątki bowiem przynosił do domu z budki Charliego specjał Kurczak-Palce-Lizać.

Gmerając w zatuszczonym pudełku, wydobył trochę zimnych frytek i pogryzał je bezwiednie. Dwadzieścia cztery lata karmienia się fast-foodami oraz ograniczenie wszelkiego wysiłku do wnoszenia czasem do mieszkania nowego komputera sprawiło, że mający niewiele ponad metr sześćdziesiąt Barnes dorobił się wagi dochodzącej do dziewięćdziesięciu kilogramów.

Daryl Barnes był tak zwanym hakerem. Swoją zestaw komputerowy skompletował sam z części kupowanych na wyprzedażach nadwyżek, pchlich targach i w sklepach elektrotechnicznych sieci Radio Shack. Politechnikę ukończył z trudem. Na wykładach był gościem, większość czasu spędzał z podobnymi sobie maniakami, składając komputery i projektując programy, zamknięty w świecie bajtów, wirtualnych dysków RAM i pamięci ROM. W ich paczce była też dziewczyna i nawet dwa razy się z nią umówił, ale przestali się spotykać, ponieważ zraziła się jego niechęcią do higieny. Nie zmartwiło go to. Randki wymagały wydatków, a jemu pieniądze były potrzebne na sprzęt.

Dzięki włamaniu się do banku danych Laboratorium Badań Broni Jądrowej Lawrence'a Livermore, Ministerstwo Obrony powierzyło mu lukratywne zadanie zabezpieczenia kodów dostępu w swych komputerach. W ślad za tym poszła jeszcze bardziej intratna praca dla GBR - Generalnego Biura Rachunkowości, agencji zbierającej informacje na użytek członków Kongresu. Odtąd już mu nie brakowało pieniędzy na sprzęt.

Popatrzył z dumą na ustawioną przy stole nową stację twardych dysków. Pochodziła ze starego systemu IBM 360/360 i sprzedano ją jako

złom po małej awarii elektrycznej. Akrylowa obudowa pobłyskiwała miękko w mroku.

Fosforowa poświata ekranu była jedynym źródłem światła w kuchni i litery tańczyły w grubych szklach okularów Barnes'a, stale zsuwających mu się z nosa. Wszystkie okna były szczelnie pozastłaniane grubymi kocami.

Drukarka wystukała ostatnią linijkę tekstu i zatrzymała się karnie, czekając na następne polecenie. Barnes włączył nad nią małą, wygiętą w „S” lampkę z 25-watową żarówką, oderwał perforowaną kartkę i położył ją na wierzchu walających się na końcu stołu pudełek po kurczakach od Charliego. Na środku strony pojawiła się tłusta plama od frytek i Barnes wytarł palce o niebieskobiłą nylonową koszulę.

Informacja była zagadkowa. Mając zakaz potajemnego wchodzenia do cudzej bazy danych z komputerów GBR Barnes regularnie posługiwał się własnym systemem (uważał go zresztą za lepszy od systemu GBR) do przeszukiwania zasobów pamięci spółek naftowych, dostawców wojskowych, banków, kompanii chemicznych i wielu innych. Kiedy znajdował coś interesującego, zwykle udawało mu się to potwierdzić w sposób legalny, dzięki czemu stał się gwiazdą swojej agencji.

To, co otrzymał obecnie, było efektem sumarycznego programu, jakiego używał często do analizy danych rozmaitych korporacji. Wynikało z niego, że jedenastu kontrahentów sił zbrojnych, współpracujących z programem ELF Marynarki Wojennej, korzystało z jej funduszy do nabywania za granicą sprzętu dla radiowych stacji nadawczych, między innymi także w niektórych krajach Trzeciego Świata, nie zaliczających się do przyjaciół Stanów Zjednoczonych.

Programem ELF, znanym także jako Program Otucha, Barnes zajmował się już od przeszło miesiąca. Marynarka Wojenna próbowała oprogramować system używania radiowych fal ekstralamej częstotliwości (ELF) do łączności z okrętami podwodnymi wyposażonymi w pociski balistyczne z głowicami jądrowymi.

Trudność komunikacji z zanurzonymi głęboko okrętami podwodnymi wynika z niezdolności fal radiowych do przenikania wody morskiej. W celu nawiązania łączności radiowej okręty muszą podplwać pod powierzchnię morza, ciągnąc za sobą długą pływającą antenę. Stają się przez to łatwiejsze do wyśledzenia przez samoloty zwiadowcze i tracą swój strategiczny atut - niewidzialność.

Jednakże fale radiowe ELF penetrują wodę tylko wtedy, gdy są nadawane poprzez odpowiednio umiejscowioną antenę. W przypadku Projektu Otucha wybrano dwie formacje geologiczne - w północnej części półwyspu Michigan oraz w Kanadzie. Stamtąd fale ELF mogą docierać w głąb wszystkich światowych oceanów.

Barnesowi było już skądinąd wiadome, że ziemia jest spinowym przewodnikiem elektryczności. Ale szkopułem naukowców pragnących zaprząć jej elektryczne właściwości do celów użytkowych, były formacje skalne. Nawet stary Nikola Tesla eksperymentował z dalekosiężnym transmitowaniem energii elektrycznej poprzez ziemię i mimo stosunkowo prymitywnej aparatury osiągnął wyniki, do jakich w pół wieku później dopiero się zbliżano. Jednakże jeśli chodzi o Projekt Otucha, to szczególna formacja geologiczna w stanie Michigan umożliwiała łączność oceaniczną przy minimalnym wydatku energetycznym.

Realizując ten projekt, Marynarka Wojenna pokryła półwysep Michigan kilometrami rowów, w których miały być ułożone kable przewodzące fale elektromagnetyczne. Naukowcy wyrażali obawy, że intensywne promieniowanie fal ELF może okazać się szkodliwe dla zdrowia ludzi i zarówno okoliczni mieszkańcy, jak i niektórzy kongresmani krytykowali zamierzenia Marynarki. I to na tym etapie na scenie pojawia się w Barnes, pracownik agencji GBR.

Napisany przez niego program po wyszukaniu wszystkich zakupów sprzętu, ekspedycji towaru, rachunków i zamówień dotyczących Projektu Otucha, wskazywał niezbicie, że urządzenia nadawcze ELF wędrowały po całym świecie do takich adresatów, jak: Angola, Nikaragua, Malezja, RPA, Finlandia, Sri Lanka, Wyspy Kanaryjskie, Brazylia, Pakistan i Australia.

Trudno było dopatrzeć się klucza tej dystrybucji. Pokrywała dość równomiernie cały ziemski glob. Barnes studiował wydruk przez kwadrans, po czym poczłapał do lodówki, wyjął butelkę coli i opróżnił ją łąpczywie.

Tymczasem za szczelnie zasłoniętymi oknami kuchni Iiarnesa stał jakiś młody człowiek w trzyczęściowym garniturze i przyglądał się numerom domów, popatrując na adres nagryzmołony na odwrocie trzymanej w rękę wizytówki. Był to wysoki szczupły mężczyzna około trzydziestki, o przyzwoitym wyglądzie, z gatunku tych idealistów, którzy

tysiącami przybywają do stolicy w nadziei na karierę polityczną, sądząc, że przyczynią się do naprawy kraju.

Daryl był zbity z pantałyku. Nie lubił się przyznawać do porażek, ale czasem nie było innego wyjścia. Stracił na wyłożoną linoleum podłogę stos poplamionych keczupem i musztardą opakowań hamburgerów, spod których odsonił się czarny, klawiszowy aparat telefoniczny, podniósł słuchawkę i wystukał numer poprzedzony kierunkowym 213.

Generalne Biuro Rachunkowe miało swój oddział w Los Angeles, głównie ze względu na masowe skupienie dostawców sprzętu dla wojska w południowej Kalifornii. I podobnie jak w centrali, tak i tam zatrudniano informatyków w rodzaju Daryla Barnesesa.

W Los Angeles była piąta rano i Barnes, odczekując kolejne sygnały, widział w wyobraźni Roberta Sansome'a, jak siedzi w swoim mieszkaniu w Northridge, wpatrzony w ekran monitora i ze złością odwraca się, żeby odebrać telefon. Zrobił to dopiero po szóstym sygnale.

- Hallo - odezwał się poirytowanym głosem.

- Tu Daryl Barnes z Waszyngtonu.

- Witaj - Sansome zmienił ton na przyjazny i zrzucając ze stołu na terakotę kuchennej podłogi stos opakowań po meksykańskich specjach zrobił miejsce dla telefonu. -O co chodzi?

Barnes przekazał mu treść niezrozumiałej dla niego informacji.

- Moment, pójdę do sypialni i przygotowuję dla ciebie Arnolda.

Imię Arnold Sansome nadał swemu mikrokomputerowi Kaypro 10. Darylowi nie bardzo podobało się obdarzanie martwych przedmiotów ludzkimi imionami, ale pomyślał, że może w południowej Kalifornii panują takie zwyczaje.

-Jestem znowu na linii - zgłosił się Sansome. - Podłącz stare modem i przesyłaj. - Barnes usłyszał szcęknięcie telefonu Sansome'a i trzask po wejściu w modem.

W chwili gdy podłączał się do modemu, usłyszał pukanie do drzwi.

- Zaraz! - zawołał, przebiegając palcami po klawiaturze, aby polecić komputerowi przekazanie danych o sprzęcie radiowym ELF do Northridge.

Stukanie było coraz głośniejsze i uporczywsze. Barnes wsłuchiwał się w szum, z jakim napęd dyskowy szukał właściwej informacji, i czekał, aż zacznie się nadawanie. Dopiero wtedy podniósł się z krzesła i

poszedł do drzwi, a kiedy je otworzył, na progu ukazał się wysoki, dobrze ubrany nieznajomy.

- Pan Barnes? - zapytał i błysnął portfelikiem z legitymacją i odznaką FBI. - Pan Daryl Barnes?

- Hmm, tak - potwierdził Barnes czując ucisk w krtani. Czyżby dowiedzieli się o jego nielegalnych praktykach komputerowych? A może o telefonach do babci, za które płacił Bank of America?

- Mogę wejść? - zapytał uprzejmie agent, chowając portfelik do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Oczywiście... Oczywiście - zająknął się Barnes i odsunął się na bok, by wypuścić przybysza, po czym zamknął za nim drzwi.

Co mu zrobią? A może będzie tak, jak ostatnio? Zaproponują mu lepszą pracę? Może FBI powierzy mu wykrywanie kradzieży programów komputerowych? Czy raczej postawią go w stan oskarżenia? A może każą mu zwrócić wyłudzone pieniądze za połączenia międzymiastowe?

Bijąc się gorączkowo z myślami, Daryl Barnes nie zauważył, kiedy nieproszony gość wyjął z kieszeni płaszcz mały zwój cienkiego drutu. Przyglądał się z zaciekawieniem, jak agent wsuwa dwa stalowe sztyfty w zespane pętle na obu końcach zwoju.

Jednak, kiedy następnie chwycił oburącz za sztyfty i rozciągnął poprzecznie drut, który zabrzączał przy tym piskliwie, Barnesowi ze strachu ciarki przebiegły po grzbiecie.

- Czego pan sobie życzy? - spytał, usiłując zatuszować tremolo w głosie. - A co to takiego? - dodał, wskazując na drut.

- To się nazywa garota - wyjaśnił z uśmiechem agent i błyskawicznie, z gracją pumy, zaszedł Barnes'a od tyłu i zarzucił mu drut na szyję. Barnes otworzył usta do krzyku, ale z jego gardła wydobył się tylko słaby charkot, podczas gdy fortepianowa struna przecinała kołnierz tłuszczu okalający tchawicę.

Z wywieszonym siniejącym językiem, pokrytym spienioną śliną, Barnes łapał za drut i ręce napastnika. Ale ten miał przedramiona sztywne niczym metalowe poręcze. Rozległo się stłumione perkotanie i Barnes po chwilce uzmysłowił sobie, że to on rozpaczliwie próbuje odychać nosem. Tracił świadomość.

Do pokoju wtargnęła śnieżna zamieć i z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej. Ręce zwiły Barnesowi ciężko wzdłuż ciała, miękły mu

kolana. Szczęśliwie nie czuł już końcowego zaciśnięcia struny, które przecięło tchawicę i przerwało rdzeń kręgowy.

Agent opuścił pękaty tułów Barnes'a na podłogę, wyjął stalowe sztyfty z pętli garoty, ułożył je starannie w skórzanym etui i schował w kieszeni marynarki. Następnie zdjął garotę z szyi Barnes'a, na której jego prawie odcięta głowa ledwie się trzymała, i otarł strunę kleenexem z kilku kropelek ciepłej krwi. Schował garotę na powrót do kieszeni płaszcza, cisnął kleenex w rozszerzającą się obok zwłok Barnes'a czerwona kałużę i wszedł do kuchni.

Natychmiast zauważył telefon i modem. Rozłączył się z modemem i odwiesił słuchawkę. Ekran zamigotał zielonkawo i wyświetlił pytanie, czy to koniec zadania.

Agent uśmiechnął się, wyjął z kieszeni płaszcza spory, ciężki przedmiot z długim przewodem elektrycznym, który włączył do gniazdka w ścianie. Był to magnetyczny wymazywacz plików. Kiedy postawił go na obudowie komputera, ekran zadrgał konwulsyjnie i wypełnił się skłębioną masą znaków i liter.

Po trzech minutach agent wyciągnął przewód z kontaktu, owinał nim dokoła wymazywacz i schował go do kieszeni.

Kiedy wychodząc, przekraczał ciało Barnes'a, zauważył, że ma on wciąż otwarte oczy. Zamknął mocno drzwi i przystanął, patrząc przez moment na szare chmury, z których zaczynały się sypać gwiazdki śniegu. Odetchnął głęboko. Jak dobrze jest żyć, pomyślał, i ruszył chodnikiem do biura.

Rozdział 35

Los Angeles, 2 stycznia

Świeżo spadły śnieg na górach San Gabriel wyglądał jak fantastyczny deser lodowy. Miotły zimowych wiatrów wygnały z miasta brudny, brunatny smog. Jay rozsunał szklane drzwi balkonowe, wyszedł na zewnątrz i wziął głęboki oddech. Jak cudownie! Nawet Anaheim robił tego ranka przyjemne wrażenie.

Poniżej, na ogromnej asfaltowej prerii pomiędzy hotelem a Disneylandem, zaczęły gromadzić się samochody. Jay zwrócił uwagę na jasne kombi z brązowymi panelami niby z drewna, wślizgujące się z wolna między dwie białe linie miejsca do parkowania. Z wozu wysypało się zaraz pięcioro dzieci z rodzicami. Dzieciaki natychmiast rozbiegły się z piskiem w różnych kierunkach, po czym wzywane zdesperowanymi okrzykami matki i ojca, poczłapały w końcu za nimi bezładnie niczym stadko przepiórek.

Jay odwrócił się i zerknął przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju. Alexandra wciąż spała skulona w kłębek. Zamknął balkon i włączył telewizor, przyciszając maksymalnie głośność.

Niestety, nie nadawano żadnych wiadomości. Natrafił tylko na powtórkę „Wyspy Gilligana” i talk show z byłą ano-rektyczką, reklamującą swoją książkę o sprzyjającej seksowi diecie ostrygowej. Nerwowo usiadł znów przy stole pokrytym kartkami hotelowej papeterii, na których robił notatki, porządkując nieco łamigłówkę, jaką usiłował rozwiązać. Podzielił ją na trzy zasadnicze segmenty - wynalazek Tesli, Komitet Siedmiu oraz Steven Strand. Musiał je do siebie dopasować oraz znaleźć sposób zneutralizowania ich.

Na podstawie dokumentów zebranych przez Copelanda i pakietu z notatkami Tesli, jakie przejrzał w Luksemburgu, można się było łatwo zorientować, że wynalazek polegał na możliwości zniszczenia obwodów elektrycznych za pomocą impulsu elektromagnetycznego.

Do tej pory tak potężne impulsy elektromagnetyczne dałoby się teoretycznie wygenerować jedynie przy użyciu broni nuklearnej. Jednakże w myśl teorii Tesli, sformułowanej prawie dwadzieścia lat przed pierwszą udaną łańcuchową reakcją atomową, istnieje realna możliwość wpuszczenia w górne warstwy atmosfery miliarda woltów na kształt -jak to sam określał - promienia śmierci, transcendentnie potężnego uderzenia piorunu.

Naukowcy z Międzyrządowego Ośrodka Synoptycznego, w którym pracował Copeland, uważali jednak, że efekt ten to bynajmniej nie grom ani promień śmierci, lecz intensywny impuls energii elektromagnetycznej o sile przewyższającej nawet moc wybuchu jądrowego. Idąc za wskazówkami Tesli naukowcy odkryli, że niektóre fale radiowe o bardzo niskiej częstotliwości wyemitowane w górne warstwy atmosfery wyzwalają istotnie impulsy elektromagnetyczne.

Z gromadki dokumentów dotyczących technicznych właściwości broni Jay wyjął notatkę, której adresatem był generał Jerry Patterson. Czytając ją jeszcze raz, nie mógł powstrzymać uśmiechu, pisana była bowiem przez fachowca, który bardzo się starał się, by mogła być zrozumiana przez laika.

„Górne warstwy atmosfery to coś w rodzaju gigantycznego I >alonu wypełnionego elektrycznością, której zasoby są ustawicznie uzupełniane cząsteczkami wysyłanymi przez Słońce.

Cała sztuka polega na tym, żeby za pomocą jakiejś słabej energii przekuć ten balon i uwolnić elektryczność, kierując ją przy tym na wybrane przez nas cele. Dotychczas odgrywały bardzo dobrze tę rolę radiowe fale ELF. Pamięta pan oczywiście słynny nowojorski blekaut w listopadzie 1965 roku. To była właśnie pierwsza skuteczna próba uruchomienia systemu ELF. Naszym celem nie był jednak wcale Nowy Jork. Przekonaliśmy się wtedy, że emisja fal ELF do jakiegoś regionu górnych warstw atmosfery może spowodować nieprzewidywalne działanie impulsu elektromagnetycznego zupełnie gdzie indziej. Od tamtego czasu, posiłkując się satelitami i balonami służby meteorologicznej, przeprowadzaliśmy rozległą kompleksową analizę skutków tysięcy testów zastosowania słabej energii. Na ich podstawie można przyjąć, że dochodzi przy tym do czegoś w rodzaju zharmonizowanego efektu. Mianowicie fale ELF działają jak gdyby na zasadzie kamienia wrzuczonego do stawu. Powodują wibracje jonosfery i rozchodzenie się fal od punktu jej kontaktu z falami ELF i - w zależności od innych zakłóceń - mogą, ale nie muszą wywoływać impuls elektromagnetyczny. Impulsy zdają się występować tam, gdzie fale w jonosferze wchodzą w styczność z innymi zjawiskami. Podobnie, jak to się dzieje z falami w stawie, wzniesieniem wrzuceniem kamienia, który po uderzeniu w powierzchnię wody rozpryskuje ją. Nieodzwonne są dalsze badania w tym przedmiocie”.

Notatka nie była podpisana, nosiła tylko datę - z lipca poprzedniego roku.

Było oczywiste, że uczeni skonstruowali broń, której jednak nie potrafili skierować na żądany cel. Jay przypominał sobie z Luksemburga, że szereg stron w papierach Tesli wypełnionych było równaniami odnoszącymi się właśnie do naprowadzania broni na cel. W takim razie na-

ukowcy mogli być obecnie blisko udoskonalenia owego urządzenia, które mogło cofnąć zegary cywilizacji o osiemdziesiąt lat.

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby to rząd amerykański próbował stworzyć broń tego typu. I w takim wypadku działalność Międzyrządowego Ośrodka Synoptycznego nie wzbudziłaby zastrzeżeń Jaya. Jednakże fakt, że prace instytutu koordynował Komitet Siedmiu, sterujący Klubem Pasterza, był bardziej niż dziwny. Ba, zakrawało to na zdradę. I było tym bardziej podejrzane, że aby utrzymać rzecz w tajemnicy zabijano lub usiłowano zabić około tuzina ludzi. Dlaczego Komitet Siedmiu pragnął mieć monopol na wynalazek Tesli?

Było zupełnie jasne, dlaczego trzymali projekt w sekrecie nawet przed ogromną większością pracującego nad nim personelu. Po prostu państwowa struktura utajniania informacji była tak nieszczelna i poszatkowana, że przeniknięcie jej nie wymagało pokonania nadzwyczajnych przeszkód.

Zagadką pozostawało źródło finansowania projektu. Musiało to pochłaniać miliardy. Można dobrać się do ściśle tajnych informacji wagi państwowej, ale nie da się wykiwać głównych akcjonariuszy. Tak duże koszty wymagają zysku, a jeśli go nie ma, zmienia się radę nadzorczą.

Jay wziął długopis i zanotował: „Po co im broń? Przeciwno komu chcą jej użyć i kiedy?”. Odpowiedź na te pytania wydała mu się najpilniejsza. I zarazem najtrudniejsza do ustalenia.

No i wreszcie był Strand. Członek Komitetu Siedmiu, człowiek, który zawładnął papierami Tesli, który był obecny podczas krytycznej rozmowy Copelanda z Pattersonem. I z całej duszy nienawidzący Jaya Fleminga.

- Mocno się zasępiłeś - Jay uniósł wzrok i ujrzał stojącą przed nim bosonogą Alexandrę, odzianą jedynie w jego własny workowaty sweter. - Szkoda, że się nie widzisz - zaśmiała się, podchodząc bliżej. - Masz minę chłopca przyłapanego na szperaniu w portmonetce mamusi - stanęła za nim i kładąc mu ręce na ramionach, pocałowała go czule w policzek.

- Jeśli będziesz mnie tak zniecka zaskakiwać, umrę na zawał, zanim Strand wyprawi mnie na tamten świat.

Alexandra przyciągnęła sobie krzesło i siadła na nim, skromnie zasłaniając uda swetrem.

- Nigdy nie widziałam kogoś równie zatopionego w myślach. Nim się odezwałam, minęło chyba z dziesięć minut.

- Dlaczego nie powiedziałaś: „Dzień dobry” albo czegoś w tym rodzaju?

- Wołałam cię obserwować. Delektowałam się tym. Nigdy dotąd nie sprawiało jej przyjemności przyglądanie się mężczyźnie. Chciała się jeszcze dowiedzieć wielu rzeczy o Jayu. Interesowało ją to, co się kryło głęboko pod tą ujmującą powierzchownością. Był wyrozumiały, to się jej bardzo spodobało. Kiedy powiedziała mu, że chce spać z nim razem, ale platonicznie, nie tylko od razu się zgodził, ale przyjął to wręcz z ulgą. Budząc się rano obok siebie, obejmując się, oswajali się ze sobą stopniowo. Żadne z nich nie dążyło do pospiesznego, gorączkowego seksu. Musieli najpierw odgonić widma przeszłości.

Ta rozważa miała pomyślny wpływ na stabilność ich związku w trakcie burzliwych przejść w Luksemburgu. I była także dobrą wróżbą na dni, które miały nadejść.

- Dawno wstałeś? - spytała.

- Trochę po siódmej.

- Posunąłeś się naprzód?

- Trochę. Uporządkowałem nieco ten kram. Może dzięki temu znajdę odpowiedź na niektóre pytania.

- Opowiesz mi o tym przy śniadaniu?

Jak na zawołanie Jayowi zaburczało w brzuchu. Roześmiali się, a Jay podszedł do telefonu, żeby zrobić zamówienie. Pomyślał, że śmiech, radość przebywania z sobą, to jest to, co się najbardziej liczy w ich ułomnym związku, naznaczonym śmiertelnym niebezpieczeństwem. Nie mogą tego zniweczyć nawet kule.

Rozdział 36

San Pedro, 2 stycznia

Sterczą tam jeszcze, Randall? - zawołał ze swego gabinetu Daniel Fraser, emerytowany kontradmirał Marynarki Wojennej. Gabinet, wyposażony boazerią z drewna tekowego, mieścił się w głębi skromnego, po-

krytego tynkiem domu na wzgórzach San Pedro, skąd rozciągał się panoramiczny widok na Los Angeles i portową dzielnicę Long Beach. Przez okno było akurat widać jak z kanału Wilmingtona wypływa powoli jakiś kontenerowiec. Całe życie Frasera było związane z morzem i tak miało pozostać do końca jego dni.

Niewidoczny obserwator, przyglądający się w tym momencie admirałowi, dałby mu nie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat. W rzeczywistości Fraser miał o dwadzieścia więcej. Jego przenikliwe niebieskie oczy wycierały z twarzy naznaczonej raczej doświadczeniem niż starością, a ciemne plamki na grzbietach dłoni były zbyt nieliczne, by zdradzać prawdziwy wiek admirała. Zakrzywiony nos nadawał mu wygląd drapeżnego ptaka, siwe włosy strzygł na wojskowego jeża.

Lata nie przygięły go też do ziemi. Trzymał się prosto, prawdziwie po żołniersku. Stary wiarus - tak często o sobie myślał. Stary wiarus czekający na swoją ostatnią bitwę. Wiedział, że nadejdzie, że już nadchodzi. Czuł to w głębi duszy.

Żałował jedynie, że tę ostatnią bitwę przyjdzie mu stoczyć zapewne nie na morzu, ale na lądzie.

Ściana za biurkiem Frasera obwieszona była jego fotografiami, a to z Rooseveltem, a to z Trumanem, Eisenhowerem i wszystkimi innymi prezydentami włącznie z tym draniem, który pozwolił wrogom admirała wykurzyć go z Marynarki. Były też tam zdjęcia, na których ściskał dłonie Churchilla, De Gaulle'a, Willy'ego Brandta i prawie każdego przywódcy zachodniego państwa w latach 1945-1980. Pozostałą powierzchnię ścian wypełniały fotografie „potomstwa” Frasera. Widniał więc tam Nautilus, pierwszy okręt podwodny o napędzie atomowym, a także Forrestal - pierwszy w świecie lotniskowiec nuklearny, Long Beach - pierwszy jądrowy krążownik, a dalej przedstawiciele następnych generacji okrętów podwodnych napędzanych energią jądrową, okręty podwodne klasy Trident i lotniskowce klasy Nimitz. Zadziorny, szorstki, zgryźliwy Daniel G. Fraser mógł śmiało uchodzić za ojca floty nuklearnej.

To on także był autorem koncepcji permanentnego krążenia po oceanach atomowych okrętów podwodnych, uniezależnionych od paliwa konwencjonalnego. Ludzi, którzy uważali go za wariata, wymijał, neutralizował, bądź spychał ze swej drogi. Robił sobie wrogów, ale osiągał cel. Każdy kolejny Kongres i każdy prezydent od czasów Kennedyego

udzielał mu specjalnej zgody na noszenie munduru mimo przejścia na emeryturę. Był zawsze obecny na dorocznych posiedzeniach komisji na Kapitolu przyznających fundusze na rozbudowę sił zbrojnych i atakował zjadliwie wszystkich, którzy usiłowali osłabić jego - na Boga, jego! - flotę nuklearną.

I co roku dostawał to, czego się domagał - nowe okręty podwodne i więcej coraz potężniejszych lotniskowców. W końcu jednak trafiła kosa na kamień. Fraser zaczął krytykować wykonawców zamówień zbrojeniowych. Będąc sam czołowym przedstawicielem kompleksu przemysłowo-militarnego dopuścił się pogwałcenia kardynalnej zasady: nie kłaj własnego gniazda.

Lobbując w Kongresie na rzecz kontroli wydatków na obronę, sprawił, że uruchomiono przeciw niemu szeptaną kampanię. A kiedy ujawnił dokumenty świadczące o tym, że kontrahenci zbrojeniowi regularnie zawyżają koszty dostaw i to niekiedy nawet o sto procent - operacja unieszkodliwienia go ruszyła na dobre.

Pod egidą członków Klubu Pasterza (który już dwadzieścia lat wcześniej usunął Frasera ze swego grona) kompleks mili tarno-przemysłowy zmontował przemyślną intrygę, aby zmniejszyć jego wpływy i pozbyć się go raz na zawsze z Marynarki. W rezultacie prezydent i Kongres bez słowa podzięki nie odnowili mu przywileju pozostawania nadal w Marynarce.

Za oknem jakiś ogromny tankowiec mijał zbiorniki Chevrona pośród roju jachtów i stateczków wycieczkowych.

- Tak jest, proszę pana. W dalszym ciągu - odpowiedział Randall LeBlanc po dłuższej chwili. - Jasnobrazowy ford wciąż parkuje na rogu. Drugiego auta nie widzę. Mam pójść i sprawdzić?

- Cholerni głupcy - mruknął Fraser, odwracając się od okna.

- Przepraszam pana - powiedział LeBlanc, wchodząc do pokoju. - Nie dosłyszałem. Życzy pan sobie, żebym zszedł na dół i sprawdził to dokładnie?

- Nie. Nie trzeba. Myślę, że za jakiś czas wyjaśni się, dlaczego tak nagle się mną zainteresowali.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedział LeBlanc.

Ten szczupły, muskularny Cajun, potomek osadników francuskich z trzęsawisk Luizjany, miał pięćdziesiąt pięć lat, z czego dwadzieścia przeszłużył jako adiutant admirała. W młodości - na Morzu Koralowym

wrzała wtedy bitwa z Japończykami - wdał się z kimś w bójkę w knajpie koło Baton Rouge i kiedy po trzech dniach jego przeciwnik zmarł, sędzia postawił LeBlanca przed wyborem: więzienie albo wojsko. LeBlanc zdecydował się na Marynarkę ze względu na lepszy wikt.

Polubił flotę i było to uczucie z wzajemnością. Ukończył dzięki niej college, a następnie - tuż przed zarządzoną przez Kennedy'ego blokadą Kuby - szkołę oficerską. Wykonał w tej operacji niewielkie, ale ważne zadanie logistyczne, co zwróciło na niego uwagę Fräsera. Od tej pory nie odstępował go. Kiedy Fraser przeszedł na emeryturę, LeBlanc zrobił to samo. Był jego ochroniarzem, szoferem, kucharzem i służącym. Pobierał oczywiście swoją emeryturę, ale trzon dochodów zawdzięczał admirałowi, który otrzymywał wysokie honoraria za prelekcje i odczyty.

- Zje pan teraz obiad? - spytał.

Fraser potrząsnął przecząco głową.

- Może za pół godziny. Na razie muszę uporać się z tym - wskazał na pokaźny plik protokołów z posiedzeń Kongresu - chociaż między Bogiem a prawdą czytanie bzdur tych bałwanów odbierze mi pewnie apetyt. - Zjedz sam. Nie chcę cię trzymać o głodzie - powiedział i siadł za biurkiem, nakładając okulary.

LeBlanc wyszedł, zamykając za sobą podwójne drzwi gabinetu.

W momencie gdy Fraser zabierał się do lektury przemówienia czcigodnego reprezentanta jednego z okręgów San Francisco, zabrzęczał telefon.

Hol hotelu Disneyland zapelniały gromadnie dzieci i prawie każde z nich zdawało się trzymać w dłoni czekoladę. Naprzeciw wejścia stał przerobiony na limuzynę rolls-royce, budząc sensację personelu w recepcji. Disneyland, skądinąd bardzo przyzwoity hotel, obsługiwał jednak raczej właścicieli kombi, a nie rolls-royce'ów z szoferami w liberii.

Po wydostaniu się z Alexandrą z zatłoczonej windy Jay ustawił na podłodze ich bagaż i nie bez trudu zdołał zwrócić na siebie uwagę kasjerki.

Za chwilę, gdy kierowca rolls-royce'a zjawił się w holu po walizki, można się było zastanawiać, kto popadł w większe zdumienie - kasjerka czy Alexandra. Jay zapłacił, a gdy już siedział obok Alexandry na kanapie limuzyny, dostrzegł, że kasjerka przygląda mu się takim wzrokiem, jakby miała ochotę podbiec i poprosić go o autograf.

- Dokąd, proszę pana? - spytał szofer.

- Hotel Beverly Hilton - rzucił Jay i dodał: - Spodziewam się, że telefon działa?

- Naturalnie - odparł szofer z cieniutką nutką urazy w głosie. - Ze chce pan obsłużyć się sam. To system komórkowy.

- Wspaniale - powiedział Jay i zanim zdążył go poprosić o prywatność, zaczęła się ze szmerkiem podnosić wewnętrzna szyba działowa.

- Mógłbyś mi wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć? - spytała Alexandra, zataczając ręką szeroki łuk.

- To ma znaczyć, że chcę zatelefonować.

- A z budki nie możesz?

- Budkę można zlokalizować. A przenośnego telefonu nie. Co najwyżej mogą ustalić stację bazową i numery rejestracyjne samochodu. Ale zanim to zrobią, będziemy już gdzie indziej.

Wziął do ręki słuchawkę i poczuł nagłe ukłucie w piersi. Na telefonie była nalepka informująca, że został zainstalowany przez Dencom Systems. To była firma, którą założył Doug Denhoff, zamierzając rozstać się na dobre z ryzykowną pracą ochroniarską. Za niecałe pół roku miał opuścić ECM Inc. Te pół roku okazało się zbyt długim terminem, pomyślał Jay, wystukując numer na obudowie aparatu.

- Hallo - odezwał się po dwóch sygnałach szorstki, nieprzyjazny głos.

- Admirał Fraser?

- Przy telefonie. Ki diabeł?

- Mówi Jay Fleming.

-Jeszcze cię nie ukatrupili?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To dobrze. Cholernie dobra nowina. Zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie nas podsłuchują? Dwóch skautów siedzi w autach przed moim domem. Mniej więcej od tygodnia. Ci, co chcą cię namierzyć, siedzą pewnie w jakiejś piwnicy i ćmią marychę. Wszyscy teraz kurzą marychę. Nawet tajniacy. Przybywa im od tego inteligencji.

- Tak szybko mnie nie namierzą - stwierdził Jay i wyjaśnił dlaczego.

- W dechę! - ucieszył się Fraser. - Niech ich diabli porwą. Zgaduję, że chciałbyś sobie ze mną uciąć małą pogawędkę?

Jay przytaknął.

-Jak trwoga, to do Boga, prawda synu?

W przytyku admirała było ziarno prawdy. Jay zetknął się z nim na Uniwersytecie Cornella, gdzie Fraser gościnnie wykładał. Jay wyróżniał się jako student i stał się pupilem admirała, który namówił go następnie, aby został pilotem w Marynarce Wojennej. Nie ujawniał nigdy swej sympatii do niego, wychodząc z założenia, że Jay narobi sobie własnych nieprzyjaciół i nie ma potrzeby pomnażania ich o wrogów Frasera. Staruszek miał oczywiście rację.

A kiedy zginęli rodzice Jaya, jeszcze tego samego dnia Fraser i LeBlanc zjawili się na lotniskowcu, na którym służył. Była to jakoby nieplanowana inspekcja techniczna i admirał większość czasu spędzał w atomowej elektrowni okrętu, wypytyując inżynierów i oficerów, besztając niedba-luchów i z rzadka udzielając pochwał. „Tip top” - mawiał wtedy. „Tip top, panie kolego” - był to w jego ustach największy komplement. Nić uczuciowa, jaka łączyła go z Jayem, osłonięta była taką dyskrecją, że nie mogła przyciągnąć niczyjej uwagi. Po prostu admirał był w pobliżu zawsze, gdy Jay potrzebował jego obecności.

- Tak jest, panie admirale - odpowiedział. - Zapewne ma pan admirał na myśli to, że dzwonię wtedy, gdy jestem w opałach.

- Cholernie trafna uwaga! - zauważył szorstko Fraser. - Wy, młodzi, jakoś nie potraficie sobie radzić. Poczekaj, niech pomyślę. Musimy się pozbyć tych podsłuchujących nas pętałów - zachichotał.

Uwielbia to, pomyślał Jay. Uwielbia grać im na nosie.

- Posłuchaj, juniorze - podjął admirał. (Znał ojca i dziadka Jaya, dlatego nazywał go zawsze juniorem).

- Tak jest, słucham.

- Pamiętasz tę ocenę, jaką ci wystawiłem na przedostatnim egzaminie?

- Jak mógłbym zapomnieć? - uśmiechnął się Jay.

Test dotyczył prawdopodobieństwa schwywania neutronów. Fraser, który osobiście oceniał wszystkie arkusze egzaminacyjne, zaznaczył jedną z odpowiedzi Jaya jako błędną. Po wielu godzinach dyskusji, podczas której Jay pokrył równaniami trzy tablice, Fraser ustąpił.

„Wiedziałem, cholera, od samego początku, że masz rację” - powiedział wtedy. „Ale przez cały semestr ani razu się nie pomyliłeś i obawiałem się, że popadniesz w zarozumialstwo. Po prostu chciałem sprawdzić, czy potrafisz się wybronić”.

- To dobrze, że pamiętasz ten test. Zabawimy się teraz w małą grę liczbową.

Jay zdjął nasadkę z pióra i zaczął zapisywać liczby użyte w teście, za pomocą których admirał określał miejsce, gdzie mają się spotkać. Jeszcze zanim dotarli do centrum Los Angeles, miał już wszystkie namiary wskazujące punkt, w którym miało dojść do spotkania.

- Bądź tam, a ja tymczasem pozbędę się jakoś moich skautów - powiedział i odłożył z trzaskiem słuchawkę.

Rozdział 37

Zatoczka Pasterza, wyspa Catalina, 3 stycznia

Siedząc w pasażerskim foteliku na pokładzie śmigłowca Bell Jet Ranger Steven Strand patrzył, jak kocie kontury Cataliny stają się coraz wyraźniejsze. Na wprost widoczne było półkoliste wcięcie w linii brzegowej, zwane Zatozką Pasterza. Ponad nią, schowane wśród arroyos i barrancos na zboczu wzgórza, stały namioty. Siedem namiotów o siedmiu różnych kolorach.

Przymrużając oczy, skryte za przeciwsłonecznymi okularami, mógł dostrzec linię podwójnego ogrodzenia obozowiska, cieniutką z tej wysokości niczym żyłką na młodym liściu.

Za ogrodzeniem rozciągało się prawie dwieście hektarów suchego terenu, pokrytego chaparralem, ale prócz ciemnych chaszczki rosły tam także liczne palmy, przywiezione dawno temu ze stałego lądu przez hollywoodzkich filmowców. Na potrzeby westernów sprowadzono też stadko bizonów. Tu i tam kicały wiecznie głodne dzikie króliki. A na Stranda czekała na wyspie grupa największych amerykańskich geniuszy przemysłu.

Śmigłowiec szybko przemknął nad kanałem i przeleciał ponad zatoczką, kierując się ku lądowisku na szczycie wzgórza. Strand dostrzegł dżipa, który wspinał się szybko po gruntowej drodze do obozowiska, zostawiając za sobą skłębioną kurzawę. W ciepłym, czerwonym blasku wschodzącego słońca, chmura pyłu za dżipem wyglądała jak kula ognia pożerającego ziemię. Śmigłowiec zwolnił, podchodząc do lądowania.

Dżip tymczasem zatrzymał się przed bramą obozowiska i natychmiast otoczyli go demonstranci z transparentami.

Strand wiedział z osobistego doświadczenia, jaki przebieg będzie miała ta scena. Demonstranci przyjmą postawę ugodową, niemal jak konstruktywna opozycja. Pasażer dżipa, człowiek z Klubu Pasterza, także okaże się pełen życzliwości. „Dostałem to już od was wczoraj” - powie na widok wciskanych mu w ręce ulotek. „Nie macie jakichś nowych materiałów?”. Wszyscy się roześmieją, być może kamerzyści telewizyjni skręcą kawałek taśmy, jeśli to będzie któryś z bardziej znanych członków Klubu, na przykład sekretarz stanu. Następnie demonstranci rozsuną się na boki, strażnicy otworzą bramę, dżip wjedzie do obozowiska, a uczestnicy akcji przykucną w oczekiwaniu następnego prominenta.

Poniżej, w zatoczce, demonstranci w zdezelowanych motorówkach i gumowych pontonach będą podejmować takie same działania, tyle że na wodzie.

Co u diabła chcą w ten sposób osiągnąć? Mają przecież tylko tyle władzy, ile tacy ludzie jak Strand zechcą im podarować. Ani mniej, ani więcej. Ale niech sobie wierzą, że to oni rządzą, pomyślał, gdy pilot delikatnie posadził śmigłowiec na ziemi. Dużo łatwiej jest nimi rządzić, kiedy myślą, że ich głosy cokolwiek znaczą.

Uśmiechnął się szeroko, wychodząc z helikoptera. Za kilka miesięcy te ich głosy będą się liczyły jeszcze mniej.

Mimo przekroczonej dawno osiemdziesiątki Fraser zachował sprawność fizyczną ku żalowi swoich nieprzyjaciół, którzy w większości woleliby, żeby leżał w grobie.

Ubrany w zwykły szary dres z emblematem Akademii Morskiej na lewej piersi bluzy zszedł z ganku na codzienną poranną przebieżkę.

Spojrzał na zaparkowanego na rogu fordą. Dwaj tajniacy na przednich siedzeniach wyglądali na mocno podmęczonych bezsennością.

Admirał ruszył truchtem do swego samochodu i gdy się do niego przybliżył, ford zawarczał uruchomionym silnikiem.

- Witajcie, chłopcy! - zawołał Fraser, ale żaden z mężczyzn nawet nie spojrzał w jego stronę.

Pojechali za Fraserem na wzgórki oddzielające Palos Verdes od świata spalin i hałasu. Towarzyszyli mu też w drodze powrotnej, a kiedy admirał był tuż koło domu, zauważyli, że się potknął, zachwiał i

przystanął. Po chwili zgięty w pół, najwyraźniej zdjęty nagłym bólem, opadł na kolana.

- Wezwijmy pogotowie - powiedział jeden z tajniaków, ale jego kolega położył wzbraniająco rękę na radiu.

- Wygląda to na atak serca - powiedział. - I może nam zaoszczędzić wiele pracy. Zaczekaj.

Agent zawahał się widząc, jak starzec dźwiga się na nogi, po czym tuż przed gankiem znowu pada na ziemię.

- Nie myślę, że...

- Otóż to - przerwał mu drugi tajniak. - Nie myśl. Nic nie rób.

Patrzyli w milczeniu, jak otwarły się drzwi domu, wypadł z nich Randall LeBlanc, podbiegł do Frasera, wziął go za ramiona i wciągnął do wnętrza, zatrzasnął drzwi nogą.

- Teraz - odezwał się agent. - Połącz się z centralą i powiedz, co się zdarzyło.

Po kilku minutach pod dom Frasera podjechała jasnoczerwona karetka straży ogniowej, jej zmieniający nagle sygnał zabrzmiał jak niedokończony żałobny tren.

Sanitariusze w asyście LeBlanca wsunęli nosze z ułożonym na nich Fraserem do furgonetki, która odjechała z bolesnym łkaniem syreny, a za nią ruszył ford z tajniakami.

Rozdział 38

Palm Springs, 3 stycznia

Brutalne w lecie słońce teraz uśmiechało się zyczliwie ponad pustynią, namawiając do pozbywania się marynarek i noszenia koszul z krótkimi rękawami. Była to jedyna pora roku, jaką Jay tolerował w Palm Springs.

Siedział z Alexandrą w lodziarni przy głównej ulicy, odległej ledwie o przecnicę od magazynu odzieżowego I. Magni- / na. Zdaniem Jaya całe miasteczko stanowiło coś w rodzaju muzeum figur woskowych dla bogatych starsuszków i to była główna racja jego bytu. Poza tym nadało się dobrze na spotkanie z Fraserem. Za pomocą pierwszego zesta-

wu liczb z testu egzaminacyjnego Jaya (sto punktów na sto możliwych) Fraser określił współrzędne geograficzne Palm Springs, drugi zestaw posłużył do podania adresu, trzeci był już tylko dymną zasłoną.

- Roztyję się w oczach, jeśli admirał zaraz się nie pojawi - oznajmiła Alexandra.

- Wypróbowaliśmy dopiero sześć smaków - odrzekł Jay, wbijając łyżeczkę w pucharek z lodami. - Zostało jeszcze dwadzieścia pięć. A poza tym chciałbym, żebyś była tłusta. Nie musiałbym się obawiać, że mi cię ukradną.

- Co zrobimy, jeśli admirał nie przyjdzie? Może nie będzie się mógł pozbyć swoich skautów? Może przywłoką się tu za nim?

- Bez Frasera nic nie będzie z naszych zamiarów - odparł Jay. - Musimy jak najprędzej pokrzyżować plany Klubu Pasterza. Fraser wie najlepiej, komu można ufać, a komu nie. Bez niego możemy wpaść w pułapkę i to raczej prędzej niż później. Proponuję na razie nie myśleć o tym, co będzie, jeśli go tu wyśledzą. Upewnij się tylko, czy w razie czego wyciągniesz szybko pistolet.

- A co z FitzGeraldem? - zagadnęła, nie po raz pierwszy zresztą zadając to niewygodne dla Jaya pytanie.

Jay nie cierpiał tego człowieka i podczas pobytu w belgijskim ustroju Hartkemeiera wyjaśni! Alexandrze niektóre przyczyny tej antypatii. Mimo to raz po raz namawiała Jaya, by nawiązał z nim kontakt, choćby dlatego, że radził mu to umierający Subasić.

- Zobaczę - odparł ostro. Alexandra miała rację, zdawał sobie z tego sprawę. Był zły na siebie, że nie potrafi zapomnieć o swoich pretensjach do FitzGeralda. Ale wiedział, że w końcu będzie zmuszony odłożyć je na bok. Nie uczyni tego, jeśli Fraser ułatwi im wykonanie zadania. Z pewnością pójdzie na to, gdyby admirałowi coś się przydarzyło.

Umilkli. Alexandra dojadła swoją niskokaloryczną porcję lodów o smaku kakaowym. Jay spoglądał raz po raz na zegarek, jakby opuściło go poczucie czasu.

Kwadrans po dwunastej dostrzegli czerwony ambulans straży pożarnej z okrągłym godłem miasta Los Angeles. Zatrzymał się przy krawężniku przed lodziarnią i wysiadł z niego sanitariusz w białym kitlu. Musiało minąć kilka sekund, zanim Jay rozpoznał w nim Randalla LeBlanca.

LeBlanc wszedł do lodziarni, kupił dwa rożki i wrócił do karetki, która odjechała, jak tylko Jay z Alexandrą wstali, kierując się do wyjścia.

Zobaczyli ją znowu zaparkowaną pod drzewem w połowie drogi przed następną przecznicą. Wsiadli do niej przez tylne drzwi i LeBlanc momentalnie ruszył z miejsca.

W środku kontradmirał Daniel Fraser lizał łakomie miętowe lody mocca, siedząc na wózku, z którego na przywitanie Jaya i Alexandry zaraz wyskoczył. Twarz miał pobrużdżoną, wysmaganą wiatrami, ale oczy błyszczały mu radością.

- Jak się wyraził Mark Twain, pogłoski o mojej śmierci były znacznie przesadzone - powiedział wesoło. - Dzień dobry, juniorze. Wyglądasz fantastycznie. Cywilne życie oraz inne rzeczy, co?

- Witam, młoda damo - zwrócił się do Alexandry. - A co taka miła kobietka robi u boku tego potępińca? Czy nie wie pani, że poszukuje go policja wielu krajów? Ach - urwał, przyglądając się jej przez chwilę - to pani jest pewnie tą jego tajemniczą współniczką, o której rozpisywano się w gazetach? Piękna kobieta zamieszana w morderstwo w dalekich krajach. To zawsze intryguje, prawda, juniorze?

Jay uśmiechnął się, nie zaprzeczając, a Alexandra zaczerwieńiła się jak piwonია.

- No, ale przecież nie spotkaliśmy się tu dla towarzyskiej pogawędki, nieprawdaż? - spytał głosem nie pozostawiającym wątpliwości, kto jest w tym gronie dowódcą.

Siadł z powrotem na wózku, a Jay z Alexandrą ulokowali się na kółkowych noszach pod rządami rurek, kabelków i flakonów rozmaitych kształtów i kolorów, kołyszających się i podzwaniających w rytm manewrów sunącej ulicą karetki.

- Racja, panie admirale - potwierdził Jay. - Pragnę jednak podkreślić, że ogromnie doceniam trud, jaki pan sobie zadał, by się z nami zobaczyć. Mam nadzieję, że nie naraziliśmy pana na żadne niebezpieczeństwo.

- Oszczędź te mówki na mój pogrzeb, jeśli będziesz wciąż między żywymi, kiedy wykituję. I nie martw się o mnie. To największa frajda, jaką miałem, od czasu jak zostałem wyrolowany przez te kanale z Waszyngtonu. Cholernie się nudzę w San Pedro. Nudy tam jak w grobow-

cu. Oczywiście dom jest niczego sobie, ale mam po dziurki w nosie tego świństwa, tych skandalicznych historii o wojsku, jakich się stale dowiaduję i nic nie mogę na to poradzić poza palnięciem mowy w jakimś cholernym rotariańskim klubie. Ludzie wciąż się do mnie zgłaszają z informacjami. Zdymisjonowani rewidenci rządowi, kapitanowie statków, dowódcy okrętów wojennych. Rany boskie! Przychodzą, bo widzą, że cała hierarchia służbowa jest przeżarta korupcją.

- Przepraszam - wtrącił LeBlanc. - Dokąd mam jechać?

Jay podał mu adres małego hotelu w Indio.

- Och, zdarza mi się coś tam wskórać - ciągnął gorzko Fraser. - Przekazując informacje kilku ludziom, którym ufam, apelując do moich dłużników. Należy mi się rewanż za pewne przysługi. To dzięki temu wykręciłem ten numer ze szpitalem i karetką. Wypożyczyli mi ją, ale czy mogą dobrać się do skóry korporacjom? Chyba nie – odpowiedział sam sobie ze smutkiem. - Niemniej robią dla mnie, co mogą. Ostatnio przestałem prosić o cokolwiek, bo jestem stale śledzony. I ci, którzy mnie odwiedzają, także są potem śledzeni. Niektórzy tracą później pracę, są przenoszeni, degradowani, milkną albo znikają bez śladu. Odnoszę wrażenie, że tylko dlatego nie rozprawiono się ze mną dotąd raz na zawsze, bo jestem im do czegoś potrzebny.

Jayowi przypomniało się, że i o nim Subasić i Sweeny mówili jako o bezwolnym, pożytecznym narzędziu.

- Wolą po prostu, żebym zmarł śmiercią naturalną. Nie jest im potrzebny męczennik. Nie trap się o mnie, juniorze. Naprawdę od lat nie bawiłem się tak dobrze i jeżeli coś mi się przytrafi, pamiętaj, że żaden spektakl nie jest na tyle dobry, by ciągnąć go w nieskończoność. Miej to na uwadze i wiedz, że cała przyjemność jest w tej sytuacji po mojej stronie.

- No, a teraz - dodał, zwierając dłonie - opowiadaj co cię do mnie przyniosło.

Jay zreferował admirałowi przebieg dotychczasowych wydarzeń i zauważył przy tym z konsternacją, że za każdym razem, kiedy o tym mówił, brzmiało to coraz logiczniej. A przecież wszystko to było czystym szaleństwem.

Rozdział 39

Long Beach, 3 stycznia

Większość ludzi uważa, że doki portowe to obskurne, zatłoczone, brudne nabrzeża, rojące się od szcurów siedliska wszelkiej zarazy. Nic dalszego od prawdy. Wiele dzisiejszych portów przekształciło się w nowoczesnie zaprojektowane, popularne ciągi handlowe. Do portów takich zalicza się także Long Beach.

Tamtejsze doki nie są bynajmniej ciemną, zakazaną dziurą, ale miejscem, gdzie całe rodziny spędzają chętnie weekendowe popołudnia, łowią ryby z pomostów, zwiedzając „Queen Mary” albo „Spruce Goose”, słynny drewniany samolot Howarda Hughesa.

Jay pierwszy zauważył „Queen Mary”, kiedy wjechali na Queensway Bridge. Jej rześista iluminacja była iście królewska. Daleko za nią, na południu, lśniły światła Seal Beach i Huntington Beach. Bliżej płonęły blaskiem surrealistyczne wieże na usianych w zatoce wysepkach platform wiertniczych. Na wprost kąpały się w lodowych sadzawkach oświetlenia terminale kontenerowców. Ale w całej tej panoramie dominowała majestatyczna sylweta „Queen Mary”.

- Jaka ona piękna - odezwała się cicho Alexandra, siedząca w wynajętym chryslerze pomiędzy Jayem a Fraserem.

- Nie ma w świecie nic - oświadczył admirał głębokim głosem, jakby ciosał słowa w granicie - absolutnie nic, piękniejszego od statku.

Uprzednio LeBlanc odwiózł ich do hotelu, gdzie się wymeldowali, zabierając bagaże. Mimo protestów LeBlanca Fraser kazał mu wracać do Los Angeles i odstawić ambulans.

Następnie zwrócili auto wynajęte w Beverly Hilton, pojechali takśówką na lotnisko w Palm Springs, wyczarterowali awionetkę na lotnisko imienia Johna Wayne'a w Orange County, wynajęli chryslera i autostradą Pacific Coast dotarli do Long Beach. Ktoś, kto chciałby ich śledzić, dostałby kręcka, próbując podążać za nimi krok w krok.

- Jedź ciągle prosto - rzucił Fraser, gdy się zbliżali do skrętu w kierunku „Queen Mary”.

Po lewej stronie drogi pojawił się teraz wysoki, na oko ponad sześciometrowy parkan, a Fraser z wielką uwagą śledził wszystkie znaki drogowe.

-Jedź wolno – polecił Jayowi. - Byłem tu tylko raz i pamięć mi wraca powolutku. Nagle, jakby przypomniał sobie coś niesłychanie ważnego, obrócił się do tyłu i popatrzył w tylne okno wozu.

- Jesteś pewny, że nikt za nami nie jedzie? - spytał.

- Kręcimy się po Long Beach już od pół godziny. Raz nawet specjalnie wjechałem pod prąd w ulicę jednokierunkową. Jeżeli ktoś nas śledzi, to chyba z przestworzy albo ukrył się w bagażniku.

- Tip top - powiedział Fraser. - Tip top - powtórzył i zajął się znów baczną obserwacją parkanu i mijanych bram. Jay zwolnił do trzydziestu kilometrów na godzinę. Wyprzedziła ich półciężarówka z gniewnym beknięciem klaksonu i zniknęła we wjeździe na jakiś przemysłowy teren kilkaset metrów przed nimi.

Droga stopniowo się zewężała i zakręciwszy w prawo skończyła się przed bramą z napisem Terminal Kontenerowy Azja-Pacyfik. Z oświetlonej jarzeniówkami budki wyszła masywna kobieta w oliwkowym uniformie i zbliżyła się do chryslera.

- Mówiłem ci, że tu trafię - powiedział Fraser do Jaya.

- A pan w jakiej sprawie? - zwróciła się do niego strażniczka.

- Do pana Modesti - rzekł Fraser. - Do Kevina Modesti. Powie pani, że goście już są.

- Gdyby mi pan podał nazwisko, to z miłą chęcią...

- Proszę, niech pani tylko zadzwoni - uciał admirał.

- Dobrze - zgodziła się i poszła do budki zatelefonować.

- Pan Modesti jest w trzecim budynku po prawej stronie. Obok tej suwnicy bramowej - wskazała kierunek mięsistym ramieniem, z trudem mieszczącym się w rękawie koszuli, po czym nacisnęła guzik otwierający bramę. Jay ruszył, a Fraser w przejeździe pomachał wesoło strażniczce.

Zza kępy ozdobnych iglaków przy wejściu do budynku wyłonił się krzepki mężczyzna w kombinezonie dokera. Mimo potężnej postury poruszał się z gracją tancerza. Pokazał Jay-owi, że ma zaparkować za zielonym sedanem na rządowych numerach i cofnął się zaraz na swój niewidoczny posterunek.

- Co to ma znaczyć? - zdziwił się Jay.

- Względy bezpieczeństwa - wyjaśnił Fraser. - Mysz się tu nie wciśnie niepostrzeżenie. I nikt się nie wymknie bez pozwolenia. /Je nie

obawiaj się. Ci ludzie nie są pracownikami państwowymi. Nikt cię nie wyda policji - dodał wyczuwając zdenerwowanie Jaya.

Ten mruknął coś pod nosem i wysiadł z auta. Zauważył, że na parkingu stał także niebieski plymouth z godłem Marynarki Wojennej na drzwiczkach oraz jasnobrązowy chrysler, wyglądający na nieoznakowany wóz policyjny.

- Tu są tylko moi przyjaciele - uspokajał go Fraser. Dawni podwładni z Marynarki. Lojalni wobec swoich nowych szefów, ale przede wszystkim wobec mnie. Taka kadrowa grupa. Są po mojej stronie. I po twojej.

Fraser wspominał już podczas jazdy do Palm Springs o niedużej grupie ludzi nadal w służbie państwowej, którym znane są poczynania Komitetu Siedmiu i Klubu Pasterza i którzy starają się mieć na oku tę organizację.

- No, to chodźmy - powiedział Jay z nietęgą mimo wszystko miną. - Nie dajmy na siebie czekać.

W drzwiach budynku powitał ich Kevin Modesti i powiódł przez zapchaną halę do dwuskrzydłowych wież na drugim końcu magazynu.

Modesti, szczupły, mniej więcej 45-letni mężczyzna, miał czarne faliste włosy i przenikliwe inteligentne oczy. Mrugał nimi często, jak gdyby coś go ustawicznie zaskakiwało. Jay wiedział już od Frasera, że Modesti dowodził niszczycielem we Flocie Pacyfiku, a po przejściu na wczesną emeryturę został mniejszościowym udziałowcem w niewielkim towarzystwie żeglugowym, dysponującym Terminalem Kontenerowym Azja-Pacyflk.

- Admirał pewnie już mówił państwu, że współpracuję często z FBI i wywiadem Marynarki - powiedział, prowadząc ich przez wąwozy kartonowych pudeł, sięgających niemal sufitu. - Dużo zawdzięczam admirałowi. I nie mogłem mu odmówić, kiedy kilka lat temu poprosił mnie o wydzielenie części magazynu na pomieszczenie dla uciekinierów z zawijających tu statków. Potrzebne było takie miejsce w samym porcie, przeznaczone specjalnie dla nich, gdzie czuliby się bezpiecznie. Przyjeśliśmy tu między innymi sporo polskich marynarzy, którzy wyskoczyli ze statków po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego - dodał, wskazując na tabliczce cyfry kodu otwarcia drzwi, przed którymi się zatrzy-

mali. - Zbiegowie napływają zresztą w dalszym ciągu, głównie z krajów komunistycznych. Co tydzień przybywa ich około dziesięciu.

- Aż tak wielu? - zdziwił się Jay.

- Tak, ale nie rozgłaszamy tego, żeby nie drażnić Sowielów. Są chorośliwie uczuleni na takie kłopotliwe dla nich incydenty. Oszczędź im wstydu, a przymkną oczy nawet na morderstwo - uśmiechnął się Modesti.

Drzwi otworzyły się i gdy weszli do jakiegoś mrocznego pomieszczenia, zamknęły się za nimi z łoskotem.

- Stal - poinformował Modesti. - Dwa cale pancernej płyty. Tak samo, jak wszędzie w ścianach i w suficie. Mamy tu też ultranowoczesny system wentylacyjny, który automatycznie neutralizuje wszelkie gazy oraz inne toksyczne i bakteriologiczne substancje. Podobnie zabezpieczona jest woda.

Wzrok Jaya już się niemal oswoił z ciemnością, gdy raptem rozbłysło jaskrawe, oślepiające światło.

- Prowadzi tu tylko to jedno wejście - objaśniał dalej Modesti. - Nagle włączane światło dezorientuje intruzów i pozwala na fotografowanie. Tę salę chroni przed materiałami wybuchowymi ponad trzydzieści centymetrów stalowej płyty. Aparatura fluoroskopowa pozwala na dokładne sprawdzenie, co wchodzący mają przy sobie.

Jaskrawe światło zgasło i zastąpiły je zwykłe podsufitowe jarzeniówki. Jay poczuł się od razu swobodniej.

- Dobry wieczór, panie Modesti - rozległ się głos z megafonu pod stropem. - Kontrola zakończona. Odblokowano przejście przez komorę powietrzną. Pan Fleming i pani Downing mają pistolety automatyczne kaliber .45, wzór 1911 oraz po dwa zapasowe magazynki. Klamerka ortopedyczna w nodze pana admirała pozostaje w prawidłowym położeniu.

- Dosyć, Doyle - rozkazał Modesti. - Lubi się popisywać - wyjaśnił gościom. - Fluoroskop jest tak czuły, że wykaże nawet wartość najdrobniejszego bilonu w kieszeniach.

- Ciśnienie powietrza - ciągnął - podobnie jak w halach zakładów elektronicznych, jest tu nieco wyższe niż na zewnątrz. Dzięki temu nie przedostają się do wewnątrz żadne zanieczyszczenia atmosferyczne.

Przekroczyli próg kolejnej komory powietrznej, której drzwi z sykiem się za nimi zamknęły, i weszli za Modestiin do pokoju urządzonego jak zwykły mieszczański salon.

- Staramy się o zapewnienie naszym pensjonariuszom maksymalnej wygody - mówił dalej Modesti. – Naturalnie wszelkie urządzenia elektroniczne związane z ubezpieczeniem obiektu pozostają ukryte. Nie wykluczamy, że któryś z uciekinierów może okazać się szpiegiem.

Idąc dalej korytarzem pokrytym wykładziną dywanową, dowiedzieli się, że obiekt ma dwanaście apartamentów z osobną łazienką, wyposażonych tak, jakby był celą pod nadzwyczajnym nadzorem i naszpikowanych elektroniką.

- Oczywiście - podkreślił Modesti - ani policja, ani jakakolwiek służba bezpieczeństwa nie może się do nas przychylić z tej prostej przyczyny, że nie mają o nas pojęcia. Nie figurujemy w żadnym rządowym rejestrze, nie uwzględniają nas w swoich zamierzeniach żadne państwowe agencje. Wie o nas jedynie garstka ludzi z FBI i wywiadu Marynarki Wojennej. A wszystko, co tu widzicie, zostało osobiście zaprojektowane i sfinansowane przeze mnie — oświadczył z dumą.

Owa duma oraz podobieństwo do metod stosowanych przez Komitet Siedmiu zasiały lekki niepokój w umyśle jaya. Kiedy Modesti otworzył przed nimi drzwi na końcu korytarza, znaleźli się w sporej sali konferencyjnej z ogromnym stołem, u końca którego siedziało obok siebie trzech mężczyzn. Na widok Frasera wszyscy wstali, robiąc wrażenie jakby chcieli mu zaszalutować.

Po chwili Modesti kolejno ich przedstawił. Byli to: Bill Lamb z wywiadu Marynarki, lat na oko pięćdziesiąt pięć, przysadzisty, muskularny mężczyzna, prawie zupełnie łysy, o czarnych połyskliwych oczach; następnie George Treadwell z FBI, wymuskany elegant, ale silny fizycznie, oraz David Curry z Generalnego Biura Rachunkowości, spokojny, pulchniutki, w grubych szklach na nosie, w wieku po między trzydziestką a czterdziestką.

Fraser zajął miejsce u szczytu stołu, po jego prawej stronie siadł Modesti oraz Lamb, Treadwell i Curry, a po lewej Jay z Alexandrą. Admirał scharakteryzował zwięźle i precyzyjnie swoje relacje z Flemingiem, dodając wypadki minionych dwóch tygodni.

Następnie Jay przedstawił dossier Copelanda przesłane Goldbergo wi, zabrane po jego śmierci przez Alexandrę z hotelu w Luksemburgu i

uzupełnione jego pisemnym komentarzem. Dodał do tego to, czego dowiedział się sam, przeglądając pospiesznie papiery Tesli, oraz to, co usłyszał później od Subasicia, i zakończył krótką, własną oceną zamyśłów Komitetu Siedmiu.

Potem zabrała głos Alexandra, opisując swoją znajomość z Copelandem, podróż do Luksemburga, spotkanie z Goldbergiem i jego straszną śmierć oraz okoliczności, w jakich poznała Fleminga. Mówiąc, cały czas czuła na sobie wiwisekcyjne spojrzenia przyjaciół admirała. Większość mężczyzn rozbierała ją wzrokiem, ci tutaj patrzyli jednak na nią jak na próbkę laboratoryjną.

Kiedy skończyła, zapadła dłuższa cisza, maćona jedynie łagodnym szumem wentylatorów, a pierwszym, który ją przerwał, był David Curry, pulchny urzędnik z Generalnego Biura Rachunkowości.

- W gruncie rzeczy - odezwał się głębokim barytonem - już od jakiegoś czasu mamy na oku Międzyrządowy Ośrodek Synoptyczny. Niektóre dokumenty, pokazane przez pana Fleminga, są także w naszym posiadaniu. Wydawały nam się dotąd tylko niezbyt jasne, nie domyślaliśmy się ich znaczenia. Teraz nabrały ostrzejszego wyrazu. I złowieszczego - dodał, przenosząc kolejno wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Co więcej, łączy się to z pewnym wydarzeniem, które miało pozory przypadkowego zabójstwa. Jeden z naszych informatyków w Waszyngtonie opracował specjalny program otwierający dostęp do kont bankowych głównych dostawców sił zbrojnych, udało mu się też znaleźć klucz do ich najrozmaitszych transakcji, zarówno kupna, jak i sprzedaży.

Pamiętacie może państwo wrzawę, jaka przed kilkoma latami powstała wokół włamania się pewnego studenta do danych Laboratorium Jądrowego Lawrence'a Livermore'a. Otóż ten haker to był właśnie nasz człowiek w Waszyngtonie. Mieliśmy szczęście, że nie zwerbowali go Rosjanie.

- Przed kilkoma dniami - ciągnął Curry - zdobył on nieco informacji o kontrahentach obsługujących Projekt Otucha.

Słyszając to Fraser zagryzł wargi, twarz mu stężała. Od dawna twierdził, że Projekt Otucha to kolosalny błąd, kliniczny przykład inwestycji, która w chwili ukończenia będzie już przestarzała.

- Wygląda na to, że ci dostawcy, a zalicza się do nich także Fleming Industries, przesyłają sprzęt do nadawania na falach ELF warty miliony

dolarów do wielu rozmaitych krajów. Nasz analityk przesłał tę informację swojemu zwierzchnikowi, a wczoraj - Curry ściszył głos - został tajemniczo zamordowany.

- Jestem przekonany, że za tą zbrodnią stoją zdemaskowane przez niego korporacje, które jakimś sposobem wpadły na trop jego odkryć. Na szczęście nasz ekspert zdążył przed śmiercią przekazać najważniejsze dane jednej z naszych placówek na zachodnim wybrzeżu. Mamy nazwy tych spółek oraz wykaz punktów odbioru przesyłek ze sprzętem ELF.

- W świetle tego, co powiedział pan Fleming, nie jest wykluczone, że sprzęt ten posłuży do uruchomienia broni w formie impulsu elektromagnetycznego. Ponadto, rozproszenie dostaw po świecie wskazuje na próbę nadania tej broni globalnego zasięgu.

- Ale dlaczego? - przerwał Jay. - Dlaczego skonstruowali tę broń? Co zamierzają z nią zrobić? Członkowie Klubu Pasterza nie mogą przecież prowadzić na własną rękę prywatnej wojny.

- Ale potrafią w nią tak wmanewrować rząd, że będzie się toczyła w imieniu kraju - zauważył z goryczą Fraser. - Mają swoich plenipotentów w szeregach polityków, którzy wywołają na ich zlecenie każdą wojnę i będą ją toczyć jak długo zechcą. Przykładem Wietnam. Wojna wybuchła tam na życzenie korporacji i trwała dość długo, by podreperować wędnące zyski korporacyjne setek kontrahentów naszych sił zbrojnych.

- Według naszych źródeł - podjął Curry - korporacje te są obecnie w jeszcze gorszym położeniu niż w roku 1964. Napotykają na międzynarodowym rynku na konkurencję ze strony Japonii oraz naszych zachodnich sojuszników, a nadto małych, lecz prężnych firm w rodzaju tej, którą kieruje pan Fleming. W rezultacie wielkie korporacje, jak na przykład Allied Defense czy Fleming Industries, ponoszą wielkie straty.

- Jednakże od czasów Wietnamu klimat polityczny uległ zasadniczej zmianie - kontynuował Curry, zaglądając do notatek. Było jasne, że zmierza stopniowo do pewnej konkluzji. - Rząd nie jest już taki skłonny do wdawania się w wojnę dla ratowania skóry wielkich dostawców broni dla wojska. Jest to tym trudniejsze, że narasta sprzeciw wobec kosztownych kontraktów z producentami samolotów czy uzbrojenia.

W salach posiedzeń kierownictwa największych korporacji przemysłowych i zbrojeniowych potęguje się nastrój frustracji. Wynika to z

tego, że rząd coraz bardziej zmuszony jest ulegać presji szerokiej opinii publicznej, a także z racji porażek w bitwie technologicznej z zagranicznymi rywalami. Jak państwo dobrze wie, Japonia wyprzedza nasze duże firmy o lata świetlne w produkcji komputerów piątej generacji. Przemysł zbrojeniowy zaś opiera się coraz mocniej właśnie na zdobyciach nowoczesnej technologii. Wielkie korporacje o uznanej renomie, które dominowały na tym polu od początków XX wieku, tracą swoją niekwestionowaną długo hegemonię.

- Zanim powiem, co o tym wszystkim myślę, chciałbym powiadomić o jeszcze jednym fakcie, który do dzisiaj, nie powiązany z rewelacjami pana Fleminga, wydawał się mało zrozumiały i nieistotny.

Curry ogarnął spojrzeniem audytorium jakby w oczekiwaniu na przyzwolenie wyjawienia tego faktu, choć oczywiście nie było mu ono potrzebne.

- Otóż od prawie dziesięciu lat Allied Defense, Fleming Industries i wiele innych kompanii, zakotwiczonych mocno w Klubie Pasterza, kupowało potajemnie niezautomatyzowane fabryki różnorakiego sprzętu, maszyny do produkcji lamp próżniowych i temu podobne rzeczy oparte na archaicznej technologii. Zakłady Fleming Industries posunęły się nawet do zainwestowania w wytwórnię lamp próżniowych do komputerów. Pamiętamy, że były one stosowane w czasach, gdy nie było tranzystorów ani układów scalonych i komputer, wykonujący pracę dzisiejszego domowego peceta, mógł zajmować powierzchnię równą połowie domu mieszkalnego.

- Powstaje pytanie, dlaczego Fleming Industries oraz inne spółki stowarzyszone w Klubie Pasterza inwestują miliony dolarów w produkcję przestarzałych komputerów? Miałoby to jedynie sens wtedy, gdyby zabrakło nagle tranzystorów i silikonów. Produkty niezaawansowanej technologii nabierają znaczenia jedynie wówczas, gdy nie ma na rynku produktów technologii nowoczesnej.

Curry umilkł i popatrzył na swoich słuchaczy, do których właśnie zaczęła docierać niesamowita prawda.

- Sugeruje pan, że Komitet Siedmiu uzyskuje monopol na wytwarzanie urządzeń prymitywnej technologii, ponieważ zamierza posłużyć się elektromagnetycznym impulsem w celu zniszczenia... - głos Frasera zaświł w powietrzu.

- Właśnie - przytaknął Curry. - Zniszczą to, z czym nie udaje im się skutecznie rywalizować. I tylko oni są w posiadaniu sprzętu i środków, aby przywrócić stan poprzedni, bodziemy zdani na ich łaskę. Nie zagraża im żadna konkurencja.

- Ale podniesie się przecież wielki krzyk - rzekł gniewnie Fraser. - Ludzie wyciągną ich z sal konferencyjnych na ulicę i rozedrą na sztuki.

- Przykro mi, ale nie podzielam tego zdania - zaproponował Jay. - Będzie chroniło ich to, że staną się światu bardzo potrzebni, ale nawet gdyby tak nie było, sądzę, że łatwo osiągną swój cel takim sposobem, iż nikt nie poczyta im tego za niegodziwość. Nie tylko nie będą uważani za złoczyńców, ale staną się pomnikowymi bohaterami.

- Jakież to sposób? - spytał admirał i w oczach wszystkich pojawiło się niemo to samo pytanie.

- Dajcie mi wszystkie wycinki prasowe na temat Międzyrządowego Ośrodka Synoptycznego za ostatnie dwa lata, a pokażę państwu jak tego dokonają.

Rozdział 40

Long Beach, 4 stycznia

Jay miał rację, ale była to wątpliwa satysfakcja. W ciągu dwóch minionych lat Los Angeles Times zamieszczał szereg razy teksty dotyczące Międzyrządowego Ośrodka Synoptycznego. Trzy z tych publikacji odnosiły się do wypowiedzi naukowców, twierdzących, że gwałtownie zwiększa się liczba nasilających się co siedem lat plam słonecznych.

Od dawna wiadomo, że zjawisko plam na powierzchni Słońca powoduje zakłócenia systemów łączności, bo strumienie naładowanych cząsteczek w znacznie większej liczbie wciskają się wówczas w górne warstwy atmosfery. Z nieznanym naukowcom przyczyn liczba owych plam zmienia się cyklicznie co siedem lat.

Ostatni artykuł na ten temat pojawił się w Los Angeles Times 30 grudnia ubiegłego roku. Cytowany w nim specjalista mówił, że aczkolwiek wkraczamy dopiero w szósty rok cyklu, to jednak rejestruje się

niezwykłą aktywność emitowanych przez Słońce naładowanych cząstek.

„Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało nazbyt pesymistycznie” - oświadczył naukowiec - „ale w przyszłym roku można się spodziewać bardzo silnych zakłóceń telekomunikacyjnych, a także awarii niektórych czułych urządzeń elektrycznych i elektronicznych”.

Przygotowywali grunt. Diagnoza Curry'ego była prawidłowa. Nie mogąc sprostać konkurencji rynkowej, kulejące korporacje przemysłowe na czele z mamutami zbrojeniowymi znalazły łatwy sposób unicestwienia rywali. Zainwestowały zbyt wiele w anachroniczną technologię, by poddać się bez walki. Nie przejmowały się ani trochę tym, że obniżą stopę życiową miliardów ludzi, zawracając świat z drogi postępu i pograżając go w stagnacji.

- O czym myślisz? - spytała cicho Alexandra.

Modesti oddał im do dyspozycji jeden z apartamentów swego ośrodka. Treadwell i Lamb ulokowali się naprzeciw, a Curry w końcu korytarza. Fraser odjechał do domu wynajętym chryslerem. „Nic mi się nie stanie, juniorze” - zapewnił Jaya. „Mówiłem wam, że ci ludzie nie chcą zrobić ze mnie męczennika”.

Alexandra podeszła do Jaya, który ślęczał przy stole nad stosem wycinków i materiałów, w które zaopatrzył ich Curry. Ekspert informacyjny Generalnego Biura Rachunkowości Robert Sansome dostał od niego specjalny urlop, by mógł spokojnie w swoim komputerze buszować w banku danych Allied Defense, Fleming Industries oraz innych spółek uczestniczących w Projekcie Otucha. Przy okazji padały też jego ofiarą instytucje kierowane przez członków Komitetu Siedmiu.

Podobnie jak Barnes, Sansome zaczynał karierę już jako piekielnie uzdolniony nastolatek, który uwielbiał pokonywać systemy komputerowe. Jednak nie udało mu się uzyskać dużo więcej wartościowych informacji.

- Komputer ma swoje ograniczenia — stwierdził Jay. — Nic nie może zastąpić bezpośredniej obserwacji, nie ma substytutu dla myśli ludzkiej, tego cudownego sposobu, w jaki nasz umysł pokonuje ogromne obszary niewiedzy i dochodzi do niezwykłych konkluzji.

- Co za głębokie spostrzeżenia - powiedziała Alexandra.

Jay odsunął się z krzesłem od stołu, wstał i objął ją i przytulił do siebie.

- Nie ma to jak bezpośredni kontakt, prawda? – powtórzyła, a Jay skinął potakująco.

Przez całe popołudnie Jay, Alexandra, Treadwell, Modesti, Lamb i Curry, wypijając morze kawy i pochłaniając sterty kanapek, roztrząsali niczym na radzie wojennej działania, jakie powinni i mogli przedsięwziąć.

- Jeżeli infiltrują tak głęboko aparat państwowy, jak mamy prawo przypuszczać - powiedział Treadwell - to nie ma sensu angażować FBI.

- Ani wywiadu Marynarki - zawtórował Lamb.

- Ani też nikogo w rządzie, w każdym razie nie oficjalnie - dorzucił Jay. - Wynika z tego, że każdą naszą akcją musimy przeprowadzać drogą pozasłużbową i możliwie naj szczuplejszymi siłami, żeby uniknąć dekonspiracji. Najlepiej uderzyć szybko i niespodziewanie.

- Ma pan na myśli sabotaż urządzeń związanych z produkcją broni Tesli? - zapytał Lamb.

- To w ostateczności. Zniszczenie lub uszkodzenie tych urządzeń jedynie odwlecze bieg wydarzeń. Stać ich na odbudowę zniszczonych obiektów. Poza tym nie wiemy, gdzie dokładnie się znajdują.

- Ale zyskamy przez to na czasie - zauważył Treadwell.

- Być może ta zwłoka pozwoli nam na znalezienie trwałego rozwiązania problemu. Choćby przez wyeliminowanie reżyserów tego spisku.

- Sugerujesz skrytobójstwa? - zapytał Modesti.

Treadwell skinął głową, po czym od razu potrząsnął nią ze smutkiem.

- Jest ich zbyt wielu i są dobrze strzeżeni. Nie dorównujemy im liczebnie.

- Nie jest tak źle - zaproponował Jay. - Mózgiem całości jest Komitet Siedmiu. A właściwie tylko sześciu, bo jeden ubył.

Zebrani popatrywali na siebie z ukosa, najwyraźniej zakłopotani.

- Uważam to jednak także za ostateczność - oświadczył Jay. - Naszym głównym celem jest rozsypka tej grupy ludzi. Brak przywódców spowoduje walkę o władzę, o pozycję. Wprawdzie pomoże nam to tylko przejściowo, ale nie doprowadzi do rozpadu całej organizacji. Trzeba by przekonać kierownictwo, że Komitet nie ma prawa nadal egzystować.

- Aby to osiągnąć musielibyśmy usunąć wszystkich sześciu członków Komitetu - ciągnął Jay. - Nawet gdyby pozostał tylko jeden, koła będą się toczyć dalej. I bardzo wątpię, czy udałoby się nam zlikwidować wszystkich od razu, istnieje zawsze groźba, że niektórzy zdążą się tak ufortyfikować, że niepodobna będzie ich osiągnąć.

Cisza po tych słowach świadczyła, że trafiły wszystkim do przekonania.

- Co nam wobec tego pozostaje? - odezwał się Modesti.

- Zdemaskowanie ich - rzekł Curry. - Nasza instytucja, to znaczy Generalne Biuro Rachunkowości, ma już pewne doświadczenia, jeśli chodzi o przecieki dla mediów. Mamy już gotowy, świetnie opracowany materiał wymierzony w Klub Pasterza i jego przywódców. Moglibyśmy to opublikować.

- Ale czy presja opinii publicznej ich powstrzyma? - spytał Treadwell. - I czy nie jest już na to za późno?

- Można by po cichu powiadomić, co się święci, tych, którzy poniosą przy tym ciężkie straty. Cała gospodarka Japonii oparta jest przecież na przemyśle elektronicznym. To samo dotyczy Niemców czy Holendrów. A to są nasi sojusznicy. Stać ich na szybką i zdecydowaną interwencję.

- Nie bądź głupcem - zareplikował Modesti. - Nasi kochani sprzymierzeńcy działają szybko i zdecydowanie tylko wtedy, gdy pragną się podliznąć jakimś pomyłonym lewacom, którzy domagają się ewakuacji jednej z naszych baz.

- A nasi nieprzyjaciele? - zapytał Jay. - Jaka byłaby ich reakcja?

- Zarówno Chińczycy, jak i Rosjanie - odparł Lamb - są za nami daleko w tyle pod względem rozwoju techniki. Ich broń nie jest tak bardzo jak nasza uzależniona od zaawansowanej technologii i w tym sensie mieliby mniej do stracenia. Ogólnie biorąc, strategicznie by się wzmocnili, zwłaszcza gdyby zostali uprzedzeni o tym, co nastąpi.

- A ponadto - dorzucił - Rosjanie wyprzedzili nas, jeśli chodzi o produkcję sprzętu elektronicznego odpornego na impulsy elektromagnetyczne, wywołane eksplozją jądrową. Przypomnę, że kiedy kilka lat temu pewien rosyjski pilot zdezerterował do Japonii na migu-25, wyśmiewano się w prasie z przestarzałej sowieckiej technologii, bo elektroniczna aparatura maszyny wyposażona była w staroświeckie lampy próżniowe. Tymczasem po dokładnych oględzinach okazało się, że były to lampy próżniowe nowego typu, uodpornione na impulsy elektro-

gnetyczne, czego nie można powiedzieć o tranzystorach i silikonach. A więc Sowieci mogą się obyć w walce bez najnowocześniejszej elektroniki, a my, niestety, nie.

- Ponadto, gdyby wiedzieli z góry o terminie użycia broni Tesli, mogliby to wykorzystać do inwazji na Europę Zachodnią, korzystając z zamieszania, jakie by powstało w pierwszych godzinach po emisji impulsu.

- Istnieje jeszcze jeden niebezpieczny aspekt wariantu nagłośnienia sprawy- dodał Jay. - Zgadzam się, że publiczne zdemaskowanie prawdziwego charakteru Klubu Pasterza byłoby zapewne najskuteczniejszym sposobem rozbicia raz na zawsze tego groźnego kartelu. Sądzę jednak także, że moglibyśmy przy tym wyrządzić nieodwracalną szkodę krajowi i osłabić jego obronność. W naszym społeczeństwie są bowiem takie grupy, a sprzyjają im niektórzy ludzie tworzący prawo, które chciałyby do tego stopnia zredukować wydatki budżetowe i la wojsko, że praktycznie stalibyśmy się niezdolni do obrony.

- Stany Zjednoczone mają przecież wrogów - ciągnął Jay. - Wrogowie ci zniszczą nas, jeśli nie zadamy o mocną obronę. I zdemaskowanie potężnego kartelu może okazać się wodą na ich młyn. Niewykluczone, że nastroje pacyfistyczne wśród obywateli nabiorą takiej mocy, iż zepchną kwestię obrony narodowej na daleki plan i staniemy się łatwym łupem agresorów.

- W dodatku - mówił dalej Jay - zaufanie Amerykanów do rządu zostało już mocno nadszarpnięte przez ciągłe afery korupcyjne w minionych dziesięcioleciach. Ujawnienie skandalu o takim kalibrze mogłoby spowodować wewnętrzne rozdarcie kraju i wydać go na pastwę jakiegoś demagoga, rodzimego fuhrerka. Musimy być tego świadomi i postępować nadzwyczaj ostrożnie, żeby nie wylać dziecka razem z kąpielą.

- Wszystkie rozważane tu przez nas ewentualności - sabotaż, zamachy, demaskacja, mogą być brane pod uwagę, aleja myślę o jeszcze jednym sposobie, który chciałbym wypróbować w pierwszej kolejności. Bogdan Subasić powiedział mi tuż przed śmiercią, że Steven Strand przeprowadził w Komitecie Siedmiu coś na kształt pałacowego zamachu stanu i że Liam FitzGerald bardzo chętnie by to wyprostował i wiedziałby jak to zrobić. Nie bardzo w to wierzę, jednak FitzGerald jest prezesem tego małego kartelu i chciałbym go trochę postraszyć i dobić

z nim pewnego targu. Gdyby zgodził się rozwiązać Komitet i przekazać program broni Tesli Ministerstwu Obrony, zachowalibyśmy w sekrecie ich poczynania, nie ujawniając ich ani mediom, ani naszym sojusznikom.

Gdyby to się powiodło, choroba zostałaby wyleczona bez uśmiercania pacjenta.

- Jak pan zamierza dotrzeć do FitzGeralda? – spytał Modesti, a Jay opowiedział o dorocznym spotkaniu Klubu Pasterza na Catalinie.

Alexandra słuchała tego z rosnącym przerażeniem. Była przeciwna pomysłowi Jaya i starała się przekonać zarówno jego, jak i pozostałych mężczyzn, że nie powinien tak ryzykować. Przeklinała teraz w duchu swoje poprzednie namowy, by poniechał dawnych uraz i spotkał się z FitzGeraldem.

Nie przyszło jej jednak do głowy, że to spotkanie mogłoby nastąpić w takich okolicznościach. Teraz sytuacja się odwróciła i zaczęła sama używać argumentów, którymi poprzednio posługiwał się Jay, dowodząc, że nie powinien szukać ugody z FitzGeraldem. Przemawiały przeciwko temu zadawnione konflikty i brak wzajemnego zaufania, a poza tym Jay był poszukiwany przez policję i FitzGerald mógł zrobić z tego użytek.

Przez ciągnące się w nieskończoność popołudnie Alexandra na próżno przeciwstawiała się planowi Jaya. Postanowiono, że weźmie jedną z motorówek Modestiego i popłynie na Catalinę, żeby zobaczyć się z FitzGeraldem.

Teraz byli tylko we dwoje, po kolacji, do której popijali szumiące im nadal lekko w głowach kalifornijskie Chardon-nay z Sattui, i Alexandra wytoczyła nowe działa.

- Chcę, żebyś wziął mnie ze sobą - mówiła. - Nie chcę zostać tu sama, nawet na minutę.

- Wiem - odpowiedział. - Ja też nie chcę zostawiać cię samej. Nawet na minutę.

- No, to mnie nie zostawiaj - błagała. - Zabierz mnie z sobą. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Stałeś mi się niewyobrażalnie bliski, jak nikt dotąd. Jestem silna. Mam kondycję. Dobrze pływam. Doskonale żegluję.

W oczach Alexandry zaśniły kropelki łez i Jay przygarnął ją do siebie i mocno pocałował.

-Ja także nie wiem, jak bym sobie dał radę bez ciebie - powiedział. - Poruszyłeś we mnie jakieś bardzo delikatne struny. Zacząłem inaczej patrzeć, widzę w kolorze rzeczy, o których nie miałem pojęcia. To twoja zasługa. Naprawdę nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś...

- To nie ja pcham się w paszczę lwa - przerwała mu ostro. - Nie musisz się o mnie bać! Proszę, pozwól mi je chać tam z tobą.

- Tam może być niebezpiecznie. Naprawdę bardzo niebezpiecznie. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Wiem, wiem - przyłgnęła twarzą do jego piersi, szlochając konwulsyjnie.

Jay tulił ją tkliwie do siebie, szukając rozpaczliwie słów, które by mogły przynieść jej ulgę, ale ich nie znajdował. Musiał się spotkać z FitzGeraldem i to sam. Z oczu pociekły mu łzy, skapując na włosy Alexandry. Czerwony cyfrowy budzik na nocnej szafce przy łóżku przypominał, że za niecałe osiem godzin będą musieli się rozstać.

Zaraz po popołudniowej naradzie Jay wysłał do Fitz-Geralda via dyrekcja Allied Defense Industries następującą depezę:

Jestem już prawie zdrow. Przepraszam za długie milczenie. Wszystko wyjaśnię. Musimy się koniecznie spotkać. Restauracja Harbor Reef, 8 rano, czwartek. Subasić".

Treadwell sprawdził przez swoje kontakty z FBI, że w Luksemburgu wśród odnalezionych zwłok nie było Suba-sicia. Jugosłowianin zaszył się głęboko w gęstych zaroślach ponad ścieżką joggingową i jego ciało zostanie zapewne odkryte dopiero jak się ociepli.

Jay liczył na to, że FitzGerald nie wie o jego śmierci. I spodziewał się, że przemysłowiec, sądząc, że ma się spotkać ze swoim zausznikiem, będzie przywiązywał mniejszą wagę do środków ostrożności. Mogło od tego zależeć życie Jaya.

Spazmatyczne łkanie Alexandry przeszło w przeciągłe pochlipywanie. Podniosła na Jaya zaczerwienione oczy i dostrzegając ślady łez na jego policzkach, otarła je czule dłonią.

- Kocham cię, Jayu Flemingu - szepnęła.

- I ja ciebie kocham - odrzekł Jay. Położyła mu palec na wargach.

- Liczą się czyny, nie słowa. Udowodnij to – powiedziała, pociągając go na łóżko.

Nakrył ją sobą i zaczęli się dziko całować, zdzierając z siebie wzajemnie ubranie, niezgrabnie niczym licealiści na tylnych siedzeniach rodzinnego auta.

Mimo że sypiali ze sobą od dwóch tygodni, robili to nie rozbierając się do naga. Teraz po raz pierwszy Jay poczuł pod sobą ciepły biust Alexandry i pieszcząc go słyszał jak pojękuje, zrazu cicho, potem coraz głośniejsze. Te gorące piersi były zarzewiem ognia, który ogarniał całe jego ciało i płonął między udami. Ajej wędrujące po nim ręce jeszcze ten płomień podsycaly.

Dobry Boże, myślała Alexandra, czyż nie tak właśnie ludzie powinni się kochać. Każde dotknięcie jego rąk zdawało się parzyć jej skórę. Czując, jak narasta w nim podniecenie, sięgnęła do suwaka jego spodni i otworzyła go. Nigdy dotychczas nie pragnęła niczego mocniej niż tego, co w tym momencie. Jay całował ją raz po raz, całował jej usta, szyję, piersi i w miarę jak się przesuwał niżej do uszu jej zaczął docierać dziwny dźwięk. Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowała się, że to ona sama kwili z rozkoszy.

Sycili się sobą żarliwie niczym kochankowie, których zaraz ma rozdzielić wojna. Kochali się też delikatnie, ciesząc się jednością swoich ciał. A potem zasnęli, obejmując się ramionami jak każdej nocy od pobytu w Belgii. Z tą różnicą, że teraz był to aksamitny sen kochanków przekonanych, iż tylko śmierć może ich rozłączyć.

- Na litość boską nie mów mi, co powinienem robić, a czego nie! - grzmiał Liam FitzGerald, chodząc tam i z powrotem po deskach białego namiotu, w którym się zakwaterował. Członkowie Komitetu Siedmiu mieli największe namioty w obozie, a FitzGerald jako prezes miał namiot największy

- dziesięć na dwanaście metrów. Podłogę pokrywała drewniana platforma, a solidny, również drewniany szkielet ścian i spadzistego dachu osłonięty był szczelnie płótnem. Z oddali dochodził stłumiony pomruk generatora elektrycznego. Jedynie Komitet Siedmiu korzystał z prądu, pozostali członkowie Klubu musieli zadowalać się gazem i naftą. Gniewne kroki FitzGeralda dudniły rytmicznie niczym uderzenia bębna - dziesięć w jedną stronę, obrót, dziesięć w drodze powrotnej, znów obrót i tak dalej.

Steven Strand siedział na składanym krześle przy biurku FitzGeralda, zachowując całkowity spokój.

- To, że mamy te przeklęte papiery Tesli, nie upoważnia nas ani trochę do zrezygnowania z ostrożności – mówił FitzGerald. -Jeszcze bardzo wiele spraw może pójść nie tak jak trzeba. Musimy stąpać uważnie. To, co proponujesz, to ryzyko, na jakie nie możemy sobie pozwolić.

Strand pochylił się do przodu, wyprostowując dłonie. Kompletnie nie trawił tego bojaźliwego głupca.

- Masz rację, Liam. Ale musisz przyznać, że Fleming to zagrożenie i to bardzo duże zagrożenie naszego projektu.

- Nie zagroziłby nam, gdybyś do spółki z Subasiciem nie schrzanił roboty - warknął FitzGerald.

- Może i tak - przyznał Strand - ale to nie zmienia sytuacji. Jestem przekonany, że Fleming ukrywa się gdzieś w Kalifornii. Admirał Fraser wymykał się tak tajemniczo właśnie po to, żeby się zobaczyć ze swoim pupilkiem. Ale ponieważ Kalifornia jest bardzo duża, musimy wycisnąć z Frasera, jak go znaleźć.

FitzGerald przystanął przy wejściu do namiotu i popatrzył w noc, rozjaśnianą gwiazdami i bladymi światłami na półwyspie Palos Verdes za kanałem.

- Ten stary cap wciąż sieje postrach. Nawet w Klubie Pasterza.

- A nam nie wolno się teraz na to godzić - rzekł oschle Strand.

- A ja mówię, że nie możemy zrobić z niego męczennika - skontrował FitzGerald. - Przypierdolisz Fraserowi i natychmiast wskoczą nam na kark wszystkie gazety i wszystkie stacje telewizyjne. Nie wydaje mi się, żeby tego typu zainteresowanie było nam obecnie na rękę.

- Przyznaję, że to ryzykowne - odparł Strand, podnosząc się z krzesła. - Ale trzeba to ryzyko przeciwstawić innemu.

- Kto stwarza większe ryzyko - Fleming czy dociekliwość mediów bez względu na jej wymiar? Moim zdaniem, niebezpieczniejszy jest Fleming.

Stali naprzeciw siebie niczym dwaj bokserzy przed walką. Strand, muskularny, w świetnej formie fizycznej, emanował siłą, która zdawała się wspierać jego argumenty. Nieraz zyskiwał przewagę nad przeciwnikami samym tylko wyglądem. FitzGerald o dwadzieścia lat starszy, był prawie w wieku Frasera. Może Strand ma słuszność? Może ulegał zbytnio współczuciu dla starego marynarza?

- Niewykluczone, że masz rację - odezwał się znużonym głosem. - Ale wiem, że nie możemy dopuścić do tego, by Fraser wygadał mediom, w jaki sposób przyciskaliśmy go do muru.

- Nie ma obawy - rzekł Strand, widząc, że udało mu się przełamać opór FitzGerala. - Fraser nic nie wygada mediom.

I nie czekając na odpowiedź, okręcił się na pięcie i wyszedł z namiotu.

Rozdział 41

Wyspa Catalina, 5 stycznia

Olbrzymie bałwany fal toczące się na północ od wód Antarktyki zderzały się czołowo z wichrami, mknącymi na południe z arktycznych obszarów wysokiego ciśnienia. Żeglarskie szlaki pomiędzy półwyspem Palos Verdes a Catalina przemieniły się pod naporem tego starcia w spienioną kipieli. Pomimo wściekłego wiatru i rozjuszonego morza niebo pozostało czyste, za horyzontem zaczynał tonąć chudy półksiężyc.

Przez to skotłowane, skłębione pole bitwy żywiołów przedzierała się piętnastometrowa motorówka, płynąc po lokso-dromie: Long Beach - Santa Catalina. Przy spokojnej pogodzie można było przebyć te dwadzieścia pięć mil w ciągu godziny, Jay chciał to zrobić w krótszym czasie. Wyruszył, gdy było jeszcze ciemno, żeby go nie zauważono.

Nie wypuszczając z ręki steru, na ugiętych, szeroko rozstawionych nogach, wjeżdżał potężną łodzią na biały grzbiet fali; podwójny silnik V-8 o pojemności 1100 centymetrów sześciennych ryczał, wynosząc na moment łódź nad powierzchnię wody, po czym przycichał, gdy opadała na nią z gwałtownym wstrząsem. Zmagając się ze sterem, Jay przeczekiwał fale przewalające się przez dziób. Palce miał zdrętwiałe z zimna, lodowata woda wdarła mu się do butów.

Już pół godziny powtarzał się ten sam schemat - wjazd na fale, huk silnika, upadek z grzywacza, dziób pod wodą, walka ze sterem, chwilowy spokój i znowu podjazd w górę. Jay jednak nie zamierzał wracać ani zmniejszać obrotów silnika. Musiał ze względów bezpieczeństwa do-

płynąć na wyspę przed brzaskiem. Przystań, do której zmierzał, znana pod nazwą Przesmyk, o tej porze roku powinna być zupełnie pusta i każda nowa łódź zostałaaby natychmiast zauważona, dlatego chciał tam wpłynąć jeszcze pod osłoną ciemności. Chciał także przeprowadzić mały rekonesans w okolicy restauracji Harbor Reef. Był tam wprawdzie wielokrotnie podczas weekendowych wycieczek, ale teraz musiał się dobrze przyjrzeć miejscu, które, w razie jakiegoś przeoczenia, mogłoby stać się jego grobem.

Od opuszczenia Terminalu Kontenerowego Azja-Pacyfik kierował się kompasem, ale teraz po kolejnym wjeździe na grzebień fali zdołał już dostrzec światła w Zakolu Przesmyku, zanim załamujący się grzywacz nie przesłonił mu widoku.

Catalina — dla tuziemców Santa Catalina -jest długa na czterdzieści kilometrów, a szeroka na jedenaście. Dziesięć kilometrów od jej zachodniego krańca są dwie zatoczki, które niemal przecinają wysepkę na dwoje. Zatoczki te, odległe od siebie o niecały kilometr, połączone są szerokim na kilkaset metrów, płytkim wąwozem.

Zakole Przesmyku na północy wyspy i Catalina Harbor na południu to ulubione przystanie miejscowych żeglarzy, mimo że w pobliżu brak takich udogodnień jak na wschodnim wybrzeżu; nie ma tam, gdzie przenocować, jest tylko jedna gospoda z barem i jeden sklep, w którym można kupić zarówno wino, jak i części do przyczepnych silników. W rozrzuconych na nizinie domostwach mieszka kilkadziesiąt osób i całość tchnie rustykalną atmosferą na peryferiach cywilizacji.

Niedaleko od Przesmyku teren robi się nieprzyjazny, obfituje w strome klify i niedostępne jary opadające z wysoka w morze. Jedyными mieszkańcami na zachodzie są grzechot-niki, zdziczałe świnię, bizona, kilka par orłów, trochę królików no i oczywiście lokatorzy obozowiska Klubu Pasterza.

Jay odczuwał coraz bardziej wysiłek wyprawy. Bolały go mięśnie rąk i pleców, każda nowa fala starała się wyrwać mu jednocześnie z dłoni ster i ramiona ze stawów. Aby zapomnieć o bólu, zaczął myśleć o Alexandrze. Przywołał wyobraźnią jej twarz zalaną łzami, gdy się nad ranem żegnali, gdy się do niego tuliła.

Po raz pierwszy w życiu postanawiał, że będzie na siebie bardzo uważał. Chciał wrócić cały i zdrowy, chciał być z Alexandrą, niczego w świecie nie pragnął bardziej. Przez moment przyszła mu na myśl He-

lena. Co ich do siebie przyciągnęło? Dlaczego przypuszczał, że będzie z nią szczęśliwy? Ale skąd miał wiedzieć, że to skończy się fiaskiem? Dopiero teraz zyskał zupełną pewność, jak to powinno naprawdę być.

Niebawem wyłoniła się z mroku pokryta białym guaniem sylweta Ship Rock, a za nią stonowane zarysy dużo niższej Bird Rock. Motorówka weszła na spokojniejsze wody Zakola Przesmyku, gdzie fale nie były już tak wysokie i poprzez cichsze granie silników słuchać było walenie przyboju o podnóże otaczającego wyspę klifu.

Jay wrzucił luz i na jałowym biegu podплыł do wielkiej jak piłka plażowa beczki cumowniczej, kołyszącej się jakieś trzydzieści metrów od brzegu. Od razu za pierwszym razem zaczepił bosakiem linę i zamocował ją do knag na dziobie i rufie, po czym wyłączył silniki.

Szum morza natychmiast wkroczył w ciszę po zamknięciu motoru. Jay zszedł do kabiny i opierając się natarczywej potrzebie snu i odpoczynku przebrał się w suche rzeczy, mokre wieszając w szafce koło zejściówki, żeby przeschnęły.

Następnie ze schowka w kokpicie wyjął kauczukową tratwę, napompował ją kompresorem na baterie i spuścił na wodę. Włożywszy wiosła w dulki, powiosłował do pirsu, wspomagany przychylnym wiatrem.

Zacumował tratwę przy budce, w której na wysokim stołku drzemał z nogami na kontuarze jedyny funkcjonariusz miejscowej straży patrolowej.

Odpowiedział na „Dzień dobry” Jaya, dodając, że kawy będzie się można napić dopiero o pół do ósmej.

- Nie szkodzi - powiedział Jay. - Przepadam za długimi spacerami przed śniadaniem.

Strażnik życzył mu przyjemnej przechadzki i przypomniał, że po otwarciu biura powinien wziąć kartę zejścia na ląd.

Jay pomaszzerował drewnianym pomostem do brzegu, minął zarząd przystani i stanął przed ciemnymi jak okulary ślepeca oknami gospody Harbor Reef. Na lewo od głównego wejścia był mały ogródek ze stolikami pod parasolem, a na prawo zadaszona część restauracyjna. Jay wiedział, że bar jest z tyłu za nią. Nieco dalej na prawo wychylał się z cienia ogólnobranżowy sklepik. Na plaży pomiędzy zabudowaniami a morzem widniały dwa placyki do siatkówki w towarzystwie kamiennego grilla.

W górze trochę dalej na lewo stały pomalowane na ciemną zieleń toalety. Prowadziła do nich nierówna ścieżka między palmami i rozetami jukki. Jay poszedł tam, oddał dług naturze, po czym przystanął na grunтовой drodze, prowadzącej z Catalina Harbor i spojrzął na wschód, gdzie zaczynało się pojawiać słońce w postaci morelowego pasma między czernią morza i nieba.

Za gospodą i sklepem ulokował się warsztat mechaniczny, a nieopodal niego widniała rozproszona grupka drewnianych parterowych domków. Trochę wyżej na zboczu wzgórze w szybach kamiennego bungalowu zabłysło światło. Przesmyk zaczął się budzić.

Jay okrążył cały teren gospody, sprawdzając, co się zmieniło, i stwierdził, że wszystko było jak dawniej. Przypuszczał, że FitzGerald przybędzie albo jedyną drogą z Zatoczki Pasterza, albo morzem. Zszedł na plażę, wyszukał sobie niewielkie wzniesienie i siedł na nim, mając dobry widok na gospodę, moło i drogę. Chciał, by FitzGerald zjawił się najprędzej, a jednocześnie miał nadzieję, że się go nie doczeka.

- Walnij mu jeszcze jedną dawkę - rozkazał Strand i przyglądając włosy wymanikiowaną dłonią odszedł od łóżka, na którym leżał Daniel Fraser. Wyciągnięty na materacu admirał, przywiązany był do prętów łóżka za przeguby i kostki elastycznymi bandażami. Miał na sobie tylko bokserki i w ostrym blasku stuwatowej żarówki wyglądał jak łykowany kogut przed sekcją. Z twardych, dzięki codziennym ćwiczeniom, mięśni zwisała flakowato skóra, którą upływ czasu okradł z elastyczności. Na bicepsach, przedramionach i łydkach pęczniały postronki żył. Lewe ramię owinięte miał czarnym rękawem aparatu do mierzenia ciśnienia. Żyłę w zgięciu łokciowym zakrywał plaster chroniący igłę z rurką, biegnącą do zawieszzonego na stojaku worka z solą fizjologiczną. Przy łóżku Frasera siedział, trzymając podłączoną do kroplówki strzykawkę, osobnik o wodnistych oczach, który niegdyś był dentystą specjalizującym się w bezbolesnych zabiegach stomatologicznych. Jednakże po trzech zgonach znieczulanych pacjentów stracił prawo do praktyki i trafił na kilka miesięcy do więzienia. Po wyjściu świadczył usługi medyczne ludziom, którym nie przeszkadzało unieważnienie jego dyplomu, i Strand był jednym z nich.

- Muszę pana ostrzec - odezwał się ostrożnie człowiek o wodnistych oczach - że zbliżamy się do ostatecznej granicy.

- Niczego dotąd nie wygadał - odparł Strand.
- Pomędzy wydobyciem z kogoś informacji a uśmierceniem go przebiega nadzwyczaj cienka linia. Jeśli umrze, nic już panu nie powie.
- Przekonajmy się, czy można balansować na tej cienkiej linii i nie spaść z niej, dobrze? - rzucił szorstko Strand. - Jeszcze jedna szpryca - rozkazał.

Były dentysta wahał się, mrugając niepewnie powiekami, lecz po chwili skinął posłusznie głową i wstrzyknął dalsze piętnaście centymetrów płynu.

- Gdzie jest Fleming? - spytał spokojnie Strand. - Powiedz, gdzie on jest.

Fraser otworzył oczy, popatrzył na Stranda niewidzącym wzrokiem i poruszył splekanymi wargami.

- Powiedz, gdzie znajdę Fleginga, i będziesz mógł zasnąć - obiecał Strand.

Fraser oblizał usta. Oczy miał zamknięte.

- Dodaj trochę - polecił Strand.

Dentysta usłuchał. W chwilę później Fraser wygiął się w łuk, zaczęły nim wstrząsać drgawki.

- Fleming! - krzyknął Strand. - Gdzie jest Jay Fleming?

Konwulsje ustały i Fraser mamrotał coś niewyraźnie.

Strand nachylił się nad nim, próbując rozróżnić niemal bezgłośnie dźwięki.

Stojący naprzeciwko Randall LeBlanc dostrzegł jak twarz Stranda rozjaśnia się uśmiechem.

Za moment Strand wyprostował się, dał znak skinieniem LeBlancowi, przeszedł do salonu i sięgnął po telefon.

Kiedy wystukał pierwszą cyfrę numeru, z sypialni dobiegł go łoskot przewracanego krzesła, a potem krzyk byłego dentysty, który przeszedł zaraz w chrapliwy gulgot zakończony stłumionymi trzaskami, gdy LeBlanc gruchotał mu kręgi szyjne.

Rozdział 42

Wschodzące słońce załśniło niczym karminowa plama oleju na niespokojnej wodzie Zakola Przesmyku, gdy na drodze wyciętej w klifie wysoko ponad morzem zahur-kotał ciemnozielony džip kombi. Ze swego punktu obserwacyjnego na plaży Jay widział ciągnący się za nim obłok rudego pyłu, gdy sunął w dół, niknąc potem w eukaliptusowym gaju. Warkot motoru to cichł, to się nasilał, a niebawem Jay dostrzegł znowu džipa w przerwie między restauracją a sklepem, jak podskakiwał na nierównościach drogi, by zahamować w końcu za gospodą, kilkadziesiąt metrów od brzegu.

Gdy opadła i rozwiła się spowijająca go chmurka kurzu, Jay dostrzegł za szybami niewyraźne postacie czterech siedzących w nim ludzi. Po chwili ten, który siedział obok kierowcy, wysiadł i otworzył tylne drzwi džipa.

Zaraz potem ukazała się w nich wysoka, arystokratyczna sylwetka Liama FitzGeralda. Jeden z towarzyszących mu mężczyzn szybko ruszył do gospody, zajrzał do pustego nadal baru, obszedł dookoła cały budynek i wróciwszy zdał krótki raport FitzGeraldowi.

Jay opuścił plażę i wszedł do baru, gdzie zamówił kawę i tosty. Młoda barmanka przyjęła od niego pieniądze i podała mu kubek parującej kawy, z którym Jay powędrował do odległego boksu w rogu kiszkowej sali i usiadł przy pokrytym laminatem stole w oczekiwaniu na grzanki i Liama FitzGeralda.

Zgodnie z jego przewidywaniami wprawdzie doczekał się FitzGeralda, który zjawił się poprzedzony przez jednego ze swoich goryli. Na moment przystanął w drzwiach i rozejrzał się po sali. Następnie ruchem ręki odprawił ochroniarza i podszedł do barowego kontuaru. Ubrany w sztywne spodnie koloru khaki i luźną, pasiastą koszulkę polo w szerokie pasy pod popelinową bluzą, w skórzanych klapkach, wyglądał na jednego z właścicieli cumujących w przystani jachtów, który przyszedł coś zjeść na śniadanie. Zdradzały go tylko żyłtkowate kanty spodni. Kapitanowie małych jednostek zwykle chodzą w pogniecionych rurkach.

Popijając kawę i próbując nie patrzeć na FitzGeralda, doznawał sprzecznych uczuć. Zawsze czuł odrazę do tego człowieka i do jego zasad życiowych. Wzbogacony na sprzedaży państwu broni bardzo ni-

skiej jakości po bezczelnie zawyżonych cenach, był uosobieniem pazer-
nego groszorb-stwa najgorszego gatunku.

Mimo to Subasić zaufał mu i umierając, polecał go Jay-owi. Zda-
niem Subasicia to Strand był złym duchem Komitetu Siedmiu, nato-
miast FitzGerald, niezależnie od nienawiści, jaką żywił do niego Fle-
ming, mógł stać się cennym sprzymierzeńcem. Za swoje wcześniejsze
błędne diagnozy Subasić zapłacił życiem i Jay miał nadzieję, że jego
nie spotka obecnie ten sam los.

FitzGerald usiadł ze swoją kawą w boksie przy drzwiach, zwrócony
plecami do Jaya, który w chwilę potem pochłonął chciwie przyniesioną
mu grzanekę.

Kiedy dostrzegł, że FitzGerald otrzymał zamówione jajka, dopił
resztę kawy, wstał, wyrzucił pusty jednorazowy talerz i z pustym kub-
kiem podszedł do baru, przy którym stało już trzech mężczyzn, pracują-
cych -jak wynikało z ich rozmowy - w wypożyczalni sprzętu do nurko-
wania przy wejściu na molo. Czekając za nimi w kolejce spojrzął z po-
zorną obojętnością w szerokie lustro zamykające z trzech stron prze-
strzeń za ladą barową.

W lustrze widać było kierowcę dżipa, który palił papierosa oparty o
przedni błotnik. Jeden z ochroniarzy siedział na ławce przed sklepem z
wyrazem skrajnej dezaprobaty na twarzy. Lustrował wciąż wzrokiem
otaczający go teren niczym płochliwy ptak wyszukujący dziobem poży-
wienie albo drapieżca czyhający na łup. Jay nigdzie nie mógł dostrzec
trzeciego towarzysza FitzGeralda i to go zaniepokoiło.

Kiedy barmanka naląła mu znów do pełna kawy, zrobił zwrot do
tyłu, rozejrzał się wokół z niepewną na pozór miną, po czym prędko
podszedł do stołu FitzGeralda i wśliznął się na kanapę naprzeciw niego.

-Jest już ósma - powiedział, patrząc mu w oczy. - I Su-basić nie
przyjdzie.

Zaskoczony zrazu FitzGerald opanował się natychmiast i spokojnie
przeżuwał jedzenie. Upił łyk kawy, nie odrywając wzroku od twarzy
Fleminga. Jay niemal widział, jak przegląda w pamięci album z fotogra-
fiami, próbując dopasować oblicze Jaya do jakiegoś znanego już sobie
wizerunku.

- Subasić nie żyje - oświadczył. -Jego nieodnalezione zwłoki są
wciąż w Luksemburgu.

- Fleming - rzucił beznamiętnie FitzGerald i to nie było pytanie.

- Zgadza się. Powinniśmy wyjaśnić sobie pewne sprawy.

FitzGerald przyglądał mu się ciekawie, przekrzywiając z ostentacją głowę i mrużąc oczy.

- Nie powiem, że pan wyprzystojniał - zauważył. - Ale przyznaję, że charakteryzacja jest udana. Wchodząc, nie rozpoznałem pana.

- Wiem - uśmiechnął się Jay, a FitzGerald skrzywił się nieznacznie.

- Wpędził się w pan w Europie w niemałe kłopoty.

- Nie bez udziału pańskiego Komitetu Siedmiu, panie... Diament.

- Zdaje się, że sporo pan wie, panie Fleming. Pod tym względem przypomina mi pan swego dziadka. On także dowiedział się zbyt wielu rzeczy, co mu zresztą nie wyszło na dobre.

- Nie przyszedłem tu, żeby się z panem spierać. Wiem wszystko o pogoni Komitetu za papierami Tesli - Jay podniósł do ust kubek z kawą, podczas gdy FitzGerald przypatrywał mu się bacznie spod półprzymkniętych powiek.

-Subasić mylnie uważał, że nie orientuje się pan we wszystkich poczynaniach Stranda, że będzie pan jakoś próbował naprawiać to, co popsuł Strand. Ale według mnie szliście ręka w rękę. Myślę, że pan dlatego zwodził Subasicia, ponieważ gdyby znał prawdę, nigdy by się nie zgodził wykonywać dla pana tyle brudnej roboty.

- Widzę, że Bogdan zdążył panu przed śmiercią bardzo dużo naopowiadać - odezwał się FitzGerald takim tonem, jakby Jay powiedział mu coś zabawnego.

- Nie aż tyle, ile by pragnął. Ludzie Stranda dopadli go, zanim udało mu się uciec. Umarł, wierząc ciągle, że Komitet Siedmiu ma do spełnienia szczytne cele.

- Ależ tak jest! Nasz szczytny cel to nic innego, jak stałe bezpieczeństwo świata Zachodu.

- Wasz prawdziwy cel to nic innego, jak dbanie o całość własnej porzecznej, chciwej, nieruchawej dupy- zareplikował Jay.

- Gdyby tylko umiał pan wyjść poza młodzieńcze rozumienie tego, co dobre, i tego, co złe - uśmiechnął się FitzGerald - mógłby pan wyrośnąć na przywódcę. Jest pan inteligentny, energiczny i przedsiębiorczy.

- Uczciwość nie pozwala mi kroczyć do wielkości drogą wytyczaną przez pana.

- Hołduje pan jakimś wiktoriańskim kanonom. Nie zawsze można pozostać absolutnie uczciwym na drodze zapewnienia ojczyźnie tego, co jest jej najbardziej potrzebne.

- Czy ojczyzna potrzebuje cofnięcia się w rozwoju o pół wieku, co sprawicie, niszcząc obwody elektroniczne za pomocą impulsów elektromagnetycznych? Czy na tym właśnie ojczyźnie najbardziej teraz zależy?

- Skąd pan...? - z twarzy FitzGerala opadła maska samokontroli. Szarpnął głową, na moment odwracając ją w bok.

- Skąd o tym wiemy? To nieważne. Ważne jest to, że wiemy i to, co zamierzamy uczynić z tą informacją, jeśli pan po cichu nie zdemontuje swojego tajnego stowarzyszenia i nie zwróci państwu skradzionej mu własności.

- Błefuje pan - głos FitzGerala zadrżał niepewnie. - Niczego nam pan nie udowodni.

- Przeciwnie. Mamy dokumenty ujawniające charakter badań prowadzonych w Międzyrządowym Ośrodku Synoptycznym. Znamy nazwiska, daty i wszystkie miejsca na świecie, do których pan i Fleming Industries wysyłają nadawczy sprzęt ELF. Mamy stopy notatek, rachunków, całe dossier - wszystko od A do Z.

- Ty żaloszny ograniczony gnoju - zasyczał FitzGerald. - Jeśli to zrobisz, unicestwisz największą zdobycz stulecia. Zniszczysz swój kraj! Pracowaliśmy na to przez czterdzieści lat. Cztery dekady. Walczyliśmy zawzięcie, żeby pacyfistyczne mięczaki w rządzie nie skazały kraju na bezbronność.

- Zniszczycie jedyną siłę, która może skutecznie zapewnić krajowi militarne bezpieczeństwo - mówił przechylając się przez stół ku Jayowi.

- Przez czterdzieści lat dążyliśmy razem do tego, starając się produkować jak najlepszą broń, zwalczaliśmy wrogów zewnętrznych i wewnątrz kraju, nigdy nie osłabiając czujności.

- Nie zaniedbując żadnej okazji oskubywania budżetu wojskowego - sparował Jay.

- Ty prymitywny ciołku! - warknął FitzGerald. - Myślisz, że to przekraczanie kosztorysów było przypadkowe? Nie obrażaj mojej inteligencji, czepiając się wzorem tych nadętych mędrków z mediów podwyższania kosztów.

FitzGerald umilkł. Dygotał na całym ciele. Widać było, że z wysiłkiem opanowuje ogarniającą go furie.

- Czy ty naprawdę myślisz, że coroczne miliardowe przekroczenia wydatków na kontrakty zbrojeniowe to wynik przypadku? - rzucił z oburzeniem. - Myślisz, że pozwolilibyśmy na coś takiego? Przypuszczasz, że metoda koszty plus marża, że negocjowanie kontraktu tylko z jednym kontrahentem, to również sprawa przypadku? Że dzieje się ot tak sobie, bo to niezły pomysł?

- Nic w naszych posunięciach biznesowych nie opiera się na przypadku. Nie jesteśmy bynajmniej tak finansowo bezradni, jak się lubimy się kreować na przesłuchaniach komisji kongresowych. Po prostu zrobiliśmy regułę z przekraczania kosztów, aby mieć z czego finansować badania nad konstrukcją i produkcją broni, która jest Zachodowi nieodzowna, a na którą nasi bojaźliwi politycy nie chcą dać pieniędzy.

Gniew Jaya zaczynał topnieć w miarę jak słuchał zdumiewających wyznań FitzGerala.

- W roku 1947 - kontynuował FitzGerald - zebrała się w sekrecie grupa wpływowych ludzi, aby przedyskutować alarmujące lekceważenie przez opinię publiczną oraz prawodawców kwestii sił zbrojnych. Było dla nas jasne, że II wojna światowa nie skończyła się kapitulacją pokonanych, lecz wkroczyła w nową, nieznaną dotychczas fazę. Nie mieliśmy wątpliwości, że Stany Zjednoczone oraz ich sojusznicy muszą w okresie trwania pokoju pozostawać silni militarnie.

- Nawiasem mówiąc, twój dziadek też zdecydowanie się /a tym opowiadał - dorzucił FitzGerald, wpierając się mocniej plecami w plastikowe oparcie kanapy. Obrzucił uważnym spojrzeniem twarz Jaya i na chwilę utkwiał wzrok w jakimś punkcie pół metra nad jego głową.

371

- To Strand zaproponował podczas tego spotkania - podjął FitzGerald, cofając się znów o czterdzieści lat - żeby posłużyć się nieco odmienną formą pozyskiwania funduszy na zbrojenia niezbędne dla obrony kraju. Strand także na tymże zebraniu przekazał nam sensacyjną informację o niezwykle istotnym dla naszej sprawy wynalazku mało znanego uczonego o nazwisku Nikola Tesla.

Jay słuchał tego wszystkiego jak urzeczony, owładnięty zdumieniem. Nagle zaczęły do niego powracać okruchy odległej pamięci.

Przypomniał sobie, co jako chłopak słyszał od ojca o zagadkowej śmierci dziadka Fleminga w Wirginii, gdzie uczestniczył w jakimś tajemniczym zebraniu.

- Udało nam się wtedy z pomocą Centralnej Agencji Wywiadowczej rozprościć po kraju wiele nadwyżek wyprodukowanej broni - ciągnął swoją opowieść FitzGerald.

- Poukrywaliśmy w różnych składach i magazynach sporo czołgów i samolotów oraz ekstraamunicję. Księgowość wojskowa nigdy tego nie wciągnęła do swoich rejestrów. Zdali się całkowicie na nas. Byliśmy dzięki temu przygotowani do

wojny w Wietnamie.

- Przepraszam pana - odezwał się ktoś zza pleców Jaya, który natychmiast się odwrócił. Był to ów trzeci człowiek z asysty FitzGeralda.

- Co takiego? - burknął FitzGerald.

Goryl podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha. Głębokie zmarszczki na twarzy FitzGeralda rozstąpiły się w szerokim promiennym uśmiechu.

- Dziękuję - rzucił i odprawił ochroniarza. - O czym to ja mówiłem? - zwrócił się do Jaya. - Aha, o Wietnamie.

W zachowaniu FitzGeralda dała się zauważyć wyraźna zmiana. Nie było już śladu wzburzenia, jakie okazał gdy Jay zagroził mu ujawnieniem planów Komitetu. Teraz, najwyraźniej dzięki czemuś, co mu przekazał ochroniarz, odzyskał pewność siebie. Co to była za wiadomość? Co tak radykalnie uśmierzyło jego lęk przed zdemaskowaniem?

372

- Tak więc, kiedy rząd się tam zaangażował i potrzebował pomocy materiałowej, mogliśmy od razu zaspokoić większość jego potrzeb.

- I odsprzedaliście państwu z pokaźnym zyskiem to, za co już dostaliście zapłatę w postaci zwrotu poniesionych kosztów.

FitzGerald popatrzył na niego z irytacją.

- To nieuczciwy zarzut - odrzekł usprawiedliwiająco. - Wkraczaliśmy w nową erę, w erę broni nowoczesnej technologii. Potrzebne nam były środki na generację uzbrojenia wspomaganego komputerowo i elektronicznie.

- Co ostatnio szło wam jak po grudzie - wtrącił Jay. - Głównie za sprawą konkurencji ze strony takich firm, jak choćby moja.

- Mogłeś nam się bardzo przydać. Próbowaliśmy cię pozyskać, ale twoja staroświecka etyka... - umilkł i przymknął oczy, jakby szukając czegoś w pamięci, po czym przeciągnął dłonią po twarzy i podniósł powieki. - Doświadczenie po winno mnie ostrzec, że jesteś zbyt podobny do ojca i dziadka. Powiniennem wyciągnąć wnioski z twojej prawie zwycięskiej bitwy ze StranDEM o kontrolę nad Fleming Industries.

- Niedużo brakowało, a byśmy przegrali – stwierdził wzdrygnąwszy się na to wspomnienie. - To byłaby katastrofa.

- My? - rzekł pytająco Jay.

- No, przecież nie sądziłeś, że Steven Strand działał samotnie, co? Spojrzenia obu mężczyzn skrzyżowały się.

- To pan?

- Nie tylko ja - rzekł FitzGerald. - Komitet Siedmiu pokierował odpowiednio zasobami Klubu Pasterza. Nie myślisz chyba, że moglibyśmy sobie pozwolić na to, aby tak ważny producent dostał się pod kontrolę kogoś, czyje interesy są tak bardzo sprzeczne z naszymi?

- Nie - Jay popatrzył na niego niepewnie, próbując sobie przypomnieć szczegóły tamtej walki. - Chyba nie moglibyście - odparł, czując jak wzbiera w nim gniew. Zaraz jednak poczuł dumę. Nie zmagął się wyłącznie ze StranDEM. Miał przeciwko sobie zjednoczone siły najpotężniejszego kartelu Ameryki. Cóż z tego, kiedy teraz znowu walczył z tym samym kartelem, próbując go rozmontować. Niewesoła perspektywa. Pocieszał się tym, że już raz prawie ich pokonał, nie zdając sobie nawet sprawy z kim ma do czynienia. Obecnie jest tego świadom i ma sprzymierzeńców. Fra-sera i jego pomocników. No i Alexandrę.

- Ale nawet mając taką potęgę, przegraliście batalię w dziedzinie najnowocześniejszej technologii.

- To nie jest całkowicie prawdziwe - odrzekł powoli Fitz-Gerald. - Muszę przyznać, że oddaliśmy nieco pola na rynku międzynarodowym. To był jeden z powodów, dla których przystąpiliśmy do realizacji Projektu Nick. Zanim pojawiły się tranzystory, broń w postaci elektromagnetycznego impulsu była zaledwie ciekawostką. Mniej więcej w tym samym czasie, to jest w początkach lat sześćdziesiątych, atmosferyczne testy nuklearne zwróciły naszą uwagę na zjawisko EMP, impulsów elektromagnetycznych. Ale dopiero dziesięć lat temu wszechobecność układu scalonego zaczęła zmieniać wojskowe planowanie strategiczne.

- Kongres nie kwapił się do przydzielania funduszy na broń, której działania nie rozumiał - mówił dalej Fitz-Gerald i w głowie Jaya zaświeciło ostrzegawcze światełko. Dlaczego FitzGerald tak ochoczo mu to wszystko opowiadał?

Wtedy Komitet Siedmiu wdrożył Projekt Nick z myślą o skonstruowaniu broni opartej na pomysłe Tesli. Zamierzaliśmy przedstawić gotowy projekt szefom połączonych sztabów jako prewencyjny sposób unieszkodliwienia elektronicznego systemu sterowniczego sowieckich pocisków raketowych i bombowców.

- Ale gdzieś po drodze zmieniliście zdanie. Dlaczego?

- Częściowo z powodu niemożności kierowania bronią - przyznał pośepnie FitzGerald. - Broń była gotowa do działania już w 1965 roku. Jednak nie potrafiliśmy jej wycelować.

- Wasi genialni naukowcy nie mieli iskry Tesli.

- To był niezwykle umysł. Ale zachowywał się jak pies ogrodnika. Nie chciał nas dopuścić do swoich sekretów. To dlatego nie pożył sobie dłużej.

- To potworne. Zabiliście jednego z najgenialniejszych ludzi wszystkich czasów tylko po to, żeby zawładnąć jego notatkami.

- Przyznaję, że to było pochopte. Ale kończąc odpowiedź na twoje pytanie... Owszem, zmienił się nasz punkt widzenia. Traciliśmy przewagę technologiczną na rzecz cudzoziemców. I równocześnie pojawił się niepokój związany z tym, co sami wywołaliśmy - z wyścigiem zbrojeń, zwłaszcza nuklearnych.

- Wojna stała się nazbyt śmiertcionośna. Historia ludzkości to historia wojen. Obawialiśmy się - i nadal się obawiamy - że ostatni rozdział w dziejach ludzkości może być zarazem historią ostatniej wojny. Poza tym wszyscy rozumieliśmy, że podczas gdy wojny konwencjonalne pozwalają na znaczny zarobek, to wojna jądrowa jest zdecydowanie nie-dochodowa.

- Uruchomienie Projektu Nick w ciągu kilku najbliższych miesięcy wyrwie kły wojnie nuklearnej - FitzGerald podniósł głos niczym mówca zbliżający się do finału swojej oracji. - Cała broń jądrowa, wszystkie systemy sterownicze, cała elektronika niezbędna samolotom, okrętom nawodnym i podwodnym zostanie przeciążona i spali się w rezultacie wygenerowanych przez nas impulsów elektromagnetycznych. Efekt będzie podobny zdetonowaniu w atmosferze wokół Ziemi tysiąca bomb

jądrowych. Tyle że zamiast straszliwych wybuchów i promieniowania radioaktywnego nastąpią jedynie impulsy. Jest ironią losu, że to właśnie istnienie broni jądrowej skłoniło nas do zastosowania antidotum na globalną wojnę nuklearną. No, a to, że przy okazji członkowie Klubu Pasterza staną się konkurencyjni, co mówię... będą dominować w świecie, trzeba powitać jako sympatyczny produkt uboczny tego obrotu rzeczy.

- A teraz - powiedział FitzGerald, przesuwając się ku krawędzi boksu - muszę już iść.

- Jeszcze nie - Jay chwycił go za przedramię. - Nie skończyliśmy rozmowy.

- Nie mamy już o czym mówić - odparł FitzGerald, wry wając rękę z uścisku Jaya. - Ani tobie, ani tym twoim gnojkom nie uda się zaszkodzić Komitetowi. Myślisz, że powiedziałbym ci to wszystko, gdybyście nam naprawdę zagrażali?

Jay pomyślał o fortecy Modestiego, którą opuścił zaledwie przed dwiema godzinami.

- Siedź, człowieku, zanim zrobisz coś, czego będziesz długo żałował - powiedział Jay i zerwał się na nogi, lecz nim zdążył złapać FitzGeralda poczuł za lewym uchem chłodny dotyk lufy

- Bądź rozsądny, Fleming - rzekł FitzGerald. - Wszystko zostało już wprawione w ruch. Nie możesz temu zapobiec. Mniej więcej za pół godziny - spojrzał na zegarek - Komitet Siedmiu rozpocznie rozmowy z wybranymi członkami Klubu Pasterza. Od dziesięcioleci spotykają się oni tutaj w celu koordynacji swoich działań i uzyskania koniecznych wskazówek od Komitetu Siedmiu.

- Jutro wieczorem każdy z nich wróci do swojej firmy i poczyni kroki zapewniające mu kolosalne dochody i niesłychanie uprzywilejowaną pozycję po zrealizowaniu Projektu Nick. Nie będziemy przecież czekać z założonymi rękami, aż broń Tesli zdemoluje naszych konkurentów, nie postarawszy się uprzednio o maksymalne wykorzystanie tej sytuacji. To jest korporacyjny blitzkrieg - potrząsnął wymownie głową. - Wojna błyskawiczna, która przebiegnie zbyt szybko, by ktokolwiek oprócz naszych członków mógł zrobić z niej użytek.

To stanie się dziś, dzisiejszej nocy, jutro. W krótkim czasie, ale konsekwencje będą doniosłe i nieodwracalne.

- I wszyscy posłusznie wykonają wasze polecenia? - spytał sceptycznie Jay.

- Zadbaliśmy o to - odparł z przekonaniem FitzGerald. - Nie zawiodą. A teraz czas, żebyśmy się rozeszli każdy w swoją stronę - rzekł stanowczym tonem, spoglądając na zewnątrz. Jay poszedł za jego wzrokiem i zobaczył czterech umundurowanych zastępców szeryfa, wysiadających z czarnobiałego wozu patrolowego.

- Są z Avalon na drugim końcu wyspy - wyjaśnił FitzGerald. - Pozwoliłem sobie ich wezwać, licząc, że zaaresztują Subasicia. Ale myślę, że nie poczują się rozczarowani, mając w zamian ciebie. Szczególnie po porozumieniu się z Interpolem.

Lufa przy głowie Jaya kazała mu ruszyć w kierunku policjantów, ale zanim postąpił krok, powstrzymał go wrzask kelnerki, którą musiał przerazić widok broni.

Poczuł, że lufa pod jego uchem drgnęła i momentalnie powziął decyzję. Padł na kolana i sięgnął do kieszeni po swoją czterdziestkę piątkę.

Rozległ się huk wystrzału, donośny jak grzmot. W ślad za podmuchem powietrza zapachniało swądem osmalonych włosów Jaya. Uniósł broń i dwukrotnie nacisnął spust. Goryl FitzGeralda zdążył jeszcze ciężko westchnąć, trafiony od dołu w splot słoneczny.

Fleming skoczył na równe nogi, szukając wzrokiem drugiego ochroniarza FitzGeralda i zobaczył go, jak biegnie w stronę baru z pistoletem w ręku.

- Jesteś moją wyjściową przepustką - rzucił siedzącemu nieruchomo FitzGeraldowi. - Wstań i powiedz tym ludziom, żeby nie strzelali, bo zginiesz!

FitzGerald patrzył niemo na Jaya, nie reagując. Nagle Jay zauważył czarniawą plamkę po środku granatowego paska na jego koszulce polo, tuż pod grdyką. W sekundę później biały pasek poniżej granatowego zabarwił się z wolna na czerwono. Musiała go ugodzić kula ochroniarza przeznaczona dla Jaya. FitzGerald uśmiechnął się wyniośle i zamknął oczy.

Wtem, jak nagle oberwanie chmury, lunęła w okna kanonada pocisków, rozpryskując po barze deszcz odłamków szkła. Jay padł na kolana i pognał na czworakach do kuchni, modląc się, żeby miała tylne drzwi.

Rozdział 43

Long Beach, 5 stycznia

Alexandra siedziała sama w salonie nad talerzem nietkniętej, stygnącej coraz bardziej jajecznicy. Gdzie się podziewa Jay? - pociągnęła nosem i otarła go papierową serwetką. Miała serdecznie dosyć notorycznej utraty swoich mężczyzn.

- Pani Downing? - w drzwiach ukazał się agent FBI George Treadwell z bardzo poważną miną. - Jest coś o czym powinna pani wiedzieć.

- Coś się stało Jayowi? - zastygła, wbijając w niego szeroko rozwarte oczy.

- Nie. Chodzi o admirała Frasera. Dopadli go.

- Boże mój! - zakryła dłonią usta.

- On żyje - rzekł Treadwell. - To twardziel. Jest na oddziale intensywnej terapii kliniki uniwersyteckiej w Los Angeles. Pilnie strzeżony.

- Kto to zrobił?

- LeBlanc sądzi, że Rosjanie. On też jest w szpitalu. Zdaje się, że go ustrzelili pociskiem usypiającym, a potem faszerowali admirała mieszkanką środków otępiających i rozwiązujących język.

- Dobry Boże! W jakim świecie żyjemy! Musimy się strzec swoich i obcych - ukryła twarz w dłoniach.

- Wyjdzie z tego - powiedział Treadwell. - Lekarze zidentyfikowali substancję, jaką go potraktowano i zneutralizują jej działanie. Wykryty przez nich narkotyk bywa używany przez KGB, co by potwierdzało przypuszczenia LeBlanca.

- Ale dlaczego mu to zrobili? To stary człowiek! Dawno na emeryturze. Czego mogą od niego chcieć?

- Chyba potrafi pani sama na to odpowiedzieć - odparł, siadając przy stole. - Fraser jest stary, ale zna najtajniejsze sekrety naszych strategicznych okrętów podwodnych uzbrojonych w rakietowe pociski jądrowe.

- Wydobyli z niego coś bardzo ważnego?

- To się okaże - wzruszył ramionami Treadwell. - Dowiemy się niebawem. LeBlanc wychodzi dziś rano ze szpitala i przyjedzie tutaj, żeby przygotować wszystko na przyjęcie admirała. Umieścimy go u nas, jak tylko to będzie możliwe. Jest tu w pełni wyposażona sala szpitalna. Ale na razie musimy czekać.

- Czekać, czekać, nic tylko czekać - użaliła się Alexan-dra. - Nie robię nic poza czekaniem. Wszyscy tylko czekamy. Męczą mnie to. Nie jestem przyzwyczajona do czekania. Przywykłam, że zawsze coś robię.

- Coś by się dla pani znalazło - oświadczył spokojnie Treadwell.

- Przepraszam. Do czego mogłabym się przydać?

- Sansonie wykrzył w swoim komputerze, że sporo dziwnych przesylek Fleming Industries dotarło na platformę wiertniczą Energii Globalnej. Platforma znajduje się niedaleko stąd na południe, w pobliżu Huntington Beach. Na podstawie innych naszych informacji związanych z użyciem broni Tesli można podejrzewać, że platforma ma w tej operacji pewną rolę.

- Platforma? - zdziwiła się Alexandra. - Jaka?

- Pamięta pani Projekt Otucha? Pamięta pani, że wpuszczali kable antenowe w pewne warstwy skalne w celu komunikowania się z okrętami podwodnymi? Otóż formacja skalna o takiej samej strukturze występuje na głębokości czterech tysięcy metrów pod dnem morskim niedaleko stąd. Sądzę, że platforma posłużyła do dowiercenia się na tę głębokość w celu umieszczenia tam kabli, które po wysłaniu impulsu umożliwią przeciążenie obwodów okrętów podwodnych w taki sam sposób, jak to się będzie odbywać na ziemi.

- Pamiętam, ale co chodzi?

- Podobno świetnie pani żegluje?

- Owszem, ale co pan chce, żebym zrobiła?

- Pomoże nam pani zlokalizować platformę i zniszczyć ją. Gdyby się to udało, to moglibyśmy ocalić przynajmniej część naszej nuklearnej floty, na wypadek gdyby wszystko inne zawiodło.

W razie gdyby wszystko inne zawiodło. Gdyby nie powiodło się Jayowi. Gdyby Jay zginął. Myślała o życiu bez Jaya, a przecież on wciąż żyje.

- Zrobi to pani? - spytał Treadwell. - Nikt z nas tu nie jest wytrawnym żeglarzem. Mam na myśli małe łodzie. Modesti pływał na dużych statkach, a co do Lamba, to od lat nie postawił nawet stopy...

- Zrobię to - oświadczyła Alexandra.

- To dobrze - rzekł po prostu Treadwell. Nagle zabrzmiał sygnał alarmowy.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia - odparł Treadwell i pobiegł do drzwi, a Alexandra ruszyła za nim.

- Tędy - rzucił agent, idąc ku przodowi obiektu, odpinając po drodze olstro rewolweru. Alexandra czuła się głupio bez broni. Wrócić po pistolet, czy iść za Treadwellem? Zawahała się i w końcu pospieszyła za nim.

Treadwell zatrzymał się przed ciężkimi, nieoznaczonymi drzwiami z wizjerem i tabliczką cyfrową obok framugi. Wystukał kod i kiedy drzwi się otwały, znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym kokpit olbrzymiego samolotu albo reżyserkę w stacji telewizyjnej. Dwaj mężczyźni w garniturach siedzieli przed ogromnym pulpitem pełnym najrozmaitszych przełączników, wskaźników i lampek. Jedną ścianę pokoju zajmowały w całości kolorowe monitory z mozaiką obrazów z różnych miejsc zarówno we wnętrzu obiektu, jak na zewnątrz. Każdy monitor był opatrzony małym plastikowym znacznikiem określonego obszaru. Pod ekranem pokazującym ślepy betonowy segment, ogrodzony siatkowym parkanem, płonęło czerwone światełko.

- Trzeba to powiększyć - powiedział jeden z obsługujących konsolę techników. Alexandra obserwowała z przejęciem ich manipulacje kamerą przeszukującą teren wokół ogrodzenia.

- Mam! - krzyknął drugi technik. - Tam w środku! Daj zbliżenie!

Na ekranie ukazało się wyraźne rozcięcie w siatce ogrodzeniowej.

- Sektor Zeus Dziewięć — zagadał do mikrofonu technik.

- Czerwony alert, wejście intruzów. Wszystkie patrole stan najwyższego pogotowia! - ogłosił i wcisnął zielony guzik.

Syrena alarmowa raptownie ucichła.

- Włącz podczerwień termiczną i wykrywacze ruchu - polecił technik koledze spokojnym głosem.

- O! Halo, George - zwrócił się do Treadwella, jakby dotąd nie zauważył jego obecności. - Wygląda na to, że mamy mały incydencik od rana. Nic poważnego. Chyba jeden albo dwóch facetów. Strażnicy na zewnątrz szybko zrobią z tym porządek. Na wszelki wypadek zablokowaliśmy wejście i wszystkie wyjścia na zewnątrz. Mogą przez cały dzień ostrzeliwać nas z haubic i co najwyżej obraz telewizyjny będzie trochę rozchwiany - uśmiechnął się z pewnością siebie fachowca, który wierzy w niezawodność urządzeń, jakie obsługuje.

Tymczasem odezwała się inna syrena, zabłysło nowe czerwone światełko na innym monitorze. A potem czerwone lampki zapalały się jedna po drugiej, aż cała ściana rozjarzyła się na czerwono.

- Niech to szlag! - zaklął technik. - Nic, kurwa, nie widzę. Nałożył na głowę bulwiaste słuchawki i zaczął wzywać strażników na zewnątrz, domagając się meldunków. I nagle twarz mu spopieląła.

- Nikt nie odpowiada - powiedział z rozpaczą. - Żaden posterunek się nie zgłasza.

- To niemożliwe! - krzyknął drugi technik.

- Spróbuj ty - odparł tamten ze złością, zdzierając z głowy słuchawki. I podczas gdy jego kolega usiłował wywołać któryś z patroli, wyciągnął ze schowka w ścianie kilka karabinków M-16 i czarnych, kuloodpornych kamizelek.

- Biercie - powiedział. - Mogą się wam przydać. Treadwell pomógł Alexandrze włożyć pękata kamizelkę i podał jej M-16.

- Umie się pani z tym obchodzić? - spytał, a Alexandra potrząsnęła przecząco głową.

- Ale ogólnie jest pani obeznana z bronią?

- Tak.

- To dobrze.

Ściany pomieszczenia zatrzęsły się gwałtownie i wszyscy poupadali na podłogę.

- Boże - jęknął pierwszy technik. Każdy monitor wyświetlał ten sam obraz: twarz o rysach groteskowo zniekształconych wskutek zbliżenia do obiektywu kamery. Z warg owej twarzy spłynęły wolno słowa - „Do widzenia”, po czym wszystkie ekrany zbladły, niczego już nie pokazując. Z konsoly zaczęło się wydobywać donośne buczenie i wszystkie wskaźniki jednocześnie migotały.

- Ktoś zablokował system obwodowy - stwierdził technik.

- To niemożliwe - wrzasnął jego kolega, przekrzykując buczenie. - Trzeba armii, żeby wyłączyć od razu wszystkie czujniki!

- Albo kogoś, kto wie, jak system działa! - krzyknął Treadwell w ucho Alexandrze. - Zabierajmy się stąd - wziął ją pod łokieć i skierował ku drzwiom.

- Dokąd? - odrzyknęła.

- Tam, gdzie bezpieczniej.

Wyszli, z karabinami w rękach, zamykając za sobą drzwi i natychmiast zrobiło się ciszej. Słyszeć było tylko jedną zawodzącą głośno syrenę. W powietrzu wirował gęsty, po-wybuchowy pył.

Biegnąc korytarzem, natknęli się na zbliżających się z przeciwka Modestiego, Lamba i Curry'ego. Modesti coś mówił, ale syrena zagłuszyła jego słowa.

Szorstki kołnierz kamizelki kuloodpornej wrzynał się Ale-xandrze w szyję i naszłają obawa, że wskutek tego skóra się jej nieładnie zaczerwieni. Skarciła się zaraz za tę trywialną myśl.

Wtem podłoga uciekającej spod stóp, cisnęło ją na ścianę i za chwilę padła twarzą na dywanową wykładzinę, zasypywana strzępami tynku i kawałkami gruzu.

Chwycił ją kaszel i dokoła niej kaszlali inni. Potężna eksplozja pogięła i poskręcała metalowe belkowanie. Podnosząc się zwróciła uwagę, że zmienił się dźwięk syreny, a kiedy zaraz umilkła, dały się słyszeć czyjeś bolesne jęki. Czuła ostre pieczenie w lewym kolanie i gdy go dotknęła mimo-wiednie wyrwał się jej okrzyk bólu.

- Nic się pani nie stało? - spytał Treadwell, brnąc ku niej przez gruz zalegający korytarz. Twarz miał pokrwawioną, kosmyki zmierzwionych włosów przykleiły mu się do czoła zlepione zbrudzoną krwią.

- Nic wielkiego - oparła się o ścianę, oglądając kolano. Nie krwawiło. - Skręciłam je chyba przy upadku.

Znowu rozległy się czyjeś straszne jęki.

- Kto to? - spytała Alexandra. - Powinniśmy mu pomóc.

- Nie da się. To Curry. Belka wspornikowa spadła mu na biodra. Jest prawie przecięty na pół. Niebawem umrze. Z zewnątrz podłożono pod ściany ładunki wybuchowe. Mur wytrzymał, ale okładziny stalowe porozrywały się wewnątrz obiektu na kawałki, raniąc i zabijając. Musimy się stąd wydostać, zanim odpalą więcej ładunków. Może pani iść?

- Chyba tak - rzuciła okiem na kolano i zagryzając wargi stanęła równo na obu nogach.

- Dobrze - powiedział i schylił się, by podnieść z podłogi upuszczony przez nią M-16. - Niech pani chwilę zaczeka - rzucił i zwinnie, jak na kogoś, kto ocieka krwią, zawrócił do sali nadzoru bezpieczeństwa, skąd po minucie przyniósł narzędzie magazynków z amunicją.

Niech je pani poutyka po kieszeniach - polecił. - Mogą nam się przydać - dodał i ruszył przed siebie. Alexandra szła za nim, zaciskając zęby, bo każdy krok utrudniał jej rwący ból w kolanie.

- Dokąd idziemy? - spytała.

Treadwell odwrócił się, żeby odpowiedzieć, gdy powalił ich wybuch jeszcze silniejszy od poprzedniego. Zza obłoków opadającego pyłu dochodziły jakieś podniecone nawoływania. Alexandra poczuła podmuch świeżego chłodnego powietrza, a także zapach, taki sam jak w Luksemburgu, gdy płonął żywcem Lee Goldberg. Ale nim zdążyła podać się strachowi, Treadwell podźwignął ją na nogi, wepchnął w ręce M-16 i kazał uciekać.

Biegła, nie zważając na ból i słyszała za sobą głosy.

- Ruszaj, dupku, bo nie pożyjesz - rozkazał Jay, wciskając lufę kolta w zebra kierowcy FitzGeralda. Szofer, po strzelaninie w gospodzie, zapuścił motor dżipa, nie spodziewając się, że to Jayowi wyświadczy w ten sposób przysługę.

- Dokąd? - spytał.

-Jak najdalej! - rozkazał Jay.

Tymczasem ludzie szeryfa wybiegli z za rogu i zaczęli strzelać. Dżip wyrwał do przodu jak rakieta, wzniesając tylnymi kołami tuman pyłu. Szofer wcisnął do oporu pedał gazu.

-Jedź do obozu - rzucił Jay.

- Tak jest, proszę pana.

Z tyłu za dżipem policjanci biegli do swoich samochodów. Pogoń była kwestią sekund.

- Nie waż się zwalniać - powiedział Jay. -Jeśli nas dościgną i tak cię kropnę, więc nie baw się w ostrożną jazdę. Kapujesz?

Kierowca skinął głową.

Jay wyrwał wolną ręką wsteczne lusterko i przemieścił się powoli na sam koniec wozu, po czym podniósł do samej góry tylną pokrywę bagażnika. W oddaleniu widać było pędzący do przodu kłęb kurzawy.

- Możliwe, że wyskoczę! - krzyknął Jay do kierowcy – ale jeśli się odwrócisz, odstrzelę ci łeb. Masz stale jechać przed siebie.

Kierowca nerwowo przytaknął ruchem głowy.

Kiedy dżip wspiął się na urwisty odcinek drogi na klifie ponad Zakolem Przesmyku i brał zakręt, niknąc przez to na moment z oczu pości-

gowi, Jay przeżegnał się, wsadził pistolet do kieszeni i pofrunął w powietrze. Jeżeli go pamięć nie myliła zakręt położony był ponad pionowym klifem, u podnóża którego jeszcze kilka miesięcy temu nurkował wraz z przyjaciółmi. Jeżeli to naprawdę było to miejsce, za trzy sekundy powinien wylądować w kolonii krasnorostów u podstawy klifu. Jeżeli...

Starał się spadać w pozycji możliwie jak najbardziej pionowej, nogami w dół. Jeżeli uda mu się tak wejść w wodę, nic mu nie będzie, jeżeli nie - równie dobrze mógłby spaść na beton. Jeżeli.

Zanim jego stopy zniknęły z nim razem w głębinie, Jay zdążył zwrócić wzrok ku Long Beach i dokładnie tam, gdzie powinien być Terminal Kontenerowy Azja-Pacyfik, ujrzał czarną kolumnę dymu, która wznosiła się niczym zwęglony palec, wskazujący niebiosa. Kiedy wypłynął na powierzchnię pierwszą jego myślą było: „A jeżeli to pali się siedziba Modestiego?”. Znów to „jeżeli”. Znienawidził to słowo.

Rozdział 44

Wyspa Catalina, 6 stycznia

Leżąc w kabinie podniszczonej barki desantowej, Jay Fleming spoglądał przez mały prostokątny luk w dachu na przesuwające mu się przed oczami gwiazdozbiory. Na zewnątrz kotłowały się i siekły niespokojne wiatry, wpadając ze świstem przez otwarty właz.

Radio pokładowe, nastawione tak cicho, że Jay musiał natężyć słuch, by coś usłyszeć, donosiło, że ponad stałym lądem formują się silne wiatry św. Anny. Nadzwyczaj długa susza i gorące, suche wiatry z południa wznieciły katastrofalne pożary buszu. Na południu Kalifornii deszcze zaczynają się zazwyczaj w połowie grudnia, ale w tym wyjątkowo nietypowym roku nadal utrzymywała się pogoda jak w lecie.

W wąwozie nieopodal Malibu ogień prawie doszczętnie strawił kolo-
nię luksusowych domów, zagrożone też zostało podobne osiedle w po-
bliżu Laguny.

Wiatry św. Anny zaczęły dmuchać około dziesiątej wieczorem, ale
wciąż jeszcze nie zdominowały przeważających wiatrów północno-za-
chodnich. Masy powietrza wirowały w kółko szarpane we wszystkie
strony porywami obu wichur.

Jay podniósł się z wolna i wyłączył stację komercyjną. Przez ponad
szesnaście godzin spędzonych na barce wysłuchał wszystkich dzienni-
ków radiowych. Oprócz pożarów głównym tematem było zniszczenie
Terminalu Kontenerowego Azja-Pacyfik w Long Beach (śledztwo do-
piero wszczęto) oraz poszukiwanie przez lokalne i federalne jednostki
antyterrorystyczne psychopaty, który w czwartek rano zamordował na
Catalinie przemysłowca Liama FitzGerala.

Przełączył krótkofalówkę na VHF. Nie padło dotychczas nazwisko
Jaya. Albo go jeszcze nie zidentyfikowali albo Komitetowi Siedmiu za-
leżało na sekrecie.

Do południa radio nie podało żadnej informacji, czy ktokolwiek w
Terminalu zdołał się uratować. Alexandra! Tak dojmującego bólu nie
doznał od śmierci rodziców. Po raz pierwszy od dziesięciu lat z oczu
połały mu się łzy. Nie wiedział, czy ma przeklinać, czy błogosławić los
za uczucia, jakie wyzwoliła w nim Alexandra.

Do tego doszła okropna wiadomość, że Daniel Fraser został napad-
nięty w domu przez nieznanego bandytę i znajduje się w stanie śpiącz-
ki, z której według opinii lekarzy nigdy się nie przebudzi. LeBlanc po-
dobno też trafił do szpitala, ale ma go wkrótce opuścić.

Znowu był zupełnie sam. Z pustką w sercu.

Radio milczało. Przejechał selektorem po wszystkich osiemdziesię-
ciu ośmiu kanałach. Z wyjątkiem trzynastki, na której gadały ze sobą
jakieś dwa frachtowce, w eterze panowała cisza. Jaki kontrast w porów-
naniu z pierwszymi godzinami po jego ucieczce z wyspy.

Stara pordzewiała barka zacumowana była niedaleko miejsca, gdzie
zanurkował z klifu, a poza tym wiedział z doświadczenia, że takie leci-
we łajby są rzadko używane. Jego pierwszą czynnością po włamaniu się
do kabiny, było złapanie Szesnastki, fali zastrzeżonej dla sytuacji alar-
mowych. Huczało na niej od rozmów. Straż Przystani wzywała Straż

Przybrzeżną, podając, że w strzelaninie zginęli ludzie, a zabójca jedzie do obozowiska Klubu Pasterza. Najwidoczniej dali się nabrać.

W ciągu następnych kilku godzin Jay nie potrzebował radia, żeby się orientować w sytuacji. Po godzinie zjawiała się łódź patrolowa Straży Przybrzeżnej, a potem jedna po drugiej łódzie z Los Angeles, przywołując powiatową grupę antyterrorystyczną oraz agentów FBI. Jay obserwował przez bulaje jak pędzili z pirsu do oczekujących ich samochodów, by pognać zaraz jedyną drogą w kierunku Zatoczki Pasterza. Z najświeższych komunikatów radiowych dowiedział się, że przeczesują zachodni skraj wyspy i utworzą posterunki wokół obozowiska, strzegąc bezpieczeństwa baronów amerykańskiego przemysłu.

Jay nie miał wątpliwości, że będą dobrze pilnowani i pomimo strachu nie zmieniają programu spotkania. Nie mogli stworzyć wrażenia, że wpadli w popłoch. Nie należeli do ludzi, lubiących się przyznawać do paniki, szczególnie wobec mediów, które rozdmuchałyby to ponad wszelką miarę.

Wyłączył VHF i po zzeranych przez rdzę metalowych schodkach zszedł do wilgotnego pomieszczenia, wypełnionego odorem uryny, zęzowej wody i benzyny. Schodził tu już przedtem i dzięki temu teraz, idąc po omacku, trafił do rozklekotanej ławeczki w maszynowni. Zawadził jednak po drodze o coś, co brzęknęło i wpadło z pluskiem do zęzowej kałuży na dnie kadłuba.

- Cholera jasna! - zaklął, bo lewa stopa ześliznęła mu się przy tym w wodę, która zachlupotała zaraz w pantoflu. Przy samej ławeczce woń benzyny nasiliła się. Wysunął dłoń do przodu i poruszając nią ostrożnie, namacał zawieszony na sznurku podłużny przedmiot, spęczniały niczym balon, napełniony wyciekającą z niego benzyną. Jay wyczuł palcem miejsce przecieku - malutki otworek w sterczącym jak sutek koniuszku balonika. Spojrzał na fosforyzującą tarczę swego zegarka i uśmiechnął się. Minęło siedemnaście minut. Inne zaczynały cieknąć po szesnastu-dwudziestu minutach. To w zupełności odpowiadało jego zamierzeniom.

Spokojnie wrócił na górę i oddychając z ulgą świeższym powietrzem wziął się do przetrząsania wszystkich zakamarków kabiny.

Plonem tej rewizji było ponad dwa tuziny prezerwatyw, nawet więcej niż mu było potrzeba. Wsadził je do postrzępionej kieszeni czarnego

deszczowca, który wisiał przy sterze. W ten sam płaszcz zawinał pistolet i pantofle, związał wszystko linką i wyszedł na pokład. Księżyc trochę utył od ostatniej nocy, ale wciąż świecił skąpo.

Ześlizgując się we wzburzone wody Zakola Przesmyku, Jay usłyszał od strony Zatoczki Pasterza przytłumione terkotanie śmigłowców.

- To jest szantaż! - zakrzyknął mężczyzna o rumianych policzkach i dostojnie posrebrzonych skroniach. - Jak żyję, nie spotkałem się z czymś równie oburzającym. Nie podpiszę tego. Na Boga, Strand! Tym razem posunałeś się za daleko - mówił, trzęsąc się z furii.

Steven Strand patrzył spokojnie na swego oponenta, którym był Sam Gianelli, generalny dyrektor konglomeratu władającego wszystkim, począwszy od cukierń, a skończywszy na fabrykach myśliwców bombardujących.

- Oczywiście, że podpiszesz Samuelu - odparł. - Podpiszesz, ponieważ zdajesz sobie sprawę z konieczności nie wyłamywania się z naszych szeregów. Lojalność musi być stuprocentowa. Dziewięćdziesiąt procent równa się niepowodzeniu.

Gianelli milczał, wpatrując się wściekle w Stranda

- Samuelu - ciągnął pojednawczo Strand - ten papier tylko stwierdza to, czym się zajmowaliśmy od lat. Popatrz - schylił się, wyjął z szuflady składanego biurka gruby plik dokumentów i podał go Gianellemu. - Przejrzyj to sobie.

Gianelli wziął papiery z taką miną, jakby to było kłęb jadowitych żmij.

- No, dalej czytaj. To moje. Podpisane przeze mnie.

Gianelli zaczął przeglądać papiery i oczy okręgały mu ze zdumienia.

- Naprawdę robiłeś to wszystko? - zapytał.

- Tak, Samie - odpowiedział dumnie Strand.

- To stawia sprawę w innym świetle - przyznał, zwracając papiery Strandowi. - Jednak nadal nie uważam, że należy to utrwać na piśmie. Jeżeli coś takiego wpadnie w niepowołane ręce...

- Nie wpadnie, Samie - zapewnił go Strand. - Pod warunkiem, że każdy z nas zrobi to, co do niego należy. Byłeś przecież obecny na posiedzeniu. Wiesz, jak ważne jest, aby każdy wykonał dokładnie to, co mu zostało zlecone.

- Ale to jest wyznanie winy - zaprotestował. - Mam podpisać, że wyżąłem koszty rządowych zamówień, przeznaczając uzyskane w ten sposób środki na zakup przestarzałych urządzeń do produkcji stali?

- Wiem, co tam jest napisane - rzekł stanowczo Strand. - I ty także to wiesz. Czy jest w tym choćby cień nieprawdy? Obaj mężczyźni w milczeniu zmagali się wzrokiem. Po minucie Strand ponowił natarcie.

- To wszystko jest zgodne z rzeczywistością - stwierdził.

- Ale nie podoba mi się, że to jest na piśmie.

- Czyżbyś miał coś przeciwko zyskom, jakie przyniosą ci te inwestycje, gdy unieruchomimy stalownie japońskie, niemieckie i południowo-koreańskie?

Gianelli zaprzeczył ruchem głowy.

- Po wyrzuceniu ich z gry Ameryka znowu będzie królować na międzynarodowym rynku stali, czy nie tak?

- Tak, ale...

- Żadnych ale - przerwał mu Strand. - Byłeś na odprawach. Wiesz, jak starannie została przygotowana cała procedura. Ważny jest każdy detal. A najważniejsze jest, żeby nikt z nas nie stchórzył.

- Niewątpliwie, powstanie pewna wrzawa - dodał, wstając i podchodząc do szczelnie zapiętego wejścia do namiotu, którego ściany wibrowały, wzdymane porywami wiatru. - Musiałem się ubezpieczyć, żebyśmy wszyscy stali murem i nikt nie puścił farby, kiedy organizacje konsumenckie podniosą larum i zaczną podburzać polityków i urzędasów, a różne komisje śledcze będą zadawać tak zwane trudne pytania.

Wrócił do biurka, obok którego siedział oszołomiony Gianelli.

- To jest gwarancja - klepnął dłonią leżące na blacie papiery - że będziemy twardo trzymać się razem. Rozumiesz?

Gianelli pokiwał głową.

- Dobrze - rzekł Strand, podając mu pióro. - A teraz podpisz.

I Gianelli podpisał.

Kiedy wyszedł, wpuszczając do namiotu ciepły powiew wiatrów św. Anny, zabrał jednocześnie ze sobą fetor strachu. Chowając do koperty dossier Gianellego Strand pomyślał, że może byłoby lepiej zwerbować zamiast niego prezesa całej spółki. Tak czy owak, było już na to za późno.

Podpisane oświadczenia były właściwie tylko formalnością i zdaniem Stranda Gianelli dobrze wiedział, że Komitet Siedmiu zgromadził

ogromną, szczegółową dokumentację tego, jak, kiedy i gdzie członkowie Klubu Pasterza zagarniali państwowe pieniądze. Jednakże Strand chciał, żeby każdy potwierdził to własnym podpisem.

- Niech wejdzie Carothers - zawołał, podnosząc głos ponad skowytanie wiatru.

W kilka chwil później pojawił się w namiocie prezes i dyrektor generalny największej w kraju wytwórni sprzętu telekomunikacyjnego, przedostatni już rozmówca Stranda tego wieczoru.

Rozdział 45

Catalina, 6 stycznia

Zakole Przesmyku jest w zasadzie zacisznym kotwicowiskiem, ale zwrócona na wschód przystań słabo chroni przed kapryśnymi wiatrami Św. Anny, które niosą gorąco z pustyni kontynentu. Większość niedużych łodzi stanęła na kotwicy i poszukała sobie bezpieczniejszego miejsca, ale motorówki robocze i mocniejsze jednostki, jak kutry Straży Przybrzeżnej, pozostały w gotowości.

Jay płynął po piasku wzdłuż wybrzeża, chłostany po głowie wzburzoną falą, starając się uchronić zawartość plastikowego deszczowca przed całkowitym zanurzeniem.

Zatrząsał się z zimna, dotykając stopami żwiru na dnie pod klifem. Nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów na lewo widniały światła pirsu i doku paliwowego. Na wprost, o jakieś pięćdziesiąt metrów, rozciągała się znajoma mu grupa zabudowań - gospoda, sklep spożywczo-przemysłowy, toalety.

Spoglądał na brzeg, balansując na palcach stóp i utrzymując równowagę ramieniem. Popatrzył w lewo i w prawo, próbując wniknąć wzrokiem jak najdalej, ale nigdzie nie było widać strażników. Poszukiwania prowadzono chyba bardziej na zachód i tam też pewnie obowiązywała gorliwa czujność.

Jay popłynął dalej wzdłuż linii brzegu, która skręcała lekko na zachód, przechodząc w małą plażę opodal placów do siatkówki. Wypełzył na piasek, kryjąc się zaraz w karłowatych zaroślach i wysokich trawach, czepiających się zbrocza stromego wzgórka.

Starając się oddychać jak najspokojniej, siadł w krzakach i drżącymi palcami rozwiązał linkę, którą obwiązał deszczowiec. Zarówno obuwie, jak i broń wyszły z kąpieli bez szwanku. Włożył pantofle, wsadził pistolet za pasek spodni i wciągnął na siebie płaszcz. Mimo że ludzie chodzili tędy tam i z powrotem do latryn, Jay podczas półgodzinnej obserwacji nie dostrzegł nikogo na tyłach sklepu.

W końcu około drugiej nad ranem, przystąpił do działania. Krótkimi zrywami przebył kolejno przestrzeń od zarośli do wysokiej palmy, nachylonej pod bardzo ostrym kątem, stamtąd do stosu drewna i wreszcie do tylnego wejścia do sklepu. Wyjący wiatr zagłuszał bezwzględnie każdy dźwięk, wysuszył także przemoczone spodnie Jaya i przyprowadził go przy okazji o nowy napad dreszczy; mimo stosunkowo łaskawej temperatury, było co najwyżej piętnaście stopni powyżej zera.

Jay przyjrzał się zamkowi w drzwiach sklepu i potwierdziły się jego przypuszczenia, że będzie to pojedynczy zatrzaszek przesuwany ruchem pokrętła, a nie rygiel. Przestępczość miała tutaj postać śladową. Ludzie odwiedzający Przesmyk byli na tyle zamożni, że nie musieli pomnażać majątku włamaniami; jedyne przypadki wchodzenia w kolizję z prawem zdarzały się wśród nierzetelnych urzędników, czasem ktoś coś świsnął ze sklepu. Fachowiec uporałby się z tym zamknięciem w ułamku sekundy, jednak Jayowi brakowało odpowiedniego doświadczenia.

Wyjął z kieszeni swój uniwersalny szwajcarski scyzoryk, z którym się prawie nie rozstawał, otworzył główne ostrze i zaczął nim dłubać w futrynie aż odsłonił wpuszczoną w nią wypustkę zamka. Przesunął ją z powrotem do tyłu i drzwi gładko dały się otworzyć. Jay zepchnął strużyny w piasek i wszedł prędko do środka, zamykając za sobą drzwi.

Przystanął na chwilę, by zorientować się w otoczeniu. Serce mu biło jak młotem. Sądząc ze stosów pudeł, puszek i kanistrów, znajdował się na zapleczu w magazynie. Odrzucił myśl o zaczajonym gdzieś psie, a także o systemie alarmowym i ruszył do sklepu, gdzie w swoim czasie często robił zakupy. Przechodził chyłkiem od lady do lady, by nie można go było dostrzec z zewnątrz przez szerokie witryny, a sporą otwartą

przestrzeń na krańcu sklepu, gdzie wystawiono przyczepne silniki do łodzi, pokonał, czołgając się na brzuchu.

W niecałe pół godziny zgromadził łup, na który składały się: latarka plus baterie, rolka aluminiowej folii, zapalki i dodatkowo jednorazowa zapalniczka, nieduże puszki zageszczzonego metanolu sterno, szpula nylonowego sznurka, plastikowy lejek, zwój czarnej taśmy izolacyjnej, pół tuzina pojemników butanu do kocherów oraz mały kompas i topograficzna mapa wyspy. Ulokował to wszystko w plecaku, dodając pakiecik balonów i na koniec dwa pojemniki z wysokooktanową benzyną do kuchenek turystycznych Colemana.

Wśliznął się potem za ladę i za pomocą śrubokrętu wziętego ze stojaka z narzędziami przy kasie, podważył zameczek gabloty z lornetkami, zegarkami krótkofalówkami i innymi droższymi towarami i zabrał stamtąd lornetkę.

Celem następnego wypadu był dział spożywczy, skąd wziął sześć puszek konserwowych pomidorów. Poszedł z nimi do toalety dla personelu, otworzył je, używając znów szwajcarskiego scyzoryka, i wyrzucił całą zawartość do muszli klozetowej. Wyplukawszy do czysta puszkę, zrobił kilka otworków w ściankach każdej z nich i upchnął je w plecaku.

Zapach pomidorów uprzytomnił mu, że przez cały dzień nie miał nic w ustach i najprawdopodobniej nie będzie nic jadł przez następny, o ile oczywiście go przeżyje.

Wyciągnął z lady chłodniczej dużą paczkę żółtego sera, torebkę bułek oraz dwie duże butelki gazowanej wody.

Zaniósł to wszystko na zaplecze i umieścił na kartonie z papierem toaletowym. Otworzył wodę, pociągnął spory łyk, a kiedy rozpakował ser - a był to wielki klin norweskiego Jarlsberga - ślinka spontanicznie napłynęła mu do ust.

Posiliwszy się, wrzucił resztę jedzenia do pęczniejącego coraz bardziej plecaka i założył go sobie na ramiona. Trzymając w obu rękach blaszanki z benzyną, uciekał zygzakami co sił w nogach z pogrążonej we śnie osady.

Droga do Catalina Harbor wiedzie przez otwarty płaski teren gdzie-niegdzie tylko poznaczony eukaliptusami, więc Jay natychmiast skierował się na zachód ku wzgórzom, pośród których mógł liczyć na osłonę. Szedł płytkim jarem, który gwałtownie wyprowadził go w górę. Bylice

i inne chwasty błyskawicznie ustąpiły miejsca kaktusom i ciernistym krzewom, które czepiały się spodni Jaya i kaleczyły mu dłonie, kiedy przytrzymywał się ich podczas wspinaczki.

Na wysokości niecałych stu metrów nad przystanią jar się splaszczyl i Jay wyciągnął mapę, żeby ustalić swoje położenie. Wyjął latarkę i załadował baterie, Z pakietu kolorowych baloników wziął czerwony i wyciął kawałek, którym nakrył szkło latarki, przymocowując go taśmą izolacyjną. Latarka rzucała teraz mało widoczne z daleka, miękkie, czerwone światło, dostateczne jednak do czytania mapy. Jay powiódł palcem wzdłuż zachodniego wybrzeża od Zakola Przesmyku do Emerald Bay i znalazł Zatoczkę Pasterza. Po zorientowaniu mapy za pomocą kompasu ustalił, że idąc w kierunku północno-zachodnim na kąt około trzystu pięćdziesięciu stopni powinien wyjść wprost na obozowisko Klubu Pasterza.

Popatrzył na teren położony na południe od Zatoczki Pasterza. Potrzebował bazy operacyjnej, z której mógłby robić wypady. Wybrał po namyśle stromy kanion, z którego według mapy wypływał niewysychający strumień. Na jałowych wysepkach typu Cataliny jedynym miejscem, gdzie mogły rosnąć krzewy i nieduże drzewa, wśród których można się było ukryć, były takie właśnie barrancos. Do czoła wąwozu na zachodzie można było wykreślić niemal idealną prostą. Jay przytwierdził kanisterki z benzyną do obu boków plecaka i ruszył w drogę.

Szedł południową flanką pasma wzgórz, które niczym kręgosłup biegło środkiem wyspy. Tę stronę wzgórz oświetlał mgliście księżyc, co pozwalało mu dość szybko poruszać się od jednej kępy krzaków do następnej. W dole mógł dostrzec karłowate drzewka oraz krzewy i porównywać ciągi roślinności z krętymi liniami na mapie.

Pierwszy kilometr pokonał w niecałe dziesięć minut, drugi w około piętnaście. Cały czas pod górę. Przed trzecią nad ranem stanął na grzbiecie pasma.

W twarz wionęły mu wiatarki św. Anny, na plecach poczuł chłodne, wilgotne uderzenia wiatru z północnego zachodu. Tu, na grzbiecieniu pasma, obie masy powietrza ścierały się ze sobą z niesłabnącym animuszem, porywając z ziemi wielkie skłębione obłoki pyłu i ciskając je w górę. Wiatr osuszył pot na twarzy Jaya i obsypał go hojnie piaskiem. Gdzieś z oddali dobiegał słaby furkot śmigłowca.

Bezpośrednio pod nim, za dwustumetrową połącią martwego terenu, widział niskie jeszcze krzaki, za którymi spodziewał się znaleźć wąwóz. Trochę niżej zarosła oddawały pole rachitycznym wskutek niedostatku wody, wykoślawionym przez brutalny wiatr, ale mimo wszystko drzewom.

Nieco bardziej na lewo, w odległości może półtora kilometra, rozciągał się obszar obozu, okolony podwójnym siatkowym parkanem i oświetlony na każdym rogu i pomiędzy nimi łukowym światłem reflektorów. Dodatkowej iluminacji dostarczały rtęciowe lampy na drewnianych trójnogach. Korytarzem między parkanami i na zewnątrz nich krążyli strażnicy. Jay nie wątpił, że po śmierci FitzGeralda przykazano strażom wzmożoną czujność. Tu i tam porozmieszczone były w gruncie urządzenia podsłuchowe.

Częściowo biegnąc, a po części ześlizgując się po stromym zboczu wzgórza Jay zmierzał ku zbawczej zieleni na dole. Mniej więcej w połowie drogi usłyszał za sobą głuchoe trzepotanie łopat śmigłowca.

Był zupełnie odslonięty, a do przebycia miał jeszcze około stu metrów. Błagał Boga o podarunek kilkunastu sekund potrzebnych do pokonania tego dystansu. Z trudem utrzymywał się na nogach, bo kamienie i piach usuwały mu się nieustannie spod stóp. Skakał, ślizgał się, padał, otulina krzewów była coraz bliżej, ale i terkot śmigłowca narastał coraz głośniej.

Już ledwie kilka kroków dzieliło od buszu, gdy śmigłowiec przeleciał nad grzbietem wzgórza i grzechocąc silnikiem omiatał zbocze upiornie sinym światłem reflektora. Jay przekoziółkował w chaszczce, a helikopter przemknął nad nim, po czym zatoczył koło.

Czy został wykryty? Po co by w przeciwnym razie zawracał? Możliwe, że zaraz zaroi się tu od ochroniarzy obozowiska. Śmigłowiec właśnie leciał w tamtą stronę. Jay zdjął plecak i wyciągnął czterdziestkę piątkę. Jeśli go widzieli, to już po nim. Ale nie sprzeda tanio skóry.

Śmigłowiec skręcił na zachód i wtedy Jay zobaczył, że na boku kądłuba wymalowana jest liczba 10, a pod spodem biegnie napis „PRAS A”. Kamera w kabinie nie szukała wcale jego, lecz pewnego starannie uczesanego dżentelmena o promiennym uśmiechu. A śmigłowiec kluczył z powodu zakazu lotów nad obozowiskiem. Nic mu z jego strony nie groziło.

Jay odetchnął z ulgą, strach ustąpił miejsca złości, potem podziękował losowi i w końcu zaśmiał się cicho.

Ten śmiech przybierał coraz głębsze, spazmatyczne tony i nagle Jay uświadomił sobie, że płacze. Jeszcze niecałe trzy tygodnie temu był właścicielem miliardowej korporacji, człowiekiem może nie przesadnie szczęśliwym, lecz żyjącym wygodnie i bezpiecznie, a teraz stał się zwierzyną łowną na nędznej wysepce u wybrzeża Kalifornii, zaś kobieta, którą pokochał nade wszystko, nie żyła.

Położył się na ziemi i szlochał konwulsyjnie z głową w dłoniach.

„Alexandra” powiedział na głos, jakby dźwięk jej imienia mógł ją do niego przywołać albo cofnąć w czas, kiedy jeszcze mógł jej nie zostawić, kiedy oboje mogli umknąć tam, gdzie Strand i jego ludzie nigdy by ich nie znaleźli.

Płakał tak przez kilka minut, a potem powoli, niczym wzbierająca fala, dotarła do niego rzeczywistość.

Sklął się w duchu. Nic nie zwojuje, siedząc i płacząc. Rozejrzał się. Był na stoku stromego parowu zawłaszczonego przez roślinność, która niemal nakryła go od góry koronkowym baldachimem.

Napił się wody, przekąsił serem, po czym wszystko, co było w plecaku, wyrzucił na ziemię i wziął się do roboty. Musiał przygotować całą operację, zanim się rozjaśni. W przeciwnym razie nigdy się stąd nie wyrwie. Szacował, że ma do dyspozycji nie więcej niż dwie i pół godziny.

Policzył dokładnie zabrane z barki prezerwatywy. Było ich dokładnie dwadzieścia cztery. Przyszedł mu na myśl szyper, który zrobił sobie taki zapas na barce. Albo erotoman, albo niepoprawny fantasta. Porozdzierał opakowania prezerwatyw i naciągnął cztery, jedną po drugiej, na trzonek latarki. Po ściągnięciu ich, powtórzył ten zabieg z pozostałymi kondomami, uzyskując w ten sposób sześć poczwórnych zestawów. Umieścił je ostrożnie na ziemi, po czym na wierzchu kanisterka z benzyną pokładł szeregiem sześć krótkich odcinków taśmy izolacyjnej. Potem uciął sześć ponad ćwierćmetrowych kawałków sznurka i ułożył je przy prezerwatywach. Następnie odkręcił nakrętki pojemników z wyskokootanową benzyną.

Teraz sięgnął po lejek i kucnąwszy, napełnił benzyną pierwszy zestaw kondomów, w wyniku czego spęczniały na podobieństwo balonu, który Jay związał mocno kawałkiem taśmy leżącym w pogotowiu na

drugim kanisterku. Odłożony na bok balon ścisnął jeszcze u góry dodatkowo sznurkiem. Spojrzał na zegarek. Była trzecia piętnaście.

W kwadrans później, spakowany na nowo, dojadł resztki sera i obładowany swoim niecodziennym brzemieniem ruszył przez busz w kierunku Zatoczki Pasterza. Miał mniej więcej czterdzieści pięć minut, zanim pierwszy kondom zacznie przeciekać. Do tego czasu musiał wszystkie rozmieścić we właściwych punktach.

Szło mu się teraz lepiej, gdyż grunt był twardszy wśród traw i krzaków. Kroczył tym pewniej, że w skowycie wiatru, który czepiał się anemicznych drzewek i szarpał ich chude korony, ginęły całkowicie odgłosy jego marszu.

Był najedzony, wysiłek go rozgrzewał, a wiatry św. Anny prawie osuszyły mu ubranie. Ogólnie biorąc, czuł się dość dobrze jak na kogoś, kto się przekrada przez niezbyt gościnną wyspę, mając na karku małą armię prześladowców.

Po dziesięciu minutach dostrzegł pod powierzchnią polnej drogi rozdziawioną paszczkę przepustu z falistej blachy. Strumień tutaj już wprawdzie wysechł, ale gdyby nie przepust, rozmyłby zupełnie drogę w porze deszczowej.

Przystanął i nasłuchiwał. Według mapy granica obozu zaczynała się około stu metrów poza drogą. To oznaczało strażę i patrole. Oblatywał go trochę strach, ale i wyostrzał zarazem uwagę. Nie usłyszawszy nic podejrzanego, ruszył z miejsca, gdy nagle wpadł mu w nozdrza zapach tytoniu. Znieruchomiał. Obracając twarz pod wiatr, ujrzał malutki pomarańczowy ogieniek, który rozżarzył się i zaraz zgasł. Ktoś szedł powoli drogą.

Jay wtopił się w cienie na dnie parowu i po chwili minę- ; li go dwaj ludzie niosący coś, co wyglądało na karabiny i M-16. Posuwali się bezszelestnie jak duchy, ich stąpanie głu- ś szył wiatr.

Momentalnie, gdy tylko przeszli, potruchtał do przepustu i wsunął się doń na czworakach. Wiatr gwizdał tu jak opętany. Z wylotu przepustu widział podwójne ogrodzenie obozu. Iść dalej równałoby się samobójstwu. Ale i nie miał takiego zamiaru. Nie musiał podchodzić bliżej.

Upewniwszy się, że droga jest pusta, wypadł z przepustu i skrył się w pod kępą cherlawych krzaczków. Wydobył szybko jeden komplet kondomów, puszkę po pomidorach oraz zapalniczkę i nylonowym

sznurkiem przywiązał balon do niskiej gałęzi krzaku. Wisiał na nim niczym jakiś tropikalny owoc, mniej więcej trzydzieści centymetrów nad powierzchnią ziemi. Jay sprawdził czy benzyna nie zaczęła z niego wyciekać i zerknął na zegarek. Pierwszy wewnętrzny kondom w każdym zestawie niewątpliwie powinien już teraz tracić szczelność.

Następnie otworzył puszkę sterno, umieścił ją wewnątrz puszek po pomidorach i postawił tuż obok balonu z prezerwatyw. Wiatr gasił stale zapalki, którymi Jay próbował zapalić sterno na dnie puszek, więc w końcu posłużył się zapalniczką nastawioną na największy płomień.

Zgodnie z jego oczekiwaniami puszka po pomidorach chroniła sterno, które mimo wiatru paliło się równym nie-biesko-fioletowym płomieniem. Aby go trochę zamaskować zasłonił jedną trzecią otworu puszek folią aluminiową. Nie obawiał się, że zgaśnie, bo przez wywiercone w bokach puszek dziurki napływało dość tlenu. Ostatnią czynnością Jaya było wstawienie pod balon pojemnika z butanem. Oszczędził kilka kroków do tyłu i popatrzył na swoje dzieło. Było prawie niewidoczne dla oka. Spakował plecak i wrócił do przepustu na drugą stronę drogi.

Czekała go bardzo niebezpieczna część zadania. Nie krył go już wąwóz i musiał się poruszać po prawie otwartym terenie na przestrzeni dwóch kilometrów, lokując pozostałe balony tak, żeby jak najlepiej odegrały wyznaczoną im rolę.

Tylko tu i tam rosły uparcie jukki i bylice, gdzieś tam potworzyły się wąskie zapadliska, dopiero w odległości pół kilometra był kolejny, pokryty roślinnością barranco. Jay rozejrzał się wokół, zatrzymując wzrok na obozie. Kiedyś kpił sobie z tych, którzy twierdzili, że Klub Pasterza to kartel zła. Uważał, że to tylko grupa chciwych starych ludzi, którzy kisili się we własnym sosie. Być może tworzyli pewne układy, ale nie miało to szczególnego znaczenia. Teraz miał okazję naprawienia popełnionego błędu. Odetchnął głęboko i wyskoczył z ukrycia ku następnej kryjówce. Powstrzymywała go potężna łapa wiatru. Jay pędził jednak do przodu, przeniknięty na wskroś ożywczą euforią, odurzony podnieceniem.

Gdy dotarł do parowu, wątle gałęzie drzewek i krzewów wyciągnęły się ku niemu niby powitalne ramiona, a on z chrzęstem padł w ich objęcia. Usiadł na chwilę, dysząc ciężko, serce biło mu szybko po biegu. Barranco był bliźniaczko podobny do poprzedniego, tyle że węższy i

płytszy. Wstał i wyruszył znowu w dół, ku drodze. Wszystkie balony powinny być rozmieszczone po tej samej stronie co obóz.

Nagle coś się poruszyło w ciemności. Zastygł w bezruchu. Nie był pewny czy to wiatr, czy może jakieś zwierzę, które zwabiał tu cień i dające osłonę rośliny. Pierwszy raz uzmysłowił sobie ten rodzaj niebezpieczeństwa, z którym należało się liczyć na wyspie. Grzechotniki? Chyba nie, nocny chłód pozbawiał je aktywności. Co innego, gdyby na któregoś nadepnął. Brrr... Wolał o tym nie myśleć. Niemniej, zaczął teraz schodzić uważniej, ostrożnie rozgarniając zarośla.

Dochodził już do drogi, gdy posłyszał kasznięcie. Na drodze rysowała się sylwetka mężczyzny. Spojrzał na zegarek. Czas uciekał...

„No dalej! Rusz się!”, poganiał w duchu Jay stojącego w miejscu człowieka, ale ten ani drgnął. Stacjonarny posterunek! Niestety, tu nie było przepustu. Będzie musiał zainstalować swoje urządzenie po tej stronie drogi. Na szczęście rosnące po obu jej stronach drzewa zahaczały o siebie gałęziami i ogień rozprzestrzeni się bez większego trudu. Nie było tak źle.

Wtem w kępie krzakach na poboczu coś zaszeleściło. Jay wyjął pistolet. Strzał mógł postawić na nogi cały obóz, ale jeśli nie będzie innego wyjścia...

Wartownik gapił się na obóz, nie zwracając uwagi na rumor w krzakach. Jay wziął je na muszkę. To raczej zwierzę niż człowiek, ale jakieś spore. Jakie duże zwierzęta żyły na wyspie? Bawoły. Raczej nie. Ale nie mógł to być królik. Raptem dało się słyszeć chrząkanie i z gąszczu wytoczył się i stanął nie dalej niż trzy metry przed Jayem czarny odyniec. Z ryja sterczały mu graniaste i ostre jak brzytwa kły, którymi, jak Jay nieraz słyszał od myśliwych, potrafił wypatroszyć człowieka.

- Kto się tam tłucze? - krzyknął wartownik i ponieważ wiatr właśnie przycichł, do uszu Jaya dobiegł metaliczny szcęk towarzyszący wprowadzaniu naboju do komory zamkowej.

Jay trzymał stale dzika na muszce, celując w wielką głowę bestii, ważącej co najmniej ćwierć tony i wpatrzonej w niego złośliwymi, świecącymi żółtawo oczkami. Odyniec cuchnął ropą, odchodami i zgnilizną.

- Wyłaź stamtąd, nie bój się! - zawołał znów strażnik, podchodząc bliżej.

Jay wycofywał się niespiesznie, aby nie sprowokować dzika do szarży. Ten przyglądał mu się niezdecydowanie. Znał zapach człowieka, kojarzył go z niebezpieczeństwem, ale nie jadł od wielu dni. Susza na wyspie pozbawiła go zwykłego pożywienia. Spręzał się, nogi zaczęły mu dygotać. Jay nie miał pewności, czy kula z czterdziestki piątki będzie szybsza od jego szabel. Ale nawet jeśli tak, pozostawał jeszcze wartownik.

Odyniec lekko posunął się przód.

- O kurwa, to dzika świnia! - głos wartownika nałożył się na trzaski z włączonego radia i jakieś słowa, których Jay nie dosłyszał, podczas gdy dzik znów się przybliżył, zionąc kwaśnym odorem. Fleming odbezpieczył pistolet i zaczął delikatnie naciskać spust.

W tym momencie padły jeden po drugim trzy strzały. Odyniec zeszywniał i zwrócił swój pokraczny łeb w stronę drogi.

- Dostał, cholernik! - rozległ się radosny okrzyk, a w ślad za nim odgłos przedzierania się przez krzaki na pochyłości.

Dzik osunął się na kolana i runął na bok. Jay cofnął się i czekał.

Po kilku sekundach wartownik dotarł do zwierzęcia, położył na ziemi M-16 i obszedł dookoła ofiarę swoich strzeleckich umiejętności.

-Ja pierdziele! - powiedział. -Wypisz, wymaluj, jak twoi rodacy w lasach Missouri.

Jay cały czas wodził za nim lufą pistoletu, ale nie mógł się zmusić do pociągnięcia za spust. „Idź sobie”, mówił w myślach. „Odejdź”, pona-glał go.

Ale wartownik nie odchodził, dopiero radio ponownie przywołało go do porządku.

- Posterunek trzy-trzy, zgłoś się.

Strażnik sięgnął do pasa po małe walkie-talkie.

- Posterunek trzy-trzy. Wszystko w porządku. Ubiłem, kurwa, dziką świnie.

- Nie ruszaj się stamtąd. Zamelduj się po skończeniu służby.

- Przyjąłem - odparł, schował aparat do futerału, po czym z pochwy przy prawej kostce u nogi wyciągnął szeroki nóż i zaczął nim dziabnąć w okolicy szabel dzika. Jednak radio musiało w nim pobudzić poczucie obowiązku, bo jednocześnie popatrywał wokół siebie, co sprawiło, że

za którymś razem dostrzegł plecak Jaya. Schował zaraz nóż i prędkim ruchem podniósł karabin, czujnie się rozglądając.

Omiatał wzrokiem listowie niczym reflektor na więziennej wieżycy-ce strażniczej. Jay mierzył mu w pierś, lecz wciąż nie mógł się prze-móc, żeby strzelić. Ten chłopak po prostu tylko pracował dla jego wro-gów. Nie było w tym żadnej jego winy.

Obrócił się teraz wolno z karabinem i spojrzenia ich się skrzyżowa-ły.

- Rzuć broń! - rozkazał Jay. - Rzuć ją, nic ci nie zrobię. Zwiążę cię tylko. Będziesz żył.

- To ty jesteś chyba tym facetem, który zabił FitzGeralda - stwierdził strażnik. - Mam uwierzyć mordercy? Może i pedryłowi? Zwiążesz mnie, wydymasz, a potem strzelisz w łeb - podniósł wyżej karabin.

Nie było czasu na tłumaczenia. Pocisk z czterdziestki piątki trafił go tuż ponad splotem słonecznym, uniósł lekko na palcach nóg i cisnął jak worek na martwego odyńca. M-16 poleciał w krzaki.

Jay obrócił zabitego na wznak. Kula rozwalila mu serce. Patrzył śle-po w gwiazdy nad sobą. Miał nie więcej niż dziewiętnaście lat.

- Przepraszam - powiedział Jay. -Jest mi naprawdę przykro. Zabrał mu przypięte do pasa walkie-talkie i schował w plecaku.

Zainstalował drugi balon z benzyną w identyczny sposób jak pierw-szy i pospieszył zakładać następne.

Rozdział 46

Wyspa Catalina, 6 stycznia

Jay zawiesił ostatni komplet kondomów na gałęziach krzaku mesau-ile, ustawił ostatnią puszkę sterno oraz ostatnią butlę butanu i odbiegł stamtąd co sił w zmęczonych nogach. Kiedy przysiadł na skarpie małego wzgórzka, oczekując na efekt, miał ochotę wyciągnąć się, zamknąć oczy i odpoczywać. Ale siedział czujnie z wyprostowanymi plecami, przewyciężając znużenie.

Dokładnie o 4.19 z pierwszego barranco trysnął jasno-żółty płomień. Rozbłysnął mocniej na krótko, jak zapalka zaraz po potarciu o draszkę, po czym zaczął się odżywiać wysuszonym buszem.

A potem niemal jednocześnie pozostałe balony buchnęły ogniem, który pośród suchych jak pieprz zarośli rozprzestrzeniały wiejące wciąż potężnie wiatry Św. Anny. Następnie rozległo się po kolei sześć eksplozji, donośnych jak wybuchy granatów i w powietrze poleciały roznoszone przez wiatr na wszystkie strony szczątki butanowych butli.

Uśmiechnięty Jay sięgnął do prawie już pustego plecaka i wyjął z niego butelkę z resztą wody oraz lornetkę. Dopił wodę i przyłożył lornetkę do oczu, przyglądając się ludziom biegającym po obozie w dzikiej panice, wyskakującym z namiotów w niekompletnym ubraniu lub nawet na golasa.

Odłożył lornetkę i przyjrzał się całej scenie. Wiatr unosił wysoko w górę rozżarzone popioły, które wirowały w ciemnościach jak roje rozwścieczonych robaczek świętojańskich. Ogień z pierwszego stanowiska docierał już prawie do oceanu i rozszerzał się gwałtownie na zachód, skacząc wielkimi susami. Pozostałe pożary połączyły się, tworząc płonący łuk sięgający morza. Całe obozowisko znalazło się w zamknięciu pomiędzy wodą a ogniem.

Od strony Zakola Przesmyku dobiegało zawodzenie syren alarmowych połączone z kakofonią klaksonów. Najprawdopodobniej Straż Przybrzeżna szykowała akcję ewakuacyjną, a na drogę z Przesmyku ruszyły zapewne ciężarówki i auta z ochotnikami do pomocy w zwalczaniu pożaru. Jay miał nadzieję, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności tym razem żywiol weźmie górę.

Nie bacząc na wiatr i zakazy lotów, nad namiotami krążyły jak sępy trzy śmigłowce radia, prasy i telewizji, przysłane w związku z zabiciem FitzGerala.

Tymczasem ogień sięgnął wschodniej granicy obozu, zmuszając strażników do rejterady. Jay widział w lornetce jak poryw wiatru pognął płomień za trójką uciekających strażników, które dopadły ich w biegu i zmieniły w żywe pochodnie.

Wkrótce zajęły się też namioty i na oczach Jaya najbogatsi i najpotężniejsi ludzie Ameryki pędzili w popłochu ku morzu niczym uchodzą-

ce z pola walki niedobitki jakiejś rozbitej armii lub po prostu jak najzwyczajniejsi śmiertelnicy.

Przyłożywszy znów do oczu szkła lornetki dostrzegł grupkę czterech mężczyzn wybiegających z białego namiotu. Dwóch miało w rękach karabinki, chyba M-16, chociaż odległość nie pozwalała tego stwierdzić z całą pewnością.

Jeden z nieuzbrojonych mężczyzn wyglądał jak Steven Strand. Tak, jego uchwycona w zbliżeniu twarz była twarzą Stranda. Do przegubu miał przytwierdzoną aktówkę rozmiarów małej walizki. Człowiek, na którego przede wszystkim zastawiał pułapkę, wymykał mu się.

Widział jak grupka uciekinierów toruje sobie siłą drogę do śmigłowca otoczonego pierścieniem strażników, którzy odpędzali od niego gniewną gromadę ludzi. Silnik maszyny już pracował, wirnik obracał łopaty.

Strand z trudem, mimo pomocy goryli, przepychał się przez tłum, wrywając się łapiącym go za ramiona ludziom. Jeden ze strażników tłukł ich kolbą karabinu. W końcu Strand wraz z eskortą zdołał wejść na pokład, ale za nimi wdzierali się inni o twarzach wykrzywionych strachem i wściekłością; Jay ze zgrozą zobaczył, że ochroniarze zaczęli do nich strzelać.

Śmigłowiec nagle uniósł się pionowo, ale jacyś dwaj desperaci uczepli się płóz i jeden z goryli wychylił się na zewnątrz, strzelając im z bliska w głowy. Obaj poszybowali w dół, znikając z pola widzenia Jaya. Helikopter także zniknął, lecąc w kierunku półwyspu Palos Verde.

Ogień przybrał na sile i spędzał coraz więcej uciekinierów na plażę. Tłoczyli się w wodzie, podpływając do zakotwiczonych łodzi i jachtów, nawet tych, którymi przypłynęli na pomoc demonstranci protestujący przeciw złotowi Klubu Pasterza.

Gdybyż oni wiedzieli, pomyślał Jay, kogo naprawdę ratują.

Poczuł się nagle jak ktoś, komu obarczono ramiona workami z piaskiem.

Westchnął głośno, wziął plecak, obejrzał się na ogień, a potem odwrócił głowę i pobiegł do swojej łodzi.

Rozdział 47

Rezerwat Leśny Angeles, 12 stycznia

Ogromne, gnane wiatrem krople staczały się z krytego falistą blachą dachu niczym kulki gradu. Deszcze wreszcie zaczęły padać i to z mściwą zajadłością. Południowa Kalifornia zażywała oczyszczającej kąpieli. Przez szparę w deskach, której Jay nie zatkał jak innych starymi gazetami, wdzierał się dokuczliwy ziąb. Dygocąc z zimna wygrzebał się pospiesznie ze śpiwora, naciągnął spodnie na długie kalesony, które posłużyły mu za piżamę, włożył koszulę, a na nią gruby sweter.

Dopiero po włożeniu wełnianych skarpet i pionierek zrobiło mu się trochę ciepłej. Zbliżył się do piecyka i wyciągnął nad nim zgrabiąle ręce. Z szarego metalu promieniowało wciąż miłe ciepło. Jay podszedł do drzwi, przy których leżał stos narąbanych drewn, wybrał trzy polana średniej wielkości i wrócił z nimi do piecyka. Rozgrzebał żarzące się palenisko, podrzucił szczapy i niebawem wesóły ogień zaczął rozprawić się z chłodem izby.

Jay odkrył tę jednoizbową chałupę dawno temu podczas włóczęgi po rezerwacie. Schowana w niecce między drzewami, kilkanaście kilometrów od Sierra Mądre, dostępna była tylko pieszo. Do najbliższej drogi, którą był zarośnięty dukt przeciwpożarowy, trzeba było brnąć ponad pół kilometra. I to przez gęste zarośla i stromizny, które nie odstraszały jedynie wspinaczy, uzbrojonych w karabińczyki i wbijane w skałki haki.

Jay przychodził tu, kiedy dostawał od życia po głowie. Przyszedł tutaj po samobójczej śmierci Heleny i wtedy, gdy Strand wykopał go z Fleming Industries. I sześć dni temu, gdy zostawił łódź na przechowanie w dokach Marina Del Rey, pomyślał od razu o tym miejscu.

Za brylanty nabyte w Amsterdamie, ukryte w przyborach toaletowych i sprzedane po paserskiej cenie, dostał jednak ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Wydatki, jakie dotąd poniósł, włącznie z poobijanym pikapem z napędem na cztery koła (zaparkował go przy końcu drogi przeciwpożarowej) nie przekroczyły pięciu tysięcy.

Po otworzeniu drzwi przełazi przez kałuże uporczywie formujące się na deskach zastępujących ganek, i wyciągnął spod rynnę przelewające się wiadro.

Wniósł je do izby, napełnił po brzegi naczynia na wodę do mycia i picia, nie zapomniał o stojącym na piecyku metalowym dzbanku do kawy i znowu wystawił wiadro na dwór pod deszczówkę.

Kiedy woda się podgrzała, umył twarz i ręce i zasiadł w aluminiowym rozkładanym krzeselku przed rozkładanym aluminiowym stolikiem, na którym stał odbiornik radiowo--telewizyjny na baterie, wielkości pudełka do butów. Po włączeniu na ekranie pojawił się jakiś teleturniej, ale Jay szyb ko przerzucił się na stację radiową nadającą wyłącznie serwisy informacyjne.

Po wysłuchaniu wiadomości o powodziach, osunięciach ziemi, morderstwach, zamknięciach szkół, wypadkach drogowych i najrozmaitszych przestępstwach, sięgnął do brązowej papierowej torby, wyjął z niej pumperniklowy obwarzanek oraz kawał żółtego sera i posilając się, czekał na dalszy ciąg dziennika.

Nastąpiła kolejna wyliczanka pogrzebów, rocznicowych obchodów, projektów ustaw o zaostrzeniu kar dla terrorystów, podpalaczy i morderców, lecz nie usłyszał nic, co mogłoby mu się przydać.

Pierwsze doniesienia o pożarze na Catalinie obciążały winą „terrorystów ekologicznych”, jak się wyraził Steven Strand. Policja wyłapała wszystkich demonstrantów i przeprowadziła naloty na biura organizacji Greenpeace i Klubu Sierra. Ani razu nie padło jednak nazwisko Jaya Fleminga.

Strand i jego towarzysze z Komitetu Siedmiu mieli najwidoczniej do załatwienia ważniejszy interes niż pogoń za samotnym zbiegiem. Woleli wykorzystać powszechne oburzenie po śmierci dwudziestu siedmiu znanych przemysłowców i polityków jako okazję do zakneblowania swoich najgłośniejszych przeciwników.

Jayowi nie udało się zmusić Komitetu Siedmiu do poniesienia planów, ale spodziewał się, że spowodował zwłokę w ich wykonaniu, być może nawet paromiesięczną. Nie było to jednak pewne. Wiedział natomiast na pewno, że naraził niewinnych ludzi na okropne policyjne szykany i zniszczył tysiące akrów ziemi na Catalinie. Przygniatała go ta świadomość, niezależnie od ogólnej frustracji i poczucia beznadziei.

Najboleśnieszka była utrata Alexandry. Jak to się stało, że kobieta, którą przecież znał tak krótko, znaczyła dla niego tak wiele? Zdecydował, że musi mimo wszystko coś przedsięwziąć. Mimo lejącego ustawicznie deszczu, dzień w dzień jeździł pikapem do Sierra Mądre. Cze-

ściowo w celu kupienia gazety, licząc, że znajdzie w niej jakieś wiadomości pominięte przez radio i telewizję, ale również w nadziei, że ruch pomoże mu przytłumić udrękę, poskromi lęgnące mu się w głowie węże.

Powoli zaczynał w nim dojrzewać pewien pomysł. Jego osią był Strand. Komitet Siedmiu, Klub Pasterza, użycie broni Tesli - wszystko koncentrowało się wokół Stranda.

Wstał, sięgnął po plastikowy kubek i wsypał do niego łyżeczkę rozpuszczalnej kawy. Zalał ją wodą zagotowaną w dzbanku na piecyku, wrócił do stolika i usiadł. Słuchając jednym uchem, przysunął sobie długi adwokacki bloczek do notatek i popatrzył na sporządzony wcześniej wykaz:

1. Drogi samochód (Mercedes? Jaguar?). Wynająć. 2. Materiały wybuchowe (ile trzeba, żeby zapelnąć bagażnik? Także na tylnych siedzeniach?). 3. Detonatory (kupić razem ze środkami wybuchowymi). 4. Mechanizm zegarowy.

W wiadomościach ciągle słyszał o wybuchach samochodów pułapek równających z ziemią wielkie budynki. Nie mógł zapomnieć, że w Luksemburgu zginął przez to Doug Denoff. Dlaczego nie zamknąć tym sposobem tego upiornego koła, zanim stanie się najgorsze? Drogie auto powinno mu ułatwić dostanie się w pobliże pałacowej rezydencji Stranda w Palos Verde. Zaparkuje je tam i jakoś się ulotni, a nawet, jeżeli nie zdoła uciec, to na tamten świat zabierze ze sobą Stranda.

Przekonanie, że to Strand jest kluczową postacią całego problemu, narastało w nim coraz silniej. Każda konstrukcja, także i ta tworzona przez zespół ludzi, ma zwornik, który ją utrzymuje w całości, bez którego nie mogłaby należycie funkcjonować. Jay uważał, że bez Stranda Komitet Siedmiu pograżyłby się w wewnętrznych waśniach na tle walki o władzę. Niezbędna dla jego działań koordynacja stałaby się niemożliwa wskutek rozpadu zespołu na frakcje. Zlikwidowanie Stranda pozwoliłoby na odwołanie zamierzeń Komitetu na czas nieokreślony. Dzięki temu zyskałoby się czas potrzebny do znalezienia wyjścia z sytuacji.

Ale jak zdobyć materiały wybuchowe? I to po cichu, bez zwracania na siebie uwagi. Można by je ukraść z jakiegoś magazynu lub kupić nielegalnie. Samochód i urządzenie zegarowe nie nastęrczały większych trudności. Główny szkopuł to środki wybuchowe oraz zapalniki.

Może dałoby się wynająć kogoś, kto by je ukradł i przygotował do odpalenia. Z pewnością nie brak kryminalistów, którzy by się tego od płatnie podjęli. A Jay miał pieniądze.

Pociągnął łyk kawy i zamyślił się. Jak większość praworządnych obywateli nie miał wyrobionych kontaktów w światku przestępczym i mógł w poszukiwaniu ich równie dobrze trafić na właściwego człowieka, jak na policyjną wtyczkę. Nagle go olśniło.

Jakiś rok temu z grupką kolegów zaśmiewali się, czytając na głos ogłoszenia drobne w czasopiśmie przeznaczonym dla najemników i poszukiwaczy przygód. Większość z tych ogłoszeń była guzik warta, ale niektóre, proponując różne usługi typu ochrona lub misje specjalne, kończyły się zdaniem: „Nie zadajemy pytań”. Jay zerwał się z miejsca, nałożył ocieploną kamizelkę i płaszcz nieprzemakalny, po czym ruszył do wyjścia, zastanawiając się jakie to usługi typu „Nie zadajemy pytań” można by zamówić, mając w kieszeni dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Pikap ślizgał się i zataczał na porzniętej koleinami drodze. Skrzynka biegów miała wprawdzie przełożenie na napęd czterokołowy, ale to było wszystko, na co mógł liczyć Jay, jadąc na tyle szybko, by nie ugrzęznąć w błocie, i na tyle wolno, by nie wpaść w poślizg i nie władować się na jedno z wielkich drzew stojących wzdłuż drogi na podobieństwo kolumn greckiej świątyni.

W dodatku słabo widział przez zachlapaną szybę, od wewnątrz zasnawającą się parą, którą ocierał raz po raz rękawem. Zanotował sobie w głowie, że na stacji benzynowej musi koniecznie kupić wycieraczki. Podniecenie przekształciło jego depresję w niepewność i treść. Czy drogeria w Sierra Madre będzie miała ten magazyn z ogłoszeniami? Czy uda mu się skontaktować z właściwymi ludźmi? Jak właściwie należy z nimi rozmawiać? Niepokój Jaya pogłębiała obawa, że niektóre ogłoszenia mogą być pułapkami zastawianymi przez stróżów prawa.

Po pół godziny jazdy w odległości nie większej niż kilkaset metrów pokazała się lśniąca, gładka powierzchnia głównej drogi. Rozluźnił od ruchowo dłonie na kierownicy i nagle dostrzegł, na skrzyżowaniu dżipa kombi, który wolno skręcał w leśny dukt, jadąc wprost na niego.

Na moment serce zamarło mu w piersi zaraz zabiło mocniej. Z obu stron drogi wznosiła się nieprzenikniona bariera drzew. Mijanka była

ponad pół kilometra za nim. Błysnął długimi światłami. Po przejechaniu pięćdziesięciu metrów dżip stanął i cofnął się z powrotem do głównej drogi, przepuszczając Jaya.

Jay wyjął kolta z kieszeni płaszcza i położył go na siedzeniu obok siebie. Jedyнным człowiekiem, który wiedział o kryjówce w chacie, był Fraser. Ale on według ostatnich komunikatów był nadal w stanie śpiączki.

Kiedy dojechał do głównej drogi, dżip czekał na poboczu. Kierowca zamigotał długimi światłami, nacisnął powitalnie klakson, po czym wysiadł i podbiegł do pikapa od strony fotela dla pasażera. Jay wziął pistolet do ręki, ale sylwetka kierowcy dżipa wydała mu się znajoma. Kiedy się zbliżył, Jay rozpoznał w nim Randalla LeBlanca, totumfackiego admirała Fräsera.

A więc Fraser musiał wrócić do przytomności i wysłał do niego LeBlanca. Radość z tej nowiny szybko przyćmiła pierwotne podejrzenia Jaya. Nie był już teraz absolutnie sam. Jeśli ktokolwiek mógł mu pomóc w wydobyciu się z tej matni, to jedynie Fraser. Wetknął kolta w kieszeń kamizelki i przechylił się, żeby otworzyć drzwi LeBlancowi.

Randall wgramolił się do pikapa, wpuszczając do wnętrza chlust pędzonego wiatrem deszczu.

-Jezu! - wykrzyknął, zatraskując drzwi pikapa. - Co za pieprzona pogoda! - uśmiechnął się i przyglądał zmierzwione włosy.

- Dzień dobry - powiedział Jay.

Obrzucili się wzajem niepewnymi spojrzeniami. Deszcz bębnił o dach kabiny pikapa.

- On chce się z tobą zobaczyć - odezwał się LeBlanc.

- Admirał?

-Jak inaczej bym cię znalazł? Jay skinął głową.

- Byłeś pierwszym człowiekiem, o którego zapytał, kiedy przyszedł do siebie.

-Jak się czuje?

-Jest osłabiony. Ale to twarda sztuka. Nikt nie przypuszczał, że z tego wyjdzie.

- Pewnie, że tak - stwierdził Jay z szacunkiem. - Nie przestaje wszystkich zadziwiać. To cud, że pamiętał o tym miejscu.

- Umysł ma jasny jak zawsze. Podał mi bardzo dokładne wskazówki.

- Dotarłeś dość daleko.

- Fajnie, że akurat zjechałeś. Nie bardzo mi się uśmiechała dalsza jazda.

- Wspinałeś się kiedyś na skały? - spytał Jay, a gdy LeBlanc zaprzeczył ruchem głowy, dodał: - W takim razie skręciłbyś kark.

LeBlanc posłał mu ostre spojrzenie, ale tak szybkie, że Jay nie był pewny, czy mu się nie zdawało.

Wzięli dżipa LeBlanca, bo był nowszy, miał wycieraczki i ogrzewanie. Metronomiczny ruch wycieraczek działał na Jaya usypiająco. Od czasu do czasu zamieniali zdawkowo kilka zdań, po czym zapadała długa cisza, podczas której Jay po-drzemnywał z półprzymkniętymi powiekami. Wszystko się teraz ułoży, zapewniał się. Wymyślą coś do spółki z admirałem.

Rozdział 48

Palos Verdes, 12 stycznia

Jay nabrał podejrzeń, kiedy LeBlanc zjechał z autostrady do San Diego. Nic jednak nie powiedział, myśląc, że może admirała wzięto do jakiegoś szpitala w pobliżu domu. Media nie podawały, gdzie został umieszczony. Jay nie mógł sobie przypomnieć, kto informował je o stanie zdrowia Frasera. Odezwał się dopiero wtedy, gdy LeBlanc skręcił pod górę na wzgórze Palos Verdes.

- Dokąd jedziemy, Randall? - spytał, ale LeBlanc patrzył uparcie przed siebie i nie odpowiadał.

- Pytałem, dokąd jedziemy. Tam nie ma żadnego szpitala. Admirała też tam nie ma.

- Ależ jest - odparł LeBlanc. - Ze szpitala wypisano go dwa dni temu,

Jay spojrzał na niego jak na wariata.

- Komunikaty mówiły...

- Jest wiele sposobów zrobienia przeróżnych rzeczy pod warunkiem, że zna się odpowiednich ludzi i ma się wpływy oraz pieniądze - oświadczył LeBlanc.

Jay wymacał w kieszeni kolta i ujął mocno kolbę.

- Nie próbuj niczego - rzucił LeBlanc, wyciągając rewolwer schowany gdzieś między drzwiami dżipa a skrajem swego fotela i mierząc w Jaya.

Jay zdrętwiał, ale wciąż trzymał mocno kolbę kolta.

- Rób, co ci każą - usłyszał głos za sobą i odwróciwszy się zobaczył lufę drugiego rewolweru. Trzymał go uśmiechnięty chudzielec z blizną nad prawą brwią. - Wyjmij tę swoją pukawkę i oddaj mi ją - rozkazał.

Jay zawahał się.

- Nie rznij bohatera, Fleming - rzekł zimno LeBlanc. - Bo cię na miejscu kropniemy.

Ociągając się, Jay wydobył z kieszeni czterdziestkę piątkę.

- Kolbą do mnie - pouczył go wspólnik LeBlanca i Jay usłuchał.

Chudy rzucił kolta na tył dżipa, wyjął kajdanki, przykuł Jaya za przegub do drzwi i usiadł bezpośrednio za nim. - Jesteś oślizłą kreaturą, LeBlanc - splunął ze wstrętem Jay.

- Komplementami nic u mnie nie wskórasz.

- Od jak dawna wysługujesz się Strandowi? Bo do niego przecież jezdziemy, prawda? Mieszka w Palos Verdes.

- Pracuję dla Stevena Stranda już prawie piętnaście lat.

- I cały czas szpiegowałeś admirała? A on ci tak ufał.

- Oszczędź mi morałów, jeśli łaska - warknął LeBlanc.

- Przez dwadzieścia lat niańczyłem Frasera, wysłuchiwałem jego dowcipasów, znosiłem to, czego inni nie mogli wytrzymać. Jak myślisz, dlaczego wytrwałem przy nim dłużej niż ktokolwiek inny?

- Chyba zabrzmi to naiwnie, jeśli powiem, że z respektu dla niego?

Śmiech LeBlanca rozszedł się donośnie po całym dżipie. Zarzął również siedzący za Jayem chudzielec.

- Robiłem to, ponieważ Strand dobrze mi płacił.

- Po to, żebyś go mógł szpiegować.

- Po to, żeby stary pierdoła nie mieszał Strandowi szyków.

Fleming nie czuł złości, nie oburzał się, nie był nawet zdziwiony. Był wycieńczony, obojętny, wyzuty z wszelkich emocji. Wszystko przepadło. Stracił swoją ostatnią szansę, kiedy godzinę temu otworzył LeBlancowi drzwiczki pikapa. Miał naturę boksera, ale nawet bokser

musi się poddać, kiedy już nie ma żadnych szans, kiedy nie może wstać z maty.

- Co zrobiliście z admirałem? - spytał apatycznie.

- Och, wkrótce się zobaczycie - rzucił LeBlanc i skręcił z szosy, przejeżdżając przez bramę oznaczającą granicę posiadłości Stranda. - Jest w na tyle dobrej formie, że powinien cię poznać. Chyba że dostał znowu swoją porcyjkę amatolu sodu.

Przy małej wartowni zatrzymał ich umundurowany osobnik z naramiennikami na płaszczu przeciwdeszczowym. Obejrzał dżipa, porozmawiał krótko z LeBlankiem i zezwolił na wjazd. Jay zauważył, że zaraz po tym podniósł słuchawkę telefonu.

- Ty i admirał należycie do tego samego gatunku - stwierdził LeBlanc. - Jesteście ostatnimi Amerykanami, którzy naprawdę uważają, że to, co robią, przynosi pożytek krajowi.

Jay milczał, ale przyszli mu na myśl Martin Copeland i Alexandra. A także Modesti, Treadwell, Lamb i pozostali. Chciał powiedzieć LeBlancowi, że bardzo się myli, lecz był zbyt zmęczony, by wdawać się w spory.

Ogarnął go całkowity bezwład. Uznał, że przestało go cokolwiek obchodzić. Miał jedynie nadzieję, że pozwolą mu umrzeć szybko.

Przed pałacikiem Stranda LeBlanc z pomocą chudego skuli Jayowi razem obie ręce, co znaczyło, że nadal serio się | go obawiają, ale potraktował to obojętnie.

Poprowadzili go w ciągle padającym deszczu do wejścia, a stamtąd przez krótki przeszklony pasaż na tyły budynku.

Minęli spore pomieszczenie składowe, pokój kredensowy, potem dużą, nowoczesnie wyposażoną kuchnię i weszli ko-rytarzem do kilku-pokojowego apartamentu.

- Możesz się tu odświeżyć i ogolić - powiedział LeBlanc. - W łazience znajdziesz wszystko co trzeba. Nie sil się na żadne pomysły. Okna są okratowane. Za drzwiami będzie czuwał Guido i ma rozkaz strzelać.

Chudzielec po raz pierwszy zaryzykował uśmiech, odsłaniając krzywe pożółkłe zęby. Małymi czarnymi oczkami świdrował Jaya niczym drapieżnik bawiący się swoją zdobyczą. Był wprawdzie tyczkowaty i cienki, ale Jay pamiętał z jaką siłą trzymał go za ręce podczas zakuwania w kajdankami. No i miał broń.

- Rozumiem - rzekł Jay.

- To dobrze - uśmiechnął się LeBlanc. - Im szybciej się uwiniesz z toaletą, tym szybciej ujrzysz swego kochanego admirała. Obiad jemy o pół do drugiej.

- My? - zapytał Jay.

- Tak. Ty, ja, Strand, admirał oraz Maxwell Emerson.

- Emerson? - obecność handlarza bronią w domu Stranda poruszyła mocno Jaya mimo zobojętnienia w jakim się pograżył.

LeBlanc zakręcił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Skonsternowany Jay minął Guida i wszedł do łazienki.

- To on! To Jay! - szepnęła w podnieceniach Alexandra, z trudem panując nad głosem i uniosła się nieco, żeby lepiej widzieć.

- Ciii! - ostrzegł ją Treadwell, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Schyl się, bo nas zobaczą.

Przysiadła znowu na piętach, patrząc, jak Jay pod eskortą dwóch mężczyzn przechodzi przez pasaż i kuchnię. O kilka metrów za nią urywał się brzeg, a kilkaset metrów poniżej fale rozbijały się o podnóże klifu. Alexandrze serce biło tak mocno, że prawie przestała je słyszeć.

Minęła dobra chwila, zanim poczuła chłód bryzy i do jej uszu dotarł znów z poprzednią siłą huk przyboju. Deszcz osłabł, przechodząc w łagodny kapuśniaczek. Niebezpieczeństwo nie minęło, ale Jay żył. Dał jej nadzieję, kiedy już zabrakło wszelkiej nadziei, a teraz... musi pozostać wierna temu podarunkowi.

Najgorsze było czekanie. Od czasu gdy uciekli z Long Beach po ataku na siedzibę Modestiego, przechodziła przez kompletną gamę nastrojów od najgłębszej depresji do wściekłego gniewu i żywiołowej niecierpliwości, poskramianej tylko spokojem Treadwella.

Podczas ataku Treadwell sprowadził ją spieszenie do pomieszczenia w podziemiach, gdzie znajdowały się rury ściekowe. Zastali tam już Modestiego i czterech innych mężczyzn próbujących odwalić masywny blok betonu z wejścia do kolektora odpowietrzającego. Kolektor biegł najpierw pochyło w dół, a przez dalsze kilkaset metrów ciągnął się poziomo.

Zawdzięczała życie galanterii Modestiego. „Damy mają pierwszeństwo” - powiedział po odblokowaniu kolektora, a za nią wszedł do niego eskortujący ją Treadwell. I ledwie postawili pierwsze kroki usłyszeli

za sobą huk, błysnęły płomienie, a siła eksplozji omal ich nie cisnęła daleko w głąb kolektora. Po chwili zaległa kompletna ciemność, otwór przez który weszli zniknął pod zwałami gruzu. Po przejściu całego tunelu znaleźli się w niewielkiej okrągłej komorze z włazem, po którego otwarciu wypełniła się wodą, a oni wypłynęli na powierzchnię w porcie niedaleko pirsu G.

Wspięli się po drabinkach, przymocowanych do konstrukcji pirsu z myślą o pasażerach motorówek na wypadek niższego poziomu wody, i opuścili przystań niezauważeni, jako że wszyscy tłoczyli się przy nabrzeżu, nie odrywając wzroku od wstrząsanego eksplozjami Terminalu Azja-Pacyfik.

Jako przyczynę katastrofy podano nieodpowiednie składowanie niebezpiecznych materiałów, aczkolwiek miejscowa policja i straż ognio-wa były zaskoczone narzuconym im przez FBI i wywiad Marynarki zakazem inspekcji ruin terminalu.

Alexandra musiała oddać sprawiedliwość niesamowitej cierpliwości i doświadczeniu Treadwella. Pozostawienie nietkniętej roślinności nad klifem, wśród której teraz się kryli, również potwierdzało jego przewidywania, że obszar wokół rezydencji Stranda nie będzie zbyt silnie strzeżony.

„Amerykanie skupiają się przede wszystkim na ochronie swoich domostw” - mówił. „Szczególnie ci, którzy mają wokół nich dużo wolnej przestrzeni. Wydaje im się, że jest ona sama przez się elementem bezpieczeństwa. Jest to objaw mentalności wyrosłej z legendy obrony Alamo. Wara od naszych progów”.

Sporadyczne patrole umundurowanych ochroniarzy lub cywilnych strażników nie były dla nich przeszkodą w przedostaniu się na teren posiadłości. Przycupnęli, przed krawędzią pionowego klifu nad oceanem, licząc, że od tamtej strony nieproszeni goście będą najmniej spodziewani. Treadwell znowu miał słuszość.

Ze swego punktu obserwacyjnego widzieli tyły domu i oszklony pasaż, prowadzący do piwnicy, w której Strand przechowywał wina. Z wyjątkiem krótkich wypadów po żywność tkwili tam nieprzerwanie przez trzy dni, czekając na rozwój wydarzeń, a głównie na pojawienie się Jaya. Nie spodziewali się jednak, że zobaczą go w charakterze więźnia.

- Co teraz? - spytała Alexandra. - Jesteś szefem.

- Ciężka sprawa - orzekł Treadwell po dłuższym namyśle, który pogłębił pionowo bruzdy między jego brwiami.

- Myślałem, że to Jay nam pomoże w tej akcji. Nie spodziewałem się, że trzeba będzie go odbijać. Zaczekajmy, aż się ściemni, żeby podejść bliżej.

- Ale przecież już to przerabialiśmy - zaprotestowała.

- Kręciliśmy się dookoła po nocy i wiemy z grubsza, jaki jest rozkład domu. Przez pięć-sześć godzin mogą zrobić Jayowi coś złego. Nie możemy sobie pozwolić na czekanie do zmroku.

- Nie możemy sobie pozwolić na nie czekanie – oświadczył szorstko Treadwell. - Martwi nie na wiele mu się przydamy.

-Jednak... - spojrzała na niego sceptycznie. -Jednak poczekamy - rzekł kategorycznie. - Ufałaś mi do tej pory. Wytrwaj jeszcze trochę.

Nie ma co. Mam cudowną robotę na świeżym powietrzu. Szlag by to trafił, myślał Ralph Knudsen, stąpając przemokłymi butami po gąbczastej połaci nieskazitelnie utrzymanego trawnika Stevena Stranda. Nie było jeszcze najgorzej, dopóki nie zaczęło lać. Po sześciu latach służby w policji Long Beach sądził, że wszystko inne może być tylko lepsze.

Teraz jednak, gdy kroczył wzdłuż trawnika obok klombów z opatulonymi na zimę kwiatami, w cieniu wielkich dorodnych palm, dręczyła go myśl, czy praca w policji nie była jednak ciekawsza. I niemal doszedł do wniosku, że przyjemniej byłoby mu zginąć z ręki przestępcy aniżeli skonać z nudów w tej złotej klatce, w klimacie władzy i bogactwa.

Zatrzymał się i popatrzył ku morzu. Chciało mu się palić. Zaklął pod nosem i podjął obchód. Szef ochrony utyskiwał, że teren z tyłu rezydencji nie jest należycie kontrolowany.

„Pamiętaj - napominał go znowu dziś rano - że w zakres bezpieczeństwa wchodzi także obserwacja działań przyrody. Sprawdzaj, czy wskutek deszczu nie osuwa się ziemia, czy nie doszło gdzieś do uszkodzeń nawierzchni, zwłaszcza na podjeździe do domu, czy jakieś drzewo nie grozi upadkiem i tak dalej. Miej oczy otwarte na wszystko, tym bardziej, że w najbliższych dniach spodziewamy się bardzo ważnych gości”.

Knudsen prychnął dochodząc do zarośniętego dziko terenu na skraju klifu za domem. Nie uporządkowano go ze względu na brak ogrodze-

nia, co groziło robotnikom wypadkiem, a Jego Pierdolona Wysokość Pan Strand nie życzył sobie żadnego parkanu, który by mu zasłaniał widok, za który zapłacił kupę forsy.

Jeżeli uznano, że włożenie tam byłoby zbyt niebezpieczne dla ogrodników, to jest także niebezpieczne dla Ralpa Knudsena. Rzuci tylko okiem, czy klif się nie obsunął i zaraz zrobi w tył zwrot.

Rozdział 49

Palos Verdes, 12 stycznia

Guido powiódł Jaya korytarzem pokrytym grubą szarą wykładziną dywanową i oświetlonym dyskretnie kinkietami z rżniętego kryształu. Ubranie, czekające na niego po wyjściu z łazienki, pasowało idealnie. Szara tweedowa marynarka, szare wełniane spodnie, różowa koszula z przypinanymi wyłogami kołnierzyka, rypsowy krawat, czarne włoskie mokasyny, czarne skarpetki.

Nie było nic dziwnego w tym, że wszystko leżało na Jayu jak ulał, były to bowiem jego własne rzeczy. Strand musiał od dawna być przygotowany na to spotkanie. Jay był zły, że włamano się do jego mieszkania, ale bardziej bolało go to, że tak łatwo wpadł w zastawione przez Stranda sidła. Dał się po prostu podejść jak dziecko.

Korytarz kończył się drzwiami, które Guido otworzył przed nim z łaskawością, jaką koty traktują schwytane myszy. Jay znalazł się w obszernej sali recepcyjnej o ścianach w kolorze jasnooliwkowym, obwiedzionych dokoła nieco ciemniejszymi panelami boazerii. Po środku sali stał długi, wypolerowany stół z drewna różanego, ponad którym zwisał z sufitu kryształowy żyrandol w kształcie dębowego liścia. Stół ugiął się pod ciężarem półmisek i talerzy, na których widniały kraby, krewetki, homary, świeże owoce i wszelkiego rodzaju sery. Na srebrnych podgrzanych tacach ustawiono naczynia z gorącymi potrawami mięsny-
mi i jarzynami.

Tu i tam stały dla wygody gości stylowe krzesła, sofy i stoliki. Jeden róg sali zajmował niewielki stół pełniący funkcję baru, za którym urzędował mundurowo odziany barman.

Poza nim nikogo w sali nie było. Guido, oddaliwszy się od Jaya, zajął posterunek przy dwuskrzydłowych drzwiach, przez które weszli. Takie same widniały w drugim końcu sali. Jedną ścianę zajmował rząd okien, Jay przyglądał się im ciekawie, niewątpliwie były dobrze strzeżone.

Po chwili wahania przeszedł obok stołu z zakąskami i stanął przy barku. Kazał sobie podać słabego burbona Wild Turkey z wodą sodową. Zwrócił uwagę na muskularne ramiona barmana i rewolwer przy boku. Odgradzony od niego stołem, nie miał szans na wyrwanie mu broni z kabury. Wrócił z drinkiem do stołu i udawał, że zastanawia się, czym się poczęstować. Nie podano żadnych noży, jedynie plastikowe łyżki i widelce. Potrawy w naczyniach były podgrzewane elektrycznie, zadbano o to, by nie było żadnego źródła ognia, niczego, co mogłoby posłużyć jako broń.

Jedzenie wyglądało bardzo apetycznie, lecz akurat w chwili gdy Jay sięgnął po talerz, otworzyły się drugie drzwi sali, te bliżej barmana. Odwróciwszy się, Jay ujrzał najpierw S wysoką postać uśmiechniętego Randalla LeBlanca, a potem popychany przez niego wózek inwalidzki, w którym siedział skulony admirał Daniel Fraser. Wyglądał tak, jakby go zmięto i wypchano nim wózek. Głowa zwisała mu bezwładnie na piersi.

Jay odstawił z impetem szklanke, zalewając burbonem biały obrus i ruszył pospiesznie ku Fraserowi.

- Stać! - zawołał barman, mierząc w Jaya z rewolweru. - Nie ruszać się.

- Lepiej bądź posłuszny - uśmiechnął się arogancko LeBlanc i odpinając olstro pod pachą, błysnął chromowanym pistoletem.

- Muszę z nim pomówić - oświadczył Jay stalowym głosem. - Strzelaj, jeśli chcesz - dodał, a kiedy podszedł do Frasera łyż zakreśliły mu się w oczach. Jeszcze tydzień temu sędziwy admirał był taki czynny, pełen werwy teraz... obwisła szczęka, załzawione oczy pod na wpół-przymkniętymi powiekami, ręce złożone na kocu, który okrywał mu kolana, trzęsły się konwulsyjnie.

Z wielkim wysiłkiem przechylił głowę, żeby spojrzeć na Jaya, otworzył usta, poruszając kilkakrotnie szczęką, ale nie zdołał wydać głosu, tylko cienka strużka śliny ściekała mu z warg i znów opuścił bezsilnie głowę na piersi.

- Twój widok wyraźnie zaszkodził staruszkowi - powiedział LeBlanc. - Powinieneś dać mu spokój.

Jay naprężył się jak do skoku i LeBlanc szybko poderwał pistolet.

- Nie rób głupstw - rzucił ostrzegawczo.

-Dzielni z was chłopcy, nie ma co - wycedził Jay przez zaciśnięte zęby. - Popatrzcie na swoje dzieło. Starego człowieka sprowadziliście do... do... - głos uwiązł mu w krtani.

Nie wypuszczając pistoletu z dłoni, LeBlanc popchnął wózek z Fraserem w kierunku baru.

- Proszę bardzo - zaszcebiotał, małpując pielęgniarkę. - Tutaj będzie nam milusio, prawda? - pochylił się nad wózkiem i nagle zmienił ton.

- No, co, dobrze mówię, ty stary robaczywy pierdzielu? Jeśli jeszcze raz zesrasz się w gacie, powyrywam ci nogi z dupy? - uśmiechnął się, patrząc prowokująco na Jaya, jakby na coś czekał.

Moment później otworzyły się drugie drzwi i do sali weszli ramię w ramię Steven Strand z Maxem Emersonem. Uzbrojony goryl zamknął zaraz za nimi drzwi.

- Czy nie powinny zabrzmieć na cześć wodza jakieś czołobitne okrzyki albo powitalne fanfary? - odezwał się Jay, ale Strand milczał.

Emerson zatrzymał zaraz swój spasiony korpus przy stole, natomiast Strand szedł dalej, aż znalazł się na odległość ramienia odjaya i wyciągnął do niego dłoń. Jay przyjrzał się jej, popatrzył na Stranda i cofnął się o krok.

- Bodajby cię skurwielu rudy pies pojechał - powiedział.

Spokojna twarz Stranda lekko drgnęła.

- Nie bardzo to do ciebie pasuje - stwierdził. - Myślałem, że w tych twoich staroświeckich zasadach mieści się podanie ręki zwycięzcy.

Jay milczał, świdrując Stranda wzrokiem i rozważając szanse uduszenia go, zanim ochroniarze zdążą mu przeszkodzić. Biorąc pod uwagę fizyczną sprawność Stranda oraz obecność trzech jego ludzi, doszedł do wniosku, że byłaby to donkiszoteria.

- Podziwiałem właśnie wasze dzieło - powiedział. - Doskonale sobie radzicie z maltretowaniem staruszków.

- Godne pożałowania - rzekł Strand. - Boleję nad tym. Jednakże admirał Fraser nie był skłonny podzielić się z nami bardzo ważną informacją. Może ci to poprawi humor, jeśli wyznam, że opierał się działaniu naszych specyfików rekordowo długo. Ma - a raczej miał - wyjątkowy umysł. Poproszę o koniak - zwrócił się do barmana, po czym przyłączył się do Emersona. A widząc, że Jay nie rusza się z miejsca, dodał: - Chyba nie zrezygnujesz ze swego ostatniego posiłku?

Jay spojrzął na Emersona, którego talerz zapełniała po brzegi kolosalna piramida jedzenia.

-Widzę Max, że apetyt nadal ci dopisuje - zauważył.

- Powinieneś w swoim czasie dołączyć do nas - rzekł jowialnie Emerson. - Odegrałbyś w tym przedsięwzięciu na-der istotną rolę.

-Wkład Maxwella do całej operacji jest kluczowy - wtrą- I cił Strand, a widząc wyraz zaskoczenia na twarzy Jaya, dorzucił: - Oczywiście wszystko toczy się zgodnie z planem. Nie myślałeś chyba, że twój pirotechniczny popis w zeszłym tygodniu zdoła nas powstrzymać? Niemniej przyznaję, że to było bardzo pomysłowe, wcale oryginalne.

- Będziemy oczywiście realizować nasze cele i to bez żadnej zwłoki - oświadczył i po załadowaniu talerza udkami krabów ulokował się w krześle niedaleko baru. - Obecny tu Maxwell ma największe w świecie zasoby konwencjonalnego uzbrojenia, a także olbrzymi zapas wojskowej elektroniki, która już od trzydziestu lat uważana jest za szmelc. I za niespełna dwa tygodnie stanie się najpotężniejszym handlowcem świata, jeśli chodzi o broń.

- Max ma niezwykle ważny udział w tworzeniu nowego ładu - stwierdził Strand, biorąc kieliszek od barmana. - Przywrócimy równowagę w Ameryce i na świecie. Koniec z rządami motłochu. Z pozorami egalitaryzmu. Nikt nie będzie mógł się nam przeciwstawić. I co najważniejsze, upłyną dziesięciolecia, zanim posługujący się prymitywnymi instrumentami uczeni, zorientują się, że to my pociągaliśmy za te sznurki. Naturalnie wtedy będzie już za późno.

- „Nowy ład” - powiedział Jay - myślałem, że stać cię na wymyślenie czegoś nowego. Zdaje się, że podczas ostatniej wojny była już mowa o czymś takim.

- Dysponujemy teraz znacznie lepszymi sposobami kontrolowania sytuacji - odparł Strand, pociągając łyk koniaku. - Mamy realną władzę, którą możemy sprawować bezpośrednio. Nigdy dotąd tak niewielka grupa nie mogła posiadać tak wielkiej władzy bez zaplecza armii, polityków i innych mało wiarygodnych pośredników. My nie powtórzymy tych błędów - otarł usta serwetką.

- Nigdy bym w to wszystko nie uwierzył, gdybym nie widział tego na własne oczy i nie doświadczył na własnej skórze - powiedział Jay.

- Otóż to właśnie - podchwycił Strand. - To nam pozwoli swobodnie rządzić. Ludzi cechuje ciasnota umysłowa. Nie biorą poważnie tego, co im się wydaje absurdalne. Nie wierzyli w bombę atomową, dopóki nie rzuciliśmy jej na Japończyków. Nie wierzyli w loty kosmiczne, w laser, w tysiąc innych rzeczy. Ludzie nigdy ci nie uwierzą, nawet gdybyś zdołał stąd zwiać i wygadał wszystko dziennikarzom - spojrzał mentorско najaya. - Nie uwierzą ci, ponieważ ich umysły są zbyt ograniczone, aby to pojąć. Jedynie wizjonerzy...

- Tacy jak ty i Emerson?

- Jedynie wizjonerzy - powtórzył z pobłażliwym uśmiechem - potrafią dostrzec realne możliwości. Wizjonerem był Napoleon. Tak samo Aleksander Wielki. I Cezar. Wszyscy oni mieli odwagę i talent potrzebne do budowy potężnego imperium. Hider miał wizję, ale brak mu było iskry geniuszu i talentu, żeby ją urzeczywistnić. Żałośni, zgrzybiali starcy w Politbiurze też mają wizję, lecz nie grzeszą talentem. Jednakże my - spojrzał na Emersona - wyciągnęliśmy wnioski z błędów, jakie popełnili, i nie powtórzymy ich. Machiavelli powiadał, że najbezpieczniejszym środkiem utrzymania władzy jest działanie skryte. A cóż może być lepszym sposobem pozbawiania konkurencji możliwości odzyskania utraconych pozycji niż wywoływanie co roku burz słonecznych?

- Podejmujesz wielkie ryzyko, licząc, że uzyskasz odpowiednie poparcie.

- Czy ty nie rozumiesz w czym rzecz? Zrozumiałbyś, mając trochę wyobraźni. Po unieszkodliwieniu nowoczesnych broni, wszystkie armie świata będą zmuszone zapukać do naszych drzwi. W naszym posiadaniu jest największy i najbogatszy arsenał. Pod niektórymi względami mamy monopol. Jeżeli Europa Zachodnia, Japonia i Stany Zjednoczone zechcą mieć uzbrojenie potrzebne do obrony przed Rosją i Chinami - dużo mniej zależnymi od nowoczesnej technologii - to będą musiały

zwrócić się do nas. Politycy, którzy tego nie robią, zostaną usunięci ze sceny przez wystraszonych wyborców. My zaś z radością będziemy służyć naszą bronią, ale zmiany polityczne okażą się konieczne.

- Tak samo będzie w przemyśle - wtrącił Emerson, upychając cielsko na małej sofie. - Nie zapominaj, że podczas gdy ja skupowałem przestrzała broń za bezcen jako złom, inni członkowie Klubu Pasterza nabywali za śmieszne pieniądze stare linie produkcyjne, maszyny i urządzenia, patenty i tak dalej. W naszych rękach znajdują się więc oba sektory - wojskowy i przemysłowy. A to równa się władzy.

- Wiedziałem, że nie bez kozery wychynałeś ze swojej luksemburskiej fortecy - powiedział Jay. - A co na to twoi wrogowie?

- Tak się składa, że na razie nie mam wrogów - odparł Emerson z zadowoleniem, podnosząc się niezdarnie z sofy i człapiąc kaczym chodem z powrotem do stołu.

Wtem dały się słyszeć jakieś podniesione głosy na zewnątrz domu, najpierw odległe, potem coraz bliższe. Strand nadstawił ucha, w sali zapadła na moment cisza, tylko admirał Fraser jęknął i szarpnął się konwulsyjnie. Jay odwrócił się ku niemu i dostrzegł w ułamku sekundy porozumiewawczy błysk w jego wzroku i nikły uśmieszek na wargach.

Zgiełk na zewnątrz się wzmógł, dochodząc już z korytarza za drzwiami, których pilnował Guido. Jay usłyszał teraz wyraźnie podniecony głos kobiety i serce mu zadrżało.

- Idź Guido i zobacz, co się tam dzieje - rozkazał Strand.

Guido usłyszał, a jego posturę przy drzwiach zajął barman.

- No i co? - spytał niecierpliwie Strand, gdy Guido wrócił po chwili do sali.

-Jeden ze strażników, proszę pana, nazywa się Knudsen, odkrył, że w krzakach koło klifu kryło się dwoje ludzi - mężczyzna i kobieta - meldował Guido. - Mężczyznę podczas walki Knudsen zepchnął z klifu do morza, a kobietę przyprowadził.

Strand zmarszczył na moment czoło i rozejrzał się w zamyśleniu po sali.

-Dawaj ją tu, Guido! - rzucił rozpromieniony. -I Knudsen niech też wejdzie. Mamy niespodziewaną atrakcję.

Wszyscy zwrócili oczy ku drzwiom i kiedy ukazała się w nich Alexandra, pod Jayem ugięły się nogi. Za nią pojawił się mężczyzna w uni-formie khaki; w rękę miał rewolwer, który przystawiał jej do karku.

Jay z największym trudem zmuszał nogi, by nie odmówiły mu posłuszeństwa. Zakreśliło mu się w głowie. Tego już było za wiele! Był pewien, że Alexandra nie żyje, a oto ujrzał ją całą i zdrową, choć tak jak i on w niewoli Stranda. Poszukał wzrokiem jej oczu i uśmiechnął się. Mimo wszystko jej widok sprawił mu radość.

- Witam szanowną panią - rzekł Strand podchodząc do niej. - Dokucała nam ciekawość, kiedy się pani zjawi.

Barman odszedł od drzwi i stanął przy wózku Frasera.

- Knudsen - powiedział Strand rzuciwszy okiem na plakietkę z nazwiskiem na piersi strażnika. - Muszę was pochwalić za wyśmienitą pracę. Przypuszczam - dodał, patrząc na Alexandrę - że ów dżentelmen, który spadł z klifu, to agent FBI, niejaki George Treadwell? Jedyne, który uszedł z życiem z tego nieszczęśliwego wypadku w Long Beach.

- Kanalia! - splunęła na niego Alexandra.

- Co za wspaniałe maniery - błysnął uśmiechem Strand. - Podobnymi wyróżnia się pani luby - popatrzył na Jaya.

Jay rzucił mu wściekle spojrzenie, przeniósł wzrok na Knudsen a doznał następnego szoku. To nie był Knudsen, to był Treadwell! A więc jest jakaś szansa. Guido, LeBlanc i barman byli uzbrojeni. Treadwell także, Alexandra zapewne też. Emerson nie przedstawiał większej groźby niż sofa, na której siedział. Pozostawał jednak Strand.

- Strażniku Knudsen - powiedział. - Spełniliście wzorowo swój obowiązek. W nagrodę otrzymacie podwyżkę z mocą wsteczną, powiedzmy... dwumiesięczną. Powiadomię o tym szefa ochrony.

- Dziękuję proszę pana. Bardzo, ale to bardzo panu dziękuję - odrzekł Treadwell.

Zastukano do drzwi i uśmiech zniknął z twarzy Stranda.

- Kto tam? - spytał.

- Baxter, proszę pana. Słyszałem, że coś się stało.

- Otóż i wasz szef - zwrócił się Strand do Treadwella. - Niech pan wejdzie, Baxter.

Kiedy drzwi się otworzyły, Treadwell wystrzelił dwa razy i Baxter z okrzykiem bólu padł twarzą na podłogę. Drzwi zakołysały się na zawiasach i walnęły o ścianę.

Rozpętał się chaos.

Guido wyciągnął pistolet z olstra; Jay rzucił się w kierunku Stranda, który biegł do otwartych drzwi; barman szybko wyjął broń; Alexandra

usiłowała wyluskać swego głęboko schowanego kolta. Muszka pistoletu wczepiła się jej najpierw w sukno spodni, a potem zawadziła o skraj kieszeni. Maxwell Emerson upuścił salaterkę pełną truskawek ze śmietaną i wczuł się pod stół. Tylko admirał Fraser pozostał nieporuszony.

Alexandra patrzyła przerażona, niczym na film w zwolnionym tempie. Zarówno Guido, jak i barman, celowali w Treadwella, który odwróciwszy się od drzwi, wziął na cel Guida.

Rozległ się jednoczesny huk wystrzałów. Stojący o metr od Alexandry Guido zeszywniał nagle i potoczywszy się do tyłu na ścianę, opadł z wolna na podłogę ze zwieszoną na pierś brodą.

Treadwell siedział w kałuży własnej krwi z rozstawionymi nogami niczym dziecko w piaskownicy. Po drugim strzale barmana, głowa odskoczyła mu do tyłu, a ściana za nim upstrzyła się szaro-czerwonymi rozpryskami.

Barman popatrzył najaya i skierował broń na Alexandrę.

- Nie ruszaj się, Fleming, bo załatwię dziewczynę! - krzyknął.

Jay stanął jak przygwożdżony. Strand dobiegł do drzwi i zniknął. Głuchy tupot nóg zwiastował biegnących z odsieczą pretorianów Stranda. Gdzie się podział Strand? Pewnie wezwie policję. Zawiadomi, że pojmał poszukiwanego przez Interpol przestępcę.

- Tutaj, bliżej, panie Fleming - barman wskazał mu lufą kierunek i Jay usłuchał. Tupot nóg stawał się coraz donośniejszy. Jay przystanął i popatrzył z niepokojem na pokaleczoną twarz Frasera.

- Podejdz do swojej dziewczyny - rozkazał barman, wychodząc zza stołu barowego i zatrzymując się przy Fraserze. - Poczekamy na kawalerię - oznajmił z uśmiechem.

Zanim Jay zdążył wykonać polecenie, zdarzyła się rzecz niesamowita. Oto admirał poderwał się ze swego wózka i z przenikliwym krzykiem podbił ramieniem rękę barmana, która podskoczyła w górę jak w hitlerowskim pozdrowieniu. Równocześnie rewolwer wypalił i pocisk roztrzaskał jeden z wisiorów żyrandola, który sypnął połyskliwym gradem odłamków.

Jay poskoczył do barmana, który zawirował i lewą ręką odrzucił od siebie Frasera jak kociaka. Admirał padł płasko na podłogę, a barman skierował lufę na nadbiegającego Jaya. Było jasne, że zdąży nacisnąć spust, zanim Jay go dopadnie.

Alexandra tymczasem, zmagając się desperacko z zaklinowanym w kieszeni koltem, zdołała go wreszcie wydobyć kosztem rozdartych spodni. Ujmując pistolet w obie dłonie, wymierzyła w brzuch barmana i strzeliła trzykrotnie. Dwa pociski doszły celu i barman runął na podłogę, upuszczając broń.

Jay popatrzył na nią ogarnięty niewysłowioną ulgą. Alexandra podbiegła do niego, wpadając mu w ramiona.

- Och Boże, Boże - powtarzała, wpatrując się w niego z tkliwością. - Nic ci nie jest?

- Nie. A tobie?

- Chyba wszystko w porządku.

- Znikajmy stąd, nie ma czasu - powiedział Jay i ukląkł przy admira-le. Podniósł go i zarzucił sobie po strażacku na bark.

Alexandra podała mu podniesiony z podłogi rewolwer barmana.

Mijali leżącego Baxtera, gdy drzwi na drugim końcu sali rozwarły się przy wtórze wrzasków i sporadycznych wystrzałów. Odwracając głowę, Jay dostrzegł jeszcze jak Max Emerson wypelza spod stołu, unosi się na klęczki i pada na wznak z czerwoną plamą na czole.

Wybiegli na korytarz, znikając z oczu pogoni. Dokąd teraz? Dom był tak ogromny, że Jay poczuł się jak szczur w labiryncie. Krok w niewłaściwym kierunku mógł oznaczać śmierć.

- Za domem jest garaż - rzuciła Alexandra. - Jest tam kilka samochodów. Widzieliśmy z George'em, jak wjeżdżają i wyjeżdżają.

Wypadli z korytarza na chłodne zimowe powietrze. Leciutka mgła malowała rozmiękle aureolki wokół licznych lamp umocowanych na domu i poustawianych na ziemi. Niebo okrywał bury koc nasiąkniętych deszczem chmur, trochę tylko rozjaśnionych na zachodzie, jakby dla przypomnienia, że gdzieś tam w górze ponad tą pęsną przestrzenią świeci słońce. Włączona syrena alarmowa pośpie-wywała elegijnie, akompaniując perkusji okrzyków i wystrzałów.

- Tędy! Tu są! - słyszeli za sobą wrzaski biegnących po betonowej ścieżce strażników.

Jay ciężko oddychał. Fraser mimo wszystko miał swoją wagę.

- Jeszcze trochę dalej - powiedziała Alexandra. - Garaż jest tam, przed nami.

Byli już przy bocznym wejściu do garażu, gdy usłyszeli warkot silnika i Jay szarpnąwszy drzwi zobaczył, że wyjeżdża z niego tyłem merce-

des ze StranDEM za kierownicą. Był to szeroki garaż na trzy auta. Jay uniósł rewolwer zabitego barmana i dwukrotnie wystrzelił. Pierwsza kula zrobiła dziurę w prawej przedniej oponie, druga rozbiła przednią szybę tuż obok głowy Stranda.

Jay złożył Frasera na betonowej podłodze garażu i pobiegł do mercedesa, który stanął w miejscu. Jay myślał, że Strand z niego wyjdzie, ale mercedes nagle ruszył wprost na niego i walnął go zderzakiem w udo, po czym trzasnął w tylną ścianę garażu, mijając o włos Alexandrę i admirala. Jay zerwał się na nogi, a tymczasem Strand wyskoczył z auta od strony pasażera.

- Tutaj! Tutaj, idioci! - wzywał strażników, wyciągając z wozu dużą aktówkę, tę samą, którą miał przykutą do przegubu, gdy uciekał z Cataliny podczas pożaru.

Jay próbował wziąć go na cel, ale Strand schował się między czarną limuzyną a starym odrestaurowanym dusenbergem. Przez chwilę w garażu było zupełnie cicho. Lokalna syrena zamilkła, ale w oddali jęczały złowieszczo syreny policyjne. Musieli jak najprędzej uciekać.

W kącie garażu dał się słyszeć szmer i Jay odwróciwszy się dojrzał wysunięte do góry ramię Stranda, który sięgał do elektrycznego sterownika drzwi. Alexandra strzeliła dwa razy, ale Strand wymknął się z garażu.

- Jak stoisz z amunicją? - spytał Jay.

- Mam jeszcze dwa magazynki w kieszeni deszczowca.

- Dobrze. Weź to - wręczył jej rewolwer - i daj mi twój pistolet i te dwa magazynki.

Wziąwszy od niej broń, wyjął częściowo wystrzelany magazynek i zastąpił go pełnym.

- Kiedy dam ci znak, zaczniesz strzelać na prawo i lewo.

Alexandra skinęła, a Jay pobiegł szybko ku otwartym drzwiom za rozbitym mercedesem. Przykleknął tuż koło drzwi, wziął głęboki oddech i zawołał:

- Teraz!

Alexandra otworzyła ogień, a Jay wypadł na zewnątrz i obiegł garaż. Spośród sześciu przykucniętych na zewnątrz ludzi, jeden patrzył wprost na Jaya, uwagę pozostałej piątki zaprzętnęła kanonada Alexandry.

Mężczyzna podniósł swój pistolet maszynowy kalibru 30 mm, ale wcześniej kula Jaya trafiła go w pierś, wyprostowała i przewróciła na

ziemię. Jego koledzy zaczęli się odwracać, ale żaden nie miał szans. Jay opróżnił cały magazynek. Syreny wyły coraz głośniej.

Podniósł automat zabitego strażnika i obok trupów jego uśmierconych przez siebie towarzyszy doskoczył do garażu. Oddał Alexandrze kolta wraz z ostatnim magazynkiem. Fra-ser nagle usiadł. Wyglądało na to, że jego dotychczasowa niemoc była w dużym stopniu symulowana.

- Aktówka - odezwał się słabym głosem. - Musisz zabrać aktówkę.

- Nie ma teraz czasu - odparł Jay, pomagając admirałowi wstać. -

Niech pan wsiada do limuzyny i zamknie drzwi. Strand ją pewnie kazał opancerzyć.

Ułożył Frasera na tylnym siedzeniu, a gdy Alexandra siadła za kierownicą, sprawdził automat i ruszył do bocznych drzwi garażu.

- Dokąd idziesz? - zawołała niespokojnie Alexandra.

- Po Stranda. Mam nadzieję, że zaraz wrócę. Pognał na złamanie karku, obawiając się, że jeśli zostanie jeszcze chwilę, miłość do tej kobiety weźmie górę i zapomni całkiem o Strandzie.

- Głupcy! Idioci! - wydzierał się Strand na swoich ochroniarzy, biegnąc przez trawnik do przeszklonego pasażu, który prowadził do jego punktu widokowego i piwnicy z winem. Zamierzał się tam zabarykadować do przybycia policji.

Ciężka aktówka utrudniała mu znacznie szybkie poruszanie się, ale jej zawartość była dla niego bezcenna. Projekt Nick mógł być realizowany dopóty, dopóki miał w ręku instrument zmuszający członków Klubu Pasterza do wykonywania przydzielonych im zadań. Posiadał dość druzgocących dowodów pisemnych, by wymusić posłuszeństwo ludzi lękających się skandalu lub wszczęcia dochodzenia przez czynniki rządowe.

Wtem usłyszał za sobą tupot nóg i głośnie sapanie. Ktoś go gonił. Fleming! Jak mu się udało wydostać z garażu? Biegł dalej, omijając zarośla nad klifem.

- Stój, Strand, bo będę strzelał! - krzyknął Fleming, ale Strand nawet się nie zawahał.

Jay puścił w niego serię z automatu. Pociski zatańczyły mu wokół stóp wyrywając strzępy darni, a jedna z kul ugodziła go w łopatkę i Strand się przewrócił. W pistolecie maszynowym nie było już amunicji, więc Jay odrzucił go i pobiegł za Strandem.

Po drodze natknął się na upuszczoną aktówkę i przystanął. Zastanawiał się czyjej nie zabrać, zostawiając Stranda w krzakach, lecz nie był pewien czy postrzał, jaki otrzymał, był śmiertelny.

Ostrożnie podążał tropem Stranda przez połamane i pogniecione krzaki i ze zdumieniem stwierdził, że go zgubił. W słabym zimowym świetle niewiele można było dostrzec w zbitej gęstwinie. Czas uciekał. Coraz donośniejszy dźwięk syren świadczył, że policja jest już niedaleko. Każda sekunda zmniejszała szansę ucieczki. Jay rozglądał się gorączkowo, ale Strand gdzieś zniknął.

Rana w plecach piekła Stranda jak ogień. Skulony za krzakiem, próbował złapać głębszy oddech. Czuł zasysanie powietrza przez ranę, co znaczyło, że kula przebiła płuco. Niebawem wypełni się krwią i przestanie pracować. Nie może pozwolić Jayowi Flemingowi na pokonanie go.

Oddychając ciężko ustami, obserwował Jaya bezskutecznie przeszkukającego zarośla. Wreszcie zobaczył, że zawraca i idzie w kierunku trawnika.

- Strand? - zawołał Jay i przystanął, nasłuchując. Cisza. Nie wolno mu dłużej zwlekać, bo wpadnie w ręce policji albo będzie musiał się przebijać z bronią w ręku. Wycofa się, zabierze tylko aktówkę. To niesłychanie ważne. Nawet Fraser tak uważał. Musiał coś słyszeć na ten temat, gdy był więziony.

Kiedy przyspieszając kroku minął gęsty krzew jałowca, posłyszał lekki świst i coś ciężkiego grzmotnęło go w bok głowy. Zachwiał się, podniósł odruchowo prawą rękę i ten sam twardy przedmiot uderzył go w przedramię, ześlizgując się z niego. Jay chciał się obejrzeć, ale pierwszy cios tak zakłócił jego zmysł równowagi, że ten nagły ruch rzucił go na kolana w piruetowym obrocie. Gdy uniósł głowę, zobaczył, że stoi nad nim Strand z grubą gałęzią w dłoni.

- Nie uszedł mi ani twój dziadek, ani ojciec i tobie też się to nie udało - powiedział Strand histerycznie nabrzmiałym głosem.

Mój ojciec? Mój dziadek? Przez głowę Jaya przelatywały strzępki oderwanych myśli. Przecież oni zginęli w wypadkach. Podniósł wzrok w samą porę, by dostrzec, że Strand obiema rękami unosi w górę gałąź do następnego ciosu. Uchylił głowę, ale konar spadł mu na lewy bark.

Jay poczuł zimne zdrtwienie, które zaraz przeszło w przeszywający ból.

- Nie wymkniesz mi się - powiedział Strand.

Czy Jayowi się zdawało, czy głos Stranda nagle osłabł?

Oczy mu się zamykały, otwierał je z wysiłkiem, żeby uniknąć kolejnego uderzenia. Mój ojciec. Mój dziadek. Pijany kierowca. Wypadek samochodowy.

Raptem, jak po chluśnięciu kubłem zimnej wody, przyszło otrzeźwienie. Dziadek zginął w wypadku drogowym, gdy wracał z organizacyjnego posiedzenia Komitetu Siedmiu. Oczywista rzecz. Nie mogli pozwolić, by pozostał żywy.

A potem ojciec. Teraz stało się jasne, dlaczego nietrzeźwy kierowca, który spowodował śmierć jego rodziców w wigilię Bożego Narodzenia, zmarł na atak serca, zanim stanął przed sądem. To był wynajęty przez Stranda zawodowy zabójca!

Strand zamierzył się znowu, ale Jay przeturlał się na bok i gałąź walnęła głucho o mokrą ziemię. Obejmując pień rosnącego obok drzewka, dźwignął się na nogi. Strand stał jakieś trzy metry przed nim, kołysząc się lekko, niczym oszołomiony bokser w ringu. Na marynarce rozlewała mu się duża, ciemna plama.

- Wiem, dlaczego zabiłeś dziadka - odezwał się Jay - ale co ci zawniły moi rodzice?

- Twój ojciec dowiedział się o konszachtach Fleming Industries z Komitetem Siedmiu. Zamierzał mnie wylać. Nie mogliśmy do tego dopuścić. Twoja matka zginęła przypadkowo, akurat jechała razem z nim.

Jay nie wierzył własnym uszom. Podszedł do Stranda, który obronnym ruchem usiłował unieść trzymaną w ręku gałąź, ale ta okazała się za ciężka i wypadła mu z dłoni. Zaczął się z wolna odsuwać do tyłu.

- Mogę ci to wynagrodzić - belkotał. - Wszystko... jest do załatwienia. Możesz... miliony. Dam ci miliony...

- Pragnę tylko jednego - oświadczył Jay. - Udusić cię własnymi rękami.

Strand ciągle się cofał, podczas gdy Fleming stopniowo zmniejszał dystans między nimi.

Nagle ziemia jak gdyby usunęła się spod nóg Stranda przy wtórze łamiących się krzaków. Powietrze przeszył jego przeraźliwy krzyk, który

prędko zaczął cichnąć. Jay podszedł do krawędzi urwiska i popatrzył w dół na rozplaszczoną na skałach postać.

Z jednej strony doznał ulgi, że nie musiał osobiście zabijać Stranda, z drugiej - czuł się oszukany.

Chwycił aktówkę i pobiegł z powrotem do garażu. Widać już było światła nadjeżdżających aut policyjnych.

- Możemy uciec przez zagajnik - powiedziała Alexandra. - Droga, którą przyszlismy tu z Treadwellem.

Jay popatrzył na nią w milczeniu i pocałował ją.

- Kocham cię - powiedział. - Prowadź.

Wyniósł Frasera z limuzyny i ułożył go na podjeździe. Potem wziął od Alexandry kolta, ukląkł za mercedesem i strzelił dwa razy. Po chwili na podłogę garażu popłynęła benzyna. Jay strzelił jeszcze raz, pocisk przemknął po kałuży benzyny, sypiąc iskrami. Za moment przedziurawiony bak mercedesa eksplodował.

- To powinno ich trochę przystopować - stwierdził Jay i oddał Alexandrze pistolet. Następnie zarzucił sobie Frasera na plecy, Alexandra wzięła aktówkę i pobiegli w kierunku drzew na granicy posiadłości Stranda. Wchodząc w zbawczy cień drzew, usłyszeli potężne łupnięcia. Przystanęli i odwrócili się. To wybuchnął drugi samochód w garażu. Ku niebu wznosił się ciężki tłusty dym, a żarłoczne języki ognia pędziły z garażu ku domowi i policjanci rzucili się do gaszenia.

Postali chwilę, po czym ruszyli dalej. Mieli przed sobą długą drogę do bezpiecznego schronienia.

Epilog

Rodney Bay, St. Lucia, 4 lipca

Na akwamarynowym niebie prażyło karaibskie słońce. Pot płynął Jayowi strumyczkami wzdłuż kręgosłupa, ściekał po czole, wsączał mu się w brwi, które pęczniały jak gąbka, i w końcu musiał ocierać je ubrudzoną smarem dłonią, by uchronić oczy przed zalaniem.

Wstał i popatrzył na rozłożony na drewnianej ławie czte-rocyndrowy silnik pomocniczy żaglówki. Miał minę księdza bezradnie stojącego

przed ołtarzem. Zastanawiał się, czy dzięki ofierze z człowieka można by odkręcić zapiekłe śruby na głowicy cylindrów. Miał oczywiście na myśli ofiarę z właściciela łodzi, który tak długo skąpił silnikowi oleju, aż go kompletnie zatarł.

Westchnął i wyciągnął z kieszeni dzinsowych szortów poplamioną szmatę. Przyjrzał się jej uważnie, rozwijał i obracał kilka razy, aż wypatrzył miejsce, na którym plamy były nieco jaśniejsze niż gdzie indziej. Otarłszy twarz, przysiadł na ławie obok grubej szarej koperty, pozna-
czonej tłustymi odciskami palców, starając się jej nie zauważać.

Łagodna bryza przewiewała na przestrzał krytą blachą szopę, którą Jay sklecił przed czterema miesiącami. Szopa miała też blaszane ściany, ale można je było podnosić, dzięki czemu jej wnętrze chłodziły karaibskie wietrzyki.

Jay i Alexandra znaleźli się w Rodney Bay nieprzypadkowo. Jay był tu kilka lat temu, gdy jego lotnikowiec, odwiedzający z misją dobrej woli szereg karaibskich państweczek, stał przez tydzień na redzie w Castries Harbor. Po zejściu na ląd spędził nadzwyczaj miło czas w East Winds, malutkim ustroniu wakacyjnym między Castries a Rodney Bay. Było tam tylko kilkanaście domków i o to mu właśnie chodziło.

Teraz, rozglądając się wokół siebie, rozważał czy i tym razem to jest to, o co mu chodzi, czy czas na jakąś zmianę. W trzy dni po odstawieniu Frasera do kliniki uniwersyteckiej w Westwood wysłiznęli się jachtem Alexandry w morze, biorąc kurs na San Diego. Tam kupili fałszywe dokumenty łodzi, zmieniając numery na żaglach i dziobie. Potem popłynęli na południe wzdłuż wybrzeża Meksyku, unikając przystani, gdzie zwykle zatrzymują się żeglarze. Szukano ich niewątpliwie, ale oboje wiedzieli, że sprzyja im ogrom oceanu.

Żeglowali daleko od brzegów, unikając spotkań z amerykańskimi okrętami wojennymi krążącymi blisko wód Ameryki Środkowej, po czym przepłynęli przez Kanał Panamski.

St. Lucia wydała się im idealnym azylem. Położona dwadzieścia cztery mile morskie na południe od Martyniki, długa na czterdzieści trzy kilometry, szeroka na dwadzieścia cztery, odwiedzana była głównie przez turystów niemieckich i brytyjskich, znacznie rzadziej przez Amerykanów. Rząd St. Lucii miał sympatie lewicowe, podobnie jak jej południowa sąsiadka Grenada, toteż nadchodzące ze Stanów Zjedno-

czonych zapytywania o poszukiwanych zbiegów gdzieś się zapodziały albo były wręcz ignorowane przez mikroskopijną policję wysepki.

Jay znalazł zajęcie już po dwóch dniach od przybycia do Rodney Bay. Znał się niezłe na silnikach dieslowych, a właściciele wypożyczalni łodzi bardzo potrzebowali wykwalifikowanego mechanika. Marguerita z East Winds pamiętała go z poprzedniego pobytu i chętnie zatrudniła Alexandrę do pomocy w prowadzeniu rachunków.

Czas mijał im beztrąsko, zamieszanie wywoływały jedynie awarie sieci telefonicznej i nagłe przerwy w dostawie prądu, niekiedy kilkudniowe, ale zazwyczaj parogodzinne.

Fraser pisał do nich często. Wydobrał prawie zupełnie po katuszach, jakie mu zadawał Strand, cierpiał tylko na ciężkie bóle głowy. Zawartością aktówki Stranda zajęli się przyjaciele i sojusznicy Treadwella, Davida Curry, Lamba, Modestiego i wielu innych.

Skutkiem ich działań były wymuszone rezygnacje na najwyższych szczeblach największych amerykańskich korporacji. Członkowie Klubu Pasterza, którzy stawali okoniem, padali ofiarą różnych nieszczęśliwych wypadków. Najogólniej biorąc, przystosowywali się jednak do nowej sytuacji.

Spółceństwo nigdy się nie dowiedziało, jak niewiele brakowało do zamachu stanu, jak blisko zawalenia się były fundamenty najstarszej przedstawicielskiej demokracji świata. Do publicznej wiadomości nie przedostały się zamierzenia Komitetu Siedmiu, żaden z jego członków nie stanął przed sądem.

Jednakże dalsze należyte funkcjonowanie instytucji państwowych wymagało stopniowych zmian na pozycjach przywódczych. Nie była to sprawa łatwa. Urzędy państwowe i agencje federalne, wymiar sprawiedliwości, organy nadzoru - roili się od ludzi, którzy w wyniku korupcji lub szantażu musieli być przede wszystkim lojalni wobec koterii Komitetu Siedmiu.

Jay spojrzął na leżącą na ławce kopertę z wypisanym w rogu adresem Fräsera w San Pedro. Trochę żałował, że poczta amerykańska nie potraktowała tej przesyłki z właściwą sobie operatywnością i nie zgubiła jej albo przynajmniej nie porwała w strzępy.

- Bozu.

Jay odwrócił głowę i ujrzał Alexandrę nadchodzącą od strony wy-
żwirowanego parkingu z nakrytym, wiklinowym koszykiem w rękę. Na
poboczu drogi stał jej poturbowany džip suzuki.

Bozu i tobie - odpowiedział. W ciągu minionych czterech miesięcy
podchwycili oboje sporo miejscowego patois. Oficjalnym językiem na
wyspie był angielski, ale krajowcy posługiwali się też łamaną francuszc-
zyną, w której „Bozu” znaczyło Bonjour.

- Jak się miewasz? - spytała.

- Skwierczę i jestem zmęczony - wstał, żeby się z nią przywitać.

- I umorusany jak nieboskie stworzenie. Mam zimny sok owocowy.

- Co tak wczesnie dzisiaj? - zapytał, bo zwykle przynosiła mu obiad,
gdy minęło południe. - Czyżby maszynka do lodów w East Winds zno-
wu wysiadła i Marguerite chce, żebym ją naprawił? - dodał, biorąc ko-
szyk od Alexandry i stawiając go na ławie.

Alexandra zdjęła z koszyka papierową serwetę, rozłożyła ją na ławie
i usiadła. Jay przyglądał się jej tkliwie. Stosownie do dobrych obyczaj-
ów panujących na wyspie nosiła spódnicę i skromnie skrojoną bluzkę.
Mocna opalenizna jej nóg i ramion odcinała się intensywnie od bieli
bluzki i spódnicy, a niebieskie oczy na tle brązu policzków wydawały
się nabierać większej głębi. Linia włosów ściągniętych do tyłu i upię-
tych na karku podkreślała rysy jej twarzy z portretową wyrazistością.
Jay położył jej dłonie na ramionach i pochylił się, żeby ją pocałować.

- Dziękuję - powiedziała, ale to cię nie zwolni od napra wienia ma-
szyny do lodów. A teraz siadaj tu - poklepała ławkę obok siebie - i zre-
laksuj się trochę.

Jay przesunął kopertę na koniec ławy i usiadł. Nie uszło przy tym
jego uwagi niespokojne spojrzenie, jakim Alexandra obrzuciła kopertę.

- To kolejna epistoła admirała - poinformował ją.

- Wiem i martwię się - powiedziała, wyjmując z koszyka dwie
szklanki oraz słoik z sokiem i pobrzękującymi w nim kostkami lodu. -
Te jego listy są coraz dłuższe i dłuższe. I za każdym razem, kiedy przy-
chodzą, życie na wyspie mniej ci się podoba - stwierdziła, nalewając
sok i nie patrząc na niego.

- To są przeważnie dobre wiadomości - rzekł pogodnie. - Wszelkie
zarzuty przeciw tobie zostały uchylone i uznane za niebyłe. Mnie także
wszystko darowano z wyjątkiem tych incydentów w Holandii. Znasz
Holendrów. Mają bzika na punkcie praworządności.

- To cudownie - powiedziała bez entuzjazmu, podając mu szklanę z sokiem.

- Ananas plus kokos - skonstatował ze smakiem Jay, pociągnąwszy łyk. - Mój ulubiony. Interesy też idą dobrze. Chris Carneghie świetnie sobie radzi z kierowaniem ECM. Sam bym lepiej nie potrafił - oświadczył żywo, odstawiając szklanę i sięgając po kopertę. - Patrz - powiedział, wyciągając z niej plik papierów. - Wystarczy, żebym to podpisał i odesłał Chrisowi, a sąd zezwoli na odmrożenie naszych aktywów. (Po śmierci Stranda wszystkie konta bankowe, akcje i nieruchomości Jaya zostały przejęte przez władze).

- Ty chcesz wracać - stwierdziła pośpiesznie Alexandra, popijając sok.

Jay powoli włożył z powrotem papiery do koperty. Jakiś wycinek z gazety popfrunął przy tym niezauważony na ziemię.

- Wiesz przecież, że nie możemy tu wiekować. Marnujesz swój talent.

- Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? - rzuciła zaczepnie. - Ty też marnujesz swój talent. I co z tego? Czy to naprawdę takie ważne, żebyś wycisnął do końca jak cytrynę swoje talenty? Co ci z tego przyjdzie? Czy wspólne szczęście nie jest ważniejsze? - spytała, odstawiając szklanę i obracając się ku niemu. - Co jeszcze pragniesz osiągnąć? Nie możesz w nieskończoność czegoś zmieniać. Dlaczego po prostu nie pogodzisz się z granicami swoich możliwości?

- Bardzo cię kocham i chciałbym zaakceptować twój punkt widzenia - odpowiedział smętnie. - Rozsądek mówi mi, że masz rację. Ale moje serce - podniósł ręce bezradnym gestem - nie pozwala mi spasować.

Alexandra popatrzyła na niego, potrząsając wolno głową, wzrokiem pełnym miłości.

- Nie jest pan człowiekiem, z którym żyje się łatwo, panie Fleming - nachyliła się i pocałowała go.

- Wiem o tym - odrzekł. - Całe życie byłem taki - wysilił się na uśmiech. - Chciałbym być bardziej podobny do ciebie. Może za kilka lat trochę się zmienię?

- Piti has kabat gwo bwa - powiedziała w patois.

- Nie rozumiem - spojrzał na nią skonfundowany.

- Rozmawiałam o tobie z Marguerite - uśmiechnęła się. - Zacytowała mi miejscowe przysłowie, które oddaje twoją filozofię.

- Niesamowite. Przetłumacz.

- Małą siekierą ścina się duże drzewa.
- A więc rozumiesz?
- Wiesz przecież, że tak - powiedziała, biorąc w obie ręce jego prawą dłoń. - I kocham cię za to jaki jesteś i pomimo tego. I uważam, że gdybyś nie miał w sobie tej gwałtownej potrzeby, żeby rąbać drzewa w ciemnym lesie świata, nie byłbyś najwspanialszym znanym mi mężczyzną.

Jay pochylił się i pocałował ją.

Uwagę Alexandry zwrócił tytuł na wycinku z gazety, jaki wypadł Jayowi na ziemię. „Oahu w ciemnościach po awarii pięciu głównych linii przesyłowych”. Podniosła wycinek. Pochodził z Los Angeles Times, sprzed niespełna dwóch tygodni.

„Nasz korespondent w Honolulu donosi - czytała - że w środę po południu 800 tysięcy mieszkańców miasta i terytorium wyspy Oahu było pozbawionych elektryczności wskutek łańcuchowej awarii pięciu linii energetycznych.

Zarząd spółki Hawaiian Electric Co. nie wyklucza, że przyczyną awarii mógł być pożar na plantacji trzciny cukrowej, który najonizował powietrze wokół jednej z linii, co spowodowało przerwę w dostawie prądu. Późnym popołudniem mniej więcej jedna piąta wyspy miała już prąd. Gubernator George Arioshi polecił...”

- Wierzysz w tę historyjkę? - spytała Alexandra.

- Nie. Wprawdzie złapaliśmy większość z nich, ale tylko Strand wiedział gdzie jest ukryta ta część notatek Tesli, które są nieodzowne do wdrożenia Projektu Nick na skalę światową. Niemniej ta notatka pozwala podejrzewać, że ktoś - nie wiemy kto ani gdzie - próbuje działać na własną rękę, pomimo braku ostatnich puzzli układanki.

- Jesteś pewien, że tylko Strand znał miejsce ukrycia papierów Tesli?

- Nie. I nie ma też gwarancji czy niedobitki spiskowców nie zabiegają znowu o uzyskanie jakimś sposobem ich kopii od Jugosłowian.

- Małą siekierą ścina się duże drzewa - powiedziała cicho Alexandra.

- Chyba naprawdę musisz wracać?

Jay skinął głową.

- Mieliśmy cudowne cztery miesiące. - To było tak, jak bym znalazła się na bezludnej wyspie obok wymarzonego rozbitka.

- Dziękuję ci - rzekł Jay. - Miałem identyczne odczucie.

- Wcale nie - zaproponowała. - Widziałam jak ci to coraz bardziej działa na nerwy.

- Było mi bardzo dobrze - położył jej palec na ustach.

- Nie podważaj tego. Pozwól mi ściąć jeszcze kilka drzew, a potem znowu będziemy parą rozbitków, nie - źle mówię - znajdziemy przystań na innej wyspie.

- Obiecujesz? - spytała.

- Obiecuję.